



Laurell K.
Hamilton

Dotknięcie
mroku

Kontynuacja *Pieszczoty nocy*



Dotknięcie Mroku

Merry Gentry [3]

Laurell K. Hamilton

Zysk i S-ka (2011)

Laurell K. Hamilton

DOTKNIĘCIE

MROKU

Seduced by moonlight

Tłumaczył

Robert P. Lipski

Dla J.,

bo obiecał, a zawsze

dotrzymuje słowa.

Podziękowania

Dla Darli Cook za to, że była płytą rezonansową, strażniczką bramy, sekutnicą (to jej słowo, nie moje) i pokrewną duszą. Dla Karen Wilbur, która czytała tę książkę we wczesnym okresie jej powstawania. Pewnego razu w czasie twoich urodzin zrobię sobie przerwę w pisaniu i wtedy dostaniesz ode mnie prezent. Dla Shawna Holsapple'a i jego Kathy, również pokrewnych dusz. Dla Sharon Shinn, która jako wyborna pisarka służyła mi wytrawnymi radami. Dla Deborah Milletello, z którą nigdy nie mogę się nagadać. Dla Marka i Sary Sumner, których nigdy nie mam dość. Nigdy nie dość spotkań z przyjaciółmi. Dla Rhetta MacPhearsona, wciąż pisującego wspaniałe kryminały. Dla Lauretty, mam nadzieję, że kiedyś wspólnie wybierzemy się w podróż całymi naszymi rodzinami. Dla Marelli Sands, świetnej pisarki, oraz dla Toma Drennana - gdzie ta książka?

Rozdział 1

Przy basenach w Los Angeles wyleguje się wiele osób, lecz niewiele jest wśród nich prawdziwie nieśmiertelnych, niezależnie, jak uporczywie o to walczą, poddając się zabiegom chirurgii plastycznej i uprawiając ćwiczenia fizyczne. Doyle był nieśmiertelnym, i to od ponad tysiąca lat. Tysiąc lat wojen, zamachów i politycznych intryg, a tu został zredukowany do rangi ciacha w skąpych slipkach, przy basenie należącym do bogatych i sławnych. Leżał

na skraju basenu, nie mając na sobie prawie nic. Słońce skrzyło się na błękitnej powierzchni wody. Żłociste promienie tańczyły na ciele, jakby prowadzone niewidzialną dłonią, zmieniały się w tuzin maleńkich reflektorów punktowych przydających czarnej skórze Doyle'a barw, których nigdy nie spodziewałabym się tam ujrzeć.

Nie był czarny jak typowi czarnoskórzy mężczyźni, bardziej jak psy. Obserwując grę światła na jego skórze, uświadomiłam sobie, że byłam w błędzie. Jego skóra lśniła nieomal granatowym blaskiem, niczym niebo nocą, najbardziej widocznym wzdłuż długiej, muskularnej wypukłości łydki. Nuta królewskiego granatu, jak muśnięcie barwy zapożyczonyj wprost z nieba, dotknęła jego pleców i barku. Ten fiolet pieszczący biodro mężczyzny mógłby zawstydzić najciemniejszy ametyst. Jak mogłam kiedykolwiek myśleć, że jego skóra jest jednokolorowa? Był istnym cudem barw i światła rozpiętych na ciele, które falowało i poruszało się za sprawą mięśni wyrobionych podczas wojen, staczanych setki lat przed moimi narodzinami.

Warkocz jego czarnych włosów zwieszał się ponad krawędzią fotela klubowego, opadając w dół, i zwijał w kłębek na betonie obok niego jak potulny wąż. Te włosy były jedyną rzeczą, która wydawała się absolutnie czarna. Nie mieniły się żadnymi odcieniami, błyszcząły tylko niczym czarne klejnoty. Wydawało się, że powinno być na odwrót, że to jego włosy powinny się mienić, a ciało być jednobarwne, ale tak nie było.

Leżał na brzuchu, z odwróconą głową. Udawał, że śpi, z czego zdawałam sobie sprawę. Czekał

na pojawienie się śmigłowca, którym mieli przylecieć reporterzy, dziennikarze, ludzie z kamerami. Zawarliśmy pakt z diabłem. Jeżeli prasa będzie trzymała się od nas dostatecznie daleko, dopilnujemy, by zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami mogli w określonych dniach i godzinach robić nam ciekawe, godne uwagi zdjęcia. Byłam księżniczką Meredith NicEssus, dziedziczką tronu Dworu Unseelie, i to, że pojawiłam się w Los Angeles, w Kalifornii, po trzyletniej absencji, stanowiło prawdziwą sensację. Ludzie myśleli, że nie żyję. Ale żyłam i miałam się świetnie. Zamieszkałam pośród jednego z największych imperiów medialnych na świecie. A potem zrobiłam coś, co dało jeszcze większą pożywkę bulwarówkom.

Zacząłam szukać męża. Jedyna księżniczka faerie urodzona na amerykańskiej ziemi pragnęła wyjść za mąż. Jako fey, a zwłaszcza członkini sidhe, najwyższego spośród królewskich rodów, nie wolno mi było wyjść za mąż, dopóki nie zajdę w ciążę. Fey nie są zbyt płodne, a królewskie rody sidhe jeszcze mniej. Moja ciotka, Królowa Powietrza i Ciemności, nie zgodziłaby się na nic innego prócz wyścigu płodności. Jako że najwyraźniej wymieraliśmy, nie mogłam jej za to winić. Jednak bulwarówki nie wiadomo skąd dowiedziały się, że nie tylko umawiam się z moimi ochroniarzami, lecz również z nimi sypiam. Ten, kto zrobi mi dziecko, zostanie moim mężem. Będę jego królową, a on moim królem.

Bulwarówki wiedziały nawet, że królowa urządziła w tej kwestii zawody pomiędzy mną a jej synem, moim kuzynem księciem Celem. Ten, kto pierwszy będzie miał dziecko, wygra tron. Media rzuciły się na nas jak kanibale na ofiary. To nie było miłe, absolutnie.

Prasa i telewizja nie wiedziały jednak, że Cel próbował mnie zabić, i to niejednym razem.

Nie wiedziały też, że został uwięziony przez królową i skazany na sześć miesięcy więzienia i tortur. Nieśmiertelność oraz zdolność gojenia prawie wszystkich ran ma swoje minusy.

Tortury mogą trwać bardzo, bardzo długo.

Kiedy Cel wyjdzie, będzie mógł powrócić do rywalizacji, chyba że ja pierwsza zajdę w ciążę. Jak dotąd nie miałam szczęścia, choć nie mogę powiedzieć, że się nie starałam.

Doyle był jednym z pięciu prywatnych ochroniarzy królowej, który zgłosił się na ochotnika, aby zostać moim kochankiem. Królowa Andais miała zasadę, zgodnie z którą jej ochroniarze uwalniali nasienie tylko i wyłącznie do jej ciała. Doyle od stuleci żył w celibacie.

I znów nieśmiertelność, jeśli masz pecha, może okazać się nie do zniesienia.

Wybraliśmy jedną z najbardziej natarczywych bulwarówek i dobiliśmy targu. Doyle uważał, że to nagroda za złe zachowanie; królowa chciała, abyśmy zaprezentowali się w mediach z jak najlepszej strony. Dwór Unseelie ma raczej nieciekawą reputację, mówi się o nas najgorsze rzeczy. Może i jesteśmy tymi złymi, ale spędziłam dostatecznie dużo czasu na Dworze Seelie, dworze jasności i światłości, o którym media sądzą, że jest taki idealny i wspaniały. Ich król, Taranis, Król Światła i Iluzji, jest moim wujem. Nie jestem jednak brana pod uwagę jako dziedziczka tego tronu. Miałam to nieszczęście, że mój ojciec był czystej krwi sidhe Unseelie, a jest to zbrodnia, dla której świetliści nie mają wybaczenia. Nie było więzienia, do którego można by mnie wtrącić, ani tortur, jakim można by mnie poddać, będącymi w stanie oczyścić mnie z tego grzechu.

Mówi się, że Dwór Seelie to przepiękne miejsce, ale ja dowiedziałam się, że moja krew jest równie czerwona na białym, jak i czarnym marmurze. Owi piękni ludzie dali mi jasno do zrozumienia, że nigdy nie będę jedną z nich. Jestem zbyt niska, za bardzo przypominam człowieka i co gorsza, wyglądam jak Unseelie.

Moja skóra jest biała jak księżycowy blask, co bywa oznaką piękna na każdym dworze, ale mierzę zaledwie metr pięćdziesiąt wzrostu. Żaden sidhe nie jest tak niski. Mam krągłości i jestem nieco zbyt lubieżna jak na sidhe - to pewnie przez ludzką krew, tak sędzę.

Moje oczy są trójkolorowe, w dwóch odcieniach szarości i ze złotą obwódką. Byłyby one mile widziane na Dworze Seelie, lecz włosy już nie. Są krwistokasztanowe, w odcieniu szkarłatu sidhe. Ani to zwykły kasztan, ani rudy. To trochę tak, jakbyś wzięła garść granatów i wplotła je we włosy. Ten odcień ma swoją nazwę nadaną przez świetlistych: czerwień Unseelie. Seelie mają czerwone włosy, ale odcieniem są one zbliżone do włosów ludzkich -

rudych, ryżych, złocistych, kasztanowych, żadne jednak nie są tak ciemne jak moje.

Moja matka postarała się, bym miała świadomość, że jestem kimś gorszym, kimś mniej pięknym, mniej chcianym, po prostu mniej. Ona i ja nie rozmawiałyśmy często. Mój ojciec zmarł, gdy byłam młodsza, i nie ma dnia, abym o nim nie myślała. Powtarzał, że jestem dość: dość piękna, dość wysoka, dość silna, po prostu dość.

Doyle uniósł głowę, prezentując czarne markowe okulary, które przesłaniały jego czarne oczy. Światło odbijało się od srebrnych kolczyków, zdobiących niemal każdy cal jego uszu, od płatka aż po spiczasty czubek. Te uszy były jedyną oznaką zdradzającą, że Doyle nie był czystej krwi sidhe Unseelie.

Wbrew literaturze popularnej i wszystkim, którzy chcąc upodobnić się do magicznego ludu, robili sobie implanty uszu, prawdziwi sidhe nie mają spiczastych małżowin. Doyle mógł zakryć uszy i uchodzić za czystego sidhe, ale prawie zawsze włosy miał związane z tyłu, więc ta niedoskonałość była bardzo widoczna. Myślę, że kolczyki nosił po to, żeby nikt tego przypadkiem nie przeoczył.

- Słyszę śmigłowiec. Gdzie Rhys?

Ja nic nie usłyszałam, ale nauczyłam się nie kwestionować słów Doyle'a; skoro mówił, że coś słyszy, to tak było. Słuch miał lepszy niż ludzie i większość pozostałych strażników.

Zapewne miało to coś wspólnego z mieszanym pochodzeniem.

Usiadłam i spojrzałam w stronę szklanej ściany prowadzącej do domu. Zanim zdążyłam zawołać Rhysa, pojawił się w rozsuwanych szklanych drzwiach. Skórę miał

bardziej bladą ode mnie, na tym jednak podobieństwa się kończyły. Jego długie do pasa włosy były masą bardzo skręconych białych kędziorów okalających twarz, która była po chłopięcemu przystojna i taka już pozostanie na zawsze. Jego jedyne oko miało trzy odcienie: błękitu, bławatka i zimowego nieba. Drugie oko stracił dawno temu. Niekiedy nosił łatkę, aby zakryć blizny, lecz gdy odkrył, że nie zwracam na to uwagi, prawie całkiem z niej zrezygnował. Blizny ciągnęły się w dół jego twarzy, kończąc się tuż nad całusnymi, wydętymi wargami. Był najpiękniejszy z nich wszystkich, choćby z uwagi na kształt tych ust.

Miał metr sześćdziesiąt pięć wzrostu i był najniższym czystej krwi sidhe, jakiego znałam.

Jednak każdy cal jego ciała stanowiły mięśnie. Niedostatek wzrostu rekompensował sobie tym, że był w lepszej formie niż reszta straży. Wszyscy byli muskularni, ale tylko on poważnie traktował treningi kulturystyczne. No i tylko on mógł pochwalić się nienaganną tarką na brzuchu. Przyniósł ręczniki, po które poszedł, trzymając je przed swym wyrzeźbionym brzuchem, i dopiero gdy położył je obok mojego fotela, zorientowałam się, że zostawił kąpielówki w domu.

- Rhys! Co ty wyprawiasz?

Uśmiechnął się do mnie.

- Tak skąpe kąpielówki są jak kłamstwo. Dla ludzi to sposób, aby mogli być nadzy, nie będąc nagimi. Ja tam wolę być nagi.

- Nie opublikują zdjęć, jeśli jedno z nas będzie nagie - rzekł Doyle.

- Zrobią mi zdjęcie z tyłu, a nie z przodu.

Spojrzałam na niego. Zaczęłam coś podejrzewać.

- A niby czemu nie mieliby ci zrobić zdjęcia z przodu?

Zaśmiał się, odchyłając głowę do tyłu i rozchylając usta. Dźwięk, jaki z siebie wydał, był tak radosny, że zdawało się, jakby dzień stał się pogodniejszy.

- Bo będę z całej siły tulił się do twego cudnego ciała.

- Nie - wycedził Doyle.

- A co ty zamierzasz pokazać, co byłoby warte opublikowania? - zapytał Rhys, opierając dłonie na biodrach.

Był kompletnie nagi i świetnie się z tym czuł. Jego język ciała nigdy się nie zmieniał, niezależnie, czy miał coś na sobie, czy też nie. Dwa dni trwało, nim po wielu kłótniach i przepychankach zdołałam nakłonić Doyle'a, żeby włożył te slipki. Nigdy nie był zwolennikiem tradycyjnej na dworze nagości.

Doyle wstał, a przód jego majtek był tak skąpy i tak dobrany kolorystycznie, że zrozumiałam, o co chodziło Rhysowi. Jeżeli ktoś nie wiedział, jak wspaniale Doyle wyglądał nago, mógłby pomyśleć, że to właśnie to, na pierwszy rzut oka. Z tyłu wydawał się równie nagi jak Rhys.

- Mam na sobie to i jestem wystawiony na widok publiczny.

- Jesteś milutki - rzekł Rhys. - Gdybyśmy jednak chcieli, żeby reporterzy bulwarówek przestali próbować robić nam zdjęcia przez okna sypialni, musimy być wobec nich szczerzy.

Musimy zrobić dla nich widowisko. - Rozłożył szeroko ręce, odwracając się do mnie tyłem i prezentując swe niewątpliwe wdzięki. Bez kąpielówek, które załamywały linie jego przepięknie umięśnionego ciała, wyglądał zdecydowanie lepiej. Wciąż miał wspaniały tyłek, w przeciwieństwie do niektórych kulturystów, którzy pozbywali się każdego grama tłuszczu.

A przecież potrzeba odrobiny miękkości, żeby ukryć linie mięśni, w przeciwnym razie nie wyglądają one najlepiej.

Teraz i ja usłyszałam śmigłowiec.

- Panowie, mamy mało czasu. Nie chcę wracać do dni, kiedy reporterzy koczowali na drzewach za murem.

Rhys spojrzał na mnie.

- Jeżeli nie urządzimy tym bulwarówkom naprawdę dobrego widowiska, powiedzą innym, że skłamaliśmy, i znów zaczną się na nas zasadzać. - Westchnął, jakby z niezadowoleniem. - Wolałbym raczej pokazać tyłek całemu krajowi, niż gdyby kolejny fotograf miał złamać rękę, spadając z dachu.

- Fakt - przyznałam.

Doyle wziął głęboki wdech i powoli wypuścił powietrze ustami.

- Zgoda. - To, jak bardzo był temu przeciwny, widać było w układzie jego ciała, w jego postawie. Jeśli nie będzie umiał udawać, nie weźmie udziału w ewentualnych przyszłych sesjach zdjęciowych.

Rhys podczołgał się do mojego fotela i uklęknął, opierając dłonie na podłokietnikach.

Uśmiechał się do mnie, a ja zrozumiałam, że obmyślił sposób, aby to wszystko stało się naprawdę przyjemne. Może wolałby strącić ten śmigłowiec na ziemię, ale grał uczciwie i z pewnością coś wymyśli.

Otaksowałam go wzrokiem. Nie mogłam się powstrzymać. Nie mogłam patrzeć na jego zwisającą tak blisko męskość. Pragnęłam go pieścić, był wszak na wyciągnięcie ręki.

Mój głos drżał leciutko, kiedy zapytałam:

- Mamy jakiś plan?

- Sądziłem, że coś wymyślimy.

- A co ja mam robić? - spytał Doyle.

Wydawał się zniesmaczony całą tą sytuacją. Uwielbiał być moim kochankiem, uwielbiał perspektywę zostania królem, ale nie cierpiał popularności i wszystkiego, co się z tym wiązało.

- Ty możesz zabrać się za nią z jednej strony, a ja z drugiej.

Śmigłowiec był już blisko, być może zasłonięty tylko przez rząd wysokich eukaliptusów, okalających teren posiadłości. Doyle błysnął w uśmiechu zębami, które w porównaniu z jego czarną skórą wydawały się śnieżnobiałe. Poruszał się z płynną gracją i szybkością, której nigdy nie potrafiłam dorównać, i nagle ujrzałam, jak klęka przy moim ramieniu.

- Skoro już muszę, chętnie skosztuję twych słodkich ust.

Rhys liźnął mnie lekko po gołym brzuchu, co sprawiło, że poruszyłam się nerwowo i zachichotałam. Uniósł głowę, by powiedzieć:

- Są inne smaki, choć równie słodkie. - Spojrzałam mu w oczy, na jego twarz.

Poczułam żar i to sprawiło, że moje serce zabiło żywiej, a śmiech uwiązał w gardle.

Doyle musnął ustami mój bark. Ten ruch spowodował, że przeniosłam na niego wzrok i odkryłam tę samą mroczną świadomość. Świadomość zrodzoną z nocy i dni, skóry, potu i ciała, skotłowanej pościeli i rozkoszy.

Mój głos nieco się łamał.

- Postanowiłeś włączyć się do gry. Co skłoniło cię do zmiany zdania?

Czując jego gorący oddech na skórze, aż zadrzałam.

- To zło konieczne i jeśli musisz zaprezentować się na użytek mediów, nie opuszczę cię wyszeptał, nieomal dotykając ustami mojego policzka. Znów się wyszczerzył, a błysk uśmiechu na jego twarzy przypominał wyraz zdziwienia. To sprawiło, że wydawał się młodszy, prawie jak ktoś zupełnie inny. Nie dalej jak miesiąc temu dowiedziałam się, że Doyle w ogóle potrafi się uśmiechać. - Poza tym nie mogę zostawić cię Rhysowi. Bogini raczy wiedzieć, co mógłby zrobić, gdyby został tu sam.

Rhys przesunął palcem wzdłuż krawędzi moich majtek od bikini.

- Taki skąpy kawałek materiału. Jak będziemy ostrożni, w ogóle nie zauważą.

Zmarszczyłam brwi, spoglądając na niego.

- Co masz na myśli?

Osunął się niżej na fotel, tak że jego twarz znajdowała się tuż nad materiałem, a dłonie wsunęły się pod moje lekko uniesione uda i zacisnęły na biodrach, zakrywając fragmenty jasnoczerwonych majtek od bikini. Opuścił głowę tuż nad moim kroczem, a jego włosy niczym kurtyna rozsypały się po moich udach.

Nie miałam czasu, by zaprotestować ani nawet zastanowić się, czy tego chcę.

Śmigłowiec wyleciał spoza drzew i tak nas właśnie zastali: Rhysa z twarzą wtuloną w moje krocze, nogami ugiętymi w kolanach i piętami lekko wbitymi w gołe pośladki jak dziecko, które otrzymało coś słodkiego.

Sądziłam, że Doyle będzie protestował, ale on wtulił twarz w moją szyję i nagle zorientowałam się, że się śmiał. Bezgłośnie, ale jego ramiona drżały. Popchnął mnie do tyłu na fotel. Znów się na nim wyciągnęłam, a on nadal się podśmiechiwał, ukrywając to przed kamerami.

Sama zaczęłam rechotać i ucieszyłam się, że miałam na nosie okulary przeciwsłoneczne. Nagle śmigłowiec zatoczył krąg ponad nami na tyle nisko, że wzburzył

wodę w basenie i sprawił, iż włosy Rhysa pieśczośliwie, drażniąco przesunęły się po mojej skórze.

Śmiałam się już na dobre.

Rhys polizał przez materiał przód mego krocza. Oddech uwiązał mi w gardle.

Spowaźniałam. Wystarczyło jedno jego spojrzenie i już wiedziałam, że chce mego skupienia.

Wpił zęby w materiał i zaczął mnie lekko podskubywać. To odczucie wywołało we mnie dreszcze, wygięłam kręgosłup w łuk, odchylając głowę i otwierając usta w bezgłośnym jęku.

Doyle ścisnął mnie za ramię, nieco przywracając do rzeczywistości. Wciąż byłam rozdygotana i miałam kłopoty z koncentracją. Położył jeden z ręczników na moim brzuchu.

Drugi podał Rhysowi.

Rhys spojrzął na niego i zorientowałam się, że chciał zaprotestować, ale koniec końców po prostu wstał, rozkładając ręcznik, tak by fotografowie i kamerzyści nie dostrzegli nawet fragmentu moich majtek. Właściwie spodziewałam się, że zaprezentuje swoje wdzięki przed kamerą, ot tak - dla hecy, ale nie zrobił tego. Bardzo ostrożnie otulił mnie ręcznikiem, podczas gdy śmigłowiec przeleciał nad nami, a powstały w ten sposób wiatr zmierzwił nasze włosy. Klęczał, całkiem nagi, a ja zastanawiałam się, czy zdjęcia zostaną litościwie wyretuszowane, czy może sprzedadzą je do europejskich gazet, które nie przejmowały się tak mało istotnymi drobiazgami.

Kiedy już byłam zupełnie zakryta, od ud aż po czerwony stanik od bikini, wziął mnie w ramiona. Musiałam krzyczeć, by zdołał mnie usłyszeć pośród wiatru i łoskotu maszyny.

- Mogę pójść sama.

- Ale ja chcę cię zanieść. - Wydawał się taki poważny, kiedy to powiedział, a mnie pozwolenie mu na to nic nie kosztowało.

Skinęłam głową.

Rhys niósł mnie w stronę domu, podczas gdy Doyle szedł nieco z tyłu obok nas.

Doyle był dobrym ochroniarzem. Szedł teraz z boku, a nie dokładnie za nami, przez co dawał wszystkim chętnym szansę na zrobienie zdjęcia.

Zatrzymał się przy fotelu i zgarnął trzeci ręcznik, po czym płynnie pomaszerował w stronę domu. Zauważyłam, że w ręcznik był zawinięty pistolet. Ludzie w śmigłowcu nad nami nie mieli pojęcia, że któreś z nas było uzbrojone. Nie widzieli również Mroza stojącego tuż za rozsuwanymi szklanymi drzwiami, ukrytego za zasłoną. Był w pełni ubrany i w pełni uzbrojony. Mam wrażenie, że powodem, dla którego nie miałam nic przeciwko gierkom z mediami, było to, iż za dobry dzień uważałam taki, kiedy nikt nie próbował mnie zabić. Skoro coś takiego stanowi dla ciebie kryterium określające dobry dzień, cóż mogło znaczyć kilka śmigłowców i parę pikantniejszych zdjęć? Raczej niewiele.

Rozdział 2

Mróz patrzył, jak Rhys wnosi mnie do środka, a w jego szarych oczach malował się gniew. Był jedynym strażnikiem, który głosował przeciwko naszemu paktowi z prasą.

Chroniłby nas, gdy my robilibyśmy idiotyczne rzeczy, ale nie brałby w nich udziału. Godność nigdy nie pozwoliłaby mu upaść zbyt nisko.

Był piękny, gdy się złościł, ale tak naprawdę zawsze był przystojny. Jego kości policzkowe i nieskazitelne rysy mogły przyprawić chirurga plastycznego o łzy zazdrości.

Skóra jak śnieg, włosy jak srebrzysty szron skrzący się w blasku księżyca, szerokie ramiona, wąska talia, szczupłe biodra, długie ręce i nogi. Ubrany był po prostu przystojny, nagi zapierał dech.

Patrzył, jak przechodzimy po wyłożonej chłodną terakotą podłodze, i wyglądał jak rozdrażnione dziecko. Był najbardziej chimerycznym spośród strażników. Pierwszy wpadał w gniew, wybaczał ostatni i często się dąsał. Słowo dąsać się wydawało się niewłaściwe dla wojownika, który walczył ze swoją królową dłużej niż tysiąc lat, ale zwrot był jak najbardziej adekwatny. Mróz się dąsał, a ja byłam już zmęczona oglądaniem tego. Był zdumiewającym kochankiem, cudownym wojownikiem, ale niemal na okrągło przerzucał swój emocjonalny gnój. Bywały dni, kiedy zastanawiałam się, czy w

ogóle chciał tej roboty.

- Król Goblinów chce rozmawiać przez zwierciadło - rzekł głosem równie posępnym jak jego oczy.

- Dawno to było?

- Teraz rozmawia z Kitem.

Doyle ruszył w stronę odległej sypialni i nagle przystanął, by spojrzeć na to, co miał na sobie lub raczej czego nie miał. Westchnął ciężko, po czym poczłapał bosy po kafelkach.

Rzucił przez ramię:

- Gdyby Meredith była tak ubrana, moglibyśmy zyskać pewną przewagę, ale Kurag nie dba o męskie ciała.

- Nieprawda - odrzekł Rhys, a gorycz w jego głosie sprawiła, że odwróciłam się i spojrzałam na niego. Wciąż byłam w jego ramionach, tak że odwrócenie głowy było na swój sposób intymnym gestem.

- Gobliność uwielbiają odrobinę ciała sidhe.

Doyle przystanął i spojrzał na niego spość łba.

- Nie miałem na myśli ucztowania.

- Ja również - oznajmił Rhys.

Doyle znieruchomiał; jego ciemne bosa stopy odcinały się od niebieskich i białych płytek.

- O co ci chodzi, Rhys?

- O to, że wiele goblinów nigdy nie doświadczyło rozkoszy z sidhe, czy to z kobietami, czy z mężczyznami, i są też tacy, którzy nie dbają, czy byliby to mężczyźni. -

Potarł twarzą moją szyję i bark w pocieszającym geście.

- Kurag... - zaczął Mróz, ale nie dokończył. Gniew na Rhysa, reporterów czy kogokolwiek przysnął. Jego twarz wyrażała oburzenie, które zapewne czuli teraz wszyscy.

Pogładziłam mięciutkie kędzioły Rhysa i wtuliłam się mocniej w jego ramiona.

Przesunęłam palcami w dół zagłębienia jego szyi i barku. Kiedy fey się boją, dotykamy się wzajemnie. Myślę, że ludzie też by to robili, gdyby ich kultura tak często nie mieszała dotykania z seksem. Dotyk mógł prowadzić do seksu, ale w tym momencie chciałam jedynie przytulić Rhysa.

Doyle cofnął się kilka kroków, z jedną ręką opartą na smukłym biodrze.

- Chcesz powiedzieć, że Kurag... cię znieważył.

Rhys uniósł głowę ponad zagłębienie mojej szyi.

- Nigdy mnie nie tknął, ale patrzył. Siedział na tronie, pogryzając przekąski, jakby oglądał widowisko.

- Na naszym dworze wszyscy musieliśmy siedzieć podczas takich widowisk, Rhys.

Nikt o tym nie mówi, ale ilu strażników zgodziłoby się na małe sam-na-sam ku uciechu królowej, gdyby tylko mogli dzięki temu uwolnić się od celibatu choćby na godzinę?

- Nigdy tego nie robiłem. - Jego ręce konwulsyjnie zacisnęły się wokół mnie, palce boleśnie wpiły się w ciało.

- Ani ja - rzekł Doyle - ale nie winię tych, którzy to robili.

- Rhys, sprawiasz mi ból - powiedziałam półgłosem.

Postawił mnie delikatnie, ostrożnie, jakby nie ufał sam sobie.

- Zrobić to z wyboru, to jedno. Ale zostać przymuszonym...

Pokręcił głową.

Pozwoliłam, by ręcznik spadł na podłogę, i dotknęłam jego ramienia.

- Gwałt jest zawsze czymś okropnym, Rhys.

Uśmiechnął się z taką goryczą, że aż go uściskałam. Chciałam go pocieszyć.

- Wielu strażników nie zgodziłoby się z tobą, Merry. Jesteś zbyt młoda, nie pamiętasz, jacy byliśmy w czasie wojny.

Wciąż przywierałam do niego, pragnąc, by poczuł się szczęśliwszy, czując moją bliskość. Nie chciałam wiedzieć, że moi strażnicy robili okropne rzeczy. Nie, inaczej: nie chciałam wiedzieć, że mężczyźni, z którymi dzieliłam łóżko, robili okropne rzeczy. I wtedy przypomniałam sobie rozmowę, którą podsłuchałam parę miesięcy temu.

Cofnęłam się, by móc spojrzeć na twarz Rhysa.

- Pamiętam tę rozmowę, Rhys. Mówiłeś, że nigdy nie tknąłeś kobiety wbrew jej woli.

Doyle z miejsca powiedział, że dotknięcie jakiejkolwiek innej kobiety poza królową byłoby dla strażnika równoznaczne z gwałtem. Idziesz do innej kobiety i karą za to, zarówno dla ciebie, jak i dla niej, są tortury oraz śmierć.

Twarz Rhysa zbladła jeszcze bardziej niż zwykle.

Mróz powiedział:

- Nie wszyscy wojownicy sidhe z Unseelie są członkami Kruków Królowej.

Spojrzałam na niego.

- Wiem. - Miałam wrażenie, jakby coś mi umknęło. Odstąpiłam od Rhysa, aby móc spojrzeć na całą ich trójkę. - Czego tu nie rozumiem?

- Że wszystko to, o co Rhys oskarża gobliny, robili członkowie Unseelie -

wymamrotał Doyle, następnie pokręcił głową. - Muszę iść pomówić z Kuragiem. - Już miał coś dodać, ale zmytygował się, odwrócił i ruszył w stronę korytarza i ciągu sypialni.

Popatrzyłam na dwóch pozostałych mężczyzn, wciąż czując, że przerwali rozmowę przedwcześnie, jakby mieli sekrety, które zamierzali dochować aż do śmierci. Sidhe uwielbiają sekrety, ale ja byłam ich księżniczką i może któregoś dnia zostanę królową. To, że mieli przede mną tajemnice, nie było z ich strony rozsądne.

Wypuściłam powietrze i nawet mnie wydało się, że zrobiłam to ze zniecierpliwieniem.

- Rhys, powiedziałam ci kiedyś, że kultura goblinów może nie dawać ci wyboru w kwestii kontaktu seksualnego, ale dopuszczają one, by to „ofiara” ustalała zasady. Mogą domagać się stosunku, ale nie mogą narzucać, jak bardzo cię przy tym skrzywdzą.

- Wiem, wiem - powiedział, unikając mego wzroku, i jał krążyć po pokoju. - Mówiłaś mi, że gdybym wcześniej wiedział więcej o ich kulturze, nie straciłbym oka. - Spojrzał na mnie. Powrócił gniew, tym razem skierowany przeciwko mnie.

Nie miał prawa złościć się na mnie.

Rhys był całkiem rozsądny niemal pod każdym względem, z wyjątkiem tego, gdy chodziło o gobliny. Te były moimi sojusznikami jeszcze przez dwa najbliższe miesiące.

Gdyby lud Unseelie wdał się w wojnę, to mnie, a nie królową Andais, musiano by prosić o pomoc goblinów. Co więcej, przez dwa następne miesiące moi wrogowie byli wrogami goblinów. Wierzyłam, podobnie jak Doyle, Mróz i, co mi tam, również Rhys, że był to sojusz, który zmniejszał ryzyko skrytobójczych zamachów.

Byłam w trakcie negocjacji o przedłużenie sojuszu. Potrzebowaliśmy goblinów. I to bardzo. Za każdym razem, kiedy sądziłam, że Rhys przerobił już ten temat dokumentnie, okazywało się, że byłam w błędzie.

- Masz rację co do jednego, Rhys, gobliny nie traktują seksu w obrębie tej samej płci jako czegoś złego lub wstydnego. Takie masz upodobanie i kultywujesz je. Są także o wiele bardziej niż sidhe oportunistycznie biseksualne. Jeżeli mają okazję zaznać czegoś, czego dotąd nie doświadczyły

lub co może się już nie powtórzyć, chętnie z tego korzystają.

Rhys podszedł do ciągu szerokich okien, skąd rozpościerał się widok na basen.

Zaprezentował mi przy tym swój cudowny tył. Ramiona miał skrzyżowane, a barki uniesione ze złości.

- Jednak tak jak możesz negocjować, żeby nie uszkodzono twojego ciała, równie dobrze możesz negocjować w sprawach seksu z twoimi partnerami. Nawet wśród goblinów zdarzają się takie, które są zbyt heteroseksualne, by chciały zgłębiać inne opcje. Gdybyś na ten temat negocjował, żaden mężczyzna nie mógłby cię tknąć.

Mróz wykonał lekki ruch, jakby chciał podejść do Rhysa, Spojrzał na mnie nie do końca przyjaźnie.

Głos Rhysa znów skupił na nim naszą uwagę.

- Czy sprawia ci przyjemność przypominanie mi, że mój najgorszy koszmar sprowadziłem na siebie sam? Że gdybym nie był aroganckim sidhe, który nie interesował się żadnym innym ludem poza własnym, mógłbym dowiedzieć się, że wśród goblinów też mam swoje prawa. Że nawet ofiary tortur mają swoje prawa. - Odwrócił się i złość przepelniła jego jedyne oko blaskiem. Krąg błękitu, krąg zimowego nieba i jasna otoczka barwy chabrowej wokół źrenicy zaiskrzyły. Różne kolory wręcz zalśniły z wściekłości, a przez skórę zaczęło sączyć się słabe mleczne światło. Wraz z gniewem rosła jego moc.

Był taki czas, kiedy obawiałam się Rhysa, gdy wpadał w gniew. Niemniej zbyt często widywałam go w takim stanie, a co za tym idzie, nie lękałam się. Tak jak dąsy stanowiły nieodłączną część Mroza, tak złość była częścią Rhysa. Trzeba było to przyjąć i przejść nad tym do porządku dziennego.

- Wciąż jesteś arogancki, jeżeli chodzi o ich kulturę, Rhys. Zachowujesz się tak, jakby to, co ci zrobili, było niczym w porównaniu z tym, co mogłoby cię spotkać na najwyższych dworach sidhe. Gdyby tak zdecydowała Królowa Powietrza i Ciemności albo Król Światła i Iluzji, tak właśnie by się stało. A sidhe nie mają praw chroniących ofiary tortur. Po prostu jesteś brany na tortury. Gobliny mogą torturować, okaleczać i gwałcić bardziej niż sidhe, ale mają też więcej praw chroniących tych, którzy są poddawani karom. Jeżeli podpadniesz sidhe, mogą zrobić z tobą, co zechcą. Powiedz mi zatem, Rhys, która z ras jest bardziej cywilizowana?

- Nie możesz porównywać sidhe z goblinami - rzekł Mróz głosem ociekającym tą samą arogancją, która przyniosła zgubę już niejednemu sidhe. Myślę, że należąc od kilku tysięcy lat do klasy rządzącej, zapominasz, jak to jest być rządzonym.

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że wolisz świat goblinów niż nasz - powiedział Rhys i zdziwienie zastąpiło gniew na jego twarzy.

- Tego nie powiedziałam.

- A co powiedziałaś?

- Powiedziałam, że nastawienie sidhe, jakby nikt i nic nie było im równe, jest, delikatnie mówiąc, niewłaściwe. Mój ojciec mawiał, że gobliny to piechota armii sidhe. Że bez goblinów jako naszych sojuszników Unseelie zostaliby unicestwieni przez Seelie już setki lat temu.

- Gobliny i slughowie - wtrącił Rhys.

Slughowie byli istnym koszmarem dworu Unseelie. Byli tym, co najpotworniejsze i najbardziej przerażające. Wszyscy fey, czy sidhe, czy nie, obawiali się slughów. Stanowili unseelijski odpowiednik dzikiego Gonu, nie było takiego miejsca, gdzie mogłes się przed nimi ukryć. W rzadkich przypadkach trwało to lata, ale slughowie nie odpuszczali, chyba że zostali odwołani przez Królową Powietrza i Ciemności. Byli wielką, przerażającą bronią Królowej. Mówi się, że nawet

Król Taranis lęka się odgłosu skrzydeł w mroku.

- Tak, slughowie, ci z naszego rodzaju, co do których większość sidhe nie chce się przyznać, że w ogóle należą do faerie, a co dopiero że mają z nimi wspólny rodowód.

- Nie jesteśmy spokrewnieni z tymi kreaturami - rzekł Mróz

- Ich król, Sholto, jest pół-sidhe, Mróz. Widziałeś go. Jego matka była Unseelie sidhe.

- On może i tak, ale nie reszta.

Pokręciłam głową.

- Slughowie są Unseelie, Mróz, bardziej nawet niż sami sidhe. Potęgą naszego dworu polega na tym, że przyjmujemy wszystkich. Dwór Seelie odrzuca tych, którzy nie są dla niego dość dobrzy, i to właśnie od stuleci było siłą Unseelie. Przyjmujemy tych z magicznego ludu, których oni nie chcą. To różni nas od nich i myślę, że dzięki temu jesteśmy od nich lepsi.

- Czego od nas chcesz? - spytał Rhys.

Jego gniew zastąpiło zakłopotanie.

- Kurag jest jak szkolny osiłek. Dręczy cię tylko dlatego, że wywołuje u ciebie spodziewane reakcje. Gdybyś nie pokazywał mu, że się przejmujesz, te gierki zwyczajnie by go znudziły.

Rhys mocniej otulił się ramionami.

- Dla mnie to nie są gierki.

- Dla niego tak. To wspaniałe, że przezwyciężyłeś swoje odczucia na tyle, by usiąść obok mnie, kiedy zamierzam rozmawiać z goblinami, ale szczerze mówiąc, zbyt wiele czasu zmarnowałam na przejmowanie się twoimi uczuciami.

- Dobrze - powiedział. - Nie wejdę tam z tobą. Wybranek wie, że wolałbym nie widzieć jego szpetnej gęby.

- Gdy się nie pojawisz, Kurag jak zawsze zacznie o ciebie wypytywać: „Gdzież mój cudowny strażnik? Ten blady...”.

- Nie wiedziałem, że o mnie pytał.

Wzruszyłam ramionami.

- Owszem.

- Czemu mi nie powiedziałaś?

- Doyle twierdził, że to cię zdenerwuje i że nic na to nie poradzisz. - Zmniejszyłam dystans między Rhysem a mną, położyłam mu dłoń na skrzyżowanych ramionach. - Nie zgadzam się. Myślę, że jesteś silniejszy, niż przypuszcza Doyle. Wierzę, że potrafiłbyś przemóc ten ból i pomóc mi zyskać przewagę nad Kuragiem.

Spojrzał na mnie podejrzliwie.

- W jaki sposób?

Zdjęłam rękę z jego ramienia.

- Nieważne. - Odwróciłam się w stronę korytarza.

- Nie, Merry, pytam poważnie. Jak mógłbym pomóc ci w negocjacjach z... nim?

- Doyle ma rację, jeżeli zrzucę większość mego stroju kąpielowego, powinno to ułatwić negocjacje z Kuragiem. To okropny zboreźnik.

Rhys wzruszył ramionami.

- A gdzie jest miejsce dla mnie?

- Nałóż szlafrok i błysnij odrobiną tego urzekająco białego ciała, gdyby Kurag próbował być oporny. O ile zdołasz utrzymać nerwy na wodzy, twoja obecność obok mnie powinna go rozkojarzyć, nie z powodu seksu, ale dlatego, że wszystkie gobliny uwielbiają smak mięsa sidhe. Jednym z powodów, dla którego gobliny nie znoszą zawierania pokoju z sidhe, jest to, że nie mogą nas już wtedy

zjadać.

- Prosisz o zbyt wiele - rzekł Mróz.

Spojrzałam na to przystojne, aroganckie oblicze i znów pokręciłam głową.

- O nic cię nie prosiłam, Mrozie.

- Jak możesz prosić Rhysa, aby usiadł tam i pozwolił, by goblin myślał o nim jak o posiłku? To poniżej naszej godności.

- Jeśli Kurag zgodzi się przedłużyć sojusz, znajdę się poniżej wielu goblinów. - To co powiedziałam, było na swój sposób okrutne. Byłam już zmęczona wysłuchiowaniem tego, jak bardzo nie podobał im się mój plan.

Na twarzy Mroza malowała się odraza.

- Mierzi mnie sama myśl, że jakakolwiek kobieta sidhe mogłaby oddać się goblinowi.

A myśl, że księżniczka krwi i przyszła królowa mogłaby się z nim poukładać, jest dla mnie czymś kompletnie niepojętym. Nawet Królowa Andais nigdy nie zniżyła się tak bardzo, by zyskać przychyłność goblinów.

- Kitto jest pół goblinem, pół sidhe i czy tego chcecie, czy nie, sprawiłam, że przez seks uzyskał swoją moc, pełną moc sidhe. Nikt nie przypuszczał, że półkrwi goblin może być pełnoprawnym sidhe.

- Ich krew nie jest dość czysta - stwierdził Mróz.

- Mogę tego nienawidzić - powiedział Rhys - ale magia Kitta jest magią naszej krwi.

Widziałem, jak nią emanował. - Nagle wydał się przeraźliwie zmęczony. - Jak na goblina Kitto nie jest taki zły.

- Merry - szepnął Mróz i postąpił krok w moją stronę. - Merry, błagam, nie rób tego.

Nie mów, że przemienisz więcej półkrwi goblinów. Nie widziałaś ich. Niewielu z nich jest tak urodziwych jak Kitto. Większość wygląda bardziej jak goblina niż jak sidhe.

- Wiem.

- Jak zatem możesz oferować im siebie?

- Po pierwsze, chcę przedłużenia sojuszu, i to niemal za wszelką cenę. Po drugie, sidhe od stuleci wymierają, jeśli jednak Kitto może być pełnoprawnym sidhe, to może innym pół-sidhe można przywrócić pełnię ich mocy. To by oznaczało, że Dwór Unseelie stanie się silniejszy niż kiedykolwiek.

- Królowa jest bardzo podekscytowana faktem, że Merry sprowadziła do nas Kitta - zauważył Rhys. - Królowa chce, żeby Merry spróbowała przemienić w swoim łóżu innych mieszkańców.

- A co, jeśli któryś z nich zrobi ci dziecko? - zapytał Mróz. - Żaden sidhe nie zaakceptuje jako króla pół-goblina.

- W obecnej chwili poprzestanę tylko na samym zajściu w ciążę. Już od czterech miesięcy dzielę łóżę z wami wszystkimi, ale dziecka wciąż nie ma. Chyba najpierw zacznę martwić się o wygraną w tym wyścigu. Potem będę przejmować się tym, kto zasiądzie u mego boku.

- Sidhe nie zaakceptuje króla goblina. - Powiedział to z namaszczeniem, jak ostateczne stwierdzenie faktu.

- Ten plan nie podoba mi się tak jak Mrozowi albo nawet bardziej - rzekł Rhys - ale to nie o moje białe jak lilia ciało będą się toczyć negocjacje. - Wziął głęboki, drżący oddech, jakby zasysał go od samych stóp aż po czubek głowy. W końcu głosem tak spokojnym, że wypranym z wszelkich emocji, dodał: - Skoro możesz przystać na pieprzenie się z nimi, to chyba ja mogę się trochę obnażyć przed obliczem ich króla.

- Rhys! - Mróz był zszokowany tym, co przed chwilą usłyszał.

Rhys spojrzał na wyższego mężczyznę.

- Nie, Mrozie, już czas. Merry ma rację. - Popatrzył na mnie, a na jego ustach pojawił się cień nieodłącznego uśmiechu. - Jak bardzo Kurag zdezorientowałby się, gdyby zobaczył mnie zupełnie nagiego?

- Mniej więcej tak. - Przesunęłam dłońmi po wzniesieniach piersi, które ledwie mieściły się w czerwonym bikini. Przesunęłam dłonie niżej w dół żeber, przez talię do bioder. Rhys podążył głodnym wzrokiem za moimi dłońmi. Jako że był nagi, nie mógł ukryć, jak bardzo podziwiał na niego widok moich przesuwających się po ciele dłoni.

Był jednym z tych mężczyzn, którzy wydawali się mali, ale tylko wzrostem. Jego śmiech sprawił, że znów przeniosłam na niego wzrok.

- Dzięki ci, Wybranku, uwielbiam ten wyraz twarzy...

Moje policzki nie emanowały zębem, gdy uciszyłam go wzrokiem. Gdybym nie spojrzała na cudowne ciało Rhysa, to by sugerowało, że nie było warte uwagi. Moje oczy wyrażały pożądanie, które stałoby się widoczne, gdybym była bardziej człowiekiem, a mniej fey. Żar w moich oczach sprawił, że jego oblicze spoważniało, a trójkolorowe oczy zapłonęły własnym blaskiem.

Musiał odchrząknąć, żeby powiedzieć:

- Niezła dezorientacja, nie ma co. - Uśmiechnął się. - A więc ty pokazujesz cycki, a ja tyłek, tak?

Zaśmiałam się.

- Można tak powiedzieć.

Podszedł do mnie, otaksowując mnie spojrzeniem bardziej intymnym niż dotyk. Moja skóra zaczęła lekko lśnić, jakbym połknęła księżyc, który teraz delikatnie przez nią prześwitywał. Drobne włoski na moim ciele zjeżyły się i zaparło mi dech.

Miałam kłopot z koncentracją.

- Aby ujrzeć, jak twoje ciało reaguje w taki sposób na moje spojrzenie - wypuścił drżący oddech - gotów byłbym stawić czoło tysiącu gapiących się goblinów. Nic nie może się równać z widokiem gry światła pod twoją skórą.

Mój głos był zdyszany, à la Marilyn Monroe, ale nic nie mogłam na to poradzić.

- Czemu jest tak, że tylko ty jako jedyny potrafisz działać coś takiego samym spojrzeniem?

Uśmiechnął się krzywo i na moment zerknął w stronę Mroza.

- Mogłbym powiedzieć, że to dlatego, iż jestem najlepszym kochankiem, jakiego masz. - Uniósł rękę w górę, gdy Mróz postąpił krok naprzód. - Ale wolałbym później nie stawać do pojedynku.

- Wobec tego czemu? - wyszeptalam.

Uśmiech rozbawienia zniknął, zastąpiony głębszymi emocjami, inteligencją i tym wszystkim, co Rhys starannie ukrywał przez stulecia. Miesiąc temu, bardziej przez przypadek niż rozmyślnie, odzyskał moce, które odebrano mu setki lat wcześniej. Wszyscy strażnicy odzyskali utraconą magię, ale to Rhys odzyskał jej najwięcej, ponieważ najwięcej jej utracił.

Ceną dla magicznego ludu przybywającego do Stanów po tym, jak wydalono go z Europy, był zakaz walk na większą skalę pomiędzy nami. Gdybyśmy wszczęli między sobą wojnę na amerykańskiej ziemi, zostalibyśmy wygnani, a brakowało krajów, które zechciałyby nas przyjąć. Odpowiedzią, by temu przeciwdziałać, był Bezimienny: istota stworzona dzięki najbardziej nieokiełzanej magii pozostałej na obu dworach. Jednak jak w przypadku wszystkich zaklęć operujących nieokiełznaną magią, była ona nieprzewidywalna. Niektórzy sidhe stracili niewiele ze swych mocy, inni utracili je do cna. Bezimienny nie był pierwszym tego rodzaju, jaki został

stworzony przez sidhe. Chodziło o chęć pozostania w Europie po wielkiej wojnie między ludźmi a magicznym ludem. Nie trwała ona długo, ale Rhys stracił

wiele podczas pierwszego wielkiego zaklęcia. Prawie całą resztę zabrał Bezimienny. Rhys został sprowadzony z roli wielkiego bóstwa do jednego z pomniejszych sidhe. Od tego momentu nie pozwalał już, by ktokolwiek wymieniał jego dawne imię. Z szacunku wszyscy sidhe postępowali zgodnie z jego życzeniem. Teraz był po prostu Rhysem.

Miesiąc temu odzyskał siebie. Stał się kimś więcej. Mógł samym spojrzeniem sprawić, że przez moją skórę przesączało się światło. Nie byłam pewna, czy faktycznie stał

się kimś więcej pod względem magicznych mocy, czy że raczej taka była po prostu natura jego magii. Sądziłam, że prawdopodobnie to pierwsze, ponieważ był bogiem śmierci, a nie płodności. Z całą pewnością moje ciało powinno reagować bardziej na życie niż na śmierć.

Jego głos był cichy i łagodny.

- Co chciałabyś, abym uczynił?

Przez chwilę nie potrafiłam zrozumieć, o co mu chodziło.

- Co? - wydukałam.

Mróz parsknął, zdeglustowany.

- Ona jest upojona mocą. Rhys, naprawdę musisz być ostrożniejszy.

- Uplęnęło prawie siedemset lat, odkąd miałem tak wielką moc. Trochę zardzewiałem.

- Bawi cię to, jak wpływasz na księżniczkę - warknął Mróz.

Podszedł bliżej, ale zbyt wiele wysiłku kosztowałoby mnie odwrócenie głowy, aby na niego spojrzeć.

- A ciebie by nie bawiło?

- Być może, ale nie mamy na to czasu. - Poczułam silne dłonie Mroza na moich ramionach, gdy wolno odwrócił mnie ku sobie. - Znajdź szaty dla was obojga, a ja postaram się to naprawić.

Wydawało mi się, że słyszę, jak Rhys wchodzi w głąb pokoju, ale nie miałam pewności.

Byłam zbyt zajęta wpatrywaniem się w tors Mroza. Jego biała koszula była zapięta aż po zaokrąglony kołnierzyk. Wiedziałam, co się kryło pod tym starannie zapiętym materiałem.

Znałam ten muskularny tors jak własną rękę. Czułam się otępiała i oszołomiona. Nie tyle ogłupiała, co raczej ocieźzała, jakby dłoń wyciągnięta ku niemu była cięższa, niż powinna.

Schwycił moją rękę, zanim dotknęła jego torsu. Mój czerwony lakier do paznokci wydawał się jaśniejszy na tle jego białej skóry, niczym rozprysnięte kropelki krwi.

- Gdybyśmy mieli czas - mruknął cicho, niemal szeptem - obudziłbym cię z tego oszołomienia pocałunkiem, ale nie zamienię jednego rozbawienia na inne. - Nachylił się, szepcząc mi prosto w twarz: - A gdyby mój pocałunek nie miał dość mocy, by cię oszołomić, nie chciałbym tego wiedzieć.

Zaczęłam mówić coś romantycznego i głupiego, jakoby jego pocałunek zawsze był magiczny, ale jego dłoń, w miejscu gdzie dotknęła mojej, była lodowata. Cała ręka była jak lód. Gdybym miała trzeźwiejszy umysł, cofnęłabym się, zanim skończył, ale rzecz jasna, gdybym myślała rozsądnie, Mróz nie zrobiłby tego, co zrobił. Zimno przeszło moje ciało, zimno zmrażające skórę i obracające krew w lód. Zimno tak przenikliwe, że skradło mi dech, a kiedy znów mogłam oddychać, powietrze wypływające z mych ust zmieniło się w białą mgiełkę. Szarpnęłam całym ciałem, by uwolnić się z jego uścisku. Puścił mnie. Nie byłam już oszołomiona. Nie, odzyskałam trzeźwość myśli i dygotałam z zimna.

- A niech to, Mrozie, nie musiałeś mnie zamrażać - wydusiłam, szczękając zębami.

- Wybacz, księżniczko, ale tak jak Rhys, od stuleci nie dysponowałem pełnią mych mocy. Wciąż uczę się używać ich subtelniej. - Jego szare oczy były pełne śniegu, jakby źrenice zmieniły się w

szklane kule, które po potrząśnięciu wypełniają się wirującymi białymi płatkami. Prawie wszyscy inni sidhe, jakich znałam, emanowali mocą, a Mróz potrafił lśnić tak samo jak oni. Kiedy jednak przywoływał chłód, jego oczy wypełniał śnieg. Czasami sądziłam, że gdybym wpatrywała się w te szare, pełne śnieżnych płatków oczy dostatecznie długo, dostrzegłabym miniaturę krajobrazu, zobaczyłabym miejsce, w którym wziął swój początek, i czas na długo przed moim narodzeniem.

Odwrociłam wzrok. Moje nerwy były w strzępach, bo nie byłam pewna, dokąd doprowadziłyby mnie te zimowe oczy ani jakie sekrety mogłyby mi wyjawiać. W śniegu było coś, co mnie przerażało. Ot, bez przyczyny i logiki. Nie lubiłam go.

Gdybym była człowiekiem, powiedziałabym, że ten stan wywoływała u mnie obcość śniegu, ale nie byłam na to dostatecznie ludzka i Bogini mi świadkiem, że widziałam dziwniejsze rzeczy niż padający w czyichś oczach śnieg.

Już było mi cieplej. Chłód nigdy nie trwał długo, ale nie lubiłam tego. Raz, gdy się kochaliśmy, użył tego przy grze wstępnej i choć było to interesujące, nie chciałam powtórki.

Aby ukryć fakt, że jego magia deprymowała mnie w niesidhyjski sposób, powiedziałam:

- Czemu tylko magia Rhysa tak mnie bawi? - Zadając to pytanie, unikałam jego wzroku. W końcu jego oczy znów odzyskały dawną szarość.

- Żaden z nas nie stracił tyle, co Rhys, a on był ongiś równy bogom.

To sprawiło, że uniosłam wzrok. W jego oczach wciąż jeszcze coś się poruszało, ale przynajmniej znów były szare.

- Żaden z was nie mówi o tym, jak było kiedyś.

- Trudno jest mówić o tym, co utracone i czego nie da się odzyskać.

- Chcesz powiedzieć, że Rhys był potężniejszy niż którykolwiek z was wszystkich?

- Był samym Panem Śmierci. Śmierć szła za nim krok w krok, jeśli tylko tego zechciał. Kiedy był w szczytowym okresie swej świetności, Meredith, nikt nie mógł się z nami mierzyć.

- Czemu zatem Unseelie nie unicestwili Seelie?

- Rhys nie zawsze był Unseelie.

To mnie zdumiało.

- Był na dworze Seelie?

Mróz skinął głową, po czym zmarszczył brwi. Tak często powtarzał ten gest, że gdyby mogły mu się robić zmarszczki, miałby je już na czole i wokół ust. Jego twarz jednak była i na zawsze pozostanie gładka, nieskazitelna.

- Rhys stanowił odrębną potęgę. Jako władca krainy umarłych nie był ani prawdziwie Seelie, ani Unseelie. Był mile widziany na świetlistym dworze, ale pozostawał niezależny, tak jak niektórzy spośród nas. Układ dwóch dworów powstał względnie niedawno. Niegdyś dworów było więcej. Ludzie postanowili nazywać tych spośród fey, którzy byli piękni i nie czynili im szkody, Seelie. Tych, których uważali za szpetnych albo którzy ich krzywdzili, nazywali Unseelie.

- Tak jak teraz z goblinami i slughami?

- Bardziej jak z goblinami. Król slughów jest szlachcicem Dworu Unseelie. Nie są już prawdziwie oddzieleni. Król Kurag nie ma wśród nas żadnego tytułu ani żaden sidhe nie nosi tytułu na jego dworze.

Wrócił Rhys w białym szlafroku frotte, przewiązanym w talii paskiem. Sięgał mu do kostek. Gdybym ja go włożyła, ciągnąłby się za mną po podłogę. Białe włosy na tle szlafroka wydawały się ciemniejsze, taka jest różnica między bielą śniegu a kością słoniową.

Trzymał w ręku szlafrok pod kolor mojego bikini. Był czerwony i miał nie tyle zakrywać, ile podkreślać walory mojego ciała. Szlafrok był przezroczystry, a wyglądałam w nim, jakby moja skóra

była widoczna przez mgiełkę płomieni.

Rhys otaksował nas oboje wzrokiem.

- Czemu jesteście tacy poważni? Chyba pod moją nieobecność nikt nie umarł, prawda?

Pokręciłam głową.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

Wzięłam od niego szlafrok i włożyłam na siebie ten patchwork z jedwabiu i przejrzystej drapiącej koronki. Następny szlafrok, jaki sobie sprawię, będzie tylko z jedwabiu albo z satyny, w każdym razie z czegoś, co nie robi wrażenia, jakby chciało chwycić mnie za skórę przy byle poruszeniu.

- Co właściwie chcesz, abym robił, kiedy zaczniemy rozmawiać z Kuragiem? - zapytał

Rhys.

- Po prostu się pomizdrz - błysnij kawałkiem nagiego uda albo pośladka. To rzekomo dwa najlepsze rodzaje mięsa, jakie można wykroić z naszych ciał.

Rhys przekrzywił głowę w bok, jakby się zastanawiał.

- Czy nie będzie sprawiał problemu, patrząc na mięso, którego nie może skosztować?

- Będzie to dla niego pewnego rodzaju torturą i bynajmniej nie ma w tym słowie ani cienia przesady. Najgorszą rzeczą, jaką możesz zrobić goblinowi, to pokazać mu coś, czego pragnie, i nie dać mu tego. Pokazanie Kuragowi jego najgłębszych pragnień ze świadomością, że nie dane mu będzie tego skosztować, doprowadzi go do szaleństwa.

- Albo rozeźli na tyle, że zerwie negocjacje - wtrącił Mróz.

- Nie, Mrozie, gdyby udało nam się wytrącić Kuraga z równowagi, nie mógłby zerwać negocjacji. Na pewno uszanuje fakt, że udało nam się go okpić. Następnym razem spróbuje znaleźć coś innego, by nas zdekoncentrować, ale nie będzie się za to mścił. Gobliność uwielbiają dobrą walkę o dominację. Pochlebi mu, że zadaliśmy sobie tyle trudu.

- Nie rozumiem goblinów - mruknął Mróz.

- Nie musisz - odparłam. - Mój ojciec dopilnował, abym ja je zrozumiała.

Mróz spojrzał na mnie i na jego obliczu dostrzegłam coś, czego nie potrafiłam rozpoznać.

- Książę Essus wychował cię, jakby przygotowywał do roli władczyni dworów, wiedział jednak, że to nie ty, lecz Cel był prawowitym dziedzicem. Gdyby Cel spłodził choć jedno dziecko, królowa nigdy nie złożyłaby ci tej propozycji.

- To fakt.

- Jak sądzisz, dlaczego uczył cię rządzenia, skoro nie miałaś nigdy zasiąść na tronie?

- Mój ojciec był drugim w kolejności i nigdy nie miał rządzić, a jednak jego ojciec wychował go tak, jakby miał zostać władcą. Chyba wychował mnie tak, bo był to jedyny sposób, jaki znał.

- To możliwe - rzekł Mróz - a może książę Essus nie utracił wszystkich swych proroczych zdolności, kiedy reszta z nas je utraciła.

Wzruszyłam ramionami.

- Nie wiem i nie mam czasu, by się tym przejmować.

Doyle pojawił się w korytarzu.

- Kurag pragnie z tobą mówić, Meredith, ale nie jest z tego powodu zachwycony.

- Wcale na to nie liczyłam.

- Obawia się twoich wrogów - wtrącił Mróz.

- To już jest nas dwoje - odparłam.

- Troje - rzekł Rhys.

- Czworo - dorzucił Doyle.

Mróz pokręcił głową, jego włosy załśniły jak łańcuchy na choince.

- Pięcioro. Lękam się o twoje bezpieczeństwo. Jeżeli utracimy wsparcie goblinów, sojusznicy

Cela uderzą w nas.

- Wobec tego zgadzamy się - powiedziałam.

Doyle pociągnął nosem.

- Niby na co?

- Że mam odegrać rolę przystawki dla króla goblinów - odparł Rhys.

Czarne pośród czerni brwi Doyle'a uniosły się niemal do linii jego włosów.

- Chyba coś przegapiłem.

- Rhys ma mi pomóc w negocjacjach z Kuragiem - wyjaśniłam.

- Ale jak? - zaintrygował się Doyle.

Rhys zsunął szlafrok z jednego ramienia, odsłaniając nagi tors. Następnie uśmiechnął się i pospiesznie poprawił szlafrok.

Doyle uniosł ciemne brwi.

- Nie zrozum mnie źle, ale możesz okazać się przeszkodą dla naszych negocjacji z Kuragiem.

Szydził z ciebie, gdy byłeś w pełni odziany, i sprawił, że nieomal toczyłeś pianę jak wściekły pies. Skąd przypuszczenie, że zdołasz... - Szukał właściwego słowa. W końcu poprzestał na: - Skąd przypuszczenie, że zdołasz akurat dziś w spokoju znieść szyderstwa Kuraga?

- Bo dziś ja też będę szydził z niego. Merry powiedziała, że Kurag jest jak osiłek ze szkoły, i ma rację. Poza tym, skoro Merry może to zrobić, to ja także. - Znów się zaperzył.

Całe rozbawienie prysło, pozostawiając jedynie pustkę. - Choć wolałbym raczej zabijać gobliny, niż z nimi negocjować.

- Zabawne - rzekł Doyle. - Chodźmy więc i zagrajmy sobie wzajemnie na nerwach.

Doyle ruszył w głąb korytarza. Z tyłu wydawał się przeraźliwie nagi. Uświadomiłam sobie, że Kurag może chcieć pogapić się na kogoś więcej niż ja i Rhys. Zastanawiałam się, czy Doyle myślał o sobie jako o partnerze seksualnym, czy raczej o posiłku? Pewnie wszystko zależało od tego, co Kurag sądził o mężczyznach sidhe i czy wolał mięso ciemne, czy raczej jasne.

Rozdział 3

Usłyszałam głos Kitta jeszcze w korytarzu, na długo zanim weszliśmy do sypialni. Nie wyłapałam wszystkiego, co powiedział, ale ton brzmiał błagalnie, a głos, który mu odpowiedział, nie należał do Kuraga. To była królowa Creeda, małżonka Kuraga. Jego królowa. W ciągu ostatniego miesiąca skutecznie zdążyłam ją zniechęcić.

Kitto stał przed toaletką z lustrem, wyciągnięty jak struna na całe swoje metr dwadzieścia. Był jedynym mężczyzną, którego zabrałam do łóżka i od którego byłam o trzydzieści centymetrów wyższa. Nagie plecy, jakie nam prezentował, były idealnie męskie, z mocnymi barkami, szerokim torsem i wąskimi biodrami, tyle że w mniejszej skali. Z przodu wyglądał jak człowiek, ale z tyłu, gdy zdjął koszulę, widać było łuski. Były jasne i opalizujące, istna tęcza kolorów ciągnąca się w dół jego pleców po obu stronach kręgosłupa.

Wiedziałam, że sięgały aż po pośladki. Reszta jego ciała była idealnie biała niczym masa perłowa. Jego matka z Seelie została zgwałcona przez węzowego goblina w trakcie ostatniej wojny z goblinami.

Zauważyłam, że jego kręcone czarne włosy urosły tak, że sięgały do miejsca na karku, gdzie zaczynały się łuski. Niedługo trzeba go będzie ostrzyć, jeśli miał dochować goblinińskiej tradycji nierobienia niczego, co przesłaniałoby jego deformacje.

Gdy weszliśmy, mówił akurat:

- Proszę, Królowo Goblinów, nie każ mi tego robić.

Siedziała w lustrze, to nie było odbicie, sprawiała wrażenie, jakby dosłownie znajdowała się przed nami. Nie była wyższa od Kitta, włosy miała długie i czarne, ale podczas gdy jego wydawały się jedwabiste, jej były suche i sztywne, a w każdym razie takie robiły wrażenie. Na całej twarzy miała rozsianych więcej oczu, niż mogłam zliczyć. Oczy te oraz liczne ramiona wyrastające na wysokości talii przydawały jej wyglądu wielkiej pajęczycy. Uśmiech wykrzywił szerokie, bezwargie usta, odsłaniając kły, których mógłby jej pozazdrościć każdy pajak. Miała tylko dwie nogi i piersi. Gdyby było ich więcej, stanowiłaby uosobienie goblinińskiego piękna.

Widząc kobiety goblinów, zawsze się zastanawiałam, dlaczego ich mężczyźni pragnęli kobiet sidhe. Może chodziło bardziej o władzę niż o seks, jak w przypadku większości gwałtów.

Królowa Creeda przechyliła się w stronę swojej części lustra, wypełniając je tuzinami oczu i dziwnie przesuniętą w bok linią ust. Miała tam też gdzieś nos, ale wydawał się prawie niewidoczny pośród całej reszty i trzeba było nieźle się natrudzić, żeby go dostrzec.

- Zrobisz, co ci każę - wycedziła z gniewnym warkotem, którego wszyscy zaczęliśmy się obawiać.

Drobne dłonie Kitta sięgnęły szortów i zaczęły je zsuwać.

- Przestań, Kitto - powiedziałam głosem pełnym swady i rozbawienia, starając się przy tym, by grymas na mojej twarzy nie zdradził, jak bardzo nie znosiłam Creedy.

Kitto podciągnął szorty i odwrócił się do mnie; wdzięczność na jego twarzy była tak oczywista i wyraźna, że musiałam zrobić coś, aby od razu nie odwrócił się do lustra.

Przyciągnęłam go jedną ręką ku sobie, a drugą dotknęłam jego miękkich włosów. Wtuliłam jego twarz delikatnie w zagłębienie szyi i ramienia, aby nie odwrócił się i nie spojrzął na Creedę.

Gdyby zorientowała się, jak bardzo się jej bał, spustoszyłaby całą krainę, aby mieć go na swojej łasce.

- Przerwałaś nam - wysyczała.

Uśmiechnęłam się. Wiedziałam, że moja twarz jest pełna życzliwości, ciepła i energii.

Już od dziecka uczyłam się kłamać w żywe oczy, by utrzymać się przy życiu na dworach faerie. Musisz umieć łączyć twarzą, oczami, językiem całego ciała, by móc lawirować pośród skomplikowanej dworskiej polityki. Nie zawsze byłam w tym idealna, ale gobliny nie zwracały aż tak dużej uwagi na te sprawy. Prawdziwym wyzwaniem zawsze była dla mnie ciotka, Królowa Powietrza i Ciemności: ona nie przeoczyła niczego.

- Witaj, Królowo Goblinów. Wybacz, że kazałam ci czekać.

Warknęła na mnie, błyskając paszczą pełną ostrych kłów, jakby miała ich więcej, niż potrzebowała, podobnie jak było z oczami. Zastanawiałam się, czy miała kłopot z jedzeniem, skoro nie posiadała trzonowców. Nie miałam wątpliwości, że jej ukąszenie było trujące.

Podobnie zresztą jak ugryzienie Kitta, ale jego kły się chowały. Creedy nie.

Jej oblicze wyglądało jak maska wściekłości, gdy recytowała rutynową formułkę:

- Witaj, Meredith, Księżniczko Sidhe, czekanie ani trochę mi się nie dłużyło.

Doprawdy, gdybyś miała jeszcze jakieś obowiązki, Kitto i ja z pewnością znaleźlibyśmy dla siebie pasjonujące zajęcie. - Spojrzała większością oczu na Kitta. Niektóre poruszały się niezależnie, obserwując Rhysa i Doyle'a, którzy weszli ze mną do pokoju.

Uśmiechnęłam się szerzej.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Jeśli jest prawdziwym sidhe, jak twierdzisz, chcę zobaczyć go nagiego i świecącego.

Rozległ się głos kogoś znajdującego się poza zasięgiem lustra.

- Wszystkie nasze dyskusje zasadzają się na tym, że Kitto jest sidhe. A przecież są magiczne istoty, które nie rozciągają magicznego blasku podczas seksu. Takimi istotami są gobliny. - Kurag pojawił się w polu widzenia. Nie był tak wysoki jak większość sidhe, ale na pewno szerszy. Szerokością barów dorównywał wzrostowi Doyle'a. Niektóre z większych goblinów są najbardziej masywnymi pośród fey. Po spojrzeniu na królową Kurag ze swoim trojgiem oczu wydawał się wybrakowany. Jego skóra miała żółty odcień starych ran albo papieru. Cały pokryty był naroślami, brodawkami i guzami, z których każdy wśród goblinów uważany był za oznakę piękna.

Uwagę zwracała zwłaszcza wypukłość na jego prawym barku. Gobliny nazywają to wędrującym okiem, ponieważ gałka nie znajduje się na twarzy, lecz z dala od niej. Pozostałe oczy Kuraga były żółte, przechodzące w pomarańczowe, ale oko na jego ramieniu miało lawendowy odcień i było otoczone gęstymi czarnymi rzęsami. Usta miał na klatce piersiowej, nieco z boku; świetnie pasowały do tego lawendowego oka, z przepięknymi wargami i prostymi zębami, wyglądającymi prawie jak ludzkie. Para niewielkich rąk z boku na jego ciele, niedaleko oka i ust, pomachała do mnie.

Odmachałam i powiedziałam:

- Witaj, Kuragu, Królu Goblinów. Witaj także królewski bliźniaku, ciało z ciała Króla Goblinów.

Te dodatkowe części ciała stanowiły fragment pasożytniczego bliźniaka uwięzionego w ciele goblina. Usta mogły oddychać, ale nie mówić. Oczy i ręce poruszały się niezależnie od Kuraga. Kiedy byłam dzieckiem, grałam z tymi rękoma w karty, podczas gdy mój ojciec i Kurag uzgadniali interesy. Miałam szesnaście lat, kiedy wreszcie uświadomiłam sobie, że wewnątrz ciała mężczyzny uwięziona jest druga, całkiem odrębna osoba. Wtedy właśnie Kurag pokazał mi męskość, swoją i swego bliźniaka. Sądził, że dwoma penisami może mi zaimponować. Pomylił się.

Odtąd nigdy nie czułam się przy Kuragu swobodnie, Myśl o świadomej, myślącej istocie uwięzionej w ciele innego, nie mogącej mówić, robić tego, co zechce, ani nawet mieć własnych partnerów seksualnych, przepełniła mnie zgrozą, której jak dotąd nie zdołały przebić żadne inne genetyczne sztuczki wśród magicznego ludu.

Od tamtej nocy, kiedy zrozumiałam, że przydatki należą do innej osoby, witałam ich obu. O ile wiem, byłam jedyną osobą, która tak robiła.

- Witaj, Merry, Księżniczko Sidhe. - Spojrzał na swoją królową, a ta zgramoliła się z wielkiego drewnianego krzesła. Dopilnowała, by nie musiał spoglądać na nią powtórnie.

Kurag nie zawahał się podnieść na nią ręki, jeśli ociągała się z wykonywaniem jego poleceń.

Właściwie nie wahał się krzywdzić każdego, kto nie sprostał jego wymaganiom. Nawet zazwyczaj nielekające się niczego gobliny odczuwały przed nim lęk.

Usadowił się na krześle. Zaskrzypiało pod jego ciężarem. Nie chodziło o to, że Kurag był gruby - bo nie był. Po prostu był masywny.

- Rozmawialiśmy i zastanawialiśmy się nad tym cały miesiąc, ale to Creeda o tym wspomniała. Jeżeli Kitto nie jest prawdziwym sidhe, to nasze rozmowy są na darmo.

- Mówiliśmy ci, że on jest sidhe. Sidhe mogą próbować oszukiwać, ale nie wolno im kłamać wprost.

- Powiedzmy, że chcielibyśmy zobaczyć to na własne oczy. - Patrząc na niego, można było się domyślić, że był sprytniejszy, niż się wydawał, i nie do końca ulegał trawiącym go pragnieniom. W tym potężnym cielsku krył się szczwany umysł. Zazwyczaj to ukrywał, dziś jednak wydawał się dziwnie poważny, skupiony na interesach. Zastanawiałam się, co się stało, że Kurag stracił ochotę na przekomarzanki.

Omiał o to bym zapytała, lecz w porę zorientowałam się, że popełniłabym poważny błąd. Fey nie

przyznają się sobie nawzajem, że tak łatwo jest ich rozszyfrować. Po prostu tego się nie robi, zwłaszcza jeśli chodzi o króla. Nieroztropne jest informować króla, że potrafisz z niego czytać jak z otwartej księgi.

- Co chciałeś przez to powiedzieć, Kurag?

Przeniósł wzrok na Rhysa, który podszedł, by stanąć tuż przy mnie.

- Widzę naszego białego rycerza. - Zazwyczaj Rhys odpowiadał na to: „Nie jestem twoim białym rycerzem”. Dziś tylko się uśmiechnął.

Kurag zmarszczył brwi. Chyba nie spodobało mu się, że jego obelga została zignorowana. Wyciągnął wielką, żółtą rękę i jego królowa podeszła do niego. Podniósł ją jedną ręką, jakby nic nie ważyła, i posadził sobie na podołku.

- Creeda tęskni za smakiem ciała sidhe. Nie miała okazji przelecieć białego rycerza, kiedy tu był.

Raczej poczułam, niż zobaczyłam, jak Rhys sztywnieje obok mnie. Nie zdoła puścić tego płazem. Zbyt wiele od niego żądałam. Cholera.

Ale nie doceniłam Rhysa.

Usiadł na łóżku. Obejrzałam się za siebie, by ujrzeć, jak pochyła się do przodu, przez co pomiędzy rozchylonych pół szlafroka wyłonił się jego tors, biały pośród bieli niczym kawałek kości słoniowej przyobleczonej w chmurę. Oparł się piętami o spód łóżka, tak że jego szlafrok rozchylił się do połowy, nie odsłaniając zbyt wiele ciała, ale zdając się obiecywać, że jeszcze jeden drobny ruch, a oczom wszystkich ukazą się jego nogi, uda i cała reszta.

Cichy dźwięk na powrót zwrócił moją uwagę w stronę lustra. Creeda wydawała wysokie, przeciągłe, gardłowe odgłosy. Chyba miały one zabrzmieć prowokacyjnie. To był

zwierzęcy dźwięk, ale nie pochodził od żadnego zwierzęcia porośniętego futrem. W tym dźwięku było coś zdecydowanie owadziego.

- Pokażesz nam więcej? - spytał Kurag.

Rhys tylko się uśmiechnął.

Kurag przymrużył oczy. Dostrzegłam na jego obliczu pierwsze oznaki rumieńców wściekłości. W tym momencie uświadomiłam sobie, że prowokacja Rhysa może mieć nieoczekiwane przykre skutki.

Ciężką ciszę przerwało pojawienie się Doyle'a. Odstąpił od łóżka, o które się opierał, obserwując widowisko. Stał opodal Rhysa, choć u mego drugiego boku było dość miejsca.

Był skąpo odziany, nieomal nagi, ale ani Kurag, ani królowa nie próbowali z niego drwić.

Wciąż był Ciemnością Królowej albo po prostu Ciemnością. Gobliny mogły mówić, co chciały, ale bały się Ciemności podobnie jak wszyscy inni.

- Nadchodzi czas naszej podróży, Kuragu, Królu Goblinów, i musimy wiedzieć, czy odwiedzimy twój sithen. Czy księżniczka Meredith zaszczyca dwór goblinów, czy też nie?

Oparł swe smukłe czarne ciało o wezglowie łóżka. Zazwyczaj stał na baczność, ale myślę, że i on, podobnie jak Rhys, igrał z goblinami. Ramiona splótł na piersiach. Na tle jego muskularnych przedramion połyskiwały kolczyki w sutkach. Nogi skrzyżował w kostkach.

Kąpielówki były kolorystycznie tak zbliżone do barwy jego skóry, że wydawał się prawie nagi. Wiedziałam, że bardziej urzekająco wyglądał bez tej ostatniej części garderoby, ale gobliny nie miały o tym pojęcia.

Creeda znów wydała ten piskliwy dźwięk. Wyciągnęła troje rąk, jakby próbowała dotknąć Ciemności.

Kurag pociągnął jej ręce do tyłu, tuląc ją do siebie. Para jej rąk zaczęła go pieścić. To mógł być

gest zdenerwowania, a może tak poruszył ją widok mężczyzn, że pragnęła seksu. W

kulturze goblinów, jeśli pragnęła seksu, to po prostu to robiła, niezależnie, gdzie się akurat znajdowała i czym się zajmowała. Przez to rozmowy biznesowe z nimi stawały się, delikatnie mówiąc, dość dziwne.

- Udowodnij, że Kitto jest sidhe. Udowodnij ponad wszelką wątpliwość.

- Czy jeśli to udowodnimy - zapytałam - zgodzisz się na naszą propozycję?

Pokręcił wielką głową.

- Nie, ale jeśli on nie jest sidhe, to nasze rozmowy dobiegły końca.

Okazałam odrobinę zniecierpliwienia.

- Jak to, Kitto ma urządzić dla was widowisko, a my nic na tym nie zyskamy? Nic z tego.

Dłonie królowej odnalazły przez spodnie krocze Kuraga. Ten zignorował to, jakby nic się nie działo.

- Myślę, że wszystkie nasze rozmowy są na nic. Wciąż nie wydaje mi się, żeby księżniczka miała dość ikry, by uczynić to, do czego ją nakłaniasz, Ciemności.

- Do niczego jej nie nakłaniam, Kuragu. Księżniczka Meredith sama wyznacza swoje szlaki.

Kurag pokręcił głową.

- Wiem, że nie skłamałbyś wprost, ale wiem także, że kobieta zauroczona mężczyzną jest w stanie uczynić wiele i wystarczy jej tylko drobna aluzja. To nie musi być rozkaz.

Wystarczy wtrącić słówko tu i tam. - Jego wzrok na chwilę stracił ostrość, gdy król odsunął dłonie królowej od swego ciała. Wciąż usiłowała trzymać swe liczne ręce przy jego krocze.

Ścisnął jej chude ramiona niczym łądyżki bukietu kwiatów. Puściła go dopiero, gdy na twarzy pojawił się grymas bólu. Utrzymawał nacisk jeszcze przez sekundę, jakby chciał zmiażdżyć jej ręce, po czym ją puścił.

Siedziała na podolku, rozcierając jednymi rękami obolałe ramiona. Wydawała się rozdrażniona jak dziecko, któremu czegoś zabroniono. Ja byłabym wściekła. Creeda zachowywała gwałtowniejsze emocje na inne okazje.

Doyle w końcu odpowiedział:

- Nie uczyniłem nic, by przekonać księżniczkę, z wyjątkiem przypomnienia jej, że któregoś dnia zostanie królową.

- Nie jest wcale pewne, że nią zostanie. Może to Cel będzie królem.

Doyle odstał od łóżka i się wyprostował.

- Czy słyszałaś, abym kiedykolwiek stanął po stronie przegranej, jeżeli chodzi o tego rodzaju rywalizację?

Kurag wziął głęboki wdech, następnie wolno wypuścił powietrze.

- Nie - odparł bez entuzjazmu.

- Więc dość już gry na zwłokę. Zaproponowaliśmy ci uczciwy układ.

Kurag przeniósł wzrok na mnie.

- Czy Ciemność jest twoim głosem, Merry?

- Nie, ale zgadzam się ze wszystkim, co mówi, i nie widzę powodu, abym nie miała pozwolić mu się wypowiedzieć.

- A więc to on zakończy negocjacje.

Westchnęłam.

- Nie, nie o to mi chodziło i doskonale o tym wiesz. Przywrócimy twoim wojownikom pełnię ich mocy. Zastanów się nad tym, Kuragu: wojownicy goblinów z magią sidhe w żyłach.

- Są tacy, którzy boją się goblinów z taką magią - stwierdził.

- Ja nie jestem jedną z nich.

Zmarszczył brwi, po czym spojrzał na mnie. Pozwoliłam, aby chwila ciszy się przedłużała.

Dawno temu utwierdziłam się w przekonaniu, że większość ludzi nie znosi ciszy.

Odruchowo pragną ją wypełnić. Czekałam i w końcu się odezwał:

- Dlaczego się nie boisz? Magia sidhe jest tym, co powstrzymuje gobliny przed podbojem całej magicznej krainy. Dając nam ją, byśmy byli potężniejsi w boju, możesz być pewna, że nikt i nic nie zdoła nam sprostać.

- Gdyby gobliny rozpętały wojnę na amerykańskiej ziemi, wydalono by was nie tylko z Krainy Faerie, lecz z ostatniego kraju, który jeszcze chce tolerować waszą obecność. -

Pokręciłam głową. - Setki lat temu, kiedy toczyliśmy wojny między sobą, może bałabym się jeszcze, ale teraz już nie. Podoba ci się tu, Kuragu. Podoba ci się do tego stopnia, że nie zaryzykujesz utraty tego wszystkiego, zwłaszcza że twoje zwycięstwo wcale nie byłoby tak pewne.

- Są wśród sidhe tacy, którzy obawiają się powierzenia nam takiej magii.

- Wiem, lecz to nie twój problem, tylko mój.

Prawdę mówiąc, nie sądziłam, że przemienienie pół tuzina goblinów w sidhe mogłoby nadwerężyć równowagę sił. Pół-sidhe zazwyczaj nie dożywały wśród goblinów wieku młodzieńczego. Kiedy dorastamy i osiągamy moc, trudno nas zabić, jednak jako dzieci jesteśmy słabymi, delikatnymi istotami. Gobliny pochodzą z łona, które trudno zlikwidować.

Przesunął wielkimi łapskami po ciele królowej, jakby gładził psa.

- Wiele ryzykujesz, Merry.

- To moja sprawa, Kuragu. Oferuję ci szansę zyskania tego, czego goblinom odmawiano od tysięcy lat. Oferuję ci magię sidhe. Nikt inny nie może ci tego ofiarować. Od Cela tego nie dostaniesz. Tylko ja i ci, co są ze mną, mogą ci to dać.

- Dodatkowy miesiąc za każdego goblina, którego uczynisz sidhe, to za wiele.

Dodatkowy dzień.

Wychyliłam się do przodu, aby mój szlafrok trochę się rozchylił. Czerwona satyna okalała moje piersi, jakby były białymi klejnotami. Nigdy nie spróbowałabym takiego fortelu względem innego sidhe. Dla większości z nich byłam nazbyt ludzka, ale wśród goblinów mogłam uchodzić za piękność.

- Dodatkowy dzień to zniewaga, Kuragu, i dobrze o tym wiesz.

Nie odrywał wzroku od mego biustu. Oblizwał cienkie wargi wielkim, szorstkim językiem.

- Wobec tego tydzień.

Creeda pogładziła go po twarzy, wpatrując się połową swoich oczu we mnie, połową w Kuraga. Z jakiegoś powodu Królowa Goblinów zrobiła się nerwowa. Kiedyś Kurag proponował mi małżeństwo, ale myślę, że chodziło mu bardziej o magię sidhe w linii krwi goblinów aniżeli o mnie. Och, rzecz jasna Kurag przeleciałby mnie, gdybym mu na to pozwoliła, ale nie mogłam tego potraktować jako komplement. Kurag przypuszczalnie przeleciałby wszystko, gdyby tylko przytrzymano mu to na dostatecznie długo.

Usiadłam bardziej prosto i zaczęłam rozchylać poły szlafroka, udając, że jest mi gorąco.

- A dlaczego nie rok za każdego z tych, których przemienię? Tak - uniosłam wzrok znad rozwiązującego się paska przy szlafroku - tak, to by mi się spodobało. Rok za każdego z nich, włącznie z Kitem. - Rozchyliłam szlafrok, by pokazać swe wdzięki. I zaprezentować, jak mało miałam na sobie.

- Nie, rok nie. Nawet gdybyś rozebrała się dla mnie do naga, nie zgodziłbym się na rok.

Uśmiechnęłam się, sprawiając, że moje trójkolorowe oczy w dwóch odcieniach zieleni i ze złotą obwódką wyraźnie zalsniły.

- A ja nie zgodzę się na zniżenie układu do jednego dnia - mruknęłam.

Wybuchnął głębokim, donośnym, rubasznym śmiechem. Ten dźwięk zawierał w sobie całą nieskrępowaną radość, którą gobliny znają, a której od lat ewidentnie brakuje sidhe.

Spoza obrębu lustra dobiegł jeszcze inny męski śmiech. Wiedziałam, że Kurag i Creeda nie byli sami. Zastanawiałam się, komu ufali na tyle, że pozwolili uczestniczyć w naszych negocjacjach.

- Jesteś córką swego ojca, Merry. Przyznaję. Znasz swoją wartość.

Spuściłam wzrok w wyrazie udawanej skromności, bo nie chciałam, żeby wyraźnie zobaczył moją twarz. Zbyt usilnie myślałam i nie byłam pewna, czy tego po mnie nie widać.

Musiałam sprawić, żeby Kurag zgodził się na wszystko, czego chcieliśmy. Aby storpedować moje starania, wystarczyło zwyczajnie powiedzieć: nie. Musiałam zrobić coś, żeby powiedział: tak. Pytanie brzmiało, jak przezwyciężyć jego wrodzoną ostrożność względem mieszania się w sprawy sidhe. Jak mogłam przekonać go, by zgodził się na coś, czego nie chciał uczynić? Albo może bał się chcieć.

Pozwoliłam, by szlafrok opadł na podłogę.

- Ileż mogę być warta, skoro nie jesteś gotów zaprzedać ziemi i nieba, aby ujrzeć mnie naga. Gdybym naprawdę była piękna, nie powiedziałabyś tego. - Spojrzałam na niego pytająco, próbując dać mu do zrozumienia moje wątpliwości związane z sidhe.

Moja matka była zawsze moim najbardziej zajadłym krytykiem. Zaledwie parę miesięcy temu uświadomiłam sobie, że wyglądała bardziej ludzko niż ja. Była wysoka, szczupła, ale jej włosy, skóra i oczy były właśnie ludzkie. Moje nie.

Kurag wychwycił wątpliwości w moim spojrzeniu i zauważyłam, jak jego oczy mętnieją.

- Wątpisz w samą siebie. - Rzekał to prawie z trwogą. - Nigdy dotąd nie spotkałem kobiety sidhe, która nie wierzyłaby, że jest prezentem od bogów dla wszystkich mężczyzn.

- Te same kobiety mówią mi, że jestem za niska, by można mnie uznać za piękną. -

Przesunęłam dłońmi po piersiach. - Mówią, że mam za duże piersi - powiodłam rękoma w dół talii, do bioder - i że jestem zaokrąglona w miejscach, w których one nie są. - Dotknęłam dłońmi ud. Kobiety sidhe nie mają ud. Pozwoliłam, by w trakcie tego ruchu włosy przesłoniły mi oczy, tak że patrzyłam na niego jakby spoza gęstej szkarłatnej kurtyny. - Mówią, że jestem brzydka.

Poderwał się z krzesła, zrzucając swoją królową na podłogę. Ryknął:

- Kto tak mówi? Zmiażdżę im szczęki i sprawię, że zadławią się własnymi kłamstwami!

Wyraz oburzenia na jego twarzy i rozdygotany gniew - przyjęłam to za dobrą monetę.

W tym momencie zdałam sobie sprawę, że Kurag mógł mnie chcieć z innych powodów aniżeli względy praktyczne czy nadnaturalne zdolności w linii krwi. W tej krótkiej chwili pomyślałam, że może, kto wie, Król Goblinów kochał mnie na swój osobliwy sposób.

Spodziewałam się dziś wielu rzeczy, ale nie miłości.

Nie wiem dlaczego, ale nagle uświadomiłam sobie, że po mojej twarzy spływają łzy.

Czy płakałam, bo jakiś goblin zaofiarował się bronić mego honoru? Spojrzałam na Kuraga i pozwoliłam mu zobaczyć, co malowało się na mojej twarzy, w oczach i w ogóle. Bo zrozumiałam, że w dalszym ciągu nie wierzyłam, że byłam piękna. Strażnicy pragnęli mnie, gdyż beze mnie ich perspektywą był celibat. Uganiali się za mną, licząc, że któryś z nich zostanie królem. Żaden z nich nie pragnął mnie tylko przez wzgląd na mnie. Może to nieuczciwe, ale skąd miałam wiedzieć, dlaczego tak naprawdę chodzili ze mną do łóżka?

Spojrzałam na Kuraga i pojęłam, że oto mam przed sobą mężczyznę, który zna mnie od dziecka i zawsze uważał, że jestem piękna i warta tego, by stanąć w mojej obronie. Nigdy nie poszedłby ze mną do łóżka, nigdy też nie zostanie moim królem. Świadomość, że ktoś mnie adorował ze względu

na moją osobowość, wiele dla mnie znaczyła. Nie potrafiłam ująć tego w słowa, ale dałam Kuragowi odczuć, jak bardzo to doceniam i że go szanuję.

- Merry, maleńka, nie płacz. Wybranku, uchron mnie przed tym - rzekł Kurag, a jego głos, choć nadal szorstki, wydał mi się ciut łagodniejszy.

Kitto wstał z podłogi i dotknął ustami mojego policzka. Rozdwojony koniec jego języka popieścił moją skórę. Kiedy nie zaprotestowałam, polizał mnie po policzku, zlizując łzy. Gobliny uważały większość płynów ustrojowych za cenne i takie, których nie należało marnować. Zrozumiałam, co robił, ale szczerze mówiąc, w tym momencie byłam gotowa przyjąć niemal każdą bliskość, każdy dotyk. Objęłam go jedną ręką i przytuliłam, a on gorliwie zlizywał z mojej twarzy łzy.

Rhys był tuż za mną, klęczał na łóżku. Objął mnie z tyłu. A ponieważ Kitto i ja byliśmy tak blisko, musiał objąć także jego. Tylko ci, którzy byli w pokoju, rozumieli, jak wiele wysiłku kosztowało go zbliżenie się z własnej woli do Kitta. Sama świadomość, że się na to zdobył, sprawiła, że poczułam się lepiej.

- Nie rok, Merry, nawet za twoje łzy. Ani nawet za widok twojej twarzy. - Kurag wciąż stał, tak masywny, że zdawał się wypełniać całe zwierciadło. Górował nad nami po części dlatego, że lustro stało na podwyższeniu, po części zaś dlatego, że stał zbyt blisko szkła po swojej stronie.

Kitto wylizal mi już całą jedną połowę twarzy. Musiałam go lekko odwrócić i przycisnąć do siebie, gdy spróbował dosięgnąć drugiego policzka. Był mocno skrępowany pierścieniem z ramion Rhysa i mojego ciała. Spodziewałam się, że Rhys nieco rozluźni rękę, aby Kitto mógł podsunąć się do mego drugiego boku, ale tak się nie stało. Wciąż trzymał nas w miażdżącym uścisku. Gdy uświadomiłam sobie, że jesteśmy w pułapce, straciłam dech, a moje serce zabiło szybciej.

Głos, kiedy w końcu go z siebie wydobyłam, był przesycony tym przyspieszonym tętnem i nową świadomością.

- Czy moje łzy warte są miesiąca, Kuragu?

Kitto zaczął się skręcać w uścisku ramion Rhysa. Jego ciało przywierało do mojego.

Nagle usłyszałam szept Rhysa:

- Odwróć się w jego stronę.

Odwróciłam głowę i dotknął mojego drugiego policzka.

Język Kitta pieszczotliwie przesunął się po mojej skórze, jego gorący oddech omiół mój policzek. Rhys wzmógł uścisk - poczułam się jak spętana łańcuchami mięśni i tkanek.

Nie mogłam się skupić, nie mogłam myśleć.

- Pieprzenie i coś, co sprawi, że każdy goblin się przemieni - rzekł Kurag, a jego głos był cichy, gardłowy, choć pozbawiony cienia gniewu.

- Rhys, proszę, nie mogę zebrać myśli - wyszeptałam.

Rozluźnił ramiona, ale tylko tyle, by dać mi iluzję wolności. Znałam zasady, ale środek negocjacji politycznych to nieodpowiednia pora na takie gierki. Część mnie chciała powiedzieć Rhysowi, żeby nas puścił, ale inna rozkoszowała się uczuciem opasujących nas ramion, niewzruszonością jego ciała wciskającego się we mnie z tyłu i szeptem, który sprawiał, że moje włosy zaczynały falować. Wiedziałam, że niewiele rzeczy Kitto lubił

bardziej niż wydawanie rozkazów. Dzięki temu czuł się bezpiecznie. To pocieszające, ale jeżeli chodzi o mnie, nie szukałam bezpieczeństwa.

Zdołałam skupić wzrok na Kuragu, wiedziałam jednak, że moja twarz zdradziła odrobinę z tego, co czułam. Wciąż czekałam, aż Doyle zainterweniuje, przerwie to nieoczekiwane widowisko, ale odnosiłam wrażenie, jakby w pokoju byli tylko Rhys, Kitto i ja.

- Merry, pozwól, że pokażę ci, co może dla ciebie zrobić prawdziwy goblin - rzekł

Kurag. Przeniósł wzrok na Rhysa. - Pozwól mi odciąć jakiś wybrany kawałek ciała. Jeżeli zostanie to zrobione jak należy, to ciało odrośnie. Za to jestem w stanie zgodzić się prawie na wszystko.

- Nie mieszaj Kitta do negocjacji - odezwał się Rhys. Jego głos brzmiał niemal zmysłowo.

- Jest goblinem i mogę zrobić z nim, co zechcę i kiedy zechcę.

- Nie sędzę - wtrąciłam.

- Jest teraz sidhe - oznajmił Rhys tym cichym, modulowanym głosem. - Był kiedyś czyjąś zabawką, ale to się zmieniło.

- Wciąż jest tym, czym był. Nadal pragnie, by ktoś go zdominował. Nie obawiam się nikogo, kto szuka pana.

Odnalazłam w sobie głos. Zabrział prawie normalnie.

- A jednak mówisz o odcinaniu kawałka ciała komuś, kto jest jego panem. Gdzie w tym logika, Kuragu?

- Nie potrzebuję jego pozwolenia, by wziąć od Kitta to, czego chcę. Mogę wziąć wszystko, co tylko zechcę, od każdego goblina, jeżeli nie ma dość siły, by mi w tym przeszkodzić. - Wskazał na Kitta. - A on nie jest tak silny.

- Jest wiele rodzajów siły, Kuragu - powiedziałam.

Cofnął się od lustra i znów osunął się na krzesło. Pokręcił głową.

- Nie, Merry. Jest tylko jeden rodzaj siły: by brać to, czego się chce.

- I siła, by to zatrzymać - rozległ się głos spoza obrębu lustra.

Kurag zmarszczył brwi i rozejrzał się, po czym odwrócił się do mnie.

- Pozwól mi się przelecieć i posmakować białego rycerza, a zgodzę się na miesiąc za każdego goblina, którego uczynisz sidhe.

Rhys puścił mnie wolno, prawie z wahaniem. Jeżeli miał problem z dotykaniem Kitta, nie dał tego po sobie poznać. Kitto zlizął resztę łez z mojej twarzy i stał teraz, przywierając do mnie całym ciałem.

- Nie mogę pomóc ci złamać przysięgi małżeńskiej, niezależnie, jak luźno do niej podchodzisz. Zabraniają tego nasze prawa. Co się tyczy moich strażników, wszystkich moich strażników, nie są oni mięsem. - Pocałowałam Kitta w czubek głowy.

- Wobec tego umowy nie będzie. - Przez chwilę dostrzegłam zdecydowanie na jego twarzy.

Głos Doyle'a wypełnił ciszę jak dźwięk dzwonu, ten melodyjny odgłos niemal pieszczotliwie prześlizgnął się po mojej skórze.

- Byłem przy tym, kiedy gobliny pozbawiono ich magii, Kuragu. Pamiętam waszych magów. Pamiętam, że był czas, kiedy magii goblinów obawiano się tak jak ich siły fizycznej.

- A kto wyróżnął wszystkich naszych magów i więdźmy? - Znów pojawiła się nuta gniewu.

- Ja - odrzekł Doyle.

Nigdy dotąd nie słyszałam jednego słowa tak pozbawionego emocji, tak ostentacyjnie beznamiętnego.

- I to magia sidhe wyssała magię z naszych żył.

- To nie było zaklęcie Unseelie, Kuragu. Chcieliśmy wygrać wojnę, a nie unicestwić was.

- Ten łotr Taranis i jego świetlisty lud rzucili to zaklęcie. Odebrali nam magię i zatrzymali ją. Nie wierz, gdy mówi ci się inaczej, Ciemności. Ta świetlista banda hipokrytów zatrzymała to, co ukradła.

- Nie przekazałem niczego Królowi Światła i Iluzji - rzekł Doyle.

Kurag wpatrywał się w Doyle'a przez sekundę, może dwie, a potem rzekł spokojnie, mimo że dostrzegłam gniew malujący się na jego obliczu:

- Pomogłeś odebrać nam magię. Czemu miałbyś pomóc nam ją odzyskać?

- Nie twierdziłem, że w ogóle powinna być wam zabrana. Wasz lud wyrzynał nasz.

Musielismy się bronić. Gdybyście nie stracili waszej magii, mogłoby to źle rokować dla sidhe.

- Zwyciężylibyśmy i wasze świetliste tyłki należałyby do nas.

Doyle wzruszył ramionami.

- Któż wie, co może się wydarzyć na wojnie? Ale powiem jedno: możemy zaoferować wam możliwość odzyskania części odebranej magii.

- Zaśnij dla niego, Kitto - wyszeptalam.

Kitto uniósł głowę, by odnaleźć moje spojrzenie. Na jego twarzy malowała się powaga, jakby nie zamierzał spełnić mojej prośby. Chciałam zapytać, dlaczego się waha, ale nie mogłam tego zrobić przy Kuragu, bo nie wiedziałam, jak odpowie Kitto. Dawno już nauczyłam się, że w trakcie negocjacji nie wolno zadawać pytań, na które nie znasz odpowiedzi. Bo zwykle odpowiedź będzie dla ciebie bolesna.

Kitto odparł szeptem:

- Boję się.

Wtedy zrozumiałam. Gniew, pożądanie, wszelkiego rodzaju emocje mogły sprawić, że magia uaktywni się, ale strach, co niezwykle, potrafił to stłumić. Wszystko zależało od rodzaju lęku. Jeżeli był to otepiający, przyprawiający o panikę rodzaj zgrozy, nie było mowy o osiągnięciu odpowiedniego skupienia. Rzecz jasna, odrobina strachu mogła pomóc wydobyć to z siebie, a niekiedy nawet najbardziej przejmujące lęki mogły ujawnić tkwiące w człowieku najpotężniejsze moce. Niemniej jednak, zwłaszcza na początku, gdy magia jest nowa, nie sposób stwierdzić, jaki efekt wywoła strach.

Kitto nie potrafił wydobyć z siebie magii, bo śmiertelnie bał się Kuraga i Creedy. Był zbyt przerażony, by normalnie myśleć, a co dopiero sięgać po magię.

Ujęłam jego twarz w dłoń.

- Rozumiem. - Spojrzałam przez ramię na Rhysa i westchnęłam.

Rhys jak dotąd odwalił kawał dobrej roboty, ale ten długi, wysilony uścisk był jedynym fizycznym kontaktem z Kitem, na jaki potrafił się zdobyć. Nie mogłam prosić Rhysa o pomoc przy grze wstępnej z Kitem. Tego byłoby już za wiele. Mój biały rycerz, jak to ujął Kurag, wypełnił swe obowiązki na dzisiaj.

Wciąż trzymając go obiema dłońmi za twarz, wycisnęłam delikatny pocałunek na ustach Kitta.

- Co to ma być? - spytał Kurag.

Uniosłam głowę, żeby mógł zobaczyć moją twarz.

- Chcę, by Kitto przywołał swoją magię, ale za bardzo się ciebie boi.

- Co goblinom po tak delikatnej magii?

- Na samym początku możesz niekiedy potrzebować pomocy przy jej przywołaniu.

- Jak z każdą inną bronią, Kuragu - dodał Doyle. - Ktoś niewprawny w mieczu może zawahać się w boju albo nie być pewnym, gdzie powinien uderzyć.

Zmarszczył brwi, sadowiąc się na swoim wielkim krześle, jakby stało się nagle niewygodne.

- Nie param się magią, ale skoro mówisz, że to jest ich broń, więc niech tak będzie. -

Po wyrazie jego twarzy zorientowałam się, że zrozumiał, o co nam chodziło.

Creeda znów pojawiła się w obrębie lustra. Kurag podniósł ją jakby od niechcienia, jak ulubione zwierzątko, które domagało się, by wziąć je na kolana.

- Zażnij dla nas, księżniczko. Zażnij dla nas - rzekła z przejściem Creeda tym dziwnie świszczącym, wysokim głosem.

Kurag dał jej kuksańca w bok. Wywróciła oczami i spojrzała na niego.

- No co? Chciałeś, żeby ten mały pokazał, jak błyszczy.

Patrząc na Kuraga, który toczył zażarty bój, aby zachować niewzruszony wyraz twarzy, zrozumiałam, że to, by Creeda miała możliwość zabawić się kosztem Kitta, to jedno, ale włączenie mnie do gry to już całkiem coś innego. W tym momencie pojęłam dwie rzeczy.

Po pierwsze, miałam przewagę nad Kuragiem we wszystkich negocjacjach, po drugie, inne gobliny z pewnością to dostrzegą, o ile jeszcze tego nie zauważyły, i uznają za przejaw słabości. Gobliny nie miały monarchii dziedzicznej. Królem zostawałeś, ponieważ byłeś dostatecznie silny, by zabić swojego poprzednika. Żaden Król Goblinów nigdy nie umarł

spokojnie we śnie. Wszyscy bali się Kuraga, gdyby jednak odkryli jedną słabość, uznaliby, że są też inne. Gobliny, jak rekiny, potrafiły wyczuć krew.

- Czy resztę z nas ominie przedstawienie? Znów ten męski głos spoza obrębu lustra.

Kurag spojrzał gniewnie w stronę tego niewidocznego kogoś.

- Księżniczka nie urządza żadnych występów. - Odwrócił się do mnie. - A może coś się zmieniło, odkąd masz swój harem? - Wysilił się, by gniewem zatuszować to, co naprawdę myślał. Wyraz oburzenia na jego twarzy prezentował się całkiem przekonująco.

- Aby złagodzić lęki Kitta, zamierzam go popieścić.

Spoza obrębu lustra dobiegły podniesione głosy i okrzyki. To były męskie głosy przywodzące na myśl dźwięki rozlegające się w większości pubów w sobotnie wieczory.

Kurag zignorował je nie bez wysiłku, co widać było po ułożeniu jego ramion i sposobie, w jaki zaciskał dłonie. Jego królowa sprężyła się, jakby szykowała się do uskoczenia w bezpieczne miejsce.

- To nie będzie żadne wielkie widowisko z punktu widzenia goblinów ani nawet Unseelie, ale ukoję jego lęki i otworzę go na jego magię.

- Widziałem, jak on lśni, Merry. Wierzę, że jest sidhe. Wierzę, że ma w sobie magię.

Ale nie taką, która mogłaby okazać się przydatna na polu bitwy. A to jedyna magia, jakiej nam potrzeba.

- Możesz tak powiedzieć, Kuragu - rzekł Doyle - ponieważ gobliny nigdy nie znały magii innego rodzaju.

- Mówię tak, bo to prawda. - Jego oczy były bardziej pomarańczowe niż żółte, zabarwione wściekłością.

- Czy chcesz ujrzeć, jak lśni magią, która może być twoja, Kuragu? - spytałam i nieznacznie zniżyłam głos.

Pociągałam go i przyznaję, że wykorzystywałam ten fakt. Gdyby udało nam się pozyskać gobliny jako niemal stałych sojuszników, moglibyśmy utrzymać na dystans większość naszych wrogów. Dla życia tych, którzy byli mi drodzy, dla przyszłości samego Dworu Unseelie mogłam trochę pomanipulować królem.

Pokiwał głową z lekkim wahaniem. Creeda klasnęła w swe liczne dłonie, te, które miała do pary, i zaczęła podskakiwać jak dziecko na jego podółku.

Spojrzałam na Kitta. Spytałam go wzrokiem, czy jest gotowy. Wyszeptał:

- Tak.

Pocałowałam go delikatnie w usta, nie w formie gry wstępnej, ale jako podziękowanie i przeprosiny za zmuszenie do czegoś, na co nie miał ochoty. Wyczułam w jego ciele wahanie i poczułam się rozdartą. Znałam Kitta dostatecznie dobrze, by w miarę szybko go przekonać, gdybym

jednak zrobiła to na oczach goblinów, one także wiedziałyby, jak to się robi.

Wiedziała, jak sprawić, by Kitto załśnił, bo byłem jego kochanką i przyjaciółką. Gdybym nieco zwolniła tempo i zrobiła kilka rzeczy, maskując dotykiem to, co naprawdę lubił, Creeda nie miałaby klucza do jego ciała. To co prawda potrwa trochę dłużej, ale nie chciałam, by Creeda go dręczyła. Byłam gotowa uczynić wszystko, co w mojej mocy, aby Creeda nigdy nie dostała go w swoje ręce, aczkolwiek wiedziałam zbyt wiele na temat polityki dworskiej, aby mieć pewność, że zdołam zapewnić mu bezpieczeństwo. Nie jest łatwo odmówić królowej, jakiegokolwiek królowej.

Podjęłam decyzję i wzięłam Kitta w ramiona.

Rozdział 4

Przycupnęłam na skraju łóżka. Kitto siedział na mnie okrakiem. Jego szorty opinały ciasno zaokrąglone pośladki, a ja delectowałam się ich dotykiem. Siedział na moim podółku, podczas gdy ja ustami badałam jego twarz, szyję i ramiona. Delikatnie ugryzłam go w bark.

Zadrzał. Nawet przez materiał poczułam, że sztywnieje. Jedną rękę trzymałam na jego pośladku, by nie spadł, drugą natomiast zaczęłam wodzić po jego plecach. Bawiłam się tęczowymi łuskami na jego grzbiecie i odnalazłam linię gołej skóry ciągnącą się wzdłuż kręgosłupa. Przesunęłam po niej koniuszkiem palca, a Kitto znów zadygotał. Biorąc gwałtowny wdech, odchylił głowę i zbliżył twarz do mojej, oczy miał zamknięte, usta na w pół rozchylone. Wciąż jednak nie łśnił.

Był piękny, kiedy tak siedział na moim podółku, ale to tylko magia nagiej skóry i rozkosznego ciała, pomyślałam.

Nie załśnił mocą.

- Niech załśni! Niech załśni! - zawołała Creeda ponagłajaco.

Na dźwięk jej głosu Kitto skulił się w sobie i równocześnie się skurczył, wtulając głowę w ramiona, a nacisk jego męskości na mój brzuch zelżał. Zupełnie jakby jej głos przypomniawszy mu coś wyjątkowo nieprzyjemnego. Gobliny nie postrzegają przysięgi małżeńskiej tak jak my i oboje partnerzy pozwalają sobie na pewnego rodzaju swobodę.

Dziecko zrodzone z jakiegokolwiek związku jest wychowywane przez parę małżeńską jak ich własne. Nie ma poczucia wstydu czy uważania się za rogowca. Może właśnie dlatego monarchia nie była dziedziczna. Tak czy owak, nie wiedziałam, że Kitto był kiedykolwiek pupilem Creedy.

- Cicho, Creeda - rzekł Kurag. Ale już było za późno.

Kitto oplótł mnie nogami w talii jak dziecko pragnące pocieszenia. Przywarł do mnie i wtulił twarz w moje ramię.

Spojrzałam na Kuraga.

- Nie wiedziałam, że twoja żona znała Kitta tak dobrze.

- Nie znała.

Poklepałam Kitta po plecach. Nie byłam pewna, czy mu uwierzyłam, ale dlaczego miałby kłamać?

- Wobec tego nie rozumiem, skąd u niego to przerażenie.

- Creeda, jak większość naszych kobiet, pragnie skosztować goblina, który jest również sidhe. Będzie mógł wybierać w kobietach podczas bankietu. - Kurag nie wydawał się z tego powodu uszczęśliwiony i nie bardzo wiedziałam dlaczego, ale nie miało to większego znaczenia.

- Gobliny mogą zgwałcić wroga albo więźnia, ale nie gwałcą się między sobą - powiedziałam.

Kurag spojrzał nade mną na Rhysa.

- Twój błąd książę wie, co robimy z więźniami. - Uśmiechnął się lubieżnie, jakby ucieszył się z powrotu na znajomy grunt. Lubiał drażnić Rhysa.

Ten poruszył się na łóżku. Podczas sceny z Kitem kompletnie znieruchomiał.

- Wiem, że byłem głupcem, Kuragu. Księżniczka powiedziała mi, że mogłem zaoszczędzić sobie wiele bólu, gdybym wiedział, o co mogę poprosić.

Uśmiezek Kuraga przerodził się w posępny grymas.

- Sidhe przyznający, że jest głupcem, to istny cud.

Obejrzałam się przez ramię, by zobaczyć, jak Rhys kiwa głową.

- Jesteśmy arogancką rasą, ale niektórzy z nas umieją uczyć się na błędach.

- A czego ty się nauczyłeś, blady księżę?

- Tego, że zanim pojawimy się na jakimkolwiek bankiecie na twoim dworze, jasno ustalimy, co może, a co nie może nas tam spotkać. I to dotyczyć będzie wszystkich, także Kitta.

- To rzeczywiście arogancja - rzucił Kurag. - Żaden sidhe nie może odmawiać goblinowi dostępu do innego goblina.

- Jeśli Kitto nie będzie chciał być z żadną z tych kobiet, wystarczy, że powie: nie - dodałam.

- Posmakuję go - rzekła Creeda.

- Nie, jeżeli odmówi.

- Będę go mieć - naciskała, zbliżając się do szkła.

Kitto wtulił się we mnie.

- Kontroluj swoją królową, Kuragu - powiedziałam.

- Dlaczego, jest jedną z setek, które mają te same pragnienia, Merry.

Przytuliłam do siebie Kitta.

- Może nie przeżyć uwagi ze strony setek waszych kobiet.

Kurag wzruszył ramionami.

- Jesteśmy nieśmiertelni. Takie rzeczy same się leczą.

Pokręciłam głową, ale to Rhys odpowiedział:

- Nie, mowy nie ma, żebyśmy oddali Kitta, wiedząc, co ma go spotkać.

- Jest mój - warknął gniewnie Kurag. - Dałem go Merry, ale w dalszym ciągu należy do mnie. Jestem jego królem i to ja decyduję o jego losie.

- Kuragu - podjęłam, a gdy spojrzał na mnie prawie pomarańczowymi oczami, niespiesznie kontynuowałam: - Znam wasze prawa. Nie gwałćcie swoich, chyba że złamią jakieś prawo i uznacie to za karę adekwatną do przewinienia.

- Jest jeden wyjątek od reguły, Merry.

Chyba musiałam wyglądać na zakłopotaną i tak też się czułam.

- Nic mi nie wiadomo o jakichkolwiek wyjątkach od tej reguły.

A w duchu pomyślałam: „Tyle tylko, że odmowa panującemu władcy zawsze bywa niebezpieczna”.

- Sądziłem, że twój ojciec wpoił ci nasze zasady.

- Też tak myślałam - odrzekłam - ale wy nie wymuszacie stosunków między sobą. Nie ma takiej potrzeby. Zawsze w pobliżu jest chętny partner.

- Jeżeli jednak ktoś z naszych zaprzeda swoje ciało za schronienie i bezpieczeństwo, rezygnuje z prawa odmawiania go innym. Tylko protektor może decydować, kto może go tknąć, a kto nie.

Wciąż miałam posępną minę.

Kurag westchnął.

- Merry, czy nie zastanawia cię, skąd miałem pewność, że Kitto pójdzie z tobą i zrobi, co zechcesz?

Zamyśliłam się na chwilę, po czym odparłam:

- Nie, gdyby nasza królowa nakazała jednemu ze strażników, aby poszedł ze mną i robił, co mu nakazę, tak właśnie by uczynił. Nie takie jest nasze prawo, ale odmowa wykonania polecenia królowej jest szkodliwa dla zdrowia. Domyślałam się, że wśród waszego ludu sytuacja wygląda podobnie.

- Dałam ci Kitta, bo wiedziałem, że jego protektor się nim znudził. Jesteśmy twardym ludem, Merry, ale nie chciałem oglądać, jak Kitto zostaje rozdarty na strzępy, a tak by się stało, gdyby nie znalazł kogoś, kto zechciałby go przygarnąć. Dobry król czuwa nad całym swoim ludem.

Skinęłam głowę. Kurag był prosty, wręcz prymitywny, nierzadko popędliwy, ale nikt nie mógł zarzucić mu, że nie dbał o swój lud, cały swój lud. To jeden z powodów, dla których nigdy nie rzucono mu naprawdę poważnego wyzwania. Był twardy i surowy, ale uczciwy.

Połowa jego poddanych bała się go, a druga połowa kochała, ponieważ zapewniał im bezpieczeństwo.

- Nie wiedziałam, że jakikolwiek goblin potrzebował tego rodzaju ochrony - powiedziałam. Kitto znieruchomiał tuż przy mnie i czułam wyraźnie woń jego strachu. Strachu przed tym, co mogłam o nim pomyśleć.

- Los pół-sidhe pośród nas nie jest najpiękniejszy, Merry. Większość umiera młodo, zanim jeszcze osiąga słynną magię sidhe. Jednak wielu pragnęłoby mieć w swoim łóżku sidhe. Wielu z twoich mieszkańców kupczy ciałem w zamian za bezpieczeństwo.

Mówił o prostytutce, koncepcji wśród fey nieznannej, przynajmniej w Krainie Faerie.

Cóż, wygnaniec musiał z czegoś żyć i byli tacy, którzy nawet nieźle sobie radzili. Ale także wówczas był to przede wszystkim sposób, aby się zabawić po naszymu. Jesteśmy lubieżnym, rozwiązłym ludem i seks dla niektórych z nas to tylko seks. Żadnych zobowiązań, czysta przyjemność. Gobliny nie mają nawet określenia na prostytutkę. Dla ich społeczności bardziej obce pojęcia byłyby raczej niewyobrażalne.

- Ale przecież seks jest dla goblinów czymś nieodłącznym. Czy większość z nich nie uważa, że jeden partner seksualny jest równie dobry jak każdy inny?

Kurag wzruszył ramionami.

- Wszystkie gobliny są żarłocznymi kochankami, Merry, ale to dodanie bardziej delikatnego mięsa do naszego spowodowało pojawienie się zaprzedańców. Tych, którzy nie potrafią ochronić samych siebie i nie mają do zaoferowania żadnych innych umiejętności. Nie są rzemieślnikami, niczego nie wytwarzają ani nie sprzedają. Potrafią tylko jedno, pozwalamy więc, by wymienili ten talent na to, czego potrzebują. - Nie wyglądał na zadowolonego, jakby to go w jakiś sposób uraziło, skalało ideę tego, jak powinien wyglądać świat. -

Pozabijalibyśmy tych słabeuszy, ale gdy udało im się znaleźć schronienie u silniejszych, potrafiących zapewnić im bezpieczeństwo, musieliśmy pozwolić im żyć.

- Nie może być pośród was wielu takich - powiedziałam.

- Nie, ale prawie wszyscy pochodzą od sidhe. - Spojrzał w bok, poza lustro. - Choć nie wszyscy pochodzący od sidhe są słabeuszami. - Zrobił lekki ruch i w obrębie zwierciadła pojawiło się dwóch mężczyzn. Na pierwszy rzut oka nie odróżniłabym ich od sidhe, sidhe Seelie. Obaj byli wysocy, szczupli, o długich jasnych włosach, przystojni, jak niekiedy bywają sidhe, z pełnymi, mięsistymi ustami i linią od policzka do podbródka, co przypominało mi Mroza. Ich skóra miała ten delikatny złocisty odcień, za sprawą którego na Dworze Seelie nazywają ją wyczałowaną słońcem. Wśród nich to prawdziwa rzadkość, wśród nas zaś w ogóle nie występuje. Jednak gdy przyjrzeć im się uważniej, można było dostrzec oczy za duże jak na te twarze, podłużne jak u Kitta, jednolitej barwy, bez białek,

tylko ciemny krąg źrenicy zatopionej w morzu zieleni u jednego i czerwieni u drugiego. Ta zieleń miała odcień letniej trawy. Czerwień zaś była w odcieniu owoców ostrokrzewu zimą. Byli też masywniejsi niż sidhe, jakby ćwiczyli na siłowni albo może genetyka goblinów pozwalała im na osiągnięcie większej masy mięśniowej.

- To jest Holly, a to Ash. Bliźnięta pozostawione na progu naszego dworu przez jakąś kobietę Seelie po ostatniej wielkiej wojnie. Budzą wśród nas lęk. - W przypadku Króla Goblinów taki wstęp był przejawem najwyższego uznania i szacunku dla wojownika goblinów - i sądzę również, że czymś w rodzaju ostrzeżenia dla nas.

Ten z czerwonymi oczami łypnął na nas spode łba. Zielonooki przyglądał się bardziej beznamiętnie, jakby nie zdecydował jeszcze, czy powinien nas nienawidzić. Jego brat już podjął decyzję.

- Witajcie, Holly i Ash, którzy jesteście jednymi z najznamienitszych wojowników Kuraga - powiedziałam.

- Witaj, Meredith, Księżniczko Sidhe, posiadaczko dłoni ciała - odpowiedział Zielonooki. - Jestem Ash. - Głos miał przyjaźnie bezosobowy.

Brat odwrócił się do niego i wyglądał, jakby otrzymał niespodziewany cios.

- Nie kłaniaj się jej. Jest dla nas nikim. Ani królową, ani księżniczką, nikim.

Kurag zerwał się z krzesła i prawie dopadł Holly'ego, zanim ten zdążył zareagować.

Holly oparł tylko dłoń na rękojeści noża przy pasie i się zawahał. Gdyby dobył noża, Kurag potraktowałby to jak śmiertelną zniewagę i rozpoczęłaby się walka na śmierć. Gdyby tylko wyciągnął nóż, wybór należałby do Kuraga. Zdążyłam jeszcze dostrzec zakłopotanie na jego twarzy, a potem ręka Kuraga zmieniła się w rozmytą plamę i młodszy goblin wylądował na podłodze obok krzesła. Krew rozbłysła w świetle niczym karmazynowe klejnoty rozsypane na jego złotej skórze. Krew była niemal tego samego koloru co jego oczy.

- Ja tu jestem królem, Holly, i dopóki nie będziesz na tyle mocarnym goblinem, by powiedzieć inaczej, moje słowo stanowi prawo.

Holly wytarł rękawem okrwawiony podbródek, następnie rzekł:

- Nie jesteśmy zaprzedańcami. Nie złamaliśmy żadnego z naszych praw, byś mógł wysłać nas do jej łóżka, do czyjegokolwiek łóżka. Nie potrzeba nam protektorów naszych ciał. - Zakasłał i splunął krwią na podłogę. To była wśród goblinów jawna zniewaga, marnowanie krwi. Powinien był ją wypić. - Udowodniliśmy, że jesteśmy przede wszystkim goblinami, a nie sidhe, a ty mimo wszystko jesteś gotów oddać nas tej bladej sidhe. Nie zasłużyliśmy na to.

Kurag przesunął się naprzód jakby w zwolnionym tempie. Wydawało się, że jego mięśnie toczą między sobą zacięty bój. Chciał rozerwać Holly'ego na strzępy, miał to wymalowane na twarzy. Patrzyliśmy, jak próbuje okiełznać swój gniew.

Ash wykonał drobny ruch. Nie byłam pewna, co zrobił, ale zwrócił na siebie uwagę.

Nóż wciąż miał w pochwie przy pasie, ale mimo wszystko coś zrobił.

Doyle zawołał:

- Kuragu, to będzie dostatecznie trudne bez niechętnych partnerów do łóżka!

Kurag uniósł wzrok i spojrzał na nas.

- Są za młodzi, Ciemności, nie pamiętają, czym byliśmy. Gdyby Holly rozumiał, czym kiedyś byliśmy, czym znów moglibyśmy być, przystałby na to z ochotą.

- Czy większość z was to pół-sidhe z ostatniej wojny?

Kurag pokiwał głową.

- Prawie wszyscy starzy już nie żyją. A z tych, którzy wytrwali, uczyniliśmy zaprzedańców.

- My nigdy nimi nie byliśmy - oznajmił Holly.

Ash stał, prawie uśmiechając się za plecami Kuraga, ale jedną rękę trzymał podejrzenie blisko ciała. Creeda znajdowała się za tronem i dostrzegłam błysk ostrza trzymanego w jednej z jej licznych rąk, nie miała jednak żadnej broni w rękach od strony Asha. Czy dobył noża?

Cokolwiek zrobił, Creedzie to się nie spodobało. Prawdę mówiąc, mnie również.

- Dość tego, Kuragu - powiedziałam. - Nie zamierzam nikogo przymuszać do niczego.

Jeżeli Holly nie chce być sidhe, to jej sprawa.

- Ale ja chcę być sidhe - powiedział Ash swobodnym tonem, do którego pasował jego nonszalancki uśmiech i który sprawiał, że jego zielone oczy wydawały się puste i przyjemne.

Był urodzonym politykiem. Jego uśmiech poszerzył się, ale nie wiedzieć czemu stał się również smutny. - Mój brat i ja aż do teraz zawsze we wszystkim się zgadzaliśmy. Skoro będę sidhe, to i mój brat również.

Creeda była na tyle blisko, że niemal na pewno widziała, co chował w dłoni. Uniósł rękę, by wszyscy mogli ją zobaczyć. Creeda sprężyła się. Wyczułam, że Doyle i Rhys także zamarli w napięciu. Dłoń Asha była pusta. Niemniej jednak mogłam założyć się, że jeszcze przed chwilą coś w niej trzymał.

- Pójdź przeto i zostań sidhe, Ashu - odezwałam się. - Czemu jednak przymuszasz brata, skoro tego nie chce?

- Bo chcę - odparł Ash i uśmiech na jego twarzy zastąpił wyraz arogancji, którą widywałam wyłącznie u sidhe. O tak, Ash był jednym z nas. Przetrwał wśród goblinów, ale należał do nas.

Holly zdążył się podnieść i stał teraz oddzielony od Kuraga masywnym krzesłem. Nie widziałam jego twarzy, ale słyszałam głos, w którym pobrzmiwał strach albo jakaś inna silna emocja.

- Bracie, nie rób nam tego. Nie potrzeba nam świetlistych. Jesteśmy goblinami i tak jest lepiej.

Ash pokręcił głową.

- Przetrwaliśmy wspólnie, Holly, i nadal musimy być wytrwali. Słyszałem opowieści naszych bajarzy. Miałem okazję ujrzeć przebłyski tego, czym byliśmy, i wspólnie, ja i ty, przywrócimy goblinom tę minioną chwałę. - Podszedł do brata, omijając Creedę, jakby jej tam nie było. Syknęła. Ostrze w jej dłoni błysnęło srebrzyście, ale schowała je do pochwy, która znikła w gąszczu jej ramion.

Podszedł do Holly'ego i położył mu rękę na ramieniu.

- Będę stał u twego boku we wszystkich sytuacjach, nawet gdy przyprawisz o gniew naszego króla, ale nie pozwolę, abyś nas zabił, kiedy mamy szansę okryć gobliny chwałą, jakiej nie zaznały od ponad dwóch tysięcy lat. - W tych słowach kryło się zawołane zapewnienie, że nie pozwoliłby Kuragowi zabić Holly'ego, że prędzej wbiłby królowi nóż w plecy, niż do tego dopuścił.

Holly wskazał ręką w naszą stronę. Jego spojrzenie ociekało jadem i nienawiścią.

- Zostawili nas, byśmy pomarli. Jak możesz teraz iść z nimi do łóżka?

Ash schwycił brata za ramię, wpijając palce w ciało tak głęboko, że było to widać nawet z daleka. Potrząsnął nim trochę.

- Sidhe nic dla nas nie zrobili. Żaden z nich nie jest nam matką ni ojcem.

- Skąd ta pewność?

- Spójrz na nich, Holly, popatrz na nich inaczej niż z nienawiścią. - Odwrócił brata w naszą stronę, a wyraz jego twarzy, mieszanina bólu i gniewu, były wręcz porażający. - Nie ma wśród nich nikogo o złocistej skórze i włosach. To sidhe Unseelie, a oni nic dla nas nie uczynili.

Holly wyglądał, jakby miał się rozplakać. Nigdy dotąd nie widziałam u goblina podobnego grymasu. Kitto płakał, ale to przecież Kitto. Przestał być dla mnie goblinem. Co innego Holly. Niezależnie jak bardzo przypominał sidhe, dla mnie był przede wszystkim goblinem. Genetycznie był pół-sidhe, ale jeżeli chodziło o kulturę i moralność, pozostawał goblinem. I właśnie tak zamierzałam go traktować.

- Nie wierzę, że ten goblin potrafi zajaśnieć jak sidhe - rzekł Holly uporczywie głosem pełnym gniewu i złości.

- Spraw, by zalsnił, Merry - rzekł Kurag. - Trzeba go przekonać.

- Jeżeli dasz nam gwarancję, że Kitto nie stanie się pokarmem dla goblinów, sprawię, że zalsni dla ciebie. Bez tej gwarancji obawiam się, że jego strach może temu zapobiec.

Kitto zadygotał. Odwrócił lekko głowę, by móc znów zerknąć w lustro, ale przywierał do mnie kurczowo, jakby obawiał się, że porwie go niewidzialna fala.

- Nie - rzekł Holly, uwalniając się z uścisku brata. - Nie, jeżeli on otrzyma list żelazny, wszyscy zaprzedańcy będą tego chcieli. - Pokręcił głową, a jego jasne włosy zafalowały.

- Z przykrością muszę stwierdzić, Merry, że zgadzam się z Hollym. Jeżeli jeden to uzyska, znajdziemy się na równi pochyłej.

Spojrzałam na nich, marszcząc brwi, po czym mruknęłam:

- Jestem jego kochanką. Czy to mnie czyni jego protektorem?

Kurag wyglądał, jakby nie wiedział, co ma powiedzieć.

Ash pokręcił głową:

- Ona nie zdaje sobie sprawy, o co prosi powiedział.

Kurag przeniósł wzrok na Doyle'a.

- Ciemności, księżniczka jest sidhe, ale nie jest tobą ani nawet bladym księciem. Nie ma dość silnego ramienia, by przeciwstawić się wszystkim goblinom, które będą chciały skosztować Kitta.

- Przemówiła - zaproponował Holly. - Jest jego protektorem, niechaj tak zostanie.

- Tak - zgodziła się Creeda - niechaj będę pierwszą, z którą się zmierzy, kiedy się tu zjawi. Będę mieć Kitta, a jeśli aby to osiągnąć, będę musiała poszatkować to czyste ciało, tym lepiej.

Zrozumiałam, że pospieszyłam się z oświadczeniem, ale nie wiedziałam, jak mogłabym cofnąć moje słowa.

- Nie sprowadzimy księżniczki na wasz dwór, jeżeli miałyby przez całą noc staczać pojedynki - rzekł Doyle. - Gdyby tak się stało, byłiby z nas marni ochroniarze.

- Holly ma rację. Jeżeli zagwarantuję Kittowi bezpieczeństwo, to inni jemu podobni zapragną tego samego. Jesteśmy bardziej demokratycznym ludem niż wy i rządzą bardziej dzięki głosowi ludu niż jakikolwiek władca sidhe. - Wzruszył masywnymi ramionami. - U

nas to się sprawdza, ale Merry nie jest goblinem. Nie przeżyłaby nocy.

- Czy sidhe są aż tak kruchymi istotami? - spytał Holly pogardliwie.

- Nie zmuszaj mnie, bym znów dał ci kuksańca - warknął Kurag.

- Jestem śmiertelniczką - oznajmiłam.

Na twarzy Holly'ego odmalowało się zdziwienie, ale to Ash przemówił:

- Sądziłeś, że to tylko plugawe plotki rozpuszczane przez twoich wrogów. A więc naprawdę jesteś śmiertelniczką?

Przytaknęłam.

Ash nie krył konsternacji

- Wobec tego zginiesz, broniąc zaprzedańców.

Rhys podszedł do mnie z tyłu, obejmując ramionami również Kitta. Oparł podbródek o czubek

mojej głowy, ale dłońmi błędził po plecach niższego mężczyzny.

- Jesteśmy jego protektorami - rzekł Rhys. Głos miał wyraźny, pozbawiony emocji.

Kitto spojrzał na niego i ucieszyła się, że nikt z lustra nie mógł dostrzec szoku malującego się na jego twarzy. Rhys nie popatrzył na niego, wciąż wpatrywał się w zwierciadło i w Kuraga.

Król Goblinów dosłownie oniemiał. Podobnie jak my wszyscy. No, może jednak nie wszyscy.

Creeda wskoczyła na krzesło, by mieć lepszy widok albo być lepiej widoczną.

- Czy dzięki nam zasmakowałeś w ciele goblinów, biały rycerzu?

- Kitto jest sidhe - odparł beznamiętnie Rhys. - Tak powiadam.

- I tak jest w istocie - dodał Doyle.

W powietrzu rozległo się jakieś dziwne brzęczenie. Nie było to coś, co można normalnie usłyszeć, wydawało się raczej, jakby słowa rozbrzmiały głośnie echem odbijającym się w całym pokoju. Oblicze Kuraga zdradziło, że on też to poczuł. Wydarzyło się coś ważnego. Coś przepowiedzianego, jakiś fragment proroctwa albo właśnie się rozpoczął, albo zmienił tak diametralnie, że losy wszystkiego odmieniły się w tej jednej chwili. I choć czuło się wagę tego wszystkiego, nigdy nie było wiadomo na pewno, co to oznaczało. Potem zazwyczaj było za późno na jakąkolwiek reakcję.

Z głębi pokoju Kuraga dobiegł jakiś dźwięk. To było dziwne szuranie, jakby po podłodze prześlizgiwał się wąż o wielu odnóżach. Nie wiedziałam, co oznaczał ów dźwięk, ale Kitto nagle pobladł, a jego ciało zwiótczało. Gdybym go nie trzymała, osunąłby się na ziemię. Rhys klęczał sztywno za mną, opierając dłonie na moich ramionach. W jego dłoniach wyczułam rosnące napięcie.

Pragnęłam zapytać, co się dzieje, nie chciałam jednak, abyśmy wyszli w oczach Kuraga na słabeuszy. Kurag jednak odpowiedział na moje niewypowiedziane pytanie.

- Jeszcze cię nie wezwałem. - Był wściekły, ale i chyba również zrezygnowany.

Zupełnie jakby ten gniew był czystą formalnością. Nigdy jeszcze nie widziałam Kuraga tak... pokonanego.

Spoza obrębu lustra dobiegł głos. Był wysoki, syczący i w pierwszej chwili pomyślałam: WAŻ, ale pobrzmiwało w nim to metaliczne brzęczenie jak u Creedy, a królowa nie miała w sobie nic z węzowych goblinów. Głos powiedział:

- Chciałeś ssię mną pochwalić, czyż nie, Kuragu? Pokazać kssiężniczce, że nie wszyssscy ssa sssidhe jak Holly i Asssh.

- Tak - przytaknął Kurag i odwrócił się do lustra. Rzekł z powagą: - Wiedz jedno, Merry... Nie wszyscy potomkowie sidhe wyglądają tak jak ich rodzice z tej linii. Zanim na to przystaniesz, powinnaś zobaczyć, co zawita do twego łoża. - Spojrzał na Rhysa, ale już z niego nie drwił. - I nie wszyscy nasi mieszkańcy są męskiego rodzaju.

- Nie rób tego, Kuragu - powiedział Rhys, a jego głos, choć pusty, zdawał się wypełniać powietrze czymś, co wzbudziło we mnie przerażenie.

- Ona jest pół-sidhe, biały rycerzu, i pragnie znów znaleźć się z tobą w jednym łożu.

Ten stukoczący szelest przybliżył się, jakby coś równocześnie pełzło i szurało po podłodze.

Kitto zaczął wydawać wysokie, gardłowe odgłosy. To było jak żalosne skomlenie.

Przytuliłam go mocniej, ale on prawdopodobnie w ogóle tego nie poczuł. Jego ciało w moich ramionach było wiotkie, jakby zamknął się w sobie.

- Co się dzieje? - spytałam.

Rhys wypowiedział imię, z taką nienawiścią, że aż zabolalo. Wymówił je w chwili, gdy coś wpełzło na ogromne krzesło tronowe Kuraga. To coś wyglądało, jakby zostało pozszywane w jedną całość z dziesiątków różnych koszmarów.

- Siun.

Kitto wrzasnął.

Rozdział 5

Wrzaski Kitta przypominały odgłosy królika, złapanego przez kota. Ześlizgnął się z mego podółka, przelazł przez łóżko i osunął się z drugiej strony.

Mróz wpadł do pokoju z pistoletem w jednej i mieczem w drugiej ręce. Wypatrywał wroga, a kiedy stwierdził, że nie ma do kogo strzelać, spojrzał na nas pytająco.

- Co się stało? Co z Kitem?

- Czy mój miły zaprzędniec chce powitać swego pana? Zapomniałeś już wszystkie moje nauki, Kitto? - zapytał stwór na krześle.

Doyle ukląkł przy Kitcie i nieskutecznie próbował go pocieszyć.

Pośród krzyków usłyszałam jego głęboki głos, kiedy jednak Kitto w końcu odzyskał zdolność mówienia, zaczął tylko zawodzić:

- Nie, nie, nie, nie, nie...

Chciałam odwrócić się i mu pomóc, ale Rhys mocno trzymał mnie za ramiona. Jeden rzut oka na jego twarz i zrozumiałam, że Kitto nie był jedynym, który potrzebował pomocy.

Nie wiedziałam, co mam robić, ale pozostałam na miejscu.

Rhys klęczał tak, że jego ciało dotykało moich pleców. Pozostałam na miejscu, aby mógł się o mnie oprzeć, bo w przeciwnym razie pewnie by upadł.

Odwróciłam się na powrót w stronę goblina na krześle i czekałam, aż moje oczy wychwycą kolejne szczegóły. W pierwszej chwili to coś wyglądało jak wielki, czarny, włochaty pająk. Pająk wielkości owczarka alzackiego. Ale głowa miała też szyję i usta mające wargi i kły. Po obu stronach opasłego cielska wystawały olbrzymie czarne odnóża, typowo pajęcze, ale para rąk wyłaniających się z przodu już taka nie była. To coś miało oczy praktycznie wszędzie i były one trójkolorowe, w różnych odcieniach błękitu. Stwór podniósł

się, jakby chciał usadowić się wygodniej na krześle, i dostrzegłam błysk białych piersi.

Samica. Nie mogłam zmusić się, by pomyśleć o tym czymś jak o kobiecie.

Nigdy nie sądziłam, że wśród fey zobaczę coś, co będzie istotą rodem z najgorszych koszmarów. Byłam Unseelie sidhe, to my jesteśmy istotami z koszmarów. Jednak Siun była koszmarem koszmarów. Gdyby była trochę mniej jednym, a bardziej drugim, wydawałaby się mniej przerażająca. Niemniej nie sposób było zmienić jej jestestwa.

Te przedziwnie ukształtowane usta umiejscowione pośród gęstego czarnego futra i oczu przemówiły:

- Rhys, jakże miło mi cię widzieć. Wciąż mam twoje oko w słoiku na półce. Odwiedź nas ponownie. Chciałabym zdobyć drugie do pary.

Poczułam, że Rhys zadrżał, jakby całym jego ciałem wstrząsnął niewidzialny wiatr.

Jego głos był pusty niczym muszla wyrzucona na plażę, przepelniona echem samotności.

- Jeśli nie chciałeś, byśmy dobili targu i zawarli ten pakt, wystarczyło powiedzieć, Kuragu, a oszczędziłbyś nam czasu i energii.

Poklepałam go po dłoni, którą wciąż opierał na moim ramieniu, ale nie byłam pewna, czy w tym momencie czuł cokolwiek.

- Mrozie - rzekł Doyle - zajmij się Kitem.

Mróz wsunął miecz do pochwy i włożył pistolet do kabury, następnie ukląkł przy Kitcie. Na co dzień Mróz i Doyle często się kłócili, ale w sytuacjach kryzysowych wszyscy strażnicy byli posłuszni Doyle'owi. Trudno złamać nawyki wpajane przez setki lat.

Doyle stanął obok nas.

- Co zamierzasz z tym zrobić, Kuragu? - zapytał.

- Chciałam zobaczyć pięknych sidhe - odpowiedziała Siun.

- Zamknij się, Siun - warknął Kurag, nie spoglądając na nią, jakby spodziewał się, że usłucha. I właśnie tak się stało. - Uznałem, że Merry zasługuje, aby zobaczyć, do czego chciałeś ją nakłonić. - Na jego twarzy znów pojawił się cień drwiącego grymasu. - Poza tym, Ciemności, to nie Merry pojawi się w łóżku Siun.

- Nikt się tam nie pojawi - rzucił Rhys.

Doyle dotknął jego ramienia.

- Nie możesz się upierać, aby znów w jej łóżku znaleźli się Kitto albo Rhys.

- Zgłaszasz się na ochotnika? - spytał Kurag.

Doyle zamrugał, spoglądając na niego ze zdumieniem.

- Co chcesz powiedzieć, Kuragu?

- Jeżeli zgodzę się na dodatkowy miesiąc za każdego goblina, którego uczyni sidhe, ty musisz zgodzić się przeistoczyć każdą istotę mającą w swoich żyłach krew sidhe, która zechce tego spróbować.

Czarne oczy Doyle'a zwróciły się w stronę Siun, a potem przeniosły w kierunku Kuraga.

- Po co z tym walczysz, Kuragu? Dlaczego nie chcesz, by w żyłach goblinów znów zagościła magia?

- Nie walczę z tym, Ciemności, przystaję na to, choć pod pewnymi warunkami. Daję Merry miesiąc za każdego goblina, którego przemieni.

Doyle wykonał drobny gest w stronę Siun.

- Naciskanie, abyśmy brali do łóżka każdą istotę, która się do nas zgłosi, to zniewaga.

- Czy byłaby taka, gdyby jeden z waszych nie zgwałcił jednej z naszych?

- Jej matka nie została zgwałcona - odparł Rhys, a jego głos, wciąż pusty, nadal brzmiał przerażająco.

Kurag zignorował komentarz, ale Doyle rzucił:

- Co chciałeś przez to powiedzieć, Rhys?

- Chełpiła się, że to jej matka zgwałciła jednego z naszych podczas ostatniej wojny.

Nie zrzucaj akurat tego szczególnego koszmaru na sidhe, Kuragu. Gobliny zrobiły to sobie same.

Widać było, że Kurag zna prawdę.

- Okłamałeś nas, Kuragu - wycedził Doyle.

- Nie, Ciemności, powiedziałem: czy byłaby taka, gdyby jeden z waszych nie zgwałcił jednej z naszych? To było pytanie, a nie stwierdzenie faktu.

- To manipulowanie prawdą - wtrąciłam.

Kurag spojrział na mnie. Pokiwał głową.

- Może nauczyłem się tego od sidhe.

- Co to miało znaczyć? - spytał Rhys.

Doyle uniósł rękę.

- Dość tego. Albo przystaniemy na warunki Kuraga, albo odejdziemy i będziemy mieć goblina jeszcze przez dwa i tylko przez dwa miesiące.

- Daję wam czas, byście przedyskutowali to między sobą - rzekł Kurag.

Uniósł rękę, jakby przecierał lustro.

- Nie - rzucił Doyle - nie, jeśli damy ci czas, wymyślisz jakiś inny powód, by uniknąć zawarcia paktu. Zrobimy to dziś, teraz.

Spojrzałam na Doyle'a, ale z jego twarzy niczego nie mogłam wyczytać. Był nietykalną Ciemnością, lewą ręką królowej. Postacią, której bałam się jako dziecko. Choć muszę przyznać, że nigdy jeszcze nie widziałam go tak roznegliżowanego. Ciemność Królowej przez okrągły rok był ubrany od stóp do głów, niezależnie od pogody. Niegdyś widok gołych ramion Doyle'a był powodem, by zarzucić mu obnażanie się w miejscu publicznym, teraz jednak stał, mając na sobie tylko skąpe czarne slipki, i jakimś sposobem, w ubraniu czy nie, wciąż był tą samą nietykalną, nieodgadnioną, przerażającą Ciemnością.

- Które z was pójdzie do łóżka z Siun? - spytał Kurag.

- Ja - odrzekł Doyle.

Natychmiast zaoponowałam.

- Nie.

- Nikt z nas jej nawet nie dotknie - dodał Rhys.

- Zawarliśmy umowę - zauważył Doyle.

- Nie, poprzysiągłem, że kiedy następnym razem się spotkamy, zabiję Siun. Złożyłem przysięgę krwi.

- Złożyłeś przysięgę krwi? - fuknął Doyle.

Rhys tylko pokiwał głową.

Doyle westchnął.

- Zgadzą się przemienić wszystkich pół-sidhe, jakich masz, Kuragu, ale Siun musi odpowiedzieć przed Rhysem, kiedy przybędziemy na twój dwór.

- A jeżeli ona go zabije? - spytał Kurag.

- Wówczas przysięga krwi przestanie obowiązywać. Nie będziemy próbować się na niej zemścić.

- Zgoda.

- A kiedy już zabiję Rhyssa - wysyczała Siun - wezmę sssobie mego miłego zaprzedańca Kitta. Będę go ujeżdżać, aż zalśni pode mną. - Łypnęła na Rhysa tuzinem oczu w odcieniach błękitu nieba, chabrów i fiołków. Były przepiękne, jakby należały do innego ciała.

- Ten dla mnie nie zalśnił. Gdybyś pode mną zalśnił, nie zabrałabym twego oka.

- Mówiłem ci wtedy i powtórzę teraz. Możesz wziąć mnie siłą, ale choćby nie wiem co, przyjemności nie poczuję. W łóżku jesteś do niczego.

Zeskoczyła z krzesła tronowego i nagle wypełniła sobą lustro. Wszystkie jej odnóża sięgały w naszą stronę, podobnie jak ręce i te dziwne, na wpół ukształtowane usta. Zaczęła tłuc w szkło wszystkimi kończynami i wrzeszczeć:

- Zabiję cię, Rhysss, ksssiężniczka nie ocali Kitta. Będzie mój i zalśśni dla mnie!

Zmuszę go do tego!

Kitto krzyknął, ukryty za łóżkiem. Wszyscy odwróciliśmy się w jego stronę. Twarz miał bladą, oczy wytrzeszczone.

- Neeee! - wrzasnął.

Rhys zepchnął nas oboje z łóżka na ułamek sekundy przed tym, jak poczułam czar wywołujący zafalowanie powietrza ponad nami. Zupełnie jakby szkło się stopiło i Siun zaczęła pełzać przez powstały otwór. Głowa, jedna ręka, potem druga, dłonie trzepotały desperacko, poszukując czegoś do przytrzymania się. Przesuwała się coraz dalej i nie potrafiła zahamować.

Kitto uniósł obie ręce przed sobą, jakby chciał ją zatrzymać. Znów krzyknął, tym razem to był wysoki, nieartykułowany, piskliwy dźwięk.

Rhys przycisnął mnie całym ciałem do dywanu. Rozległy się kolejne krzyki; nie wszystkie

wyplęły z ust Kitta.

- Rhys, niech księżniczka wstanie - zwrócił się do mnie Doyle. W jego głosie pobrzmiwało zdziwienie i zakłopotanie.

Rhys ukląkł i rozejrzał się po pokoju, po czym przeniósł wzrok w stronę lustra.

Ostatecznie to Doyle pomógł mi wstać.

Mróz trzymał Kitta, kołysząc go jak dziecko. Odwróciłam się i spojrzałam na Siun.

Przestała prześlizgiwać się przez lustro. Połowa jej długich czarnych odnóży pozostała po tej stronie szkła, a druga połowa wciąż znajdowała się w pokoju Kuraga. Jedna z jej dłoni sięgnęła w głąb tego pokoju, druga tłukła w szkło z drugiej strony, jakby chciała je roztrzaskać. Klęła cicho pod nosem, ale za to bez przerwy. Próbowwała się uwolnić, jej piersi błyszczały w słońcu, ale była w pułapce. Gdyby była śmiertelniczką, już by umarła.

Doyle podszedł do zwierciadła, ale trzymał się poza zasięgiem wymachujących odnóży Siun.

- Wydaje się teraz całkiem solidne.

- Ale się porobiło - skomentował Kurag.

- Tak - przyznał Doyle.

- Możecie to naprawić?

Doyle spojrzał na Kitta, który jak katatonik spoczywał w ramionach Mroza.

- To była magia Kitta. Mógłby to odwrócić, gdyby tylko wiedział jak. Gdyby to rozumiał. Ale nikt inny w tym pokoju nie zdoła tego uczynić.

- Co, na rogi Wybranka, właściwie zrobił Kitto? - Kurag podszedł do lustra po swojej stronie, przyglądając się uważnie, ale nie dotykając szkła.

- Niektórzy sidhe potrafią podróżować przez zwierciadła, tak jak większość może za ich pośrednictwem rozmawiać. Choć nigdy nie słyszałem o żadnym, który byłby w stanie pokonać dystans tylu kilometrów. - Doyle przyglądał się zwierciadłu i uwięzionemu goblinowi, jakby problem był natury czysto akademickiej, i starał się jedynie rozpracować, na czym on polegał.

- Czy Kitto może to cofnąć?

- Mrozie - powiedział Doyle - zapytaj Kitta, czy zechce uwolnić ją z lustra i odesłać z powrotem.

Mróz odezwał się półgłosem do niższego mężczyzny, którego trzymał na kolanach.

Kitto gwałtownie pokręcił głową, wtulając się w Mroza.

- Boi się, że jeśli znów otworzy lustro, ona wypadnie wprost do naszej sypialni.

- Po prostu niech wypchnie ją z powrotem - podsunął Kurag.

Mróz odrzekł:

- Mówi, że ona może pozostać w lustrze tak długo, aż zdechnie.

- Nie zdechnie. - Kurag odwrócił się do Doyle'a. - Ona nie jest śmiertelna, Ciemności, nie umrze. - Lekko postukał w szkło. - To jej nie unicestwi.

- Cóż, nie może pozostać tak jak teraz, w zwierciadle - powiedziałam.

Nie byłam pewna, co mogliśmy zrobić, ale pozostawienie jej tam nie wchodziło w rachubę.

- Właściwie, Meredith, to może - rzekł Doyle.

Pokręciłam głową.

- Nie chodzi mi o to, że to niemożliwe, Doyle, tylko że to nie do przyjęcia. Nie chcę mieć jej w moim lustrze w sypialni niczym żywe trofeum zawieszona na ścianie.

- Rozumiem. - Spojrzał na uwięzioną istotę. - Jestem otwarty na propozycje, choć szczerze mówiąc, nie widzę łatwego rozwiązania.

- Czy moglibyśmy zbić lustro? - spytał Kurag.

- To przypuszczalnie poszatkowałoby ją na kawałki.

- Ale nie zabiło - powiedział Kurag.

- Nie, żadnego bicia luster - zaproponowała Siun.

Wszyscy ją zignorowali.

- To mogłoby sprawić, że jedna jej część pozostanie po waszej, a druga po naszej stronie lustra

- odrzekł Doyle. - Czy gobliny są w stanie uleczyć tak poważną ranę?

Kurag zmarszczył brwi.

- To nas nie zabije.

- Czy jednak po przecięciu na pół mogłaby później na nowo połączyć się w jedną całość, czy musiałaby żyć rozdzielona?

Siun zaczęła napierać coraz silniej na szkło.

- Żadnego tłuczenia lustra, do cholery!

Nie dziwiłam się jej, ale zaistniała jedna z tych osobliwych sytuacji, która nawet wśród fey uchodziła za tak niezwykłą, że nie sposób było potraktować jej z należytą powagą i zgrozą - a przynajmniej na razie. Nawet to, że wystawała z lustra, nie wydawało się do końca realne.

- Cóż, skoro nie możemy zbić lustra, to nie mam pojęcia, co moglibyśmy zrobić -

rzekł Kurag.

Holly podszedł do zwierciadła. Dotknął ciała Siun w miejscu, gdzie łączyło się ono ze szkłem. Nie zrobił jej krzywdy, ale poskarżyła się, jakby tak właśnie było.

- Kitto to zrobił. Widziałem - powiedział Holly z podziwem i trwogą. - Poczułem magię przepływającą po moim ciele niczym podmuch wiatru. - Zaczął wodzić dłońmi wokół

miejsca, gdzie Siun łączyła się z lustrem.

- Przesstań mnie macać - wydusiła.

Holly spojrzał na nas.

- Zgodzę się na to, czego pragnie mój brat. Przybędę do księżniczki, jeśli jest szansa, bym zyskał taką moc. - Zerknął na lustro i na ciało Siun. A potem jego karmazynowe oczy odnalazły moje. - Przybędziemy do ciebie, księżniczko. - W jego oczach tkwiło pożądanie, ale nie było to pragnienie ciała. To było pragnienie mocy. Chłodna, wyrachowana żądza, choć mogła prowadzić do czegoś cieplejszego, gorętszego, niebezpiecznego.

- Zobaczymy się wszyscy na bankiecie, Holly - powiedziałam.

Skłamałabym, mówiąc, że nie mogę się doczekać spotkania z nim.

- Tam się spotkamy - potwierdził Ash.

- Coś sobie wyjaśnijmy, Kuragu - rzuciłam. - Miesiąc za każdego goblina, którego uczynię sidhe.

- Zgoda - odparł.

- I jeszcze jedno - dodał Doyle. - Są też inne rytuały na przywrócenie sidhe ich mocy.

Nie wszystkie wiążą się z seksem.

- Masz na myśli krwawy pojedynek? - spytał Kurag.

- To oraz wielkie łowy, wielkie poszukiwania.

- Nie ma już wielkich łowów, Ciemności, a poszukiwania dobiegły końca. Nie mamy dość magii na jedno czy drugie.

- Być może, Kuragu, chciałbym jednak, aby te alternatywy pozostawały otwarte.

- O ile tylko nie będzie to ich kosztowało życia, możecie przemieniać moje gobliny, jak tylko zechcecie i tak jak uznacie za stosowne. Prawdę mówiąc, Holly nie jest jedynym, którego nie zabrałbym do łóżka, aby uczynić go sidhe. - Uśmiechnął się w bladej imitacji swego zwyczajowego

szydlerczego grymasu. - Żadne z was nie ma dodatkowych części ciała, by można was uznać za atrakcyjnych.

- Och, Kuragu - westchnęłam - ty niepoprawny pochlebco.

- Chcę, żeby jedno było jasne - powiedział Ash. - Dla mojego brata i dla mnie ma to być seks z księżniczką Meredith albo nici z umowy.

- Bracie, nie musimy tego robić - rzekł Holly.

Ash pokręcił głową, jego jasne włosy zafalowały, przelewając się po ramionach.

- Chcę tego. - Spojrzał na brata i coś przepłynęło między nimi, jakaś wiadomość, której nie zdołałam odgadnąć. - Pójdę z nią do łóżka, Holly, a gdzie ja, tam i ty.

- To mi się nie podoba.

- Nie musi ci się podobać, po prostu to zrób - odparował Ash.

Holly lekko skinął głową.

Ash uśmiechnął się do nas.

- Zobaczymy się na bankiecie, księżniczko.

- Zgoda - odpowiedziałam.

- A co ze mną? - Ni to krzyknęła, ni to zaskomlała Siun.

Wzruszyłam ramionami.

- Nie mam pojęcia, jak to naprawić.

- Ani ja - przyznał Kurag.

- A ja wiem. - Rhys podniósł się z klęczek, by stanąć nad Siun.

Smagneła w jego stronę pajęczymi odnóżami. Cofnął się, by znaleźć się poza jej zasięgiem, i wybuchnął śmiechem. To był dziwny śmiech, przyjemny i nieprzyjemny zarazem.

- Jak? - zapytał Doyle.

- Wyrównam rachunki z Siun tu i teraz.

- Zabicie jej nie uwolni Siun z lustra - zauważył Dole.

Rhys pokiwał głową.

- Ależ tak. - Stanął nad istotą tuż poza zasięgiem jej ramion i odnóży. - Widziałem kiedyś, jak coś takiego zrobiono celowo, by przechwycić wroga. Kiedy zginał, zwierciadło się zamknęło i po każdej stronie szkła znajdowały się części ciała, ale zwierciadło było całe.

Siun zaczęła się szamotać, tłukąc w szkło. Jej szponiaste odnóża orały głębokie białe bruzdy w lakierowanym drewnie toaletki.

- Nie - wydyszała.

- Gdy ostatnio mieliśmy ze sobą do czynienia, to ja byłem uwięziony i bezradny. Nie sądzę, aby obecna sytuacja podobała ci się tak jak mnie tamta.

Próbowała go dosięgnąć. Czarny kolec z boku przy jednej z nóg tak mocno uderzył w drewno, że w nim ugrzązł i Siun zaczęła się mocować, by uwolnić odnóże.

- Spokojnie, Siun - powiedział Rhys.

- Bądź przeklęty, Rhys!

- Jeżeli rzuci klątwę na któregokolwiek z nas - podjął Doyle - zaczniemy przenosić ją na gobliny. Sidhe utracili większość swej mocy, ale mimo to nie chciałbyś wymieniać z nami klątw, Kuragu.

- Jeżeli znowu zaklnie, możesz odrąbać jej ten niewdzięczny łeb - powiedział Kurag.

W krzykach Siun więcej było gniewu i frustracji niż strachu. Nie sądzę, by obawiała się śmierci. Wcale jej się nie dziwiłam. Niewiele jest rzeczy, które mogą przynieść koniec nieśmiertelnym magicznym istotom. Potrzeba było do tego sporo magii z udziałem krwi śmiertelników. Albo

specjalnej broni. A my nie mieliśmy pod ręką ani jednego, ani drugiego.

Rhys stanął poza zasięgiem szamoczącej się Siun i odwrócił się do Kitta.

- Mrozie, daj Kittowi swój krótki miecz.

Mróz spojrział na Doyle'a. Kitto nawet nie uniósł wzroku.

- Co ty chcesz zrobić, Rhys? - spytał Doyle.

Rhys obszedł łóżko, podchodząc do Mroza i Kitta. Ukłękł tak, że jego oczy znalazły się na równym poziomie z oczami niższego mężczyzny. Poglądził Kitta po włosach, aż tamten odwrócił głowę i spojrział na Rhysa.

- Byłem z nią tylko parę godzin. Nie wyobrażam sobie, jak to musiało być należeć do niej przez wiele miesięcy.

Głos Kitta brzmiał ochryple, ale wyraźnie.

- Przez lata.

Rhys ujął twarz tamtego w dłonie i przytknął czoło do jego czoła. Mówił cicho. Nie słyszałam słów, ale ton głosu był w dalszym ciągu wyraźny, przekonujący, pełen współczucia. Uspokajający.

- Nie prosz go o to, Rhys - rzekł Mróz.

Rhys spojrział na potężniejszego mężczyznę, wciąż dotykając dłońmi twarzy Kitta.

- Jedynym sposobem na uwolnienie się od strachu jest stawienie mu czoła, Mrozie.

Stawimy mu czoło razem, on i ja.

Kitto skinął głową. Jego twarz wciąż tkwiła pomiędzy dłońmi Rhysa.

- Daj mu krótki miecz, Mrozie, albo dam mu swój.

Na twarzy Rhysa malował się władczy grymas, jakaś siła, której tam wcześniej nie było. Mróz natychmiast zareagował. Posadził Kitta na brzegu łóżka i wstał. Sięgnął pod połę marynarki i wyjął, przypominający duży miecz, nóż. W dłoniach Mroza wydawał się stosunkowo mały. Podał go Kittowi rękojeścią do przodu.

Kitto zawahał się, następnie niepewnie po niego sięgnął. Strażnicy nauczyli go obchodzić się z bronią. Był już wcześniej szkolony, ale taktyka goblinów opierała się na sile i masie ciała. Dla kogoś o gabarytach Kitta nie było to właściwe podejście. Uczono go właściwie wykorzystywać ciało, ale wciąż czuł się niepewnie z bronią w ręku, jakby sam sobie nie ufał.

Zacisnął swe drobne dłonie na rękojeści. Były akurat tak wąskie, że mógł uchwycić mieczyk oburącz. Spojrział na nagie ostrze, jakby mogło obrócić się w jego dłoniach i ukąsić go.

Rhys wyjął spod łóżka miecz (trzymaliśmy broń rozsianą po całym domu, ot tak, na wszelki wypadek), następnie obszedł łóżko, trzymając rękę na ramieniu Kitta, ni to popychając go, ni to prowadząc. Gdy wyszli zza łóżka, Kitto próbował się cofnąć. Jego krótki mieczyk spadł na ziemię.

Siun zaczęła krzyczeć.

- Królu mój, Kuragu, nie możesz im na to pozwolić!

- Nazywanie mnie królem już ci teraz nie pomoże.

- Proszę, Kuragu, pomóż mi. Czy będziesz ssstał z boku, podczas gdy sssidhe będą mnie zabijać? - Wyciągnęła znajdującą się po jego stronie lustra dłoń w geście rozpaczliwego błagania.

Kurag westchnął.

- Czy jest coś, co mógłbym ci zaoferować, biały rycerzu? Godną rekompensatę za jej życie.

- Nie umrę, Kuragu - rzuciła Siun. - Mogą mnie pociąć na kawałki, ale ja nie umrę!

- Ona ma rację, blady książę. Tak naprawdę nie możesz jej zabić.

Kitto zatrzymał się, odmawiając podejścia do Siun bliżej niż do rogu łóżka.

Rhys pozostawił go tam i podszedł do zwierciadła, stając poza zasięgiem wywijających kończyn Siun. Spojrział na uwięzioną istotę i zamyślił się, a może pograżył we wspomnieniach.

- Zabijanie pozostaw mnie, Kuragu - wymamrotał.

- Powiedz, co mógłbym ci zaoferować, błądy księżę, a wypłacę ci za nią rekompensatę. Na pewno jest coś, co chciałbyś otrzymać. - Kurag podszedł do Siun. Poglądził jej kosmaty grzbiet delikatnym, kojącym gestem.

- Pragnę tylko jej życia, Kuragu - rzekł Rhys.

Na twarzy Kuraga pojawił się wyraz zadowolenia i zatroskania zarazem, jakby nie miał pewności, czy to nie za wiele.

- Życie jednego z męskich goblinów, którzy dotrzymywali ci towarzystwa - rzucił. -

Czy to jest warte życia Siun? - Starał się zachowywać beznamiętny ton i wyraz twarzy, ale błysk w jego pomarańczowych oczach pozwalał przypuszczać, że cieszył się skrepowaniem Rhysa. Wątpiłam, że Kurag czerpie przyjemność z oglądania wykorzystywanego przez mężczyzn Rhysa jedynie dla czystej rozrywki. Raczej dla władzy, dla widoku, jak nisko mogą upaść wielcy. To się dopiero Kuragowi podobało!

Oblicze Rhysa spochmurniało od gniewu, jednak odegnał od siebie tę emocję i z zamyśleniem odwrócił się do Kuraga.

- Czy jest jakiś konkretny mężczyzna, którego możesz zaproponować w miejsce Siun?

Teraz to Kurag się zamyślił.

- Pamiętasz jakieś imiona? - Jego uśmiezek był niemal drwiący.

- Chciałem zapamiętać głównie tych, którzy mnie wykorzystywali. I zapamiętałem Siun.

Kurag skinął głową, a jego oblicze znów sposepniało. Wśród obecnych z Rhysiem musiał być ktoś, kogo Kurag nienawidził albo postrzegał jako potencjalne zagrożenie. Tylko to wydawało się sensowne. Dla Króla Goblinów przyznanie, że ktoś stanowił zagrożenie, oznaczało, iż było ono poważne. Gobliny nie urządzały na siebie nawzajem skrytobójczych zamachów. Uważano to za przejaw tchórzostwa. Król zlecający zabójstwo innym mógł sam zostać stracony. Gdyby jednak zrobił to teraz Rhys w ramach rekompensaty, Kuraga nie można by za to winić. Jednakże sam fakt, że Kurag zasugerowałby jakieś imię, nie zostałby dobrze przyjęty. Dlatego powstrzymał się przed wymienieniem jakiegokolwiek.

- Wobec tego podaj jakieś imię, biały rycerzu, wymień choć jedno.

Rhys pokręcił głową.

- Gdybyś poprosił, bym podał imię goblina, którego najbardziej chcę zabić, brzmiałoby ono Siun. - Wskazał na uwięzionego stwora. - Żadna inna śmierć mnie nie zadowoli.

- A gdyby Król Goblinów mógł zaproponować ci coś innego niż śmierć? - zapytał Doyle.

Kurag spojrzał na Doyle'a, ale Rhys nie spuszczał oka z Siun.

- Czego byś zażądał, Ciemności?

Doyle uśmiechnął się pod nosem.

- A co mógłbyś zaproponować?

Wiedziała, co Rhys powie.

- Nie, Doyle, nie. Chcę tej śmierci. Nie zamienię tego na nic innego. - Przeniósł wzrok na wysokiego czarnego mężczyznę i odnalazł jego niezadowolone spojrzenie. - Wybacz, ale nie gustuję w polityce. Nie zrezygnuję z tej śmierci ze względów czysto politycznych.

- A gdybyś mógł w ten sposób zyskać dodatkowe atuty dla Meredith?

Zmarszczył brwi, aż w końcu pokręcił głową.

- Nie. - Popatrzył na mnie, stojącą przy łóżku, jakby trochę zapomnianą. - Wybacz, Merry, ale będę miał tę śmierć. - Odwrócił się do Doyle'a. - Zaufaj mi, Doyle. Siun martwa pomoże nam

bardziej niż Siun żywa.

Doyle uniósł obie ręce przed sobą w zachowawczym geście.

- Jak chcesz.

Rhys wyciągnął rękę do Kitta, który wciąż stał jak skamieniały przy łóżku.

- Chodź, zrobmy to.

Kitto cały się trząsał.

- Nie mogę - wykrztusił w końcu.

- Owszem, możesz. Chodź.

Doyle wyciągnął do mnie rękę.

- Pójdź, Meredith, niechaj zabiorę cię z linii... ognia. - Zawahał się, wypowiadając ostatnie słowo, jakby chciał powiedzieć coś innego. Podeszłam do niego, ostrożnie przechodząc pomiędzy Kitem i Rhysem.

Rhys wyjął z pochwy miecz, który trzymał, i rzucił pustą pochwę Doyle'owi, a ten złapał ją odruchowo wolną ręką. Drugą ścisnął moją dłoń i poczułam, że jego skóra jest wilgotna od potu. Doyle się denerwował. Dlaczego?

Coś przeoczyłam. Nie miałam pojęcia co, ale skoro zdołało wprawić Doyle'a w zdenerwowanie, zapewne chodziło o coś ważnego. Takich rzeczy lepiej nie przegapiać. To ja tu byłam księżniczką, co oznaczało, że przypuszczalnie zostanę kiedyś królową, ale jak to nieraz bywało, pewnych rzeczy po prostu nie umiałam wychwycić. Gdyby nie dotyk dłoni Doyle'a, w ogóle nie zorientowałabym się, że się denerwował, co oznaczało z kolei, że gobliny w ogóle o niczym nie wiedziały. Musieliśmy dopilnować, aby tak pozostało.

Rhys uniósł długie srebrne ostrze nad głową do prostego ciosu ku dołowi. Siun rzuciła błagalnie:

- Pomóż mi, mój królu!

- Zaoferowałam ci jego seks i jego ciało, Siun. Nie kazałem ci go okaleczać. - Kurag po raz ostatni pogładził jej kosmaty grzbiet, po czym się cofnął. - Jeżeli możesz zabić sidhe, zrób to, ale nie zniżaj się nad nimi, pozostawiając przy życiu, bo oni nigdy nie wybaczą i nigdy nie zapominają. - Spojrzał na Rhysa. - Jest twoja. - Nie wydawał się tym zachwycony, ale i też niespecjalnie się przejął. Chyba nie zależało mu zbyt na Siun. Próbował ją ocalić, bo należała do jego ludu - i to wszystko.

Usiłowała błagać o łaskę Rhysa, ale żeby unieść jedną rękę w górę, musiała wyprężyć całe ciało. Błysnęły jej blade piersi, a na twarzy Rhysa pojawił się grymas, którego nigdy nie chciałabym ujrzeć skierowanego pod moim adresem.

- Pamiętasz, do czego mnie zmuszałaś? - zapytał gniewnym głosem.

- Nie - odparła, wyciągając rękę i otwierając błagalnie usta.

- Ja pamiętam - mruknął Rhys, opuszczając miecz.

Ostrze wgryzło się w jej grzbiet przy wtórze trzasku jakby pękającego plastyku i ten dźwięk uświadomił mi, że układ kostnoszkieletowy, jaki miała Siun, był inny niż u sidhe.

Krew jednak miała nadal czerwoną. Rhys rąbał ją jak drzewo. Jedno z jej czarnych odnóży z ostrymi kolcami po bokach rozdarło mu szlafrok aż do skóry. Drugie uderzenie rozplątało mu bok. Zawahał się i przyłożył dłoń do rany.

Nagle tuż obok pojawił się Kitto, jego czyste srebrne ostrze dosięgło odnóży, zanim zdołało ono zranić Rhysa. Jednym cięciem Kitto odrąbał nogę Siun; odnóże pofrunęło, wirując w powietrzu, i wylądowało na dywanie u naszych stóp. Doyle odciągnął mnie trochę dalej. Nie oponowałam.

Mród ruszył przez pokój. Przypuszczałam, że chce przyłączyć się do walki. Doyle zatrzymał go,

unosząc przed nim jak szlaban pochwę miecza Rhysa. Pokręcił dwa razy głową, a Mróz stanął przy nas, zaciskając dłonie.

Kitto wydał z siebie wysoki, szaleńczy wrzask. Był to swego rodzaju okrzyk bojowy potępionych, zagubionych, zranionych, tych, którzy powstają, by unicestwić swych panów.

Ten dźwięk sprawił, że zjeżyły mi się włoski na karku. Przytuliłam się mocno do Doyle'a.

Objął mnie bez słowa, przez cały czas obserwując walkę.

Rhys odsunął się od ciała i oparł o ścianę. Wpatrywał się w swoje rany, pozwalając, by z jego miecza spłynęła posoka. Przód szlafroka miał przesiąknięty krwią Siun i własną.

Kilka szkarłatnych rozbryzniętych kropel ozdobiło jego białe włosy i policzek. Nie wyglądał na zmęczonego, po prostu przestał walczyć. Czy był ranny?

Kitto samotnie walczył ze stworem, rąbiąc i tnąc zawzięcie, szatkując Siun kawałek po kawałku. Próbowano ochraniać głowę, ukrywając ją pod ciałem w sposób, w jaki człowiek nigdy nie zdołałby tego uczynić, ale Kitto rozplatał jej czaszkę wśród strug posoki i jakiejś gęstszej substancji. Ona wciąż żyła.

Kitto prawie od stóp do głów był umazany krwią. Jego niebieskie oczy wydawały się lśnić błękitnym ogniem pośród pokrywającej twarz krwawej maski.

Spojrzałam na Rhysa, który wciąż ostentacyjnie opierał się o ścianę. Musiał być ranny. Chciałam do niego podejść, ale Doyle pokręcił głową, abym tego nie robiła.

- Wobec tego musimy pomóc Kittowi - powiedziałam.

Doyle znowu się temu sprzeciwił.

Schwyciłam go za rękę.

- Dlaczego nie? - Zobaczyłam, jak Kitto walczy z pająkowatymi odnóżami, które nawet odrąbane, wciąż próbowały go atakować. Kreatura nadal mogła go solidnie poranić.

Po raz pierwszy żałowałam, że Doyle nie ma na sobie koszuli. Porządnie bym go wytargała.

- Może mu się coś stać.

Doyle przytulił mnie mocno i nie było to wcale podniecające jak wcześniej z Rhysem.

Zdenerwowałam się.

- Puść mnie.

Nachylił się i szepnął mi prosto w twarz:

- Merry, ta śmierć należy się Kittowi, pozwól mu zaznać tej satysfakcji.

Stałam przytulona do niego i wciąż niewiele rozumiałam. Ta śmierć nie należała się Kittowi, lecz Rhysowi. Spojrzałam na niego. Stał beczynnie nieopodal. Obserwował Kitta.

Wtedy też przypomniałam sobie, co mi umknęło. Kiedy nieoczekiwanie ujawniła się moja pierwsza ręka mocy, Doyle zmusił mnie, bym zadała prawdziwą śmierć wiedźmie, którą przypadkowo zmieniałam w żyjącą masę. Tak właśnie działała ta moc - ręka ciała. Może przenicować kogoś w całości lub we fragmentach - kończyny albo całą żyjącą istotę. Dał mi wybór - zabić ją albo pozostawić na zawsze tak przenicowaną, wywróconą na drugą stronę.

Nigdy by nie umarła. Nawet z pomocą miecza, który był w stanie zadać śmierć nieśmiertelnemu.

Byłam cała we krwi i posoce. Jakiś czas później Doyle poinformował mnie, że trzeba było umazać się krwią w walce tuż przed manifestacją ręki mocy, aby ten dar powrócił - coś w rodzaju złożenia krwawej ofiary. Znienawidziłam go, że mnie do tego zmusił. Znieubiłam również Rhysa. Obaj robili to samo z Kitem.

Kitto wydawał z siebie okrzyk bojowy, aż zachrypl. Rąbał i ciął ciało stwora do momentu, aż nie był już w stanie unieść miecza powyżej pasa. Osunął się na kolana, na przesiąknięty krwią dywan. Dyszał ciężko. Ten dźwięk był niemal tak głośny, że zagłuszał

przeraźliwy, wysoki wrzask Siun.

Rhys spojrział na Doyle'a, następnie obszedł szerokim łukiem to, co pozostało ze stworzenia. Ukląkł we krwi i przytulił do siebie Kitta.

Zastanawiałam się, czy powtarzał mu te same ceremonialne słowa, które usłyszałam tamtej nocy od Doyle'a.

Rhys podniósł się i zasalutował Kittowi swoim własnym okrwawionym mieczem, po czym odwrócił się do szczątków stwora.

- Strasznie ją pociachałeś - rzekł Kurag. Ale ona nie umrze dla ciebie.

Rhys trzymał miecz luźno w jednym ręku, drugą natomiast wyciągnął w stronę tego, co zostało z korpusu. Palcem dotknął grzbietu kreatury i wypowiedział jedno słowo, które zabrzmiało czysto i melodyjnie, jak dźwięk dzwonu.

- Umieraj.

Ciało przestało drgać. Szczątki walające się na podłodze także znieruchomiały.

Zupełnie jakby Rhys nacisnął jakiś guzik. Powiedział: „Umieraj” - i umarła.

Doyle wydał z siebie ciche syknięcie, a ja na sekundę, może dwie wstrzymałam oddech. Żaden sidhe nie potrafił zabijać samym tylko dotykiem czy poleceniem. Nasza magia tak nie działała.

- Błogosław nam, Wybrańcze - wyszeptał Mróz.

Rozległy się zduszone szept i komentarze młodszych goblinów, ale w głosie Kuraga, kiedy w końcu się rozległ, pobrzmiwało znużenie.

- Ostatni raz widziałem cię robiącego coś takiego jeszcze przed ostatnią wielką wojną, biały książę - oznajmił.

- Jak sądzisz, dlaczego gobliny wygrały tę wojnę? - zapytał Rhys.

Na jego twarzy malował się wyraz, którego wcześniej nie widziałam. Jego postawa też się zmieniła. Zupełnie jakby zajmował większą przestrzeń aniżeli jego ciało fizyczne, jakby był wyższy niż całe pomieszczenie, a jego obecność na chwilę wypełniła wszystko.

Po chwili znów mogłam oddychać, powietrze wydało mi się chłodne i cudowne.

Oparłam się o Doyle'a, czując, jak miękną mi kolana. Przed momentem złościłam się na niego, że zmusił Kitta do walki w pojedynkę, a teraz go obejmowałam. Miałam ochotę się przytulić, nieważne do kogo. Potrzebowałam dotyku innego ciała, innych rąk.

Kiedy stworzenie umarło, szczątki rozpołowionego ciała opadły po obu stronach lustra. Zwierciadło znów było całe. Gobliny zgodziły się na wszystko, czego chcieliśmy.

Rhys zasłonił lustro i się odwrócił. Krew plamiła jego białe włosy i skórę niczym czerwony atrament. Tam gdzie posoka dotykała jego skóry i włosów, czerwień zdawała się lśnić. I ta lśniąca krew zaczęła znikać, jakby sama skóra ją pochłaniała, aż znów był czysty i nietknięty, z wyjątkiem okrwawionego szlafroka. Jego niebieskie oko wirowało barwami, można było odnieść wrażenie, jakby patrzyło w sam środek burzy.

Doyle zasalutował za pomocą trzymanej w ręku pochwy, a Mróz wyciągnął swój długi miecz. Obaj dotknęli nimi czoła. Doyle odezwał się:

- Bądź pozdrowiony, Cromm Cruachu, który zabiłeś Tigernmasa, Pana Śmierci, za jego pychę i zbrodnie przeciwko ludziom.

Rhys uniósł swój okrwawiony miecz i on także odpowiedział salutem.

- Miło jest wrócić. - Jego spokojne, okrwawione oblicze rozjaśnił typowy dla niego uśmiech. - Krew sprawia, że rośnie trawa, bla, bla, bla.

- Zawsze sądziłem, że to seks sprawia, że rośnie trawa - powiedział od drzwi Galen i wszyscy odwróciliśmy się, by na niego spojrzeć. Z wyjątkiem Kitta. Ten wydawał się zagubiony krwawym

podkreśleniem odzyskania przez niego mocy.

Galen wszedł do pokoju i stanął przy ścianie. Wydawał się wysoki i wyluzowany, od czubka głowy porośniętej kręconymi jasnozielonymi włosami, przez pojedynczy cienki warkocz, który lekko spływał po jego ramieniu, po szerokie bary, szczupłą talię i biodra opięte kremowymi spodniami od garnituru. Przez rozpiętą pod szyją białą koszulę widać było jego skórę o lekko zielonkawym odcieniu, przez co wyglądał bardziej jak bóstwo płodności, którym byłby zapewne, gdyby przyszedł na świat kilka stuleci wcześniej. Jego długie nogi były opięte luźnymi materiałowymi spodniami, na stopach zaś miał brązowe mokasyny. Nie nosił skarpetek.

Oparł się o ścianę, krzyżując ramiona na piersiach, a jego promienny uśmiech sprawił, że oczy koloru soczystej trawy rozbłysły niczym klejnoty, nie za sprawą magii, lecz zwykłej radości i pogody ducha - taki już był ten nasz Galen. Wydawał się spokojny, miły i przyjazny jak zielonkawy trunek, o którym wiedziałeś, że jest w stanie zabić każde pragnienie.

Podeszłam do niego, po części by odebrać powitalny pocałunek, a po części dlatego, że rzadko zdarzało mi się być w jednym pomieszczeniu z Galenem i go nie dotknąć.

Dotykanie go było tak jak oddychanie; robiłam to od tak dawna, że nie umiałam przestać, a w każdym razie nie mogłabym przestać tego robić i żyć dalej. To, że on i ja od miesiąca byliśmy kochankami i właśnie pożegnałam się z płonnymi nadziejami na zajście w ciążę, stanowiło dla nas obojga powód do bólu i udręki, ale zarazem przyniosło nam głęboką ulgę. Kochałam Galena, kochałam go, odkąd miałam dwanaście, trzynaście lat. Niestety dopiero teraz, kiedy dorosłam, zdałam sobie w końcu sprawę z tego, co mój ojciec usiłował mi przekazać wiele lat temu. Galen był silny, odważny, zabawny, był moim przyjacielem i kochał mnie, ale był przy tym najmniej politycznie uświadomionym sidhe, jakiego kiedykolwiek spotkałam. Jako król byłby prawdziwą katastrofą. Za sprawą skrytobójców straciłam ojca, gdy byłam jeszcze bardzo młoda. Chyba nie przeżyłabym utraty kogoś równie bliskiego w ten sam sposób, a zwłaszcza Galena. Dlatego, choć cząstka mnie pragnęła, by na zawsze został w moim łóżku, był moim kochankiem i moim mężem, nigdy nie myślałam o nim jako o moim królu. Ale moim królem zostanie ten, kto zrobi mi dziecko. Nie ma dziecka, nie ma małżeństwa, tak to już było w królewskich rodach sidhe.

Oplotłam Galena ramionami, wsuwając ręce pod jego marynarkę, by poczuć ciepło jego ciała, wyczuwalne nawet przez koszulę. Wtuliłam twarz w jego tors, kiedy przytulił mnie do siebie. Ukryłam twarz przed jego wzrokiem, bo ostatnimi czasy coraz trudniej mi było maskować wyraz zatroskania w moich oczach. Galen był beznadziejny, jeżeli chodziło o politykę, ale lepiej od innych rozumiał moje nastroje i nie chciałam mu tłumaczyć tych szczególnych życiowych prawd, a przynajmniej jeszcze nie teraz.

Usłyszałam jego donośny głos tuż przy uchu.

- Maeve wróciła ze spotkania z szefami studia. Szlocha teraz jak bóbr w swoim pokoju.

- Zakładam, że spotkanie nie ułożyło się po jej myśli - mruknął Doyle.

- Ci ze studia nie są zadowoleni, że zaszła w ciążę. Na rzecz opinii publicznej nie posiadają się z radości, ale za zamkniętymi drzwiami szaleją z wściekłości. Jak ma nakręcić kolejny film, w którym miałyby zagrać wyjątkowo seksowną rolę z dużą liczbą rozbieranych scen, będąc w trzecim albo w czwartym miesiącu?

Odsunęłam się od niego na tyle, by móc spojrzeć mu w oczy.

- Mówisz serio? Biorąc pod uwagę, ile dzięki niej zarobili przez ostatnią dekadę, nie mogą sobie odpuścić jednego filmu?

Galen wrzucił ramionami; wciąż mnie obejmował.

- Przekazuję tylko najświeższe nowiny. Nie mnie je wyjaśniać. - Zmarszczył brwi i wyraz

zadowolenia znikł z jego oczu. - Myślę, że gdyby jej mąż wciąż żył... Chyba próbowali sugerować, że mogłaby zająć w ciążę innym razem.

Spojrzałam na niego, wybałuszając oczy.

- Aborcja?

- Nie powiedzieli tego głośno, ale wiadomo było, o co chodzi. - Zadrzał i przytulił mnie do siebie. - Kiedy Maeve przypominała im, że jej mąż nie żyje zaledwie od miesiąca, a to była jedyna szansa dla niej, aby mogła mieć z nim dziecko, uprzejmie ją przeprosili.

Powiedzieli, że nie chcieli tego sugerować. Kłamali w żywe oczy. - Ucałował mnie w czubek głowy. - Jak mogli zrobić jej coś takiego? Sądziłem, że jest ich wielką gwiazdą.

Objęłam go mocniej, wtulając się w jego ciało, jakbym mogła wyłuskać cały ten ból z jego głosu.

- Maeve opuściła dwa filmy, podczas gdy jej mąż umierał na raka. Chyba chcieli jak najszybciej zagonić swoją kurę znoszącą złote jajka z powrotem do roboty.

Galen oparł podbródek na moich włosach.

- Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś mógł z jakiegokolwiek powodu zrobić komuś coś takiego, jak oni jej dziś zrobili. Te aluzje, spojrzenia, zapewnienia, że wcale nie o to chodziło, a potem kłamstwa w żywe oczy. - Znów się wzdrygnął. - Nie rozumiem tego.

W tym właśnie sęk. Galen nie pojmował, jak ktoś mógł być tak podły. Aby przeżyć na większości aren władzy, musisz najpierw zrozumieć, że wszyscy kłamią, wszyscy oszukują i nikt nie jest twoim przyjacielem. Paradoks polega na tym, że nie wszyscy kłamią, nie wszyscy oszukują i niektórzy są twoimi przyjaciółmi. Problem polega na tym, że jedna uśmiechnięta twarz i uścisk dłoni są podobne do innych, a kiedy otaczają cię wytrawni kłamcy, jak masz odróżnić prawdę od kłamstwa, przyjaciela od wroga? Lepiej traktować wszystkich profesjonalnie, przyjaźnie, z uśmiechem i skinieniem głowy, pogodnie, ale nie uważać ich za przyjaciół. Bo tak naprawdę nie sposób stwierdzić, kto faktycznie jest po twojej stronie.

Galen nie umiał pojąć tej koncepcji. Potrzebowałam kogoś, kto to potrafił. Odwróciłam głowę na tyle, by ujrzeć Doyle'a stojącego po drugiej stronie pokoju. Był chłodny i ciemny, ale nie kojarzył mi się z napojem, który mógłby zaspokoić moje pragnienie, a raczej z bronią, która mogła ochronić wszystkich, których kochałam.

Stałam tam w ramionach Galena, ale wpatrywałam się w Doyle'a, a Mróz obserwował nas wszystkich. Mróz, którego po raz pierwszy zaczynałam kochać. Mróz, który właśnie uświadomił sobie, że powinien być zazdrosny o Galena i zawsze był zazdrosny o Doyle'a. Fey nie odczuwają zazdrości tak jak ludzie, ale gdy spojrzałam w szare oczy Mroza, zaczęłam podejrzewać, że być może sidhe stali się bardziej ludzcy, niż mi się wydawało.

Rozdział 6

Złota Bogini Hollywood leżała zwinięta w kłębek na satynowej kapie, którą przykryte było jej olbrzymie łóżko. To właśnie to łóżko dzieliła przez ponad dwadzieścia lat z nieżyjącym już Gordonem Reedem. zaproponowałam, żeby przeniosła się do nowej sypialni, dopóki nie ukończy choć odrobiny trawiącego ją bólu i smutku. Spiorunowała mnie wzrokiem i już nigdy nie podjęłam tego tematu.

Jej żakiet w kolorze nawłoci leżał porzucony na podłodze. Buty wykonane ze skóry tak miękkiej, że zdawała się sama oddychać, leżały tam, gdzie rzuciła je, kiedy się rozbierała.

Wciąż miała na sobie materiałowe spodnie pod kolor żakietu i miedzianej barwy kamizelkę, noszoną zamiast bluzki. Opaska na głowę, idealnie kolorystycznie dobrana do kamizelki, była ostatnią rzeczą, jaką cisnęła w kąt. Włosy miała rozpuszczone, rozrzucone wzdłuż krawędzi łóżka. Wciąż miały kolor roztopionego masła, co oznaczało, jak bardzo była wzburzona, ale ona ciągle

miała w zwyczaju marnować magię, by czarować swoim wyglądem. To właśnie ten urok sprawił, że przez ponad sto lat, odkąd została wygnana z Krainy Faerie, wciąż mogła uchodzić za istotę ludzką. Połowę tego stulecia była Złotą Królową Hollywood, Maeve Reed.

W poprzednich stuleciach była boginią Conchenn.

Za zamkniętymi drzwiami sypialni jej osobista asystentka, cała we łzach, załamywała ręce, bezradna. Maeve wykopała ją. Nicca stał przy drzwiach. Miał długie brązowe włosy i jasnobrązową skórę. Jego oczy także były koloru brązowego. Ze wszystkich strażników on najbardziej wyglądał jak człowiek, o ile nie mogłeś zobaczyć przywodzących na myśl skrzydła śladów na tylnej części jego ciała, subtelnych niczym najbardziej elegancki tatuaż świata. Gdyby nie genetyka, Nicca miałby prawdziwe skrzydła.

Przeprosił, że stoi tak pod drzwiami, ale Maeve trochę za bardzo się do niego przykleiła. Nie próbowała go uwieść, nic z tych rzeczy, ale chyba nie miałyby nic przeciw temu, gdyby właściwie zareagował. Nicca cenił sobie dyskrecję ponad męźność. Wcale mu się nie dziwiłam.

Maeve była boginią miłości i wiosny. Wciąż była w stanie korzystać ze swych niewątpliwych uroków. Mam na myśli urok w pierwotnym, magicznym znaczeniu tego słowa. Po raz pierwszy od dziesiątków lat była w swoim wielkim łóżku sama. Czowała się samotna i była w rui. Po długiej zimie przychodziła pora na nowe życie. Możesz walczyć ze swą naturą, ale w stresie nie jest to łatwe. A Maeve była w bardzo silnym stresie.

Pokój wypełnił odgłos jej cichego płaczu. Podeszłam do niej boso. Mocno przewiązałam paskiem mój czerwony szlafrok, ale nie miałam czasu, żeby się przebrać. Doyle i Rhys zostali w domku dla gości. Mieli się przebrać i pomóc Kittowi doprowadzić się do porządku. W tej sytuacji zostałam z Mrozem stojącym sztywno przy drzwiach, on jednak nie zbliżyłby się do łóżka, chyba że zmusiłabym go siłą. Nie dbał o kusicielski wpływ Maeve.

Mróz żył w celibacie przez jakieś osiemset lat. Radził sobie z tą karą, nie wdając się we flirty ani jakiegokolwiek gierki. Był taki, jak wskazywało na to jego imię, chłodny, zimny, lodowaty.

Galen także stał przy drzwiach, ale na spoczniej, nie na baczość, i z lekkim uśmiechem na twarzy. Jeżeli Maeve czyniła jakieś zakusy pod jego adresem, zatrzymał to dla siebie. Albo zaczęła od Nicci, kiedy znaleźli się sam na sam w jej sypialni, albo uznał ten fakt za nieistotny. Zgodziłam się z nim, Nicca miewa czasem dziwne napady paniki, nieraz już tak bywało, i to całkiem bez powodu.

Byłam już przy łóżku, zanim zaczęłam się zastanawiać, dlaczego Nicca był taki przejęty i zdenerwowany.

- Maeve - odezwałam się łagodnie, ale nie zareagowała. Powtórzyłam. Dotknęłam jej ramienia, a szloch wzmógł się jeszcze bardziej, jej ramiona zdrząły, całym ciałem wstrząsnęły spazmatyczne skurcze.

Pochyliłam się nad nią, objęłam i oparłam policzek o jej jedwabiste włosy.

- Już dobrze, Maeve, już dobrze.

Odwróciła się przede mną, tak że musiałam się lekko cofnąć, by zobaczyć jej twarz.

Odpuściła trochę z urokiem, bo jej oczy nie były już niebieskie i ludzkie jak w filmach, lecz prawdziwe, błyszczące, trójkolorowe. Najszersze obwódki miały barwę soczystego błękitu, a dwa węższe kręgi wokół jej źrenic odcienie jeden płynnej miedzi, a drugi płynnego złota. Co jednak czyniło jej oczy tak unikatowymi, to odcienie złota i miedzi wpływające na błękit tęczówek niczym smugi metalicznych błyskawic. Jej oczy były wycalowane piorunami, jakby sama Bogini zdecydowała, że mają to być najpiękniejsze oczy na świecie. Stałam przy łóżku, wpatrując się w nie, i na chwilę zatraciłam się w ich cudowności. Jej wilgotne od łez oblicze wydawała się przepełniać desperacją. Czy utraciła kontrolę nad urokiem, czy nie chciała ukazywać swoich oczu?

Schwyciła mnie za przegub. Poczułam tętno w koniuszkach każdego z jej palców jak maleńkie odrębne serca pulsujące tuż przy mojej skórze. I nagle zrozumiałam powód paniki Nicci. Maeve uklękła, wciąż trzymając mnie za nadgarstek. Na klęczkach była dość wysoka, by móc zbliżyć swoją twarz do mojej. Stałam nieruchoma, zastygła jak obrócona w kamień, nie z niezdecydowania, lecz za sprawą mocy. Mocy Maeve.

Zupełnie jakby wiosenny wietrzyk omiółtł moją skórę. Odrzuciłam głowę do tyłu i pozwoliłam, by ten wiatr odgarnął włosy z mojej twarzy. Otworzyłam oczy i spojrzałam w dół na Maeve. Ujrzałam, jak znika reszta jej uroku, jakby z jej ciała wypłynęła złocista poświata skóry. Jej włosy, które nagle stały się białoblonde, zaczęły falować pod wpływem tej ciepłej emanacji energii. Migoczące błyski w oczach pojawiały się raz po raz niczym pioruny wiosennej burzy nadchodzącej, by zmyć pozostałości po zimie. Odniosłam wrażenie, jakby moja skóra była nazbyt opięta wokół mego ciała, jak stary płaszcz. Czułam się jak zwierzę, które porzuca swój dawny kształt na rzecz czegoś lżejszego, czegoś, co powinno umieć fruwać.

Moja skóra załśniła, jakbym połknęła księżyc. Kilka kosmyków włosów wciąż tańczyło wokół mojej twarzy, jarząc się jak granaty i rubiny utkane z czegoś migoczącego i żywego. Poczułam, że moje oczy zaczynają lśnić, i wiedziałam, że błyszcząły, jakby czyjaś ręka rozcięła szmaragd, bryłę nefrytu i złota, które spajało je razem, a potem wypełniła je swym własnym ogniem.

Jej moc odarła mnie z całego uroku, pozbawiła mnie nawet tego, czym niemal bezwiednie otaczałam się na co dzień. Ciemna blizna w kształcie dłoni tuż pod moją piersią, na wysokości żeber, eksplodowała życiem jak mroczna niedoskonałość na tle całej tej świetlistej emanacji. Blizna oznaczała ślad po tym, jak inna Unseelie sidhe usiłowała wykorzystać swą magię, by zmiążdżyć mi serce. Połamała mi zebra, rozdarła mięśnie, ale nie ten mięsień, który chciała zniszczyć. Wiedziałam, że skoro widać było ślad czarnej ręki nad moimi żebrami, to i ślady na plecach również. To były blizny, nieznanne jednak człowiekowi czy nawet większości magicznego ludu. Kolejny pojedynek nie ułożył się po mojej myśli, gdy znajomy Unseelie próbował wymusić na mnie w trakcie walki zmianę kształtu. To by mnie nie zabiło. Tylko się ze mną bawił. Popisywał się swoją wyższością i wykazywał moje braki w magicznym wyszkoleniu. Wbiłam mu miecz w serce i umarł. Zginął, bo rytuały związane z pojedynekami były oparte na ceremoniałach krwi - jego i mojej. Krew śmiertelników osłabia nieśmiertelnych. To dość stara magia i tylko jej zawdzięczam życie.

Ukrywałam moje blizny nawet wśród magicznego ludu. Niedoskonałości nie są popularne wśród sidhe. Fakt, że odarto mnie z resztek maskującego uroku, sprawił, iż spróbowałam odsunąć się od niej, odzyskać to, co mi odbierała. Zamknęłam oczy, bo nie chciałam ujrzeć odrazy na jej twarzy. Wykrztusiłam tylko:

- Maeve. - Kiedy otworzyłam oczy, zobaczyłam jej twarz tuż przy swojej. Przez chwilę patrzyłam jej w oczy z tak bliska, że wydawały się wypełniać dla mnie cały świat roziskrzoną feerią burz, wichrów i barw. Oblizła wargi i ten jeden drobny ruch zwrócił moją uwagę. Nigdy dotąd nie zauważyłam, jak pełne miała usta, jakie były różowe i wilgotne. Jej wargi lśniły niczym soczysty różowy owoc i wiedziałam, że kryje on w sobie ciepły sok, który zaraz spłynie do moich ust, do mego gardła. Niemal poczułam ten smak. Jej oddech omiółtł moje usta, słodki niczym świeża trawa. Nasze wargi zetknęły się i świat nagle wypełnił się zapachem kwiecia. Tonęłam wśród kwiatów jabłoni, jakbym wpadła do jakiegoś czarodziejskiego sadu, gdzie zawsze była wiosna, stale coś się rodziło i wszystko było możliwe. Ujrzałam Maeve. Siedziała pod rozkwitłym drzewem. Za nią rozciągało się wzgórze, a ona miała na sobie zielono-złotą szatę ze świeżych liści. Tylko przy nadgarstkach i łonie dostrzec można było przebłyski białego płótna. Połyskiwało jak białe pióra w blasku słońca. Jej włosy opadały do kolan niczym struga białej spienionej wody. Skóra wydawała

się utkana ze słonecznych promieni, złota i tak świecąca, że nie sposób było zatrzymać na niej wzroku, a jednak nawet gdy zaczęły łzawić mi oczy, nie mogłam przestać na nią patrzeć.

Zaczął sypać śnieg. Zrobiło się chłodniej, płatki kwiatów posypały się z drzewa kaskadą różu i bieli, trawę przykrył śnieg.

Zimno, było tak zimno. Leżałam na wznak, wpatrując się w twarz Mroza. Wyglądał na zmartwionego, a w jego oczach wirowały płatki śniegu. Wlepiłam wzrok w biały puch i znów odniosłam wrażenie, że poza tym wirującym śniegiem dostrzegam jakieś miejsce. Że gdybym się wysiliła, zobaczyłabym je wyraźnie. Już się nie bałam. Wiedziałam, że mnie przywołał, że w jakiś sposób mnie ocalił. Poczułam na ramionach jego silne ręce, dotyk jego ciała przywierającego do mojego, i lęk ustąpił. Ujrzałam Mroza stojącego u stóp ośnieżonego wzgórza, którym był jego płaszcz, płaszcz ze śniegu, poruszający się wraz z nim. Jego włosy skrzyły się jak lód w promieniach słońca, a skóra świeciła jak śnieg, gdy tańczy po nim światło dnia. Ta jasność mogła oślepić, podobnie jak wpatrywanie się w słońce.

Płaszcz śniegu rozchylił się, jakby Mróz rozłożył ręce, a pod całą tą bielą kryła się kojąca ciemność. To był spokój zimowej nocy, gdy świat cały czeka, wstrzymując oddech.

Stałam w tej kojącej ciemności i nie czułam zimna, choć wiedziałam, że stoję po kostki w białym puchu. Wysoko w górze pojawił się księżyc, a biel śniegu stała się srebrzysta, znacznie łagodniejsza niż w świetle dnia. Wydawało mi się, że z tych niebieskawych cieni zimowej ciszy utkana zostaje jakaś postać. Drobniejsza niż ja, o długich cienkich ramionach i nogach dłuższych, niż być powinny, gdyby chodziło o istotę ludzką. Ale ta istota nigdy nie była człowiekiem.

Miał na sobie łachmany, lecz skrzyły się one w blasku księżyca tak, że blasku tego mogłyby im pozazdrościć najcudowniejsze brylanty. Jego skóra miała niebieskawy odcień cieni skąpanych w księżycowym blasku. Z twarzy przywodził na myśl uroczne dziecko.

Ciągnące się za nim włosy miały srebrzysty odcień szronu. Wyciągnął do mnie rękę o tak długich palcach, że musiały mieć dodatkowe stawy. Dotknął mej twarzy szczupłymi palcami.

Dotyk był ciepły. Spojrzałam w te szare oczy i się uśmiechnęłam.

Wtedy odwrócił się ode mnie i zaczął tańczyć boso po śniegu. Tam gdzie przeszedł, śnieg pozostawał czysty i nietknięty, jakby mężczyzna nic nie ważył. Dopiero teraz zrozumiałam, dlaczego znaleźliśmy się tu, pośród nocnej ciszy. Był mrozem, prawdziwym mrozem. Mrozem i szronem, który spowija świat, ale tylko wtedy, jeśli panuje na nim absolutny niezmacony spokój. Tak delikatne dzieło nie mogło przetrwać porywów silnego wiatru. Patrzyłam, jak tanecznym krokiem prześlizgiwał się po białym puchu, dopóki nie wtopił się w splechetek niebieskawego księżycowego cienia i zniknął.

Znów odzyskałam przytomność. Mróz wciąż mnie trzymał, ale tym razem w jego oczach nie było śniegu; oczy miał szare, w odcieniu zimowego nieba, a głos pełen napięcia, jak szept. Wydawało się, że boi się odezwać.

- Byłaś tak zziębnięta. Obawiałem się...

Nie dokończył. Gwałtownie zsunął się ze mnie. Przeszedł przez pokój i wyszedł, nie zamykając za sobą drzwi.

Galen podpełzł przez łóżko, by usiąść obok mnie. Nie dotknął mnie, co mogło wydawać się dziwne.

- Nic ci nie jest? - zapytał z powagą.

Musiałam zastanowić się nad pytaniem, co zazwyczaj oznaczało, że nie czułam się dobrze i coś ze mną było nie tak. Coś się wydarzyło, ale za groma nie potrafiłam powiedzieć co. Dwa razy próbowałam się odezwać, ale nawet gdy to mi się już udało, mój głos zabrzmiał

ochryple i dziwnie.

- Co się... - Przełknęłam ślinę i zakasłałam, usiłując odzyskać normalny głos. - Co się przed chwilą stało?

- Nie jesteśmy całkiem pewni - odparła Maeve z drugiego końca łóżka.

Spojrzałam na nią. Wciąż była boginią Conchenn o oczach wycelowanych błyskawicami, długich białoblonde włosach i złotej skórze, lecz nie jaśniała. Była piękna i urzekająca, ale moc przynajmniej na razie ją opuściła.

Wyglądała na zakłopotaną, co boginiom zdarza się nieczęsto.

- To moja wina. Pragnęłam pocieszenia i dotyku innego sidhe. Próbowałam uwieść Niccę, ale się nie udało. - Spojrzała na mnie wyniośle, lecz w jej spojrzeniu wciąż kryła się niepewność. - Nie przywykłam do tego, że ktokolwiek mnie odrzuca, zwłaszcza jeżeli tego kogoś pragnę. Pomyślałam, że mogłabyś podzielić się ze mną jednym ze swoich mężczyzn.

Ponownie spuściła wzrok, a potem spojrzała w górę. Wydawała się teraz bardziej zdeterminowana niż arogancka. Nie wiedziałam, czy wszystkie aktorki tak robiły, ale Maeve Reed umiała przechodzić od jednej emocji do drugiej w mgnieniu oka i wszystkie wydawały się autentyczne. Nie wiedziałam, czy zawsze była tak chimeryczna, czy tylko praca tak ją odmieniła.

- Wiem, że to było głupie i bezmyślne. Dałaś Gordonowi i mnie szansę, abyśmy mieli dziecko. Uczyniła to magia, twoja, Merry, i Galena. Jestem niewdzięczną suką i przepraszam.

- Nic nie szkodzi - odparłam głosem pełnym napięcia. Miałam zdarte gardło.

Spojrzałam na Galena, marszcząc brwi.

- Dlaczego boli mnie gardło?

Wymienili z Maeve spojrzenia. To była jedna z tych chwil, które mówiły więcej niż jakiegokolwiek słowa. Coś się wydarzyło, coś, czego nie pamiętałam, i to było złe.

- Po prostu mi powiedz. - Uniosłam rękę i dotknęłam jego ramienia.

Drgnął, jakbym go ugryzła, i usunął się poza zasięg moich rąk.

- Nie dotykaj mnie, Merry. Jeszcze nie.

- Dlaczego?

- Spójrz na kapę - powiedział - przy twojej głowie.

Odwróciłam głowę i zobaczyłam szeroką moką plamę na białawej pościeli.

Chrząknęłam, nic nie rozumiejąc, aż dotknęłam tej wilgoci i odkryłam w wodzie kryształki lodu. Spojrzałam na Galena.

- Dlaczego na łóżku jest roztopiony lód?

- Ponieważ go zwymiotowałaś.

Popatrzyłam na niego uważnie. Chciałam zapytać, czy żartował, ale nie musiałam tego robić. Wyraz jego twarzy mówił sam za siebie.

- Jak, dlaczego?

- Tego właśnie nie jesteśmy do końca pewni - odparła Maeve.

- Opowiedz mi o tym, czego jesteście pewni.

Obeszła róg łóżka i stanęła naprzeciwko mnie, nawet nie próbując bardziej się zbliżyć.

- Zamierzałam cię uwieść i udało się nawet lepiej, niż sobie zamierzyłam. Niekiedy zapominam, że jesteś po części człowiekiem. Użyłam mocy, jakiej mogłabym użyć wobec innej sidhe, innego bóstwa.

Skinęłam głową i nawet ten ruch wywoływał ból gardła.

- Pamiętam tę część, a potem to się zmieniło, stało się czymś innym. Widziałam cię siedzącą pod drzewem i nawet od samego patrzenia na ciebie rozboleły mnie oczy.

- Żaden śmiertelnik nie jest w stanie ujrzeć oblicza Boga i przeżyć - powiedział Galen.

- Co? - wymamrotałam.

Maeve oparła się o łóżko.

- Przez chwilę byłam Conchem. Tą, którą byłam kiedyś. Chyba prawie udało mi się o tym zapomnieć. Utrata faerie to względnie nowa rana, Merry, w porównaniu z utratą mojej boskości.

Zaczęła mnie boleć głowa.

- Obawiam się, że nie nadążam.

- Pozwól, że ci wyjaśnię. - Galen wydawał się pełen powagi, zdeterminowany, inny niż zwykle.

- Maeve wykorzystwała jej moce albo raczej to, co z nich zostało, jako bogini Conchem, aby spróbować cię uwieść. Ale ty przywołałaś większą moc. I uczyniłaś ją boginią.

Spojrzałam na niego rozszerzonymi oczami.

- Sądziłam, że kiedy utracisz boskie moce, nie możesz ich już odzyskać.

- Też tak myślałam aż do dzisiaj - rzekła Maeve.

Zmarszczyłam brwi.

- Poza tym tylko Bogini może uczynić cię bogiem.

- Wierzę, że to prawda - mruknęła Maeve. - Ale możliwe, że każdy może być naczyniem Jej mocy.

- Nie wszyscy - powiedział Galen. - Gdyby każdy mógł tego dokonać, stałoby się to już setki lat temu. - Spojrzał na Maeve, jakby powiedziała coś obraźliwego.

- Masz rację. Masz rację. Nie zamierzam umniejszać tego daru. Potrafię rozpoznać dotknięcie Bogini, kiedy je poczuję.

- Jakiej bogini? - spytałam.

- Danu - wyszeptała, a ten dźwięk zdawał się odbijać echem w całym pokoju.

Zamknęłam oczy, wzięłam głęboki oddech, wypuściłam powietrze, odliczałam powoli i znów zaczerpnęłam powietrza.

Otworzyłam oczy.

- Chyba mi się przesłyszało - powiedziałam. - Wydawało mi się, że powiedziałaś Danu.

- Właśnie tak.

Pokręciłam głową i tym razem wcale nie przejęłam się bólem gardła.

- Danu jest Boginią, na cześć której nadano nazwę Tuatha De Danaan, dzieciom Dany.

Ona jest Boginią. Nigdy nie była ucieleśniona.

- Nigdy nie twierdziłam, że była istotą cielesną - rzekła Maeve. - Powiedziałam, że dała mi boskość i tak właśnie było.

Posłałam jej pytające spojrzenie.

- Nie rozumiem.

- Przy okazji pierwszego paktu, jaki kiedykolwiek podpisaliśmy z Fomorami, obie strony opracowały pierwszą magię zrównującą. Umniejszyliśmy sobie, swoje moce, w przeciwnym razie nasze dwie rasy unicestwiłyby ziemię, którą teraz dzielimy. Danu, czy Dana, zgodziła się od nas oddzielić, abyśmy mogli rzucić silne zaklęcie. - Oczy Maeve zaiskrzyły się, ale były to łzy, a nie magia. - Nie sądzę, aby ktokolwiek z nas rozumiał, z czego zrezygnowaliśmy. Może z wyjątkiem samej Danu. - Usiadła na skraju łóżka i pozwoliła popłynąć łzom. Tym razem nie myślałam, że to wina ciężkiego dnia w pracy i hormonów związanych z dzieckiem. Myślę, że siedziała w Krainach Południa, na brzegu Zachodniego Morza i opłakiwała Boginię, która nigdy nie ujrzała Ameryki.

Rozdział 7

Doyle wszedł do pokoju, mając na sobie tylko stringi. Kabura podramienna objęła się luźno o

jego nagi tors, pistolet trzymał w dłoni, zaś aura mocy poprzedzała go niczym zapowiedź burzy. Rhys był tuż za nim, ubrany w białe płócienne spodnie i rozpiętą koszulę.

Miał w rękę pistolet, ale kabury nie zauważyłam. Moc Rhysa wmaszerowała do pokoju po cichu, na paluszkach.

Obaj stanęli w drzwiach, chyba wypatrując kogoś, kogo mogliby zastrzelić. Nicca nieomal wpadł na Rhysa, gdy wychodził. Był bardziej zdyszany niż tamci dwaj; oczywiście musiał pobiec w tę i z powrotem z gościnnego domku do głównej rezydencji, i to dwukrotnie.

- To nie zabójcy. Magia... Coś poszło nie tak.

Doyle i Rhys wyraźnie się rozluźnili. Doyle włożył pistolet do kabury, choć musiał użyć drugiej ręki, aby ją przytrzymać, bo paski uprząży nie były odpowiednio pozaciągane.

Rhys po prostu stał, powoli opuszczając broń przy udzie. Moce ich obu z wolna się uspokajały, niczym ocean cofający się od brzegu albo zmniejszenie poziomu zagrożenia z defcon 1 na defcon 3.

Ja leżałam na łóżku i obserwowałam ich. Gdy spróbowałam usiąść, poczułam silny ból w klatce piersiowej. Zupełnie jakbym czymś się zadławiła. Czymś dużym i bardzo solidnym. Poza tym nie czułam się źle. Wydawało się, że powinnam być zmęczona. Czyż nie powinno się odczuwać wyczerpania po uczynieniu kogoś bogiem?

Jeżeli rzeczywiście to zrobiłam...

W dalszym ciągu czekałam na przekonującą alternatywną teorię. Jeżeli ktoś miał ją wysnuć, to z pewnością Doyle. Jak na królewski dwór faerie, był on wyjątkowo praktycznym mężczyzną.

Stanął przy łóżku. Zdałam sobie sprawę, że byłam mokra od pasa w dół, jakbym chodziła w basenie, ale nie czułam zapachu chloru. I przypomniałam sobie o Kitcie. Miał

pomóc małemu goblinowi doprowadzić się do porządku. Zupełnie wyleciało mi z głowy, że dziś zyskał on swoją rękę mocy. Przyszła królowa nie powinna zapominać o takich rzeczach, prawda? Może nie myślałam tak trzeźwo, jak sądziłam.

- Co z Kitem? - zapytałam.

Doyle uśmiechnął się.

- Nic mu nie jest. Trochę zagubiony, ale dojdzie do siebie. - Uśmiech lekko przygasł. -

A jak ty się czujesz?

Wzruszyłam ramionami.

- Sama nie wiem. - Mój głos wciąż brzmiał ochryple, ale było mi już lepiej, odzyskiwałam dawne brzmienie. - Sądziłam, że wszystko w porządku, ale nie jestem pewna, czy myślę dostatecznie trzeźwo. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Przytaknął i odwrócił się do Maeve i Galena.

- Co się stało?

Oboje zaczęli mówić równocześnie i uciszył ich, unosząc rękę w górę.

- Panie mają pierwszeństwo. - Gestem dał jej znak, żeby wstała z łóżka, i przeszli na drugi koniec sypialni, by porozmawiać. Sypialnia była prawie tak samo duża jak moje dawne mieszkanie, więc miejsca do rozmów na osobności było tu pod dostatkiem. Rhys uśmiechnął się do mnie, po czym ruszył za nimi, zaciekawiony.

Zostałam sama z Galenem. Wciąż unikał ze mną fizycznego kontaktu. Bardzo go teraz potrzebowałam, pragnęłam odzyskać pewność siebie.

- Dlaczego nie chcesz mnie dotknąć?

Uśmiechnął się do mnie, ale dłonie trzymał zaciśnięte na podołku.

- Uwierz, trudno jest mi się pohamować, ale dotknęłaś Maeve. Ta potężna boska energia pojawiła się nie wiadomo skąd, a potem Mróz cię objął, aby powstrzymać Maeve, i to się

powtórzyło.

- Maeve chciała mnie wykorzystać?

- Sądziłam, że użyła wobec ciebie boskich uwodzicielskich mocy. Dopiero kiedy Mróz użył swoich zdolności, by przełamać to, co naszym zdaniem było jej urokiem, zrozumieliśmy, że w grę wchodzi coś zupełnie innego.

Wyciągnął rękę, by dotknąć mego ramienia, ale zaraz znów ułożył ją na podolku.

- Czuję, jak bardzo potrzebujesz bliskości i Wybranek mi świadkiem, że chciałbym cię teraz przytulić. Obawiam się jednak, że jeśli cię dotknę, to znów się powtórzy.

- Nie kupuję tego, że mogłabym przywrócić komukolwiek boskość - nieomal warknęłam.

Skinął głową.

- Wiem, ale Maeve twierdzi, że już to wcześniej przechodziła! Powinna znać to uczucie.

- Galenie, jestem śmiertelniczką. Pierwszą sidhe, która urodziła się śmiertelniczką, niezależnie, ile mam w sobie mieszanej krwi. Dłoń śmiertelniczki nie może sprowadzać mocy nieśmiertelnych. To nielogiczne.

- Jeżeli masz lepsze wyjaśnienie na to, co się właśnie stało, chętnie je usłyszę. - Jego zielone oczy barwy letniej trawy przeppełnił niepokój. - Przez chwilę myślałem, Merry... -

Przygryzł wargę, zanim dokończył: - Już myślałem, że cię straciłem. - Oparł się o mnie, jakby chciał pocałować, ale ręce trzymał przy sobie.

Chciałam dotknąć jego twarzy, ale wtedy Doyle zawołał z drugiego końca pokoju:

- Jeszcze nie, księżniczko. Bądźmy ostrożni, dopóki nie wysłuchamy tego, co ma do powiedzenia Galen.

Z wahaniem, niechętnie opuściłam rękę. To mi się nie podobało, ale uznałam, że lepiej nie ryzykować.

- Dobra.

Galen uśmiechnął się do mnie, ześlizgując się z łóżka.

- Tylko na razie, Merry, tylko na razie. - Podszedł do pozostałych tanecznym krokiem, jakby tańczył do muzyki, którą tylko on był w stanie usłyszeć. Czasami, kiedy mnie tulił, prawie mogłam ją usłyszeć. Prawie...

Nicca przystanął w nogach łóżka. Odzyskał oddech, ale wciąż wyglądał na przerażonego. Intelktualnie był o setki lat starszy od Galena, ale sprawiał wrażenie młodszego niż inni strażnicy. Wiek w latach nie zawsze odpowiada rzeczywistości. Wydawał

się bardzo młody i zatroskany, kiedy oparł swe mierzące metr osiemdziesiąt wzrostu ciało o skraj łóżka. Jego włosy opadały lśniąca brązową kurtyną niemal do kolan. Pozostawił je rozpuszczone, a ciemnobrązowe materiałowe spodnie od garnituru i marynarka przezierwały pomiędzy tych włosów ciemniejszym odcieniem brązu. Włosy okalały podkoszulek barwy mchu, toteż bardziej niż zazwyczaj mogłam popodziwiać jego klatkę piersiową. Podkoszulek był z jedwabiu, prezent od Maeve. Podarowała wszystkim mężczyznom jedwabne podkoszulki w różnych odcieniach dla podkreślenia barwy ich skóry. Zabrała mnie kiedyś na zakupy do swoich ulubionych sklepów zgodnie z teorią, że jako kobieta będę szczęśliwsza, mogąc sama wybrać sobie ciuchy, mężczyźni natomiast woleli, gdy dokonuje się wyboru za nich. Miała rację, choć nie do końca. Mimo że wszyscy przyjęli podarunki, zaczęli wymieniać się później nimi między sobą, aż wszyscy byli zadowoleni.

Koszulka barwy mchu pierwotnie była przeznaczona dla Galena, ale lepiej wyglądała na Nicce, wydobywając ciemny brąz jego skóry. W tej koszulce Galen wydawał się zielony.

Teraz to soczystobrązowe ciacho siedziało w markowym garniturze na drugim końcu łóżka.

Odgarnął włosy odruchowo, jak kobieta.

- Wyglądasz lepiej niż kilka minut temu.

W jego głosie wyczuwało się lekkie drżenie.

- Jak wyglądałam?

Zamrugnął i odwrócił wzrok, jakby wiedział, że to, o czym myślał, odzwierciedlało się na jego twarzy.

- Błada, bardzo, ale to bardzo blada.

Znów na mnie spojrział, sądząc, że zachowuje pokerową twarz, ale tak nie było. Skóra wokół jego oczu była zbyt napięta, a w tej brązowej doskonałej głębi tęczy dało się wyczuć nadmiar zatroskania. Spojrział w stronę drugiego końca pokoju. Grupka już się rozdzieliła.

Doyle zerknął na mnie, a jego twarz była nieprzeniknionym mrokiem. Mogłabym grać w pokera z Niccą czy z Galenem każdego dnia, ale nigdy z Doyle'em. Kiedy nie chciał, abym poznała myśli, potrafił je skutecznie tuszować.

- Meredith, księżniczko, musimy zrozumieć, co się dzieje, ale nie przychodzi mi do głowy nic, co mogłoby zapewnić ci bezpieczeństwo, a równocześnie zgłębić ten problem.

Próbowałam odczytać coś z jego ciemnego oblicza, ale nie potrafiłam.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Doyle?

- To, że musimy eksperymentować, a nie wiem, co z tych eksperymentów wyniknie.

- Eksperymentować, ale jak? - zapytałam.

- Maeve uważa, że ponownie obudziłaś w niej prawdziwą magię - jej boskość, z braku lepszego określenia. Prawdę mówiąc, była kiedyś boginią, więc po prostu zwróciłaś jej to, co utraciła. Mróz jednak nie był bóstwem i dałaś mu moce, które nigdy nie krążyły w jego ciele.

- Powiedział to posępnym tonem, a wyraz jego twarzy się nie zmienił.

- Wysunęła pewną teorię na ten temat. Wspomniała nawet przy okazji imię bogini, ale, Doyle, ja nie jestem Danu. Nie jestem bóstwem. Jak to mogłoby być prawdą?

- Kiedy walczyliśmy z Bezimiennym, wykorzystał przeciwko nam wszystkim nieokiełznaną magię. Myślę, że pewne moce potrzebowały boskiego naczynia, aby ją przechować. Maeve została zabrana w bezpieczne miejsce, zanim jeszcze walka dobiegła końca. Ty byłaś jedynym naczyniem w kształcie bogini, Meredith. Byłaś najbliżej tego, czego potrzebowała moc i co była w stanie odnaleźć.

Zamrugnęłam, patrząc na niego. Byłam już zmęczona leżeniem na łóżku. Jeżeli miałam wysłuchiwać podejrzanych teorii filozoficznych, to na pewno nie leżąc na wznak.

Spróbowałam usiąść. Jęknęłam z bólu, ale się nie poddałam. Nicca spróbował mi pomóc.

Doyle chciał go powstrzymać. Zmitygował się jednak i gestem dłoni zezwolił na okazanie mi pomocnej dłoni.

Nicca dotknął mego ramienia, podtrzymał mnie; to był tylko ciepły dotyk. Nie było w nim magii, jedynie dotyk skóry przylegającej do drugiej. Nicca poprawił poduszki, abym mogła usiąść i wygodnie się oprzeć. Gdy po pierwszym kontakcie nic się nie wydarzyło, dotknął mnie tak, jak tego potrzebowałam, przytulił mocno, aż zrobiło mi się lepiej, a w każdym razie lepiej niż dotychczas.

- Gdyby dotknięcie Nicci spowodowało kolejną kulminację mocy, nie wiem, co byśmy zrobili, skoro jednak Nicca może cię dotykać bez przeszkód, to myślę, że reszta z nas również jest bezpieczna, a w każdym razie powinniśmy się o tym przekonać. - Uniósł rękę i Maeve stanęła obok niego. - Dotknij jej.

Maeve nie przywykła, by wydawano jej rozkazy. Zaraz potem jednak wzięła głęboki oddech i przepełzła na skraj łóżka.

Zawahała się na chwilę, obserwując moje oblicze.

- Zrób to - powiedziałam.

Usłuchała.

Wnętrze jej dłoni było ciepłe, suche, miękkie, ale to wszystko. Nie było emanacji myśli, która by temu towarzyszyła. Obie spojrzałyśmy na Doyle'a, podczas gdy jej dłoń wciąż spoczywała na moim ramieniu.

- Nic się nie dzieje - oświadczyła.

- Spróbuj małej eksplozji mocy - rzekł Doyle.

- Myślisz, że to bezpieczne? - zapytał Rhys.

- Musimy wiedzieć.

- Ona sporo dziś przeszła. Dopóki wszyscy możemy jej dotykać, myślę, że powinniśmy eksperymentowanie z mocą odłożyć na później.

Doyle odwrócił się w jego stronę.

- Rhys, dziś twoja kolej na spędzenie nocy z księżniczką. Czy naprawdę wierzysz, że nie będzie wam towarzyszyła emanacja mocy?

Rhys łypnął na niego gniewnie. Dłoń, w której nie trzymał pistoletu, zacisnęła się w pięść. Milczał przez pełną minutę, po czym wolno, z wahaniem odrzekł:

- Nie.

- Żaden z nas nie może z nią być, Rhys. Musimy wiedzieć już teraz, gdy jest nas wielu gotowych do pomocy, czy nasza magia znów to spowoduje... Czymkolwiek to jest.

- Mówiłam ci, czym to jest, Doyle - powiedziała Maeve. - Dlaczego nikt z was mi nie wierzy?

- Nie wątpię w twoje słowa, Maeve, ale boskość zawsze była ofiarowywana jako dar, coś, na co trzeba zasłużyć. Takie rzeczy nie dzieją się przypadkiem. Meredith nie sprowadziła tego na ciebie i Mroza celowo. - Spojrzał na mnie i uniósł brew. - Nie zrobiłaś tego rozmyślnie, prawda?

- Nawet przez myśl by mi to nie przeszło - odparłam.

Odwrócił się do Maeve, najwyraźniej usatysfakcjonowany moją odpowiedzią.

- Musimy zrozumieć, co było tego przyczyną, gdyż nie możemy sobie pozwolić na utratę Meredith, nawet gdyby to uczyniło z nas wszystkich podrasowanych bogów.

- Źle do tego podchodzisz - szepnęła Maeve.

Doyle spojrział na nią i widziałam, jak wielu dworskich wielmożów usychało pod wpływem tego spojrzenia. Maeve nawet nie drgnęła. Objęła mnie ramieniem i przytuliła się do mnie, a na jej ustach pojawił się lekki uśmiezek.

- Moc Danu pojawiła się dopiero, gdy zaczęliśmy się całować.

- Przestań powtarzać to imię - poprosiłam. Nie mogłam dłużej słuchać o magii Bogini, którą w sobie nosiłam. Wiem, że zgodnie z teorią wszyscy jesteśmy Boginią albo raczej uosobieniem Jej boskiej doskonałości. Tyle że teoria to jedno, a naprawdę posiadać i móc wykorzystywać tę potęgę to całkiem coś innego.

- Dlaczego? - spytała Maeve, szczerze zakłopotana.

Galen uniósł rękę.

- Och, ja mogę odpowiedzieć na to pytanie.

Maeve spojrzała na niego pytająco.

- Merry boi się, że ma w sobie Boginię.

- Wcale nie - zaoponowałam.

- Że masz w sobie moc Bogini - poprawił z lekką ironią w głosie.

- Może nie tyle się boję, ile raczej czuję pewien niepokój - podpowiedziałam.

- Powinnaś czuć się zaszczycona - rzekła Maeve.

- Jestem zaszczycona - zgodziłam się - ale ten zaszczyt omal nie kosztował mnie życia.

Maeve nagle spoważniała.

- Owszem, i to byłaby moja wina.

- Wcale nie.

- Igrałam z tobą moją magią, Merry. Próbowałam cię uwieść, bo wszyscy mężczyźni odrzucali mnie dla ciebie. - Ucałowała mnie w czubek głowy.

Pomyślałam: „Skoro nie możesz ich pokonać, przyłącz się do nich”.

Mocno mnie uściskała.

- Pragnę ciała sidhe, Merry. Pragnę lśnienia dorównującego mojemu własnemu, by rzucać cienie na ścianach w ciemności. - Głos miała pełen przejęcia.

- Czy zadowolisz się pocałunkiem? - zaproponowałam, a mój głos wydawał się zduszony przez jej ramię.

Odchyliła się i uśmiechnęła.

- Jeżeli będzie się z tym wiązać magia, to tak.

- Myślę, że jeśli nie będzie się z tym wiązać magia, nie będziemy wiedzieć, czy energia Bogini ponownie się objawi.

Uniosła idealnie wygiętą brew.

- Chyba nie.

- Czy w przypadku Mroza to także był pocałunek mocy? - zapytał Doyle.

- Tak - odparli równocześnie Maeve i Galen.

- Mróz uwolnił cię od mocy Maeve i wyglądało to tak, jakby sam nie mógł się jej oprzeć. - Galen spojrzał w głąb pokoju, jakby wizualizował, co się wydarzyło. - To spojrzenie pojawiło się na jego twarzy tuż przed tym, jak się pochylił i pocałował ją. - Zamrugał i przeniósł wzrok na Doyle'a. - Wyglądał, jakby rzucono na niego czar.

- Gdzie jest teraz? - zapytał Doyle.

Nikt nie znał odpowiedzi.

- Do kroćset - rzucił Doyle. - Nicca, Galen, przyprowadźcie go tutaj.

Nicca odwrócił się w stronę drzwi, ale Galen się zawahał.

- A gdyby Merry nas potrzebowała?

- Idźcie - rzekł Doyle. - Ale już. - To była propozycja nie do odrzucenia.

Galen spojrzał na mnie raz jeszcze, po czym dołączył do Nicci przy drzwiach i obaj pobiegli szybkim truchtem.

- Nie chciał przegapić widowiska - powiedział Rhys.

- Jakiego widowiska? - spytałam.

- Dwóch najpiękniejszych kobiet, jakie znam, zamkniętych w uścisku. Za oglądanie takich rzeczy niejedynemu byłoby gotów słono zapłacić.

Pokręciłam głową. Siedząc przy Maeve Reed, uosobieniu urody Seelie, nie czułam się piękna. Coś musiało pojawić się na mojej twarzy, bo Maeve dotknęła mego podbródka i lekko się uśmiechnęła.

- Jesteś piękna, Merry, uwierz mi, byłam kiedyś boginią piękna, więc wiem, co mówię.

- Wyglądam zbyt ludzko - powiedziałam półgłosem.

- Dlaczego twoim zdaniem nasi mężczyźni od stuleci porywali ludzkie kobiety? Bo są brzydkie? - Zachichotała i z lekkim przekąsem w głosie rzekła: - Merry, Merry, powinnaś znać swą wartość.

Złociste światło zaczęło pulsować pod jej skórą, jakby ktoś zapalił w jej wnętrzu świecę. To

światło zbliżało się, przepływało przez jej ciało, rozplątało po nim, aż zalśniła, jakby miała w sobie słońce.

Moc zadrżała, zafalowała, przenikając mnie, wywołując szybsze bicie serca i spod mojej skóry także jął sączyć się blask, blade światło niczym poświata księżycyca w porównaniu do jej potęgi słońca.

Jej włosy zaczęły falować poruszone wiatrem, ciepłym wiatrem. Oczy wypełniła jasność i znów było tak, jakbym patrzyła w samo serce wiosennej burzy, pełnej błyskawic rozdzierających niebo, ale zamiast deszczu spłynęła na mnie jej moc. Odwróciłam głowę, unosząc ją ku tej mocy, jakby faktycznie mogła na mnie spłynąć.

Jej dłonie zacisnęły się na mojej nagiej skórze, jakbym nie miała na sobie stroju kąpielowego. Wzięła mnie w ramiona, a ja nie opierałam się, moje dłonie ślizgały się po ciepłej skórze jej gołych ramion. To nie w porządku, że miała na sobie tyle ciuchów.

Musiałymy dotykać większych obszarów skóry.

Zdałam sobie sprawę, że odczuwam należący do Maeve głód skóry. Jej potrzebę bliskości ciałem sidhe. Pamiętałam ten głód aż za dobrze, zaspokojono go we mnie zaledwie cztery miesiące temu. Nie potrafiłam powiedzieć, czy były to moje odczucia, czy jej. Działo się tak przez jej magię. Projekcja jej pragnień i uczynienie ich moimi.

Sięgnęłam w stronę guzików jej kamizelki, ale były zbyt małe, zbyt trudne do rozpięcia. Zacisnęłam dłonie na materiale i szarpnęłam mocno. Guziki posypały się we wszystkie strony, uderzając przy wtórze cichego trzasku o ściany, łóżko i trafiając również w mężczyzn.

Maeve jęknęła, rozszerzając oczy i poddając się pragnieniu. Piersi miała stożkowate, z dużymi, okrągłymi sutkami, które zdawały się lśnić, jakby wykuto je z jakiegoś rzadkiego czerwonego, drogiego kamienia. Przesunęłam dłońmi po jej nagim brzuchu. Biała poświata moich rąk sprawiła, że złoty blask jej skóry, pulsujący i słabnący, zaczął przybierać na sile pod wpływem mego dotyku i tracić moc, gdy dotykałam dłońmi jej rozpalonej talii.

Przesunęłam dłonie wyżej, aż moje kciuki i palce spoczęły tuż poniżej piersi. Gdyby dotknął mnie mężczyzna, moje piersi opadłyby na jego dłonie, ale biust Maeve był drobny i sprężysty, a poza tym wciąż pozostawał nietknięty.

Poświata jej magii pulsowała pod moimi dłońmi coraz mocniej i mocniej, jakby usiłowała rozpalic jej ciało poniżej biustu.

- Proszę! - jęknęła.

W tym momencie uświadomiłam sobie, że uwolniłam się od jej pragnień, nie traktując już ich jak swoje. Byłam silnie związana mocą, ale jedno nie ulegało wątpliwości: gdybym jej dotknęła, to tylko z własnej woli.

Spojrzałam na nią, odchylając głowę i mrużąc powieki. Jej pragnienia wciąż przepelniały powietrze niczym piżmowa woń, teraz jednak mogłam oddychać, nie zatracając się w niej. Spojrzałam na złocistą aurę mocy pod moimi dłońmi i zastanawiałam się, jakby to było poczuć tę moc na swoich piersiach. Tyle przynajmniej mogłam jej dać.

- Pocałuj mnie, Maeve - powiedziałam.

Otworzyła oczy na tyle, by spojrzeć w moją stronę, ale nie mogła się skupić; dotyk magii i skóry na wpół ją pochłonał.

- Pocałuj mnie - powtórzyłam.

Pochyliła głowę, a ja czekałam, czekałam, aż nasze usta się zetknęły, a wtedy zaczęłam pieścić dłońmi wzgórki jej piersi. Mocniej przywarła ustami do moich warg, pocałunek stał się czymś głębokim i nagłym, a wówczas moje dłonie odnalazły twardość jej sutków i nagle jakby cały świat

ekspłodował. Moc cisnęła nas do tyłu na łóżko, tak że Maeve wylądowała na mnie. Wciąż trzymałam ręce na jej piersiach, ale czułam się, jakby kopnął mnie prąd i nie mogłam się od niej uwolnić.

Jakaś cząstka mnie wcale nie chciała się uwolnić. Ta cząstka pragnęła zatopić się w jej złocistej poświacie i zatracić w niej. Unosiła się nade mną rozdygotana, wrzeszcząca, szarpiąc moje dłonie, które zdawały wtapiać się w jej ciało. Ocierała się o mnie biodrami i gdybym była mężczyzną, zrobiłaby mi coś złego. Ale nie byłam mężczyzną, a jakaś część mojej magii powstrzymywała jej zdumiewający orgazm przed przejściem na mnie. Moc falami przepływała przez moje ciało, podczas gdy Maeve tańczyła nade mną, ale ta ostateczna rozkosz należała tylko i wyłącznie do niej. Nie wiedzieć czemu wydawało się to właściwe.

Tak długo czekała...

W którymś momencie otworzyła oczy i musiała zobaczyć moją twarz. Zrozumiała, że dawałam, nie biorąc w zamian, i to się jej nie spodobało.

Przyłożyła rękę do mego brzucha. Jej dotyk sprawił, że moja biała poświata rozjarzyła się mocniej. Zupełnie jakby dotknęła mnie fala wiosennego ciepła, coś ciężkiego i żywego, co pulsowało i drżało tuż przy mojej skórze. Potrzebowałam chwili, by zastanowić się, czy tak właśnie czuła dotyk moich dłoni na swoich piersiach, kiedy wsunęła rękę pod moje bikini i jej palec wślizgnął się między moje uda. W chwili kiedy ta pulsująca, rozdygotana moc prześlizgnęła się po moim ciele, poczułam rozdzierający, nadchodzący falami orgazm, jakby jej dotyk był kamieniem ciśniętym do głębokiego jeziora i każda zmarszczka na wodzie była kolejnym kręgiem rozkoszy, a w miarę jak kamień pogrążał się coraz głębiej, rozkosz przybierała na sile. To było jak kochanie się i pieszczenie równocześnie.

Odzyskałam świadomość, wciąż leżąc na łóżku, przygnieciona ciałem Maeve. Nie słyszałam jej urywanego oddechu, gdyż nadal miałam w uszach odgłos własnego tętna, ale czułam, jak jej pierś unosi się i opada, gdy próbowała oddychać i gdy obie walczyłyśmy o oddech, zdyszane jak po długim biegu.

Kiedy znów odzyskałam słuch, pierwsze co wychwyciłam, to jej szaleńczy oddech i urywany śmiech. A potem głos Rhysa:

- Nie wiem, czy mam płakać, czy bić brawo.

- Płakać - odrzekł Galen - bo przegapiliśmy całe widowisko.

Odwróciłam głowę, co kosztowało mnie więcej wysiłku, niż powinno. W końcu spojrzałam na pokój przez mgiełkę białoblonde włosów Maeve. Przełknęłam ślinę i spróbowałam się odezwać, ale to wciąż było ponad moje siły.

Galen, Nicca i Mróz stali w drzwiach, Rhys i Doyle przy łóżku, ale nie na tyle blisko, by mogli zostać przypadkiem dotknięci.

Maeve odnalazła głos przede mną.

- Zapomniałam, zapomniałam. Błogosław mnie, Bogini, zapomniałam, jak to może być z inną sidhe. - Stoczyła się ze mnie powoli, niezdarnie, jakby jej ciało nie funkcjonowało właściwie. Odwróciła się i spojrzała na mnie, a potem uśmiechnęła się, usiłując odzyskać ostrość widzenia. - Byłaś cudowna.

- Przypomnij mi, żebym następnym razem, kiedy poproszę o pocałunek, wyraziła się bardziej konkretnie - wyszeptałam.

Zaśmiała się i zaraz zakasłała.

- Mam sucho w gardle.

To zabawne, ale czułam się podobnie.

- Nicco - odezwał się Doyle - przynieś paniom wody.

Kiedy Nicca wyszedł z pokoju, głos zabrał Galen.

- Na korytarzu rośnie drzewo. Chyba jabłoń. Przebiło się przez kamienną podłogę w basenie i zanim dotarliśmy na górę, zrobiło dziurę w posadzce.

Rhys wyrzwał na korytarz.

- Zaczyna kwitnąć.

Od strony drzwi napłynął aromat kwiatów jabłoni.

Doyle spojrzął na nas, na mnie.

- Jak się czujesz?

- Lepiej. Gardło już mnie nie boli.

Podał mi rękę, a ja skorzystałam z jego pomocy i pozwoliłam, by podniósł mnie z łóżka. Kolana miałam jak z waty, a od upadku na podłogę ratowało mnie tylko to, że obejmował mnie w talii. Wziął mnie na rękę. Byłam tak wyczerpana, że mogłam się tylko przytulić do jego nagiego torsu. Miałam chęć pobawić się srebrnym kolczykiem w jego sutku, ale zabrakło mi sił. Poczulałam się zmęczona. Przyjemnie, ale mimo wszystko zmęczona.

Wyniósł mnie na korytarz, mijając różowo-białą masę kwiecica, która niemal całkiem wypełniła przejście. Zatraciłam się znów w aromacie kwiatów jabłoni i przez chwilę przepłynęła przeze mnie moc, silny impuls, który sprawił, że Doyle aż się potknął.

- Ostrożnie, księżniczko, nie chcesz chyba, abym cię upuścił.

- Przepraszam - wykrztusiłam. - To było niechcący.

Zauważyłam nierówność schodów i dostrzegłam szary pień drzewa, zanim dotarliśmy do przesuwanych szklanych drzwi, ale ostatnie, co zapamiętałam, to błysk błękitnej wody i światło słoneczne płynące od strony basenu. Potem zamknęłam oczy, wtuliłam się w Doyle'a i przestałam walczyć. Sen owładnął mną błyskawicznie, tak głęboki i nieodparty jak nigdy dotąd. Czy bogowie dobrze śpią nocami? Myślę, że tak.

Rozdział 8

Śniłam.

Stałam na wzgórzu z zaokrąglonym wierzchołkiem i patrzyłam na rozciągającą się przede mną rozległą, otwartą równinę. Obok mnie stała kobieta, ale nie widziałam jej twarzy.

Nosiła szary płaszcz; może był czarny albo zielony. Im bardziej starałam się jej przypatrzeć, tym bardziej gęstniały otaczające ją cienie. Jej twarz była ukryta w cieniu kaptura. Trudno mi było określić jej wiek, ale nie była młoda. Sprawiała wrażenie kogoś, kto widział dużo różnych rzeczy i nie zawsze przyjemnych. Jednego byłam pewna: nie znałam jej.

W dłoni trzymała starą, czarną laskę. Wykonała pustą ręką zamaszysty gest w stronę równiny. Doyle szedł po trawie, a wokół niego kręciły się ogary, wielkie czarne psiska z gorejącymi ślepiami. Zęby Gabriela, Ogary Piekieł, lawirujące wokół niego jak cienie i dym.

Trzymały się tak blisko, że mógł pogłaskać je po głowach i grzbietach. W kłębie miały więcej niż ja w talii.

W pewnej chwili przystanął, rozluźniony. Ogary znikły w okamgnieniu. Ujrzałam też Galena. Z miejsc, gdzie stawał stopy, wyrastały drzewa, całe puszcze, a w tychże lasach pojawiały się dzieci. Dotykały go i ciągnęły za ramiona. Głaskał ich główki, policzki, bawił

się z nimi w berka pośród drzew i kwiatów. Jeden z małych chłopców dotknął drzewa i jego dłoń zaśniła złociście.

Spomiędzy drzew wyłonił się Nicca, a spod jego stóp wyrastały kwiaty. Spotkał się z Galenem i dziećmi i przez chwilę wspólnie się bawili. Po drugiej stronie równiny, z dala od tej sielankowej

sceny, pojawił się Rhys. Stał na czele wielkiej armii. Nie wiem skąd, ale wiedziałam, że jest to armia umarłych. Kiedy jednak na mnie spojrział, miał oboje oczu, a jego blizny zniknęły. Wiedziałam, że to nie był czar, że naprawdę został uleczoney. W rękę dzierżył

młot emanujący własnym blaskiem. Na ziemi leżały ciała, ranni. Dotykał ich kolejno trzonkiem młota i jeden po drugim powstali uleczeni.

Kobieta obróciła mnie i dostrzegłam Kitta. Świecił, będąc w pełni sidhe, ale towarzyszyła mu gromada goblinów. Uniósł dłoń i z jego ręki wytrysnęła struga białego, oślepiającego światła, dosięgającego armii, naprzeciw której stali. Gobliny powtarzały jego imię jak modlitwę. Z daleka widziałam pełzające w trawie węże. Na rozkaz Kitta kasały wrogów. Intruzi poszli w rozsypkę, pierzchając w panice, a gobliny ruszyły w ślad za nimi, siekąc tych, co jeszcze pozostali.

Kobieta poruszyła się, zwracając na siebie moją uwagę. Jej laska stała pośrodku wzgórza wbita w ziemię i nagle przemieniła się w olbrzymie rozłożyste drzewo, stare i pierwotne. Kobieta włożyła rękę do otworu w pniu, a gdy ją wyjęła, trzymała lśniący kielich; srebrny i wysadzany drogimi kamieniami. Naczynie błyszczało jak skóra sidhe, kiedy przenika ją moc. Poświata zmieniała się w blask i niebawem kielich jarzył się w jej dłoniach niczym pulsująca, świecąca gwiazda. To światło zdawało wysączać się z naczynia.

Podsunęła kielich w moją stronę.

- Pij. - To słowo poniosło się echem ponad równiną. Ani przez myśl mi nie przeszło, by odmówić. Przyłożyłam dłoń do jej dłoni zaciśniętych na kielichu i stwierdziłam, że skórę miała miękka i kruchą ze starości. Była stara, dużo starsza, niż sądziłam. Wspólnie uniosłyśmy kielich do moich ust, a światło wewnątrz było tak silne, że przez chwilę nie widziałam nic prócz złotego blasku, tak ciepłego, tak kojącego, tak idealnego. Wypiłam z kielicha i poczułam się, jakbym skonsumowała moc albo światło.

Opuściła naczynie, ale wciąż trzymałam ręce na jej dłoniach. W jednej chwili jej ręce zmieniły się. Były teraz młode, silne, o czystych, delikatnych palcach. Wiatr omiótł

wierzchołek wzgórza, szeleszcząc wśród liści. Uniosłam wzrok i ujrzałam martwe drzewo uginające się pod ciężarem świeżych letnich liści. Pień zasklepił się, z wyjątkiem małego otworu, przez który z ledwością mogłabym wsunąć palec. Na jednej z gałęzi, gdzieś wysoko, przysiadł ptak i zaczął swoje trele. Nieopodal przebiegła wiewiórka.

Kobieta ścisnęła moją rękę. Przez chwilę ujrzałam jej oblicze. To byłam ja. Moja twarz...

Obudziłam się gwałtownie w obcym łóżku. Serce waliło mi w piersiach. Czułam się świetnie, odświeżona i przerażona zarazem.

Rhys odwrócił się do mnie, jego białe włosy błyszczały w blasku księżyca.

- Merry, dobrze się czujesz?

Już miałam odpowiedzieć, że tak, gdy nagle poczułam, że coś uciska mnie w biodro.

Sięgnęłam pod koc i dotknęłam czegoś twardego i metalicznego. Jednym ruchem odgarnęłam koc i ujrzałam leżący tam, lśniący łagodnie kielich z mojego snu.

Rozdział 9

Pół godziny później zebraliśmy się wszyscy, łącznie z Sage'em, w kuchni. Gdyby był większy niż lalka Barbie, byłby nawet przystojny, o ile lubisz typ szczupłego żółtoskórego faceta, ale musiałam przyznać, że żółto-czarne skrzydła jak u jaskółki wyglądały naprawdę uroczo.

Mógł osiągnąć wzrost zbliżony do mojego, dzięki odmianie zmienności kształtu mniej zaskakującej niż ci z nas, którzy potrafili przyjmować postacie zwierząt, ale był to rzadki dar polegający na zmianie z małego fey w fey wielkości człowieka. Był tym, co można by określić mianem ambasadora pół-fey Unseelie i przedstawiciela ich królowej Niceven.

Zawarłam z nimi sojusz. Zgodzili się przestać szpiegować dla mego kuzyna Cela i jego sprzymierzeńców i zaczęli szpiegować dla mnie. Wciąż szpiegowali dla mojej ciotki, królowej Andais, która powinna być moją sojuszniczką. Bywały dni, kiedy się nad tym zastanawiałam, ale nie dziś. Tego wieczoru mieliśmy dość problemów bez przejmowania się tym, kogo Andais chciała widzieć w roli swojej następczyni.

Kielich stał pośrodku stołu w wyłożonej kafelkami kuchni i w tym na wskroś współczesnym miejscu wyglądał przeraźliwie obco. Doyle rozłożył na stole jedwabną poszewkę, ale nawet czarny jedwab nie sprawił, że kielich wydał się komukolwiek mniej obcy. Puchar stał na stole, a w świetle sufitowej lampy wyglądał na to, czym był, czyli prastarą relikwią mocy. To naczynie potrzebowało solidnego, masywnego stołu, jak ten w jadalni, z akrami lśniącego, twardego drewna i zawieszonym na ścianach orężem oraz tarczami. Koci zegar na ścianie z kołyszającym się ogonem i przesuwanymi się ślepkami też nie komponował się z kielichem, ale pasował do białych pojemników z czarno-białymi namalowanymi na nich kociętami. Maeve nigdy nie miała kota, ale założę się, że dekorator wewnątrz miał, może nawet kilka.

Galen zaparzył kawę i herbatę oraz zrobił gorącą czekoladę. Siedzieliśmy wszyscy skuleni nad kubkami z napojami. Nikt się nie odzywał. Tykanie zegara tylko wzmagало ciszę.

- Kiedyś to był kociołek - rzekł Doyle i nie byłam jedyną, która zalała sobie herbatą przód ubrania.

Galen przyniósł papierowe ręczniki dla wszystkich, którzy tego potrzebowali. Mróz zaklął z cicha, lecz siarczyście, wycierając przód swego szarego jedwabnego szlafroka.

Wszyscy mieliśmy na sobie jedwabne szlafroki z monogramami. To były podarunki od Maeve. Któregoś dnia wyszliśmy do swoich zajęć, a kiedy wróciliśmy, czekały na nas prezenty.

Sage nie dostał prezentu. Chyba dlatego, że był pół-fey, a większość sidhe traktowała je jak insekty. To jeden z powodów, dlaczego te istoty były tak doskonałymi szpiegami: nikt tak naprawdę nie zwracał na nie uwagi. Drugi był taki, że Maeve nie miała pojęcia, że potrafił

zwiększyć swoje gabaryty. Była tak złąkniona ciał fey, że pewnie gdyby o tym wiedziała, nie przepuściłaby mu. A może nie dbała o to, bo Seelie potrafią być wybredne, jeżeli chodzi o tych, których fey nazywają kochankami. Fakt, że niektórzy z ludu Niceven mogli zwiększać swe rozmiary, był ściśle strzeżoną tajemnicą. O ile mi wiadomo, tylko osoby znajdujące się teraz w kuchni były jedynymi sidhe, które wtajemniczono w ten sekret.

Sage siedział na skraju kuchennej szafki, kołyszając w powietrzu drobnymi nóżkami.

Jego skrzydła falowały, jak to często bywało, gdy nad czymś rozmyślał. Pochylił swą niewielką główkę nad krawędzią stojącego przy nim kubka, ale uważał, by nie zamoczyć długich do ramion żółtych włosów w parze z gorącej czekolady. Wszystkie małe fey miały słabość do słodyczy. Ubrany był w małą spódniczkę zrobioną z czegoś, co wyglądało jak jasnoniebieski muślin i wydawało się dziełem pajaków, z uwagi na jej misterność i delikatność. Sage nie nosił na sobie wiele, ale to, w co się ubierał, było wytworniejsze niż najwspanialszy jedwab.

Mój jedwabny szlafrok był karmazynowy. Na szczęście zdołałam bardziej oblać herbatą siebie niż ubranie. Poparzyłam się, lecz nie za mocno.

- Co miałaś na myśli, mówiąc, że kiedyś to był kociołek? - spytałam.

- Któregoś dnia weszli do sanktuarium i zamiast czarnego kociołka ujrzeli lśniący, nowiutki kielich. - Rhys nie zadał sobie trudu, by założyć szlafrok. Stał w kuchni nagi, wycierając tors. Wskazał mokrym od kawy papierowym ręcznikiem stojące nieopodal naczynie.

Doyle siedział po mojej prawicy ubrany tylko w czarne dżinsy.

- Król Światła i Iluzji uznał, że kociołek został skradziony. Nieomal doszło przez to do wojny z

naszym dworem.

Nachylił się w stronę stołu, wciąż trzymając w ręku kubek z nietkniętą herbatą.

- Ale on nie został skradziony. Po prostu się zmienił.

Upiłam łyk herbaty.

- Chcesz powiedzieć, że to tak jak z Czarnym Powozem Dzikiego Gonu, który na początku był rydwanem, a kiedy rydwany wyszły z użycia, przemienił się w powóz, a teraz jest lśniąca czarna limuzyną?

- Tak - odrzekł i wreszcie też napił się herbaty. Ani na chwilę nie odrywał wzroku od kielicha, jakby nic innego się nie liczyło.

- Nieujarzmiona magia ma własny umysł - rzekł Kitto skulony na krześle na lewo ode mnie. Trzymał kubek z gorącą czekoladą oburącz jak dziecko, które pije ze zbyt dużego naczynia. Kolana podciągnął do piersi, a nogawki jego satynowych nocnych szortów były tylko cienkimi paskami materiału w kolorze burgunda.

- Co gobliny wiedzą o relikwiach? - zapytał Rhys. W jego głosie pojawiła się nuta dawnej wrogości.

- Mamy nasze przedmioty mocy - oznajmił Kitto.

Rhys otworzył usta, a Doyle powiedział:

- Dość. Nie będziemy dziś wdawać się w spory, nie dziś, gdy powrócił do nas jeden z największych skarbów sidhe.

Wszyscy zamilkli. Nigdy dotąd nie widziałam ich tak przejętych.

- Sądziłam raczej, że to powód do świętowania. A wy zachowujecie się, jakby ktoś umarł. - Wiedziałam, dlaczego się bałam. Przez całe życie obcowałam z magią, ale nigdy dotąd nie towarzyszyła mi ona ze snu do jawy. To mi się nie podobało. Największy skarb czy nie, myśl, że przedmioty z moich snów mogły stawać się rzeczywiste i wkraczać do realnego świata, wydała mi się przerażająca.

- Nadal nie rozumiesz - powiedział Doyle. - To kociołek. Ten kociołek, który może wykarmić tysiące i zawsze będzie pełen. Ten, który może sprawić, że martwi wojownicy powstaną nazajutrz, choć utracą zdolność mówienia. To przedmiot pierwotnej mocy dla naszego ludu, Meredith. Pojawił się wśród nas któregoś dnia jak Czarny Powóz i wiele innych rzeczy. A potem, kiedyś, pewnego dnia zniknął, a my straciliśmy możliwość wykarmienia mas naszych popleczników i po raz pierwszy patrzyliśmy, jak umierają z głodu. - Wstał i odwrócił się, opierając dłonie o ciemną szybę okna, pochylając głowę, jakby chciał ucałować ciemność na zewnątrz. - Nie było nas w kraju, kiedy nastął wielki głód, gdybyśmy jednak wciąż mieli kociołek, przytroczyłbym go sobie na plecach i popłynął do Irlandii.

Po raz pierwszy usłyszałam w jego głosie charakterystyczny chropawy akcent.

Większość sidhe szczyli się tym, że go nie ma. Nigdy nie słyszałam, aby Doyle mówił w taki sposób.

- Masz na myśli wielki głód ziemniaczany? - spytałam.

- Tak. - Jego głos zabrzmiał prawie jak warkot.

Opłakiwał ludzi, którzy zmarli blisko dwieście lat przed moimi narodzinami. Ból jednak był dla niego równie realny, jakby stało się to przed tygodniem. Zauważyłam, że nieśmiertelni noszą w sobie wszystkie silne emocje - miłość, smutek i nienawiść - dłużej, niż trwa ludzkie życie. Zupełnie jak gdyby czas płynął dla nich inaczej i nawet siedząc obok nich, żyjąc obok nich, wiedziałam, że mój czas ma inny wymiar.

Mówił, nie odwracając się, jakby bardziej zwracał się do ciemności na zewnątrz niż do nas.

- Co robią bogowie, gdy okazuje się, że nie mogą odpowiedzieć na modlitwy swych wyznawców? Któregoś dnia po prostu dostrzegają, jak ich lud umiera od chorób, które jeszcze tydzień wcześniej mogliby wyleczyć. Jesteś za młoda, Meredith, Galen zresztą też.

Żadne z was nie potrafi pojąć, jakie to uczucie. Nie wasza wina. Nie wasza wina... - Ostatnie słowa wyszeptał prosto w szybę, o którą oparł czoło.

Podniosłam się z krzesła i podeszłam do niego. Drgnął, kiedy dotknęłam jego pleców, po czym odwrócił się od szyby na tyle, bym mogła objąć go ramionami w pasie i przytulić.

Pozwolił mi na to, ale się nie rozluźnił. Próbowałam go pocieszyć, lecz nadaremnie.

Odezwałam się, z policzkiem przyciśniętym do ciepłej gładkości jego pleców:

- Wiem, że był więcej niż jeden kociołek. Wiem, że były trzy podstawowe. Wiem, że wszystkie zmieniły kształt i stały się kielichami. Mój ojciec składał to na karb arturiańskich historii o Świętym Graalu. Jeżeli dostatecznie dużo osób będzie w coś wierzyć, może to wpłynąć na wszystko...

Ciało wpływa na ducha. W którymś momencie podczas mego monologu Doyle zaczął się rozluźniać. Trawiący go ból powolutku odpuszczał.

- Tak - wychrypiał - jednak pierwszy kociołek, jaki został dany, był najpotężniejszy i mógł zrobić wszystko, co pozostałe, a nawet więcej. Były jeszcze dwa mniejsze. Jeden potrafił uzdrawiać i zaspokajać głód, a drugi wypełniał się złotem i kosztownościami. -

Ostatnie słowa wymówił w taki sposób, żeby dać nam jasno do zrozumienia, iż nie uważał złota czy kosztowności za równie istotne jak zdolność uzdrawiania czy niekończący się zapas pożywienia.

- Było więcej takich kociołków - wtrącił Rhys.

Doyle odsunął się od szyby i spojrział na pozostałych mężczyzn. Nadal go obejmowałam.

- Nie tych prawdziwych - rzekł twardo.

- One były prawdziwe, Doyle, tyle że nie były nam dane od bogów. Niektórzy spośród nas mieli zdolność wytwarzania takich rzeczy.

- Nie mogły robić tego, co potrafiły wielkie kociołki - powiedział Doyle.

- Nie, ale również nie zniknęły, kiedy bogowie cofnęli swe łaski.

Doyle odwrócił się, wyzwolił z moich objęć i podszedł do Rhysa.

- Nie cofnęli swych łask. Oddaliśmy moce, by działać bezpośrednio z nimi. Trzeba to podkreślić: to my je oddaliśmy, a nie zostały nam odebrane.

Rhys uniósł dłonie w górę.

- Nie chcę się kłócić, Doyle. Nie sądzę, by kilka stuleci mogło uczynić walkę bardziej intrygującą. Przyjmijmy, że mamy tu rozbieżność stanowisk. Wiemy na pewno, że któregoś dnia relikwie zaczęły zniknąć. Rzeczy, które zostały stworzone przez magiczny lud dzięki ich własnej magii, pozostały.

- Aż do drugiego magicznego zrównania - rzekł Mróz.

To było najdłuższe zdanie, jakie wydusił z siebie tego popołudnia. Próbowałam nakłonić go do mówienia jeszcze w korytarzu, ale był oschły i unikał mnie. To ja omal nie umarłam, ale wściekał się on. Cały Mróz.

- Tak - odezwał się łagodnym tonem Nicca - a potem rzeczy, które sami zrobiliśmy, zaczęły się psuć albo przestawały działać. Zupełnie jakby zaklęcie pozbawiło je mocy.

Wiedziałam, że Nicca ma setki lat, ale zapomniałam o tym, dopóki nie powiedział czegoś, co mi o tym przypominało.

- Nie sądzę, żeby wszyscy przystali na drugie zrównanie, gdyby wiedzieli, co stanie się z naszymi różdżkami czy łaskami.

Nicca pokręcił głową, a jego ciemnobrązowe włosy zalśniły w świetle.

- Ja na pewno bym na to nie przystał.

- Wielu z nas by się na to nie zgodziło - mruknął Doyle.

- Skoro to prawda - powiedziałam - to jakim cudem zgodziliście się na zrównanie, które stworzyło Bezimiennego? To było trzecie zrównanie, więc wszyscy wiedzieliście, czego możecie się spodziewać. Wszyscy wiedzieliście, jak wiele macie do stracenia.

- A jaki mieliśmy wybór? - rzucił Rhys. - Mogliśmy albo oddać więcej naszej mocy, albo zostalibyśmy wygnańcami bez kraju.

- Mogliśmy zostać w Europie - wtrącił Mróz.

- Ale po co? - fuknął Doyle. - Żeby wygnano nas z naszych wydrążonych wzgórz, abyśmy musieli kupować domy i żyć obok ludzi? A potem jeszcze łączyć się z nimi w mieszane związki?

Spojrzał na mnie i rzekł:

- Nie chciałem cię urazić, księżniczko, ale odrobina mieszanej krwi to jedno, a zmuszanie do poślubiania śmiertelników to całkiem inna sprawa. Ci, którzy pozostali w Europie, musieli podpisywać traktaty zmuszające do wyrzekania się ich kultury. A czymże jest lud pozbawiony wiary i kultury? Niczym.

- Właśnie dlatego to zrobili - ciągnął Rhys. - To był sposób na zniszczenie nas bez posuwania się do ludobójstwa.

- Ludzie nie byli na tyle silni, by wybić nas wszystkich - rzekł Mróz.

- Nie - Rhys chrząknął - ale byli na tyle silni, by sprowadzić nas do stołów negocjacyjnych i wymusić traktaty pokojowe, które większość magicznego ludu uważa za niesprawiedliwe.

- Wiem o tym, co się wydarzyło - powiedziałam - ale pierwszy raz słyszę, jak mówicie z takimi emocjami o wygnaniu.

- Opuściliśmy Europę, by ocalić to, co jeszcze pozostało z faerie - odezwał się Doyle.

- A teraz ten kielich stoi na stole i wszystko zacznie się od nowa.

- Co zacznie się od nowa? - spytałam.

- Bogini dała nam podarunki, Wybranek również, a one któregoś dnia zniknęły. Jak możemy wierzyć, że otrzymane dary nie opuszczą nas w chwili największej potrzeby? - Ból, gniew, frustracja i nadzieja toczyły między sobą bój na jego czarnym obliczu.

- Myślę, że martwisz się na zapas - powiedziałam. - Uważam, że powinniśmy sprawdzić, co nadal potrafi ten kociołek, zanim zaczniemy się martwić, czy znów zniknie.

Rhys pokręcił głową.

- To nigdy nie działało tylko dlatego, że tak chcieliśmy. Karmi nas, kiedy potrzebujemy jedzenia. I uzdrowia, gdy jest to konieczne. Wiara - dodał głosem tak pełnym emocji, że cichszym niż zwykle, pełnym niedopowiedzeń. - Porzuciłem ją już dawno temu, Nicco. Nie jestem pewien, czy potrafię ją jeszcze w sobie odnaleźć.

- Chyba wszyscy wierzyliśmy, że jesteśmy prawdziwymi bogami - rzekł Doyle. -

Równymi wszystkim innym. Kiedy nastąpiło pierwsze zrównanie, okazało się, że jest inaczej. -

Podszedł do stołu i przez moment pomyślałam, że podniesie kielich, lecz nie zrobił tego. -

Poznaliśmy różnicę pomiędzy odgrywaniem bogów a byciem nimi. - Pokręcił głową. - To nie jest lekcja, którą chciałbym przyswajać sobie dwukrotnie.

- Ja również - przyznał Rhys.

- Nigdy nie byłem kimś innym, niż jestem teraz - oświadczył Mróz. - Przyswoiłem sobie wiele różnych nauk.

To, co sobie przyswoił, najwyraźniej nie było zbyt przyjemne.

Mój ojciec dopiłnował, bym poznała podstawowe fakty z naszej historii, ale nigdy się nie skarżył, nigdy nie mówił o bólu, który teraz dostrzegałam. Wiedziałam, że pod względem intelektualnym sidhe wiele utracili, ale nigdy tego nie rozumiałam. Zapewne nie pojmowałam tego nawet teraz. Dopomóż mi, Bogini, bo zamierzałam spróbować.

- Czy dzieci Danu nie żądają, aby gobliny nie były bogami dla ludzi? - zapytał Kitto.

Nie było to jednym z postanowień pierwszego traktatu pokojowego, jaki z nami zawarliście?

Czyż tak różni się to od tego, co ludzie zrobili z nami wszystkimi?

Rhys odwrócił się do niższego mężczyzny.

- Jak śmiesz porównywać... - syknął, lecz nie dokończył zdania. Wolną ręką potarł twarz, jakby był zmęczony. - Kitto ma rację - dodał.

Zaskoczenie odmalowało się na twarzach nas wszystkich, Doyle'a również.

- Czy właśnie zgodziłeś się z Kittem? - spytał Nicca.

Rhys skinął głową.

- On ma rację. Kiedy po raz pierwszy tu przybyliśmy, byliśmy równie arogancy i zdeterminowani, by przełamać potęgę goblinów, tak jak ludzie pragną tego względem nas.

- Nie jestem pewna, czy w przypadku ludzi w grę wchodzi arogancja - powiedziałam.

- Myślę, że po prostu boją się, że kolejna wojna między fey a ludźmi mogłaby zdziesiątkować Europę.

- Tak czy siak, arogancją jest myśleć, że są w stanie dyktować zasady postępowania cywilizacji, która istniała tysiące lat przed tym, jak ich przodkowie wyszli z jaskiń - zauważył

Rhys.

Nie skomentowałam tego.

Uśmiechnął się do mnie.

- Nie zamierzasz się ze mną spierać?

Wzruszyłam ramionami.

- Niby czemu? Przecież masz rację.

- No wiesz, jak na dziedziczkę tronu masz wyjątkowo demokratyczne poglądy.

- Przez dziesięć lat byłam wychowywana wśród demokratycznie nastawionych Amerykanów.

Myślę, że to nauczyło mnie pokory.

Roześmiałam się.

Rhys czasami tak na mnie działał.

- Nie chcę wam przerywać tej miłosnej pogawędki - odezwał się Galen - ale co mamy zrobić z tym kociołkiem, kielichem czy czym to jest?

Galen był beznadziejny, jeżeli chodzi o politykę, ale za to nader praktyczny.

- A co mielibyśmy zrobić? - spytałam.

Wszyscy nagle spowaznieli.

- On ma rację - przyznał Doyle. - Musimy zdecydować, komu o tym powiemy, jeżeli w ogóle komukolwiek.

- Nie będziemy tego utajniać, ale po prostu na razie z nikim nie podzielimy się tą wiadomością.

- Skinął na Kitta. - Mamy za sobą ciężką noc i dzień. Kitto zyskał rękę mocy. I to rękę mocy, jakiej nie widziano wśród nas od czasu drugiego zrównania.

- Nawiasem mówiąc, jak się nazywa jego ręką mocy? - zapytałam. - Bo moje to ręką ciała i ręką krwi, ale jak nazwać ten numer z lustrem?

- To się nazywa ręką sięgnięcia - odparł Doyle - ponieważ sięga pomiędzy dwoma punktami łączności i sprowadza osobę lub osoby z jednego punktu do drugiego. Ręką sięgnięcia, ponieważ

sięga do osób.

- To wydaje się całkiem logiczne - przyznałam.

- Większość rzeczy wydaje się logiczna, kiedy się je wyjaśni.

Mówił zwyczajnym tonem, ale na jego twarzy malowało się napięcie niewypowiedzianych pytań. Albo wręcz pytań, które nie tylko nie zostały zadane, ale i nie miały odpowiedzi.

- Królowa będzie chciała dowiedzieć się o nowej mocy Kitta - rzekł Mróz.

- Już jej o tym powiedziałem - oznajmił Doyle.

- I o tym, że Rhys odzyskał boskie moce?

Doyle skinął głową.

- Ona już wie.

- Kiedy zdążyłeś jej to wszystko przekazać?

- Kiedy poszedłeś z księżniczką do głównego domu, by zobaczyć się z Maeve.

Mróz zmarszczył brwi. Wtem w jego oczach pojawił się strach. Zdołał go jednak opanować i spojrzał na Doyle'a z obliczem beznamiętnym jak elegancka maska.

- Czy wie o wszystkim innym? - W jego głosie kryła się niepewność silniejsza niż w spojrzeniu.

- O tym, że Meredith najwyraźniej przywróciła boskość Maeve i być może obdarzyła nią również ciebie, po raz pierwszy? Albo o tym, że Meredith omal nie przypłaciła tego życiem? A może chodzi ci o to, czy powiedziałem jej, że księżniczka najwyraźniej ma teraz dar magicznego śnienia? Lub może zastanawiasz się, czy królowa wie, że mamy kielich. Nad którą z tych rzeczy się zastanawiasz, Mrozie?

- On nie chciał cię rozzłościć - powiedziałam.

- Nie musisz mnie bronić - rzekł Mróz.

- Co jest z tobą, Mrozie? Wściekasz się na mnie, odkąd się obudziłam.

Spojrzał na kuchenny kontuar przed sobą. Nie podszedł bliżej, a może po prostu mnie unikał.

- Jak możesz mnie o to pytać? Jestem twoim strażnikiem, twoim Krukiem, mającym cię chronić, a dziś omal cię nie zabiłem.

Stałem przy nim. Wyciągnęłam rękę, by go dotknąć, ale zrobił unik.

- Nie chcę cię znów skrzywdzić - szepnął.

- Widziałeś koniec tego, co uczyniliśmy wspólnie, ja i Maeve, Mrozie. Myślę, że mogę dotknąć twojej dłoni i nic się nie stanie.

Pokręcił głową, przesłaniając twarz i większość ciała kaskadą długich srebrnych włosów. Zawsze miały niesamowitą barwę łańcuchów choinkowych, ale dziś wydawały się jeszcze bardziej lśniące niż kiedykolwiek. Wyciągnęłam rękę, by dotknąć tych błyszczących włosów, i stwierdziłam, że były wilgotne.

Znowu się cofnął poza zasięg moich rąk. Oparł się plecami o kredens i otulił ramionami.

- Kiedy obudziły nas twoje krzyki, byłem cały skuty lodem. - Pokręcił głową. - Nie, nie lodem, szronem. Obudziłem się cały pokryty szronem. Niemal natychmiast stopniał, ale we włosach jego warstwa była grubsza. Gdy się poruszyłem, moje włosy pękały jak zamrożone gałęzie.

Wyglądał na przerażonego.

Znów wyciągnęłam do niego rękę, ale cofnął się.

- Nie, Meredith, nie kontroluję tych mocy. To nie kwestia ponownego nauczenia się tego, co wiedziałem już wcześniej. To nie moja magia. - Spojrzał na mnie rozszerzonymi z przerażenia oczami. - Nie wiem, jak być bogiem, Meredith. Nigdy nim nie byłem.

- Nauczymy cię - rzekł Rhys.

- A jeżeli ja nie chcę się nauczyć?

- To już całkiem inny problem, przyjacielu - powiedział Doyle. - Bogini obdarza nas wedle swojej woli i nie nam kwestionować jej decyzje.

Fakt, że Doyle robił dokładnie to samo zaledwie kilka chwil temu, najwyraźniej mu umknął, a może Doyle był jedynym, któremu wolno było głośno wyrażać wątpliwości dotyczące Bogini. Tak czy owak, nikt nie zwrócił mu uwagi na ten drobny szczegół.

Rozdział 10

- Musimy powiedzieć królowej, że mamy kielich - rzekł Rhys.

- Nie. - Doyle pokręcił głową tak mocno, że zakołysał się gruby warkocz z jego splecionych włosów.

- Wścieknie się, jeśli to przed nią zataimy, a ja ze swojej strony nie mam ochoty spędzić kolejnej nocy w Sali Śmiertelności.

Sala Śmiertelności była izbą tortur na Dworze Unseelie. Chrześcijanie uważali kiedyś Unseelie za demony z piekła rodem. Jeżeli jakakolwiek część naszego dworu miałyby być piekłem kar rodem z *Boskiej komedii* Dantego, to właśnie Sala Śmiertelności.

- Ani ja - rzucił Mróz.

- Ja również - dodał Galen.

- Nie - szepnął Nicca. - Nie.

Oparłam się o kuchenny kredens i spojrzałam na Doyle'a. Był Ciemnością Królowej od ponad tysiąca lat. Jej lewą ręką. Jej najlepszym zabójcą. Był lojalny względem niej. Choć ostatnio zaczynał stawać się także lojalny wobec mnie. Niemniej jednak to nadal było nie w jego stylu, aby zatajać coś tak istotnego przed królową, zwłaszcza że i tak prędzej czy później dowie się o tym. Była Królową Powietrza i Ciemności; wszystko, co wypowiedziane w ciemnościach, w końcu do niej powróci. A słowa takie jak kociołek czy kielich na pewno wzbudzą jej zainteresowanie. To była zbyt wielka tajemnica, aby móc utrzymać ją na zawsze.

- Dlaczego nie chcesz o tym powiedzieć królowej? - zapytałam.

- Bo to nie nasza relikwia. Ten kociołek należał do Dworu Seelie. Omal nie wyruszyliśmy na wojnę, kiedy zniknął setki lat temu, gdy Taranis zasugerował, że to my go ukradliśmy. Co by zrobił, gdyby dowiedział się, że naprawdę go mamy?

- Królowa nigdy by mu nie powiedziała - rzekł Galen.

Doyle spiorunował go wzrokiem tak gwałtownie, że Galen cofnął się o krok.

- Naprawdę sądzisz, że nie ma wśród nas szpiegów? To oczywiste, że mamy szpiegów na dworze Seelie, a co za tym idzie, można przypuszczać, że Taranis ma swoich pośród nas. -

Wskazał na lśniący kielich, stojący tak niewinnie na stole. - To za gruba sprawa, żeby utrzymać ją w sekrecie. Wyda się, kiedy tylko wyjdzie poza to pomieszczenie. Musimy zastanowić się, co robić, kiedy to nastąpi.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał Mróz.

- Taranis zażąda zwrotu kielicha. Czy oddamy mu go? A jeżeli nie, to czy jesteśmy gotowi rozpętać o ten kielich wojnę?

- Nie możemy go oddać Taranisowi - warknął Nicca.

Wszyscy odwróciliśmy się i spojrzeliśmy na niego. Stanowczość w jakiegokolwiek kwestii zupełnie do niego nie pasowała; nigdy dotąd nie wyraził się równie zdecydowanie w jakiegokolwiek sprawie, zwłaszcza gdy konsekwencje mogły być tak groźne w skutkach.

- Nawet jeżeli oznaczałoby to wojnę? - spytał Doyle.

Nicca podszedł bliżej do stołu.

- Nie wiem, ale jedno wiem na pewno: Taranis złamał nasze najświętsze tabu. Co najmniej przez stulecie ukrywał swoją bezpłodność, ponieważ wygnał Maeve, kiedy ta odmówiła poślubienia go, uzasadniając to tym, że był bezpłodny. Świadomie skazał swój dwór na utratę mocy, płodności i wszystkiego, czym są. Kiedy wystraszył się, że Maeve ujawni nam jego tajemnicę, uwolnił Bezimiennego. Wypuścił nasze najbardziej przerażające moce, by przemieniły kraj, ale sam nie miał dość sił, by je kontrolować. Zginęło przez to wiele niewinnych istnień, ale najwyraźniej Taranis o to nie dba. Byliśmy tu, by ocalić Maeve i zabić Bezimiennego, ale gdyby nas tu nie było, ona by zginęła, a Bezimienny spustoszyłby Los Angeles. Gdyby ludzie dowiedzieli się, że to dzieło magii sidhe, konsekwencje byłyby dla nas druzgoczące. Kto wie, jak zareagowałby ludzki rząd. To ostatni kraj, który był gotów przyjąć i zaakceptować wolnych sidhe, nie ograniczając naszej kultury, naszej magii, nas samych. - Nicca, mówiąc to, emanował lekką poświatą, jakby jego słowa kryły w sobie moc.

- Wszyscy wiemy, że to, co uczynił Taranis, było egoistyczne i niegodne króla - rzekł Doyle - ale jest królem. Nie możemy go oskarżyć o zbrodnie i ukarać.

- Dlaczego? - spytał Kitto, wciąż kuląc się na krześle, sącząc gorącą czekoladę.

- Przecież powiedziałem. Bo jest królem.

- Wśród goblinów, jeżeli wiesz, że król złamał prawo, możesz stanąć z nim na ubitej ziemi. To nasze prawo, nasze rozwiązanie.

- Sidhe nie są tak prostolinijni - zauważył Doyle.

- Tak, jedynym, co pozwalało wam nas gromić przez te wszystkie stulecia, to fakt, że jesteście bardziej podstępni niż my.

Spojrzałam na Rhysa i coś w wyrazie mojej twarzy sprawiło, że powiedział:

- Nie zamierzam się z nim spierać. Sidhe są bardziej podstępni od goblinów. Bogini mi świadkiem, że sidhe są bardziej podstępni od wszystkich magicznych ludów.

- Miło słyszeć, że sidhe przyznają się do prawdy - rzekł Sage.

Obrzuciłam wzrokiem małego człowieczka na kontuarze. Wydawał się taki niegroźny, kiedy tak siedział z ogromnym kubkiem kakao. Miał nawet obwódki z czekolady wokół ust, przez co złudzenie dziecięcej niewinności było jeszcze silniejsze. Pół-fey bazował na swoim przymilnym wyglądzie. Miałam okazję widzieć, jak całe ich stadko wrywa mięso z ciała Galena, gdy ten leżał bezradny i skuty łańcuchami. Choć to Książę Cel rozkazał im to zrobić, to uczta bez wątplenia przypadła im do gustu.

Na wpół spadł, na wpół zsunął się z blatu, by zawisnąć w powietrzu.

- To wszystko czcze gadanie, moi druhowie sidhe, gdyż muszę powiadomić o tym królową Niceven. To zrozumiałe, że myśleliście o zatajeniu tej sprawy przed waszą królową, bo jej miejsce może przecież zająć Merry, ale Niceven żelazną ręką panuje na swoim dworze i nie mogę ryzykować jej gniewu. - Podfrunął do krawędzi stołu, lądując na nim, jakby nic nie ważył, choć wiedziałam, że był ciężki.

Podszedł do kielicha, a Doyle wyciągnął rękę, zagradzając mu drogę.

- Stamtąd, gdzie jesteś, też dobrze widać.

Sage oparł dłonie na szczyptych biodrach i spojrzał na wyższego mężczyznę.

- Czego się obawiasz, Ciemności? Że go ukradnę, zabiorę na mój dwór, do mojej królowej?

- To dar dla sidhe i pozostanie w rękach sidhe - rzekł Doyle.

Sage wzbił się w powietrze, trzepocząc pod lampą jak wielka ćma, choć bardziej niż ćmę przypominał motyla.

- Tak czy owak, muszę o tym donieść królowej Niceven. Możecie debatować, jak długo chcecie, czy powiedzieć o tym waszej królowej, ale ponieważ ja muszę powiadomić moją, wy również

możecie powiedzieć waszej.

- Jutro wieczorem znajdziemy się na dworze - odezwałam się. - Czy możesz poczekać do tego czasu z powiadomieniem swojej królowej?

- Dlaczego miałbym czekać? - spytał i podfrunął, zawisając w powietrzu tuż przed moją twarzą, aż podmuch powietrza z jego skrzydeł poruszył moimi włosami.

- Ponieważ tak będzie bezpieczniej dla nas wszystkich. Im mniej osób będzie wiedziało o kielichu, tym lepiej.

Wymierzył we mnie palec.

- No, no, księżniczko, nic z tych rzeczy, logiką mnie nie kupisz. Trzymałem się dziś z dala, choć twoja magia przyzywała mnie niczym syreni śpiew. - Przycupnął na stole przede mną. - Nie przybyłem, ponieważ miałem już okazję widzieć tyle cudownego i zdumiewającego seksu sidhe, ile chciałem. Do swego łoża nie chcesz mnie zaprosić. Nie mam natury podglądacza.

- Zgodziłam się dzielić z tobą krwią raz w tygodniu, Sage. Taka była cena sojuszu z twoim ludem. Dotrzymałam umowy.

Krążył przede mną w tę i z powrotem na żółtych nóżkach, które odpowiadały odcieniowi jego skrzydeł.

- Krew to świetna rzecz, księżniczko, ale nie zastąpi rozkoszy porządnego pchnięcia. -

Oparł dłonie na mojej ręce jak na płocie i spojrzał na mnie małymi, czarnymi oczkami. -

Wpuść mnie dziś do swego łoża, a nikomu nie pisnę słowa, dopóki nie znajdziemy się na dworze.

Cofnęłam rękę tak gwałtownie, że aż się potknął, a następnie wzbił w powietrze; jego skrzydła zmieniły się w gniewnie rozmytą plamę.

- Czy naprawdę próbujesz skorzystać z okazji, by zostać moim królem, Sage?

Sądziłam, że w tej kwestii mamy absolutną jasność.

Usłyszałam szelest skrzydeł przy swojej twarzy. Prawdziwe motyle skrzydła nie wydawały dźwięku. On natomiast brzęczał jak rozwścieczony koliber.

- Tak, pierwotnie moja królowa chciała mnie w to wciągnąć i posadzić na tronie Unseelie jako swoją marionetkę, ale Floro chroń mnie, wiedz, księżniczko, że już mi na tym nie zależy.

- A na czym ci zależy? - spytał Doyle.

Sage obrócił się w powietrzu i wznosił dostatecznie wysoko, by spojrzeć na nas oboje.

- Pragnę seksu. Chcę znów zaznać rozkoszy z kobietą. Czy tak trudno w to uwierzyć?

- Nie - odparł Doyle.

- Nie - przyznałam.

- Pół-fey nie dbają o seks bardziej niż gobliny, nie jeśli mogą mieć moc i krew - powiedział Kitto.

Sage odwrócił się i spojrzał na niego.

- Wasz gatunek wciąż piecze nas na rożnie i uważa za rarytas. Wybacz, jeżeli nie uznaję twego zdania za wiążące. - W jego głosie dało się wyczuć nutkę sarkazmu.

Kitto syknął na niego, a ten odpowiedział tym samym.

- Dość - wycedził Doyle. - Czego żądasz, aby dochować naszej tajemnicy, dopóki nie znajdziemy się jutro na dworze? Nie domagaj się więcej seksu z księżniczką, bo na to nie ma szans.

Sage skrzyżował ramiona i wydał wargi jak nadąsane dziecko. Czekoladowa obwódka wokół warg tylko potęgowała tę iluzję, ale widywałam go z moją krwią rozsmarowaną na ustach dostatecznie często, bym nie dała się nabrać. Wyglądał na milutkiego, ponieważ tylko to pozostało pół-fey, ale wcale taki nie był. Był za to niebezpieczny, zdradziecki, wyuzdany i pełen jadu -

bynajmniej nie milutki.

- A co z krwią boga? - zapytał Rhys.

Sage odwrócił się w powietrzu niczym fantastyczny śmigłowiec i spojrzał na Rhysa.

- Oferujesz krew Maeve czy Mroza?

- Moją.

Pokręcił głową.

- Nie jesteś bogiem.

- Moja moc powróciła. Doyle znów nazwał mnie dziś Cromm Cruachem.

Sage odwrócił się do Doyle'a.

- Czy to prawda, Ciemności?

Ten pokiwał głową.

- Daję ci moje słowo, że nazwałem go dziś Cromm Cruachem.

Sage zawisł przed Rhysem, tak że jego białe kędziory omiotły twarz tego drugiego.

Zbliżył się tak bardzo, że nieomal dotykał Rhysa swoim ciałem. Nagle polizał Rhysa po czole i odleciał, zanim ten zdążył go złapać albo trzepnąć na odlew. Tyle że Rhys nie zrobił zupełnie nic. Galen zareagowałby, ponieważ nienawidzi pół-fey z tego samego powodu, dla którego Rhys nie cierpiał goblinów.

- Nie smakujesz jak bóg, Rhys. Smakujesz mocą, ale nie jak bóg.

- Kiedy ostatni raz posmakowałeś boga? - zapytał Rhys.

Sage podfrunął do Mroza, choć trzymał się poza jego zasięgiem. Mróz nie tolerował niechcianego dotyku. Stulecia wymuszonego celibatu sprawiły, że był pod tym względem niepodobny do innych fey. Tylko ja mogłam go dotykać.

- Pozwól mi spróbować twojej skóry.

Mróz spojrzał spode łba na małego człowieczka i pokręcił głową.

- Nie jestem niczyją krwawą dziwką.

- Wobec tego co ze mną? - spytałam lodowatym tonem, choć w moim wnętrzu aż wrzało.

Miałam już dość chimerycznych nastrojów Mroza jak na jeden dzień. To ja omal nie umarłam!

Mróz wyglądał na zbitego z tropu.

- Ja nie chciałem...

Podeszłam do niego.

- Skoro ja mogę oddać dla sprawy odrobinę mojej krwi, to czemu ty nie możesz?

Skinął na unoszącą się w powietrzu istotę.

- Nie chcę, żeby dotykał mnie ustami.

- Robię to raz w tygodniu, Mrozie. Skoro to jest dobre dla księżniczki, to i dla ciebie będzie.

Jego oblicze wyglądało jak maska arogancji, którą przywdziewał, kiedy ukrywał swoje myśli.

- Czy rozkazujesz mi to zrobić? - Głos miał lodowaty i wiedziałam, że to mogło być coś, co wpłynie na nasze relacje w najbliższych dniach, a może już na zawsze. Z Mrozem nigdy nie wiadomo.

Podeszłam do niego, a on się cofnął.

- Niezupełnie, ale proszę cię, abys to zrobił. Proszę, pomóż nam.

- Nie chcę...

Dotknęłam jego ust koniuszkami palców. Jego ciepły oddech omiótł moją skórę.

- Proszę, Mrozie, błagam, to taki drobiazg. Boli tylko troszeczkę, a Sage jest bardzo dobry, jeżeli chodzi o uroki. Może sprawić, że w ogóle nie będzie bolało.

- Wcale nie powiedziałem, że krew Mroza kupi moje milczenie - rzekł Sage. - Może wcale nie jest boską istotą tak jak Rhys. Może wcale nie ma większej mocy niż on.

- My obaj - rzekł Rhys - ja i Mróz. Ty masz jedynie poczekać z powiadomieniem swojej królowej, dopóki osobiście nie stawimy się na dworze. - Rhys patrzył teraz na małego, unoszącego się w powietrzu człowieka. - Krew dwóch szlachetnie urodzonych sidhe za mniej niż dwadzieścia cztery godziny milczenia. To niezły układ.

Sage spowolnił ruch skrzydeł na tyle, że można było dostrzec czerwone oczy po ich wewnętrznej stronie i niebieskie opalizujące plamy pasujące odcieniem do szerszych błękitnych pasów po stronie zewnętrznej. Zupełnie jakby podpłynął, a nie podfrunął do Galena.

Galen opierał się plecami o kredens, ramiona skrzyżował na piersiach. Na jego twarzy malowała się nieskrywana wrogość.

- Nawet-nie-pytaj. - W jego głosie zawarła się pełna wściekłości ostateczna i niezłomna decyzja, tak nieprzeparta, że Sage na moment opadł ku ziemi, co u ludzi mogło być odpowiednikiem potknięcia.

Powrócił na poprzednią wysokość, a potem wzbił się aż pod sufit, by znaleźć się poza zasięgiem.

- Ale byłeś taki słodki.

Galen spojrzał na mnie.

- Dlaczego po prostu nie rzucimy na niego dwudziestoczterogodzinny czar?

- To kuszące - odparłam - ale Niceven może potraktować wykorzystanie wrogiemu czaru wobec jej przedstawiciela jako złamanie naszego paktu.

- To rozwiązałyby problem - sarknął Rhys.

- Dobrze więc - mruknął Sage. - Za możliwość skosztowania Mroza i białego rycerza zgodzę się trzymać język za zębami, aż zobaczę się z moją królową.

- Twarzą w twarz, na jej dworze - dodałam.

Zawirował pod sufitem jak leniwy ptak. Zaśmiał się, unosząc w powietrzu obok mnie.

- Boisz się, że mógłbym oszukiwać?

- Powiedz to, Sage - rzuciłam.

Uśmiechnął się do mnie na znak, że robi, czego od niego żądałam, ale nie zamierzał ułatwiać mi zadania. Taki już był. Taka była większość pół-fey z Unseelie. Może to wiązało się z ich kulturą.

Przyłożył drobną rączkę do wąskiego torsu i stanął wyprostowany w powietrzu, kierując palce stóp ku dołowi.

- Za krew obu mężczyzn zaczekam, by powiedzieć mojej królowej o kielichu, dopóki nie znajdę się z nią twarzą w twarz na jej dworze.

Wzbił się w górę i musiałam unieść głowę, by móc obserwować go, jak krążył pod sufitem.

- Zadowolona?

- Tak - odparłam.

- Ja się na to nie zgodziłem - wymamrotał Mróz.

- Będę przy tobie - rzekł Rhys.

Ujęłam Mroza pod rękę, dotykając jedwabiu i prężnych mięśni.

- Ja również.

- Ja też, Mrozie - dorzucił Doyle.

Dwaj mężczyźni spojrzeli na siebie nawzajem i coś między nimi przepłynęło, jakaś wiedza, jakiś rodzaj pocieszenia. Cokolwiek to było, oblicze Doyle'a złagodniało, stało się bardziej...

ludzkie.

Mróz pokiwał głową.

- A co jeżeli ta nowa magia znów spróbuje skrzywdzić Meredith?

- Rhys będzie tam i dopilnuje, żeby nic się nie stało.

Mróz otworzył usta, jakby chciał powiedzieć coś więcej, ale zmytygował się i energicznie skinął głową.

- Uczynię, jak nakazuje mi mój kapitan.

Reszta strażników zapominała niekiedy, że Doyle był Kapitanem Kruków Królowej i nagle ni stąd, ni zowąd sobie o tym przypominali. Używali tytułu, z którego od dawna już nie korzystali. Szacunek zawsze był obecny, podobnie jak strach, ale tytułów używano wybiórczo.

- Świetnie - powiedział Doyle. - Teraz, gdy już to ustaliliśmy, mamy do przedyskutowania inną sprawę. Kiedy odpowiednio nasze królowe dowiedzą się o powrocie kielicha, fakt ten nie umknie uwadze Taranisa. Co zrobimy, gdy zażąda jego zwrotu?

Rozejrzałam się po pokoju, próbując odgadnąć, o czym myśleli, lecz nie wyszło mi to najlepiej.

- Chyba nie myślisz na serio o zatrzymaniu kielicha, kiedy Taranis zażąda, by mu go oddać? Doszłoby do walki, może nawet rozpętałaby się wojna.

- Nie możemy mu go oddać - oznajmił Nicca. - Nie zasługuje na niego. Już nie.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał Doyle.

- On nie... - Nicce zabrakło słów, w końcu jednak rozłożył szeroko ręce i rzekł: - Nie jest godzien, by posługiwać się kielichem. Gdyby był, kielich przyszedłby do niego, ale tak się nie stało. Przybył do Merry.

Doyle głośno westchnął.

- To kolejny problem. Jeżeli Taranis obawia się, że władza królewska zaczyna mu się wymykać z uwagi na jego bezpłodność i nagle okaże się, że kielich pojawi się u innej szlachetnej sidhe, zwłaszcza będącej pół-Unseelie, to tylko podsyci jego lęki.

- Powinien się bać. - Rhys podszedł do mnie i teraz po jednej stronie miałam jego, a po drugiej Mroza. - Być może przywrócenie Maeve i Mrozowi boskości, jak mówił Doyle, nastąpiło dlatego, że jest jedynym naczyniem o kształcie bogini.

Objął mnie ramieniem w talii i lekko przytulił. To sprawiło, że szturchnęłam Mroza ręką i poczułam, że mężczyzna sprężył się gwałtownie. Rhys tego nie zauważył, ale spojrzał na pozostałych mężczyzn.

- To, że kielich przybył do niej, nie wynika tylko z tego, że jest odpowiedniej płci, by posiadać moc. Kociołek był pierwotnie darem dla mężczyzn, nie dla kobiet. A co, jeśli trafił w jej ręce, ponieważ jest jedyną szlachetnie urodzoną sidhe, która może się nim zaopiekować?

- Nie sądzę, aby tak było - powiedziałam.

- Czemu tak uważasz? - spytał Mróz.

Wbiłam w niego wzrok.

- Bo jestem śmiertelniczką. Właściwie nie jestem nawet pełnej krwi sidhe.

- Wedle czyich standardów? Wszystkich tych niedoszłych bogów, którzy stoją tu i rozprawiają o zamierzchłej chwale?

- Dwór Seelie wygląda niekiedy jak zjazd absolwentów - zauważył Rhys. -

Rozmawiają o dawnych czasach, kiedy byli młodszy, silniejsi, lepsi. Nostalgia tkwi głęboko.

Zmarszczyłam brwi.

- Dobrze, według standardów ludu, który dawno temu utracił kielich, a tego nie liczę.

Ale niezależnie od wszystkiego, Taranis nigdy nie zgodzi się, abyśmy mieli ten kielich, nie bez

wojny.

- Ona ma rację - rzekł Rhys - ponieważ wszyscy Seelie uznają, że odzyskawszy kielich, odzyskają swoje moce.

- Zgodnie z tą logiką - ciągnął Doyle - jeżeli Unseelie posiadają kielich, będzie to oznaczało, że mamy szansę odzyskać naszą potęgę.

- Nie sądzę, aby tak się stało - rzekł Mróz. - Ja nie odzyskałem moich mocy. Zyskałem moce, które należały do sidhe. I to nie kielich przydał mi tej mocy, lecz Merry.

Rhys mocno mnie uściskał.

- Nasza królowa będzie zadowolona, ale nie Taranis.

- Byłby, gdyby uwierzył, że ona jest w stanie uczynić dla niego to, co zrobiła dla Mroza - powiedział Doyle.

Na twarzy Rhysa przez moment odmalował się wyraz absolutnej paniki, który jednak zamaskował uśmiechem i żartem.

- Nie wiem, co jest bardziej niebezpieczne, to, czy on uzna, że mógłby wykorzystać Merry do odzyskania dawnej jurności i witalności, czy to, że nowe moce uczyniłyby z niej silną i potężną królową.

- Masz na myśli rywala - podsunął Doyle.

Rhys zaprzeczył.

- Nie, nie rywala. Nawet gdyby Merry potrafiła przywrócić nam wszystkim pełną moc, to nie pomogłoby w walce. Wśród szlachetnie urodzonych sidhe wciąż obowiązują surowe prawa walki, a król wobec prawa jest tylko kolejnym szlachetnie urodzonym. -

Spojrzał na mnie. Wiem, że masz naprawdę zręczne ręce mocy, ale widziałem Taranisa podczas pojedynku.

Ucałował mnie w czoło i odezwał się z ustami przy mojej skórze:

- Przegrałabyś.

- Ostatni raz Taranis walczył w pojedynku przed trzecim i ostatnim zrównaniem - rzekł Doyle. - Kto wie, jaką mocą wciąż dysponuje, a ile utracił?

- Zginęłaby - stwierdził Rhys.

- Nie mam zamiaru wplątywać naszej księżniczki w pojedynek z Królem Światła i Iluzji, Rhys, ale nie zamierzam też demonizować jego mocy. Wszyscy straciliśmy przez zrównania. Tyle tylko, że niektórzy z nas lepiej to ukrywają.

- Być może - mruknął Rhys, wciąż tuląc mnie do siebie, jakby się bał, że Doyle każe mi stanąć do pojedynku.

- Możliwe, że przeceniam Taranisa i jego dwór, a może ty zbyt ich lekceważysz.

- Nie zrozum mnie opacznie: oni są bardzo niebezpieczni i wyjątkowo potężni. Ich dwór ma w sobie więcej magii niż nasz. Wciąż mają wielkie drzewo w ich sali głównej i nadal jest ono pokryte liśćmi, choć mają one teraz barwę jesieni. Ich moc wciąż jest tam obecna.

Doyle usiadł przy stole i oparł podbródek na przedramionach, tak że jego twarz znalazła się na równym poziomie z kielichem.

- Nie jesteśmy gotowi, by oskarżyć Taranisa o zbrodnię. Maeve nie może zeznawać w związku z nimi, bo została wygnana, a wygnaniec nie ma prawa składać zeznań przeciwko innemu faerie. Świadek Bucca-Dhu o pomocy udzielonej Taranisowi przy uwolnieniu Bezimiennego mógłby z łatwością zostać wykorzystane przeciw niemu.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał Nicca.

- Widziałeś, czym stał się Bucca. Był jednym z naszych największych władców, przywódcą

kornwalijskich sidhe, kiedy jeszcze było nas tylu, że istniało wiele dworów. Teraz wygląda jak zniekształcony karzeł. Seelie nie uwierzą, że jest tym, za kogo się podaje, a jeżeli nawet, będą chcieli usłyszeć te słowa wprost od niego. Jeżeli powie, że Taranis jest winny, to i on również. Taranis może po prostu zaprzeczyć i zmusić ich, by za tę popełnioną zbrodnię stracili Buccę. Ktoś poniesie karę, tajemnica zostanie rozwiązana, a jedyny świadek udziału w niej Taranisa będzie martwy. I po sprawie.

- To do niego podobne - powiedział Rhys.

- Ale Bucca jest chroniony przez samą królową - zauważył Nicca. - W tej chwili znajduje się pod strażą Unseelie.

- Tak - przyznał Doyle - a królowa nie powiedziała strażnikom, dlaczego Bucca jest pilnowany, jednak plotki już zaczęły się rozchodzić.

- Jakie plotki?

- O Bezimiennym i o tym, kto mógłby zyskać na jego ataku na Maeve Reed. Plotki krążą jedynie na dworach faerie, ale o ataku wspominało we wszystkich wiadomościach, a niektórzy z sidhe obu dworów oglądają ludzkie dzienniki. - Mówiąc to, spojrział w głąb kubka jak zahipnotyzowany. - Większość wie, że Taranis osobiście ją wygnał. Plotki zaczynają się szerzyć. Gdyby dysponował inną magią, aby móc zabić Maeve na odległość, zapewne by jej użył. Możliwe, że Bezimienny nigdy nie zostanie powiązany z nim bezpośrednio, ale to wielka moc i wszyscy wiedzą, że ktokolwiek ją wyzwolił, wykorzystał ją, by wytropić Maeve.

- Jego własny strach stanie się jego zgubą - skomentował Mróz.

- Możliwe - mruknął Doyle - ale wilk osaczony jest groźniejszy niż ten na otwartej przestrzeni. Nie chcielibyśmy znaleźć się w pobliżu Taranisa, kiedy zabraknie mu alternatyw.

- To mi przypomina o tym, dlaczego pragnie, abym odwiedziła Dwór Seelie - powiedziałam. Odsunęłam się od przynoszącej ukojenie bliskości obu mężczyzn. Zbyt wiele pytań i za dużo się działo, aby mogło to naprawić parę czułych uścisków. To było bardzo ludzkie, zupełnie nie-fey, przynajmniej jak dla mnie, ale akurat w tej chwili nie chciałam być przytulana.

- Twierdzi, że pragnie odnowić z tobą znajomość, zwłaszcza teraz, gdy masz być dziedziczką tronu Unseelie - rzekł Doyle.

- Nie wierzysz w to, podobnie jak ja.

- Musi w tym być ziarno prawdy, w przeciwnym razie byłoby kłamstwem, a my nie okłamujemy siebie nawzajem.

- Być może, ale sidhe są w stanie tyle pominąć z prawdy, że niewiele różni się ona od kłamstwa - odparłam.

Sage zaśmiał się.

- Och, księżniczka dobrze zna swój lud.

- Kupiliśmy twoje milczenie - warknął Doyle. - Zamilcz więc i nie zabieraj głosu w dyskusji, w której nie masz do powiedzenia nic wartościowego. - Spojrział na małego człowieczka zataczającego leniwe kręgi pod sufitem. - Pamiętaj, Sage: jeżeli Dwór Unseelie upadnie, znajdziesz się na łasce Seelie, a oni nigdy ci nie zaufają.

Sage stanął na brzegu stołu. Złożył skrzydła i spojrział na Doyle'a, który z głową opartą na przedramieniu był teraz z nim na równym poziomie.

- Jeżeli Unseelie upadnie, to nie pół-fey najbardziej ucierpią z rąk Seelie. Nie ufają nam, ale też nie postrzegają jako zagrożenie. Was wszystkich natomiast unicestwią. Nas będą tłuc jak muchy w letni dzień, lecz nie będą patrzeć na nas jak na zagrożenie, które należy całkowicie zniszczyć. Przetrywamy jako lud. Czy Unseelie mogą powiedzieć to samo?

- Może i tak będzie - odparł Doyle. - Czy jednak dla waszego ludu liczy się tylko przetrwanie?

Owszem, przetrwanie jest lepsze aniżeli alternatywa, Sage, jednak samo tylko przetrwanie może okazać się nużące.

- Kolejne półprawdy i niedopowiedzenia, aby mnie oszukać, czyż nie?

- Wierz, w co chcesz, mały człowieczku.

Patrzyli na siebie nawzajem i to Sage zerwał kontakt wzrokowy, wzbijając się w powietrze. Nigdy nie sądziłam, że mogłoby być inaczej.

- Księżniczka ma rację, Ciemności, żadnemu sidhe nie można ufać.

Doyle podniósł się od stołu.

- Nie zamierzam się spierać, gdyż prawda ta dotyczy wielu sidhe. - Spojrzał na mnie z drugiego końca pokoju. - Wiele bym dał, aby odkryć prawdziwy powód zaproszenia cię przez Taranisa na Dwór Seelie. Najwyraźniej nikt nie wie, czemu to zrobił. Jego dwór jest zdumiony, że chce cię z powrotem. Że jest gotów urządzić ucztę na cześć śmiertelniczki.

- Jest moim wujem - powiedziałam.

- Czy kiedykolwiek zachowywał się, jak na krewnego przystało? - spytał Doyle.

Pokręciłam głową.

- Omal nie zatłukł mnie na śmierć, gdy jeszcze jako dziecko spytałam o powód wygnania Maeve. Nie dbał o mnie.

- Dlaczego po prostu nie odmówisz przyjęcia zaproszenia? - dziwił się Galen.

- Już to przerabialiśmy. Gdybyśmy odmówili przyjęcia zaproszenia, Taranis uznałby to za potwarz i od takiego drobiazgu mógłby rozpętać się ciąg waśni, wojen i różnego rodzaju innych nieprzyjemności.

- Wiemy, że to jakaś pułapka, a jednak wchodzimy w to. Jakoś tego nie rozumiem.

Spojrzałam na Doyle'a, licząc na jego pomoc. Nie zawiodłam się.

- Jeżeli przyjmie zaproszenie Taranisa, zgodnie z zasadą gościnności będzie musiał nas dobrze traktować. Nie będzie mógł wyzwać nas na pojedynek ani uczynić nam krzywdy, przynajmniej dopóki będziemy jego gośćmi. Kiedy tylko wyjdziemy poza jego wzgórze, opuścimy dwór, będzie mógł z miejsca rzucić nam wyzwanie, ale do tego czasu jesteśmy bezpieczni. To zbyt stare prawo, obowiązujące wśród nas z dawien dawna, aby nawet jego szlachetnie urodzeni mogli chcieć je złamać.

- Czemu zatem tak się martwisz i zastanawiasz, ilu strażników zabrać, żeby Maeve była absolutnie bezpieczna?

- Bo mogę się mylić - odparł Doyle.

Galen wyrzucił obie ręce w górę.

- To szaleństwo.

- Taranis może być dostatecznie szalony, aby próbować ją skrzywdzić, jak tylko ją zobaczy. Jego dwór może być bardziej spaczony i zepsuty, niż mi wiadomo. Należy być gotowym na to, co może uczynić twój wróg, a nie na to, co robi.

- Nie cytuj moich słów, Doyle. - Galen krążył po kuchni w tę i z powrotem, jakby chciał wypalić unoszącą się w pomieszczeniu energię. - Narażamy Merry na niebezpieczeństwo, udając się na dwór Seelie i ja to wiem.

- Nie wiesz - mruknął Doyle.

- No dobrze, nie wiem. Ale mam takie przeczucie. To zły pomysł.

- Wszyscy przyznają, że to zły pomysł, Galenie - wtrąciłam.

- Wobec tego czemu to robimy?

- Aby dowiedzieć się, czego chce Taranis - odparł Doyle. - W jak najmniej niebezpieczny sposób.

- Jeżeli udanie się na dwór Seelie i znalezienie się w obliczu Króla Światła i Iluzji jest najmniej niebezpiecznym sposobem, to chciałbym poznać ten najbardziej niebezpieczny.

Doyle w końcu się podniósł i podszedł do wciąż krążącego po kuchni Galena. Ten wreszcie przystanął i przez chwilę patrzyli na siebie. Po raz pierwszy poczułam coś pomiędzy nimi. Jakiś rodzaj próby silnej woli, podobnie jak to było między Doyle'em i Mrozem, Doyle'em i Rhysem, ale nigdy z udziałem Galena.

- Najbardziej niebezpieczna byłaby odmowa przyjęcia zaproszenia Taranisa i danie mu pretekstu, by wyzwał Meredith na pojedynek.

- Minęły setki lat, odkąd ostatni raz ktoś toczył pojedynek o zaniedbanie zasad dworskiej etykiety - rzekł Rhys.

- Owszem - przyznał Doyle, nie spuszczać wzroku z Galena.

Galen i Doyle byli tego samego wzrostu, z tym że ten pierwszy był nawet potężniejszy w barach.

- Ale to w dalszym ciągu dobry pretekst do rzucenia wyzwania. Gdyby Taranis chciał śmierci Merry, nie mógłby sobie wymarzyć lepszego pretekstu. Nie mogłaby mu odmówić, bo wtedy miałby możliwość skazania jej na wygnanie. Szlachetnie urodzony sidhe, który odmawia przyjęcia wyzwania, niezależnie od przyczyny, jest uznawany za tchórza, a tchórz nie może rządzić na żadnym dworze.

- Nie ośmieliłby się.

- Uwolnił Bezimiennego, by zabić jedną kobietę sidhe w obawie, że mogłaby zdradzić jego sekret. Myślę, iż Taranis jest zdolny do wszystkiego.

- Nie myślałem... - zaczął Galen.

- Nie - przyznał Doyle - nie myślałeś.

Galen odstąpił od niego.

- Dobra, jestem głupcem. Nie rozumiem dworskiej polityki ani potrzeby bycia tak podstępny. Jestem marnym strategiem, ale mimo to nadal mam wątpliwości, czy Merry powinna udać się na Dwór Seelie. Boję się o nią.

Doyle ścisnął go za ramię.

- Wszyscy się o nią martwimy.

Był taki moment, kiedy ich spojrzenia się spotkały, ale minął i znów wszystko było między nimi w porządku. Czy Galen w pewien sposób rzucał Doyle'owi wyzwanie już od jakiegoś czasu, tyle tylko, że ja tego nie dostrzegałam, czy może stało się to dziś po raz pierwszy? Tak jak bywa z wyzwaniami, to akurat było subtelne, ale nawet subtelne wyzwanie ze strony Galena było czymś niezwykłym. Nie miał charakteru przywódcy. Nie chciał nim być. A jednak w obawie o moje bezpieczeństwo postawił się Doyle'owi.

Podeszłam do niego i objęłam go z tyłu. Potarł dłońmi moje ramiona, podsuwając jedwabne rękawy mego szlafroka wyżej, by móc dotknąć skóry. Miał na sobie tylko płócienne spodnie, toteż poczułam pod swoimi dłońmi gorącą skórę jego brzucha.

- Nie potrafię powiedzieć, czy będzie dobrze, Galenie, ale postaramy się zyskać na tyle potężnych sojuszników politycznych, żeby nawet Taranis się zawahał.

- Ta część planu też mi się nie podoba - rzekł Galen. - Nie możesz przystać na to, by sypiać ze wszystkimi pół-goblinami.

Zaczęłam się od niego odsuwać i schwycił mnie za rękę. Przycisnął je do swego brzucha.

- Proszę, Merry, opamiętaj się.

- Nie oszalałam, Galenie, ale nie zamierzam z nikim o tym dyskutować. Postanowiłam i już. Mamy plan, najlepszy, na jaki nas stać, i to wszystko. - Uwolniłam dłonie z jego uścisku, nie opierałam się. Odwróciłam się do Doyle'a. - Ten kielich wszystko komplikuje, ale to i tak niczego nie zmienia.

Lekko skinął głową.

- Tak jak mówisz.

- A gdyby Merry zatrzymała kielich na tej podstawie, że dostała go od Bogini? - rzekł Nicca. Ukląkł przy stole, by móc lepiej przyjrzeć się pucharowi.

- Nie sądzę, aby boska interwencja stanowiła dostatecznie dobry powód.

- Ale to nasza tradycja - zauważył Nicca. - Mogą gmatwać naszą historię i mieszać ją z innymi, ale prawo mówiące, że ten, kto wydobędzie miecz z kamienia, jest prawowitym królem, nadal obowiązuje. Ard-Ris z Irlandii mieli kamień, który wydawał okrzyk, gdy dotknął go prawowity król.

- Są tacy, co uważają, że kiedy Ard-Ris przestali dokonywać wyboru za pośrednictwem kamienia, Irlandia została podbita przez Anglię rzekł Doyle. - Porzucili swoje dziedzictwo, swą wielką magię i linia prawdziwych królów została przełamana.

Spojrzałam na niego.

- Nie wiedziałam, że masz feniańskie inklinacje.

- Nie trzeba być fenianinem, by rozumieć, że Anglia próbowała zniszczyć Irlandię wszelkimi możliwymi sposobami, politycznie, kulturowo, nawet agrokulturowo. Szkoci byli traktowani źle, ale to zawsze Irlandczycy byli dla Anglików chłopcami do bicia.

- Irlandczycy walczą między sobą i dlatego wciąż są na przegranej pozycji - rzekł Rhys.

Doyle spojrzał na niego spode łba.

- To prawda, Doyle, wciąż zabijają się między sobą, choćby o to, kto zwykł się żegnać, kiedy klęczą, by oddać cześć chrześcijańskiemu Bogu. Szkoci i Walijczycy jakoś nie wyrzynają się między sobą o to, czy należy modlić się do tego samego Boga w taki bądź inny sposób. W ogóle to idiotyczny powód, aby mordować bliźniego.

Doyle westchnął.

- Irlandczycy zawsze byli hardymi ludźmi.

- Hardymi i melancholijnymi - sprecyzował Rhys. - W porównaniu z nimi Walijczycy to naród wesołków.

Doyle aż się uśmiechnął.

- Taa.

- Czy Merry zgłosi prawo do zatrzymania kielicha na podstawie tego, że puchar sam ją wybrał? - zapytał Galen. - Jestem zbyt młody, by pamiętać, aby ktokolwiek został obrany królem, bo dotknięty przez niego kamień zechciał łaskawie krzyknąć, więc czy to ma szansę zadziałać?

- Powinno - odparł Doyle - ale nie mogę powiedzieć, czy Dwór Seelie uzna tę tradycję. Tyle czasu minęło, odkąd były pośród nas relikwie mocy, że wielu w ogóle zapomniało, w jaki sposób zostały nam dane.

- Zapomnieli, bo chcieli zapomnieć - rzucił Nicca.

- Być może, ale stwierdzenie, że Meredith jest właścicielką naczynia, ponieważ przybyło do niej z rąk Samej Bogini, będzie wymagało jakiegoś potwierdzenia.

- Jak miałabym udowodnić, że to Bogini dała mi ten kielich? - spytałam.

Doyle machnął ręką w stronę stołu.

- Dowodem jest, że mamy ten kielich.

- Dowodem, że Bogini dała mi kielich, ma być po prostu to, że go mam?

- Tak.
- Czy to nie nazbyt pokrętny dowód?
- Owszem - przyznał.
- Oni tego nie kupią.

- Jestem otwarty na propozycje. Doyle był mistrzem strategii, kiedy więc pytał mnie o ewentualne pomysły na plan, zaczynałam się denerwować. Gdy nie był pewien tego, co mamy robić, zazwyczaj nie wróżyło to najlepiej.

- Cokolwiek postanowimy, Merry musi zatrzymać kielich - rzekł Nicca - a to oznacza, że również nasza królowa nie może go dostać.

- Cholera - mruknął Rhys. - O tym nie pomyślałem.

- Doyle, wspominałeś o szpiegach, ale to pewnie dlatego nie chciałeś, żeby się dowiedziała, prawda? - zapytałam.

Pociągnął nosem.

- Powiedzmy, że nie wiem, co mogłaby zrobić, gdyby się dowiedziała. Ponowne pojawienie się kielicha było nader nieoczekiwane, podobnie jak niespotykana była forma, w jakiej go otrzymałaś. - Wzruszył ramionami. - Nie wiem, co ona robi, i nie podoba mi się, że tego nie wiem. Niewiedza bywa niebezpieczna.

- Będę jej dziedziczką, tylko jeśli uda mi się zająć w ciążę, zanim Cel zapłodni kogoś innego. To wciąż moja królowa i jeśli zażąda kielicha, będę zobowiązana jej go oddać, zgadza się?

Doyle zamyślił się przez chwilę, po czym skinął głową.

- Chyba tak.

- Merry musi zatrzymać kielich - rzekł twardo Nicca.

- Wciąż to powtarzasz - zirytował się Rhys. - Czemu jesteś o tym tak przekonany?

- Raz już zniknął, bo nie byliśmy godni, aby go zatrzymać. A co, jeśli Merry przekaze go komuś, kto nie jest godzien, i znów zniknie?

- Myślę, że choćby z tego względu królowa pozwoliłaby Merry go zatrzymać - wtrącił

Doyle. - Nie zaryzykowałyby ponownej jego utraty.

- Gdyby Taranis zmusił nas do oddania mu kielicha i naczynie znów by znikło -

powiedział Galen - byłoby to ostatecznym dowodem, że nie jest godzien, by przewodzić.

- I moglibyśmy zgodnie z tą logiką powstrzymać go przed zabraniem nam kielicha -

ciągnął Doyle - ale tylko podczas prywatnej audiencji. Nie możemy w żaden sposób sugerować, że nie uważamy, iż jest godzien być królem.

- Nie mój dwór, nie mój problem - podsumowałam.

- Będziemy się bardzo starali, aby nie stało się to naszym problemem - ciągnął Doyle.

- A teraz myślę, że wszyscy powinniśmy się trochę przespać. Udajemy się na dwór za niespełna dobę i mamy jeszcze mnóstwo pracy.

- Co zrobimy z kielichem? Nie możemy go tak po prostu zostawić na stole.

- Owiń go w jedwab i zabierz do drugiej sypialni. Włóż go do szuflady przy nocnym stoliku.

- Nie zamkniemy go w sejfie? W domku gościnnym jest jeden.

- Myślę, że ten, kto chciałby go ukraść, nie miałby większych problemów z wyrwaniem sejfu ze ściany.

- Och - westchnęłam. - Może spędziłam zbyt wiele czasu wśród ludzi. Wciąż zapominam, jak silni potrafią być niektórzy spośród nas.

- Myślę, księżniczko, że nie powinnaś zapominać o takich rzeczach. Gdy wrócimy na dwory faerie, musisz zdawać sobie sprawę z tego, jak niebezpieczne może być otoczenie.

- Czy to już koniec dyskusji? - spytał wiszący w powietrzu Sage.

Doyle rozejrzał się po pokoju, przepatrując kolejno twarze zebranych.

- Tak, chyba tak.

- Świetnie - mruknął Sage. - Ktoś jest mi winien trochę krwi i chcę jej już teraz.

Usłyszałam, jak Mróz nabiera tchu, by zaprotestować. Znałam ten dźwięk dostatecznie dobrze, by rzec:

- Nie, Mrozie, on ma rację. Zawarliśmy układ, a sidhe ich dotrzymują. W przeciwnym razie straciliby twarz.

- Nie zamierzam się z tego wycofywać, ale i tak mi się to nie podoba.

Od miesiąca regularnie karmiłam Sage'a, a Mróz miał otworzyć przed nim żyłę raz, jeden jedyny raz, i robił z tego wielki problem. Uwielbiałam Mroza, gdy byłam w jego ramionach. Nawet go kochałam, zwłaszcza gdy mogłam podziwiać jego urodę, ale coraz bardziej nie znosiłam jego dąsów; nie cierpiałam go, gdy z prostych rzeczy czynił spiętrzające się problemy. To dawało mi do myślenia, czy kiedykolwiek byłam we Froście zakochana, czy tylko go pożałowałam. A może byłam zwyczajnie zmęczona. Wykończona tym, że zawsze w grę musiała wchodzić moja krew i ciało. Tym razem przyszła kolej na Mroza, aby poświęcił

się dla zespołu, i nie chciałam wysłuchiwać z tego tytułu dalszych utyskiwań, niezależnie, jak pięknie wyglądał, kiedy tak się dąsał.

Rozdział 11

Rhys rzucił się na łóżko, ułożył na boku i poprawił poduszki, tak że znalazł się w pozycji półsiedzącej, oparty o wezglowie. Zgiął jedną nogę w kolanie, a drugą podkulił, dzięki czemu, gdy weszliśmy do pokoju, zaprezentował nam swoje wdzięki. Uśmiezek na jego twarzy nie wróżył nic dobrego; zazwyczaj uśmiechał się w ten sposób, gdy chciał z kogoś zadrwić. Mróz, delikatnie mówiąc, nie reagował dobrze na jego przytyki.

- Żadnych przekomarzanek, Rhys, mówię serio. Jestem zmęczona, jest już późno, a to był bardzo dziwny dzień. - Wysunęłam szufladę przy nocnym stoliku i spróbowałam tam upchnąć kielich. Nie pasował. Szuflada była zbyt płytka. Zakląłam cicho pod nosem.

- Myślisz, że może po prostu stać przy łóżku owinięty w jedwab? - spytałam.

- Pewnie tak - odparł.

Postawiłam owinięty w jedwab kielich obok lampki i nie wiedzieć czemu, chciałam, aby był zarazem bliżej i dalej. To nie miało sensu, ale pragnęłam trzymać go w rękach, czuć jego dotyk, mieć pewność, że nie zniknie. Z drugiej strony chciałam ukryć go na dnie szuflady, zagrzebać pod stertą ubrań i nigdy więcej nie dotknąć. Ostatecznie postawiłam go na podłodze przy na wpół przysłoniętym pochłaniaczu pyłu. Gdyby ktoś się włamał, nie zauważyłby go od razu, a ja mogłabym go szybko zabrać.

- Jesteś dziś taka drażliwa - rzekł Rhys. Nie przywykłaś do gorącego lesbijskiego seksu, co?

Łypnęłam na niego.

- To przywilej wywołać u Maeve pierwszy od stu lat orgazm podczas seksu sidhe z sidhe, ale wiesz, że nie zrobiłam tego celowo.

- Jak dla mnie wyglądało to całkiem rozmyślnie - rzekł, wciąż się uśmiechając.

Świetnie, zamierzał mi wszystko utrudniać.

- Po prostu jesteś zazdrosny, że ja mogłam ją dotknąć, a ty nie.

Uśmiech nieznacznie przygasł.

- Może. A może jestem zazdrosny, że nie znalazłem się pośrodku.

Rozchyliłam szlafrok i gdy ujrzał mnie nagą, jego spojrzenie stało się takim, jakie dobrze

znałam. To było coś pomiędzy cierpieniem a głodem, jakby pragnienie było tak silne, że sprawiało mu ból. Domyślałam się, że to spojrzenie było efektem lat celibatu, ale tylko Rhys patrzył na mnie w ten sposób. Lubiłam to i wiedziałam, że chodziło o coś osobistego, o co nigdy nie zapytam. Jeżeli sam mi nie powie, nigdy nie poznam prawdy. Może jeśli kiedyś straci ten błysk w oku, kto wie, może wtedy go zapytam.

Mróz i Sage kłócili się w korytarzu za nami. Rhys nie był niestety jedynym w nastroju do przekomarzanek. Nie mogłam kontrolować Sage'a, ale Rhysa owszem.

Wpełzłam naga do łóżka i powiedziałam:

- Proszę, Rhys, nie drażnij się z Mrozem, nie dzisiaj.

Nie patrzył na mnie, chyba mnie nawet nie usłyszał. Spróbowałam raz jeszcze.

- Rhys, Rhys, spójrz tutaj. - Pstryknęłam palcami, by zwrócić jego uwagę.

Zamrugał i potrzebował dłuższej chwili, by w końcu spojrzeć na moją twarz.

- Mówiłaś coś?

Trzepnęłam go poduszką, którą złapał i objął ramionami.

- Mówię poważnie, Rhys. Jeżeli zechcesz mi to utrudniać w jakikolwiek sposób, wkurzę się. - Sięgnęłam po drugą poduszkę i przycisnęłam do siebie. - Jestem zmęczona, Rhys, naprawdę fizycznie zmęczona. Potrzebuję snu, a nie brodzenia w emocjonalnych odpadach dzielenia się przez Mroza krwią z Sage'em. - Odnalazłam jego spojrzenie i ucieszyłam się, widząc, że jego uśmiech przygasł. - Proszę, nie utrudniaj mi jeszcze bardziej.

- Prosisz czy żadasz? - spytał z powagą.

- Obecnie proszę jako przyjaciółka i kochanka, nie jako księżniczka.

Ułożył poduszkę za sobą i usiadł jeszcze wyżej.

- Dobra, skoro tak ładnie prosisz. - Uśmiech powrócił. - Poza tym Mróz nie jest w moim typie.

Wywróciłam oczami.

- Jeżeli rzucisz choć jeden żarcik homoseksualny, wykopię cię z tego łóżka.

Przysięgam.

- Czy mógłbym zrobić coś takiego?

- Jasne, że tak. - Dotknęłam jego ramienia i ścisnęłam. - Błagam cię, Rhys.

Mróz i Sage byli już prawie w pokoju i usłyszałam, o co się kłócili. Mróz chciał, żeby Sage wziął od niego krew, nie używając uroku, a Sage pragnął wykorzystać urok. Mały pół-elf twierdził, że dzięki temu jest to zabawniejsze.

Oblicze Rhysa spoważniało.

- Lubię Mroza, jest świetny w boju, ale drażliwy niczym piekło zimą, odkąd dołączył do naszego dworu jako sidhe.

Zwróciłam uwagę na dziwny dobór słów, ale wiedziałam, o co mu chodziło.

Widziałam pierwotną postać Mroza. Kiedy jeszcze nie był sidhe. Tak wiele się wydarzyło, że nie miałam czasu zastanowić się nad znaczeniem tego wszystkiego. Uczono mnie, że aby być sidhe, musisz mieć w sobie ich krew. Przypomniało mi się, jak tańczył po śniegu niczym dziecko, a wiatr unosił go ku niebu i ciskał w tańcu roziskrzonego srebrnego pyłu. To, co ujrzałam, nie było sidhe. Nie wiedziałam, czym było. Skoro wcześniej nie był sidhe, to jakim cudem stał się nim teraz? Zabrakło czasu na odpowiedzi, gdyż do środka wszedł Mróz, a na wysokości jego ramienia unosił się Sage. Nie mogłam przy Sage'u porozmawiać z Mrozem o mojej wizji. Nie wiem nawet, czy Mróz chciałby o tym rozmawiać przy Rhysie.

Sage wleciał, trzepocząc na wysokości ramienia Mroza.

- Bez uroku tego nie zrobię i koniec dyskusji.

Mróz pokręcił głową, jego srebrne włosy rozblęły w świetle.

- Nie pozwolę, byś rzucił na mnie urok, Sage, mowy nie ma.

- Panowie - odezwałam się.

Obaj odwrócili się do mnie z rozdrażnieniem. Twarz Sage'a jednak z wyrazu nadąsania w okamgnieniu zmieniła się w namiętny. Podfrunął do łóżka, chichocząc i przeleciał nad moją głową niczym mały śmigłowiec, jakby chciał lepiej mi się przyjrzeć.

Mróz został przy drzwiach, wciąż nadąsany i wściekły, choć także odrobinę wystraszony. Było to widać przez moment w jego szarych oczach, prawdziwy strach, zaraz jednak zniknął ukryty pod maską arogancji. Wiedziałam, że ta arogancja po części maskowała to, o czym myślał. Nie ulegało wątpliwości, przynajmniej dla mnie, że czuł się nieswojo, że cała ta sytuacja mu się nie podobała.

Wyciągnęłam do niego rękę.

- Chodź do mnie, Mrozie.

- Do ciebie przyjdę z ochotą, Meredith, ale nie do wszystkich.

Przesunęłam dłonią po poduszce, która wciąż leżała na moim podolku. Sage nie otrzymał jak dotąd widowiska, na jakie liczył, ale fruwał nade mną niestrudzenie - miałam zwyczaj zakładać coś na siebie albo przykrywać się kocem, zanim zaczynał pić moją krew.

Udowodnił, że nie można mu ufać. Nie mam nic przeciw takim pieszczotom, jeśli tego chcę, ale jak mówię nie, to nie. Pomyślałam, że z Mrozem i Rhysem powinnam być w miarę bezpieczna. Patrząc na Mroza, który wciąż stał przy drzwiach, zaczynałam mieć wątpliwości.

- Przystałeś na to, Mrozie - oznajmiłam.

- Zgodziłem się oddać krew, ale nie pozwolę, żeby ten mały chochlik rzucił na mnie urok.

Sage odwrócił się w powietrzu i podfrunął do wyższego mężczyzny.

- Sidhe, który lęka się magii pół-fey, cóż to za zagadka?

- Nie obawiam się ciebie, mały człowieczku, ale nie pozwolę z własnej woli, by jakikolwiek fey rzucał na mnie czar.

- Pozwolenie, by Sage użył uroku, kiedy pije krew, to kompromis, bo przecież odmawiam uprawiania z nim seksu.

- To nie mój kompromis - uciął Mróz.

Wydawał się wyższy, bardziej barczysty i bardziej pewny siebie. Zazwyczaj im bardziej sprawiał wrażenie pewnego siebie, tym mniej pewnie się czuł, ale zapewne nie byłby zachwycony, gdybym przyznała, że o tym wiem.

Rhys usiadł na poduszkach, na których się wspierał.

- Mogę, księżniczko?

Wykonałam drobny gest i westchnęłam.

- Jeżeli sądzisz, że to pomoże.

- Niech Sage posmakuje Mroza - z uwagi na oburzenie malujące się na twarzy Mroza mówił bardzo szybko - tak jak posmakował mnie, lekkie liźnięcie, nic więcej. Przekonajmy się, czy Mróz naprawdę smakuje jak bóg, czy jak zwykły sidhe.

To nie był zły pomysł.

- Mrozie, czy pozwolisz Sage'owi, aby cię tylko polizał?

Otworzył usta, ale nie pozwoliłam mu odpowiedzieć.

- Mrozie, proszę, to przecież tak niewiele.

Zawahał się na chwilę, po czym powoli skinął głową, jeden jedyny raz.

- Zgadzam się.

- Sage. Drobne liźnięcie, takie jak w przypadku Rhysa, w tamtym pokoju, i nic więcej.

Sage podfrunął tak blisko łóżka, że dostrzegłam jego diaboliczny uśmiezek, ale w końcu pokiwał głową. Nie ufałam mu.

Mróz zrobił krok w tył, a kiedy uświadomił sobie, że się cofa, znieruchomiał.

Większość sidhe wierzyła, że nikt poza innymi sidhe nie jest ich w stanie skutecznie zauroczyć. Mróz w to nie wierzył i zaczęłam się zastanawiać, jakiej i czyjej magii mógł paść ofiarą. Zareagował, jakby miał powód bać się pół-fey.

- Zaczekaj - powiedziałam. - Czy Mróz został kiedykolwiek oddany pół-fey na tortury, jak Galen?

- Nie - odrzekli równocześnie Mróz i Rhys.

Sage pokręcił głową.

- Nigdy nie mieliśmy przyjemności poznać bliżej Zabójczego Mrozu. - Oblizwał drobne wargi w taki sposób, abyśmy wszyscy to zobaczyli. - Mniem.

Mróz spojrział na mnie.

- Nie zmuszaj mnie do tego.

- Do czego? Żeby polizał twoją skórę i przekonał się, jak smakuje? To nic trudnego, Mrozie. Czy padłeś ofiarą uroku jakichś pomniejszych fey? Dlatego tak się martwisz? -

Uświadomiłam sobie, że chyba posunęłam się za daleko.

- Nie padłem ofiarą żadnych fey. - Jego oblicze było uosobieniem piękna, zimne i aroganckie. Struktura kostna mogła sprawić, że chirurg plastyczny zaszłochałby z zazdrości.

Szary jedwab szlafroka nieomal zlewał się z jego migoczącymi srebrzycie włosami. Był jak rzeźba, zbyt piękna, by jej dotknąć, i nieprawdopodobnie dumna.

Chciałam spytać, co wobec tego było nie tak, ale nie ośmieliłam się tego zrobić przy innych mężczyznach. Spojrzałam na jego twarz i powiodłam wzrokiem w dół, przez tors, talię. Pomyślałam o wszystkim, co kryło się pod szlafrokiem i zrozumiałam, że nawet gdybyśmy byli sami, nie przyznałby mi się, o co naprawdę chodziło.

- Posmakuj go, Sage. - Mój głos wydawał się znużony i zniechęcony i tak też się czułam.

Sage podfrunął bliżej, prawie nie poruszając skrzydłami, jakby spłynął w dół. Zawisł w powietrzu tuż nad twarzą Mroza, następnie śmignął jak rozmazana czerwono-żółto-niebieska smuga. Był już prawie pod sufitem, z dala od Mroza, zanim ten machnął ręką, usiłując go uderzyć.

Zasyczał, a ja pomyślałam, że to dlatego, iż Mróz chciał go zaatakować, lecz potem usłyszałam gniew w jego głosie.

- Nie smakuje inaczej niż biały rycerz.

- Wobec tego weź moją krew i nie mieszajmy w to Mroza - zaproponował Rhys.

Sage podfrunął w stronę łóżka. Splótł maleńkie ramiona na piersiach i tupnął nogą w powietrzu, jakby stał na twardym podłożu.

- Nie. Umowa była na dwóch wojowników sidhe i chcę właśnie dwóch.

- Dostaniesz moją krew - rzekł Mróz - ale bez rzucania uroku.

- Dostaniesz to, co ci obiecaliśmy, ale pozwól Mrozowi, by wrócił do swego łóżka.

Tej nocy nic nam po nim - powiedziałam

Mróz drgnął na dźwięk moich słów, skóra wokół jego oczu napięła się, ale znałam go dobrze i wiedziałam, co to oznaczało.

- Kogo proponujesz na jego miejsce? - spytał Sage, podfruwając na wysokość mojej twarzy. - Może Galena? - Jego uśmiech był złowieszczy i uwodzicielski zarazem.

- Wiesz, więc czemu pytasz?

Nadał się, ale nie zaprotestował.

- Nie będę znów dzielił cię z goblinem. A z Ciemności nie chcę pić. - Zamyślił się, po czym przycupnął na poduszce na moim podółku. Fioletowa satyna ugięła się pod jego ciężarem. Zawsze był cięższy, niż się wydawał, bardziej nawet, niż pamiętałam. - Wobec tego Nicca, bo tylko on jeszcze został.

Skinęłam głową.

- Zgoda.

- Nie spytasz Nicci, czy pozwoli, by pół-fey nasycił się jego krwią? - odezwał się Mróz.

Spojrzałam na niego; był olśniewająco przystojny...

- Nie muszę pytać Nicci. Jeżeli po niego poślę, przybędzie i zrobi, co mu każe.

- A ja nie - mruknął Mróz, unosząc podbródek w górę jak uosobienie zuchwałości, buntu i arogancji.

Westchnęłam.

- Kocham cię, Mrozie.

To sprawiło, że jego oblicze złagodniało i przez chwilę odmalowała się na nim niepewność.

- Kocham mieć cię w moim łóżku, kocham cię całego, ale będę królową. Będę władczynią absolutną na naszym dworze. Chyba zapominasz, co to oznacza. Niezależnie, kto będzie królem, to ja będę rządzić. Rozumiesz to, Mrozie?

- Czyli twój król będzie jedynie marionetką.

- Nie, chcę mieć partnera, który wie, że pewne nieprzyjemne rzeczy są konieczne i trzeba je zrobić, czy się ma na to ochotę, czy nie.

- Nie zmienię się - rzekł, a jego głos nie do końca odzwierciedlał niezmacony spokój malujący się na obliczu.

- Wiem - szepnęłam łagodnie.

Przez moment wydawał się zbity z tropu i zagubiony, ale zaraz chłodna arogancja powróciła. Był Mrozem, Zabójczym Mrozem. Z chłodem zimy się nie dyskutuje. Albo się przed nim schronisz, albo umrzesz.

Nigdy jeszcze nie słyszałam takiego chłodu w jego głosie, gdy wydusił:

- Przyślę do ciebie Niccę. Powiem mu, że go wzywasz, nic więcej.

- Zrób to - odparłam, nie mogąc powstrzymać lodowatego tonu w swoim głosie.

Byłam na niego wściekła i sfrustrowana, nie wiedziałam, jak mam rozładować sytuację. Byłam przyszlą królową, a nie potrafiłam nawet przejąć kontroli nad własnym życiem osobistym. To zły znak.

- Dziękuję, Mrozie - dodałam.

- Nie dziękuj mi, księżniczko. Wykonuję tylko moje obowiązki.

Odwrócił się, jakby chciał odejść.

- Nie rób tego - wykrztusiłam.

Odwrócił się do mnie.

- Ale czego?

- Nie udawaj, że jesteś zraniony, ty i twoje uczucia. Nie tylko o ciebie tu chodzi.

Pewnych rzeczy nie należy traktować osobiście, są po prostu konieczne.

- Mogę odejść?

Odmówiłam w duchu krótką modlitwę, aby starczyło mi cierpliwości wobec tego nieznośnego faceta, po czym powiedziałam:

- Tak, idź i przyślij do nas Niccę.

Wyszedł, nie oglądając się. Jedną ręką dotykał pleców na wysokości nerek, co oznaczało, że

miał tam broń. Rzadko był zupełnie nieuzbrojony. A kiedy czuł się niepewnie, dotykał swojej broni, tak jak kobiety biżuterii.

- No tak - mruknął Rhys - zawsze po grudzie.

- Nawet jak na Zabójczy Mróz, to był istny popis chimeryczności - wtrącił Sage - i gniewu.

- Strachu - dorzucił półgłosem Rhys.

- Co takiego? - spytałam.

- Strachu - powtórzył. - Im bardziej zuchwały staje się Mróz, tym większe rodzi się w nim zdenerwowanie, a nerwowość zwykle oznacza strach.

- Czego się boi?

- Mnie. - Sage wzbił się w powietrze, wirując, jakby chciał popisać się swoimi umiejętnościami i możliwościami skrzydeł.

Rhys uśmiechnął się.

- Może i wzbudzasz lęk, ale sędzę, że chodzi o coś innego.

- Wobec tego o co? - naciskałam.

Rhys wzruszył ramionami.

- Nie wiem.

W drzwiach pojawił się Nicca. Długie do kostek włosy otulały go niczym płaszcz, ale narzucił na siebie szlafrok z jedwabiu w kolorze królewskiej purpury. Ten kolor do niego pasował, podkreślając ciemny brąz jego oczu i rudawy odcień kasztanowych włosów. W ten sposób skóra wydawała się ciemniejsza, bardziej czekoladowa.

- Mróz mówił, że chcesz mnie widzieć.

Wyjaśniłam, o co chodzi, a on po prostu się zgodził. Żadnych dąsów czy złości, zero sprzeciwów. To dodało mi otuchy. Właśnie tego potrzebowałam. Mróz w moim łóżku był

nienasyconą istotą o nieprzepartych pragnieniach i dającą mi dziką rozkosz. Tej nocy dla mojego własnego dobra powinnam poprzestać na mniej dobitnych doznaniach, nie tak żarliwych namiętnościach, pomniejszych żądaniach i stonowanych pragnieniach.

Rozdział 12

Leżałam w zagłębieniu ramienia Rhysa, opierając się o jego bark, z głową złożoną na jego ciepłym torsie. Nicca podpierał się na łokciu, z tyłu za mną. Zachowywał niewielki dystans pomiędzy nami, tak że na skórze czułam tylko lekką wibrację jego aury, jego magię.

Chciałam go poprosić, aby zmniejszył ten dystans, aby przyłgnął do mnie, lecz tego nie zrobiłam. Nie zaprosiłam go tu na seks. To była noc Rhysa, a on przestał dzielić mnie z Niccą po tym, jak pokonaliśmy Bezimiennego i gdy odzyskał część swoich mocy. Niemniej czułam żar pragnienia Nicci.

Wtuliłam się w ciało Rhysa, a następnie uniosłam głowę i spojrzałam na jego twarz.

- Chcę, żeby Nicca został tej nocy z nami.

- Nie wątpię - odparł Rhys, ale uśmiech zaczął zastępować wyraz powagi w jego oczach.

Przesunęłam dłonią po jego brzuchu, w górę aż do sutka, zataczając wokół obwódki leniwe kręgi, aż zesztyniał, a oddech mężczyzny stał się nieco bardziej przyspieszony.

Schwycił mnie za rękę.

- Przestań, bo nie będę w stanie myśleć.

- I o to chodzi - uśmiechnęłam się do niego, zdając sobie sprawę, że w moich oczach było coś głębszego niż rozbawienie.

- Zauważyłem, że mnie nie poprosiłaś, abym został na noc - powiedział Sage.

Wylądował na twardym, mocno wyrzeźbionym brzuchu Rhysa.

- Możesz zostać na noc - rzuciłam - ale nie ze mną i nie w moim łóżku.

Sage tupnął nogą w muskularne ciało Rhysa.

- To niesprawiedliwe, że muszę używać uroku, byście mogli doznawać niesamowitych odczuć, ale odmawia mi się owoców mego trudu. Zwłaszcza że inni będą w tym uczestniczyć.

- To ty chciałeś dwóch mężczyzn sidhe, Sage. Wiesz, jaki efekt wywołuje na mnie i na innych twój czar.

Splótł ręce na piersiach.

- Tak, tak, to wyłącznie moja wina.

W jednej chwili przestał się dąsać i uśmiechnął się z rozbawieniem i lubieżnością.

- Proponuję zakład.

Uniosłam się znad torsu Rhysa i pokręciłam głową.

- Nie.

- Jaki zakład? - spytał Rhys.

- Nie - powtórzyłam.

Spojrzał na mnie.

- Dlaczego?

- Nie miałaś okazji poczuć mocy uroku Sage'a. Ja tak.

Rozbawienie mieszało się u Rhysa z typową dla sidhe arogancją. To była pięta achillesowa naszej rasy, bez konotacji mitologicznych. Nieraz już musieliśmy srodze zapłacić za naszą arogancję.

- Myślę, że troje sidhe powinno być dowodem przeciwko magii pół-fey.

- Rhys, powinienes wiedzieć, że fey nie należy lekceważyć tylko dlatego, że nie są sidhe.

Odsunął się, gdy chciałam dotknąć jego twarzy. Nie zamierzałam dotykać jego blizn, ale chyba mnie nie zrozumiał. Był wściekły, jak zawsze, kiedy przypomniano mu, co zrobiły z nim gobliny.

- Myślę, że to ty zapominasz, czym i kim jesteśmy. - Niebieskie obwódki w jego oku zaczęły lśnić łagodnymi pulsującymi kolorami w odcieniach jaja drozda i zimowego nieba.

Wszystkie tętniły w rytm jego gniewu i mocy. - Jeśli ponownie jestem Cromm Cruachem, Merry, to Sage nie może mnie tknąć.

Chciałam zapytać: a jeśli nie jesteś?, ale coś w jego wyrazie twarzy mnie powstrzymało.

- Nigdy nie byłam bogiem, Rhys. Nie wiem, czy to oznacza absolutna nietykalność.

- Ja wiem - rzekł z takim przekonaniem i zjadliwością, jakiej nigdy u niego nie widziałam. Rozpoznałam jednak strach. Obawę, że mógłby nie być tym, kim był. Obawę, że mógłby nigdy nie odzyskać tego, co utracił. Zbyt wiele razy widywałam lęk na twarzach innych sidhe, abym nie umiała go rozpoznać. To był strach mego ludu, że zawiedziemy jako rasa, że już zawiedliśmy i wszyscy wymrzemy do ostatniego. To był lęk, który nosiliśmy w sobie tak długo, że stał się niemal fobią naszego ludu.

Gdybym zabroniła mu stanąć do zakładu z Sage'em, to tak jakbym otwarcie powiedziała, że nie był dla niego dość silny, dość dobry. Nie to miałam na myśli, ale był

mężczyzną, a oni wszyscy mają w większości te same mankamenty, podobnie jak my, kobiety, mamy swoje. Jego mankamentem było wybujałe ego. Moim to, że zdarzało mi się podburzać to ego na różne sposoby. Wiedziałam, że popełniam błąd, mówiąc:

- Rób, co chcesz, ale nie mów, że cię nie ostrzegałam.

- To jak, biały rycerzu, założymy się? - zapytał Sage. - Wykorzystam mój urok, aby rzucić czar na was wszystkich i jeśli uda mi się zauroczyć naraz całą waszą trójkę, troje sidhe, otrzymam to, czego najbardziej pragnie moje serce.

- Rhys - rzekł Nicca - bądź ostrożny.

- Nie jestem tak głupi - odwarknął. - A co jest pragnieniem twego serca? Muszę wiedzieć, zanim się na to zgodzę.

- Chcę przelecieć księżniczkę - odparł.

Rhys pokręcił głową.

- Nie mogę zakładać się o coś, co nie należy do mnie, a chodzi przecież o jej ciało, nie moje.

- Żadnych stosunków - powiedziałam. - Nie pozwolę ci aspirować do tronu, Sage.

Wzruszył ramionami.

- No dobra. Więc skoro nie zwykły stosunek, to co?

Musiałam przyznać, że po tygodniach obcowania z magiczną mocą Sage'a i jej wpływem na mój umysł i ciało bardzo mnie to zaciekało. Jego osobisty urok, którego używał do uwodzenia, był najlepszym, z jakim się kiedykolwiek zetknęłam. Małe ukąszenie w rękę i odrobina jego magii mogły mnie doprowadzić na granicę orgazmu.

Skłamałabym, mówiąc, że nie zastanawiałam się, czy byłoby lepiej, gdybym pozwoliła mu się dotknąć. Ale nie tylko to sprawiło, że nagle moje ciało stało się ciche i nieruchome.

Miałam najbardziej zdumiewających kochanków na świecie, ale były rzeczy, których odmawiali nawet mnie i sobie nawzajem. Próbowaliśmy mnie zapłodnić, co oznaczało, że seks kończył się wyłącznie w jeden sposób. Nie marnowaliśmy nasienia, liczyło się tylko zrobienie mi dziecka. Udało mi się przekonać niejednego mężczyznę, abym mogła wziąć go do ust, żaden jednak nie zgodził się tam skończyć, niezależnie, jak tego chcieli czy jak ich o to prosiłam. Przez stulecia zabraniano im nie tylko stosunków, ale także ejakulacji, jakiegokolwiek wyzwolenia, nawet za pomocą ich własnego dotyku. Było tak wiele rzeczy poza stosunkami, których im odmawiano. Mogli o tym mówić, ale nie mogli tego robić, gdyż uważano to za zwykłe marnotrawstwo nasienia. A co za tym idzie, stratę okazji, aby zostać królem. Nagle zdałam sobie sprawę, że czułam się trochę jak kłacz rozplodowa. Coś, z czym spółkujesz tylko po to, by zrobić dziecko, a nie dlatego, że chcesz być w środku. Wiedziałam, że mnie pragnęli, ale nie miałam pojęcia, czy nadal by tego chcieli, gdyby mieli inne opcje.

Czy moi przystojni mężczyźni wciąż by mnie chcieli, gdyby nagrodą w tym wyścigu nie był tron? Galen tak, i to między innymi mnie w nim pociągało, ale co z innymi? Nie byłam pewna co do innych. To sprawiło, że poczułam ucisk w piersiach i bynajmniej uczucie to nie należało do przyjemnych. Czy przystojni sidhe chcieliby niskiej śmiertelniczki o ludzkim wyglądzie, gdyby mieli innym wybór? Oczywiście, że mnie pragnęli, co mogliby powiedzieć innego? Ale tylko Galen i Rhys zwracali na mnie uwagę, kiedy byłam jedynie niechcianą istotą, ledwie tolerowaną po śmierci ojca.

Nieprzerwany wyścig po dziecko sprawił, że czułam, iż tylko to trzyma ich przy mnie.

I tak właśnie było. Kiedy tylko zajdę w ciążę i będę wiedziała, kto jest ojcem, znikną, wycofają się na bezpieczny dystans. Nie będę ich miała na zawsze.

Spojrzałam na Rhysa, najniższego z Kruków Królowej. Każdy cal jego ciała był prężny, umięśniony, twardy i silny. Odwróciłam się do Nicci. Jego ciemne oczy zdawały się nieomal przepalać gęstą kaskadę kasztanowych włosów. Powiodłam dłońmi i ustami po wzorze w kształcie skrzydeł na jego plecach jak po najbardziej wibrującym tatuażu na świecie. Był dla mnie zbyt łagodny w łóżku, za bardzo uległy. Ale był piękny i przez krótki czas należał do mnie, mogłam z nim zrobić, cokolwiek zechciałam. Wszyscy inni martwili się tym, że nie zachodziłam w ciążę. Dla mnie to też było zmartwienie, ale wiedziałam, że zamknęłoby to przede mną niejedne drzwi, odcięło od wielu rzeczy, których pragnęłam. A póki je miałam, chciałam je posiadać naprawdę, a nie tylko bawić się w fabrykę do robienia dzieci.

Czego brakowało mi najbardziej? Poczucia mężczyzny w ustach... gdzie z początku był miękki i

mały, tak że mogłam wziąć go całego, nawet z jądrami, a potem poczuć, jak twardnieje i rośnie. To było naprawdę cudowne. Robiłam to w ten sposób z moim ostatnim facetem. Nie był sidhe i nie potrafiłby wykrzesać z siebie nawet cząstki mocy, jaką miał urok Sage'a. Chciałam poczuć w sobie gorące wyzwolenie. A mówiąc „w sobie”, nie mam na myśli swego łona. To nie myśl o Sage'u sprawiała, że coś się we mnie zaciskało, ale o kimś, kto mógłby dojść w moich ustach.

- Coś wymyśliła - rzekł Nicca.

- Co ma znaczyć ten wyraz twarzy, Merry? - zapytał Rhys.

- Jeżeli tej nocy urok Sage'a zwycięży, chcę go wziąć do ust. Chcę poczuć, jak jeden z was dochodzi w moich ustach.

- Wiesz, dlaczego tego nie robimy - powiedział Rhys.

Usiadłam, odsuwając się od niego.

- Wiem, muszę zająć w ciążę, ale w seksie nie chodzi tylko o płodzenie dzieci. -

Wzięłam głęboki, drżący oddech. - Chcę patrzeć, jak jeden z was pobudza się na moich oczach. Chcę poczuć, jak sztywniejecie i ocieracie się o każdy cal mego ciała, zanim dojdziecie. Chcę być cała skąpana w waszym nasieniu, a nie tylko czuć, jak ze mnie wypływa raz za razem, gdy staramy się o dziecko. - Zrobiłam się dziwnie zasmucona. Którejś nocy jeden z was mnie zapłodni, a kiedy będziemy wiedzieć, kto jest ojcem, wszyscy inni odejdą. -

Spojrzałam na nich, nawet na małego pół-fey stojącego na brzuchu Rhysa. - Chcę móc nacieszyć się wami, póki mam taką możliwość.

Dotknęłam dłońmi ud obu wyższych mężczyzn.

- Przez setki lat odmawiano wam wielu innych rzeczy poza stosunkami. Nie chcecie znów tego doświadczyć?

Rhys usiadł tak gwałtownie, że Sage wzbił się w powietrze.

- Przepraszam, Merry. Chciałbym móc to zrobić, ale...

Prychnęłam.

- Ale my nie chcemy marnować nasienia. Tak, to wszystko jest bardzo ważne, nie przeczę. Jednak tej nocy, tu i teraz, chcę, żebyśmy zrobili to, na co mamy ochotę, i nie martwili się, czy będą z tego dzieci, czy nie.

- Wątpię, aby Doyle na to pozwolił - wymamrotał Nicca.

Odwrociłam się do niego i poczułam gniew. Wzbierał we mnie niczym gorejący wichur. To odczucie dosięgło mojej magii i sprawiło, że skóra zaczęła lśnić od wewnątrz.

- Czy Doyle jest tu dziś z nami?

- Nie - wyszeptał Nicca; wyglądał na zakłopotanego.

- Przepraszam, Merry, nie chciałem...

- Jestem księżniczką, a zostanę królową. - Pokręciłam głową. - Mam już dość tego, że wszyscy wciąż się ze mną kłócicie. Dobrze więc, tej nocy będziemy kochać się we trójkę, wy dwaj i ja, ale Sage odpada.

Wyciągnęłam rękę do Sage'a i wylądował na niej. Był dziwnie ciężki, jakby ważył więcej, niż powinien. Miałam okazję trzymać kiedyś na ręku jego królową Niceven, była lekka jak piórko, jak sen.

- Zrobisz to, co zechcę, prawda, Sage?

- To byłaby dla nie przyjemność, księżniczko. - Skłonił się nisko, po czym podfrunął w górę, cmoknął mnie w usta i wzbił się pionowo w powietrze. - Zdziwiłabyś się, jak wiele kobiet sidhe nie chce obciągnąć facetowi.

- Uwodziłeś zbyt wiele Seelie sidhe - odparłam.

Spojrzał na mnie, krążąc na swych wielobarwnych skrzydłach.

- Może, albo zbyt wiele istot na dworze Unseelie ma ostre zęby. Mężczyzna musi uważać, gdzie wkłada swoją męskość, w przeciwnym razie utraci więcej aniżeli tylko cnotę.

- Ja nie gryzę - zapewniłam.

Nadał się.

- Szkoda.

Zachichotałam.

- Ale jeżeli lubisz na ostro...

Na chwilę spoważniał.

- Do pewnego stopnia owszem.

- Wskaż mi granicę.

- Merry nic nie robi, dopóki nie rzucisz uroku na naszą trójkę. A jeżeli ci się nie uda?

- spytał Rhys.

- Nigdy więcej nie będę próbował uwieść ani przelecieć księżniczki.

- Słowo honoru?

Sage przyłożył dłoń do piersi i uklonił się, wisząc w powietrzu. Był to dziwny gest pełen gracji.

- Daję uroczyście słowo honoru.

Chciałam to natychmiast odwołać, ponieważ za dobrze znałam Sage'a. Nigdy nie zaproponowałby takiego zakładu, gdyby nie był pewien wygranej. Zanim jednak zdążyłam cokolwiek powiedzieć, Rhys odparł:

- Zgoda.

Westchnęłam i nagle uświadomiłam sobie, że jakaś część mnie chciała, żebyśmy przegrali. Ale czy wygramy, czy przegramy, czekała mnie trudna rozmowa z Doyle'em.

Królowa Andais oddała mi strażników, mogłam z nimi robić, co zechcę, czy jednak zapragnie ich odzyskać, kiedy znajdę swego króla? Odebranie ich i ponowne wymuszenie celibatu wydawało się czymś, co mogłaby zrobić Andais. Bądź co bądź, była sadystką. Gdybym wyjaśniła to Doyle'owi, może zdołałby spojrzeć na tę sytuację z mojej perspektywy. Gdyby okazał się oporny, mogłabym wydać mu rozkaz. Choć za bardzo na to nie liczyłam. Gdy próbowałam rozkazywać Doyle'owi, aby zrobił coś, na co nie miał ochoty, zazwyczaj mnie ignorował. Andais powiedziała, że nigdy nie zabrała Doyle'a do łóżka, ponieważ gdyby zrobił

jej dziecko, nie zadowoliliby się tylko rolą Wybranka; byłby królem nie tylko nominalnie, a ona nie chciałaby dzielić się z nim władzą. Zaczynałam pojmować jej sposób rozumowania.

Bogini, dopomóż, zaczynałam zgadzać się z moją paskudną ciotką. To nie mogło oznaczać nic dobrego, nieprawdaż?

Rozdział 13

Cała nasza trójka wyciągnęła się na poduszkach, ja oparłam głowę w zagłębieniu ramienia Rhysa, Nicca rozłożył się niżej, tak by położyć głowę na moim brzuchu, włosy rozpostarły się z tyłu za nim niczym jedwabny płaszcz.

Sage wisiał nad nami jak mały pożądlivy anioł.

- Niewielu fey miało okazję podziwiać taki widok.

- Sądząc po twoim wyrazie twarzy - rzekł Rhys - nie bardzo wiem, czy masz na myśli jedzenie czy seks.

- Jedno i drugie, ma się rozumieć. - Wolno podpłynął do nas.

Rhys wyciągnął do niego dłoń, aby mógł wylądować, ale Sage odbił w bok.

Odruchowo uniosłam rękę, by nie wylądował na moich nagich piersiach. Staralam się nie

dopuszczać go do moich intymnych miejsc.

- Masz napić się naszej krwi, a nie krwi Merry - rzekł Rhys.

- Bez obawy, gwynfor, nie zostaniesz pominięty, ale skoro jestem miłośnikiem kobiet, podobnie zresztą jak ty, o ile mi wiadomo, lepiej nam wyjdzie, jeśli zacznę od nadobnej księżniczki.

- Już od bardzo, bardzo dawna nie mówiono do mnie gwynfor.

- Byłeś gwynforem, biały lordzie, i znowu będziesz - oznajmił Sage.

- Może. Jednak pochlebstwo nie tłumaczy, dlaczego siedzisz na ręce Merry, a nie mojej czy Nicci.

Sage nie ważył więcej niż kilogram, ale mimo to ciężko było utrzymać go nad moim ciałem.

- To jego urok, pozwól mu zrobić to tak, jak chce. Miałabym chęć jeszcze trochę się dziś przespać. W przeciwieństwie do nieśmiertelnych sidhe, gdy nie dosypiam, wyglądam na zmęczoną.

Rhys spojrzał na mnie.

- Czemu odnoszę wrażenie, że to ma niewiele wspólnego ze snem, a raczej z faktem, że zmieniłaś strony w zakładzie.

- To od początku nie był mój zakład - powiedziałam - a kiedy następnym razem założysz się o moje ciało jako nagrodę, powinieneś długo się zastanowić, zanim zrobisz to, nie pytając mnie wcześniej o zdanie.

- Byłaś tu - zauważył Rhys.

- Ale nie zapytałeś.

Zamyślił się, po czym lekko skinął głową.

- Cholera. Przepraszam, Merry, masz rację. Wybacz.

- Zaledwie dzień temu odzyskałeś swoją boskość, a już wracasz do starych złych nawyków - poskarżyłam się.

- Przepraszam.

- Nie przepraszaj za to. Są inne rzeczy, za które powinieneś przeprosić.

- To znaczy?

- Gdybym teraz wykopała stąd was obu, Sage zrobiłby wszystko, cokolwiek zechcę.

Bardziej interesuje go rozkosz niż zostanie królem.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał Rhys.

- To, że jeśli któryś z was przychodził do mnie bardziej przez wzgląd na seks niż królewskie ambicje, udałoby mi się przekonać was, byście na ten jeden raz zrezygnowali z seksu w klasycznym rozumieniu tego słowa.

- Merry, Cel cię zabije, jeśli zwycięży w tym wyścigu. Jeżeli zostanie królem, nie pozostawi cię przy życiu. Jesteśmy twoją gwardią przyboczną, przede wszystkim mamy dbać o twoje bezpieczeństwo. Nasze pragnienia nie są ważne.

Sage dotknął dłońmi mego palca i ta drobna pieśczoła sprawiła, że zapało mi dech, a serce zabiło jak szalone. Niemal bezwiednie opuściłam rękę, aż spoczęła między moimi piersiami. Sage nagle wydał mi się jeszcze cięższy, a moja dłoń bardziej zmęczona niż dotychczas.

Rhys próbował na nas spojrzeć, ale chyba miał jakieś kłopoty z ostrością wzroku.

- Co to było?

- Sage - szepnęłam zdyszonym głosem.

Nicca twarzą przesunął po moim brzuchu i odniosłam wrażenie, jakby muskał mnie policzkiem od środka. Uniósł wzrok, by na mnie spojrzeć.

- Co on zrobił? - Głos miał pełen przyjemnego zdziwienia.

- Dotknął dłońmi mego palca - odparłam.

- Cholera - mruknął Rhys. - Niech to szlag.

Sage zaśmiał się. To był wysoki, przecudny dźwięk.

- Och, to będzie naprawdę świetna zabawa.

Rhys zaczął coś mówić, ale Sage objął rękoma trzy moje środkowe palce. Skórę miał niesamowicie miękką i delikatną.

- Chronź nas, Wybranku, czuję częśćkę tego co ty. Jego skóra jest tak miękka, delikatniejsza niż wszystko, czego kiedykolwiek dotykałem.

Potarł włosami koniuszki moich palców. Były jak puch, jak pajęczyna, zbyt miękkie i delikatne, by mogły być prawdziwe. Ten dotyk sprawił, że Nicca zadrżał, tuląc się do mnie, a Rhys mocno przywarł do mego biodra. Gotowy, wyczekujący.

- Nie rozumiem - rzekł głębokim i zarazem łagodnym głosem.

- Próbowałam ci to wyjaśnić - powiedziałam. - Nie chciałeś słuchać.

- Dlaczego czujemy, jak cię dotyka? - zapytał Nicca.

- Nie wiem.

- Ja wiem - rzekł Sage, przesuwał całe ciało po mojej dłoni i okrakiem dosiadając mego przegubu - ale nie powiem.

Nagle zorientowałam się, że nie miał nic pod tą cienką jak muślin spódniczką. Był mały, ale dotyk jego męskości wydał mi się bardziej intymny i ważny, niż powinien.

Nagle uświadomiłam sobie, że czuję pulsowanie pomiędzy jego udami. Tętnienie krwi w jego kroczu odbijało się o puls w moim przegubie jak bicie drugiego serca, jakby rytm mojej krwi reagował na tętno bijące w tym małym ciałku.

- Twoja dłoń, gwynfor... Teraz ją wezmę.

Rhys potrzebował chwili, aby się skupić, aby zrozumieć. Jedną rękę miał wciąż uwięzioną pod moim ciałem, a drugą opierał na brzuchu, zupełnie jakby bał się, że coś może mu się stać.

- Odrobina krwi dla smaku, nic więcej, gwynfor, nic więcej.

- Przestań mnie tak nazywać - rzekł Rhys.

- Ale przecież jesteś białym lordem - szepnął Sage - a biały lord, ręka ekstazy i śmierci, nie lękał się nikogo i niczego.

Rhys wyciągnął dłoń w stronę małego fey. Zrobił to wolno, z wahaniem. Na jego twarzy malował się wyraz rozkoszy, będący odpowiedzią na magię tamtego. Zakład został przegrany, zanim jeszcze Sage go dotknął.

Sage wciąż przywierał do mego przegubu, jak na jednym z tych starych drzeworytów przedstawiających małe chochliki i elfy lecące na źdźbłach słomy, tyle tylko, że moja ręka była żywa i jego moc ujeżdżała mnie, tak jak bezskrzydłe fey miały rzekomo dosiadać małych kwitnących roślin. Czy kwiaty też się tak cieszyły, że są dosiadane? Czy cieszyły się, że są wrywane z ziemi i ulatują pod niebo?

Sage objął małymi rączkami palec Rhysa. Przyłożył drobne czerwone usta do koniuszka jego palca jak maleńki, nabrzmiały pączek róży. Czułam puls Rhysa jak odległą muzykę, basowy rytm, który nocami słyszysz tylko przez ściany, leżąc w łóżku, i zastanawiasz się, skąd może dochodzić. Sage otworzył usta, wciąż dotykając wargami skóry Rhysa.

- Nie, nie... - usłyszałam.

Skrzydlaty cofnął się na tyle, by spojrzeć lśniącymi czarnymi oczami na wyższego mężczyznę.

- Poddajesz się, biały lordzie? Czy w obliczu pół-fey opuściła cię odwaga?

Dostrzegłam puls Rhysa tętniący pod skórą na jego szyi i usłyszałam zduszony głos:

- Zapomniałem, czym jesteś.

- O czym zapomniałeś?

Rhys przełknął ślinę.

- Niegdyś mieliście własny dwór, a rozmiary nie mają znaczenia, gdy chodzi o moc i władzę.

Sage zaśmiał się lekko.

- Pamiętasz, co jeszcze potrafiliśmy?

- Twój urok mógł nas oszołomić, upoić jak alkohol na sobotniej popijawie.

- Tak, biały lordzie, to właśnie ocaliło nas przed zagładą ze strony obu dworów. -

Przybliżył usta do palca Rhysa i gdy znów się odezwał, jego wargi musnęły skórę tamtego. -

Bezimienny sporo zwrócił, nam wszystkim. - Zatopił zęby w ciele Rhysa.

Ten wygiął ciało w łuk, odchylił głowę, zamknął oczy. Poczułam drobne ukłucie bólu i spazm rozkoszy.

Nicca zaczął się wić, wspinając się po moim ciele, aż jego twarz niemal dotknęła nogi Sage'a. Jego ramię konwulsyjnie ścisnęło mnie w talii, trzymając się jej, jakby Nicca czegoś się bał lub może pragnął. Po nacisku wiedziałam, że on także wychwytywał, tak jak ja, przebłycki bólu i rozkoszy.

Sage zaczął ssać ranę i poczułam to jak przez mgłę. Robiłam to na tyle często, że wiedziałam, iż towarzyszyło temu doznanie, jakby maleńkie usta były połączone cienką nitką biegnącą od koniuszka palca aż do krocza. Z każdym zassaniem Sage dotykał rzeczy, do których nie powinien mieć dostępu przez ranę na palcu.

Puls między udami Sage'a konkurował z tętnem w moim nadgarstku coraz szybciej i mocniej, aż nagle poczułam trzeci puls. Zupełnie jakby Sage wyciągnął serce Rhysa do jego ręki i ssał krew pomiędzy kolejnymi silnymi, mięsistymi skurczami mięśnia sercowego Rhysa. Czułam jego serce bijące w ciele Sage'a, jakby mniejszy człowieczek był kamertonem, wibrującą, drżącą ścieżką od jednego pulsującego serca do drugiego.

Ciało Rhysa przyłgnęło do mnie mocniej. Jego krocze wpijało się w moje biodro i wydawało się, że niemal bezwiednie zaczęło ocierać się o mnie. Poczułam, jak rośnie i sztywnieje. Dwa ciała stworzyły własny rytm. Czułam, jak Sage ssie Rhysa i z każdym kolejnym zassaniem ten drugi coraz mocniej napierał na moje biodro, pograżając męskość w moim ciele, jakby chciał znaleźć inne wejście do mego wnętrza. Rhys zaczął lśnić białym blaskiem. Usta miał lekko rozchylone i nachylił się, by złożyć je na moich. Kiedy mnie pocałował, moja moc wystrzeliła w górę. Gdy spijał ją z moich warg, rozbłysła pomiędzy nami niczym roziskrzona gwiazdy. Moje ciało pulsowało bielą, jakbym połknęła księżyc, a jego blask przesączał się przez skórę.

Sage siedział pomiędzy nami jak mała złocista lalka. Żyłki w jego skrzydłach błyszczały niczym witrażowe szkiełka w promieniach zachodzącego słońca. Nie był sidhe, ale moc to moc. Przez chwilę widziałam, jak jego czerwone usta pulsują, jakby naprawdę miał w nich serce Rhysa.

Jego ręka drgnęła gwałtownie pod moim ciałem, palce wpiły się w skórę i poczułam, że stara się nie zacisnąć palców drugiej dłoni na delikatnym ciele Sage'a. Oddech Rhysa stał się przyspieszony, coraz szybszy, aż mężczyzna odrzucił głowę do tyłu, wyginając całe ciało.

Coś świetlistego i niemal płynnego poruszało się pod jego skórą. To było jak podziwianie świecących chmur przesuwających się po niebie i rozdzielających się przy wtórze jasności przypominającej błysk spalającego się fosforu. Białe kędziory zafalowały wokół jego twarzy poruszane mocą własnego wiatru. Wyglądało to tak, jakby ktoś przyłożył do nich czarodziejską różdżkę i wypełnił je energią.

Otworzył oko i przez chwilę widziałam, jak niebieskie kręgi tęczówki wirują oszalałe niczym burza, która miała się lada chwila rozpętać i pochłonąć całą naszą trójkę. I wtedy wbił się w moje ciało tak mocno, że aż zabolowało. Znów skupiłam się na jego ciele i przepelniającej

go mocy na tyle, że zdołałam ją opanować, przynajmniej do pewnego stopnia. Krzyknął na chwilę przed tym, jak zalał mnie gorącą strugą, która spłynęła w dół po moim biodrze.

To uczucie spowodowało, że zadygotałam. Unosząc wolną rękę w górę, wiałam się na łóżku, ale nie mogłam się poruszyć. Byłam uwięziona pomiędzy napierającym na mnie Rhyssem i Niccą, który wciąż owijał się wokół mojej talii i nóg.

Serce Rhysa biło w moich żyłach, niebawem jednak zaczęło słabnąć i znikło zupełnie.

Przeraziłam się. Musiałam otworzyć oczy i zobaczyć, że wciąż tam jest, że nadal żyje. To było dziwne, bo przecież wciąż czułam go napierającego na mnie. Leżał obok wyczerpany, z włosami przesłaniającymi twarz i szyję, a jego tętno łomotało o cienką skórę, jakby coś zostało pod nią uwięzione. Jego moc słabła niczym księżyc skrywający się za chmurami.

Już miałam zapytać, czy wszystko w porządku, ale tętno Sage'a sprawiło, że słowa uwięzły mi w gardle i odwróciłam się, by zobaczyć te małe błyszczące oczka. Jego złocista luminescencja nie zgasła, wręcz przeciwnie, nabrała intensywności, a skrzydła niczym barwne płomienie okalały centralny słup ognia jego ciała. Na jego twarzy więcej było zaciętości i triumfu niż pożądania.

- Czegokolwiek życzy sobie moja pani... wyszeptał.

Nicca uniósł drżącą dłoń w górę, a Sage zaśmiał się.

- Jak mu spieszno, to mi się podoba.

- Bez chętnienia się, Sage - powiedziałam wciąż pełnym niepewności głosem.

- Och, Merry, ale ja muszę. Donnan pochlebił mi w sposób najwspanialszy z możliwych.

- Donnan? - Nicca wymamrotał to słowo jak pytanie, po czym pokręcił głową. - Nie byłem niczym przywódcą, małych, brązowych ani jakichkolwiek innych, Sage. - Głos miał drżący, natomiast Rhys i ja zaczęliśmy przygasać jak księżyc skrywający się za drzewami.

Nicca wydawał się zdeterminowany i nie chciał, by zwracano się do niego, używając honorowego tytułu, którego mu nie nadano.

- Jak sobie życzysz, Niceo - rzekł Sage.

Ujął jego palce i przesunął dłonią po mojej, tak że ręka Nicci znalazła się pomiędzy ciałem Sage'a moimi palcami. Wierzch jego ręki nieomal parzył. To jedno proste dotknięcie sprawiło, że poświata powróciła, jakby tego dnia księżyc postanowił wzejść dwukrotnie.

Sage ułożył sobie dłoń Nicci na podołku, aż mógł swobodnie nachylić się i przyłożyć drobne wargi do jego skóry. Złożył swój czerwony pocałunek na przegubie Nicci, gdzie tuż pod skórą pulsowała niebieska żyła.

Nicca podpełzł nieco wyżej i leżał teraz częściowo na mnie. Spojrzałam w dół i zobaczyłam go, długiego i prężnego, pełnego złocistego blasku, który zaczął przeświecać przez jego jasnobrązową skórę, jakby miał w sobie słońce. Poczułam, jak jego magia wibruje tuż nade mną niczym gorące powietrze. Magia Sage'a niespodziewanie pochwyciła Rhysa, ale Nicca nauczony błędem swego poprzednika, próbował przewyciężyć urok.

Sage wgrzył się w przegub Nicci. Ten zamknął oczy i nabrał powietrza, wciąż unosząc się nieznacznie nade mną, jakby zamierzał robić pompki na jednej ręce. Poczułam tętno walczącego z urokiem Nicci.

Zdołał wsunąć się między moje nogi. Zaczął osuwać się niżej, pokonując wibrujący żar własnej magii, wtłaczając ją we mnie. Sage zawahał się i zadrzał.

Przesunęłam wolną ręką po klatce piersiowej i brzuchu Nicci, zaciskając dłoń na jego długiej, twardej męskości. Mój dotyk sprawił, że utracił swą koncentrację. Urok Sage'a spowił

nas oboje, a krew, która szaleńczo przelewała się w moim ciele, wypłynęła białym światłem przez skórę, powodując, że moje włosy zaczęły falować w delikatnym tańcu. Skóra Nicci miała

barwę ciemno-złocistego bursztynu. Płonęła złocistym blaskiem, jakiego nigdy wcześniej u niego nie widziałam. Zupełnie jakby urok Sage'a pozbawił go skóry, pozostawiając tylko ukrytą pod nią moc. Trzymałam go w dłoni, mocnego i rzeczywistego, ale lśnił tak jasno, że nie mogłam na niego spojrzeć i musiałam zamknąć oczy. Miałam wrażenie, jakbym trzymała wibrujący, pulsujący organ zrodzony z magii. W mojej dłoni zdawał się jedwabisty i gładki, a jego drgania przenikły mnie na wskroś, przepełnił mnie żarem jak poszukująca dłoń, która dotykała i prześlizgiwała się przeze mnie, aż w końcu odnalazła moje centrum, tę cześć, której nikt nie powinien był dotykać. Ta moc zalała mnie niczym nieprzeparta fala. Przepełniła moją magię, moje ciało, moją rozkosz, tak że jego poświata wyprzedziła moją, drażniła się z nią i nakłaniała, by świeciła jeszcze jaśniej i jaśniej, aż cały pokój wypełniły cienie powstałe za sprawą naszego wspólnego blasku, cienie, których tam wcześniej nie było, jakby nasza jasność zaczęła sugerować nam, co nas naprawdę otaczało i to nie miało nic wspólnego z tym pokojem, tym łóżem, tymi ciałami. Magia wylewała się z nas, dzika i nieujarzmiona, a Sage płonął pośrodku niej.

Wróciłam do swego ciała z krzykiem, wierzgając i szamocząc się na łóżku, walcząc ze wszystkim, czego tylko mogłam dotknąć. Poczułam paznokcie wbijające się w moje ciało, ale to nie wystarczyło. Trzy rzeczy sprawiły, że wróciłam do siebie: krew gorącym deszczem zalewająca mi twarz, krzyk wrzeszczącego bez przerwy Nicci i dotyk skrzydeł pod palcami.

Gdzieś pośród tego wszystkiego nie chciałam pourywać skrzydeł Sage'owi, który rozrastał się w moich dłoniach.

Ktoś chwycił mnie za przeguby, unosząc je ponad moją głowę i przyszpilając do poduszek. Nie stawiałam oporu. Nic nie widziałam. Krew spłynęła na moje zamknięte powieki i posklejała mi rzęsy. Coś za dużo tej krwi jak na odrobinę ostrzejszego seksu.

Zamrugałam energicznie i wydało mi się, że dwoi mi się w oczach. Nade mną wznosiły się dwie pary witrażowych skrzydeł. Jedne należały do Sage'a, teraz niemal dorównującego mi wzrostem i przygniatającego mnie całym ciężarem do łóżka. Drugie były większe, prawie tak duże jak ja, a może nawet większe, brązowo-kremowe, różowe na brzegach, z niebiesko-czerwonymi zawijasami przypominającymi oczy. Były zaledwie na wpół rozłożone jak u motyla, który dopiero uwolnił się z poczwarki.

Spojrzałam na twarz Nicci. Była przepełniona jednocześnie bólem i ekstazą, ale przede wszystkim zakłopotaniem. Krew połyskiwała na naszych ciałach jak płynne rubiny, pulsując magią, którą wciąż jeszcze czuło się w powietrzu. To była krew Nicci z miejsc, gdzie skrzydła eksplodowały spod jego skóry.

Rhys trzymał mnie za nadgarstki. Cały był zbryzgany krwią, która po chwili została wchłonięta przez skórę.

- Sądziłem, że chcesz pourywać im skrzydła - powiedział, a w jego głosie pojawił się niepokój. Zastanawiałam się, ilu pośród nas krzyczało pod koniec. Krew najwyraźniej lubiła Rhysa.

Byłam przyciśnięta przez Sage'a i Niccę, choć ten pierwszy znajdował się bliżej środka, a drugi zsunął się z mego ciała. Spojrzałam w górę na skrzydła Nicci. Zaczęły się rozkładać. Powiększały się z każdym kolejnym uderzeniem jego serca.

Usta Sage'a były umazane płynnymi rubinami. Nigdy jeszcze nie widziałam, aby krew tak świeciła. Nachylił się do mnie i poczułam moc, nie tylko jego uroku czy Nicci, ale samej krwi. Pocałował mnie w usta i ta moc sparzyła moją skórę.

Uniósł moją twarz ku swoim ustom i zaczęliśmy się nasycać. Był niczym kwiat, z którego spijałam nektar. Piliśmy do woli, zlizując sobie moc nawzajem z ust.

Kiedy przerwaliśmy pocałunek, krew prawie całkiem już znikła. Rhys wyglądał jak utkany z

białego światła, a jego oko płonęło niczym błękitne słońce. Ześlizgnął się z łóżka, kręcąc głową.

- Mam dość, dzięki. Resztę widowiska obejrzę z pozycji widza.

Nie mogłam wydobyć z siebie słowa. Jeden z mężczyzn wykonał drobny ruch i odwróciłam się do nich.

Opuściłam ręce, by dotknąć włosów Sage'a. Wcześniej były miękkie, teraz wydawały się uosobieniem delikatności. Samo odczucie przesuwania palcami przez tę jedwabistą gęstwinę sprawiło, że chciałam wypełznąć pod nich obu.

Nicca krzyknął, przerażony, pochłonięty przez coś mrocznego i świetlistego. Jego oczy błyszczały, kiedy zbliżał usta do moich. Sage przesunął się nieznacznie, by Nicca mógł mnie posmakować. Zaczął wylizywać wnętrze moich ust jak miseczkę. Przesunęłam dłońmi po ich ciałach. Skóra Sage'a była jak ciepły jedwab. Nicci była znacznie cieplejsza, gorętsza.

Sage wił się nade mną, niesamowicie miękki i mocny zarazem. Ale Nicca wydawał się jak wykuty z mocy, tak że trudno było poczuć coś więcej aniżeli pulsujący rytm mocy w jego wnętrzu.

Sage podpełzł wyżej, szepcząc z ustami tuż przy mojej skórze.

- Pamiętasz, co mi obiecałaś, księżniczko?

- Tak - wyszeptałam. - Pamiętam.

Patrzyłam, jak Sage zbliża się do mnie, jak jego gruba męskość przysuwa się do mojej twarzy. Nicca odbił w bok, ale wciąż wodził dłońmi po moim ciele, jakby nie chciał tracić ze mną kontaktu fizycznego. Kiedy Sage ukląkł przed moją twarzą, zobaczyłam, jak Nicca na klęczkach wypełza między moje nogi, żeby obaj mogli działać równocześnie. Przypomniałam sobie o lustrze na komódce i odwróciłam się, by ich zobaczyć. Skrzydła Sage'a otuliły ciało Nicci, tak że był na wpół ukryty pod ich barwną, delikatną warstwą. Jego własne skrzydła niemal całkiem się już wykształciły, były duże, zakrzywione, pełne soczystych barw.

Sage dotknął mojej twarzy, zwracając na siebie moją uwagę. Nigdy dotąd nie widziałam go nagiego i w pełnych rozmiarach. Był większy, niż się spodziewałam, nie tyle długi, ile raczej gruby. Liznęłam językiem jego czubek i okazał się niewiarygodnie delikatny, jak cała reszta. Przesunęłam dłońmi po jego jądrach, delikatnych jak u większości mężczyzn; skóra jego moszny wydawała się jak z satyny. Nie potrafiłam nadziwić się miękkości skóry między jego udami. To było delikatniejsze niż sen.

Dotknął moich dłoni, powstrzymując mnie przed przesuwaniem po jego skórze.

- Ostrożnie, Merry, bo dojdę, zanim jeszcze znajdę się w twoich ustach.

To było jak ssanie jedwabiu, tyle tylko, że ciepłego, umięśnionego i żywego.

Krzyknęłam, podniecona. On uczynił to samo. A potem zadrzał.

Poczułam, że Nicca wsuwa dłonie pod moje uda i unosi mnie lekko nad łóżkiem.

- Powiedz tak, Merry, powiedz tak.

Głos miał ochrypliwy z pożądania, a ja wiedziałam, że gdybym powiedziała nie, przestałby. Ale nie powiedziałam. Wysunęłam męskość Sage'a z ust aby powiedzieć:

- Tak, Nicca, tak.

Poczułam, jak uderza we mnie, jak jego dłonie wsuwają się jeszcze dalej pode mnie, unosząc wyżej i rozchylając moje uda jak najszerzej.

Wygięłam lekko szyję, aby Sage mógł wślizgnąć się do moich ust, do mego gardła, aby każdy gruby jedwabisty cal jego męskości znalazł się między moimi wargami, zębami i jeszcze dalej. Mając go głęboko w ustach, poczułam, jak wchodzi we mnie Nicca.

Znowu krzyknęłam, ale dźwięk ten wytłumiło słodkie ciało w moich ustach. Nicca trzymał mnie na wysokości swoich bioder, pomagając wygiąć moje ciało, dzięki czemu Sage swobodnie mógł

wsuwać się i wysuwać z moich ust.

Dostrzegłam morze skrzydeł nad sobą, przypominających maszty okrętów faerie, a potem najwyraźniej złapali jakiś rytm. Wchodzili we mnie równocześnie. Ciepły, umięśniony, jedwabisty organ wsuwał się i wysuwał z moich ust, pieszcząc moje usta i zęby, prześlizgując się po języku i dotykając wnętrza gardła. Nicca miał długiego i gorącego, nieomal palącego.

Wbijał się we mnie, aż jego żołądź dosięgała najdalszych zakamarków mego ciała. W pewnej chwili obaj wysunęli się ze mnie prawie do samego końca i raz jeszcze wbili się z impetem, jakby to był taniec, a może wyścig mający wyłonić tego, który potrafił wejść we mnie najszybciej i najgłębiej. W tej samej chwili osiągnęli tę samą głębokość. W końcu zaczęli pulsować i poczułam, jak wypełniają mnie niczym woda wnętrza stawu, jedna kropla rozkoszy za drugą, jedno pchnięcie za drugim, jeden cudowny smak za drugim. Sage był jak promień słońca wysuwający się i wnikający we mnie. Mogłam jedynie dostrzec mały fragment ciemniejszego blasku Nicci, jakby słońce połknęło coś ciemniejszego i chciało to wypalić. Sprawili, że moja skóra zaczęła wrzeć bielą, popłynęły po niej roztańczone języki białego ognia. Dostrzegłam zielono-złote światło i zorientowałam się, że moje oczy świeciły tak jasno, iż rzucały zielone cienie na poduszki.

Ponad tym wszystkim skrzyły się skrzydła, barwy tańczyły i falowały w powietrzu, aż ujrzałam, że całe pomieszczenie było pełne motyli utkanych z mocy i barw.

Nicca wydał mi się niewiarygodnie długi, niesamowicie gorący, kiedy tak wnikał w moje ciało, jakby mógł dotknąć miejsca, gdzie wdzierала się we mnie pulsująca męskość Sage'a, jakby dwa słońca mogły spotkać się w moim ciele, a wówczas zostałabym wypalona do cna, zatopiłabym się w ich bliźniaczej mocy i to była kropla, która przepełniła czarę, sprawiła, że zawartość się przelała, a ja zaczęłam więc się pod ich ciężarem, chłonąc promień słońca w moich ustach i wyrzucając biodra, by poczuć żar między udami. Sage ejakulował

gorącą, gęstą spermą w moich ustach. Połknęłam wszystko, co do kropli. Nicca doszedł wraz z pchnięciem, które zdawało się przepalać całe moje ciało na pół długim ostrzem mocy, jakby chciał rozerwać mnie na kawałki.

Kiedy doszłam do siebie, Sage leżał na boku, skulony i uczepiony mojego ramienia.

Nicca ześlizgnął się na dolną połowę mego ciała, leżał na brzuchu ze skrzydłami złożonymi na plecach, zasłaniającymi jego uda oraz pośladki. Zakrzywiony fragment jednego ze skrzydeł zsunął się z łóżka, nieomal dotykając dywanu.

Słyszałam tylko, jak krew dudni mi w żyłach. Powoli odzyskiwałam słuch i pierwsze, co usłyszałam, to urywany śmiech Sage'a. Chyba powiedział:

- Jak wy, sidhe, możecie tak często uprawiać seks? Mnie zabiłoby to w ciągu miesiąca. - Odwrócił głowę na tyle, bym mogła zobaczyć jego twarz i oczy. Źrenice otoczone były kręgiem lśniącej czerni, ale pomiędzy nimi pojawiła się jeszcze obwódka barwy szarego grafitu, a tuż przy niej krąg najczystszej białej szarości. Spoglądając w jego trójkolorowe oczy, zastanawiałam się, jak zareaguje, kiedy przejrzy się w lustrze.

Rozdział 14

Sage stanął na palcach, wlepiając wzrok w lustro na toalecie. Wpatrywał się w swoje nowe oczy. Zafascynowały go bez reszty. Obserwowałam go, nie mogłam się powstrzymać.

Żółty odcień jego skóry sprawiał wrażenie, jakby ciało przesycono słonecznym blaskiem.

Stanął na palcach i wyprężył się jak struna. Cały zeszywniał, od łydek, przez uda, pośladki, plecy, ramiona, na skrzydłach kończąc. Szeroki pas złocistej żółci z mieszaniną błękitu, oranżu i czerwieni był wyraźniejszy niż kiedykolwiek. Czarne żyłki łączące żółtawe tkanki skrzydeł były grube i czarne. Przypominały miniaturowe autostrady, a ja pomyślałam, że mogę się w nich zatracić,

znaleźć się gdzieś daleko. W jakimś magicznym miejscu, gdzie skrzydlaci kochankowie zjawialiby się na każde moje wezwanie, gdzie nie istniałaby odpowiedzialność. Żadnego tronu. Żadnych zabójców.

Przymknęłam oczy, by nie widzieć przecudnego Sage'a. Czy moim najgłębszym pragnieniem nie było, żeby ci, co szli ze mną do łóżka, robili to z pożądania, prawdziwej miłości albo przynajmniej przyjaźni, a nie dlatego, że byłam córką Essusa i dziedziczką tronu? Najlepsze uroki i czary karmiły się twoimi pragnieniami i pożądaniem. Im bardziej osobiste, im bardziej sekretne, tym trudniej się im oprzeć.

Skupiłam się na oddychaniu, w chłodnym mroku, za zamkniętymi powiekami. To, że nie mogłam zobaczyć Sage'a, pomogło. Mogłam myśleć o czymś innym niż o seksie, który miałam przed chwilą.

Pragnęłam dotknąć jego skrzydeł i przekonać się, czy te grube czarne żyłki faktycznie były ścieżkami prowadzącymi do mych najskrytszych pragnień.

Przestań, Meredith, przestań. Staralam się oczyścić umysł, po to tylko, by zliczać oddechy. Powoli nabrałam i wypuściłam powietrze. Kiedy moje tętno się uspokoiło, zaczęłam liczyć, już nie oddechy. Liczyłam bez celu, ot tak po prostu. Kiedy doliczyłam do sześćdziesięciu, powoli opuściłam rękę.

Miałam przed sobą mięśnie brzucha. Wyglądały jak sztuczne. Znałam ten brzuch.

Spojrzałam w górę, by dostrzec tors Rhysa, a na koniec jego oblicze.

- Wszystko w porządku, Merry?

- Nie wiem. - Mój głos brzmiał jak szept, bałam się mówić głośniej. Dopiero teraz zrozumiałam, że się boję. Ale czego?

Najpierw poczułam poruszenie na łóżku, a dopiero po chwili wychwyciłam obecność Nicci. Był przy mnie. Nie pulsował już żarem, ale zdawał się ciepłem samej ziemi, tym, które tętni w głębi żyznej brunatnej gleby, pozwalając nasionom i wszystkim małym stworzeniom bezpiecznie przetrwać zimę. Kiedy jego dłonie dotknęły moich ramion, poczułam, jakby otulił mnie najcieplejszy, najdelikatniejszy na świecie koc. Czułam się taka bezpieczna, było mi tak ciepło, że mogłabym wtulić się w niego, zasnąć na kilka miesięcy i obudzić się odświeżona. Ziemia byłaby odrodzona, jak nowa. W jego dłoniach kryła się magia samej wiosny.

Nie wiem, jakie emocje można było odczytać z mojej twarzy, ale chyba było ich całkiem sporo.

- Wszystko w porządku, Merry? - ponownie zapytał Rhys.

- Sprowadź Doyle'a - wyszeptałam.

Tylko tyle zdążyłam powiedzieć, zanim Nicca obrócił mnie w swoich ramionach i pocałował w szyję. Nagle zatopiłam się w zapachu świeżo rozkopanej ziemi i bogatym zielonym aromacie kielkujących roślin. Jego usta miały smak rześkiego deszczu. Przesunęłam dłońmi po jego ramionach i odnalazłam łuki skrzydeł. To sprawiło, że otworzyłam oczy i cofnęłam się od pocałunku. Spojrzałam na jego plecy.

Barwy i smukłość skrzydeł rozpościerały się ponad jego ciałem niczym bliźniacze katedry. Przeważał jasny brąz, beż, a końcówki skrzydeł wyglądały, jakby unurzano je w różu i fiołkowej czerwieni. Ten głęboki fiołkowoczerwony odcień ciągnął się w dół krawędzi skomplikowanymi zawijasami, które mieszały się z bielą i purpurą, a z drugiej strony krawędź

skrzydeł była rdzawobrazowa jak kasztanowy warkocz rozłożony pośród złocistego beżu. Ta linia tęczy barw - fiołkowej czerwieni, bieli, purpury i rdzawych brązów - tworzyła drugi pas wzorów w dolnej części jego skrzydeł i w tym przypadku przeważały raczej odcienie beżu i złota.

Z przodu na skrzydłach znajdowały się zielonkawo-niebieskie kręgi, większe od mojej dłoni, okolone czernią i żółcią, będącą jedynie słabą kopią wszechobecnych złocistych beżów, a jeszcze

dalej obwódki nabierały odcienia najjaśniejszego błękitu i fiołkowych czerwieni.

Kolejne pary plam na jego tylnych skrzydłach były większe niż moja twarz, niczym opalizująca kałuża zieleni i błękitów, z czarną obwódką, podkreślającą każdy odcień.

Jasnożółta obwódka wokół plamy migoczącej zieleni i błękitu, cienki lśniący krąg błękitu i fiołkowej czerwieni rozciągał się łukowato ponad plamami tychże barw. Większe plamy były obwiedzione szerszym kręgiem czerni, a te z kolei znajdowały się w kręgu różowawego oranżu. Falująca linia kolorów spływała wzdłuż krawędzi dolnych skrzydeł, podobnie jak w górnych - fiołkowa czerwień, biel, purpura i rdzawy brąz biegnęły w dół wzdłuż spłachetków różu i oranżu, by rozlać się na długich, zakrzywionych ogonach, przyozdabiając ostatnie fragmenty skrzydeł szerokimi pasmami tęczy barw.

Skrzydła od wewnętrznej strony wyglądały identycznie jak po zewnętrznej, a znajdujące się na niej plamy były równie jasne i opalizujące. Gęste brązowe włosy wyglądające jak jedwabista sierść okalały podstawę skrzydeł, dzięki czemu miejsca, gdzie skrzydła łączyły się z plecami Nicci, były przede mną ukryte.

Nicca pocałował mnie w policzek, ale ja widziałam tylko jego skrzydła. Zaczął całować mnie po policzku coraz niżej i niżej, a po chwili delikatnie ugryzł mnie w szyję.

Jęknęłam, ale nie uniosłam wzroku. Ugryzł mnie niżej i nieco mocniej. Na tyle mocno, że przymknęłam oczy, a kiedy ponownie je otworzyłam, ujrzałam przed sobą jego twarz.

Wyglądała tak samo jak wcześniej. To był Nicca, a jednak się zmienił. Miał w sobie jakąś stanowczość, widoczną w twarzy i w oczach. Zrozumiałam, że czegoś pragnął. Moje serce biło jak szalone. Bałam się tego pragnienia. Tego pożądania.

Chrząknął.

- Chcę zatopić w tobie zęby. Chcę się nasycić.

Ścisnął moje ramiona, mocno, zdecydowanie, a w jego oczach pojawił się lęk.

- Co się ze mną dzieje? Czym ja się staję?

- Chodzi ci o pożywienie? - zadałam to pytanie bez zastanowienia. Moje tętno zwalniało, czułam się spokojna, wyciszona.

Nicca pokręcił głową.

- Nie, nie pożywienie ani nie picie.

Potrząsnął mną, ale nagle się opanował i przestał. Rozluźnił uścisk na moich ramionach.

- Chcę ciebie, Merry. Ciebie...

- Masz na myśli seks?

- Tak i nie. - Zmarszczył brwi, po czym nagle krzyknął: - Nie wiem, czego chcę!

Był to jednobrzmiący nieartykułowany dźwięk pełen frustracji.

Spojrzał na mnie zakłopotany.

- Chcę ciebie, ale... Zupełnie jakbyś była pożywieniem, napitkiem i seksem...

Skinęłam głową i uniosłam ręce, ujmując go za przedramiona. Nawet skórę przy łokciach miał delikatną. Czy była taka, zanim zyskał skrzydła? Nie pamiętałam.

Jakby nie był rzeczywisty, dopóki nie wyrosły z jego pleców.

- Ona jest Boginią - rzekł od progu Doyle. - Wszyscy pragniemy dotknięcia boskości.

Pośród nadnaturalnego spokoju czułam, że miał rację.

- Mogłabym uczynić go takim, jakim pragnie go widzieć Bogini, i to jeszcze tej nocy.

- Ale ona jest boginią, a ty śmiertelnikiem i potrzebujesz snu bardziej niż ona - rzekł, wchodząc do pokoju niczym skrawek ciemności. Podeszedł do łóżka i po chwili wahania się pochylił. Nacisk, z którego istnienia nawet nie zdawałam sobie sprawy, zelżał. Znow mogłam oddychać, a moje tętno

powróciło do poprzedniego szaleńczego rytmu. Strach powrócił wraz z zastrzykiem adrenaliny, który sprawił, że zakręciło mi się w głowie, ale przygasł niemal równie szybko, jak się pojawił. Nicca zamrugał, patrząc na mnie, wyglądał na zbitego z tropu.

- Co się teraz stało? Co się właściwie wydarzyło?

Puścił moje ręce i starannie ułożył się na łóżku, poruszając się wolno z uwagi na skrzydła.

Doyle wciąż klęczał po drugiej stronie łóżka.

- Wygląda na to, że kielich ma swoją własną mentalność.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Uwolnił się z jedwabiu i wtoczył pod łóżko.

Zerknęłam na naczynie. Istotnie, nie było przysłonięte. Mało tego, stało teraz na idealnie rozłożonym kawałku jedwabiu.

- Sama go zawinęłam... - mruknęłam, zaskoczona.

Doyle spojrzał na mnie, klęcząc na jednym kolanie, kciukiem i palcem wskazującym nadal trzymając róg materiału.

- Jak powiedziałem, Merry, kielich ma własną mentalność, ale na twoim miejscu odstawiłbym go nieco dalej od łóżka. W przeciwnym razie za każdym razem, kiedy jeden z nas cię nawiedzi, będziesz miała ciężką noc.

Zadrżałam.

- Co się dzieje, Doyle?

- Wygląda na to, że Bogini znów postanowiła się nami zająć.

- Wyjaśnij to - poprosiłam.

Spojrzał na mnie.

- Kielich powrócił, a wraz z nim spłynęły na nas ponownie Jej łaski. Cromm Cruach znów kroczy pośród nas, podobnie jak Conchenn. Ci z nas, którzy byli bogami, odzyskali dawną chwałę, a ci, którzy bogami nie byli, zyskali moce, o jakich nawet im się nie śniło.

- Bogini wykorzystuje Merry jako posłanniczkę - rzekł Rhys. Zmarszczył brwi i pokręcił głową.

- Nie, Merry jest raczej jak cielesny odpowiednik kielicha. Wypełnia się łaską, która spływa na nas.

- Nie miałam nic wspólnego z odzyskaniem przez ciebie mocy - powiedziałam, składając dłonie na biodrach.

Rhys uśmiechnął się.

- Może i nie.

- Byłaś w pokoju - zauważył Doyle.

Westchnęłam.

- Nie, Doyle, to co stało się z Maeve i Mrozem, było czymś innym niż to, co spotkało Rhysa.

Doyle wstał, wycierając dłonie o przód niezapiętych dzinsów. Co próbował zetrzeć?

Moc, magię, dotyk jedwabiu? Już chciałam o to zapytać, ale przeszkodził mi Sage.

- Spójrz mi w oczy, Ciemności. Spójrz mi w oczy i zobacz, co uczyniła nasza cudowna Merry. - Sage obszedł łóżko, aby Doyle mógł popatrzeć na niego z bliska.

- Rhys powiedział mi, że twoje oczy są trójkolorowe.

Skrzydła Sage'a nieco obwisły, jakby rozczarowało go, że jego sekret już się wydał.

- Jestem teraz sidhe, Ciemności, co o tym sądzisz?

Usta Doyle'a wykrzywił lekki uśmiezek, jakiego nigdy dotąd nie widziałam. Gdyby to był ktokolwiek inny, nazwałabym ten uśmiezek okrutnym.

- Czy odkąd to się zdarzyło, próbowałaś się zmniejszyć?

Sage spojrzał na niego pytająco.

- Co to ma wspólnego?

Doyle wzruszył ramionami, a jego uśmiech poszerzył się.

- Czy odkąd twoje oczy się zmieniły, próbowałaś zmienić kształt? To proste pytanie.

Sage znieruchomiał, stając pomiędzy mną a Doyle'em, i nagle zauważyłam, że jego skrzydła zdrząły niczym kwiaty poruszone pieszczotą silnego wiatru. Zadygotał raz i drugi, po czym odrzucił głowę i zawył. To był nieartykułowany, bezradny, rozdzierający jęk.

Dopiero kiedy przebrzmiało echo tego skomlącego skowytu, mogłam się poruszyć.

- Co się stało? - Sięgnęłam, by dotknąć jego ramienia ponad skrzydłem.

Odsunął się gwałtownie.

- Nie dotykaj mnie!

Zaczął się wycofywać w stronę drzwi. Za nim pojawili się Mróz i Sage. Gdy ich dostrzegł, wyraźnie się przestraszył.

- Co się stało? - powtórzyłam.

- Bycie sidhe sporo kosztuje tych, którzy mają skrzydła - rzekł Doyle z nutą satysfakcji w głosie.

Zawsze wiedziałam, że ci dwaj mają ze sobą jakiś gorzki zatarg z przeszłości, ale do tej pory nie zdawałam sobie sprawy, że było to aż tak poważne. Doyle nigdy dotąd nie był małostkowy.

Sage wskazał na Niccę, który wciąż klęczał na łóżku.

- On nic nie wie o skrzydłach. Nigdy nie przelatywał nad wiosenną łąką ani nie wie, jak cudowny i słodki smak może mieć wiatr. - Rąbnął się pięścią w pierś. - Ale ja wiem! Ja wiem!

- Czy coś przeoczyłam? - spytałam. - Jaką różnicę stanowi dla Sage'a to, że stał się sidhe?

- Ukradł mi skrzydła, Merry - odparł.

Był taki przybity, tak zdruzgotany poniesioną stratą, że musiałam go przytulić.

Musiałam go dotknąć. Musiałam spróbować usunąć to spojrzenie z jego oczu.

Wyciągnął do mnie żółtą rękę.

- Nie, Merry, już dość. Wystarczy mi sidhe jak na jedną noc.

Rhys odchrząknął i ten dźwięk jakby zaskoczył Sage'a, który przeszedł przez pokój i stanął przed lustrem. Rozejrzał się dziko po pokoju, jakby czuł się przez nas osaczony i szukał

dla siebie wyjścia z tej pułapki. To prawda, że Mróz stał przy jedynych drzwiach, ale Sage wcale nie był osaczony. A przynajmniej nie w moim rozumieniu tego słowa.

Wskazał palcem na Niccę.

- Wiesz, jak byśmy go nazywali, gdyby zdobył skrzydła w dzieciństwie?

Wszyscy zrobili zaciekawione miny, choć oscyływały one od rozbawienia po arogancję.

- Nie mam pojęcia - odrzekł Rhys - jak nazywalibyście Niccę, gdyby zyskał skrzydła jeszcze w dzieciństwie?

- Przeklęty - wycodził Sage, wypluwając z siebie to słowo jak najgorsze przekleństwo.

- W jakim sensie przeklęty? - spytałam.

- Ma skrzydła, ale nie umie latać. Jest za ciężki, aby te motyle skrzydła mogły go unieść w powietrze - rąbnął się pięścią w pierś - tak jak ja jestem teraz za ciężki na moje.

- Co się stało? - zapytał od drzwi Galen. Przecierał zaspane oczy. Jego sypialnia znajdowała się najdalej od pokoju, w którym przebywaliśmy.

Zanim ktokolwiek z nas zdążył odpowiedzieć, Sage podszedł do niego, dziarsko wymijając Mroza.

- Spójrz, co się ze mną stało!

Galen spojrział, rozdziawiając usta.

- Co... twoje oczy.

Sage przeszedł obok niego, brutalnie spychając go z drogi i oglądając się przez ramię, wycedził gniewnie:

- Plugawi, plugawi sidhe.

Po chwili już go nie było.

Rozdział 15

- Rhys, idź z nim - rzekł Doyle. - Dopilnuj, żeby nic mu się nie stało.

Rhys wyszedł bez słowa. Wciąż był nagi, podobnie jak Sage. Przez chwilę łudziłam się, że na zewnątrz nie było nikogo z kamerą do zdjęć noktowizyjnych. A potem uświadomiłam sobie, że zła prasa to najmniejsze z naszych zmartwień. To, że o tym pomyślałam, dowodziło, że zbyt długo przebywałam z dala od Krainy Faerie, za długo byłam wśród ludzi.

- A kto mógłby coś zrobić Sage'owi? - spytałam.

- On sam - odrzekł Doyle.

- Chcesz powiedzieć, że mógłby zrobić sobie krzywdę, bo już nie może latać.

Doyle pokiwał głową.

- Znałem innych fey, którzy zmarnieli i poumierali, kiedy stracili skrzydła.

- Nie chciałam go skrzywdzić.

- Sidhe są najniebezpieczniejsi, kiedy nie chcą nas skrzywdzić - rzekł Mróz, a w jego głosie pojawiło się rozgoryczenie, jakiego wcześniej nie słyszałam.

- To moja noc - powiedział Nicca.

Aż do teraz nie brał udziału w rozmowie, a kiedy spojrzałam w jego brązowe oczy, to, co zobaczyłam, sprawiło, że coś ścisnęło mnie w środku. Jego pragnienie było niemal namacalne. Tkwiła w nim dzika żądza.

- Spójrz na siebie - mruknął Doyle. - Wciąż łakniesz mocy. Myślę, że kielich jeszcze z tobą nie skończył, Nicco, i obawiam się tego, co może zrobić z naszą Merry.

Nicca pokręcił głową, nadal mi się przypatrując, jakby cała reszta nie była realna.

- To moja noc.

Galen wszedł do pokoju i przyjrzał się skrzydłom Nicci.

- Ojej, to ci dopiero nowość.

- Tej nocy wiele rzeczy jest nowych - powiedział z niepokojem Doyle.

Nicca zignorował ich wszystkich.

- To moja noc. - Wyciągnął do mnie rękę.

- Nie - wycedził Doyle, ujął mnie za rękę i odprowadził z dala od łóżka.

- Tej nocy jest moja - warknął Nicca i przez chwilę sądziłam, że dojdzie do bójki albo co najmniej do sprzeczki.

- Teoretycznie to była noc Rhysa - wtrącił Doyle - i obaj zostaliście zaspokojeni.

- Skoro Rhys miał swoją noc - rzekł Mróz - to wobec tego teraz twoja kolej, Doyle.

Nicca zacisnął dłonie w pięści.

- Nie, jeszcze nie skończyliśmy.

Jego głos brzmiał, jakby dobywał się z głębi ziemi.

Doyle stanął przede mną, tworząc żywą barierę pomiędzy mną a Niccą, który wciąż klęczał na łóżku ze skrzydłami ułożonymi z tyłu, za nim, jak magiczny płaszcz.

- Posłuchaj, co mówisz. Nie wiem, jakie ma wobec ciebie plany Bogini, ale musimy być ostrożni, dopóki nie upewnimy się, że to nie wyrządzi krzywdy Merry. Twoja boskość, czy co to tam jest, nie jest warta jej życia.

Wyrzłałam spoza gładkiego, czarnego ramienia Doyle'a i zobaczyłam, jak Nicca walczy, by nad sobą zapanować. Zupełnie jakby jakaś jego część tego pragnęła, a inna niekoniecznie dbała czy przejmowała się pragnieniami.

Kłęczał na czworakach, ze skrzydłami rozciągniętymi płasko wzdłuż ciała. Włosy przesłoniły mu twarz i spływały ponad krawędzią łóżka gęstą brązową kaskadą. Uniósł twarz do światła. Cierpiał, ale wreszcie skinął głową i powiedział:

- Doyle ma rację - a potem powtórzył: Doyle ma rację.

Doyle postąpił naprzód i delikatnie dotknął dłonią jego twarzy.

- Przykro mi, bracie, ale bezpieczeństwo Merry jest najważniejsze.

Nicca miał mętny wzrok, zdawał się nie dostrzegać nikogo.

- Nikt, kto nie stał się bogiem, nie może sypiać z Merry, dopóki nie zrozumie, czego pragnie kielich i Bogini - oznajmił Doyle, sugerując mi gestem ręki, aby odsunęła się od łóżka

- A więc tylko Mróz i Rhys - rzekł Galen. Nie wyglądał na uszczęśliwionego.

- Tylko Mróz, dopóki nie dowiemy się na pewno, ile mocy odzyskał Rhys - sprecyzował Doyle.

- Nie tyle, na ile liczyłem - szepnął od progu Rhys. - Sage otępił mnie jak byle birbanta w sobotni wieczór.

- Gdzie Sage? - spytałam.

- Wygląda na to, że Conchenn pociąga każda moc. Właśnie pociesza naszego najmłodszego sidhe.

- Sądziłem, że ma dość sidhe jak na jeden wieczór - wtrącił Galen.

Rhys wzruszył ramionami.

- Conchenn bywa bardzo przekonująca.

- Musi być zdesperowana, skoro na niego poleciała - rzekł Mróz.

- No, nie wiem - odparłam. - Przez ostatnie dwa tygodnie dała nam jasno do zrozumienia, że chętnie widziałaby w swoim łóżku nas wszystkich.

- Miała nas w swoim łóżku - zauważył Doyle.

Spojrzałam na niego, unosząc brwi.

- Tylko po to, by utulić ją do snu, kiedy zalewała się łzami. Mówiąc o łóżku, miałam na myśli coś innego.

Na ustach Doyle'a pojawił się cień uśmiechu.

- Kiedy smutek Maeve zaczął powoli wygasać, dała... jasno do zrozumienia, że przydałoby się jej nieco aktywniejszego, fizycznego pocieszenia.

Ten uśmiech dał mi do myślenia. Może Maeve była aktywniejsza w swych usiłowaniach, by uwieść mego przybocznego, niż początkowo sądziłam.

Rhys parsknął.

- Cóż, teraz jest pocieszana, i to wyjątkowo aktywnie.

- Nie rozumiecie - rzekł Mróz - żadne z was.

- Czego nie rozumiemy? - Uniosłam wzrok, by spojrzeć na to zimne, przystojne oblicze.

- Jak wielka musi być jej potrzeba, skoro zdecydowała się na Sage'a.

- Jest teraz sidhe. Nie wiem, czy na stałe, ale tej nocy jest jednym z nas.

- Na pewno na stałe.

- Nie - zaprzeczyłam. - Można uczynić kogoś sidhe na jedną noc za pomocą magii w rodzaju Łez Branwyn, ale sidhe musisz się urodzić, nie możesz nim zostać ot, tak.

- Nieprawda - zaoponował Mróz.

Nagle ujrzałam go jako piękne dziecko tańczące na śniegu. Nie miałam problemu z kimś, kto zaczynał „życie” jako istota zbudowana inaczej niż z krwi i kości, zanim została sidhe. Nie wiedzieć czemu, to się wydawało właściwe. Ale pomniejszych magicznych istot albo ludzie nie zostawiali sidhe z dnia na dzień. To nie wchodziło w rachubę.

- Kiedyś sprowadziliśmy do nas sidhe, tak jak zbiera się dojrzewające w lesie owoce - rzekł Mróz. - Po prostu do nas przychodzili.

- Mój ojciec nigdy o tym nie wspominał. - Nie chciałam powiedzieć, że mu nie wierzę, ale w moim głosie dało się wyczuć powątpiewanie.

- To było ponad dwa tysiące lat temu - powiedział Doyle. - Straciliśmy te zdolności wraz z pierwszym zrównaniem. Wielu spośród nas nie chce mówić o tym, co naprawdę utraciło.

- Myślę, że nie utraciliśmy tego tak bardzo, jak się nam wydawało - zauważył Mróz. - Albo jak kazano nam wierzyć.

- Nikt nas nie oszukiwał - rzekł Doyle.

Mróz otaksował go wzrokiem.

- To Dwór Seelie stracił kielich, Doyle. To oni odarli nas ze wszystkiego, czym byliśmy.

Tamten pokręcił głową.

- Nie zamierzam się kłócić ani z tobą, ani z kimkolwiek innym - rzekł, spoglądając na Rhysa i Galena.

Galen rozłożył szeroko ręce.

- Nigdy się z nikim o to nie kłóciłem.

- Jesteś zbyt młody - uciął Doyle.

- Czy zatem mógłbyś to wyjaśnić tym wszystkim, którzy mają mniej niż pięćset lat?

Doyle uśmiechnął się półgębkiem.

- Większość wielkich relikwii, które zagięły, należała do Seelie. Relikwie Unseelie pozostały, choć utraciły wiele ze swej mocy. Niektórzy wierzyli, że Dwór Seelie rozgniewał

Boginię lub Boga i dlatego popadł w niełaskę.

- Wierzyliśmy, że uczynili coś tak strasznego, że utracili przychyłność bogów - dokończył Mróz.

Spojrzałam na niego.

- Zakładam, że ty także w to wierzysz.

Skinął głową, a jego oblicze wyglądało jak przepiękna rzeźba, zbyt przystojna, by mogła być prawdziwa, zbyt arogancka, by jej dotknąć. Ukrył się za lodowatą maską, której używał od stuleci na Dworze Unseelie. Teraz rozumiałam, że była to forma ochrony albo innymi słowy kamuflaż, mający skrywać jego ból. Wystarczyło, że usunęłabym kilka z tych warstw i zobaczyłabym, co próbował ukryć. Niestety ugrzęźliśmy na chimerycznym etapie eksploracji bólu. Nie mogłam się doczekać, by dogrzebać się do kolejnej warstwy. Musiało być coś więcej niż ta jego chimeryczność. Musiało tak być, prawda?

- Wielu w to wierzy - stwierdził.

Doyle wzruszył ramionami.

- Wiem tylko, że zostaliśmy umniejszeni i przybyliśmy na Ziemię Zachodnie. Poza tym niczego nie jestem pewien. - Spojrzał przenikliwie na Mroza. - Podobnie jak ty.

Mróz otworzył usta, by coś powiedzieć, ale Doyle uciszył go zdecydowanym gestem.

- Nie, nie otworzymy tej starej rany. Nie tej nocy. Czy nie wystarczy ci, że będziesz ją miał, dopóki nie upewnimy się, że reszta z nas jest bezpieczna?

- Idę do łóżka - rzekł nagle Rhys. - Nie chcę wracać do tego dawnego sporu, a po tym, jak urok

Sage'a tak łatwo mnie omamił, nie wierzę, że jestem prawdziwie Cromm Cruachem.

A skoro nie jestem bogiem, to jestem zbyt niebezpieczny, by przebywać w pobliżu Merry. -

Posłał mi całusa. - Dobranoc, słodka księżniczko, z rana musimy się spakować i złapać samolot do Saint Louis. Więc nie gadajcie całą noc. - Pogroził nam palcem i wyszedł.

Galen spojrzał na nas wszystkich.

- Może ja też pójdę. - Posłał mi zbolale spojrzenie. - Cokolwiek się dzieje, mam nadzieję, że już wkrótce się z tym uporamy.

- Sprawdź, co u Kitta - zawołałam za nim. - Cały ten hałas pewnie go obudził.

Pokiwał głową i wyszedł, nie oglądając się za siebie.

- Ty też idź do siebie, Nicco - rzekł Doyle.

- Nie jestem dzieckiem, abyś odsyłał mnie do mego pokoju.

Wszyscy zamrugaliśmy, bo Nicca nigdy nikomu się nie odszczekiwał.

- Chyba wraz ze skrzydłami zyskałeś również ikrę - mruknął Doyle.

Nicca rzucił mu wyjątkowo nieprzyjazne spojrzenie.

- Wyjdźmy razem.

- Sugerujesz, że Doyle próbuje pozbyć się ciebie, żeby mieć mnie tylko dla siebie? - spytałam.

Nicca wciąż spoglądał wrogo na Doyle'a.

Mróz wyrwał się z zadumy, by spojrzeć na Niccę.

- To ja poprosiłem Doyle'a, aby został.

Nicca spiorunował Mroza wzrokiem.

- Po co?

- Bo ufam, że potrafi zapewnić Meredith bezpieczeństwo.

Nicca zgramolił się z łóżka i stanął przed nami. Wyprostowana, smukła, brązowa postać z kaskadą gęstych, zmierzwionych włosów i skrzydłami. Te skrzydła zaczynały fascynować mnie bardziej, niż powinny. Coś skłaniało mnie, bym ich dotknęła, zatraciła się w nich, utonęła w strugach różnokolorowego pyłu.

Doyle położył rękę na moim ramieniu. Wzdrygnęłam się. Serce nagle podeszło mi do gardła, choć nie pamiętałam dlaczego.

- Musisz stąd wyjść, Nicca. Fascynujesz ją tak, jak węże fascynują małe ptaki. Nie wiem, ile mógłby cię kosztować ten dziwny wpływ na Merry, ale nie zaryzykuję jej życiem, aby się tego dowiedzieć.

Nicca zamknął oczy, jego ramiona obwisły, ale to sprawiło, że końcami skrzydeł

dotknął podłogi i znów musiał je wyprostować. Smukłą dłonią odgarnął włosy z twarzy, tak że kasztanowa kaskada spływała teraz w dół po jednej stronie jego ciała.

- Masz rację, kapitanie. - Na jego twarzy pojawił się zbolaty wyraz. - Rozejrzę się za wolnym łóżkiem. Jeżeli będziemy rujnować sypialnie w takim tempie, to wkrótce nam ich zabraknie. - Kiedy się ze mną zrównał, wyciągnęłam rękę, by dotknąć jego skrzydeł, ale Doyle schwycił mnie za nadgarstki i przycisnął mocno do siebie.

Nicca popatrzył na nas.

- Później o tym pomówimy, Ciemności. - Znów jego głos brzmiał obco. Również wyrazu twarzy, jaki obrał, nigdy wcześniej nie widziałam.

- Chętnie, ale nie dziś.

- Wyjdź już, Nicca - rzekł spokojnie Mróz.

Tamten spojrzał na niego.

- Z tobą też się rozmówię, Zabójczy Szronie.

- Nie rzucaj im wyzwania, Nicca, błagam cię - powiedziałam.

Odwrócił się i przyjrzał mi się uważnie. W jego spojrzeniu było coś niemal przerażającego, jakby nie myślał tylko o seksie, lecz o czymś bardziej permanentnym. To było władcze spojrzenie.

- Błagasz mnie, bym nie rzucał im wyzwania, kiedy tak stoisz, przywierając całym ciałem do półnagi Doyle'a. - Nigdy dotąd nie widziałam go takim, zupełnie jakby w Nicy znalazł się ktoś obcy, kto wykorzystywał jego ciało. Odwrócił tę obcą twarz do Mroza. - A ty, który nigdy nie miałeś być bogiem, pragniesz teraz zostać królem nas wszystkich? Jeżeli będziesz noc w noc jedynym mężczyzną w jej łóżu, w końcu tak się stanie. - Jego głos ociekał

zazdrością tak zjadliwą, że bliską nienawiści.

Mróz stanął nieco przed nami.

- Nie widziałem tego spojrzenia od wielu długich lat, ale pamiętam twą zazdrość i to, ile nas kosztowała.

- Dian Cecht - odezwał się Doyle. - Jakimś sposobem znalazłeś się w mocy Dian Cecht.

Nie rozumiałam, co się działo, ale to nie było nic dobrego, tego byłam pewna.

- Dian Cecht był jednym z pierwszych Tuatha De Danaan, Dzieci Danu, bogiem uzdrowicielem, ale czemu przypisujesz mu jego moc?

- Znasz resztę jego historii? - spytał Doyle.

- Z zazdrości zabił własnego syna, ponieważ przewyższył ojca w umiejętnościach uzdrowicielskich.

Doyle potaknął.

Nicca zasyczał na nas i przez chwilę jego oblicze wyglądało potwornie. Zaraz jednak znów był przystojny, jeśli nie liczyć nienawiści w jego oczach.

- Jest opętany - powiedziałam z trwogą.

- Powstrzymałeś ten proces, zanim dobiegł końca - rzekł Mróz.

- Czy to spowodowało tę plugawą komplikację?

- Nie wiem - powtórzył Doyle, czułam przez skórę bicie jego serca.

Wiedziałam, że był przerażony, ale tylko tętno pozwalało się tego domyślić.

Nicca zwiotczał, omal nie upadł, ale zaraz uniósł wzrok i dostrzegłam w nim zgrozę.

- Byłem wściekły, że nas powstrzymałeś. I zazdrosny. Kielich daje nam to, co my ofiarowujemy jemu. To sprawa mego gniewu. - Jęknął. - Nie potrafię z tym walczyć.

Odmówiłam modlitwę, którą powtarzałam już wcześniej tysiąc razy:

- Pomóż mu, matko. - Kiedy te słowa wypłynęły z moich ust, poczułam, że świat wokół zastyga, jakby cały wszechświat wstrzymał oddech. Z drugiej strony pokoju napłynęła poświata, jakby przy naszym łóżku wzeszedł księżyc. Wszyscy odwróciliśmy się, by popatrzeć. Kielich stał pod ścianą, tam gdzie pozostawił go Doyle, ale biło zeń światło.

Przypominałam sobie sen, w którym zobaczyłam kielich po raz pierwszy i poczułam smak czystej mocy na języku.

- Puść mnie, Doyle - rozkazałam.

Twarz Nicci znów była taka jak dawniej, ale coś mi mówiło, że to tylko tymczasowa poprawa. I że kiedy poświata zniknie, Dian Cecht powróci. Musieliśmy do tego czasu to zakończyć.

Już miałam ująć go za rękę, gdy jego oblicze znów stało się szpetne. Dian Cecht wciąż tam tkwił, a ciało Nicci było na tyle silne, że mogło przebijać się przez ściany.

- Uklęknij - powiedziałam, a ponieważ to był Nicca, bez wahania przyklęknął na oba kolana. Przez chwilę musiał odpowiednio ułożyć skrzydła, tak by ich końce rozłożyły się na podłodze, po

czym cierpliwie uniósł wzrok i spojrzął na mnie.

- Niech ktoś chwyci go za przeguby.

- Po co? - spytał Mróz.

Moje polecenie wykonał Doyle. Chwycił Niccę za nadgarstki i mocno ścisnął.

Ostrożnie przekroczyłam jego piękne rozłożyste skrzydła i stanęłam pomiędzy jego nogami. Przyłgnęłam ciałem do pośladków, talii i barków. Nicca oparł się głową o moje piersi. Rozłożył skrzydła i przez chwilę, kiedy te aksamitne miękkie kształty obsypały moją skórę kaskadami barwnego pyłu, zatraciłam się w nich. Wsunęłam dłoń w jego włosy, dotykając skóry i czując ciepło jego ciała. Odchyliłam mu głowę, pomagając sobie jedną ręką i wyprężając przy tym jego szyję. Spojrzałam w brązowe oczy. Gdy się pochylałam, jego usta były już lekko rozchylone.

Przez chwilę ten drugi próbował przejąć kontrolę nad jego twarzą, przepęłnić te łagodne oczy nienawiścią i zazdrością, ale przytrzymałam go za włosy, unieruchomiłam do pocałunku, a Doyle ścisnął jego przeguby jak czarny sznur. Dian Cecht szamotał się, lecz było już za późno. Pocałowałam te usta i poczułam moc przepływającą z moich do jego warg.

Zupełnie jakby samo moje tchnienie było magiczne.

Skrzydła Nicci zamknęły się wokół mnie niczym aksamitny całun, miękki i nieustępliwy, ponieważ bałam się stawić im opór, bałam się, że mogłabym rozerwać je na strzępy. Jego ciało zadrżało pod wpływem pocałunku, skrzydła dokoła mnie zadygotały, aż poczułam na skórze deszcz barwnych drobin. Moc zaczęła słabnąć, a gdy wygasła, usta Nicci całowały moje. Jego skrzydła zaciskały się i rozluźniały wokół mnie, czułam, jakby obejmowało mnie coś delikatniejszego niż myśl, a z każdym wahnięciem skrzydeł dokoła mnie było coraz więcej tego migoczącego pyłu.

Zatraciłam się w tym pocałunku, w tych drżących skrzydłach i aksamitnej pieszczocie pyłu sypiącego się na moje ciało, i ujrzałam Niccę stojącego na łące pełnej letnich kwiatów.

Była noc, ale on świecił tak mocno, że kwiaty otwierały się przed nim, jakby był słońcem. W powietrzu zaroilo się nagle od setek półmagicznych istot. Zupełnie jakby ziemia rozwarła się i wypuściła je w powietrze. I wtedy zorientowałam się, że to były kwiaty - urosły im skrzydła i wzbiły się w powietrze.

Nicca także uniósł się w górę, jakby stąpał po czubkach traw, i zorientowałam się, że leci w górę pośród chmury półmagicznych istot.

A potem zaczęłam spadać, na powrót wpadając do mego ciała.

De facto nadal stałam, przywierając do ciała Nicci. Jedną rękę miałam wplecioną w jego włosy, ale patrzyłam na twarz Doyle'a. Jego oczy rozszerzyły się i otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale on milczał.

To była noc w lesie, jakiego nigdy dotąd nie widziałam. Olbrzymi dąb rozpościerał się wysoko nad moją głowę. Ogromny gruzłowaty pień był wielki jak dom. Gałęzie były pozbawione liści, co wskazywało na późną jesień. Coś mi mówiło, że drzewo nie było martwe, a jedynie odpoczywało, przygotowując się do zimy. Gdy tak patrzyłam, dostrzegłam na korze drzewa pasemko światła. Blask powiększył się i zdałam sobie sprawę, iż były to drzwi, drzwi w pniu drzewa, które właśnie się otworzyły. Z ciemności wraz ze złocistym światłem pojawiła się muzyka. W drzwiach dostrzegłam czarno odzianą postać, która wyszła w ciemność jesiennej nocy. Zrobiło się ciemniej niż dotychczas. Postać zdjęła kaptur i zobaczyłam twarz Doyle'a, który spoglądał w górę pomiędzy konarami drzewa, wpatrując się w chłodne światło gwiazd. Cienie pod drzewem ze wszystkich stron zgęstniały, stały się solidniejsze, a potem, już uformowane, zaczęły się poruszać, odwracać i spoglądać w moją stronę płonącymi czerwono-zielonym ogniem ślepiami. Rozwarły paszcze pełne wielkich niczym sztylety kłów i jeden po drugim uniosły łby ku niebu, a następnie przeciągle zawyły.

Doyle stał w ciemnościach, nasłuchując tej przerażającej muzyki. Uśmiechał się.

Usłyszałam głos Mroza, odległy jak we śnie.

- Meredith, Meredith, słyszysz mnie?

Chciałam odpowiedzieć, że tak, ale zapomniałam języka. Nie pamiętałam, gdzie się znajduję. Czy byłam na letniej łące muskanej tysiącem skrzydeł, czy w ciemnościach przepełnionych skowytom ogarów? Czy wciąż przywierałam do ciała Nicci, wpatrując się w pełną zaskoczenia twarz Doyle'a? Gdzie byłam?

Gdzie chciałam być?

To było prostsze pytanie. Chciałam być w sypialni. Chciałam odpowiedzieć na dramatyczne pytanie Mroza. W chwili gdy to sobie uświadomiłam, znalazłam się tam.

Odstąpiłam od Nicci, który wciąż klęczał na podłodze. Doyle zatoczył się na ścianę. Nicca osunął się na czworakach, jakby tylko to mogło go uchronić przed całkowitym rozciągnięciem się na podłodze.

Doyle wysapał:

- Merry. - Ale wyglądało na to, że cokolwiek się stało, do reszty pozbawiło sił ich obu.

W przypadku Maeve i Mroza to ja byłam wycieńczona, ale nie teraz. Odwróciłam się do Mroza, a ten spojrział na mnie z mieszaniną strachu i zadziwienia.

- Tym razem nie czuję się zmęczona - powiedziałam.

Podeszłam do niego, pozostawiając obu mężczyzn zdyszanych i leżących na podłodze z tyłu, za mną.

Mróz cofnął się, ale chyba nie myślał logicznie. Znalazł się uwięziony pomiędzy łóżkiem a toaletką. Raz po raz kręcił głową.

- Spójrz na siebie, Meredith. Spójrz na siebie. - Wskazywał w stronę lustra.

Pierwsze, co zobaczyłam, to barwy. Moja skóra była pokryta smugami brązu, różu, fiołkowej czerwieni, purpury i bieli, która prawie niknęła na tle lśniącej bieli mego ciała.

Czerwonawy brąz jak błyszczące pasma zaschniętej krwi spływał w dół po obu stronach mojego ciała. Ślady opalizującej morskiej zieleni znaczyły ramiona i nogi. Czern i żółć otaczały te opalizujące spłachetki morskiej zieleni, podobnie jak smugi błękitu, które na mojej łydce i barku wyglądały absolutnie nieziemsko. Przepełniona magią, moja skóra lśniła jak perła z uwięzioną w niej świecą, ale barwy działały niczym pryzmat, tak że moja magia przepalała się przez każdą kroplę barw, tworząc olśniewającą tęczę, jakby nagle na mojej skórze pojawiły się odbicia skrzydeł Nicci. Moje oczy płonęły trójbarwnym ogniem koloru roztopionego złota, nefrytowej zieleni i szmaragdu, mogącego zawstydzić najwspanialszy z klejnotów. Ale moje oczy nie tylko lśniły. Każda otoczka barw zdawała się płonąć, jakby ogień rozpalił się koncentrycznymi kręgami. Przypomniałam sobie złoto-zielone cienie, kiedy kochałam się z Sage'em i Niccą, i zorientowałam się, że tak właśnie musiały wyglądać moje oczy: barwne płomienie stapiające się ze sobą i tworzące iluzję prawdziwego ognia, poruszające się i zmieniające bez przerwy.

Spojrzałam w lustro, stając na palcach, by móc lepiej widzieć, i pomyślałam, że przecież tak samo całkiem niedawno wyglądał Sage. Moje włosy były jak rubiny, ale tej nocy wyglądały, jakby utkano je z ognia, zdawały się płonąć wokół mojej twarzy i pieścić moje ramiona.

Widziałam samą siebie w chwili, gdy moja magia była widoczna dla wszystkich, ale nigdy w taki sposób. Tej nocy wydawało się, że naprawdę płonę mocą.

- Nie chcesz mnie, Merry - rzekł Mróz. Nie urodziłem się sidhe. Nie jestem godnym wybrankiem dla bogini.

Odwróciłam się i spojrzałam na niego gorejącymi oczami. Poniekąd spodziewałam się, że ruch

odmieni moje postrzeżenie, ale tak się nie stało. Wszystko wyglądało tak, jak powinno.

- Widziałam cię tańczącego na śniegu. Wyglądałeś jak przepiękne dziecko.

- Nigdy nie byłem dzieckiem, Merry. Nigdy się nie urodziłem. Byłem myślą, ideą, koncepcją, jeśli wolisz. Tak, koncepcją, której bogowie dali życie. Zostałem obdarzony życiem przez tych samych bogów, których moc płynie teraz w moim ciele. To przez zazdrość tych, którzy patrzyli, jak dorastam i staję się Zabójczym Mrozem, nie mogłem pozostać na Dworze Seelie.

Odsunęłam się od lustra.

- Czy aż tak bardzo ustępują Zabójczemu Mrozowi Królowej?

- Otóż to, Merry, byli mi równi. Mogłem ich pokonać ich własną bronią. Wystarczyło, że na mnie spojrzeli, wspominając czasy, gdy byłem czymś gorszym od nich... To sprawiało im ból.

- Więc się ciebie pozbyli.

Skinął głową.

Przesuwając palcami po jego szlafroku, leciutko, delikatnie, poczułam jedynie materiał. Ale pragnęłam ciała. Nagle ujrzałam w myślach obraz samej siebie przywierającej desperacko do bladego ciała Mroza, pokrywając je olśniewającą feerią barw. To było tak realne, że zamknęłam oczy i wyciągnęłam obie ręce przed siebie.

Mróz chwycił mnie za przedramiona.

- Merry, dobrze się czujesz?

Otworzyłam oczy i dostrzegłam na jego twarzy wyraz zatroskania. Spojrzałam na jego dłonie, w miejscu gdzie trzymał mnie za przedramiona. To był jeden z tych nielicznych skrawków mego ciała, którego nie pokrywały obce barwy i jego dłonie wciąż pozostawały białe.

- Czuję się lepiej niż kiedykolwiek, Mrozie.

Mój głos zabrzmiał dziwnie głucho i pusto, jakby dobiegał z wnętrza wielkiej skorupy. Uwolniłam ręce i pociągnęłam za pasek przy jego szlafroku. Jedno szarpnięcie i odzienie się rozchyliło.

Tym razem złapał mnie za rękę.

- Nie chcę cię skrzywdzić.

Zaśmiałam się dziko.

- Nie skrzywdzisz mnie.

Jego uścisk wzmógł się, niemal sprawiał mi ból.

- Tkwi w tobie moc, Meredith, ale wciąż jesteś śmiertelniczką.

- Miałaś swoją szansę, aby osiągnąć boskość - powiedziałam. - Teraz to już tylko dodatkowa magia, którą musisz się nauczyć kontrolować. To kwestia dyscypliny, praktyki i kontroli. A ja wiem, że jesteś zdyscyplinowany, Mrozie, opanowany. - Wsunęłam dłonie pod jedwab szlafroka. - A jeśli ćwiczenie prowadzi do doskonałości, to musisz być w tym najlepszy.

Zaśmiał się gwałtownie, niemal zaskoczony własnym rozbawieniem.

- Jak to możliwe, że zawsze potrafisz sprawić, iż czuję się lepiej. Przecież dziś omal cię nie zabiłem.

Przesunęłam dłońmi w górę po jego ciele, dotykając klatki piersiowej, muskając sutki i sprawiając, że na chwilę wstrzymał oddech.

- Wszyscy dziś przeżyliśmy chwile zaskoczenia, Mrozie. Ale ja najwyraźniej staję się coraz lepsza w przywracaniu sidhe boskości.

Stałam na palcach i zsunęłam jego szlafrok, który spłynął jedwabną kaskadą na podłogę i leżał teraz jak szara kałuża u jego stóp.

- Widzę - rzekł zdyszczanym głosem.

Spojrzałam na jego nagie ciało i uznałam, że wyglądał równie pięknie jak wtedy, gdy widziałam go po raz pierwszy. Radość wywołana widokiem nagiego Mroza była po prostu bezcenna.

Ucałowałam jego pierś tuż nad sercem. Polizałam jego skórę i musnęłam sutek tak gwałtownie, że Mróz równocześnie wzdrygnął się i zaśmiał. Spojrzałam na jego uśmiechnięte oblicze i pomyślałam, że tego właśnie od niego chcę. Bardziej niż seksu, bardziej niż czegokolwiek pragnęłam jego radości.

Jego szare oczy wyrażały rozbawienie.

- Spojrzałam ci w oczy, ale nie widzę żadnej różnicy.

Zaczęłam obsypywać jego tors pocałunkami.

- Różnicy?

- Nie traktujesz mnie jak kogoś gorszego - powiedział.

Powiodłam językiem wokół jego pępka, w gryzając się lekko w skórę po obu stronach, i zesłam tak nisko, że dalej już nie mogłam, bo na swojej drodze miałam jego męskość, sterczącą dumnie, nabrzmiałą. Przesunęłam ustami po jego jedwabistej żołądki i osunęłam się na kolana. Spróbowałam pochłonąć go całego, aż do samej podstawy. Pod tym kątem był

zdecydowanie za długi, ale jakoś sobie poradziłam. Odchylił głowę i zamknął oczy. Wyjęłam go na moment z ust, aby powiedzieć:

- Bynajmniej nie traktuję cię jak kogoś gorszego, wręcz przeciwnie.

Musiałam zamknąć oczy, chłonąc uczucie jego grubej, muskularnej męskości w moich ustach. Nie musiałam otwierać oczu, by wiedzieć, że jego skóra zaczęła błyszczeć. Czułam to na języku.

Wplótł palce w moje włosy i odsunął od siebie, zmuszając, abym uniosła wzrok i spojrzała mu w oczy.

- Nie traktujesz mnie jak kogoś gorszego, dlatego że nie urodziłem się sidhe.

Próbowałam całować jego ciało, ale zacisnął mocniej palce i z moich ust dobył się zduszony jęk. Mój puls przyspieszył bardziej, niż kiedy wzięłam go do ust.

- Zostałeś powołany do życia przez Boga, Mrozie. Jeżeli to nie jest czymś szczególnym, to nie wiem, co mogłoby być.

Pociągnął mnie za włosy do góry tak gwałtownie, że aż zabolalo i trochę się wystraszyłam. To nie był strach, raczej niepokój towarzyszący ostremu seksowi. Pocałował

mnie brutalnie, z językiem, miażdżąc moje usta swoimi, jakby nie wiedział, czy chce mnie pieścić, czy pożreć. Cofnęłam się, oszołomiona i pozbawiona tchu.

Jego oczy lśniły jak srebrny lód, a koniuszki włosów skrzyły się jak szron w promieniach słońca.

- Chcę, żebyś mnie tym pokryła. - Powiodł wolną ręką po moim ramieniu i zobaczyłam na jego skórze opalizujący niebiesko-zielono-purpurowy ślad. Rozmazał go po mojej twarzy i ustach, po czym znów mnie pocałował, żarliwie, brutalnie.

Gdy się cofnął, jego usta i policzek były pokryte smugami migoczących barw.

Objęłam go za szyję, a on wziął mnie w ramiona i dźwignął w górę, tak że nasze ciała otarły się jedno o drugie. To sprawiło, że na jego skórze pojawiły się neonowe smugi i sam ten widok wycisnął z mych ust głuche westchnienie. Pocałowaliśmy się, a ja objęłam go nogami w pasie i poczułam przywierającą do mego ciała jego męskość. Natychmiast zaczęłam ocierać się o nią biodrami i wcierać w niego moje soki. Kolana ugięły się pod nim i gdyby nie przytrzymał się łóżka, upadlibyśmy oboje. Osunął się na łóżko, a gdy poczułam pod biodrami twardość materaca, wszedł we mnie.

Krzyknęłam, odchylając głowę do tyłu, oczy miałam zamknięte i do mego krzyku doszło echo

drugiego. Dopiero kiedy Mróz przestał się poruszać, zastygając nade mną, zorientowałam się, że to nie on krzyczał.

Otworzyłam oczy i zobaczyłam, że patrzył w drugą stronę, ku nogom łóżka. Krzyk się powtórzył, rozlegał się blisko, dziwny, męski, nieartykułowany jęk bólu.

Mróz zsunął się ze mnie i przetoczył ku nogom łóżka. Podniosłam się na czworakach i podpełzłam w tę samą stronę. Mróz ukląkł przy głowie Doyle'a. Nicca klęczał przy jego stopach. Doyle trząsał się, jego ręce orały powietrze. Wydawało się, jakby każdy mięsień w jego ciele naprężał się w innym kierunku. Gdyby to był człowiek, pomyślałabym, że został otruty, ale sidhe nie można otruć, a przynajmniej nie trucizną w rodzaju strychniny.

Kolejny krzyk dobył się z jego ust, a całe ciało zadygotało jak w konwulsjach.

- Pomóż mi!

Mróz pokręcił głową.

- Nie wiem, co mu jest.

Prześlizgnęłam się nad oparciem w nogach łóżka. Zanim zdążyłam go dotknąć, jego skóra jakby się rozszczerzyła, a całe ciało rozlało niczym woda.

Rozdział 16

Wyciągnęłam rękę, a Mróz złapał moją dłoń i odciągnął do tyłu.

- Nie wiemy, co to jest.

Nie opierałam się, bo miał rację. Przywarłam do jego ramion, nie wiedząc, co dalej robić. Miałam być księżniczką faerie, a mogłam tylko klęczeć i patrzeć, jak to silne ciało na moich oczach zmienia się w drgającą masę mięśni i kości, wilgotną i błyszczącą od krwi.

Kiedy Doyle znów krzyknął, wrzasnęłam razem z nim. Pozostali wpadli do pokoju z pistoletami i mieczami w dłoniach, ale to nic nie pomogło. Modliłam się, tak jak wcześniej za Niccę, ale tym razem kielich nie emanował blaskiem. Doyle wił się na podłodze, a krew rozlewała się ciemną kałużą na dywanie.

Mróz cofał się na kolanach, odsuwając nas od rozszerzającej się kałuży. W pewnej chwili potknął się i to wystarczyło, abym uwolniła jedną rękę. To nie miało sensu, ba, było absolutnie nierozsądne, ale musiałam to zrobić. Musiałam dotknąć tego, co leżało na dywanie, bo to nie mógł być Doyle. Ta wijąca się masa mięśni, kości i tkanek nie mogła być moją wysoką, przystojną Ciemnością. To niemożliwe. Moje koniuszki palców odnalazły mokre, ciepłe ciało, bez skóry. Czegokolwiek dotknęłam na chwilę przed tym, jak Mróz odciągnął

mnie, musiało znajdować się w głębi ciała Doyle'a i nigdy nie miało być dotykane ludzką dłonią.

Mróz przytrzymał mnie za przegub. Wydawał się skonsternowany widokiem krwi na opuszkach moich palców.

- Nie rób tego więcej, Merry.

- Czy to sierść? - zapytał Rhys.

Pośród ciemnego ciała zauważyłam równie ciemną sierść, rozpluwającą się powoli jak woda, by pokryć nagie tkanki tego, co kiedyś było mężczyzną. Gołe, lśniące kości zatoneły pod nią, a w chwilę później zaczęły się przekształcać przy wtórze dźwięku przywodzącego na myśl rozgniatane na proch kamienie. Pośród kości i sierści pojawiły się usta. Dobył się z nich krzyk, który choć brzmiał jak ludzki, z pewnością taki nie był.

Wśród krwi i płynów leżał na boku wielki czarny pies. Próbowałam jakoś go ogarnąć, dostrzec Doyle'a w tym futrzastym kształcie, ale to był tylko pies, podobny do mastiffa.

Przypominałam sobie psy-cienie z mojej wizji. To, co leżało przed nami, wyglądało kubek w

kubek jak psy uformowane z cieni pod gigantycznym drzewem.

Wielki kudłaty łeb próbował się podnieść, ale zaraz opadł, jakby wyczerpany.

Chciałam wyciągnąć rękę i pogłaskać go, ale Mróz mi nie pozwolił.

- Nie broń mi, Mrozie - powiedziałam.

Rhys przyklął na jedno kolano przy tylnych łapach zwierzęcia.

- To psia postać Doyle'a. - W jednej ręce trzymał broń. Drugą pogładził porośnięty sierścią bok.

Pies uniósł łeb i spojrzał na niego.

Patrzyłam na ten kudłaty kształt i cieszyłam się, że żyje, że nie jest rozlewającą się masą przeniebowanych tkanek. On nie umarł. Dawno temu nauczyłam się, że póki życie, póty nadzieja. Gdy nadchodzi śmierć, nadzieja pryska. Szczerze wierzyłam w reinkarnację.

Wiedziałam, że w innym życiu mogłam znów spotkać tych, co umarli, ale nie było to dla mnie wielką pociechą w wieku osiemnastu lat, gdy umarł mój ojciec. Byłoby nikłą pociechą, gdyby Doyle zmienił się w coś, czego nie dałoby się już uzdrowić, a co najwyżej dobić z litości.

- Puść mnie, Mrozie.

Zrobił to z wyraźnym wahaniem.

- Doyle, słyszysz mnie? - wymamrotałam.

- To nadal ja, Merry. - Głos Doyle'a był głębszy, bardziej gardłowy, ale rozpoznawalny.

Podpełzłam do niego, moje kolana zapadały się w wilgotnym dywanie. Krew już zaczęła stygnąć. Dotknęłam jednego z tych jedwabistych uszu. Doyle otarł się wielkim łbem o moją dłoń.

Rhys pogładził go po boku.

- Zawsze trochę zazdrościłem wam, zmiennokształtnym. Bo chyba fajnie jest na jakiś czas zmienić się w zwierzę. - Położył dłoń na piersi Doyle'a, tuż nad sercem, jakby mógł poczuć coś więcej niż tylko jego głuche uderzenia. - Nigdy jednak nie widziałem tak gwałtownej przemiany.

Przesunęłam dłonią po ciepłym, dziwnie suchym futrze, które przecież jeszcze przed chwilą było skąpane we krwi. Choć może wcale tak nie było. Nie znałam się na mechanice zmiennokształtnych, nikt tego nie wiedział. Jedną z pierwszych rzeczy, które przepadły, kiedy magiczny lud opuścił faerie w Europie, była właśnie zmiennokształtność. Ci z nas, którzy uciekli do Ameryki, ale trzymali się naszych wydrążonych wzgórz, zachowali wiele z tych zdolności. Większość z nas była jednak zacofana i nie ufała, a niekiedy wręcz nie wierzyła w nowoczesną naukę. Dlatego nie było naukowych badań nad tym zjawiskiem.

Sierść była miękka i gęsta w dotyku.

- Tak gwałtowne zmiany zachodzą wyłącznie, kiedy jeden sidhe próbuje zmusić innego do zmiany kształtu wbrew jego woli.

Przesunęłam dłonią po kudłatym boku, aż w pewnej chwili moja ręka dotknęła koniuszków palców Rhysa. To dotknięcie sprawiło, że przeszył mnie elektryczny spazm, przenikający od dłoni, przez ramię, po pierś, spazm tak silny, że wywołał zarówno rozkosz, jak i ból. Zaparło mi dech i spojrzałam na Rhysa rozszerzonymi oczami.

Pierś Doyle'a unosiła się i opadała pod naszymi dłońmi, jego serce tłukło się jak wielki bęben.

- Magia jeszcze nie przepadła - rzekł ochryplym głosem Rhys.

Doyle przewrócił się na grzbiet, jego wielki pysk rozwarł się szeroko, ukazując garnitur wielkich jak noże białych kłów. Oboje, ja i Rhys, odsunęliśmy ręce, tak na wszelki wypadek. Przemówił tylko raz. Niektórzy w zwierzęcej postaci zachowywali więcej z siebie, inni mniej. Nigdy nie widziałam Doyle'a w postaci innej niż jako sidhe.

Doyle zaczął przebierać w powietrzu łapami większymi od mojej dłoni. Zawarczał, lecz wyraźnie usłyszałam słowa:

- Czuję to, czuję, jak we mnie rośnie.

A potem ciało psa jakby pękło i wyskoczyło z niego coś czarnego, wielkiego, pokrytego sierścią bardziej błyszczącą i lśniącą niż psia. Rhys i ja cofnęliśmy się. Mróz objął mnie w pasie i pociągnął do ściany, aby zrobić miejsce olbrzymiemu kształtowi rozrastającemu się u stóp łóżka.

To rozlewało się i unosiło w górę jak dżinn wydostający się z butelki, tyle tylko, że butelką było ciało Doyle'a. Wielki czarny koń podnosił się coraz wyżej, jakby mentalny kształt mógł zostać utkany z wody i dymu, bo przecież solidne ciało nie mogło wznosić się ku górze jak woda z fontanny albo dym wzbijający się nad miejscem wielkiego pożaru.

Maeve i Sage wpadli do pokoju, by ujrzeć, jak koń staje się w pełni materialny. Wielki łeb zatrzęsł się, chrapy niemal dotknęły sufitu. Szyję miał grubszą od mojej talii. Zatupał w dywan kopytami wielkości talerzy obiadowych. Podniósł się niepewnie na tylnych nogach.

Wszyscy patrzyli w osłupieniu. Kitto wydawał się bardziej przerażony od innych.

Wycofał się pod same drzwi i tylko Maeve i Sage stojący w progu sprawili, że nie wybiegł na korytarz. Kolejna fobia do dodania do listy goblinów.

To Sage przerwał ciszę.

- A niech mnie wszyscy diabli.

- Kto wie - odrzekł koń.

Głos nadal należał do Doyle'a, ale zamiast psiej gardłowości wydawał się przepelniony wysokim rzeniem. Stwierdzenie, że głos konia brzmiał bardziej ludzko, wydawało się niewłaściwe, ale tak właśnie było.

Doyle potrząsnął grzywą, czarną jak jego włosy.

- Nie przybierałem tej postaci od czasu pierwszego zrównania.

Rhys postąpił naprzód i przesunął dłonią po gładkiej, smukłej szyi. Ciało konia lśniło jak czarny klejnot.

Zrobiłam krok do przodu, ale Mróz mnie przytrzymał, przyciskając tył mojego nagiego ciała do siebie.

- To jeszcze nie koniec - szepnął. - Nie czujesz tego?

- Czego?

- Magii.

- Gdy się tak do mnie kleisz, czuję tylko ciebie. A ty zawsze kojarzysz mi się z magią.

Spojrzał na mnie i dostrzegłam coś w jego oczach, jakby wcześniej nie zdawał sobie z tego sprawy.

- A więc utrudniamy ci wyczuwanie innej magii?

Skinęłam głową.

- Tak.

- Niedobrze - mruknął.

Otarłam się o jego ciało i poczułam, jak sztywnieje.

- Uwielbiam to - jęknęłam. - Uwielbiam być z tobą, z wami wszystkimi.

Nie zdołał odpowiedzieć, gdyż koń spróbował nagle stanąć dęba i okazało się, że nie ma dość miejsca. Wznosił się nad nami jak czarny demon, rozcinając kopytami powietrze.

Rhys rzucił się w tył, przeturlał po podłodze i zatrzymał się przed nogami pozostałych zebranych.

Wielka postać rozpościerała się niczym płaszcz. Nagle otworzyła się, a z jej wnętrza wyłoniły się czarne skrzydła, zaś postać konia zamieniła się w kłęb dymu lub może czarnej mgły. Kiedy ta się rozwiała, na dywanie pojawił się czarny orzeł. Rozpiętość jego skrzydeł

musiała wynosić około dwóch i pół metra, może nawet więcej. Jedno skrzydło otarło się o przeciwległą ścianę i się złożyło. Pokój był zbyt mały, aby mogła pokazać się w całej okazałości.

Ptak w pozycji stojącej prawie dorównywał mi wzrostem. Nigdy czegoś podobnego nie widziałam. Przekrzywił głowę i dostrzegłam jego czarne jak węgiel oczy, ale po spojrzeniu natychmiast rozpoznałam w nim Doyle'a.

Rhys wstał.

- Orzeł, ale ekstra. Nie wiedziałem, że umiesz także zmienić się w ptaka.

Hebanowy dziób rozwarł się, ukazując nieco jaśniejsze barwy.

- Nigdy nie byłem ptakiem. - Te słowa zabrzmiały nader piskliwie. Istota z łatwością mogła wydawać orle okrzyki, do posługiwania się ludzką mową nie przywykła.

Tym razem nikt nie próbował się zbliżyć ani go dotknąć. Na moment złożył skrzydła tuż przy ciele, po czym znów rozłożył je na możliwie największą szerokość. Potężna pierś rozszczepiła się i wyłonił się stamtąd Doyle, otoczony wirującymi pasmami ciemności, wijącymi się niczym dym, pachnącymi jak mgła. Przez krótką chwilę stał przed nami, nagi, a potem osunął się na podłogę. Podbiegłabym do niego, ale Mróz mnie przytrzymał. To Rhys i Nicca pierwsi do niego dotarli.

Doyle podparł się jedną ręką.

- Jest pan ranny, kapitanie? - zapytał Nicca.

Rhys uśmiechnął się.

- To było nie lada widowisko.

To dziwne, ale wraz z ubraniem Doyle'a znikła również wstążka, którą związywał warkocz, i jego długie włosy rozlewały się po podłodze.

- Puść mnie, Mrozie, ale już!

- Chcesz do niego podejść - powiedział ze smutkiem w głosie.

- Tak, podobnie jak chciałabym zbliżyć się do każdego z was, niezależnie który byłby ranny.

Pokręcił głową.

- Nie, Doyle jest dla ciebie wyjątkowy.

Zmarszczyłam brwi.

- Owszem, tak jak ty.

Nachylił się i wyszeptał mi prosto w twarz:

- Odkąd znalazł się w twoim łóżku, coraz bardziej się ode mnie oddalasz. - Cofnął się i puścił mnie. Patrzyłam, jak się prostuje, imponujący, bezosobowy, arogancki z wyglądu i zachowania. Ale w jego oczach kryły się ból i gniew.

- Nie mam na to czasu - odparłam.

Odwrócił się ode mnie bez słowa.

- Rhys, czy nic mu nie będzie? - spytałam, nie zwracając uwagi na zachowanie Mroza.

- Nie, jest tylko zmęczony. Myślę, że to po tej pierwszej przemianie. Opierał się jak diabli.

Głos Doyle'a był pełen zmęczenia, ale wyraźny.

- Im mniej się opierałem, tym było mi łatwiej.

- Świetnie. Niech się położy i odpocznie - powiedziałam i znów spojrzałam na Mroza.

- Wszyscy mają stąd wyjść z wyjątkiem Doyle'a, Rhysa i Mroza.

Popatrzyli po sobie nawzajem.

- Po prostu to zróbcie. Już.

Ja też byłam zmęczona. To było więcej niż fizyczne zmęczenie. I miałam dość.

Miałam dość mego pięknego Mroza. Postanowiłam postawić na brutalną uczciwość, bo wszystkiego innego już próbowałam.

Musiało być coś w moim głosie, gdyż nikt nie zaproponował. To świetnie. Cóż za odmiana.

Kiedy drzwi zamknęły się za nimi, a Rhys pomógł Doyle'owi położyć się do łóżka, skupiłam całą swą uwagę na Froście.

- Zazwyczaj zrobiłabym to na osobności, ale cóż... Nie chcę żadnych nieporozumień, Mrozie.

Posłał mi lodowate spojrzenie.

- Rozumiem, że Doyle znajdzie się dziś z tobą w łóżku.

Potaknęłam.

- Mrozie, to nie Doyle w moim łóżku sprawia, że odsuwam się od ciebie, lecz ty sam.

Uderzyłam go otwartą dłonią w pierś. To go zdezorientowało, sprawiło, że na mnie spojrzał i przez chwilę znów dostrzegłam w jego oczach coś prawdziwego, ale tylko przez chwilę. Zaraz potem zimna arogancja powróciła.

- Te dąsy muszą się skończyć.

- Ja się nie dąsam - odwarknął.

- Owszem, tak. - Odwróciłam się do dwóch mężczyzn przy łóżku.

Rhys otulił Doyle'a kocem, następnie rzucił:

- Tak, dąsas się.

Doyle leżał ciężko na poduszkach, jakby uniesienie głowy stanowiło dla niego olbrzymi wysiłek.

- Dąsas się, stary druhu, jeszcze jak.

- Kiedy coś zrani twoje uczucia, dąsas się. Gdy wydaje ci się, że coś zagraża twojej pozycji w staraniach o moje względy, zacznasz się dąsać. Kiedy coś nie idzie po twojej myśli, też się dąsas.

- Wcale nie.

- Nawet teraz się dąsas.

Otworzył i zamknął usta w wyrazie zakłopotania.

- Nie postrzegam tego jako dąsania się. Dąsają się dzieci, a nie wojownicy.

- Więc jak to nazwiesz? - spytałam, opierając dłonie na biodrach.

Zamyślił się przez chwilę, po czym rzekł:

- Reaguję tylko na to, co robisz. Jeżeli wolisz Doyle'a ode mnie, nic na to nie poradzę.

Dałem ci z siebie wszystko, ale to nie wystarczy.

- W miłości nie chodzi tylko o seks, Mrozie. Po prostu nie chcę, żebyś się tak zachowywał.

- Czyli jak?

- Tak. - Szturchnęłam go palcem w pierś. - Skończ z tą lodowatą, beznamiętną fasadą.

Chcę, żebyś był prawdziwy, żebyś był sobą.

- Nie lubisz, kiedy jestem sobą.

- Nieprawda. Uwielbiam, kiedy jesteś sobą, ale musisz przestać zachowywać się, jakby wszyscy ranili twoje uczucia. Musisz przestać się dąsać. - Cofnęłam się, by móc spojrzeć na jego twarz, nie wyprężając szyi. - Zbyt wiele mnie kosztuje zamartwianie się, jak znosisz różne rzeczy. Mam dość chodzenia wokół ciebie na paluszkach, Mrozie.

Odsunął się od ściany.

- Rozumiem.

- Co robisz? - spytałam.

- Wychodzę. Przecież tego właśnie chcesz, prawda?

Odwrociłam się do pozostałych mężczyzn.

- Pomóżcie mi z tym, proszę.

- Ona nie chce, żebyś wychodził - rzekł Rhys. - Kocha cię. Kocha cię bardziej niż mnie. - Nie wydawał się zbolaty, to było raczej stwierdzenie faktu. A ponieważ rzeczywiście tak było, nie zamierzałam temu zaprzeczać. - Kiedy jednak masz te swoje napady chłodnej arogancji, Merry odsuwa się od ciebie. Odsuwa się, kiedy się dąsasz.

- Te moje napady chłodnej arogancji, jak je nazywasz, to jedyne, co pozwoliło mi u królowej zachować zdrowe zmysły.

- Nie jestem królową, Mrozie - wtrąciłam. - Nie chcę zabawki w moim łóżku. Chcę króla u mego boku. Musisz dorosnąć.

Może to głupie mówić komuś starszemu od siebie o setki lat, żeby dorósł, ale to było konieczne. Niestety.

- Gdybyś zdołał powściągnąć swe emocje, pokochałaby tylko ciebie i nikogo innego - odezwał się z niemałym wysiłkiem Doyle. - Gdybyś potrafił to zrozumieć, nie byłoby żadnej rywalizacji.

Nie byłam tego całkiem pewna, ale nie odezwałam się.

- Co za znaczenie, kogo ona kocha, skoro nie ma dziecka - rzucił Mróz.

- Wygląda na to, że sporo to dla ciebie znaczy. - Doyle zamknął oczy. Pomyślałam, że zaraz zaśnie.

Mróz zmarszczył brwi.

- Nie wiem, jak mam to zrobić. To nawyk, kształtowany przez stulecia.

- Zróbmy tak - powiedziałam. - Za każdym razem, gdy zaczniesz się dąsać, powiem, żebyś przestał. A ty wtedy spróbujesz przestać.

- No, nie wiem.

- Po prostu się postaraj - powiedziałam. - Proszę cię, żebyś chociaż spróbował. To wszystko.

Jego oblicze złagodniało i w końcu pokiwał głową.

- Spróbuję. Nadal nie uważam, żebym się dąsał, ale postaram się tego nie robić.

Uściskałam go. Kiedy się odsunęłam, uśmiechał się. Za ten wyraz jego twarzy, za spojrzenie, mogłabym wyrznąć w pień całe armie. Czymże jest w porównaniu z tym odrobina emocji?

Każdy, kto uważa, że wyrznięcie w pień armii byłoby łatwiejsze niż uporanie się z własnymi nieporządkowanymi emocjami wewnętrznymi, musi cierpieć na poważne zaburzenia i powinien zapisać się na odpowiednią terapię. Ale tego też nie powiedziałam na głos.

Rozdział 17

Rankiem Złota Bogini Hollywood płakała przy naszym kuchennym stole. Może to hormony związane z ciążą, a może nie. Maeve lubiła udawać, że to Gordon był mózgiem w ich związku, ale prawda była taka, że kiedy chciała, umysł miała wyjątkowo przenikliwy.

Logiczny, niebezpieczny umysł. Trudniej z nią było postępować, gdy myślała, niż kiedy uwodziła. Płacz oznaczał prawdziwe emocje lub próbę zmanipulowania mnie. Nie chciałam, by była smutna, jednocześnie miałam nadzieję, że jest szczerą. Wołałam uniknąć sytuacji, w której wszystkie jej zdolności zostałyby skierowane przeciwko mnie. Znów była boginią Conchenn, a przez stulecia wielu mężczyzn i wiele kobiet znacznie ode mnie lepszych nie zdołało się jej oprzeć.

Stałam w drzwiach, rozważając odwrót, lecz zbyt długo się wahałam. Uniosła głowę i pokazała mi mokre od łez, całowane błyskawicami oczy. Włosy miała jasnoblond, za sprawą uroku, którego zwykle używała, ale oczy były prawdziwe. Oczywiście jako sidhe Seelie jej skóra wciąż pozostawała nieskazitelna. Na jej twarzy nie tworzyły się czerwone plamy ani nie miała

podpuchniętych oczu. Choć wydmuchiwała się w chusteczkę, jej nos nie był ani trochę zaczerwieniony, jak mój. Maeve mogłaby zapewne szlochać przez sto lat i nadal wyglądałaby idealnie.

Otarła oczy chusteczką.

- Widzę, że jesteś ubrana do wyjścia. - Jej głos sugerował łzy, których fizycznie nie było widać. Głos miała szorstki, nosowy, jakby szlochała od wielu godzin. Nie wiedzieć czemu, widząc ją tak... niedoskonałą, poczułam się lepiej. Może jestem małostkowa, może czuję się niepewnie, ale tak właśnie było.

Powiedziała, że jestem ubrana do wyjścia, nie że dobrze wyglądam. Wśród nas to zawoalowana forma obelgi. Jeżeli fey zadaje sobie trud, by odpowiednio dobrać garderobę, obrazą jest nieskomplementowanie jej ubioru, no chyba że ów długotrwały dobór okazał się niewłaściwy. Ja dziś bardzo starannie zadbałam o ubiór. Wiedziałam, że nie tylko mam spotkać się z moją ciotką królową, ale i być pod okiem reporterów.

Czarna, długa do kostek spódnica opinała moje biodra i rozkloszowana spływała w dół nóg, materiał, nieistniejący w naturze, nie miał prawa się miąć, nawet po kilkugodzinnym locie na pokładzie wynajętego odrzutowca. Czarny skórzany pasek z odpowiednią sprzączką ciasno opinał moją talię. Na zielony jedwabno-spandeksowy podkoszulek narzuciłam czarne bolerko. Antyczne złote kolczyki ze szmaragdami podkreślały zielen. Spod spódnicy wystawały wysokie do łydek czarne botki. Miały trzycalowe obcasy, a skóra błyszczała, gdy padało na nią światło. Uznałam, że szmaragdowy podkoszulek podkreśli zielen moich oczu, a jego elastyczność uwypukli kształty moich piersi. Zazwyczaj zakładałam krótsze spódniczki, ale był styczeń w Saint Louis i szpanowanie nie było warte nabawienia się potencjalnych odmrożeń. Spódnica jednak falowała w rytm moich kroków i tworzyła złudzenie unoszenia się w powietrzu przy najlżejszym podmuchu wiatru. Pomyślałam, że wyglądam nieźle, dopóki Maeve nie sformułowała swej jakże krytycznej opinii.

- Zakładam, że nie podoba ci się mój strój - powiedziałam i poszłam po dzbanek z herbatą stojący na podgrzewaczu.

Galen przetrząsnął całe Los Angeles, żeby znaleźć konkretny podgrzewacz, dzięki któremu nasza herbata zawsze mogła być ciepła. Większość mężczyzn wołała pić na śniadanie mocną czarną herbatę zamiast kawy - wyjątek stanowił Rhys. Uważał, że twardzi detektywi nie pijają herbaty, wybierał więc kawę. Jego strata. Więcej herbaty dla mnie.

Spojrzała w moją stronę nieco zdezorientowana.

- Czasami zapominam, że dorastałaś wśród ludzi. Choć szczerze mówiąc, bywasz twarda i bezwzględna nawet jak na ludzkie standardy. - Znów otarła oczy, ale świeże łzy się nie pojawiły, na jej twarzy dosychały ślady starych. - Nie bawisz się w gierki.

Dodałam śmietanki do cukru wsypanego uprzednio do herbaty, zamieszałam i spojrzałam na nią.

- O jakiej grze mówisz?

- Jestem na ciebie zła, więc zasugerowałam, że nie wyglądasz dobrze. Nie powinnaś pytać, co myślę o twoim stroju, ale martwić się, że uważam, iż nie wyglądasz dobrze. To powinno cię zżerać, podkopywać twoją pewność siebie.

Upiłam łyk herbaty.

- Dlaczego jesteś zła?

- Ponieważ to, co się stało ubiegłej nocy, to twoja wina.

- Co konkretnie?

Z jej gardła wydobył się dźwięk przypominający szloch.

- Uprawiałam seks z tym... fałszywym sidhe.

Zmarszczyłam brwi i nagle zorientowałam się, o co jej chodziło.

- Masz na myśli Sage'a?

Skinęła głową, pojawiły się świeże łzy. Oparła głowę na jasnym sosnowym blacie stołu i zaczęła płakać. Szlochała, jakby miało jej pęknąć serce.

Odstawiłam herbatę i podeszłam do niej. Nie mogłam znieść tych rozdzierających dźwięków. Słyszałam je dość często w ostatnich tygodniach po śmierci męża, ale na szczęście od niedawna jakby trochę rzadziej. Wiele jest historii opowiadających o tym, co spotyka śmiertelników, którzy zakochują się w nieśmiertelnych, i jakie ma to dla nich przykre konsekwencje, ale w przypadku Maeve było dokładnie na odwrót. Kiedy nieśmiertelna naprawdę zapala miłością do śmiertelnika, zazwyczaj ma to przykre konsekwencje właśnie dla nieśmiertelnej. My umieramy, oni nie. To prosta, przerażająca prawda. Patrząc, jak Maeve oplakuje Gordona, zaczęłam się martwić o to, w co mogę się wpakować, biorąc sobie za męża jednego z sidhe. Prędzej czy później mój wybranek zostanie wdowcem. Nie było innej możliwości. To nie była przyjemna myśl.

Dotknęłam jej ramienia, ale tylko rozplakała się bardziej.

- Czy Sage cię skrzywdził? - spytałam, choć było to idiotyczne pytanie.

Uniosła głowę i wbiła we mnie wzrok, jakby chciała powiedzieć: jak śmiesz? Po czym przez łzy odparła:

- Nie mógłby skrzywdzić księżniczki Dworu Seelie.

Poklepałam ją po ramieniu.

- Jasne, że nie, przepraszam, że to powiedziałam. Ale skoro cię nie skrzywdził, czemu płaczesz? Seks nie mógł być taki zły.

Znowu zaszlochała, ukrywając twarz w dłoniach.

- Był cudowny... - wybełkotała, a ja nie miałam pewności co do tego, czy dobrze usłyszałam.

Wciąż nie rozumiałam, co było powodem jej wzburzenia, ale ból był prawdziwy.

Objęłam ją, wtulając policzek we włosy.

- Był cudowny, więc dlaczego płaczesz?

Powiedziała coś, ale znów jej nie zrozumiałam.

- Przepraszam, Maeve, nie dosłyszałam...

- Nie powinien być cudowny.

Cieszyłam się, że nie może zobaczyć mojej twarzy, bo zapewne wyglądałam na tak zbitą z tropu, jak się czułam.

- Po raz pierwszy od stu lat zaznałaś bliskości z sidhe. Oczywiście, że musiało to być cudowne.

Opuściła ręce i odwróciła się.

- Nie rozumiesz - powiedziała. - On nie jest sidhe. To kłamstwo, iluzja, jak jabłoń w moim domu. Zniknęło dziś rano.

- Drzewo?

Przytaknęła.

Zmarszczyłam brwi.

- Ale przecież go dotykałam, liści, kory, kwiatów. Czułam ten zapach. Było prawdziwe. Iluzje potrafią ukryć pewne rzeczy albo sprawić, że coś wygląda inaczej, ale nie są w stanie stworzyć czegoś z niczego. Iluzja opiera się na czymś rzeczywistym...

- Zazwyczaj tak, ale sidhe potrafili kiedyś tworzyć iluzje tak solidne, że można było po nich stąpać. Myślisz, że opowieści o powietrznych zamkach to bajki? Kiedyś sidhe potrafili robić takie rzeczy. Umieliśmy tworzyć coś z niczego. Rzeczy stworzone z czystej magii były równie realne jak te rzeczywiste.

- A więc to było prawdziwe drzewo.

- Prawdziwe, dopóki trwała magia. Gdyby na drzewie pojawiły się jabłka, mogłabyś je zjeść i wypełniłyby twój brzuch. W ten sposób nasze nieliczne magiczne zwierzęta potrafiły nas wyżywić. Tę magię dało się odnawiać.

- Wiem, że istnieją iluzje równie silne jak rzeczywistość, ale mój ojciec mawiał, że takie talenty zaginęły wśród nas już dawno temu.

- Zgadza się.

- Zatem to też do nas powraca wraz z inną magią?

- Tak. - Uśmiechnęła się łzawą wersją uśmiechu, który napędził tysiąc filmowych superprodukcji na wiele lat przed tym, nim słowo superprodukcja cokolwiek znaczyło. Ujęła moją dłoń w swoje. - Ty to na nas sprowadziłaś, Merry, ty i twoja magia.

Potrząsnęłam głową.

- Nie, nie ja, Bogini. Nie mogłabym tego uczynić bez boskiej pomocy.

- Jesteś zbyt skromna - rzekła.

- Może - przyznałam - choć rzecz jasna gdy ma się tak marny gust w kwestii doboru stroju, trudno nie mieć w sobie odrobiny pokory.

Przez chwilę unikała mojego wzroku.

- Przepraszam, ale chciałam ci dopiec.

Ścisnęłam ją za rękę.

- Dlaczego?

- Bo obwinałam cię za to, że Sage uwiódł mnie ubiegłej nocy.

- Rhys dał do zrozumienia, że chodziło o coś więcej niż zwykłe uwiedzenie - powiedziałam.

Zaczerwieniła się.

- Fakt. Nie da się ukryć, tak było. Ujrzałam go świecącego w ciemnościach. Lśnił jak złoty księżyc. I... - Odwróciła się, żebym nie mogła zobaczyć jej twarzy. - Wiedziałam, że nie był jednym z twoich mężczyzn. Pomyślałam, że mi nie odmówi, i tak się stało.

- Uwiodłaś go. Było cudownie. A teraz masz moralniaka? - spytałam.

- Głupie, nie?

- Maeve, magiczny lud nie ma kaca moralnego po seksie.

- Merry, nigdy naprawdę nie należałaś do Dworu Seelie. Nie wiesz, jakie tam panują zasady.

- Wiem, że wszyscy, którzy nie są czystej krwi, są uważani za gorszych, niezależnie, jakie mają umiejętności i jaką magią władają.

Odwróciła się na krześle, by znów na mnie spojrzeć.

- Tak, tak.

- Nie sądziłam, że wciąż hołdujesz tym zasadom.

- Ja również.

Próbowałam jakoś to sobie poukładać.

- Jesteś zła, bo byłaś z kimś, kto nie jest czystej krwi sidhe?

- Jestem zła, bo Sage nie jest księciem żadnego z dworów. To półmagiczna istota, którą twoja magia uczyniła potężniejszą, ale nie sidhe, Merry. Nigdy nie będzie prawdziwym sidhe. Nawet za sto lat z trójbarwnymi oczami nigdy nie będzie jednym z nas.

- Widzisz, jacy oni są - rzucił od drzwi Mróz. Nie usłyszałyśmy, jak się zbliżał, i obie aż się wzdrygnęłyśmy.

Miał na sobie białą koszulę, srebrny krawat, odcień jaśniejszy od jego włosów, i materiałowe

spodnie, ciemnoszare i grube, świetnie skrojone. Podziwiałam już wcześniej ten widok. Do tego srebrna spinka do krawata z brylancikiem i odpowiednio dobrane spinki do mankietów. Wszystko błyszczące, nieskazitelne. Mokasyny, które zwykle nosił, zastąpił

ciemnoszarymi butami.

- Niby kto? - spytałam.

- Seelie. - Prawie że wypłuł z siebie to słowo. W ten sposób Seelie wypowiadają słowo „Unseelie”.

Maeve wstała od stołu.

- Jak śmiesz.

- Co jak śmiesz? - spytał zuchwale, podchodząc do nas.

- Jak śmiesz obrażać Seelie.

- Oni mówią to samo o nas - rzekł Mróz i dostrzegłam w nim nieznany dotąd gniew.

Miałam nadzieję, że nie była to odpowiedź na dąsy. Zamiana jednego problemu na inny to nie to, o co mi chodziło.

Maeve otworzyła swe piękne usta i zaraz je zamknęła. Nie mogła nazwać go kłamcą, bo miał rację. W końcu poprzestała na:

- Nie wiem, co powiedzieć. - Słowa brzmiały niemal jak szept.

Mróz odwrócił się do mnie.

- Nie tknęłaby Sage'a, gdyby wciąż należała do złotego dworu.

- No nie wiem - mruknęłam. - Stanowię dowód, że jej ciałem miał okazję sycić się więcej niż jeden Seelie nienależący do jej dworu.

Pokręcił głową i jego włosy wychwyciły światło bardziej niż brylanciki, które nosił.

Żaden klejnot nie mógł się równać z jego włosami.

- Uar Okrutny poślubił twoją babkę, by uniknąć klątwy. Besaba udała się do twego ojca na mocy paktu. Uwierz, Merry, Świetliści nie przychodzą do naszego łóżka z własnej woli.

- O czym sam powinieneś doskonale wiedzieć, Jackie Mrozie.

Skrzywił się, ale nie spasował. Odwrócił się do niej i podszedł bliżej, wkraczając w jej przestrzeń osobistą, przynajmniej z punktu widzenia amerykańskich standardów. Gdy się nie cofnęła, wszedł w jej przestrzeń jeszcze bardziej, nawet jak na standardy fey. Ich ciała niemal się stykały. To jednak wyglądało nie tyle zmysłowo, ile raczej groźnie.

Mróz był o kilka cali wyższy. Patrzyli sobie w oczy jak równi przeciwnicy.

Choć wzrok miała skierowany na niego, mówiła do mnie:

- Nie zawsze był sidhe, wiedziałaś o tym? Głos miała spokojny, ale pełen wrogości, jak cisza przed burzą.

- Tak - odparłam. - Znam genezę Mroza.

Na jej twarzy odmalowało się zdziwienie.

- Nie opowiedziałby ci tego z własnej woli.

- Pokazał mi to z własnej woli dzięki swojej magii. Widziałam go tańczącego na śniegu. Wiem, czym jest i czym był, to niczego dla mnie nie zmienia.

Na jej pięknym obliczu wciąż gościło zaskoczenie. Odstąpiła od niego i ujęła mnie za rękę.

- Oczywiście, że to zmienia twoje odczucia. Myślałaś, że idziesz do łóżka z sidhe, a okazuje się, że to tylko ożywiony mróz i szron.

Cofnęła się.

- Mówisz serio. Poważnie... To nie robi ci żadnej różnicy.

Pokręciłam głową.

- Najmniejszej.

- Nie rozumiem tego.

- Zaledwie wczorajszej nocy odzyskałaś swoje moce jako Conchenn. Poszłaś do łóżka z sidhe po raz pierwszy od stu lat. Dziś rano obudziłaś się i już nie zachowujesz się jak Maeve Reed, tylko jak szlachcianka z sidhe. Nigdy nie zrozumiem, dlaczego Seelie postrzegają seks w tak wiktoriański sposób. To takie niepodobne do magicznego ludu.

- Nie rozumiesz tego, Merry, bo niby jak? Sypianie z ludźmi może zostać wybaczone, ale nie pieprzenie się z istotami półmagicznymi. Wczoraj w nocy pragnienie całkiem mnie zaślepilo. Straciłam zdrowy rozsądek. Byłam upojona mocą. Dziś rano wytrzeźwiałam.

- Ale przecież wygnano cię z Dworu Seelie, Maeve, a Dwór Unseelie nie dba o genezę, a jedynie o wyniki. Nie jest ważne, skąd pochodzisz, tylko co możesz dla nas zrobić.

- Nie mogę osłonić oczu. Nie mogłam rzucić dziś rano uroku, by je zamaskować i nie wiem dlaczego. Używałam tego czaru od dziesięcioleci. Wydaje się bardziej realny niż moja prawdziwa postać, ale nie potrafię znów ukryć moich oczu. Dałaś mi moc, Merry, ale także coś mi odebrałaś.

- Zatem to moja wina, że pieprzyłaś się z Sage'em?

- Może - odparła.

Chyba sama w to nie wierzyła.

- Maeve, nie ma znaczenia, co Dwór Seelie myśli o twoich czynnościach. Gdybyś kiedykolwiek tam wróciła, Król Światła i Iluzji każe cię stracić. Tu, na Dworze Unseelie, zawsze jesteś mile widziana. Możesz nam towarzyszyć. Możesz dziś w nocy znaleźć się w samym sercu Krainy Faerie. - Obserwowałam ją. Dostrzegłam pragnienie, zanim zdołała je ukryć.

Posłała mi sztuczny uśmiech.

- Merry, jestem sidhe z Seelie, nie z Unseelie.

- Należałem kiedyś do złotego dworu - powiedział Mróz.

- Nigdy nie byłeś członkiem dworu, Jackie Mrozie. Nigdy!

Uśmiechnął się do niej lodowato.

- Pozwól, że się poprawię. Byłem jedynie tolerowany na dworze piękna i iluzji.

Tolerowano mnie, ponieważ gdy inni tracili moce, ja je zyskiwałem. Nie tylko przez moce innych sidhe, lecz przez umysły ludzi. Pamiętali mnie, podczas gdy zapomnieli wszystkie inne piękne, świetliste bóstwa. Mały Jakual Frosti, Jackie Mróz, Jack Mróz. - Znów się do niej zbliżył i tym razem nieznacznie się cofnęła. - Ale kto wciąż mówi o Conchenn? Gdzie są wiersze i poematy o tobie? Czemu pamiętają mnie, a ciebie już nie?

- Nie wiem - wyszeptała.

- Ja też nie, ale tak właśnie jest. - Nachylił się jeszcze bardziej, jakby chciał ją pocałować. - Wciąż mnie pamiętają, choć o tak wielu zapomniano. To dopiero zagadka.

Zaczął lśnić, jakby w jego ciele tkwił uwięziony księżyc. Światło wylewało się przez jego oczy, czyniąc je niemal tak srebrnymi jak włosy. Wicher jego mocy wypełnił powietrze wokół ciała, jego głowę otoczyła aureola falujących włosów. Stał przede mną niczym metaliczna zjawia odlana z płynnego srebra.

Nie mogła znieść takiej bliskości jego mocy i nie zareagować. Zbyt długo obywatela się bez dotyku sidhe. Jednonocny seks i kilka emanacji mocy nie mogło stłumić tego pragnienia.

Tego rodzaju głód sięga znacznie głębiej.

Jego potęga wywołała złocistą falę jej mocy, która odmieniła kolor jej włosów na platynowy blond i wypełniła powietrze falującymi kosmykami. Byli tak blisko siebie, że ich moce przenikały się i łączyły, złoto i srebro przeplatały się, tworząc pomiędzy nimi dwubarwną linię. To nie była

boskość, a jedynie siła sidhe.

Obserwowałam ich i zrozumiałam, czemu nasi przodkowie uważali te istoty za bogów. Teraz prawdopodobnie wzięto by je omyłkowo za anioły albo Marsjan. Patrzyłam, jak emanują blaskiem, i widziałam pragnienie malujące się na twarzy Maeve. Mróz nie wyglądał na wygłodniałego, lecz na usatysfakcjonowanego.

Nachylił się i przywarł lśnącymi wargami do jej ust. To był skromny pocałunek, ale jego moc wdarła się w nią jak włócznia ze srebrnego światła. Zobaczyłam, jak ten długi słup mocy nieomal na pół rozszczepia żółtozłocisty blask. Przez chwilę jej światłość w sercu pociemniała, pojawiły się błyski czerwieni i oranżu, jak w prawdziwych płomieniach. Zaraz potem cofnął się i pozwolił, by jaśniała samotnie.

- Nie odepchnęłabyś mnie teraz. Oddałabyś mi się, pomimo że masz w pamięci ciało Sage'a niczym otwartą ranę.

Jego moc zaczęła przygasać, pozostawiając go bladym i wciąż pięknym.

Moc Maeve nieco osłabła.

- Mogłam brać do mego łóżka przez ostatnie sto lat inne gorsze magiczne istoty - powiedziała. - Innych wygnańców, jak ja. Ale nie robiłam tego, bo miałam nadzieję, że któregoś dnia dwór dostrzeże zdradę Taranisa, a kiedy król umrze, zostanie przyjęta z powrotem. Wybaczą mi moich ludzkich kochanków, bo Seelie zawsze uwielbiali ciepło ludzkiego ciała. Ale półmagicznej istoty nikt mi nie wybaczy. Takich rzeczy się nie robi, na dworze faerie to po prostu niedopuszczalne.

- Jest więcej niż jeden dwór faerie.

Natychmiast zaprzeczyła.

- Nie. Nie ma. Nie dla mnie.

Skrzywił się.

- Takie nastawienie może okazać się coraz bardziej kłopotliwe...

- Mrozie, po prostu nie pamiętasz, jacy są Seelie. Nie wiesz nawet, co oznacza słowo „kłopotliwe”.

- Pamiętam aż za dobrze, Maeve - westchnął. Przez chwilę wyglądał na zachmurzonego. - Nie chcę tam wracać i być postrzegany jako coś gorszego.

- Wobec tego zostań tu, ze mną. - Odwróciła się do mnie. - Nie wracaj tam, Merry.

Taranis nie bez powodu zaprosił cię do siebie. Niczego nie robi bez przyczyny. A ta przyczyna to z pewnością nic dobrego.

- Wiem - odparłam.

Zacisnęła dłonie w pięści.

- Po co więc się tam wybierasz?

- Ponieważ ona zostanie Królową Dworu Unseelie, a królowa nie może rządzić, okazując strach przed Taranisem - rzucił od progu Doyle.

- Ale ty się boisz Taranisa - zauważyła Maeve. - Wszyscy się go boimy.

Doyle wzruszył ramionami. Miał na sobie czarne dzinsy z nogawkami wetkniętymi za cholewki wysokich do kolan czarnych butów, czarny podkoszulek i czarną skórzaną kurtkę.

Nawet jego sprzączka od paska była czarna. Jedyнным źródłem koloru były srebrne kolczyki zdobiące płatki jego uszu. W jednej małżowinie miał nawet ówiek z małym brylancikiem.

- Czy się boimy, czy nie, musimy robić dobrą minę do złej gry.

- Czy warto za to umierać? Czy warto, by Merry za to ginęła? - Wskazała na mnie dramatycznym gestem, ale była przecież aktorką. Poza tym sidhe mieli talent do dramatyzowania, nawet bez uczęszczania do szkoły aktorskiej.

- Jeżeli zabije Merry, królowa Andais zabije jego.

- Uwolnił Bezimiennego, aby mnie uśmiercił, żebym nie ujawniła jego sekretu. Czy naprawdę uważasz, że zawahałby się przed rozpętanem otwartej wojny pomiędzy naszymi dworami?

- Nie mówiłam nic o wojnie, Maeve.

- Powiedziałaś, że królowa zabiłaby Taranisa - to oznaczałoby wojnę.

Doyle pokręcił głową.

- Myślę, że za zabicie dziedziczki tronu Andais mogłaby zareagować na dwa sposoby: albo wyzwalałaby go na pojedynek, czego Taranis na pewno by nie chciał, albo kazałaby go po cichu usunąć, czyli innymi słowami skrytobójczo zamordować.

- Chcesz powiedzieć, że zabiłbyś Taranisa - rzekła Maeve.

- Nie jestem już Ciemnością Królowej. - Podszedł do mnie. - Słyszałem, że ma ona teraz nowego kapitana gwardii.

- Kogo? - spytał Mróz.

- Mistrala - odrzekł Doyle.

- Przywoływacza Burz. Ale on dawno temu wypadł z łask.

Doyle pociągnął nosem.

- Tak czy siak, jest jej nowym czempionem.

- To nie zabójca i nie wie, czym jest dyskrecja. Działa instynktownie, z hukiem, jak burza, od której bierze swe miano. - W głosie Mroza wyczuwało się pewną pogardę.

- Ale Szept jest dostatecznie cichy, by to zrekompensować - dodał Doyle.

Mróz wyglądał na zdezorientowanego. Maeve zmarszczyła brwi.

- Nie znam tych imion.

- Bo zostali zapomniani - powiedział Doyle. - Te imiona, pod którymi ich znałaś, także.

- Szept - mruknął Mróz. - Sądziłem, że postradał rozum.

- Też dotarły do mnie takie plotki.

Przypomniałam sobie Mistrala. Był wszystkim, czego królowa nie znosiła, głośny, chełpliwy, popędliwy, skory do gniewu i nieskory do wybaczenia. Uosobienie tępego osiłka, ale był zbyt potężny, aby odmówiono mu wstępu na czarny dwór po tym, jak wykopano go ze złocistego. Królowa Andais dopilnowała, byśmy zaakceptowali wszystkich, którzy byli dostatecznie potężni, choć nie musiała ich lubić ani nie korzystała zbyt często z ich usług.

Robiła wszystko, aby zawsze siadywali z dala od niej, a obowiązki, jakie im przydzielała, miały trzymać ich z dala od jej oczu.

- Nie pamiętam nikogo spośród straży, którego zwano by Szeptem - powiedziałam.

- Zawiódł królową, kiedyś, dawno temu - odezwał się Doyle - i został przez nią ukarany. Oddano go Ezekielowi w Sali Śmiertelności na... - spojrzał na Mroza - ...siedem lat, o ile się nie mylę.

Mróz skinął głową.

- Jakoś tak.

Przełknęłam ślinę, zanim zdołałam wykrztusić:

- Oddano go na tortury na siedem lat. - Ze zgrozy zaczęło brakować mi tchu. Byłam w Sali Śmiertelności. Wiedziałam, jak wprawny jest w swoim fachu Ezekiel, i nie wyobrażałam sobie siedmiu lat takiej udręki.

Potaknęli.

Nawet Maeve pobladła. Dwór Seelie nie tolerował tortur, a w każdym razie nie tak jawnych, jakie serwował Ezekiel. Mieli na to subtelniejsze, magiczne sposoby, mniej brudne i mniej osobiste.

Mogłeś sprawić komuś rozdzierający ból, nie brudząc sobie przy tym rąk. Dla królowej Andais wszystko było jasne, proste i oczywiste. Tortury powinny być z natury rzeczy brudne, bo w przeciwnym razie po co zawracać sobie nimi głowę?

- Słyszałam opowieści o waszej Sali Piekieł.

- Widzisz, Taranis pozwala nawet, by jego dwór przyjął słowa wiary, którymi dręczył

i torturował naszych popleczników - rzekł Mróz. - Pozwala, by jego dwór upodobił się do ludzkich struktur.

- Gdybyśmy mieli teraz siedemnasty wiek albo nawet wcześniejszy - wtrąciłam.

Mróz wzruszył ramionami, jakby kilkaset lat nie stanowiło dla niego większej różnicy.

- Nazwij to, jak chcesz, ale taka kara wymierzona przez samą królową stanowi dowód, że nie chciałbym należeć do waszego dworu.

- Co uczynił, by zasłużyć na siedem lat z Ezekelem? - spytałam.

- Nie sądzę, by wiedział to ktoś jeszcze prócz Szeptu i królowej - odparł Mróz.

- Byłeś jej lewą ręką od tysiąca lat albo nawet dłużej - zwróciłam się do Doyle'a. -

Nigdy jej nie opuściłeś, dopóki nie posłała cię z misją do Los Angeles. Ty wiesz, prawda? Westchnął.

- Gdyby chciała, aby ktoś jeszcze wiedział, rozpowszechniłaby wiadomość. Nie narażę nikogo na niebezpieczeństwo, zdradzając tę drobną tajemnicę.

Odpuściłam. Nie chciałam, by Andais miała powód, by wysłać kogokolwiek z nas do Sali Śmiertelności. Mogłam przeżyć resztę moich dni, nie wiedząc, co takiego uczynił Szept, że skazano go na siedem lat tortur, o ile tylko nie musiałabym choćby przez minutę słyszeć głosu Ezekiela skierowanego pod moim adresem.

Mróz odwrócił się do Maeve.

- Odmówiłaś udania się z nami na Dwór Unseelie, choć wiesz, że pod naszą nieobecność Taranis może próbować cię zgładzić.

- Na lotnisku przekazecie mnie nowym ochroniarzom.

- Tym samym ludzkim ochroniarzom, którzy nieomal zginęli, próbując ocalić cię przed Bezimiennym. Tym samym, którzy gdyby nie nasza interwencja, zostaliby wybici do nogi, a ty zginęłabyś razem z nimi.

- Polecimy innym samolotem do innego kraju, z dala od króla i jego wpływów.

- Przypominam, Mrozie, że będzie bezpieczniejsza niż my. Bo przecież my udajemy się wprost do groty Króla Gór, do jaskini lwa.

- Ale na Dworze Unseelie byłaby mimo wszystko bezpieczniejsza, pod opieką królowej.

- Już o tym rozmawialiśmy - rzekł Doyle. - Koniec dyskusji.

Mróz spojrział na nią.

- Nie chodzi o to, że mierzi cię Dwór Unseelie albo że obawa o nas wzbudza w tobie trwogę. Boisz się, że jeśli raz wejdiesz w ten mroczny tłum i ponownie znajdziesz się wśród faerie, nigdy stamtąd nie wyjdziesz.

- Mogłaby mnie uwięzić dla mojej własnej ochrony, a wy nie bylibyście mnie w stanie uwolnić - powiedziała Maeve.

- Nie byłabyś więźniem, Conchenn, po prostu przyjęłabyś mrok, bo światłość już cię nie chce. Wielu sidhe przekonało się, że mrok nie jest tak paskudny, jak im się wydawało, ani tak straszny, jak im to próbowano wpajać.

Cofnęła się, gdy postąpił krok w jej stronę.

- Przyjęli mrok, bo nie mieli wyboru - wykrztusiła.

- Dokładnie - przyznał Mróz. - Nie ma wśród nas więźniów. Szept mógłby uciec z Dworu Unseelie. Królowa nie ścigałaby go, bo wie, że sidhe, który opuści Dwór Unseelie, nie ma dokąd pójść. Nie ma dla niego miejsca w całej Krainie Faerie. Przyjmujemy prawa królowej nie dlatego, że nie mamy wyboru, lecz dlatego, że siedem lat udręki jest lepsze niż wygnanie, tak jak to, na które skazał cię twój król.

Dostrzegłam łzy błyszczące w jej oczach, kiedy minęła nas pędem i pobiegła w stronę drzwi.

- Musiałeś to zrobić? - spytał Doyle.

Mróz skinął głową.

- Tak. Chyba tak. Stanowiła zagrożenie dla samej siebie, odmawiając udania się na Dwór Unseelie. To głupota.

- Nie tak wielka, jak wejście z własnej woli na teren Dworu Seelie - zauważył Doyle.

Dwaj mężczyźni wymienili spojrzenia. Ramiona Mroza obwisły, ale zaraz znów się wyprostował.

- Żaden z tych planów mi się nie podoba - oświadczył.

- Dałeś nam to wyraźnie do zrozumienia - fuknął Doyle.

Mróz spojrzał na mnie.

- Pójdę z Merry, ale to wcale mi się nie podoba. - Uśmiechnął się smętnie. W tym uśmiechu było tyle smutku, że poczułam nieprzyjemny ucisk w piersiach. - I obawiam się, moja słodka, przesłodka księżniczko, że tobie również.

Najchętniej bym zaoponowała, ale sęk w tym, że zgadzałam się z nim w stu procentach.

- Odwiedzimy najpierw Dwór Unseelie, potem dwór goblinów i dopiero na samym końcu Dwór Seelie.

Jego uśmiech przepełnił się goryczą.

- To, co ujrzymy na dworze goblinów, nie będzie miłe, ale obawiam się, że żadna zgroza nie da się porównać z iluzorycznym pięknem, jakie oczekuje nas na ostatnim etapie tej wyprawy.

To smutne, ale nikt nie próbował z nim polemizować.

Rozdział 18

Osobisty odrzutowiec Maeve był całkiem wygodny. Jediną osobą spośród nas, która nie znośła latać, był Doyle. - Pierwszy wybrał dla siebie miejsce, zapiał pas i kurczowo zacisnął obie ręce na oparciach miłutkiego obrotowego fotela. Zamknął oczy, skulił się w sobie i jasno dał nam do zrozumienia, że gdybyśmy zostali zaatakowani w powietrzu, nie od razu ruszyłby z pomocą. Kiedy odkryłam, że cierpi na awiofobię, ucieszyłam się. To go umniejszało jako Ciemność Królowej, jako zabójcę i niwelowało idealność. Spojrzałam na niego przez całą długość wąskiego przejścia. Powietrze wokół niego było przesycone napięciem, nieomal czymś w rodzaju mocy. Oczywiście strach może być paliwem dla magii.

- Zapytałbym, o czym myślisz - odezwał się Mróz, stając obok mnie - ale to wydaje się oczywiste.

Oparłam się o fotel.

- O czym myślę?

- O Doyle'u. - W jego głosie nie było zadowolenia, ale przynajmniej się nie dąsał. To jakiś postęp.

- Myślałam o jego strachu przed lataniem, który czyni go mniej doskonałym...

Znów przybrał ten nieodgadniony wyraz, lodowata maska powróciła.

- Taa...

Dotknęłam jego ramienia.

- Nie dąsaj się o to, Mrozie. Myślałam o tym, że gdybyśmy kiedykolwiek zostali zaatakowani w samolocie, Doyle nie bardzo mógłby nam pomóc. To wszystko.

Patrzyłam, jak bije się z myślami, jak usiłuje przemóc w sobie posępność. Omal go to nie pochłonęło, ale naprawdę się starał. Zapewne zastanawiał się nad tym, czego nie powiedziałam.

Powinam cieszyć się nimi wszystkimi, ale nie potrafiłam okazać zadowolenia. Mróz był zaborczy i za to go ganiłam. Nie robiłam tego ot, dla przyjemności, ale dlatego, że było to zachowanie niegodne magicznego ludu.

Uklęknął przede mną Rhys. Nosił na oku białą łątkę z naszytymi maleńkimi perełkami. Pasowała do białego jedwabnego trencza, białej fedory i kremowego garnituru.

Jedyny przebłysk koloru stanowił blad różowy krawat. Rhys wyglądał jak skrzyżowanie lodziarza i ducha detektywa z lat czterdziestych dwudziestego wieku. Białe kręcone włosy udało mu się upchać pod kapeluszem. Wyglądał młodziej. Te wszystkie miękkie linie i całe usta... Był o setki lat starszy ode mnie, ale kiedy tam klęczał, można było pomyśleć, że ma niespełna trzydzieści lat.

Uśmiechnął się do mnie.

- Doyle chciał, żebym ci coś przekazał.

Spojrzał na swego przywódcę, który wciąż siedział z zamkniętymi oczami. Odwrócił się do mnie i zachichotał. Wiedział, że będzie niedysponowany. Wyciągnął z kieszeni płaszcza białe pudełko na pierścionek.

Uśmiech na moich ustach przygasł.

- Muszę?

- Owszem, tak. - Nagle wydał się o dekadę starszy, nie mniej przystojny, ale chłopięcy urok przysnął, jakbym go sobie wymyśliła.

Mróz nachylił się, by dodać:

- To pierścień królowej, Merry, dostałaś go od niej. To jeden z symboli stwierdzających, że jesteś jej dziedziczką. Musisz go nosić.

- Nie mam nic przeciwko pierścieniowi - powiedziałam - ale skoro na pokładzie jest również kielich, martwię się, czy mógłby on wzmocnić magię pierścienia, tak jak uczynił ze wszystkim innym.

Dwaj mężczyźni wymienili spojrzenia, a ja rozumiałam, że wcześniej o tym nie pomyśleli.

- Cholera - mruknął Rhys - to może być problem.

Mróz miał bardzo poważną minę.

- Problem albo wybawienie. Niegdyś pierścień był potężną relikwią mocy i nie służył wyłącznie do wybierania płodnych kochanków dla królowej.

- To zabawne - rzekłam - Stale słyszę, że pierścień jest wielką relikwią, ale nikt, nawet mój ojciec, nie jest w stanie powiedzieć mi, co to naczynie uczyniło.

Żaden z mężczyzn się nie odezwał.

- No co? - rzuciłam ostro.

Westchnęli unisono. Rhys przykucnął, wciąż trzymając w dłoniach zamknięte pudełko.

- Kiedyś pierścień uczynił Andais nieodpartą dla każdego mężczyzny...

- To nie tłumaczy waszego wyrazu twarzy. Co jeszcze?

Popatrzyli po sobie.

- Zrzuć drugi pantofelek.

- Pantofelek? - spytał Mróz.

- Ona chce po prostu, żebyś jej powiedział - wyjaśnił Rhys.

Był jednym z niewielu strażników, którzy nie spędzili ostatnich pięćdziesięciu lat, chowając się

w wydrążonych wzgórzach. Miał własny dom, poza kopcami faerie. Dom był

zelektryfikowany, miał telewizję i całą resztę. Rhys był chyba jedynym sidhe, który wiedział, kim był Humphrey Bogart albo Madonna.

- No wiesz, jak w *Kopciuszku*, kiedy ona już dociera na szczyt schodów, a księżę spogląda w górę zdezorientowany - ciągnął Rhys.

- Właśnie tak - odparłam.

- A potem podchodzi do niej, jakby nie miał wyboru.

Skinęłam głową.

- Tak.

- Oto, co oznacza być nieodpartą.

- Chcesz powiedzieć, że jeśli pierścień na ciebie zareaguje, stajesz się jak zakochany uczeń.

Westchnął.

- Niezupełnie.

- Nie chodzi tylko o mężczyzn - dodał Mróz.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytałam.

Sage podszedł do nas. Miał na sobie płócienne spodnie pożyczone od Kitta i podkoszulek, rozerwany na plecach, aby skrzydła mogły się swobodnie ułożyć. W pasie był

szcuplejszy niż Kitto, więc zapiął pasek na ostatnią dziurkę. Nosił także należące do Kitta buty do biegania, zasnurowane jak najmocniej, gdyż stopy miał szcuplejsze niż goblin.

Górną połowę ciała otulił kocem, ponieważ rozdarta na plecach marynarka nie mogłaby go ogrzać. Potrzebował jednego z tych grubych wełnianych koców, które dwory zaprojektowały całe wieki temu dla skrzydlatych fey o gabarytach istoty ludzkiej albo nawet większych.

Pomyślałam, że Nicce także będzie bardzo zimno, kiedy już wylądujemy. Uprzedziliśmy jednak strażników, mających na nas czekać na lotnisku, by przywieźli płaszcze.

- Delikatnie próbuję dać ci do zrozumienia, księżniczko, że niegdyś pierścień działał jak swatka.

Zmarszczyłam brwi.

- Och, być znowu młodym - wymamrotał. - Pierścień potrafi odnaleźć płodnego kandydata nie tylko przez dotyk, ale nawet na odległość. Oboje, mężczyzna i kobieta, natychmiast się w sobie zakochują i żyją długo i szczęśliwie.

- Królowa Andais nigdy nie wyglądała mi na osobę żyjącą długo i szczęśliwie.

- Musiała kontrolować pierścień jak każde przydatne narzędzie czy broń. Wydawała wielki bal, zapraszając wszystkich sidhe mogących stanowić dobrą partię i grupkę nas, niższych istot, by usługiwali do stołu albo zabawiali gości. A potem stawała przy drzwiach i kiedy każda kobieta przechodziła obok, dotykała jej pierścieniem i niemal zawsze ktoś robił

krok naprzód. Rzucali się na siebie jak podniecone ogiery, w kilka miesięcy czynili swe kobiety brzemiennymi, pobierali się i stanowili idealne pary. Pierścień nie tylko wybierał tych płodnych. Sprawiał, że żyli długo i szczęśliwie. Tak go zresztą potocznie nazywaliśmy. Jak myślisz, skąd ludzie wzięli te kretyńskie teksty w swoich podaniach i baśniach?

Uniosłam brwi, spoglądając na niego.

- Właściwie nie zastanawiałam się nad tym. Wiem na pewno, że większość baśni to nic innego jak zwykłe bajki.

- Ale ich osnowa - wyjął spod koca żółty palec i uniosł go w znaczącym geście -

została zaczerpnięta od nas i wywodzi się z prawdziwych historii. Nie wszyscy z nas są Irlandczykami, Szkotami czy innymi mieszkańcami Wysp Brytyjskich. Gromadzimy ocalałych prawie

z każdego zakątka Europy.

- Zdaję sobie z tego sprawę - powiedziałam.

- Więc tak się zachowuj. Z całą pewnością książe Essus mówił ci, że niektóre z baśni są oparte na prawdziwych historiach.

- Ojciec mówił po prostu, że większość z nich została zwyczajnie wymyślona.

- Większość - przyznał Sage - ale nie wszystkie. - Znów machnął na mnie palcem. -

Jeżeli kielich przywróci pierścieniowi pełną moc, będziesz o tym wiedzieć, na pewno.

Spojrzałam na małe pudełeczko i nagle wydało mi się ono ważniejsze niż przed chwilą.

- Nie tak królowa go używała - rzekł Rhys. - Nie dla siebie.

- Nie - odezwał się półgłosem Nicca. - Kiedy jej prawdziwa wielka miłość, jej ukochany zginął w bitwie, używała mocy pierścienia, by jej łóżko nigdy nie było puste. Z jego pomocą mogła sprawić, by inni sidhe zostali urzeczeni elfem.

Odwróciłam się i zerknęłam na niego. Miał na sobie ciemnobrązowe spodnie, tak ciemne, że nieomal czarne i odpowiednio dobrane buty. Włosy opadały na jego półnagie ciało. Skrzydła miał większe niż Sage i choć próbowaliśmy je okiełznać za pomocą jedwabiu i spandeksu, w końcu musieliśmy przyznać się do porażki. Były zbyt duże i miały zbyt dziwaczny kształt, te wszystkie załamania i smukłości.

- Myślałem, że oszaleję po śmierci Owaina. - Doyle miał wciąż zamknięte oczy.

Obiema rękoma wpijał się w podłokietniki fotela, ale jego głos brzmiał względnie normalnie.

- Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że pierścień miał dodatkową moc - ciągnął ze spokojem. -

Najwyraźniej działał jako swego rodzaju parasol ochronny, otaczając wybrane przez siebie pary magią zabezpieczającą. Gwarantowała ona pomyślne zakończenie, sprawiała, że tym osobom nie mogło stać się nic złego.

Rhys pokiwał głową.

- Pierścień zaczął tracić moc, wiedzieliśmy o tym, bo kilka dekad temu wielki bal ze swataniem par zakończył się kłapą. Sidhe zjawili się w drzwiach sali balowej i nie byli w stanie przekroczyć jej progu. Nie rozumieliśmy jednak, że pierścień zapewniał nam bezpieczeństwo, a nie tylko dawał szczęście i płodność.

- Aż do bitwy pod Rhodan - ciągnął Mróz - gdzie straciliśmy dwustu wojowników sidhe. Większość z nich poślubiła swe szczęśliwe wybranki.

- Po raz pierwszy w całej naszej historii zdarzyło się, że jakaś para połączona przez pierścień nie doświadczyła długiego, szczęśliwego życia - dodał Doyle.

- I chodziło o więcej niż jedną parę - dorzucił Rhys - o całe dziesiątki par. Nigdy nie słyszałem takiego szloch.

- Niektórzy z tych, co pozostali, wybrali odejście w niebyt - rzekł Doyle.

- Masz na myśli samobójstwo.

Doyle otworzył oczy, by zerknąć na Rhysa, po czym znowu je zamknął.

- Jak wolisz.

- Nie jest ważne, co wolę, tylko jaka jest prawda.

- No i dobrze.

Galen stanął z tyłu, za wszystkimi.

- Czy pierścień wybrał kiedykolwiek dla kogoś więcej niż jedną osobę? - Był od stóp do głów ubrany na jasnozielono.

- Chcesz zapytać, czy ktoś kiedyś owdowiał i czy pierścień znalazł mu kogoś innego?

- To też, a konkretnie, czy pierścień wybrał dla kogoś więcej niż jedną osobę. Chodzi mi o to, że

możesz mieć dziecko z każdą osobą wybraną przez pierścień, ale aby być naprawdę szczęśliwym, a nie tylko cieszyć się magiczną miłością. Czy kiedykolwiek pierścień miał kłopot ze wskazaniem dla kogoś tylko jednej osoby?

Doyle znów otworzył oczy i odwrócił się, by spojrzeć na Galena.

- Nie wierzysz w pokrewieństwo dusz, jedną idealną miłość dla każdego? - Gdyby to pytanie zadał ktokolwiek inny, zabrzmiałoby idiotycznie.

Galen popatrzył na mnie, po czym zmusił się, by odwrócić wzrok i odnaleźć mroczne spojrzenie Doyle'a.

- Nie wierzę w miłość od pierwszego wejrzenia. Wierzę, że prawdziwa miłość potrzebuje czasu, by powstać, jak przyjaźń. Wierzę w pożądanie od pierwszego wejrzenia.

Stał z tyłu za moim fotelem. Czułam go, jak podsycany powoli płomień. Chciałam, by położył dłonie na oparciu, pragnęłam poczuć jego ciepło.

Zupełnie jakby mnie usłyszał, zrobił to i z trudem się pohamowałam, by nie dotknąć głową jego palców. Ale gdy tak patrzyłam na pudełeczko, nie byłam pewna, czy chciałam go dotknąć, kiedy już włożę pierścień.

Wiedziałam, że nie powinnam nikogo dotykać, dopóki nie upewnię się, że pierścień nie został podrasowany przez moc kielicha.

- Czy możemy liczyć na pozwolenie królowej, abym nie musiała go zakładać aż do wizyty w kopcu faerie? - spytałam.

- Nie - odrzekł Doyle. - Bardzo nalegała.

Westchnęłam. Nie chcieliśmy rozgniewać Andais. Bynajmniej.

- No dobrze, daj mi to pudełeczko i odsuńcie się wszyscy.

- To nie bomba - powiedział Rhys - tylko pierścień.

- Po tym, co właśnie usłyszałam, chyba wolałabym bombę.

Chyba, dodałam w myślach.

Nie chciałam, aby moje możliwości wyboru zostały zredukowane tu i teraz. Bałam się, kogo i dlaczego może wybrać pierścień. Nie ufałam magii w sprawach sercowych. A niech to, w ogóle nie ufałam sprawom sercowym. Miłość bywała niekiedy bardzo niepewna.

Rhys podał mi pudełko, a gdy ponownie poprosiłam o odrobinę przestrzeni, wszyscy wstali i cofnęli się o kilka kroków. Kitto pozostał z tyłu samolotu, przykryty od stóp do głów grubym kocem. Chował się, bo bał się wszystkiego co metalowe i mające związek z nowoczesną techniką. Bał się tylu rzeczy...

Reszta mężczyzn rozdzieliła się na dwie grupki. Jedna zebrała się wokół Doyle'a, który wciąż siedział na fotelu, choć teraz uważnie wszystko obserwował. Druga zgromadziła się w tylnej części maszyny.

- Otwórz je - powiedział Rhys.

- Ona się boi - zauważył Galen, a w jego głosie dało się wyczuć niepokój, który dręczył i mnie.

- Czego miałyby się bać? - zapytał Sage. - Tego, że znajdzie swego idealnego partnera? To głupie, bać się czegoś takiego. Większość oddałaby życie, by móc się tego dowiedzieć.

- Cicho - rzucił Nicca.

Sage już chciał coś powiedzieć, ale zmytygował się, nieco zdziwiony, jakby nie wiedział, dlaczego usłuchał Nicci.

Spojrzałam na trzymane w dłoniach pudełko, oblizałam wargi, które nagle zrobiły się dziwnie suche, i za cholerę nie wiedziałam, czego tak się boję. Czemu miałabym się bać prawdy o tym, czy wśród tych mężczyzn znajdował się mój idealny partner? Nie, to nie był

strach, skonstatowałam. A jeśli pierścień nie wskaże tu i teraz mego idealnego partnera? Co, jeśli właśnie dlatego wciąż nie zachodziłam w ciążę?

Otaksowałam wzrokiem otaczające mnie twarze. Na swój sposób, jak stwierdziłam, kochałam ich wszystkich. A na pewno ceniałam. Nie byłam pewna, jak Mróz czy Galen by zareagowali, gdyby pierścień wskazał kogoś innego niż oni. Obaj mieli nietypową jak dla magicznego ludu skłonność do okazywania zazdrości. Gdyby Mróz nie został wybrankiem, cóż, wątpię, aby słowo „dąsanie” było odpowiednie dla tego, co mógłby mi wówczas zaprezentować.

Spojrzałam na Galena i zrozumiałam, że mnie kochał, prawdziwie i gorąco, kochał mnie, nawet kiedy nie miałam szansy na zostanie królową. Chyba tylko on jeden, prócz Rhysa, dał mi jasno do zrozumienia, że chciał być moim kochankiem, nie zyskując przez to niczego poza moim ciałem i może również miłością. Galen był taki romantyczny. Chyba pogodziłby się z faktem, że nie będzie moim mężem ani królem u mego boku, gdybym zaszła w ciążę z kimś innym. Jednak w głębi serca wciąż wierzył, że byłam jego pokrewną duszą.

Mógł ze mnie zrezygnować, dopóki hołubił w sobie ideały tego, jak mogłoby być pomiędzy nami.

Spojrzałam na pudełeczko. Gdyby pierścień wybrał kogoś innego, Galen znalazłby sobie nowe marzenie, nową miłość, wszystko nowe.

- Otwórz je - powiedział Rhys.

Wzięłam głęboki oddech, powoli wypuściłam powietrze i uniosłam wieczko.

Rozdział 19

Pierścień był ciężki, srebrny, ośmiokątny, nie idealnie okrągły, jakby miał dopasowywać się do wszystkich palców, na które go zakładano. Wydawał się całkiem prosty, nieomal męski. Po wewnętrznej stronie widniały wyryte słowa w pradawnej odmianie gaelickiego, zbyt starej, bym potrafiła je przeczytać, ale wiedziałam, co znaczą:

- Włóż.

Nie było w tym nic groźnego. A jednak...

Dotknęłam chłodnego srebra koniuszkiem palca. Nic się nie wydarzyło. Nigdy nic się nie działo, dopóki pierścień nie został włożony.

To było najtrudniejsze.

- Musisz go włożyć, Meredith - rzekł Doyle. Prawie nauczyłam ich wszystkich, aby zwracali się do mnie per Merry. To był początek powrotu do dworskich formalności.

Nienawidziłam tego.

- Wiem, Doyle.

- Zatem wahanie się jest niestosowne. Musimy wiedzieć, jakie uosabia problemy, zanim jeszcze wylądujemy. Będzie tam ludzka policja, by powstrzymać prasę, ale kamery i reporterzy nie przegapią niczego. Lepiej, żeby to stało się tu i teraz, na osobności. - Odwrócił

się do mnie, przez co zmuszony był zdjąć jedną rękę z podłokietnika. Domyślałam się, ile to go musiało kosztować. - Włóż go, Meredith. Merry, proszę.

Pokiwałam głową i wyjęłam pierścień z pudełeczka. Był ciepły w dotyku, ale nic poza tym. Zanim włożyłam go na palec, odmówiłam w duchu krótką modlitwę. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin modlitwy nabrały całkiem nowego znaczenia.

Wsunęłam pierścień na palec. Był na mnie za duży, ale prawie natychmiast poczułam tę pierwszą iskierkę magii. Spojrzałam na nich wszystkich.

- Nie czuję żadnej różnicy.

- Przestałaś go nosić, gdyż kiedy uprawialiśmy seks, wywoływał w nas wstrząs - rzekł

Rhys. - Na odległość nigdy nie czynił nic szczególnego.

- Nie na moim palcu - powiedziałam.

Uśmiechnął się.

- Czy moglibyśmy dotknąć nim gołej skóry i przekonać się, czy to się zmieniło?

- Myślę, że to brzmi rozsądnie - mruknął Doyle.

Rhys wzruszył ramionami.

- To mój pomysł. Jeśli nie ma sprzeciwów, pójdę na pierwszy ogień. - Postąpił naprzód, ale Mróz zaproponował:

- Ja się sprzeciwiam.

Rhys się zawahał. Spojrzał na mnie, potem na Doyle'a i znów wzruszył ramionami.

- Śmiało. I tak będziemy musieli sprawdzić pierścieniem więcej niż jedną osobę, dla pewności.

- Zgoda - powiedział Mróz - ale ja chcę być pierwszy.

Nikt się z nim nie spierał, choć wyraz twarzy Galena pozwolił przypuszczać, że miał na to ochotę. To, że odpuścił, świadczyło, iż dojrzał bardziej niż Mróz.

Ten zaś stanął przede mną i spojrzał na pierścień na moim palcu. Wyciągnął do mnie rękę, a ja podałam mu swoją. Jego dłoń zacisnęła się na mojej, palce musnęły pierścień.

Zupełnie jakby jakaś niewidzialna ręka pieszczotliwie dotknęła mego ciała. Poczułam się naga, a magia swobodnie dosięgała mojej skóry.

Mróz upadł na kolana, oczy miał wybałuszone, usta na wpół otwarte w grymasie będącym po części wyrazem rozkoszy, po części zaskoczeniem. Jego dłoń zacisnęła się konwulsyjnie wokół mojej, mocniej dociskając ciało do pierścienia. Magia zareagowała drugą falą pożądania, potężniejszą od pierwszej. To zakończyło się w głębi mego ciała, powodując, że wygięłam się w łuk na fotelu, a z moich ust dobył się krzyk. Moje ciało drgnęło spazmatycznie, dłonie szarpnęły się, przerywając kontakt pierścienia z ręką Mroza.

Osunął się na podłogę. Jego masywne barki ledwie mieściły się między fotelami. Był zdyszany i słaby, ja skądinąd też nie czułam się lepiej.

- Wiem, że Merry właśnie miała orgazm rzekł Rhys - nie za silny, ale prawdziwy. A ty, Mrozie?

Przez moment nie był w stanie mówić. W końcu wysapał:

- Prawie.

- Magia pierścienia już wcześniej bywała zaskakująca - powiedział Doyle - ale nie aż tak bardzo.

- A może to po prostu Mróz? - Galen starał się, by w jego głosie dało się wyczuć równocześnie zatroskanie i beznamiętność.

Rhys uśmiechnął się i wcisnął pomiędzy fotele a moje nogi.

- Nie sądzę, aby Mróz był w stanie się od razu podnieść.

- Pomóż mu wstać - rzekł Doyle.

Nicca postąpił naprzód, ale skrzydła tak bardzo mu przeszkadzały, że zrezygnował i się cofnął. Galen pomógł Mrozowi usiąść na jednym z sąsiednich foteli, odblokowując przejście i robiąc dość miejsca, by Rhys mógł przykłęknąć obok mnie.

- Żeby upadek nie był zbyt duży - rzekł z uśmiechem.

- Ty nigdy nie byłeś na tyle duży, by odczuć jakikolwiek upadek - wtrącił Galen.

Rhys spojrzał na niego z ukosa, ale nie dał się sprowokować.

- Jesteś zazdrosny, bo to ja będę następny.

Galen już miał rzucić kolejną ripostę, ale zrezygnował.

Rhys natomiast dotknął mego ramienia, skłaniając mnie, abym przeniosła wzrok z ponurego

oblicza Galena na niego.

- Lubię wiedzieć, że kobieta przynajmniej na mnie patrzy podczas stosunku.

- Wiem, jak to jest - usłyszał w odpowiedzi. - Męczyzna podczas seksu zasługuje na uwagę adekwatną do jego umiejętności.

- Och - odparł, kładąc dłoń na piersi, powyżej serca - to bolało. - Jego trójkolorowe oczy zabłysły czymś więcej niż tylko rozbawieniem. - Gdybym się nie bał, że wybiję sobie ząb, pocałowałbym twoją dłoń, zamiast tylko jej dotknąć.

Zaśmiałam się, a on ujął mnie za rękę. Śmiech ucichł, oddech urwał się i przez jedną krótką chwilę nie było nic poza falą emocji, jakby jedno zmysłowe uderzenie serca przeradzało się w kolejne, budując napięcie i głębię odczuwania. Dopiero kiedy ktoś powiedział: „Oddychaj, Merry, oddychaj”, uświadomiłam sobie, że tego nie robię.

Oddech powrócił, przy wtórze ochryplego westchnienia, i gwałtownie otworzyłam oczy.

Rhys na wpół leżał na siedzeniu przede mną z dziwnym, filuternym uśmiechem na ustach.

- O, tak, to było niezłe.

- Jednak to nie tylko Mróz - powiedział Nicca.

- Nie. - Doyle nie wydawał się z tego powodu zadowolony, choć nie wiedziałam dlaczego.

- Teraz Galen.

Rozległy się niemrawe protesty, ale Doyle zbył je machnięciem ręki.

- Nie, musimy wiedzieć, czy taką reakcję wywołują tylko ci, co mają boski status, czy może tak będzie ze wszystkimi. Jeżeli reakcja obejmuje wszystkich, Merry nie może dotknąć strażników na lotnisku w Saint Louis, nie w obecności reporterów ani policji.

- Powiedz mi raz jeszcze, dlaczego w Saint Louis ma na nas czekać policja - odezwał się Rhys. Wzrok miał nadal mętny, ale głos brzmiał prawie normalnie.

- Jeden z tabloidów opublikował zdjęcie nas wszystkich, wpadających wczorajszej nocy do głównego budynku z bronią i, delikatnie mówiąc, w niekompletnym stroju.

Ambasador dworów nie wierzy w zapewnienia królowej, że nie była to próba zamachu na księżniczkę, a tylko zwykłe nieporozumienie. Ja i królowa wierzymy, że włodarze Saint Louis nie chcą, by posądzono je o zaniedbanie w kwestii bezpieczeństwa księżniczki. Gdyby coś poszło nie tak, na pewno zechcą powiedzieć, że uczynili wszystko, co w ich mocy.

Włodarze Saint Louis. Czasami zapominam, jak starzy byli Doyle i reszta. Aż w końcu rzucają taki tekst i uświadamiasz sobie, że ich myśli i słownictwo formowały się w czasach poprzedzających burmistrzów, kongres i całą resztę tego, co można określić mianem współczesności.

- Ludzi nie zadowolają już historyjki królowej - ciągnął Doyle. - Ambasador dworów jest wielce rozczarowany, że nie pozwolono mu zobaczyć księcia Cela. Nie wierzy, że on zwyczajnie wyjechał.

Tabloidy pierwsze zaczęły spekulować, dlaczego księżę Cel, którego nagminnie widywano w najbardziej popularnych i modnych nocnych klubach w Chicago i Saint Louis, postanowił nagle pozostać w domu. Gdzie się podziewał księżę? Dlaczego zniknął akurat teraz, kiedy księżniczka Meredith powracała do Krainy Faerie? Ten ostatni nagłówek był

trochę zbyt bliski prawdy, ale nic nie mogliśmy na to poradzić. Ponieważ ludzka prasa ani nawet politycy nie mogli dowiedzieć się, że księżę Cel został skazany na sześć miesięcy tortur, co było alternatywą dla wyroku śmierci.

Poza innymi przestępstwami Cel ogłosił się bóstwem dla pewnej ludzkiej sekty z Kalifornii. Chyba wydawało mu się, że był na tyle daleko od domu, iż nie zostanie złapany.

Miał pecha, bo akurat ja byłam w Los Angeles, gdzie pracowałam jako prywatny detektyw.

Gdyby Cel o tym wiedział, wdrożyłby swój plan gdzieś indziej i wcześniej spróbowałby mnie zabić. Jedną z reguł, które ustanowił rząd Thomasa Jeffersona, brzmiała, że gdyby sidhe kiedykolwiek ogłosili się bogami na terytorium Stanów Zjednoczonych, mają zostać stamtąd niezwłocznie wygnani bez prawa powrotu. Choćby tylko z tego powodu każdy inny sidhe za taką zbrodnię zostałby natychmiast stracony. Cel jednak dał ludzkim czarownikom zdolność, by w magiczny sposób obezwładnili i gwałcili kobiety fey. Głównie chodziło o ludzi z krwią fey w rodowodzie, ale nie dajesz czarodziejskiej mocy faerie ludziom, by wykorzystywali ją w celu szkodenia magicznemu ludowi. Tak się nie robi. Poza tym wysysał ze wspomnianych kobiet magiczną energię. Dzielił się tą mocą ze swymi ludzkimi wyznawcami, większość jednak pochłaniał sam. Magiczny wampiryzm jest wśród nas uważany za zbrodnię. Zbrodnię karaną śmiercią, w dodatku paskudną śmiercią. Jedynym wyjątkiem od tej reguły jest pojedynek. Podczas pojedynku albo wojny możesz zrobić wszystko, co zechcesz, i ujdzie ci to na sucho, dopóki nie kłóci się to z twoim pojęciem honoru. Aczkolwiek niektórzy z magicznego ludu mają dziwne podejście, jeżeli chodzi o honor. Cel powinien być zostać za to stracony, ale był jedynym dzieckiem królowej, współdziedzicem tronu. Większość dworu nie zdawała sobie sprawy z rozmiarów zbrodni Cella. Sądono, że ukarano go za usiłowanie zabicia mnie. Nic z tego. Królowa aż tak mnie nie lubiła.

Dlatego go nie uśmiercono i został skazany na wykorzystanie przeciwko niemu magii, którą dawał ludziom. Magii, od której aż skora cierpła z pożądania i która doprowadzała cię na skraj szaleństwa, bo tak bardzo chciałeś się pieprzyć, pragnąłeś, by cię dotykano. Miałam okazję doświadczyć tego na sobie, więc wiem, o czym mówię. Został pokryty Łzami Branwyn, jednym z naszych ostatnich przejawów wielkiej magii i w ciemnościach zakuty w łańcuchy, sam na sam ze swymi pragnieniami i brakiem możliwości, by je zaspokoić. To była straszna kara. Ale nie spotkało go nic gorszego, czego nie pozwoliłby doświadczyć innym, różnicę stanowiła jedynie długość kary. Sześć miesięcy w ciemnościach to bardzo długo. Miał

za sobą już trzy miesiące, zostało drugie tyle. Na dworze przyjmowano zakłady, czy zachowa zdrowe zmysły. Zakładano się także o to, czy zabije mnie, zanim zdążę zabić jego.

- Jeżeli ludzie nam nie wierzą, nic na to nie poradzimy - rzekł Mróz.

- Racja, ale możemy dać im mniej powodów do dyskusji - powiedział Doyle, po czym przeniósł wzrok na Galena.

- Dotknij pierścienia i przekonaj się, co się stanie.

Galen stanął w przejściu. Miał w oczach żar, a wyraz jego twarzy wywołał rumieńce na moich policzkach.

Ukląkł przy moim fotelu i złożył obie dłonie na mojej, nie dotykając pierścienia.

Nachylił się do mnie.

- Chcę, żeby pierścień zareagował na mój dotyk. - Ostatnie słowa wypowiedział szeptem, a jego oddech omiół moje usta. - Chcę, by jego moc zaśpiewała we mnie i powaliła nas oboje na kolana. - Jego usta dotknęły teraz moich.

Pierścień rozbłysnął pomiędzy nami, wywołując silne reakcje głęboko w moim wnętrzu, poczułam świerzbienie ust, jakbym próbowała pocałować coś naelektryzowanego.

Usta Galena były miękkie i podatne, ale niezależnie, jak mocno napierał na pierścień, efekt nie był tak powalający jak w przypadku Rhysa i Mroza. Pierścień wciąż pulsował pomiędzy nami jak przepiętny prąd. Nie przepadałam za elektrycznością i tego typu odczuciami, toteż przerwałam pocałunek i próbowałam uwolnić dłoń. Nie puścił mnie.

- Przestań, Galen, sprawiasz mi ból.

Zawahał się, ale usłuchał.

Siedziałam w fotelu, oddychając głęboko i próbując uporać się z ostatnimi efektami wyładowania mocy.

- To bolało. Naprawdę.
- Po prostu nie lubisz prądu - rzekł Rhys.
- Lubię prąd w lampach albo komputerach, ale niekoniecznie na skórze, dziękuję.
- Nie umiesz się bawić - mruknął.

Galen wciąż klęczał przede mną. Wyglądał na rozczarowanego. Wiedziałam, że ten grymas wynikał z faktu, że pierścień nie zadziałał na niego tak jak na innych.

- A ty? - spytałam łagodnie. - Lubisz prąd elektryczny?

Wydawał się zdezorientowany. - Nigdy nie próbowałem go wykorzystywać, poza niewielkimi urządzeniami.

- Czy to, co zrobił pierścień, było dla ciebie przyjemne?
- Tak.

Nie omieszkałam tego zapamiętać. Choć nie przepadałam za prądem w charakterze gry wstępnej, skoro niektórzy faceci to lubili, uznałam, że może jakoś da się to wykorzystać.

Zamierzałam zrobić z niego użytek dla ich przyjemności, dopóki nie będę musiała doświadczać go dogłębniej, poza co najwyżej sprawdzeniem jego mocy. Nie należy podłączać nikogo do niczego, co wcześniej nie zostało przez ciebie gruntownie sprawdzone. Taka zasada.

- Wygląda na to - powiedział Doyle - że pierścień pod każdym względem urasta w siłę.

Skinęłam głową.

- Nie pamiętam, aby kiedykolwiek towarzyszyło temu tak silne wyładowanie energii.
- Ale nie doszło do jej przepływu pomiędzy nami, tak jak w przypadku Rhysa i Mroza
- poskarżył się Galen.

Prawie zawsze można było zorientować się, co czuł w danym momencie. To było widać w jego oczach i twarzy. Miewał jednak przebłyski, kiedy potrafił ukrywać swoje odczucia. Równocześnie cieszyłam się i ubolewałam nad koniecznością tego. Galen, którego myśli odzwierciedlały się w jego oczach, był na dworze polityczną bombą zegarową. Musiał

nauczyć się kontrolować swoje emocje, ale oglądanie tego procesu nie sprawiało mi przyjemności. Miałam wrażenie, że odzieraliśmy Galena z tej niewinnej radości, która stanowiła o tym, kim był.

Dotknęłam jego twarzy lewą ręką, tą bez pierścienia. Królowa zawsze nosiła pierścień na palcu lewej ręki i w pierwszej chwili odruchowo też włożyłam na tę samą, ale okazało się, że pierścień wolał znaleźć się na mojej prawej dłoni. O ile mogę tego uniknąć, staram się nie kłócić z relikwiami mocy, zwłaszcza gdy chodzi o takie drobiazgi.

- Miałbym ochotę zaoponować - rzekł Rhys - ale zgadzam się z Merry.
- Naprawdę tak uważasz? - spytał Galen, szczerze i ufnie jak dziecko.

Pogładziłam go palcami po twarzy, od łagodnego ciepła skroni po zakrzywienie podbródka.

- Nie uważam, Galenie, ale w to wierzę.

- Ja również - przyznał Doyle. - Tak więc o ile Meredith dotykałaby strażników tylko lekko i przez chwilę, nie powinno to stanowić problemu. Cały Dwór Unseelie wie, że pierścień znów ożył na jej dłoni. Choć może nie zdaje sobie sprawy, do jakiego stopnia.

- Przybierał na sile jeszcze przed powrotem kielicha - zauważyłam.

- Dlatego też schowaliśmy go do szuflady, żeby nie powodował dyskomfortu podczas uprawiania seksu.

Rhys zrobił przesadnie nadąsaną minę.

- A ja tak się dobrze bawiłem.

- Czy chcesz, abym cię związała i potraktowała prądem? - zwróciłam się do Rhysa.

Zareagował, jakbym go spoliczkowała. Całym jego ciałem wstrząsnął dreszcz. Ten widok sprawił, że od razu zechciałam to zrobić. Miałam ochotę sprawić mu tę przyjemność.

- To było wielkie tak - powiedziałam.

Westchnął z rozkoszą.

- O, tak.

Galen zaśmiał się cicho.

Rhys spojrział na niego, marszcząc brwi.

- Co cię tak bawi, zielony człowieku?

Tamten śmiał się tak bardzo, że dopiero za drugim razem zdołał wykrztusić:

- Jesteś bogiem śmierci.

- Tak, i co z tego?

Galen siedział na podłodze z kolanami podciągniętymi do piersi z uwagi na ograniczoną przestrzeń, ale odwrócił się, by móc spojrzeć na Rhysa.

- Wyobraziłem sobie ciebie przypiętego pasami jak monstrum Frankensteina.

- Kim jest monstrum Frankensteina? - zapytał Mróz.

Wybuchnęli jeszcze głośniejszym śmiechem, a po chwili dołączyli do nich także ci w samolocie, którzy znali odpowiedź. Tylko Doyle i Mróz nie rozumieli dowcipu. Pozostali lubili telewizję i oglądali ją często, będąc w Kalifornii. Nawet Kitto rechotał, przykryty kocem, w tylnej części maszyny. Nie wiem, czy żart był tak dobry, czy może w ten sposób rozładowywaliśmy napięcie. Stawiałam na to drugie. Kiedy jednak pilot oznajmił, że lądujemy za piętnaście minut, żarcik przestał wydawać się nam zabawny.

Rozdział 20

Pół godziny później nie był śmieszny już wcale. Oczywiście kiedy masz uczestniczyć w dużej konferencji prasowej, a wiesz doskonale, że padną na niej pytania, na które nie zdołasz udzielić szczerzej odpowiedzi, wszystko przestaje być zabawne.

Na lądowisku czekało na nas więcej policjantów z Saint Louis, niż kiedykolwiek widziałam. Otoczyli nas kordonem. Mając wokół siebie strażników i policję, poczułam się jak kwiat o krótkiej łodydze pośród nedorzecznie wysokich murów. Następnym razem będę musiała włożyć wyższe szpilki, pomyślałam.

Weszliśmy do holu przy terminalu dla pasażerów prywatnych maszyn i tam spotkałam resztę mojej gwardii. Spośród nich znałam jedynie Barinthusą. Zobaczyłam go, kiedy policja rozstąpiła się jak kurtyna, pomiędzy ciemnymi plecami Doyle'a i fragmentem skórzanej brązowej kurtki Galena. Mróz szedł za mną w płaszczu ze srebrnych lisów, który nieomal ciągnął się za nim po ziemi. Kiedy wspomniałam, ile zwierząt musiało zginąć, aby powstał

ten płaszcz, wyjaśnił, że ma go od ponad pięćdziesięciu lat, czyli o wiele dłużej, niż trwała kampania przeciwko noszeniu futer. W tamtych czasach nikt nie patrzył krzywo na osobę chodzącą w futrze. Dotknął przy tym mojego długiego skózanego płaszcza i rzekł:

- Proszę, nie próbuj mnie potępić. Sama nosisz na sobie połowę krowy.

- Ale ja krowy jadam, więc to, co mam na sobie, to jedynie gruntowne wykorzystanie całego zwierzęcia. Nic się nie marnuje. A lisów przecież nie jesz.

Spojrział na mnie z dziwną miną.

- Nie masz pojęcia, co miałem okazję jadać.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, więc odpuściłam. Poza tym styczniowy mróz uderzył w nas

jak młotem, kiedy wysiedliśmy z samolotu. Przelot z Los Angeles do Saint Louis w środku zimy był niemal traumatycznym przeżyciem. Na schodkach aż się potknęłam.

Mróz mnie przytrzymał, szpanując swym niemoralnym futrzanym okryciem. Było cieplejsze niż skóra, nawet jeśli miało podpinkę. Mimo to otuliłam się moim długim skórzanym płaszczem i zesłam po schodkach. Mróz przytrzymywał mnie przez całą drogę. Kiedy pokonałam ostatni stopień, puścił mnie i wszyscy przyjęli typową dla przybocznych formację, otaczając mnie zwartym kręgiem. Sage i Nicca zamykali tyły. Gdybyśmy zostali zaatakowani, nikt nie oczekiwał niczego wielkiego ze strony Nicci. Po pierwsze, nie przywykłam do radzenia sobie z wielkimi skrzydłami, które przeszkadzały mi w poruszaniu się. Po drugie, był

okutany w gruby koc i pod nim półnagi. Sidhe nie mogą zamarznąć na śmierć, ale niektórzy z nich nadal odczuwają zimno. Nicca był wiosenną energią, mogło być mu chłodno. Skrzydła trzymał ciasno złożone za sobą jak zmarznięty kwiat.

Rhys zaklął pod nosem.

- Powinienem być kupić grubsze odzienie.

- A nie mówiłem - rzucił Galen, choć w skórzanej kurtce też nie było mu ciepłej.

Kitto był zapewne ubrany najcieplej spośród sidhe, którzy nie nosili futer, a jego gruba pikowana kurtka miała obrzydliwie jasnoniebieski kolor. Ale przynajmniej dawała ciepło.

W prywatnym terminalu temperatura była na tyle wysoka, że zaparowały mi okulary.

Kiedy je zdjęłam, wśród tłumu ciał wokół mnie dostrzegłam lśniące włosy Barinthus.

Niewielu sidhe może się takimi pochwalić. Były koloru wody w oceanie. Rozdzierający serce turkus Morza Śródziemnego, błękitnej głębi Pacyfiku, szarego bezmiaru morza przed sztormem, zlewającego się w granat, tak ciemny, że prawie czarny. To kolor wód, które są głębokie i zimne, a w otchłani, niczym niewidzialne bestie, krążą silne, niebezpieczne prądy.

Kolory zmieniały się i zlewały ze sobą przy każdej sztuczce światła, każdym odwróceniu głowy, tak że wydawało się, jakby w ogóle nie miał włosów. Ale to były włosy, włosy opadające jak płaszcz i sięgające do jego kostek, a Barinthus miał prawie siedem stóp wzrostu. Potrzebowałam paru chwil, aby zorientować się, że nosił długi skórzany płaszcz w kolorze jaja drozda.

Podszedł do nas z wyciągniętymi rękami i szerokim uśmiechem. Niegdyś był bogiem mórz i wciąż pozostawał jednym z najpotężniejszych sidhe, bo wydawał się utracić mniej z tego, czym był. A był najlepszym przyjacielem i głównym doradcą mego ojca. On i Galen najczęściej odwiedzali dom mego ojca po tym, jak opuściliśmy dwór, gdy miałam sześć lat.

Odeszliśmy, bo do tak późnego wieku nie wykazywałam żadnych magicznych zdolności, co u sidhe było czymś niesłychanym, niezależnie od mieszanego pochodzenia. Moja ciotka, królowa, próbowała mnie utopić jak rodowodowe szczenię, które nie spełnia wymaganych standardów. Ojciec spakował mnie i swoją świtę i odszedł, by żyć wśród ludzi. Ciotka Andais była w szoku, że opuścił Krainę Faerie po tak drobnym incydencie. To było tylko drobne nieporozumienie. Dokładnie tak to ujęła.

Niebieskie oczy Barinthus z wąskimi źrenicami były przepełnione ciepłem i radością wywołaną moim widokiem. Byli też inni, którzy chcieli zobaczyć mnie z przyczyn politycznych, pobudek seksualnych i wielu innych, ale on jako jeden z nielicznych chciał

mnie ujrzeć tylko dlatego, że był moim przyjacielem.

- Meredith, miło znów cię widzieć. - Chciał dotknąć mej dłoni, ale nie zrobił tego, gdyż wcisnął się pomiędzy nas inny strażnik. Barinthus odciągnął go. Doyle stanął przede mną, a ja cofnęłam się tak gwałtownie, że wpadłam na Mroza. Jego futro połaskotało mnie w policzek, a ręce odnalazły moje ramiona, jakby był gotów w jednej chwili przestawić mnie za siebie z dala od niewygodnego

strażnika.

Strażnik, o którym mowa, był o cal lub dwa niższy od Doyle'a, czyli miał prawie metr osiemdziesiąt wzrostu. Zwróciłam uwagę na jego płaszcz, a zazwyczaj nie jest to coś, co w pierwszej chwili przykuwa mój wzrok u strażników sidhe. Futrzane odzienie zdawało się być wykonane z przeplatających się szerokich pasów futra czarnych i białych norek. Jakby nie dość, że musiały umrzeć zwierzęta, to jeszcze dla futrzanego płaszcza w pasy. To było szczególnie smutne. Włosy miał zaczesane do tyłu, opadały wzdłuż jednego z ramion aż do wysokości kolan. Ufarbowano je starannie na wąskie pasy czarne, jasno- i ciemnoszare oraz białe i tak naprawdę trudno było nie domyślić się, że ten mężczyzna zaczął już siwieć. Albo to było bardzo wymyślne farbowanie, albo nie był człowiekiem.

Jego szare oczy były odcień ciemniejszy niż u większości, ale mogły to być oczy ludzkie.

- Chciałem ją tylko uściskać - rzekł bełkotliwym głosem wskazującym na nietrzeźwość.

- Jesteś pijany, Abloecu - rzucił z odrazą Barinthus.

Jego uścisk na ramieniu tamtego wzmógł się, biała skóra zdawała się wtapiać w pręgowane futro.

- Jestem po prostu szczęśliwy, Barinthusie, zwyczajnie szczęśliwy - rzekł Abloec z nieco krzywym uśmiechem.

- Co on tu robi? - warknął Doyle, a jego zwykle cichy głos zabrzmiał nadspodziewanie groźnie.

- Królowa życzyła sobie, aby księżniczka miała sześciu strażników. Pozwolono mi wybrać dwóch, ale pozostałą trójkę wybrała sama.

- Dlaczego akurat on? - spytał Doyle, kładąc szczególny nacisk na ostatnie słowo.

- Jakiś problem? - zapytał jeden z ludzkich funkcjonariuszy policji.

Mogłabym powiedzieć, że był wysoki, ale w porównaniu z Barinthusem mało który mężczyzna wydawał się rosły i postawny. Siwe włosy miał przycięte bardzo krótko, na zapałkę, przez co jego oblicze wydawało się bardziej zimne i surowe. Wyglądałby lepiej z dłuższymi włosami, które złagodziłyby rysy, ale coś w jego spojrzeniu i postawie zdradzało, że nie dbał o to, czy fryzura wygładzi jego strukturę kostną.

Madeline Phelps, publicystka z ramienia Dworu Unseelie, pojawiła się obok policjanta.

- Nie ma żadnych problemów, panie majorze, absolutnie żadnych. - Mówiąc to, uśmiechnęła się, ukazując bardzo białe, proste zęby okolone wargami w kolorze burgunda, tak ciemnymi, że prawie fioletowymi. Pod kolor szminki dobrała też krótką kraciastą spódniczkę i dwurzędowy żakiet. Fiolet był zapewne w tym roku w modzie. Madeline dbała o takie rzeczy i zawsze była na czasie. Obcięła włosy, odkąd widziałam ją ostatni raz. Były bardzo krótkie, ale cienkie, długie pasemka pozostawiono po obu stronach twarzy i przy szyi, tak że choć włosy miała krótsze niż wszyscy, może z wyjątkiem majora, dotykały kołnierza jej purpurowego żakietu. Kiedy poruszyła głowę, by uśmiechnąć się do policjanta, światło podkreśliło fioletowe pasemka w jej brązowych włosach, jakby nie ufarbowała ich, tylko zrobiła płukankę. Jej wykwintny makijaż świetnie korelował z pociągłym obliczem i choć była o parę cali wyższa ode mnie, jak na ludzką kobietę i tak wydawała się niska.

- Wygląda, że jest jakiś problem - powiedział major.

Zastanawiałam się, co takiego zrobiłam, że szefem mojej policyjnej ochrony był oficer w randze majora. Czy królowa miała przed nami równie wiele sekretów jak my przed nią?

Być może, pomyślałam wpatrując się w pełne powagi oblicze majora.

Madeline uśmiechnęła się. Próbowwała go udobruchać, położyła mu nawet rękę na ramieniu. Jego spojrzenie jednak nie stało się łagodniejsze, wręcz przeciwnie.

- Zna pani to stare powiedzonko o kaczcze? - zapytał tonem pełnym niewzruszonej powagi.

Przez chwilę wydawała się zdezorientowana.

- Niestety nie.

- Jeżeli coś wygląda jak kaczką, kwacze jak kaczką i kołysze się jak kaczką, to musi być kaczką

- powiedział.

Madeline znów wyglądała na zbitą z tropu, co nie oznaczało, że faktycznie tak było.

Bazowała na tym, że była drobna i miłutka i tylko czasami, przypadkiem, mogłeś dostrzec jej prawdziwe oblicze, swoistą przebiegłość i wyrachowanie.

Nigdy nie miałam cierpliwości do kobiet, które ukrywały swoją inteligencję.

Uważałam, że to stanowi niepożądany precedens dla nas wszystkich.

- Chodzi mu o to, że jeśli coś wygląda jak problem, to musi to być problem.

Major, który na plakietce na piersi miał napisane WALTERS, zwrócił spojrzenie swych szarych oczu na mnie. To nie było typowo nieodgadnione gliniarskie spojrzenie - coś go wkurzyło. Ale co? Wyraz jego twarzy odrobinę złagodniał, jakby spodobało mu się, że przestałam bawić się w kretyńskie gierki.

- Książniczko Meredith, jestem major Walters i będę czuwał nad wszystkim, dopóki nie znajdziemy się na terytorium sidhe.

- Teraz, majorze - powiedziała Madeline - pan i kapitan Barinthus macie kierować wszystkim, zgodnie z tym, na co zgodziła się królowa.

- Nie może być dwóch dowódców - rzekł major - jeżeli chcemy, żeby wszystko poszło gładko. - Spojrzał na Abloeca, a potem na Barinthusa i w tym spojrzeniu dał mu jasno do zrozumienia, że nie podobało mu się, jak Barinthus kierował swoimi ludźmi. Major Walters nie mógł wiedzieć, a nikt z nas nigdy nie przyznałby się komukolwiek spoza kręgu sidhe, że jeśli coś nie funkcjonowało gładko, było to z pewnością winą królowej Andais albo jej syna.

Ale jako że księżę Cel wciąż pozostawał uwięziony, musiała to być robota królowej.

Nie miałam pojęcia, czemu mogłaby chcieć, aby Abloec pojawił się w obecności tylu przedstawicieli mediów, jak podczas konferencji prasowej. Był uzależniony od alkoholu, papierosów, narkotyków. Wymień, co zechcesz, Abe za tym przepadał. Niegdyś był

największym libertynem na Dworze Seelie, kochankiem i uwodzicielem par excellence.

Został wygnany z Dworu Seelie za uwiedzenie niewłaściwej kobiety, zaś Andais pozwoliła mu dołączyć do Dworu Unseelie pod jednym warunkiem. Musiał wstąpić do jej gwardii, co oznaczało, że Abe z jednego z najzagorzalszych kochanków sidhe musiał zmienić się w mnicha i zgodzić się na celibat. Zaczął pić, a kiedy wymyślono twarde narkotyki, sięgnął po nie. Miał pecha, że w przypadku sidhe kompletne upojenie czy to alkoholem, czy narkotykami jest prawie niemożliwe. Możesz się upić, ale nigdy do nieprzytomności. Nie do takiego stanu, kiedy prawdziwe zapomnienie złagodzi twój ból. Jedyne, co mógł zrobić Abe, by przytępić te udrękę, to uzależnić się niemal od wszystkiego. Mój ojciec zawsze trzymał go z dala ode mnie, a ciotka nim pogardziła, uważając, że był słaby. I tak przez stulecia zlecano mu pomniejsze obowiązki, trzymając go w ukryciu, by nie przynosił nam wszystkim wstydu.

Czemu więc był teraz tutaj, na forum publicznym? To nie miało sensu. Nie żeby Andais robiła wszystko z sensem, ale publicznie zawsze starała się grać rolę idealnej królowej. Pijany strażnik nie mógł zrobić nam dobrej prasy. Pijany strażnik, któremu powierzono życie księżniczki, dziedziczki tronu, to coś więcej niż powód do złej prasy, to objaw nieostrożności.

- Mam prawo tu być, Ciemności, możesz być pewien - rzekł Abe.

Jego uśmiech zniknął, a w grafitowych oczach pojawiło się coś bardzo trzeźwego.

- Co to ma znaczyć? - spytał Walters.

Ani strażnicy, ani ja nie musieliśmy pytać. Skoro na to zasłużył, musiał zrobić coś, czego nie znosił, a co zadowoliło królową. Zwykle wiązało się to z seksem lub sadystycznym okrucieństwem, albo jednym i drugim. Strażnicy trzymali w sekrecie upokorzenia, jakich zaznali od królowej. Zgodnie ze starym porzekadłem, po tłuczonym szkle pełniesz dla kogoś lub po coś. Najwyraźniej w przypadku królowej to nie było tylko porzekadło. Co trzeba było zrobić, aby dać koniec trwającemu setki lat okresowi celibatu?

Walters zrobił jeszcze bardziej skwaszoną minę i rzucił:

- Czego mi nie mówicie?

Barinthus i Doyle posłali mu nieodgadnione spojrzenia, wystudiowane i doprowadzone do perfekcji przez setki lat lawirowania w labiryntach dworskiej polityki.

Odwrociłam się do Mroza, by major nie mógł zobaczyć mojej twarzy. Nie potrafiłam już zachować pokerowego oblicza.

Mróz zdjął jedną rękę z mego ramienia, ale rozchylił płaszcz, abym mogła się do niego przytulić. Większość osób pomyślałaby, że próbował sprawić w ten sposób, abym dotknęła jego ciała, ale ja wiedziałam, o co mu chodziło. Rozpiął płaszcz, żeby móc w razie potrzeby sięgnąć po pistolet albo noże. Przytulić się było miło, ale dla strażników najważniejsze były ich obowiązki.

Nie miałam im tego za złe. Po prostu mnie chronili.

- O ile mi wiadomo, majorze - powiedział Barinthus - nie ukrywamy niczego, co mogłoby przeszkodzić panu w wypełnianiu obowiązków.

Walters prawie się uśmiechnął.

- Nie zaprzeczycie, że zatajacie przede mną, czyli przed policją istotne informacje?

- Czemu miałbym temu zaprzeczać? Byłby pan głupcem, gdyby wierzył, że dzielimy się z panem wszystkim, co wiemy, a nie uważam pana za głupca, majorze Walters.

Spojrzał na Waltersa i nie było to całkiem wrogie spojrzenie.

- Cóż, dobrze wiedzieć. Nie chcecie tu Abe'a, tak?

- To chyba oczywiste - odrzekł Barinthus.

- Czemu więc jest tutaj?

Madeline próbowała interweniować.

- Majorze, naprawdę musimy ich wszystkich przygotować do konferencji prasowej.

Zignorował ją.

- Dlaczego jest tutaj?

Jedna z powiek Barinthususa opadła i uniosła się gwałtownie. Przezroczysta błona pozwalała mu widzieć pod wodą. Kiedy ujawniała się na suchym lądzie, było to oznaką zdenerwowania.

- Odpowiem, że Abloec nie został wybrany przeze mnie, lecz przez królową, o czym już zresztą wspomniałem.

- Czemu miałyby przysłać pijanego?

- Wypraszam sobie - wybełkotał Abloec.

Walters zmarszczył nos.

- Twój oddech może zabić na odległość.

- To tylko dobra szkocka.

- Majorze Walters, potrzebujemy odrobiny prywatności, by omówić pewne sprawy - odezwał się Barinthus.

Walters chrząknął, a następnie kazał swoim ludziom wyjść z terminalu. Próbował pozostawić dwóch, ale Barinthus poprosił go, by tego nie robił.

- Może pan wystawić funkcjonariuszy przy obu wejściach, o ile zostaną na zewnątrz i nie będą próbowali podsłuchiwać.

- Nie usłyszają was, jeśli nie będziecie krzyczeć.

- Postaramy się nie krzyczeć.

Walters wyprowadził swoich ludzi, a Doyle zawołał:

- Proszę przytrzymać drzwi dla panny Phelps.

Publicystka spojrzała na niego, wytrzeszczając oczy i rozdziawiając usta ze zdziwienia. To była tylko gra, bo zbyt szybko odzyskała nad sobą kontrolę.

- Ależ, Doyle.

Położyła wypielegnowaną dłoń na ramieniu jego czarnej skórzanej kurtki.

- Muszę dopilnować, żebyście dobrze wyglądali na konferencji prasowej.

Spojrzał na nią tak jak Walters, tyle tylko, że jeszcze bardziej złośliwie i groźnie.

Puściła go i cofnęła się. Przez chwilę wyglądała jak ta stara Madeline - bezwzględna, zdeterminowana. Zagrała atutową kartą, a jej oblicze przepełniał gniew.

- Miałam dopilnować, abyście prezentowali się wspaniale podczas konferencji prasowej. Czy kiedy królowa zapyta, dlaczego tak się nie stało, mam jej powiedzieć, że zanegowaliście jej rozkazy?

Ona jedna lepiej niż większość ludzi mających kontakty z dworem wiedziała, do czego była zdolna królowa, i dobrze wykorzystywała tę wiedzę.

- Nikt z nas nie próbuje negocjować rozkazów mojej ciotki - powiedziałam.

Wyraźnie się oburzyła. Już od siedmiu lat cieszyła się względami królowej. Siedem lat pławienia się w absolutnej władzy, jaką miała królowa nad istotami, które mogły gołymi rękami rozerwać Madeline na pół. Czuła się bezpieczna, ukryta za tarczą mocy Andais. I do pewnego stopnia było to uzasadnione. Musiałam tylko jasno dać jej do zrozumienia, gdzie leżała granica tego, na co mogła sobie pozwolić.

- Czeka nas ważna i duża konferencja prasowa, Meredith.

Teraz, kiedy w pobliżu nie było innych ludzi, zrezygnowała nawet z używania wobec mnie należnego mi tytułu. Przeniosła wzrok z ulubionej starej, brązowej skórzanej kurtki Galena na krótką czarną Doyle'a i w końcu na jaskrawą parkę Kitta. Skrzywiła się lekko.

- Niektóre z fryzur i twój makijaż wymagają korekty. Musicie dobrze wypaść na wspólnym zdjęciu. Przybory do makijażu i garderobę mam na zewnątrz. - Odwróciła się w stronę drzwi, jakby chciała po nie pójść.

- Nie - zaprotestowałam.

Odwróciła się, a wyraz arogancji na jej twarzy mógłby przepełnić dumą każdego sidhe.

- Mogę zadzwonić do królowej na komórkę, ale daję ci słowo, Meredith, że wypełniam jej rozkazy. - Wyjęła z kieszeni niewielki telefon. Był tak mały, że nie zakłócał nieskazitelnej linii jej żakietu.

- Nie wypełnisz jej rozkazów, a w każdym razie nie do końca - powiedziałam.

Wiedziała, że ukryta pod połą płaszcz Mroza muszę wyglądać jak dziecko.

I po raz pierwszy to nie miało znaczenia, nie dla osoby pokroju Madeline. Mogłam ukrywać swoje atuty do czasu, kiedy będą potrzebne. Nie musiałam na siłę wygrać tego starcia.

Zawahała się z otwartą klapką trzymanej w dłoni komórki.

- Oczywiście, że tak.

- Czy ciotka kazała ci nas przebrać i przygotować, kiedy tylko wyjdziemy z samolotu, prosto z zimna? Czy takie były jej rozkazy?

Przymrużyła swe starannie pocieniowane i podkreślone kredką oczy.

- Nie tak dokładnie... - Wydała się niepewna, ale zaraz odzyskała dawny rezon. - Ale czeka nas konferencja prasowa i znów będziecie musieli się przebrać przed wielkim przyjęciem. Mamy wszystko ujęte w ścisłych ramach czasowych, a królowa nie lubi czekać. -

Wcisnęła przycisk telefonu i uniosła komórkę do ucha.

Odsunęłam się od ciepłego ciała Mroza i wyszeptałam jej do drugiego ucha:

- Jestem dziedziczką tronu, Madeline, a ty zawsze byłaś wobec mnie podła. Na twoim miejscu, jeżeli lubisz swoją pracę, spróbowałabym być nieco miłsza.

Nachyliłam się do niej na tyle, by usłyszeć, jak sekretarz mojej ciotki odebrał telefon, ale nie dosłyszałam słów. Madeline rzekła:

- Przepraszam, nacisnęłam nie ten przycisk. Tak, już tu są. Pojawiły się pewne przeszkody, ale nie takie, z którymi nie moglibyśmy sobie poradzić. Dobrze, dobrze, doskonale.

Rozłączyła się i odstepiła ode mnie.

- Zaczekam w holu. - Nie była tak dobra jak niektórzy, jeśli chodziło o politykę dworską. Byli już wcześniej tacy, którzy próbowali mnie zabić, którzy uśmiechali się i kiwali głowami, patrząc na mnie i udając moich najlepszych przyjaciół. Madeline nie potrafiła aż tak dobrze udawać. To sprawiło, że spojrzałam na nią przychylniejszym wzrokiem.

Zawahała się przy drzwiach.

- Pospieszcie się, proszę. Naprawdę mamy bardzo napięty grafik, a królowa jasno powiedziała, że ma dla wszystkich stroje na wieczorne przyjęcie. Chce, żeby wszyscy przebrali się, zanim zaczną się uroczystości. - Wychodząc, nie spojrzała na mnie, jakby nie chciała, żebym zobaczyła, co kryło się w jej oczach

Kiedy drzwi z trzaskiem zamknęły się za nią, Galen zapytał:

- Co jej powiedziałaś?

Wzruszyłam ramionami i znów wtuliłam się we Mroza.

- Przypomniałam jej, że jestem dziedziczką tronu i mogę mieć coś do powiedzenia, jeżeli chodzi o to, kogo zechcę zatrudnić albo zwolnić.

Pokręcił głową.

- Bardzo pobladła. To nie mogło być wywołane tylko groźbą utraty posady.

- Miałam na myśli wygnanie z Krainy Faerie, Galenie, nie tylko utratę posady.

Zmarszczył brwi.

- Ona nie jest urzeczona elfami.

- Nie jest od nas uzależniona, przyznaję, ale jej reakcja pozwala przypuszczać, że nie chciałaby utracić swego dość szczególnego miejsca pośród nas. Nie chce zmarnować szansy, by choćby tylko przelotnie móc dotykać ciała sidhe.

- Dlaczego świadomość tego może być istotna? - zapytał.

- To oznacza, że w przypadku Madeline mamy przewagę, której wcześniej nam brakowało, ot i wszystko.

- To nie takie proste. - Jego oblicze przepełnione było absolutną otwartością.

Każda, nawet najdrobniejsza informacja dotycząca czyichś słabości i mocnych stron, mówiąca o małościowości, okrucieństwach i przejawach życzliwości tej czy innej osoby, mogła okazać się kluczowa, gdy chodziło o własne przetrwanie. Nauczyłam się nie lekceważyć niczyjego oddania, nawet jeśli wynikało ono ze zwykłej zachowawczej konieczności grania na dwa fronty. Nie chodziło o to, że Madeline zacznie się zachowywać wrogo wobec Cela, kiedy ten zostanie w końcu uwolniony, tylko o to, że będzie odtąd miła dla nas obojga, a to całkiem sporo jak na początek.

Rozdział 21

- Dobra robota - rzekł Barinthus z uśmiechem. - Ale publicystka miała rację co do jednego. Czasu jest niewiele. - Przywołał do siebie kolejnego strażnika.

Był wysoki, szczupły i wydawał się opalony na przepiękny brąz, ale to nie była opalenizna. Carrow zawsze wyglądał jak ogorzały łowca o brązowych włosach poprzetykanych letnim złotem, jak człowiek, który zbyt wiele czasu spędza na świeżym powietrzu. Włosy miał obcięte krótko, proste. Wyglądał jak istota ludzka, o ile nie dostrzegłeś jego oczu. Były równocześnie brązowe i zielone, ale nie orzechowe, bynajmniej. Były zielone jak las poruszany wiatrem, kiedy łagodna bryza w jednej chwili czyni cały świat jasnym i zielonym, a w następnej ciemnym i mrocznym.

W przypadku większości sidhe musiałam pytać, jakiego rodzaju są bóstwami, ale Carrow, podobnie jak Barinthus, wręcz krzyczał, czym był. Spojrzałam na oblicze jednego z wielkich łowców. Uśmiech Carrowa wywołał podobny na moich ustach. Mężczyzna był

strażnikiem, któremu mój ojciec zlecił nauczenie mnie wszystkiego na temat ptaków i zwierząt. Kiedy zaczęłam studiować biologię, Carrow nieraz mnie odwiedzał i uczestniczył w wykładach. Chciał wiedzieć, czy od ostatniego razu nauczono się czegoś nowego. W

większości fakultetów okazywało się, że nie, ale zafascynowała go mikrobiologia, parazytologia i wstęp do genetyki. Był poza tym jedynym sidhe, który zapytał, co zrobiłabym z moim dyplomem, gdybym nie była księżniczką Meredith.

Nikt inny o to nie dbał, a raczej nie dbał o nic więcej prócz polityki dworskiej. Skoro możesz być księżniczką, po co miałabyś chcieć robić cokolwiek innego?

Carrow zaczął przyklękać na jedno kolano, ale schwyciłam go za rękę i uściskałam.

Zaśmiał się i też mocno mnie objął

- Zdziwiłem się, słysząc, że zostałeś detektywem w wielkim mieście. - Cofnął się, by na mnie spojrzeć. - Sądziłem, że uciekniesz do dziczy, aby igrać ze zwierzętami, albo podejmiesz pracę w zoo.

- Potrzebowałabym co najmniej magisterium z zoologii.

- Ale żeby zostać detektywem?

Wzruszyłam ramionami.

- Pomyślałam, że królowa sprawdzi wszystkie miejsca, gdzie mogłabym wykorzystać moje doświadczenie ze studiów. A w agencji detektywistycznej nikt nawet nie wie, że mam dyplom z biologii.

- Nie chciałbym przerywać tego jakże miłego spotkania - rzekł nowy głos - ale jestem ciekaw, czy pierścień zareagował na Carrowa, czy też nie.

Odwróciłam się i ujrzałam strażnika, którego widok nie sprawił mi radości.

- Amatheon - powiedziałam i nawet w tym jednym słowie dało się odczuć moją niechęć wobec niego.

- Nie martw się, księżniczko, jestem równie niezadowolony, widząc ciebie, jak ty nie cieszysz się na mój widok.

Odwrócił głowę i zimowe słońce podkreśliło miedzianozłoty odcień jego rudych włosów. Długie do ramion fale zakołysały się, gdy do mnie podchodził.

- Czemu więc jesteś tutaj?

- Tak rozkazała królowa - odrzekł, jakby to wszystko tłumaczyło.

- Dlaczego? - spytałam.

Poruszał się z gracją, ubrany w świetnie skrojony skórzany płaszcz. Jeżeli chodziło o górną połowę ciała, był dopasowany, ale rozchodził się szeroko wokół jego nóg i bioder niczym długa skórzana peleryna. Czarna skóra sprawiała, że jego włosy wydawały się jaskrawsze, jaśniejsze, jak

miedziany płomień. Kiedy był na tyle blisko, że mogłam ujrzeć jego oczy, jak zawsze w tego typu przypadkach zakręciło mi się w głowie. Jego źrenice miały płatkową strukturę, złożone z warstw zieleni, błękitów, żółci i czerwieni, jak wielobarwny kwiat.

- Cudownie na ciebie patrzeć, Amatheonie. - Powiedzieć cokolwiek innego oznaczałoby skłamać.

Uśmiechnął się do mnie z przekąsem. Na jego przystojnym obliczu odmalowała się ironia.

- Ale ładnemu we wszystkim ładnie i samo piękno to nie wszystko, bo o ile mi wiadomo, jesteś przyjacielem Cela. Nie sądzę, żebyś chciał mnie ochraniać, a co dopiero mówić o czymś więcej.

Doyle stanął przede mną, oddzielając mnie swoim ciałem od Amatheona. Mróz przystanął po mojej drugiej stronie, na wypadek gdyby Amatheon próbował wyminąć Doyle'a. Ten jednak zignorował ich obu, skupiając całą uwagę na mnie.

- Księżę Cel nie rządzi Dworem Unseelie, jeszcze nie. Królowa Andais jasno dała mi to do zrozumienia. - Drwiący grymas znikł z jego twarzy, nie wydawał się też już tak arogancki. Zastanawiałam się, jakiego sposobu użyła Andais, aby mu to uświadomić. Ufałam, że cioteczka Andais wybrała bolesną metodę i po raz pierwszy ucieszyłam się na myśl o cierpieniu jednego ze strażników. To małosatkowe, ale Amatheon był jednym z sidhe, którzy nieźle dali mi się we znaki w dzieciństwie.

- Dobrze, że o tym pamiętasz - powiedział Doyle.

Amatheon przeniósł na niego wzrok, ale zaraz ponownie skupił uwagę na mnie.

- Uwierz mi, księżniczko, nie byłoby mnie tutaj, gdybym miał jakiś wybór.

- Wobec tego odejdz - powiedziałam.

Pokręcił głową, a jego włosy prześlizgnęły się po ramionach skórzanej kurtki. Gdy widziałam go ostatni raz, miał je do kolan. Większość sidhe szczyciła się tym, że ich włosy nigdy nie zaznały ostrza. Prawdę mówiąc, fey niebędący sidhe mieli zakaz noszenia włosów aż do kostek.

Spojrzałam na niego.

- Od naszego ostatniego spotkania obciąłeś włosy.

- Ty również - odparł z posępną miną.

- Ja poświęciłam swoje, aby ukryć fakt, że jestem sidhe. A ty?

- Wiesz, dlaczego je obciąłem - odrzekł, z trudem zachowując kamienną twarz.

- Nie wiem.

Zdenerwował się.

- Odmówiłem przyjścia tutaj. Odmówiłem zostania jednym z twych strażników.

Królowa upomniała mnie, że odmowa jest nierozsądnym posunięciem.

- Dlaczego tak ważne jest dla ciebie pójście ze mną do łóżka? - spytałam.

- Nie wiem. Taka prawda. Zapytałam ją o to, na co odparła, że nie muszę tego wiedzieć.

Gniew przygasł, ukazując stale pod nim obecny strach.

Wydawał się zmęczony i przybity.

- Tak więc jestem tutaj, a królowa życzy sobie, abym dotknął pierścienia. Jeżeli nie zareaguje na mój dotyk, to po odeskortowaniu cię bezpiecznie na dwór mogę opuścić szeregi twojej gwardii przybocznej, jeśli jednak zaczniesz śpiewać w zetknięciu z moją skórą...

Wlepił wzrok w podłogę i włosy przysłoniły mu twarz. Gwałtownie uniósł wzrok, palcami odgarniając je do tyłu.

- Muszę dotknąć pierścienia. Muszę zobaczyć, co się wydarzy. Nie mam wyboru, podobnie jak ty. - Wydawał się tak nieszczęśliwy, że szczerze go polubiłam. Nie na tyle, by pójść z nim do łóżka, ale zawsze trudno mi było znienawidzić kogoś, kto ujawnił przede mną głębię całkiem zrozumiałych

odczuć i emocji nie opartych na nienawiści. Andais postrzegą to jako słabość; mój ojciec jako siłę. Ja sama jeszcze nie miałam zdania.

Nie odrywając wzroku od Amatheona, Doyle zapytał:

- Czy zechcesz na to zezwolić?

Mróz postąpił bliżej, tak że jego płaszcz otulił mnie niczym chmura.

- Zezwolenie, by dotknął pierścienia, nic nie znaczy i nic nas nie kosztuje - odparłam.

- Królowej dam znać, że zrobię, czego sobie zażyczy.

- Nie pozwoli, żebyśmy się przed tym wymigali, księżniczko. - Dotknął dłonią włosów i nieomal z wyraźnym wysiłkiem opuścił rękę. - Każe nam pójść do łóżka, o ile tylko pierścień mnie rozpozna.

Chciałam raz jeszcze zapytać dlaczego, ale nie pojmował logiki Andais lepiej niż ja.

- Co będzie potem, to ewentualny problem na później. - Podeszłam, by dotknąć ramienia Doyle'a. - Przepuść go.

Doyle spojrzał na mnie, jakby chciał zaproponować, ale nie zrobił tego. Po prostu odstąpił na bok, pozwalając, bym ruszyła naprzód, Mróz jednak się nie cofnął. Był tak blisko, że jego ciało niemal dotykało mojego.

- Mrozie - powiedziałam - potrzebujemy więcej miejsca.

Spojrzał na mnie, potem na Amatheona i z arogancją na twarzy zrobił niewielki krok w bok. Ani on, ani Doyle nie lubili Amatheona. Może to były osobiste animozje, a może tak jak mnie nie podobało im się, że miał mnie strzec człowiek Cela.

- Mrozie - powtórzyłam - a co jeśli pierścień zareaguje na ciebie, a nie na Amatheona?

Daj nam dość miejsca, abyśmy wiedzieli, że reakcja jest spowodowana wyłącznie przez niego.

- Odsunę się na pół długości ramienia, nie więcej. Za długo był poplecznikiem Cela.

Amatheon spojrzał na wyższego mężczyznę.

- Księżniczka jest pod ochroną królowej, pod magiczną ochroną. Gdybym podniósł na nią rękę, zapłaciłbym za to życiem, a królowa kazałaby mi błagać o śmierć na długo przed tym, nimby mi ją zadała. - Miał przerażenie w oczach. - Nie, Mrozie, nie zaryzykowałbym powrotu pod opiekuńcze, czułe skrzydła królowej nawet za to, by uniemożliwić temu ludzkiemu kundlowi zajęcie miejsca na tronie.

- Och, jakie to miłe - bąknęłam.

Amatheon westchnął.

- Wiesz, co czuję, księżniczko Meredith. Wiesz, co zawsze czułem wobec ciebie i co myślę o twojej sukcesji do tronu. Czy gdybym nagle oznajmił, że będziesz cudowną i idealną przyszłą królową, uwierzyłybyś?

Pokręciłam głową.

- Królowa... udowodniła mi, że moje przekonania nie są tak cenne, jak moje ciało i krew. - Na jego twarzy przez moment odmalowała się rezygnacja, ale oczy, kiedy znów na mnie spojrzał, przepełniały emocje. Co z nim zrobiła Andais?

- Powinieneś być po prostu się zgodzić, tak jak ja to zrobiłem. - Drugim strażnikiem, bez którego widoku mogłabym się obejść, był Onilwyn. Miał coś brutalnego w twarzy, jakiś drobny mankament, który sprawiał, że choć był przystojny jak na ludzkie standardy, dla sidhe prezentował się, delikatnie mówiąc, dość prostacko. Był szeroki w barach, muskularny, wystarczyło ujrzeć go nawet ubranego, w długim futrzanym płaszczu, i aż czuło się, jak wielką emanował mocą. Był tak krępy, że wydawał się niższy od innych, ale to tylko złudzenie. Gęste falujące włosy związywał w koński ogon. Były zielone i tak ciemne, że lśniły czernią, gdy odbijało się od nich światło. Jego oczy miały barwę

zielonej trawy z przeblaskami płynnego złota tańczącego wokół źrenic. Skóra była jasnozielona, ale nie białozielona jak u Galena, w przypadku którego trudno było stwierdzić, czy przeważała biel, czy zieleń. Nie, skóra Onilwyna była jasnozielona, tak jak brązowa była skóra Carrowa.

- Przystałybyś na wszystko, byle tylko ocalić skórę - wycedził Amatheon.

- Oczywiście, że tak - odparł Onilwyn, podpływając w naszą stronę.

Nigdy nie potrafiłam zrozumieć, jak ktoś do tego stopnia masywny mógł poruszać się z taką lekkością.

- Podobnie jak każdy inny o zdrowych zmysłach.

- Dlaczego jesteś człowiekiem Cela? - spytał Amatheon. - Wierzysz, że powinien być królem?

Obchodzi cię to?

Onilwyn wzruszył ramionami.

- Wolę, aby to Cel był królem, ponieważ mnie lubi, a ja jego. Obiecał mi niejedno, gdy tylko zasiądzie na tronie.

- Obiecuje wiele rzeczy - odparł Amatheon - ale nie dlatego jestem jego poplecznikiem.

- Dlaczego więc? - spytał Doyle.

Odpowiedział, nie odrywając wzroku od Onilwyna:

- Cel to ostatni książę sidhe czystej krwi, jakiego mamy. Ostatni prawdziwy spadkobierca z linii rodowej, której członkowie władali nami od blisko trzech tysięcy lat. W

dniu, kiedy ktoś, kto jest po części człowiekiem, po części chochlikiem, a po części sidhe, przejmie naszą koronę, umrzemy jako lud. Nie będziemy lepsi niż mieszkańcy z Europy.

Onilwyn uśmiechnął się gorzko.

- Ale jesteś teraz tutaj, miłośniku sidhe czystej krwi, tu i teraz. - Stał przed wyższym mężczyzną, patrząc na niego i uśmiechając się z okrutną satysfakcją. - Co więcej, zmuszają cię, byś poszedł do łóżka z jednym z tych mieszkańców. I masz świadomość, że jeśli ją zapłodnisz, będziesz osobiście odpowiedzialny za osadzenie jej na tronie. Cóż za słodka, rozkoszna ironia.

- To cię bawi - rzekł zduszonym głosem Amatheon.

Onilwyn pociągnął nosem.

- Jeżeli pierścień zareaguje na nasz dotyk, będziemy mogli przerwać celibat.

- Ale tylko z nią.

Drugi z mężczyzn pokręcił głową.

- No i co z tego? To kobieta, i w dodatku sidhe. To dar, nie przekleństwo.

- Ona nie jest sidhe.

- Dorośnij, Amatheonie, dorośnij, zanim ta naiwność cię zabije.

Popatrzył na mnie

- Czy mogę dotknąć pierścienia, księżniczko?

- A jeżeli odmówię?

Onilwyn chrząknął.

- Królowa wiedziała, że to ci się nie spodoba albo raczej, że nie zapalas do mnie sympatią.

Przekonajmy się, czy zapamiętałam jej słowa.

- Ja pamiętam - rzekł zduszonym głosem Amatheon. - Kazała mi je powtarzać raz po raz, podczas gdy ona...

Przerwał gwałtownie, jakby powiedział zbyt wiele.

- Więc może przekazesz księżniczce wiadomość od królowej - zasugerował Onilwyn.

Amatheon zamknął oczy, jakby odczytywał coś wewnątrz swego umysłu.

- Wybrałam tych dwóch nader przemyślnie. Jeżeli pierścień na nich nie zareaguje, to trudno, ale

jeśli zareaguje, nie życzę sobie żadnych oporów z twojej strony. Masz się z nimi pieprzyć.

Otworzył oczy. Wyglądał blado, jakby ten monolog sporo go kosztował.

- Nie chcę dotknąć pierścienia, ale nie sprzeciwię się woli królowej.

- Masz na myśli ponownie - rzekł Onilwyn i spojrzał na mnie. - Czy mogę dotknąć pierścienia?

Zerknęłam na Doyle'a. Lekko skinął głową.

- Myślę, że musisz, Meredith.

Mróz postąpił naprzód.

- Mrozie - rzucił Doyle ostrzegawczo.

Ten wyglądał na zdruzgotanego.

- Czy nie możemy jej jakoś przed tym uchronić?

Dotknęłam jego ramienia.

- Będzie dobrze.

- Nie będzie - odparował.

- Nie mam do ciebie żalu, Mrozie - powiedział Onilwyn. - Ja też nie chciałbym się dzielić. -

Otaksował wzrokiem pozostałych mężczyzn. - Ale rzecz jasna dzielicie się, prawda?

- Wydał dolną wargę, lecz w jego oczach pozostały złowieszcze iskierki. - Taki drobiazg do podziału pomiędzy was wszystkich, a jakby tego było mało, teraz jeszcze dochodzi nas dwóch.

- Och, na Boginię, Onilwyn, przestań robić z siebie idiotę. - Ostatni strażnik stał w kącie tak nieruchomy i milczący, że nie zwróciłam na niego uwagi, w ogóle go nie zauważyłam, ale to było typowe dla Usny. Potrafił być niewidoczny w tłumie i dopiero gdy się odezwał, dostrzegając go w pobliżu, a przecież był tam przez cały czas. Twoje oczy go rejestrowały, ale umysł nie informował cię o tym. To pewna odmiana uroku, który działał na innych sidhe, a w każdym razie na mnie.

Ani Doyle, ani Mróz czy Rhys nie wyglądali na zaskoczonych.

- Wolałbym, żebyś tego nie robił - rzekł Galen. - To okropnie denerwujące.

- Wybacz, mały zielony człowieczku, postaram się bardziej hałasować, gdy będę się do ciebie podkradał. - To był żart.

Galen uśmiechnął się do niego.

- Wszystkie koty powinny nosić dzwoneczki.

Usna odsunął się od ściany i krzesła, na którym przycupnął. Rzadko w ogóle siedział.

Wyciągał się, zwijał w kłębek albo przysiadął, ale nie siadał. Usna przesuwając się po podłodze jak wiatr, jak cień, bardziej jak coś ulotnego niż zbudowanego z ciała i kości. Był w stanie zawstydzić niejednego mężczyznę pochodzącego z rasy słynącej właśnie z gracji. Gdy patrzyło się, jak tańczył, to tak jakby oglądało się kwiaty kołysane wiatrem albo gałęzie drzewa muskane delikatną bryzą. Kwiaty były nieodparcie piękne i nie miało to nic wspólnego ze sztuką. Kwitnące drzewo nie było świadome, że jest piękne, podobnie jak Usna.

Och, byli również inni przystojniacy, choćby Mróz. Zarówno Rhys, jak i Galen mieli piękne usta. Usta Usny były trochę za szerokie jak na mój gust, a wargi ciut za cienkie. Nos wydawał się odrobinę za mały w odniesieniu do reszty twarzy. Oczy miał duże i lśniące w nieopisanym odcieniu szarości, ani tak ciemne jak u Abloeca, ani tak jasne jak u Mroza. Były po prostu...

szare. Usna był chudy, wydawał się wręcz wymizerowany. Włosy nie rosły mu dalej niż do bioder, niezależnie, jak bardzo się starał, odróżniały się tylko kolorem. Plamy miedzianej czerwieni i nieprzeniknionej czerni oraz bieli stanowiły jakby oryginalny patchwork. Choć rzecz jasna to nie był patchwork, raczej wzór na perkalu. Matkę Usny zapłodnił mąż innej sidhe. Zdradzona małżonka powiedziała, że jej wygląd powinien odpowiadać charakterowi, i zmieniła ją w kotkę. A ta urodziła Usnę. Kiedy osiągnął wiek męski, przywrócił matce prawdziwą postać i zemścił się na sidhe, która

ją przeklęła, po czym żyli długo i szczęśliwie.

Albo raczej żyliby, gdyby za zabicie sidhe nie został wygnany z Dworu Seelie. Najwyraźniej wspomniana czarodziejka była obecną metresą króla. Ups.

Usna nigdy się tym nie przejął. Jego matka wciąż pozostawała na lśniącym dworze i choć on już do niego nie należał, wciąż się spotykali i rozmawiali oraz urządzali pikniki w lesie. Jego matka stanowczo odmówiła spotkania się z nim w wydrażonym wzgórzu, które stanowiło granicę Dworu Unseelie, a żaden arystokrata z Unseelie nie był mile widziany na Dworze Seelie. Pozostawał im jeszcze las i pola i wydawali się tym w pełni usatysfakcjonowani.

Podpłynął do skraju tworzącego się wokół mnie ciasnego kręgu i spytał:

- Czy mogę dotknąć pierścienia?

Wypowiedziałam tylko jedno słowo:

- Tak.

Rozdział 22

Palce Usny prześlizgnęły się po moich delikatnym, prawie nieśmiałym ruchem, aż dotarły do pierścienia. Z jego szarych oczu przebijała osobowość, co sprawiało, że nie tylko one przykuwały wzrok, ale on sam. Pomyślałam, że gdyby jeszcze miał przepiękne oczy, byłoby to absolutnie niesprawiedliwe. Ale i bez tego był dostatecznie czarujący.

- Daj spokój tym grom wstępnym, Usna rzekł Onilwyn - pozostali czekają.

Usna przeniósł na niego wzrok i żar, jeszcze przed chwilą zmysłowy, teraz przerodził się w gniew. Zmiana była natychmiastowa, jakby seks i wściekłość w jego przypadku dzieliło od siebie zaledwie mgnienie oka. Ta myśl powinna wzbudzić we mnie wahanie, ale zamiast tego poczułam w głębi ciała ucisk, a z moich ust dobyło się ciche westchnienie.

Usna znów na mnie popatrzył. Żar w jego oczach przerodził się w pragnienie. Nie wiem, czy wciąż myślał o zabiciu i pożarciu Onilwyna, czy o tym, by mnie posiadać. To nie była wina Usny, ale niekiedy myślał bardziej jak zwierzę niż człowiek.

I właśnie w tej chwili przesunął koniuszkami palców po pierścieniu. Pierścień ożył zapierającą dech, wywołującą ciarki falą, która wyrwała z ust Usny okrzyk rozkoszy, a pod mną nieomal ugięły się kolana. Zachwiałam się i złapał mnie odruchowo, odrywając dłoń od pierścienia. Trzymaliśmy się wzajemnie w luźnym uścisku, próbując ponownie nauczyć się oddychania. Zaśmiał się. Był to radosny, cichy chichot, wyrażający zadowolenie.

- Reakcja nie była tak silna, kiedy pierścień po raz pierwszy znalazł się na palcu jej ręki - zauważył Barinthus. - To była tylko fala ciepła.

- Przybiera na sile - rzekł Doyle.

- Moja kolej - powiedział Abloec, a jego głos wciąż był wyraźny, mimo że on sam lekko się kołysał.

Usna obrócił mnie w ramionach, jakbyśmy tańczyli, ale ten jeden pełen gracji ruch sprawił, że znalazłam się po drugiej stronie, z dala od Abloeca. Usna spojrział na Barinthusa i dopiero gdy ten skinął głową, powoli, delikatnie odwrócił mnie w stronę Abloeca.

Wyciągnął rękę. Rhys wtrącił wtedy:

- Najpierw musisz ją puścić. Chyba nie chcesz, aby płodność uaktywniła się także w przypadku Abloeca, prawda?

Usna skinął głową i obrócił mnie, jakby słyszał muzykę, której ja nie byłam w stanie wychwycić, przekazując mnie Abloecowi. Ten zachwiał się, próbując mnie złapać, ale nie zdołał. Był zbyt pijany, by tańczyć. Zbyt pijany do wielu rzeczy.

Odstąpiłam na odległość wyciągniętej ręki. Ten dystans był mi potrzebny z kilku powodów: po

pierwsze cuchnął, jakby wykąpał się w whisky, po drugie był tak nawalony, że nie miałam pewności, jak zareaguje jego ciało na kontakt z pierścieniem. Nie chciałam, aby, upadając, pociągnął mnie ze sobą.

Schwycił mnie za rękę niezdarnie, jakby widział podwójnie i nie był pewien, która ręka jest moja. Ale to nie miało znaczenia: kiedy tylko dotknął pierścienia, ten natychmiast ożył. Zupełnie jakby fala żaru zalała moje ciało i powaliła Abloeca na kolana. Nie upadłam tylko dlatego, że mocno się zaparłam.

Uwolniłam rękę, skądinąd bez większego trudu, ponieważ magia dokończyła to, co zaczął alkohol. Klęczał w swoim fantastycznym futrze z norek, gdyż nie był zdolny, aby wstać.

- Czy królowa była zła, kiedy pojawił się dziś pijany? - spytał Doyle.

- Tak - odparł Barinthus.

- W razie walki byłby bardziej niż bezużyteczny.

- Tak - powtórzył Barinthus.

Spojrzeli na klęczącego strażnika, a wyraz ich twarzy zdawał się zdradzać, co mieli ochotę z nim zrobić. Gdyby królowa go nie wybrała, wróciłby na dwór w niełasce i nigdy nie uczestniczyłby w konferencji prasowej. Ale niestety to nie wchodziło w grę.

Onilwyn wyminął klęczącego strażnika, tak jak omija się walające się na ulicy śmieci.

Bez słowa wyciągnął rękę, a ja nie zaoponowałam. Królowa go przysłała, i już. Poza tym pozwolenie, by dotknął pierścienia, nie równało się z pójsciem z nim do łóżka. Miałam nadzieję, że uda mi się przekonać królową, by zrezygnowała z kandydatur Abloeca i Onilwyna. Musiałam zatrzymać co najmniej jednego z zaproponowanej trójki i co niezwykle, najlepszym spośród nich wydawał się Amatheon. To, że był z nich najlepszy, dało mi do myślenia, na jakiej podstawie podejmowała decyzje królowa. Jeżeli uda mi się wymyślić sposób, aby jej nie obrazić, może ją zapytam.

Podaliśmy Onilwynowi rękę i w chwili gdy jego palce dotknęły pierścienia, poczułam, jakby przeszło mnie ostrze noża. Odczucie było tyleż przyjemne, co bolesne. Onilwyn cofnął się gwałtownie i rzekł:

- To bolało. Naprawdę bolało.

Potarłam brzuch otwartą dłonią, zwalczając w sobie pragnienie, by zejść trochę niżej.

- Nigdy dotąd pierścień nie wywołał tak bolesnej reakcji, zwłaszcza przy pierwszym kontakcie. Nigdy.

W wybałuszonych oczach Onilwyna widać było przerażenie.

- Czemu tak się stało?

- Wygląda na to, że dla każdego z mężczyzn reakcja jest inna. - Barinthus odwrócił się do Doyle'a. - Czy to także coś nowego?

Doyle pokiwał głową.

Onilwyn odsunął się ode mnie, rozmasowując rękę. Zastanawiałam się, czy tylko dłoń go bolała, czy może i on także tłumił w sobie ochotę rozmasowania ciała niżej...

- Carrow - rzekł Barinthus, przywołując do siebie strażnika.

Nie zawahał się. Podszedł do mnie, uśmiechnięty. Podobnie jak Galen, nigdy nie miał tajnego planu, ale w przeciwieństwie do niego charakteryzował się pogodą ducha i życzliwością.

- Mogę? - zapytał.

- Tak. - Wyciągnęłam do niego rękę, a on ją ujął.

Jego dłoń przeslizgnęła się po pierścieniu bez jakiegokolwiek reakcji. Nie było nic prócz

wrażenia ciepłej skóry ocierającej się o moją. Trzymał mnie za rękę i to wszystko.

Pierścień na moim ręku pozostał zimny.

Przez moment dostrzegłam w jego uśmiechu rozczarowanie, tak gorzkie, że wypełniło oczy, przydając tęczęwkom odcień brązu tak ciemnego, jakby zapadła w nich noc. Zaraz jednak przysłonił oczy długimi frankami rzes i się uklonił. Mogłam się tylko domyślać, ile kosztowała go ta gra pozorów.

Skoncentrowaliśmy się na Amatheonie, gdyż tylko on pozostał. Jego przystojne oblicze wydawało się rozdarte toczącym się w duszy mężczyzny konfliktem. Jedno było oczywiste: nie zamierzał dotknąć pierścienia.

Chyba nie chciał wiedzieć. Był mężczyzną, miał swoje potrzeby, a to był jedyny sposób na uwolnienie się z pułapki, w jaką królowa wciągnęła wszystkich swoich strażników.

Onilwyn ujął to najlepiej: dla Amatheona zaspokojenie tych potrzeb ze mną, uosabiającej wszystko, co jego zdaniem było najgorsze w sidhe, graniczyło z czymś gorszym od wymuszonej abstynencji.

- To nie jest wybór, na jaki mógłby się zdecydować ktokolwiek z nas, Amatheonie, ale musimy się postarać.

Podeszłam do niego, a panika wyryła głębokie bruzdy na jego obliczu. Wyglądał, jakby nie miał dokąd uciec.

Była Królową Powietrza i Ciemności i znalazłaby go, chyba że istniał gdzieś kraj, w którym nigdy nie zapadała noc. Prędzej czy później odnajdowała każdego.

Zatrzymałam się w odległości wyciągniętej ręki, obawiając się skrócić dystans. Strach na jego twarzy i w ułożeniu ramion udzielał się także mnie. Zupełnie jakby to, że stał przede mną, było swego rodzaju torturą.

- Nie zmuszałabym cię do tego, Amatheonie, gdyby któreś z nas miało jakikolwiek wybór.

Wykrztusił przez zęby:

- Ale nie mamy wyboru.

Pokręciłam głową.

- Żadnego.

Sprawiał wrażenie, jakby odbudował się na moich oczach. Upchnął gdzieś w sobie strach i inne rozterki. Jego twarz wygładziła się i ponownie pojawiła się na niej znajoma arogancja. Dłonie zaciśnięte w pięści przy bokach były ostatnimi elementami, które opanował. Rozwierał dłonie jeden palec po drugim, jakby towarzyszył temu niewysłowiony wysiłek. I może faktycznie tak było. Bywają chwile, kiedy wydaje mi się, że zapanowanie nad sobą jest trudniejsze niż cokolwiek innego.

Wypuścił powietrze; jego oddech był tylko trochę nierówny.

- Jestem gotowy.

Wyciągnęłam do niego rękę.

Zawahał się, po czym ujął moją dłoń i w chwili gdy jego palec musnął metal, magia przetoczyła się po mojej skórze niczym ciepły wiatr.

Amatheon szarpnął się w tył jak oparzony. Oczy miał rozszerzone i przerażone, ale nie z bólu. To było dla niego równie przyjemne jak dla mnie. Mogłam się o to założyć.

- Pierścień został usatysfakcjonowany - rzekł Barinthus. - Przywołajmy tę kobietę, niech się nami zajmie. Królowa życzy sobie, abyśmy prezentowali się podczas wywiadów idealnie.

- A co z nim? - spytał Doyle, wskazując na Abloeca, wciąż klęczącego z nieco krzywym uśmiechem na ustach.

- Będziemy go trzymać z dala od księżniczki. A dla tych, którzy mają skrzydła, nie

zapomnieliśmy o płaszczach. - Patrzył, jak Sage i Nicca postąpili naprzód, zrzucając z siebie koce, podczas gdy Usna podał im złożone płaszcze. - Nie mogę się doczekać, by usłyszeć w tej kwestii stosowne wyjaśnienie, jakie złożycie królowej.

- Czy królowa zabroniła ci zadawać takie pytania? - wtrącił Doyle.

- Nie, ale oznajmiła, że wszystkie tego rodzaju wyjaśnienia muszą poczekać i mają zostać złożone w jej obecności.

Kącik jego ust zadrżał, jakby tłumił w sobie uśmiech.

- Królowa Andais zdaje się myśleć, że mamy przed nią tajemnice.

- My, czyli kto? - spytałam.

- Najwyraźniej cały dwór - odparł i jego oko znów przesłoniła na moment przezroczysta błona.

Na dworze coś się wydarzyło albo może działo się na bieżąco, coś, co wzbudziło w Barinthusie silne zdenerwowanie.

Chciałam zapytać, co było tego powodem, ale nie mogłam. Nie w obecności Onilwyna i Amatheona. Siatka sojuszników dotarłaby do Cela. Jaki cel miała królowa, posyłając ich obu do mego łóżka? Czy miała jakiś plan, czy może jej szaleństwo osiągnęło nowy, wyższy poziom? Nie wiedziałam i nie zamierzałam pytać. Nie mogłam sobie pozwolić, by którakolwiek ze stron usłyszała, że oskarżam królową, iż jest obłąkana. Wszyscy wiedzieli, że była szalona, ale nikt o tym nie mówił. A w każdym razie na głos. I nie mając pewności, że znajduje się wyłącznie wśród przyjaciół.

Spojrzałam na nowych przybocznych i na moich strażników. Sage w nowym złotym płaszczu wyglądał jak wykuty z gęstego złocistego miodu. Skrzydła wyrastające z jego pleców wyglądały jak niespodzianka z witrażowego szkła. Sage nie należał do mnie. Sidhe czy nie, jako poddany królowej Niceven nie był moim przyjacielem. Była moją sojuszniczką, dopóki potrafiłam ją uszczęśliwić, ale nie mogłam uważać jej za moją przyjaciółkę.

Amatheon unikał mego spojrzenia. Onilwyn odnalazł je, ale tylko na chwilę, zanim ukrył swe przerażone oczy. Ugryzienie zaserwowane przez pierścień wcale mu się nie spodobało, mnie zresztą też nie. Usna pomagał Nicce założyć soczysty czerwono-fioletowy płaszcz spięty srebrną broszą z opalem. Był zbyt zajęty żartowaniem z Niccą na temat skrzydeł, by zauważyć moje spojrzenie. Carrow odsunął się od innych. Wkrótce miał opuścić nasze szeregi. Królowa nie zechce marnować na mnie bezpłodnego strażnika.

Jako że tylko Sage pozostawał osobą wątpliwą, mogliśmy go wyprosić z hali, ale skoro Andais przydzielała mi coraz więcej osób, którym nie ufałam, niebawem z pewnością pojawi się ktoś, kto nie zechce potulnie opuścić pomieszczenia, abyśmy mogli swobodnie snuć nasze intrygi. A może to był jej pomysł. Któregoś razu próbowała podesłać mi szpiega.

Ten został jednak zdemaskowany. Tylko że ów szpieg próbował mnie później zgładzić, a po jego śmierci Andais nie przydzieliła na jego miejsce nikogo nowego. Może o to właśnie chodziło. Spojrzałam na trzech nowych strażników, których Barinthus wcale tu nie chciał, i pomyślałam, tak, to jest to. To byli jej szpiegowie. Jeden z nich, a może wszyscy trzej. Wysłała trzech, bo chciała mieć pewność, że przynajmniej jeden z nich zostanie wybrany przez pierścień. Ale się uśmieje, kiedy się dowie, że wszyscy jej szpiegowie pomyślnie przeszli próbę.

Rozdział 23

Pół godziny później staliśmy na podium z zamontowanymi na nim trzema mikrofonami. Madeline uwijała się jak w ukropie i była w swoim żywiole, mogąc kontrolować grupę najpotężniejszych istot, jakie pozostały na tej planecie. Oczywiście gdyby Madeline Phelps bała się albo była onieśmielona potęgą sidhe, nigdy nie przeżyłaby siedmiu lat, pracując dla królowej Andais. Doyle i Barinthus w końcu przypomnieli jej, że mieliśmy ściśle ramy czasowe, i pozwolili jej zamienić ulubioną skórzaną

kurtkę Galena na świetnie skrojoną marynarkę. Wiedziałam, że oślepiająco kolorowa kurtka Kitta też była do wymiany, ale nie zdawałam sobie sprawy, że dzinsy i koszulka polo również były nie do przyjęcia.

Problem w Los Angeles polegał na tym, że Kitto był zbyt szeroki w barach i dziecięce rzeczy na niego nie pasowały, a nie był na tyle wysoki, by móc kupować ciuchy dla dorosłych mężczyzn, więc miał dość ograniczony wybór. Najwyraźniej królowa o tym pomyślała i do czarnych spodni, jakie udało się nam znaleźć, dobrała barwną, lśniącą jedwabną koszulę z długim rękawem, lecz czarna marynarka, którą przysłała, nie pasowała. Była zbyt obszerna w ramionach i miała za długie rękawy. W końcu Madeline przyznała, że marynarka wyglądała gorzej niż sama koszula. Pozostali mężczyźni prezentowali się świetnie. Prawdę mówiąc, słówko świetnie nie oddawało sprawiedliwości żadnemu z tych mężczyzn. Wyglądali bajecznie, urzekająco, zdumiewająco, ale nie świetnie.

Ja tymczasem potrzebowałam krótszej spódniczki. Dostarczono mi czarną, ledwie zakrywającą górną część ud. Moja słabość do noszenia pończoch sprawiała, że w przypadku tej spódniczki widać było ich koronkowy brzeg. Gdybym nie była ostrożna, spacerując po podwyższeniu, mogłabym pokazać znacznie więcej niż tylko skraj pończoch. Cieszyłam się, że miałam na sobie gładkie czarne majtki, zwykłe, nie z koronki i bez żadnych dziurek.

Gdybym nimi błysnęła, przynajmniej zobaczono by, że noszę prostą czarną satynę.

Oczywiście do nowej spódniczki potrzebowałam innych pantofli. Madeline zaproponowała parę skórzanych szpilek na dziesięciocentymetrowych obcasach. Jestem dobra w chodzeniu w szpilkach, ale zmusiłam ją, by obiecała, że będę mogła przebrać się, zanim wyjdę na śnieg.

Szpilki nie są najlepsze do chodzenia po śniegu, chyba że chcesz złamać nogę w kostce.

Stałam na podwyższeniu pod ścianą z Mrozem po jednej i Doyle'em po drugiej stronie. Reszta moich strażników rozstawiła się po bokach. Czułam się trochę, jakbym stała przed plutonem egzekucyjnym, choć u podstawy podwyższenia ustawił się kordon policji mającej dopilnować, by nie doszło do żadnej próby egzekucji. O ile królowa nie zatajała przed nami niczego ważnego, domyślałam się, że policja miała na celu jedynie powstrzymanie dziennikarzy przed wdarciem się na podwyższenie. Taka liczba przedstawicieli mediów zebrana w jednym pomieszczeniu wywoływała u mnie poczucie dyskomfortu. To było uczucie graniczące nieomal z klaustrofobią, jakby zabierali lwią część mojego powietrza.

Odkąd sięgam pamięcią, brałam udział w takich wydarzeniach, ale od śmierci mego ojca i tego, jak prasa zajęła się sprawą zamachu na jego życie, nie czułam się swobodnie w towarzystwie dziennikarzy. W najdramatyczniejszych dniach mego życia byłam zasypywana pytaniami w rodzaju: „Jak się czujesz, księżniczko Meredith?”. Mój ojciec, którego uwielbiałam, został zamordowany przez nieznaną skrytobójców. Jak ich zdaniem mogłam się czuć? Ale królowa nie pozwoliła, abym komukolwiek to powiedziała. Nie, królowa Andais, która straciła rodzzonego brata, zmusiła mnie, abym stawiała czoło mediom i zachowała się po królewsku. Chyba nigdy bardziej jak tamtego roku nie nienawidziłam siebie za to, że jestem księżniczką. Jeżeli jesteś królewskiego rodu, nie wolno ci cierpieć w samotności. Twój ból jest relacjonowany w wiadomościach wieczornych, bulwarówkach i dziennikach. Wszędzie, gdzie spojrzałam, widziałam zdjęcie mego ojca. Wszędzie widziałam jego martwe ciało. W Europie opublikowano zdjęcia, których nie chciały amerykańskie gazety, zdjęcia ociekające krwią. Silne, wysokie ciało mego ojca zmienione w krwawą miazgę. Włosy rozrzucone na trawie jak czarny płaszcz, reszta była prawie nie do rozpoznania.

Doyle dotknął mego ramienia. Nachylił się do mnie i wyszeptał:

- Dobrze się czujesz?

Oblizałam świeżo usminkowane usta i skinęłam głową.

- Przypomniałam sobie pierwszą konferencję prasową, na której były takie tłumy.

Zrobił coś publicznie, czego nigdy dotąd nie robił jako Ciemność Królowej: uściskał mnie, choć tylko jedną ręką, aby drugą móc ewentualnie sięgnąć po broń. Oparłam się o jego skórzaną kurtkę i ciepłe ciało pod nią. Zignorowałam błyski fleszy, próbując nie myśleć, że ten widok znajdzie się we wszystkich znanych ludzkości mediach. Potrzebowałam tego przytulenia, więc z niego skorzystałam i próbowałam nieco się rozchmurzyć. Przybyliśmy tu, by pomówić o moich poszukiwaniach męża, księcia, przyszłego króla. To była radosna okazja i królowa chciała, byśmy się często i szeroko uśmiechali.

Madeline przyjęła pierwsze skierowane do mnie pytanie.

Doyle jeszcze raz mnie uściskał, a ja zakołysałam się z uśmiechem na moich dziesięciocentymetrowych obcasach. Pytanie to słyszałam już wcześniej, podobnie jak większość innych.

- Księżniczko Meredith, czy wybrałaś już męża?

- Nie - odparłam.

Wstał następny reporter.

- Czemu więc odwiedzasz dom? Co pragniesz ogłosić?

Królowa wyjaśniła, ile prawdy mogę zdradzić.

- Mój wuj, Król Światła i Iluzji, wydaje bal na moją cześć.

- Czy zabierasz swoich przybocznych?

To było podchwytliwe pytanie. Gdybym po prostu powiedziała tak, mogliby napisać, że na Dworze Seelie nie czułam się bezpiecznie bez mojej gwardii. I faktycznie tak było, ale nie chciałam dać im tego do zrozumienia.

- Moi przyboczni zawsze mi towarzyszą. - Zawahałam się, a Madeline nachyliła się do mnie, by zdradzić mi imię dziennikarza:

- Steve.

- Steve - powtórzyłam. - Bądź co bądź, to przecież tańce i nie mogłabym zostawić moich najlepszych parterów w domu, aby siedzieli beczynnym, zgadza się?

Uśmiech, uśmiech i dalej. Jakaś kobieta zapytała:

- Królowa Andais ogłosiła, że na jej dworze odbędą się tańce na twoją cześć. Kiedy udasz się na Dwór Seelie?

- Za dwa dni, jak było zaplanowane - odparłam, a zwrot „jak było zaplanowane” miał zagwarantować możliwość zmiany, gdyby wydarzyło się coś okropnego i uznalibyśmy, że ta wizyta może się okazać zbyt niebezpieczna. Poza tym był to dość archaiczny zwrot, a prasa lubiła, gdy wtrącaliśmy je od czasu do czasu. Byłam księżniczką faerie i niektórzy czuli się rozczarowani, gdy wyrażałam się jak rodowita mieszkanka Środkowego Zachodu. Dlatego od czasu do czasu próbowałam wyrażać się tak, jak tego ode mnie oczekiwano. Większość mężczyzn wciąż zachowała szcążkowy pierwotny akcent. Tylko ja mówiłam jak przeciętna Amerykanka. No dobrze, ja i Galen.

- Czy dojdzie do pojednania między dworami?

- O ile mi wiadomo, między dworami nie ma waśni, chyba że wiesz coś, o czym ja nie mam pojęcia, Maury. - Pamiętałam jego imię. Uśmiechnęłam się, przekrzywiłam głowę w bok i pozwoliłam ujrzeć przeblysł tego, jak młodo potrafiłam wyglądać, kiedy było to konieczne. To była moja wersja spojrzenia jelonka Bambi: Zobaczcie, jaka jestem bezbronna i milutka, nie róbcie mi krzywdy.

Mój występ został nagrodzony śmiechem i kolejnymi błyskami fleszy, które prawie mnie oślepiły. Na następne pytanie odpowiedziałam, mając przed oczami tańczące powidoki.

Włożyłabym okulary, gdyby ciotka mi tego nie zabroniła. Okulary przeciwsłoneczne nie wyglądają przyjaźnie. A my chcieliśmy wyglądać przyjaźnie. Przybocznym, którzy zabrali ciemne okulary, pozwoliła je włożyć. Kto by pomyślał. To oznaczało, że była zmartwiona bardziej niż podczas mojej ostatniej wizyty. A nikt z nas wciąż nie wiedział dlaczego.

Musiałam przyznać, że większość z nich w ciemnych okularach wyglądała jak męski chórek.

Merry i jej wesola kompania. Tak nazwały nas media. Nie najlepsza nazwa dla zespołu rockowego, ale słyszałam gorsze.

- Który z twoich przybocznych jest najlepszy w łóżku? - spytała jakaś dziennikarka.

Pokręciłam głową, tak że moje włosy zafalowały, a w szmaragdowych kolczykach odbiło się światło.

- No wiesz... - Madeline wyszeptała mi do ucha imię kobiety - Stephanie, dama nie zdradza takich intymnych szczegółów. To nie wypada.

- Ale ty nie jesteś damą - rozległ się męski głos z końca sali. Znałam ten głos. Barry odezwał się na tyle głośno, że w sali zapanowała cisza, a wówczas dodał: - Tylko jeszcze jedną dziwką faerie. Królewska krew tego nie zmienia.

Nachyliłam się do mikrofonu i równie donośnie odparłam:

- Jesteś po prostu zazdrosny, Barry.

Kilku policjantów z kordonu już zmierzało w stronę drugiego końca sali. Barry Jenkins zawsze był na czarnej liście tych, których nie należało wpuszczać. Miał zakaz zbliżania się jeszcze od czasów śmierci mego ojca. To on zrobił mi zdjęcie, jak szlochałam nad ciałem. Sąd uznał, że reporter naruszył prawa małoletniej, czyli moje. Uznano, że nie mógł czerpać korzyści z tego tytułu. To oznaczało, że wszystkie zdjęcia, których nie wykorzystał, były bezużyteczne. Nie mógł ich sprzedać. A to, co zarobił ze sprzedaży innych zdjęć, musiał przekazać na cele charytatywne. W jednej chwili był na najlepszej drodze do zdobycia Pulitzera, w następnej znalazł się na równi pochyłej. Nigdy mi tego nie wybaczył.

Na swój sposób i tak się zemścił. Kiedy mój ówczesny narzeczony, Griffin, sprzedał intymne zdjęcia tabloidom, zrobił to za namową Jenkinsa. Nie byłam już nieletnia, a Griffin sam udał się do niego, więc nie musiał nawet zbliżyć się do mnie na mniej niż piętnaście metrów, by napisać artykuł.

Moja ciotka, Królowa Powietrza i Ciemności, wydała na Griffina wyrok śmierci. Nie za to, że mnie skrzywdził, ale za to, że zdradził ludziom nasze intymne tajemnice. To było zakazane. O ile mi wiadomo, wciąż na niego polują. Myślę, że gdyby posłała za nim Doyle'a, Griffin już by nie żył, ale Ciemność miał ważniejsze rzeczy niż zemsta. Utrzymanie mnie przy życiu i zapłodnienie było dla niej ważniejsze niż ukaranie Griffina. A niech to, nawet dla mnie to było znacznie istotniejsze.

Nie chciałam śmierci Griffina. To by nie zmieniło ani tego, że był moim narzeczonym przez siedem lat, ani że zdradzał mnie ze wszystkim, z czym mógł się przespać. W trzy lata po naszym zerwaniu zdradził mnie z prasą. Griffin chyba wierzył, że był tak dobry, iż zechcę mu wybaczyć. Jego urojenia to nie mój problem. Dlatego wrócił do gwardii królowej, a ponieważ go odrzuciłam, Andais znów skazała go na celibat. Jeżeli nie sypiał ze mną, to nie sypiał z nikim. Po części bawiła mnie ironia tej sytuacji. Po części cieszyłam się z tej zemsty.

Następnego dnia w bulwarówkach pojawiły się zdjęcia i jego wywiad z Jenkinsem.

Policjanci przy drzwiach odcięli Jenkinsowi drogę ucieczki i mógł tylko stać, czekając, aż dotrą do niego inni gliniarze.

- Co się dzieje, Meredith, obawiasz się prawdy?

- Nakaz sądowy stanowi, że nie wolno ci się do mnie zbliżać na mniej niż piętnaście metrów. Ta

sala nie ma aż tyle.

Był na tyle nieprzyjemny, że major Walters wysłał trzech kolejnych ludzi, by opanować sytuację. A może po to, by nie dopuścić bliżej fotoreporterów i dopilnować, by szamoczący się Jenkins nie zniszczył nikomu cennego sprzętu, bo raczej trudno go było uznać za poważne zagrożenie dla mnie czy dla kogokolwiek innego.

Pozostali gliniarze próbowali ochraniać podium od frontu, ale było ich za mało.

Gdyby teraz prasa na nas ruszyła, byłoby po nas, ale oczywiście ich interesował bardziej incydent z Jenkinsem. Jutro napiszą o tym na pierwszych stronach gazet. Jak dotąd było to najistotniejsze wydarzenie, które sprawi, że znów pojawią się wzmianki o Jenkinsie i naszym dawnym zatargu, chyba że damy im ciekawszy temat.

Doyle i Mróz stanęli obok mnie. Doyle dotknął mego ramienia, spychając mnie w stronę ściany, bliżej do pozostałych.

- Nie chcę, by śmierć mego ojca powróciła na pierwsze strony gazet - wyszeptałam. - Nie zniosłabym tego po raz drugi.

Wydawał się zdezorientowany nawet mimo ciemnych okularów.

- Oni znów zaczną to wygrzebywać, Doyle. Będą to rozgrzebywać, żeby wytłumaczyć Jenkinsa. Mróz dotknął jego ramienia.

- Ona może mieć rację.

Doyle pokręcił głową.

- Twoje bezpieczeństwo jest najważniejsze.

- Są różne rodzaje bezpieczeństwa - powiedział Mróz.

Nie było śladu po rozdrażnionym dziecku, którego tak się obawiałam. Mróz zachowywał się jak dorosły i tak mnie to ucieszyło, że go uściskałam. Tak miło było go przytulić. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo się bałam.

- Co chciałabyś, abyśmy zrobili? - spytał łagodniejszym tonem Doyle.

Poczułam na skórze falę magii. Unieśliśmy wzrok i okazało się, że wszyscy inni sidhe także przepatrują salę. To było zaklęcie, ale jakie i skąd?

Jeden z policjantów przed podium potknął się, jakby źle stanął albo zahaczył o coś niewidzialnego. Zobaczyłam, jak mężczyzna odwraca się do nas, i dostrzegłam wyraz zdumienia w jego oczach. Mróz odwrócił się plecami do niego i zaczął sprowadzać mnie z podwyższenia. Później zobaczę to na zdjęciach, ale kiedy to działo się na bieżąco, nie widziałam niczego prócz koszuli Mroza, nie czułam nic prócz tego, jak mnie podźwignął w górę i zaczął biec. Z tyłu za nami huknął strzał, i kolejny, tak blisko, że niemal zlały się w jeden. Mróz rzucił się na podłogę. Przydusił mnie i nie widziałam nic prócz bieli jego koszuli i szarości marynarki. W powietrzu czułam woń kordytu, jakby coś się paliło. Nie było słychać żadnych dźwięków. Ryk broni palnej w tak ograniczonej przestrzeni, z tak dobrą akustyką pozbawił mnie słuchu, miałam nadzieję, że tylko tymczasowo. Dostrzegłam, jak sądziłam, stopy Galena, zanim poczułam większy ciężar, gdy rzucił się na Mroza, tworząc wokół mnie żywą tarczę. Ciężar się zwiększył, ale nie wiedziałam, kto to był, i wołałam nawet się nie domyślać.

Pierwsze, co uświadomiło mi, że nie ogłuchłam, to silne uderzenia serca Mroza tuż przy moim uchu. Potem słuch stopniowo zaczął wracać, jak uszkodzone nagranie, fragmenty okrzyków. Te wszystkie krzyki... Wrzaski.

Wiem, co się wydarzyło, tylko dlatego, że później zobaczyłam zdjęcia i nagranie. Ten film był emitowany w każdym kanale we wszystkich wiadomościach. Funkcjonariusz z bronią wymierzoną w plecy Mroza, próbujący mnie zabić, jakby nie widział, że Doyle celował z pistoletu w jego pierś z

odległości niespełna dwóch stóp.

Uzbrojeni policjanci rozglądali się niepewnie, nie rozumiejąc, że problemem był jeden z nich. Jakiś mundurowy wycelowwał broń w Doyle'a. Funkcjonariusz, na którego rzucono czar, wystrzelił, podczas gdy inny w końcu uświadomił sobie, że dzieje się coś bardzo złego i rąbnął go z całej siły w ramię. Ale Doyle wypalił, zanim jeszcze pierwsza kula chybiła celu i przebiła ścianę za nami. Funkcjonariusze powalili na ziemię glinę, na którego rzucono czar, ale mężczyzna i tak był już ranny, dosięgła go kula Doyle'a. Pojawia się później zdjęcia Rhysa i Nicci stojących za Doyle'em z pistoletami i mieczami w rękach oraz Barinthusa i pozostałych tworzących wokół nas żywy mur.

Gdy to się działo, byłam przygnieciona biało-szarym ciałem Mroza, podczas gdy mój słuch powrócił, a to, co słyszałam, to były głównie krzyki. Coś ciepłego skapnęło mi na czoło, wilgotnego i cięższego niż pot. Nie mogłam poruszyć i unieść głowy, ale do pierwszej dołączyła kolejna kropla, ściekając po mojej skórze. Poczulałam zapach metalicznie słodkiej krwi.

Próbowałam zepchnąć go z siebie, zapytać, jak ciężko jest ranny, ale to było niewykonalne. Zdołałam wykrztusić:

- Mróz, Mróz, jesteś ranny.

Nawet jeśli cokolwiek usłyszał, nie zareagował.

Wszyscy mnie zignorowali. Zupełnie jakbym nie miała nic do powiedzenia w sprawie tego, co się teraz działo. Jakiś człowiek usiłował mnie zabić, ale teraz to policja i ochroniarze byli na podium, a nie ja.

Usłyszałam wołanie majora Waltersa:

- Wyprowadźcie ją stąd! - Ten okrzyk został podchwycony jak zawołanie wojenne.

- Wyprowadźcie ją stąd! Wyprowadźcie ją stąd! - rozległy się męskie głosy.

Ciężar nade mną zelżał i znów zobaczyłam światła sali, Kolejne głosy:

- Boże, ona jest ranna! - Znów ten podchwycony krzyk. - Ona jest ranna! Jest ranna!

Księżniczka jest ranna!

Później pojawi się moje zdjęcie, na którym mam krew na twarzy, ale to nie była moja krew. Chyba byłam jedyną osobą, która wtedy zdawała sobie z tego sprawę.

Kitto wciąż klęczał blisko mnie i wiedziałam, że jego ciało tworzyło żywy mur wokół mnie. Barinthus wyciągnął do mnie rękę.

- Merry, maleńka. - Nie nazywał mnie tak od lat. Ujęłam go za rękę, podczas gdy Galen próbował spojrzeć na ramię Mroza, lecz wyższy mężczyzna bezceremonialnie go odtrącił. Nie zdawałam sobie sprawy, że Barinthus był jedynym mężczyzną, który w tamtej sali nie dotknął pierścienia.

Kiedy mnie podnosił, jego dłoń napotkała pierścień. Zastygł w pół ruchu z wyrazem zaskoczenia na twarzy. Strażnicy, którzy byli nowi, rozejrzeli się dokoła, wypatrując nowego zagrożenia, gdyż poczuli magię. Moi przybocznicy również domyślali się, o co chodzi, wiedzieli jednak, że to nie kolejny zamach na moje życie. Usłyszałam Mroza:

- Chroń nas, Wybranku.

- Cholera - wycedził Rhys.

Potem całą salę pochłoneła fala magii. Woda była ciepła jak w wannie, ciepła jak krew. Barinthus był tuż przy mnie. Pomagał mi płynąć. Prawie niewidoczne błony między jego palcami uaktywniły się. Jednym silnym ramieniem ciął wodę, drugim zaś przytrzymał mnie przy sobie. Oboje byliśmy nadzy. Ciepło wody sprawiło, że nie zwróciłam na to uwagi.

Czułam, jak nogi Barinthusa poruszają się, utrzymując nas na powierzchni, pośrodku błękitnego bezmiaru, niebieskiego jak jego włosy, zielonego jak jego włosy, szarego jak jego włosy. Te opadały

na ramiona, dosięgały wody. Wydawało się, że każde ich pasemko staje się prądem, jak roztopiająca się struga barw, która oddalała się od nas, aż nie mogłam rozróżnić, co było włosami, a co wodą, i czułam tylko twardość jego ciała przy swoim.

- Merry - powiedział - co ty zrobiłaś?

Otworzyłam usta, ale nie popłynęły z nich słowa.

- Oddaję ci twój ocean, Manannanie Mac Lir, przyjdź i zabierz go.

Dotknął moich ust dłońmi i przez chwilę tylko jego silne nogi utrzymywały nas na powierzchni.

- Nie wymawiaj tego imienia, gdyż nie jestem nim. Nie byłem nim przez długie lata. -

Wydawał się skonsternowany, jakby usłyszawszy to imię, poczuł się zraniony.

Mglistość uświadomiłam sobie, że nie byłam zupełnie sama w moim ciele i nie całkiem nad nim panowałam. Ta myśl powinna mnie przerazić, ale tak się nie stało. Moc była kojąca, taka bezpieczna. Tak jakby otulił mnie kokon spokoju.

- Pójdź, napij się ze mnie...

Moje ciało owinęło się wokół niego. Zupełnie jakbym wiedziała, że spróbuje mnie odepchnąć, ale teraz nie mógł się już uwolnić. Moje drobne, krągłe ramiona były jak żywe łańcuchy, nogi, którymi obejmowałam go w pasie, wydały się solidne jak korzenie górskiego drzewa. Mógł się mnie wyprzeć, ale nie mógł mnie od siebie odepchnąć. Ciężar mojego ciała zmusił go do obrócenia się na wznak z głową lekko tylko wystającą ponad fale.

Jego oczy błysnęły bielą.

- Nie jesteś Merry.

- Jestem. - Wiedziała, że to była prawda.

- Ale jesteś nie tylko Merry. - Jego ręce i nogi delikatnie unosiły się na powierzchni.

- Nie, nie jestem tylko Merry.

- Danu - powiedział, a jego głos zabrzmiał jak szmer fal rozlewających się po odległym brzegu.

Dotknęłam jego karku. Moje usta zawisły nad jego ustami, a jego męskość dotknęła mojej wilgotnej szparki. Ten dotyk, jakże intymny, sprawił, że znów stałam się sobą.

- Barinthusie.

- Merry, zgadzasz się na to? Bogini i Bóg chcą dobrze, ale ja widziałem, jak wykorzystywali ludzi, i już nie wierzę, że cel uświęca środki.

Unosił się na falach pode mną, jego włosy tworzyły niebiesko-szaro-zielono-turkusowo-granatową aureolę wokół głowy. Twarz, pośrodku tych barw i nieustannego ruchu, wyglądała jak kwiat. Zewsząd otaczała nas woda. Był jedyną solidną rzeczą pośród tego rozkołysanego bezmiar. Nie przylgnęłam do niego. Dosiadłam go, a on mnie przytrzymał.

Poczułam się uspokojona. Powiadają, że ocean bywa zdradziecki, ale gdy siedziałam na nim, czując jego nacisk na moim ciele, napór długiej, twardej męskości, w jego oczach dostrzegałam jedynie łagodność. Przerwałby to, odpuścił, gdybym tylko powiedziała „nie”.

Nachyliłam się nad nim, a jego ciężki oddech omiół moje usta niczym pocałunek.

- Napij się z mych warg - szepnęłam. - Pragnę poczuć w sobie twoją moc.

- To nie będzie cała moja moc, bo jesteś śmiertelniczką i mogłabyś utonąć - odparł.

Po tym ostrzeżeniu jego usta uniosły się na spotkanie moich, a gdy ich dotknęły, wbił się w moje ciało. Przekazywałam mu swoją moc, a magia zdawała się równocześnie ze mnie wypływać i na powrót wpływać do mojego wnętrza. Staliśmy się kręgiem ust i ciał, magii dawanej i otrzymanej, życia i małej śmierci, jego mocy utrzymującej nas ponad falami, mojej miękkości ściągającej nas w dół. Zupełnie jakby jedna magia próbowała utrzymać nas na powierzchni, a druga utopić. W bezmiarze życia, śmierci; w bezmiarze rozkoszy, zagrożenia; w bezmiarze oceanu, ładu.

Sama ziemia mnie przyzywała, oddalona o wiele mil pod nami. Łąd rozciągał się głęboko pod falami oceanu, a ja go czułam. Czułam ziemię obracającą się pod nami, wirującą spiralnie, zupełnie jakby wychwyciła moje myśli i zadrżała w swoim łożu.

Poczułam falę mocy nadciągającą spod nas jak jakaś wielka czarna istota płynąca w górę, szybko, coraz szybciej, smukła, mroczna i zabójcza. Wzburzyła morze, tworząc na jego powierzchni gigantyczne fale, i sprawiła, że łąd pod nami zawrzał, a powietrze wypełniło się parą. Woda nie była już ciepła, lecz gorąca, tak gorąca, że aż krzyknęłam.

Dostrzegłam jego twarz, poczułam jego dłonie na moich biodrach i jego ciało wbijające się we mnie, i to już nie była tylko jego twarda męskość. Tak jakby między moje nogi wlewały się nieskończone fale oceanu, wpływając we mnie, przeze mnie i nade mną, a my wzbijaliśmy się w powietrze na słupie wody lśniącym niczym kryształ i migoczącym drobinkami gorzącej skały jak płynny ogień. Zrozumiałam, czemu poprosił o moje pozwolenie. Nie byłam boginią, byłam tylko Merry i nie mogłam przyjąć wszystkiego, co oferował. Krzyknęłam, na poły z rozkoszy, gdy mnie brał, a na poły ze strachu, bo to uczucie zdawało się nie mieć końca.

Pośród odgłosów falującego, skłębionego oceanu pod nami usłyszałam, jak krzyknął:

- Wystarczy!

Leżałam na podłodze, na podium, a Barinthus spoczywał połową ciała na mnie.

Zamrugaliśmy, spoglądając na siebie nawzajem, i dostrzegłam w jego oczach zakłopotanie równie silne jak moje. Wiedziałam, gdzie byłam i co się wydarzyło, ale zmiana była... gwałtowna.

Ujrzałam Doyle'a i innych, tworzących krąg wokół nas, aby przysłonić to, co się w nim działo. W tym kręgu była moc, czułam ją. Strażnicy, którzy przybyli z Barinthussem, gapili się na nas, a policjanci krzyczeli:

- Zabierzcie ją stąd!

Minęło zaledwie kilka sekund, nie więcej.

Barinthus podniósł się na klęczki i sięgnął po rękę, na której nie miałam pierścienia, by pomóc mi uciec. Ten sygnał był dostatecznie czytelny, bo wszyscy równocześnie opuścili ręce. Krąg został przerwany i woda wylała się na zewnątrz. Miniaturowy potop zalał podium, stojące najbliżej krzesła, oraz kordon policji.

Jasnoszare spodnie Mroza były całkiem przemoczone. Biały jedwabny trencz Rhysa został całkiem zniszczony. Tylko dwie osoby stały pośrodku tej kaskady wody i pozostały suche - Barinthus i ja.

Podszedł do nas major Walters, ocierając wodę z twarzy.

- Co to, kurwa, było?

Doyle chciał coś powiedzieć, ale Walters zbył go ruchem ręki.

- Pieprzyć to, zabierajcie ją stąd.

Kiedy wszyscy zaczęli popatrywać jeden na drugiego, zamiast wypełnić polecenie, Walters nachylił się w stronę Doyle'a i tonem nieznośnym sprzeciwu, którego mógłby mu pozazdrościć niejeden sierżant prowadzący musztrę, rzucił:

- Ruszać się!

Wykonaliśmy rozkaz.

Rozdział 24

W drodze do wyjścia potknęłam się. Galen wziął mnie na ręce i na kolanach wczuł się do pierwszej limuzyny. Następnego dnia pojawią się zdjęcia ukazujące mnie bardzo kruchą, zakrwawioną, w ramionach Galena. Co oznaczało, że jakiś głupio odważny reporter zamiast się

ukryć, gdy w pobliżu używano magii i broni palnej, poszedł za nami, by zrobić parę zdjęć. Chyba nie da się zdobyć Pulitzera, grając zachowawczo.

Znalazłam się w limuzynie, wciąż spoczywając na podółku Galena, a pozostali strażnicy ładowali się do środka. Zorientowałam się wtedy, że nie była to osobista limuzyna mojej ciotki, ale zwykła, przedłużona. Innymi słowy była w środku większa od czarnego powozu, choć nawet w połowie nie tak przerażająca.

Drzwiczki zamknęły się, ktoś dwukrotnie klepnął w dach i ruszyliśmy. Doyle kręcił się, depcząc wszystkich po nogach, a Galen zajął miejsce przy drzwiach. Rhys i Kitto przycupnęli naprzeciw nas. Barinthus zajął obrotowy fotel. Tym samym nieco utrudnił pozostałym dostęp do siedzeń w głębi limuzyny. Kiedy mówi się, że limuzyna jest przedłużona, nie ma w tym ani krzty przesady.

Sage i Nicca znaleźli się tuż obok, na dwóch ostatnich obrotowych fotelach, które odwrócili bokiem, by pomieścić skrzydła. Usna zwinął się w głębi, podkulając nogi pod siebie i usiłując wyjąć wodę z włosów. Wyglądał na zniesmaczonego tym wszystkim. A może po prostu nie lubił być mokry.

Jak przez mgłę zdałam sobie sprawę, że spodnie Galena były wilgotne i że ja mam mokre majtki. Zwlokłam się z jego podółka i wstałam; to jeden z plusów niskiego wzrostu.

- Będę cała mokra.

- Wszyscy są mokrzy z wyjątkiem ciebie i Barinthus - rzucił z przedniej części limuzyny Usna.

Galen złapał mnie za ramię. Dotknął krwi na mojej twarzy, która zaczęła robić się kleista i lepka w dotyku.

- Twoja?

- Nie.

Barinthus spojrzał na niego.

- Dostrzegłem krew na marynarce Mroza. Musi być świeża, skoro nie zmyła jej woda.

- Też zwróciłem na to uwagę. - Doyle wychylił się zza Galena. Woda lśniła na jego twarzy w świetle sufitowej lampki.

- Jesteś ciężko ranny?

Mróz zaprzeczył.

- Nie bardzo.

Dotknęłam ciemnej plamy na jego lewym ramieniu.

- Zdejmij marynarkę.

Odepchnął moją rękę.

- Nie jestem ciężko ranny.

- Chcę sama to zobaczyć - powiedziałam.

Spojrzał na mnie oczyma w najciemniejszym odcieniu szarości, jak chmury przed burzą. Był wściekły, ale raczej nie na mnie; może wkurzała go ta sytuacja.

- Mrozie, proszę.

Zdjął marynarkę, ale zrobił to zbyt szybko i z bólu aż się skrzywił. Spojrzał tymi chmurnymi oczami na Doyle'a.

- To niewybaczalne, że człowiek zdołał oddać strzał.

Uklęłam na siedzeniu obok Mroza.

- Nic nie widać przez koszulę.

Schwycił za rękaw przy szwie i pociągnął, rozdzierając materiał.

- Gdybym strzelił, zanim tamten oddał strzał, policja mogłaby nie uwierzyć, że w ogóle zamierzał to zrobić.

- Celowo pozwoliłeś mu strzelić.

Nie on jeden wyglądał na zdziwionego. To nie wydawało mi się odpowiednim uzasadnieniem. Musiałam ścisnąć go za ramię, bo syknął.

- Wybacz - wymamrotałam i obejrzałam ranę. Kula przeszła na wylot. Rana wyglądała dość czysto, a krwawienie prawie całkiem ustało.

- Kule nas nie zabijają, Mrozie, a Meredith była bezpieczna. Nie mógł jej trafić.

- Dlatego pozwoliłeś Mrozowi zarobić kulkę - mruknęłam.

Po raz pierwszy, odkąd to się zaczęło, przeszył mnie dreszcz. Zupełnie jakby strach czekał, aż znajdę się gdzieś w bezpiecznym miejscu.

Doyle zamyślił się przez chwilę, po czym skinął głową.

- Pozwoliłem policjantowi oddać jeden strzał, tak.

- Kula przeszła na wylot, Doyle, i utkwiała w ścianie. Gdyby trafiła niżej, Merry też by oberwała.

Doyle zmarszczył brwi.

- Teraz, gdy to mówisz, nie wydaje mi się to dobrym uzasadnieniem.

Barinthus wychylił się do przodu i przesunął dłoń tuż przed ciałem Doyle'a. Cofnął się, zacierając palce, jakby czegoś dotknął.

- Zakłęcie zawahania, bardzo subtelne, ale przywiera do ciebie jak nitki pajęczyny.

- Czuję to. - Doyle zamknął na chwilę oczy. Poczulem lekkie wyładowania magii, kiedy wypalił zakłęcie do cna.

Wziął głęboki, drżący oddech i otworzył oczy.

- Niewiele jest osób, które mogą rzucić na mnie taki czar.

- Co z ramieniem Mroza, Meredith? - spytał Barinthus.

- Nie jestem uzdrowicielką, ale wygląda w miarę czysto.

- Nikt z nas nie jest uzdrowicielem. A szkoda. Taki brak może kiedyś oznaczać różnicę między życiem a śmiercią. Pomówię z królową o zatrudnieniu uzdrowiciela.

Limuzyna skręciła, a ja omal się nie przewróciłam.

- Musisz usiąść - rzekł Galen. - Jeżeli nie chcesz być mokra, usiądź na kolanach Barinthusa.

- Nie sądzę - rzekł Barinthus, a w jego głosie pojawił się nieznany dotąd ton.

- A to dlaczego?

Barinthus zdjął z podołka starannie ułożony długi skórzany płaszcz. Na jego jasnoniebieskich spodniach, w kroczu, widniała ciemna plama.

- Nie jestem całkiem suchy.

Zapadła jedna z tych chwil niezręcznej ciszy, ale Galen wiedział, co powiedzieć.

- Czy to jest to, co myślę?

Barinthus ponownie zakrył się płaszczem.

- Tak.

- Co powiesz królowej? - zapytał Doyle.

Uklęknęłam pomiędzy fotelem Barinthus'a a oparciem siedzenia Rhysa i Kitta.

- Królowa nie może go przymusić, aby zastosował się do jej reguł.

- Królowa może uczynić, co zechce - rzekł Barinthus.

- Zaczekaj, przecież wysłała strażników, aby znaleźć wśród nich kochanka dla mnie, mam rację? - Wszyscy spojrzeli na mnie z powagą. - No cóż, kochaliśmy się. Było to po części metafizyczne, ale czy nie ogłosiła jako jednej z reguł, że każdy, na kogo zareaguje pierścień, a kogo do mnie przyśle, ma ze mną uprawiać seks?

Napięcie uchodziło z nich jak woda ściekająca z wilgotnych włosów. Wszyscy, którzy nie nosili czarnych ubrań, mieli na odzieniu ciemne plamy. Ile wody zostało uwolnionej w tym ostatnim wyładowaniu mocy?

- Zatem jestem teraz jednym z twoich? - zapytał niemal żartobliwie Barinthus.

- Tak, o ile to może ochronić cię przed karą śmierci.

- Tylko dlatego, nie ma innego powodu? Spojrzał na mnie z powagą. Odwróciłam wzrok.

Zawsze uważałam Barinthusa za przyjaciela mojego ojca, naszego doradcę, kogoś w rodzaju wujka. Nawet kiedy parę miesięcy temu pierścień go rozpoznał, nigdy nie przyszło mi na myśl, by zaliczyć go w poczet moich kochanków. A on o to nie poprosił.

- Królowa będzie nieźle wkurzona - rzekł Usna. - Spotykała się z tobą od tygodni, dyskutując, których mężczyzn wysłać do księżniczki. Których mężczyzn rozpozna pierścień?

- Porzucił dalsze próby osuszenia włosów i zaczął rozpinać koszulę, choć żeby ją zdjąć, musiał najpierw pozbyć się kabury podramiennej. - Jak mogłeś jej nie powiedzieć, że pierścień cię rozpoznał?

- Skąd wiesz, że to nie było moje pierwsze zetknięcie z pierścieniem?

Usna posłał mu znaczące spojrzenie.

- Proszę, Barinthusie, królowa wysłała cię z tamtymi strażnikami, by wypróbować pierścień, kiedy księżniczka pierwszy raz powróciła na dwór. Ponieważ o tym nie wspomniałeś, wszyscy uznaliśmy, że pierścień cię nie rozpoznał. - Wysunął rękę z pętli pasków kabury podramiennej, która zawisała teraz luźno przy jego pasie, i zaczął zdejmować koszulę. Czerwień i czerń obecne na włosach pojawiały się też miejscami na jego ciele.

- Dziś pierścień z całą pewnością cię rozpoznał.

- Nigdy nikogo nie okłamałem na temat pierścienia - rzekł Barinthus.

- Nie, my nigdy nie okłamujemy się nawzajem - odrzekł Usna - ale tak wiele pomijamy, że równie dobrze można by to uznać za kłamstwo. - Upuścił mokrą koszulę na podłogę i zajął się paskiem.

- Zamierzasz się tu rozebrać? - spytałam.

- Jestem cały mokry, księżniczko. Jeżeli będę mógł zrzucić odzienie, zacznę schnąć.

Ubranie będzie mokre dłużej niż moja skóra.

- To prawda, że pierścień zareagował na mnie, kiedy Meredith pierwszy raz wróciła na dwór, wtedy jednak pomyślałem, że będę jej bardziej przydatny, gdy pozostanę na dworze jako jej sojusznik. Ze smutkiem przyznaję, że nadal tak uważam.

- Królowa nie da ci wyboru - skomentował Usna. - Możesz co najwyżej zobaczyć Izbę Śmiertelności, zanim pójdziesz z księżniczką do łóżka. Oto wybór, jaki możesz mieć.

Chciałam zapytać Barinthusa, czy ujawni swe prawdziwe imię przed całym dworem albo przynajmniej przed królową. Nie mogłam jednak zapytać, nie zdradzając, że miał więcej sekretów. To była jego tajemnica, nie moja.

Jeżeli zrozumiał moje spojrzenie, zignorował je.

- Kiedy dotknąłem pierścienia parę miesięcy temu, wrażenie było nieporównywalnie mniejsze.

- Pierścień przybrał na sile - rzekł Doyle.

- To nie tylko to - dodał Rhys.

Sięgnął pod połę przemoczonego trencza i wyjął stamtąd kielich. Ci z nas, którzy wiedzieli, że wrócił, byli wstrząśnięci. Barinthus, który o tym nie wiedział, wręcz oniemiał.

- Skąd to macie? - zapytał nieomal szeptem.

- Podniosłem go z podium, na które spadł. Był ukryty pod połą twego płaszcza. Nie sądzę, by

ktokolwiek zdołał go sfotografować. Kiedy Barinthus wstał, ukryłem go tak dyskretnie, jak tylko potrafiłem.

- Był w zamkniętej kosmetyczce i owinięty jedwabiem - powiedziałam.

Nicca podniósł niewielką szkatułkę, która stała obok jego stóp.

- Zabrałem ją z nami, jak nakazał Doyle. Nie podnosiłem jej wcześniej, więc nie zauważyłem zmiany ciężaru.

- Jak mógł wydostać się ze szkatułki?

Doyle dał znak, a Nicca otworzył szkatułkę. Na dnie leżał kawałek czarnego jedwabiu.

Już miałam go wyjąć, by ponownie owinać nim kielich, ale Doyle rzucił:

- Nie, Merry, nie dotykaj tego oraz żadnego z nas równocześnie. Nie jesteśmy w stanie utworzyć teraz awaryjnego kręgu mocy. Nie jestem skądinąd pewien, czy w jadącym samochodzie, pojeździe z metalu, byłoby to w ogóle możliwe.

- Uważasz, że wchłonęliśmy energię? - zapytał Rhys.

- Nie wiem.

- Nie interesuje mnie, skąd się teraz wziął - rzekł Barinthus - ale skąd go w ogóle macie.

- Przyśnił mi się, a gdy się obudziłam, leżał na moim łóżku.

- Sądziłem, że to tajemnica - powiedział Sage.

- Barinthus powinien wiedzieć - rzekł Rhys - a wszystkie koty uwielbiają dochowywać sekretów.

- Księżniczka i Ciemność nie mają z tym problemów? - zapytał Sage.

Doyle i ja wymieniliśmy spojrzenia, po czym oboje pokręciliśmy głowami.

- Nie - odparliśmy równocześnie.

Usna w końcu pozbył się ubrania. Podpełzł do nas z kaburą podramienną zwisającą luźno z jednego ramienia. W ręku trzymał miecz w pochwie. Jego prawy bark i większa część ramienia były czarne, a o ile dobrze pamiętałam, plecy miał czarno-czerwone. Błysk czerwieni zdobił widoczny fragment prawego biodra oraz lewą łydkę.

- Co pojawiło się we śnie? - spytał.

W jego głosie pobrzmiwało zaciekawienie, ale spojrzenie miał przenikliwe.

- To - odrzekł Rhys.

Kiedy Usna zobaczył, co tamten trzyma w ręku, podniósł się na klęczki i zaczął kłać długo i soczyście, po gaelicku.

- To kielich? Ten kielich? Prawdziwy?

- Na to wygląda - odparł Barinthus.

Znajdowałam się o kilka cali od miejsca, gdzie klęczał Usna. Może zbyt długo przebywałam wśród ludzi, ale zdziwiło mnie, że był tak blisko mnie, całkiem nagi, a nie wyglądał na podnieconego. Poczułam się urażona. Dziecinne? Być może.

Poczułam nieprzepartą chęć, aby wziąć go do ręki i sprawić, by mnie dostrzegł. Chyba wykonałam jakiś lekki ruch, bo Barinthus dotknął mojego ramienia i powstrzymał przed tym, co chciałam zrobić.

- Czy czujesz nieodpartą chęć, by go dotknąć?

Zamyśliłam się.

- Może, trochę.

- Więc nie rób tego tutaj, tak blisko kielicha.

- Jak powiedział Doyle, siedzimy w jadącym samochodzie. Woda, która pojawiła się na konferencji prasowej, mogłaby całkiem zalać i wypełnić wnętrze tej limuzyny.

Cofnęłam się i przyklekłam na piętach. To nie było zbyt wygodne, bo wciąż miałam na sobie szpilki. Skóra lakierowana nie jest tak elastyczna jak zwykła.

- Masz rację - przyznałam i odsunęłam się od Usny i kielicha. Natrafiłam na kałużę, mocząc pończochy, spódniczkę i majtki. Nie zwróciłam na to uwagi. W tym momencie najważniejsze było znaleźć się jak najdalej od kielicha.

Limuzyna, choć przedłużona, nie oferowała dużej przestrzeni do ucieczki.

- Co by się stało, gdyby księżniczka mnie dotknęła? - spytał Usna.

- Być może nic - odparł Barinthus - a może dużo.

Odwrócił się do Doyle'a.

- Kielich zawsze miał swój własny plan. Czy to się zmieniło?

- Wręcz przeciwnie. Jest tylko gorzej.

- Wspomóż nas, Wybranku...

Przez interkom odezwał się kierowca:

- Most jest zablokowany, wszędzie widać policyjne koguty.

Doyle wcisnął guzik.

- Co się stało?

Cisza, a potem znów głos kierowcy:

- Rzeka wylała. Nie widziałem tak wysokiego jej poziomu od czasu wielkiej powodzi w dziewięćdziesiątym czwartym. To dziwne, bo przecież ostatnio nie padało.

- Wygląda na to, że nie zdołaliśmy wchłonąć całej mocy uwolnionej podczas odzyskiwania przez Barinthusa boskości - rzekł Doyle.

Przypominałam sobie trzęsienie ziemi, które nastąpiło po tym, jak przywróciłam moc Kittowi.

- Czy po tym, jak dziś odlecieliśmy, w Kalifornii miało dziś miejsce trzęsienie ziemi?

Barinthus pokręcił głową.

- Sprawdziłem prognozy, aby upewnić się, czy wasz przylot nie będzie opóźniony. Nie było żadnego trzęsienia ziemi. - Nagle się zamyślił. - Była za to dziwna burza, prawie tornado, które tu się nie zdarzają, ale nie w pobliżu lotniska.

Wszyscy, którzy znaliśmy prawdę, wymieniliśmy spojrzenia.

- O co chodzi? - spytał Barinthus.

- Kiedy przywróciłam moc Kittowi, później tej samej nocy nastąpiło trzęsienie ziemi.

- Co to ma wspólnego z trąbą powietrzną?

- Skrzydła Nicci pojawiły się w tym samym momencie co...

Chrząknęłam.

- Sage, pokaż mu.

Sage uśmiechnął się. To wszystko bardzo mu się podobało. Opuścił ciemne okulary, tak by tamci mogli ujrzeć jego trójkolorowe oczy.

Usna zasyczał.

- Bogini, on jest sidhe.

Barinthus dotknął twarzy Sage'a, odwracając jego nowe trójkolorowe oczy do światła.

- Nie jest sidhe, żadna jego część. - Puścił go i odwrócił się do mnie. - To twoje dzieło?

Skinęłam głową.

- Jak?

- Seks.

Barinthus zmarszczył brwi.

- Wspomniałaś, że skrzydła Nicci pojawiły się w tym samym czasie.

- Tak.

Na moment się zamyślił.

- Uprawiałaś seks z nimi dwoma równocześnie.

To było nieuprzejme. Fey nie mają problemów ze spółkowaniem z kilkoma partnerami.

- Jakie to ma znaczenie? - warknął Doyle, spiesząc mi z pomocą.

- Królowa jest przekonana, że Meredith musi przyjąć więcej niż jednego kochanka naraz, aby zajść w ciążę.

- Dlaczego? - spytałam.

Wzruszył ramionami.

- Nie jestem pewien, ale była w tej kwestii bardzo konkretna. - Jego dobór słów sugerował, że nie była tak konkretna w innych kwestiach i nic więcej mu nie powiedziała.

- Miewałam już wcześniej po kilku kochanków naraz, Barinthusie.

- Kogo?

Rhys owinał kielich jedwabiem, na powrót włożył go do szkatułki i odparł:

- Mnie i Niccę.

Nicca zatrasnął wieko szkatułki-kosmetyczki i sprawdził zamknięcie, choć chyba wszyscy wiedzieliśmy, że nie było ono uszkodzone.

- Królowa wydaje się pochłonięta myślą, że Meredith musi przyjąć równocześnie więcej niż jednego kochanka. Kiedy dowie się, że to już się stało, a dziecka jak nie było, tak nie ma... - przerwał i wbił we mnie wzrok. - Ostatnio królowa jest jakby spokojniejsza, Meredith, ale pod pewnymi względami również bardziej zdeterminowana. Gdy już puszcza coś w ruch, nie sposób jej rozproszyć, podsyłając atrakcyjnego mężczyznę lub okazję do tortur. Jej hobby nie zajmują królowej tak jak kiedyś.

To, że seks i tortury stanowiły hobby mojej ciotki, zawsze utrudniało kontakty z nią, a przynajmniej tak mi się wydawało. Barinthus mówił coś dokładnie przeciwnego.

- Chcesz powiedzieć, że przez lata wykorzystywałeś seks i ból, aby ją rozproszyć, odwieść od czegoś?

- To było jak poczęstowanie dziecka cukierkiem. Biorą słodczyce i zapominają, co je rozzłościło. Ale w ostatnich tygodniach żadne słodczyce nie są w stanie zmienić jej toku myślenia. Owszem, rozprasza się na moment, zrobi, co trzeba, a zaraz potem wraca do swojego planu, od którego chciałeś ją odwieść. - Zmarszczył brwi. - Z drugiej strony my na dworze przywykliśmy do zajmowania się jej krocem. Głowę natomiast nie tak łatwo rozproszyć.

- Skoro myśli głową, a nie czymś innym, to skąd u niej ta fiksacja na wielu kochanków równocześnie?

- Wydaje się zdeterminowana i przekonana, że to jedyny sposób, abyś zaszła w ciążę.

A poza tym wybiera dla ciebie bóstwa rolnicze i roślinne. To najwyraźniej też stało się obiektem jej fiksacji.

- Nie domyślasz się dlaczego? - zapytał Doyle.

- Wiem, że coś się wydarzyło. Torturowała Conriego i robiła to osobiście.

- Czy nie był torturowany za to, że próbował mnie zabić podczas mojej ostatniej wizyty tutaj?

- Tak, ale nie uczynił nic złego. Wydawał się równie zszokowany jak wszyscy, kiedy go zabrała. Jego udręczone ciało wystawiła w głównej sali, aby wszyscy przechodzący mogli widzieć, jak go potraktowała, ale był przez cały czas zakneblowany, więc nie mógł mówić.

Leży teraz w pojedynczej celi, gdzie odwiedza go jedynie Fflur, królewska uzdrowicielka.

- Conri był jednym z najzagorzalszych popleczników Cela w szeregach gwardii - rzekł

Doyle.

Barinthus pokiwał głową.

- Tak i powstało niezłe zamieszanie wśród ludzi Cela, którzy robili, co mogli, by dać do zrozumienia, że uważają Meredith za niegodną tronu. Spiskowali, knuli, starali się, jak mogli, aby tylko zyskać przychylność królowej.

- Czy Conri był jedynym, którego wzięła na tortury? - spytałam.

- Jak dotąd, ale wszyscy poplecznicy Cela są przerażeni.

- Wspomniałeś, że nie był w stanie mówić - wtrącił Doyle. - Czy sądzisz, że powiedział królowej coś, o czym jej zdaniem inni nie mieli prawa wiedzieć?

- Tak.

- Domyślasz się, o co mogło chodzić?

- Wiem tylko, że po tym, jak poddała Conriego torturom, zaczęła mieć fiksacje na temat wielu kochanków dla Meredith i tego, że większość z nich powinny stanowić roślinne lub rolnicze bóstwa.

- Wzruszył ramionami. - Teraz wiesz tyle, co ja. Jeżeli rozumiesz coś z tego, proszę, wytłumacz mi, będę ci wdzięczny.

- Zastanowię się nad tym.

- Wszyscy się zastanowimy - wtrącił Rhys.

Pozostali potaknęli.

Z interkomu dobiegł głos kierowcy:

- Zaczynają przepuszczać auta. Rzeka się cofnęła. To dziwne.

Ktoś zaśmiał się nerwowo.

- Cóż, mogło być gorzej - powiedziałam.

- Mogliśmy spowodować wylanie wszystkich rzek i potoków w okolicach Saint Louis

- oznajmił Doyle. - Czy mogłoby być jeszcze gorzej?

- Saint Louis znajduje się w miejscu, gdzie jakiś milion lat temu, plus minus tysiąc lat, rozciągało się wielkie śródziemne morze - odparłam półgłosem.

Cisza w limuzynie nagle zgęstniała, gdy uświadomiliśmy sobie rozmiary tej zgrozy.

- Kitto spowodował niewielkie trzęsienie ziemi, Nicca i Sage trąbę powietrzną - rzekł

Galen. - Nie sądzę, aby przywrócenie boskości Barinthusowi mogło spowodować zalanie większej części kontynentu.

Wiedziałam dokładnie, kto z nas miał świadomość tego, że Barinthus to Manannan Mac Lir. Ja też wiedziałam i myśl o wywołaniu tak olbrzymiej mocy bez stosownego kręgu zabezpieczającego sprawiła, że krew nieomal zastygła mi w żyłach. A może to przez kałużę zimnej wody, w której siedziałam.

Rozdział 25

Marsz z parkingu do kopców faerie był długi i nieprzyjemny z uwagi na chłód. Śnieg sięgał mi do kolan, a jak ja, śmiertelniczka, miałabym brnąć przez zaspy w mini i szpilkach na dziesięciocentymetrowych obcasach? Nie ma mowy, żebym uniknęła skręcenia kostki i odmrożeń. W tej sytuacji trzeba mnie było nieść, a jedynym, który nie przemókł do szpiku kości, był Barinthus. Ubrania wszystkich innych zaczęły zamarać na lodowatym wietrze, a ci, którzy nie dysponowali magiczną ochroną przed żywiołami, dygotali, maszerując przez śnieg.

Barinthus niósł mnie bez większego trudu. Tam gdzie ja zapadałabym się po kolana, on przechodził bez trudu przy swoim wzroście. Zawsze wiedziałam, że był o dwie stopy wyższy ode mnie, ale gdy tulił mnie do swej szerokiej piersi, pomyślałam, że do tej pory nie zdawałam sobie sprawy z jego imponujących gabarytów.

To, że mnie niósł, było równocześnie przyjemne i denerwujące. Skulona w jego ramionach czułam się jak dziecko. Nosił mnie nieraz, kiedy byłam mała, teraz jednak wspomnienia z nim związane nie pasowały do tych dziecinnych skojarzeń. Przywierałam do jego ciała i choć nie czułam się skrępowana, nie czułam się też swobodnie.

Zerknęłam na niego z gniazdka, jakie uwił dla mnie pod swoim płaszczem. Jeżeli było mu bez niego chłodno, nie dał tego po sobie odczuć. Nie patrzył na mnie, lecz przed siebie, jakbym faktycznie była niesionym przez niego dzieckiem. Może tym dla niego byłam. Może to, co się wydarzyło podczas konferencji prasowej, nie wpłynęło na zmianę sposobu, w jaki mnie postrzegał. Magia mogła coś dla niego znaczyć, tyle akurat wiedziałam, ale co do reszty, być może uważał mnie tylko za córkę starego przyjaciela. Zawsze traktowałam go jak wujka, bardziej niż kogokolwiek innego, z kim łączyły mnie więzy pokrewieństwa.

Gdyby jakiś inny strażnik po tak intymnym zbliżeniu równie ostentacyjnie mnie ignorował, uczyniłabym coś radykalnego, aby to zmienić. Ale to nie był inny strażnik, lecz Barinthus, i nie wiedzieć czemu, ale poniżej godności nas obojga wydawało mi się próbowanie dotknięcia jego przyrodzenia.

Chyba musiałam westchnąć ciężiej, niż zamierzałam, bo z moich ust wypłynął biały obłoczek pary.

- Czy jest ci dość ciepło, księżniczko?

W chwili gdy o to zapytał, zorientowałam się, że wcale tak być nie powinno. Nie nosiłam płaszcza i miałam gołe nogi.

- Jest mi całkiem ciepło, ale dlaczego? I wtedy zdałam sobie sprawę, jak się do mnie zwrócił. - Nazwałś mnie księżniczką. Nigdy mnie nie tytułujesz.

Spojrzał na mnie, jego przezroczysta błona na oku mrugnęła i ponownie znikła.

- Nie życzysz sobie, aby było ci ciepło?

- To nie odpowiedź, lecz wykręt, stary przyjacielu.

Zachichotał, co od biedy można było uznać za śmiech. Ten dźwięk pieścił mnie w miejscach, gdzie nic poza magią nie powinno było mnie dotknąć.

Zadrżałam pod wpływem tego dotknięcia.

- Wybacz, księżniczko, sporo czasu minęło, odkąd czułem taką moc. Potrzebuję czasu, by móc kontrolować ją tak dobrze jak niegdyś.

- Ogrzewasz mnie.

- Tak - przyznał - nie czujesz tego?

Byłam bezpieczna za osłonami, których używałam każdego dnia, każdej nocy. To one chroniły mnie przed poruszaniem się w świecie cudowności i magii. Niektóre z fey istniały po prostu w warstwach niepohamowanej surowej magii, która otaczała wszystko, ale gdy byłam dzieckiem, deprymowało mnie to i przerażało. Ojciec nauczył mnie, jak ekranować echa codziennej magii. Powinnam była jednak poczuć magię działającą tuż przy mojej skórze.

Nawet pomimo codziennego rutynowego ekranowania.

Nie opuściłam osłon, bo byliśmy zbyt blisko faerie. Nie miałam pewności, czy to dlatego, że byłam śmiertelniczką, czy dlatego, że nie dysponowałam równie wielką mocą, ale odnosiłam wrażenie, że bez osłon, za którymi mogłam się schronić, moce faerie zaczęły przytłaczać. Oczywiście gdyby tak było, ludzie, którzy żyli wśród nas, nie przetrwaliby długo.

Madeline Phelps nie dysponowała magią ani zdolnościami parapsychofizycznymi. Jak mogła przetrwać? Jak mogła nie stracić zmysłów pod wpływem śpiewu sidu?

Wysłałam cienką mackę mojej mocy poza osłonę. Wielu musiałoby całkiem ją opuścić, aby

rzucić czar, byli to jednak sidhe, którzy nie musieli tak jak ja otaczać swego ciała, tuż przy samej skórze, warstewką ochronnej mocy. Coś za coś, jak to się mówi.

Czułam jego magię zamykającą się nad nami jak niewidzialny klosz. Szliśmy w kręgu jego magii. Sprawdziłam tę magię, wydawała się ciepła i odrobinę płynna. Zamknęłam oczy i próbowałam dostrzec jego pole ochronne w moich myślach. Odebrałam obraz wody, turkusowej i cudownej, gorącej jak krew, rozlewającej się po odległym brzegu i zawsze cieplej. Mogłam zrobić coś podobnego, przywołując ciepło słońca albo wspomnienie ciała pod kocem, ale musiałabym się trochę namęczyć, aby utrzymać zaklęcie, będąc w ruchu. Gdy stałam nieruchomo, nie miałam najmniejszych kłopotów z ekranowaniem, w ruchu było gorzej.

- Woda jest bardzo ciepła - powiedziałam.

- Tak - mruknął, nawet na mnie nie patrząc.

Podszedł do nas Galen. Był cały rozdygotany, w mokrym ubraniu. W jego krótkich włosach pojawił się lód, miał też drobne zadrapanie na policzku.

- Sidhe są nieczuli na chłód - odparł Barinthus.

- Mów za siebie - rzekł Galen, nieomal szczękając zębami.

Nicca brnął przez śnieg z drugiej strony. On też się trząsał.

- Aż do dziś nie czułem takiego zimna. - Skrzydła miał złączone razem, oszronione jak witrażowe szyby pokryte śniegiem.

- To przez te skrzydła! - zawołał z tyłu Sage. Rhys pozwolił mniejszemu mężczyźnie wskoczyć sobie na plecy. Wydawał się w ogóle nie odczuwać chłodu. Sage jednak tulił się do Rhysa i zastanawiałam się, dlaczego ten nie pomógł pół-fey i nie ogrzał go, tak jak Barinthus mnie. - Jesteśmy motylami, a takim istotom zimowy śnieg nie służy.

- Jestem sidhe - rzekł Nicca.

- Najwyraźniej ja również - zawołał Sage - ale mimo to mam wrażenie, że odmarzają mi jaja.

Galen zaśmiał się i potknąwszy się, omal nie wyłożył na śniegu.

Doyle zawołał z przodu naszej małej grupki:

- Jak przestaniecie gadać, będziemy mogli szybciej dostać się do środka i ogrzać.

- Czemu się nie trzęsiesz? - spytał Galen Amatheona.

- Ciemność nigdy nie odczuwa zimna - odpowiedział, rozdygotany, z oblodzonymi włosami, które raniły jego policzki za każdym razem, gdy podmuchy wiatru omiatały nimi jego twarz.

Onilwyn idący z lewej zawołał do nas. On także cały się trząsał.

- A Zabójczy Szron nie sposób zmrozić.

Ta wzmianka sprawiła, że obejrzałam się przez ramię. Szedł pewnie, osłaniając tyły, jak nakazał mu Doyle. Był już jeden zamach na moje życie, nie mogliśmy ryzykować.

Zdałam sobie sprawę, że kogoś brakowało. Musiałam unieść się lekko, by zobaczyć Kitta z niemalym trudem brnącego przez śnieg. W pewnej chwili Mróz podźwignął go ze śniegu i posadził sobie na ramionach. Zrobił to bez wahania.

Kitto nie podziękował. Obaj byli starzy, a wśród najstarszych z nas podziękowanie było równoznaczne z obelgą. Współczesne zasady *savoir-vivre*'u były dla tych, którzy nie przekroczyli jeszcze wieku trzystu lat. To oznaczało, że tylko ja i Galen byliśmy skłonni wypowiedzieć słowo: dziękuję.

Ponownie ulokowałam się w ramionach i magii Barinthus.

- Dlaczego nagle jestem dla ciebie księżniczką, a nie Meredith? Odkąd byłam dzieckiem, nazywałeś mnie Meredith albo Merry - maleńka.

- Nie jesteś już dzieckiem. - Patrzył niewzruszenie przed siebie, jakby droga była zdradliwa i

musiał zachować ostrożność. Raczej nie obawiał się śniegu.

- Próbujesz się ode mnie zdystansować.

- Wcale nie. - Na jego ustach pojawił się nikły uśmiezek. - No cóż, może, ale nie tylko o to chodzi...

- Więc dlaczego? - spytałam.

- Ponieważ jesteś księżniczką i dziedziczką tronu. A ja mam wśród sidhe zbyt wielu wrogów, abym mógł zostać dopuszczony do twego łoża.

- Kiedy dowiedzą się, że odzyskałeś swą boskość...

- Nie, Meredith. Jeżeli to odkryją, spróbują mnie zgładzić, zanim odzyskam pełnię swej mocy.

Chciałam powiedzieć: nie odważą się, ale wiedziałam, jak było.

- Na ile niebezpieczne jest dla ciebie pozostawanie tutaj i wspieranie mnie w sukcesji do tronu?

- Trochę - odparł wymijająco.

- Barinthusie - rzekłam - bądź wobec mnie szczery.

- Nie kłamie, księżniczko.

- Czy to pełna odpowiedź? - zapytałam.

Znów się uśmiechnął.

- Nie.

- Czy udzielisz mi pełnej?

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo podczas wyjazdu stąd zamartwiałybyś się.

- Wszystkich innych, których rozpoznał pierścień, ciotka odsyła ze mną do Los Angeles.

- Wiesz, jak mnie zważ za moimi plecami.

- Twórca Królów.

- Teraz Twórca Królowych. - Jego błękitne włosy ciągnęły się za nim jak płaszcz i falowały pod wpływem silniejszych podmuchów wiatru. - Od tysiącleci obawiano się mnie jako potęgi, szarej eminencji decydującej o obsadzie tronu. Czy wierzysz, że byłbym tolerowany jako twój wybranek ze świadomością, że mógłbym zostać królem? Nie, Meredith, nawet królowa to rozumie. To dlatego nie wysłała mnie ostatnim razem, kiedy tu przybyłaś.

Mam zbyt wielu wrogów i zbyt dużą władzę, aby pozwolono mi zbliżyć się do tronu.

- A gdybyś mnie zapłodnił?

Spojrzał w przestrzeń.

- Mieliśmy chwilę dla siebie, Meredith. Królowa nie pozwoli nam na więcej.

- Nie to powiedziałaś w samochodzie, kiedy Usna się wtrącił.

- W samochodzie było wiele uszu i nie wszystkie przyjazne - odparł.

- Barinthusie... - Uciszył mnie lekkim ruchem głowy.

Uniosłam wzrok i zauważyłam, że Amatheon i Onilwyn zbliżyli się do nas na odległość pozwalającą im usłyszeć, o czym rozmawiamy. Byłam prawie pewna, że to szpiegował królowej Andais. Pytanie brzmiało, dla kogo jeszcze mogli szpiegować? Czy królowa Andais naprawdę wierzyła, że każdy z mężczyzn będzie przekazywać podsłuchane tajemnice wyłącznie jej? Nie, ona nie liczyła na ich lojalność, lecz na strach. Wszyscy sidhe obawiali się jej bardziej niż kogokolwiek innego.

A jednak ktoś próbował mnie zabić. Ktoś zaryzykował gniew królowej. Albo nie obawiano się jej tak jak kiedyś, albo sam strach to za mało, by rządzić poddanymi. Wciąż była Królową Powietrza i Ciemności i już samo to wydało mi się dostatecznie przerażające.

Nigdy jednak nie wierzyłam, że sam lęk może wystarczyć do rządzenia sidhe. Oczywiście mój ojciec nie był tyranem i nie wzbudzał trwogi u poddanych. Ten brak bezwzględności doprowadził do jego śmierci.

Nie mogłam stać się drugą Andais, nie miałam do tego dość ikry. Nie mogłam być również taka jak mój ojciec, gdyż sidhe już postrzegali mnie jako słabą. Gdybym okazywała współczucie, nie pożyłabym długo. Skoro nie możesz rządzić strachem ani miłością, co ci zostaje? Nie potrafiłam odpowiedzieć na to pytanie. Gdy naszym oczom ukazały się kopce faerie, uświadomiłam sobie, że wcale nie wierzyłam, iż to pytanie miało jakąś odpowiedź. W

moim umyśle pojawiły się dwa słowa: bezwzględność i uczciwość.

Czy można być równocześnie bezwzględny i uczciwy? Czy aby być bezwzględny, nie trzeba być nieuczciwym? Zawsze tak uważałam i tak właśnie uczył mnie ojciec, ale może można było znaleźć coś pośredniego pomiędzy jednym a drugim. A skoro tak, czy zdołam to znaleźć? A jeżeli już znajdę, czy będę miała dość władzy i sojuszników, by pójść dalej tą pośrednią drogą? Nie znałam odpowiedzi na to ostatnie pytanie. Wiedziałam dość na temat dworskiej polityki, by zdawać sobie sprawę, iż nikt tak naprawdę nie wie, jaką ma władzę, jak dobrych przyjaciół i jak solidnych sojuszników. Ta wiedza pojawia się zazwyczaj wtedy, gdy jest już za późno. Wówczas albo wygrywasz, albo przegrywasz, albo przeżywasz, albo giniesz.

Rozdział 26

Kopce faerie wyglądały jak łagodne ośnieżone wzgórza. Oczywiście nie były tym, czym się wydawały, jak niemal wszystko w Krainie Faerie.

Aby dostać się do sidhe, potrzebowałam dwóch rzeczy. Po pierwsze wiedzieć, gdzie są drzwi, po drugie dysponować dostatecznie silną magią, by je otworzyć. Jeżeli sid był w żartobliwym nastroju, wejście wciąż się przemieszczało. Mogłam stracić dobrą godzinę, ścigając je dokoła kopca. Być może sid tylko bawił się ze mną, bo kiedy Carrow położył

brązową dłoń na białym śniegu, rozległa się muzyka. Nie umiałabym powtórzyć tej melodii ani stwierdzić, czy był to śpiew, czy muzyka instrumentalna. Niemniej jednak była piękna.

Kojarzyła się z dźwiękiem dzwonka przy drzwiach. Choć raczej chodziło o to, by dać wszystkim w środku do zrozumienia, że znalazłam wejście, niż zapowiedzieć swoje przybycie.

Brak muzyki oznaczał, że nie dotknęłam właściwego miejsca. Carrow użył niewielkiego zaklęcia i wejście nagle się pojawiło. Nie były to drzwi, bo w sidzie Unseelie nigdy ich nie ma, raczej zwykły otwór wejściowy. Na tyle duży, abyśmy mogli wejść do środka, po cztery osoby naraz. Otwór zawsze wiedział dokładnie, jak duży powinien być. Mógł powiększyć się na tyle, by przejechała przez niego półciężarówka albo tak maleńki, by wpuścić do środka jedynie motyla.

Zmierzchało. Białe światło w środku wydawało się jaśniejsze niż to na zewnątrz.

Stanęliśmy w szarym kamiennym korytarzu. Wielkość wejścia nie zmieniła rozmiarów pierwszego korytarza. To była jedna z rzeczy w sidzie, które zawsze pozostawały takie same.

Wszystko inne w sidzie mogło się zmienić, na życzenie samego sidu bądź królowej. To było jak lunapark z kamienia, całe piętra mogły przesuwac się w górę lub w dół. Drzwi prowadzące do jednego miejsca wiodły ni stąd, ni zowąd do innego. To mogło być irytujące, ale i zdumiewające.

Otwór zniknął, kiedy Mróz jako ostatni z nas wszedł do środka. Teraz była to tylko jeszcze jedna szara kamienna ściana. Drzwi mogły być niewidoczne z obu stron. Białe światło płynęło zewsząd i znikąd. Było bardziej regularne niż blask pochodni, ale łagodniejsze niż światło elektryczne. Zapytałam kiedyś, czym ono jest, i odpowiedziano mi, że to światło sidu.

Kiedy poskarżyłam się, że nic mi to nie mówi, w odpowiedzi usłyszałam, że tylko tyle powinnam wiedzieć. Dość ogólnikowe stwierdzenie, trochę na odczepnego, ale nie sądzę, by żył

dzisiaj ktoś, kto pamięta, czym naprawdę jest to światło.

- Cóż, Barinthusie, czy zamierzasz nieść księżniczkę całą drogę aż do królowej?

Odgłos mieczy dobywanych z pochew zabrzmiał jak łagodny metaliczny syk albo szum deszczu na bardzo gorącej powierzchni.

Pistolety i miecze zostały skierowane w głąb korytarza, a niektóre też zwrócono w stronę niewidzialnych drzwi, tak na wszelki wypadek. Barinthus i ja znaleźliśmy się w samym środku dobrze uzbrojonego kręgu.

Sidhe, który przemówił, uśmiechał się. Ten, który stał obok, już nie. Uśmiech Mego był obraźliwy, drwiący. Częściej niż ktokolwiek inny padał ofiarą drwin i szyderstw. Był wysoki, równie wysoki jak Mróz i Doyle, ale chudy jak trzcina i pełen gracji niczym morze trzcin, tańczących pod wpływem podmuchów wiatru. Wolałabym, żeby miał nieco szersze ramiona, bo ich wąskość potęgowała jedynie złudzenie ogólnej szczupłości całej sylwetki.

Długie, proste włosy sięgały mu do kostek. Włosy były najbardziej imponującym elementem jego wyglądu, zielonkawe, w różnych odcieniach, z białymi żyłkami biegnącymi pośród nich. Dopiero gdy podeszło się bliżej, można było zauważyć, że wyglądały jak liście i wydawały się poprzeplatane pędami bluszczu. Ruszył w głąb korytarza, lecz jego towarzysz złapał go za rękę i pociągnął w tył. Myślę, że Ivi szedłby dalej, pomimo wycelowanej w niego broni. Po prostu maszerowałyby przed siebie z uśmiechem na ustach i chmurnym spojrzeniem.

Niegdyś sądziłam, że był nieostrożny, ale kiedy dorosłam, zaczęłam wyczuwać w nim smutek. W końcu zorientowałam się, że nie tyle był to smutek, ile rozpacz. Cokolwiek skłoniło go, by stać się jednym z Kruków Królowej, wątpię, aby zawarty układ w ostatecznym rozrachunku przypadł mu do gustu.

Rozważna dłoń na jego ramieniu należała do Hawthorne'a. Czarne włosy opadały gęstymi falami poniżej jego kolan. Kiedy odwrócił głowę, światło podkreśliło głęboką zieleń widoczną w tych czarnych falach. Nosił srebrną opaskę, która utrzymywała tę ciężką masę włosów z dala od jego twarzy. Od barków po stopy był okryty płaszczem koloru sosnowych igieł, barwy soczystej zieleni, który spięty był na jednym ramieniu grubą srebrną broszą.

- Co się stało, Ciemności? - zawołał do nas. - Nic nie zrobiliśmy.

- Co tu robicie? - odkrzyknął Doyle.

- Królowa wysłała nas na powitanie księżniczki - odrzekł Hawthorne.

- Dlaczego tylko was dwóch?

Hawthorne zamrugał i nawet z tej odległości dostrzegłam dziwny różowy odcień jego tęczy. Oczy Hawthorne'a były różowo-zielono-czerwone.

- Jak to tylko was dwóch? Co się stało?

- Oni nie wiedzą - rzekł półgłosem Barinthus.

- Jak długo tu czekacie? - spytał Doyle.

Rozluźnił się, pistolet opuścił lufą w stronę podłoża.

- Parę godzin - odrzekł Ivi i zawinął skrajem jasnozielonego płaszcza jak spódnicą podczas tańca.

Hawthorne skinął głową.

- Dwie godziny albo dłużej. W sidzie czas płynie osobliwie.

Doyle schował broń i jak na komendę pozostałe pistolety trafiły do kabur, a miecze do pochew. Strażnicy rozluźnili się, oczywiście na tyle, na ile potrafili się rozluźnić.

- Pytam raz jeszcze, co się stało, Ciemności?

Ale nikt nie musiał tego wyjaśniać, bo w którymś momencie strażnicy rozstąpili się i pozwolili

mu mnie zobaczyć. Zapomniałam, że miałam krew na twarzy. Starłam ją kawałkiem mokrej szmatki, który dostałam od jednego z mężczyzn, lecz niedokładnie. Aby całkiem się jej pozbyć, potrzebowałam mydła.

- Panie i Pani, chroncie nas, ona jest ranna!

- To nie jej krew - odparł Doyle.

- Wobec tego czyja?

- Moja - rzucił Mróz, przeciskając się między strażnikami, i znów jak na komendę wszyscy ruszyli w głąb korytarza w stronę dwóch pozostałych gwardzistów.

Ivi zapytał z powagą:

- Co się stało?

Doyle streścił mu to pobieżnie, pomijając, co się wydarzyło, kiedy Barinthus dotknął pierścienia.

- Kto śmiał? Księżniczka Meredith nosi znak królowej. Skrzywdzić ją to narazić się na gniew królowej. Żaden z Kruków nie podjąłby takiego ryzyka. - W słowach Mego nie było nawet cienia chełpliwej przesady. Zupełnie jakby próba zamachu przeraziła go na tyle, że porzucił kpiarski ton na rzecz chłodnego realizmu. Hawthorne aż wybałuszył trójkolorowe oczy.

- Otóż to, kto śmiałby?

Barinthus wciąż trzymał mnie na rękach, ale tu już nie było śniegu ani chłodu.

Dotknęłam jego ramienia.

- Mogę już iść sama.

Spojrzał na mnie, jakby zapomniał, że mnie niósł. Schylił się, by postawić mnie na kamiennym podłożu. Poprawiłam tył spódniczki, wiedząc, że i tak nie będzie wyglądała idealnie, dopóki się jej nie odprasuje. Nic nie mogłam na to poradzić. Miałam nadzieję, że wieści o zamachu na moje życie sprawią, iż nie będzie tak krytycznie przyglądać się memu ubiorowi. Z Andais nigdy nie wiadomo: czasem jeśli nie radziła sobie z większymi problemami, wyładowywała się na małych.

Ivi przyklęknął przede mną na jedno kolano i gdy to uczynił, jego płaszcz rozchylił się, odsłaniając bark, pierś i biodro. Pod płaszczem był nagi.

- Księżniczko Meredith, pozdrawiam cię w imieniu Królowej Powietrza i Ciemności.

Przysyła nas jako dary. - W jego głosie znów zagościła nuta ironii.

Hawthorne także ukląkł, ale sposób, w jaki przytrzymał płaszcz, spod którego wystawały tylko jego dłonie, pozwalał stwierdzić, że był pod nim nagi, zupełnie jak Ivi.

- Jesteśmy darami na czas twego pobytu tutaj, o ile pierścień nas rozpozna - rzekł

Hawthorne, a jego głos sugerował, że gdyby mógł, okazałby wściekłość.

- Naturalnie to może poczekać - powiedział Onilwyn. - Jeśli królowa nie wie, co się stało, trzeba ją natychmiast o tym poinformować.

Usna wtrącił:

- Jeśli chcesz pospieszyć i przekazać królowej złe wieści, to śmiało. Ja nie zamierzam być pierwszym, który jej to powie. - Wciąż był nagi, w rękę trzymał miecz w pochwie.

Powszechnie wiadomo, że królowa miała w zwyczaju zabijać posłańców.

Onilwyn lekko zbladł.

- Królowa musi się o tym dowiedzieć. Nie wierzę, że nikt się z nią nie skontaktował.

- Już od trzech godzin nie jest o niczym informowana - rzekł Hawthorne.

- Gdyby była, wysłałaby więcej gwardzistów - mruknął Doyle i nikt nie próbował się z nim spierać.

- Zabawia się - wtrącił Ivi z niesłabnącą ironią, jakby każde słowo zawierało dodatkowy ukryty

przekaz - i dała jasno do zrozumienia, że jedynie przybycie księżniczki jest dostatecznie ważnym powodem, by można jej przeszkodzić.

- Z całą pewnością z takiego powodu ktoś przeszkodziłby w jej igraszkach - rzekł Barinthus.

Hawthorne spojrział na niego.

- Jesteś jednym z nas, lordzie Barinthusie, ale nie traktuje cię tak jak większości.

Szanuje twą władzę. Reszta z nas nie ma tyle szczęścia. Gdybyśmy przeszkodzili w jej igraszkach, zajęlibyśmy tylko miejsce tych, z którymi się zabawiała. - Spuścił wzrok i wzdrygnął się mimowolnie. - Nie przerwałbym jej z powodu usiłowania zamachu.

- Czy gdybym umarła, jeden z was powiedziałby jej? - spytałam.

- Odebrałaś nam wszystkich, którzy byli dostatecznie potężni, by stawić jej czoło w jej samotni, księżniczko - rzekł Hawthorne.

- Ciemność, Mróz, Barinthus - rzekł Ivi. - W porównaniu z nimi reszta z nas to papierowe tygrysy.

- Mistral wciąż tu jest - zauważył Doyle.

Hawthorne pokręcił głową.

- On się jej boi, Ciemności, tak jak my wszyscy.

- W ostatnich miesiącach trochę się jej poprawiło - powiedział Barinthus. - Łatwiej się z nią rozmawia.

- Raz jeszcze zauważę, że może tobie, lordzie Barinthusie - uciął Hawthorne.

- Dokończmy naszą mowę - powiedział Ivi. - A wówczas będziecie mogli wszyscy ciągnąć słomki o to, kto zanieś królowej tę złą nowinę.

- Mówisz, jakbyś sam nie musiał w tym uczestniczyć - rzekł Rhys.

- Bo my nie weźmiemy w tym udziału - odparł Ivi.

- Wy tłumacz, Hawthorne - mruknął Doyle.

- Jesteśmy darami dla księżniczki, o ile pierścień nas rozpozna.

- Już to mówiłeś - uciął Rhys.

Doyle spiorunował go wzrokiem.

- To prawda, przecież już o tym mówił.

- A jeżeli pierścień was rozpozna? - spytał Mróz.

- Wówczas mamy zaprosić księżniczkę, by dzieliła z nami łoże.

Hawthorne patrzył przezornie tylko na Doyle'a, jakby mnie tam w ogóle nie było.

Ivi parsknął, jakby pohamowywał śmiech.

- Co w tym śmiesznego? - spytał Doyle.

- Nie tak powiedziała królowa.

- Ale o to jej ogólnie chodziło - powiedział Hawthorne z urażoną dumą w głosie.

Ivi zaśmiał się w głos.

- Co powiedziała królowa, Ivi? - W tonie Doyle'a wyczuwało się rezygnację, jakby nie do końca chciał wiedzieć, ale nie miał wyboru.

- Jeżeli pierścień nas rozpozna... - resztę swej wypowiedzi dokończył, naśladowując głos królowej, i to tak udanie, że zjeżyły mi się włoski na karku - wówczas macie zerznąć Meredith, zerznąć ją, gdy tylko się do niej zbliżycie. Jeżeli będzie się opierać, możecie zabrać ją do jej pokoju albo któregoś z waszych, nieważne. Macie to zrobić i już.

- No cóż - bąknął Galen - to...

- Niezbyt poetyckie, nawet jak na królową - mruknął Rhys.

- Ładnie to ująłeś - skwitował Galen.

- Czy mam tu w ogóle coś do powiedzenia? - spytałam.

Hawthorne pokłonił się, nieomal dotykając czołem kamiennego podłoża.

- Przykro mi, księżniczko.

- Czegoś ci nie powiedział... - dodał Ivi. - Zapytał, co mielibyśmy zrobić, gdyby księżniczka Meredith nie zechciała dzielić z nami łoża zaraz po wejściu do sidu - dokończył, całkiem udanie naśladowując rytm wypowiedzi Hawthorne'a.

- I co na to odparła moja ciotka? - zapytałam.

Ivi uśmiechnął się do mnie, a w jego ciemnozielonych oczach rozbłysł płomień całkiem dla mnie niezrozumiałego triumfu. Hawthorne odpowiedział z twarzą wciąż pochyloną w stronę kamiennego podłoża, a w jego głosie, tam gdzie u Mego wyczuwało się drwinę, pojawił się smutek.

- Jesteście sidhe Unseelie? Przekonajcie ją.

Ivi wciąż wpatrywał się we mnie z tym dziwnym uśmieszkiem.

- A jeżeli nie da się jej przekonać? - zapytał i znów zaczął naśladować królową, aż ciarki przeszły mi po plecach.

- Przekonajcie ją, weźcie siłą lub przekazcie moje słowa i niech one będą narzędziem waszej perswazji. Jeżeli Meredith nie zechce przyjąć rozkoszy, jaką jej oferuję, może w zamian zechce przyjąć ból. Bo wśród Unseelie jednego i drugiego mamy pod dostatkiem.

Przypomnijcie jej o tym, jeśli jej wrażliwość jest nazbyt delikatna na zwykłe rżnięcie.

- Gdybym mógł, zmieniłbym cel naszego przybycia tutaj - rzekł Hawthorne, zniżając się tak, że dotknął czołem podłoża.

Odwrociłam się od triumfującego Iwiego, by spojrzeć na Barinthusą.

- Wydawało mi się, że mówiłeś, iż w ostatnich miesiącach się jej poprawiło.

- To prawda, to prawda - mruknął z lekkim zażenowaniem.

- Chodź, księżniczko - powiedział Ivi. - Wyciągnij tę śliczną rączkę i zobaczmy, co się stanie. Jeżeli pierścień nas nie rozpozna, wszyscy będziemy wolni.

- Ma rację - przyznał Doyle. - Pozwól im dotknąć pierścienia i jeśli pozostanie dla nich zimny, będziemy mogli pójść do królowej i przekazać jej wieści.

- A jeżeli nie pozostanie nieczuły? - zapytał Mróz.

- Możemy bzykać się choćby tu, pod ścianą - odparł Ivi.

- Po moim trupie - wycedził Galen.

- Skoro nalegasz - warknął Ivi.

- Chłopaki - przerwałam im.

Galen spojrział na mnie. Ivi wciąż wbijał wzrok w Galena.

- Żadnego zabijania, dopóki sama o tym nie zadecyduję.

- Co to miało znaczyć? - zawahał się Ivi.

- To, że jeśli za bardzo mnie rozdrażnisz, moi najlepsi wojownicy sidhe poszatkują cię dla mnie na plasterki, jeśli tylko ich grzecznie poproszę.

- Och, ale byłoby to sprzeczne z rozkazami królowej.

Schyliłam się nieznacznie, by moja twarz znalazła się na równym poziomie z jego twarzą. Uśmiechnęłam się złowieszczo.

- Bynajmniej. Umierający rutynowo przeżywają przed śmiercią ostatni orgazm.

Zgodnie ze szczegółowym zaleceniem miałam nie stawiać się przed jej obliczem, dopóki wasze nasienie nie znajdzie się na moim ciele. Nie sprecyzowała, gdzie miałoby się ono konkretnie znaleźć, prawda?

Wyraz triumfu zniknął, ironia przysła i jedyne, co dostrzegałam teraz w tych ciemnozielonych oczach, to strach. Nie sprawiało mi przyjemności oglądanie tego, choć odczułam pewnego rodzaju satysfakcję.

Oblizwał wargi, jakby nagle mu spierzchły, po czym powiedział:

- Masz w sobie krew swojej ciotki.

- Owszem, Ivi, pochodzę z tego samego rodu i lepiej o tym nie zapominaj. -

Nachyliłam się nad jego ustami. - Nigdy. Przenigdy. - Delikatnie pocałowałam go w usta, a on aż się wzdrygnął.

Kiedy uniosłam rękę, by ująć Iwiego pod brodę, Barinthus schwycił mnie za przegub i odsunął moją rękę od jego ciała.

- Może królowa powinna usłyszeć o innych wydarzeniach, zanim znów użyjemy pierścienia.

Wszyscy wymieniliśmy spojrzenia.

- Co się jeszcze wydarzyło? - zapytał Hawthorne.

- Powiedzmy, że pierścień zyskał większą moc - odparł Barinthus - i nie mam już pewności, co się wydarzy, kiedy księżniczka dotknie nim kogokolwiek.

Ivi zaśmiał się ponuro.

- Wiadomo, co się stało, kiedy dotknęła ciebie, lordzie Barinthusie. - Wpatrywał się w krocze tamtego, gdzie na skórzanych spodniach widniała spora plama.

Abloec stanął przy Ivim, a potem ukląkł przed nim. Nigdy dotąd nie widziałam go tak opanowanego, jakby chłód go otrzeźwił.

- Jestem przemoknięty do szpiku kości, zmarznięty i trzeźwy. Masz się zamknąć i wszyscy udamy się do królowej.

Popatrzył na pozostałych.

- Kiedy usłyszysz o powodzi, będzie chciała upewnić się, że księżniczka jest odpowiednio zabezpieczona, zanim użyje pierścienia.

- Powódź? - spytał Hawthorne.

- Wylały wszystkie rzeki w okolicy - wyjaśnił Abloec.

- Chcesz powiedzieć, że dotknięcie lorda Barinthusa wywołało wielką powódź?

Doyle i Barinthus odparli równocześnie:

- Tak uważamy.

To samo powiedzieli Galen i Rhys.

Usna, wciąż nagi i wściekły, podszedł bliżej.

- Musimy jak najszybciej zobaczyć się z królową. Chcę znowu poczuć ciepło.

- Zaryzykowałbyś życiem dla odrobiny wygody? - spytał Mróz.

Usna uśmiechnął się szeroko.

- Dla czegoż jeszcze można w tych czasach ryzykować życiem? Nie słyszałeś, Zabójczy Mrozie, że dni magii i mitów przeminęły? Dni, kiedy warto było o cokolwiek walczyć, należą już do przeszłości. - Kończąc swą wypowiedź, spojrział na Barinthus, po czym jego szare oczy odnalazły mnie i posłały tęskne, długie spojrzenie. Nie było w nim pożądania, pragnienia, niczego, czego mogłam się spodziewać po Uśnie. To było poważne spojrzenie zawierające w sobie zbyt wiele domysłów, będących nazbyt bliskimi prawdy.

Chwila minęła i jego oczy znów stały się radosne i wesołe. Poklepał Abloeca po ramieniu.

- Chodźmy i stawmy czoło królowej w jej jaskini rozwiązłości.

Abloec podniósł się i zmarszczył brwi.

- Chciałbyś przekazać jej te wieści, wiedząc, co może uczynić?

- Wieść o próbie zamachu ją rozjuszy, ktoś zapłaci za to krwią, ale co do reszty... -

Usna objął tamtego ramieniem - inne nowiny na pewno przyjmie z wielką radością. - Zaczął prowadzić Abloeca w głąb korytarza, a my wszyscy podążyliśmy za nimi. Usna zawołał na mnie, oglądając się przez ramię. - Na twoim miejscu, księżniczko, martwiłbym się, aby nie wtrąciła cię do magicznego kręgu, nie zaczęła wysyłać nas jednego po drugim, by przekonać się, jak wielu z nas jesteś w stanie przywrócić... - Przyłożył do ust gałkę miecza i wyszeptał: -

Ciiii... To nowina wyłącznie dla uszu królowej.

I popłynął przed nami korytarzem, a jego nagie, kolorowe jak perkal ciało prowadziło nas wszystkich. Abloec, którego wciąż obejmował ramieniem, dzielnie usiłował dotrzymać mu kroku.

Rozdział 27

W całym sidzie jedynie czarne drzwi wiodły do komnat mojej ciotki. Były zrobione z lśniącego, niesamowitego kamienia, wyższego od najroślejszego strażnika i szerszego nawet niż główny korytarz wejściowy.

Drzwi wyglądały jak zawsze złowieszczo. Stało przed nimi dwóch mężczyzn. Po tej stronie drzwi rzadko widywało się wartowników. Królowa uwielbiała widownię, zwłaszcza jeśli owa widownia nie mogła uczestniczyć w tym, w czym pragnęła. Niekiedy na zewnątrz stali strażnicy, czekając na tych, których mieli odprowadzić, kiedy królowa już skończy z nimi rozmawiać. Ale coś mi mówiło, że tym razem chodziło o coś innego. Nazwijcie to przecuciem, lecz mogłam się założyć, że ci strażnicy czekali na mnie. Co pozwoliło mi tak przypuszczać? Byli nadzy, jeśli nie liczyć skórzanych pasów i rapci, do których mieli przytroczone miecze i sztylety, oraz wysokich do kolan butów.

- Coś się kroi - przeczuwał Rhys.

Też tak uważałam. Tamci nie tylko byli bardziej nadzy niż Hawthorne i Ivi, ale byli także bóstwami roślinnymi. Adair wciąż nosił imię tego, czym niegdyś był, „adair” oznaczało bowiem „dębowy zagajnik”.

Jego skóra miała barwę promieni słońca przesączającego się między liśćmi. Kolor ten był bardziej pospolity wśród Seelie niż Unseelie i powszechnie nazywaliśmy go „całowanym słońcem”. Brązowe włosy były obcięte bardzo krótko, tak że nie zdobiły już złocistego ciała.

- Nie ja jeden okazałem wahanie, księżniczko - skomentował Amatheon swój wygląd.

Oczy Adaira były trzema kręgami złota i żółci, zupełnie jakby patrzyło się w słońce.

Gdy podchodziliśmy do drzwi, były bez wyrazu. Został wygnany z Dworu Seelie za zbyt odważne wypowiedzi przeciwko królowi. Uniknął wygnania z Krainy Faerie, kiedy dołączył do Unseelie. Ale nigdy tak naprawdę nie przyjął zwyczajów panujących na ciemnym dworze.

Istniał wśród nas i starał się być niewidzialny.

Powiedziałam cicho:

- Wiem, dlaczego nie chcesz dzielić ze mną łoża, ale między Adairem i mną nie ma żadnych sporów.

- Chce, by zostawiono go w spokoju, księżniczko. Nie chce mieszać się w tę walkę.

- O ile nie jesteś Szwajcarią, nie licz na neutralność - odparłam.

- Teraz już wie.

Drugi strażnik był przyobleczony w płaszcz własnych jasnożółtych włosów. Okalały one blade, jasnoszare ciało. Oczy zdobiące pociągłe oblicze o wystających kościach policzkowych miały kolor ciemnozielonych liści z wewnętrzną gwiazdą w jaśniejszym odcieniu zieleni, niczym najcenniejszy gwiazdzisty klejnot. Jego usta były bardzo czerwone, najpiękniejsze i najdojrzałe na całym dworze. Damy zazdrościły mu ich i tylko najjaśniejsze, najbardziej karmazynowe szminki mogły im po trosze

dorównać. Nazywał się Briac, choć wolał, by mówiono mu Brii. Briac było inną formą imienia Brian i nie miało nic wspólnego z roślinami czy uprawą ziemi. Wiedziałam, że Brii był jakiegoś rodzaju roślinnym bóstwem, ale poza tym geneza jego imienia pozostawała tajemnicą.

Uśmiechnął się, podchodząc bliżej - te jakże czerwone usta odwracały uwagę od klejnotów jego oczu, gęstej kurtyny włosów, a nawet smukłego nagiego ciała, które zaczęło reagować pod wpływem mego spojrzenia. Czyżby sama moja bliskość wystarczyła, by wzbudzić w nim pożądanie i wywołać częściowy wzwód?

Ciało Adaira nie zareagowało na moje podejście, pozostało neutralne jak jego spojrzenie. Miał szczęście, że nie byłam ciotką, bo dla niej brak spontanicznej reakcji był uważany za osobistą zniewagę. Ja tak tego nie traktowałam. Adair wraz z włosami musiał utracić także osobistą dumę. Nie miałam pojęcia, jakich jeszcze udręk musiał zaznać z rąk mojej ciotki, zanim zgodził się stanąć przed nami. Był wściekły. Ja na jego miejscu też bym była. Gniew i zażenowanie nie są zwykle najlepszymi afrodyzjakami. Moja ciotka nigdy nie potrafiła tego pojąć.

Brii, jak ptak, przekrzywił głowę w bok. Jego uśmiech nieco przygasł.

- Nie wypełniście swego obowiązku wobec księżniczki.

- Doszło do próby zamachu na jej życie - rzekł Doyle.

Uśmiech zgasł zupełnie.

- Krew.

- Myślicie, że skąd się wzięła? - zapytałam.

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się smutno.

- Czyjaś krew rozmazana na twarzy królowej zwykle jest dla niej oznaką dobrej zabawy. Bardzo dobrej zabawy. Wybacz, że posądziłem cię o to samo. - Skłonił się, a jego włosy przysłoniły jedno ramię niczym długi płaszcz, po czym znów się wyprostował i uśmiechnął. W jego oczach pojawiło się zgoła męskie spojrzenie mówiące wyraźnie, że żadne nieprzyjemności nie mogły odebrać mu całej radości z wypełnienia tego zadania - a przynajmniej tak było akurat w jego przypadku.

Adair stanął przy drzwiach. Wydawał się przybity, zwiotczały i zrezygnowany. Nie chciał nawet na mnie spojrzeć.

- Musimy powiedzieć królowej o ataku.

Zamierzał wyjść, ale Brii powstrzymał go.

- Mamy bardzo konkretne rozkazy - nacisnął Adair.

Jego głos miał być z założenia równie pusty jak spojrzenie i cała reszta, ale bez powodzenia. W tych prostych słowach pojawiła się też nutka gniewu. Była tak cienka i delikatna, że zdawała się wypływać magiczną nitką w głąb korytarza, przepływając po naszych ciałach i muskając skórę jak leciutkie ukąszenia. Bardzo, ale to bardzo walczył, by zachować nad sobą kontrolę.

Potarłam rękę w miejscu, gdzie dotknęła mnie jego moc, gdzie mnie zranił. Zakląłam na moją ciotkę. Zrobiła wszystko, aby Adair wykonywał jej rozkazy i dzielił ze mną łóżko, ale postarała się przy tym, aby żadne z nas nie miało z tego przyjemności.

- A jak brzmiały te rozkazy? - spytał Doyle. Jego posępny głos był cichszy i groźniejszy niż zwykle, zdawał się przepelzać po kręgosłupie, jakby szukał najbardziej czułych witalnych organów.

Brii silił się na pojednawczy, zrównoważony ton. Nie miałam mu tego za złe - też nie chciałam stać pomiędzy Doyle'em i Adairem, gdyby zrobiło się gorąco.

- Jeżeli pierścień rozpozna zarówno Hawthorne'a, jak i Mego, mają obsłużyć księżniczkę tak szybko, jak to tylko możliwe. Jeżeli pierścień nie rozpozna ich obu, wówczas jeden z nas ma zająć miejsce tego, którego pierścień nie rozpoznał. - Uśmiechnął się do Doyle'a, jakby próbował załagodzić choć odrobinę napięcie. Bez powodzenia.

- Otwórz drzwi, Brii. Mamy królowej wiele do powiedzenia, a sporo z tego jest nie tylko niebezpieczne, ale i nie należy o tym dyskutować w korytarzu. Mogłyby nas usłyszeć niepowołane uszy, czego królowa z pewnością by sobie nie życzyła.

Brii się cofnął, ale Adair nie. Coś mi mówiło, że tego nie robi.

- Królowa zadała sobie wiele trudu, bym zrozumiał, że muszę dokładnie wypełniać wszystkie jej rozkazy. Uczynię wszystko, czego... ode mnie zażądała i co do joty wypełnię jej zalecenia. Nie dam jej powodu, aby znów wzięła mnie w obroty. - Gniew osłabł i już nie kąsał na prawo i lewo, ale Doyle poruszył się niespokojnie jak koń, którego obsiadły gzy. A może ten kłujący gniew skupił się wyłącznie na nim.

- Ja tu jestem kapitanem, nie ty, Adairze.

- Dobrze, że wróciłeś, kapitanie. - Adair wymówił ostatnie słowo jak obelgę. - Ale niezależnie od rangi nie przewyższasz królowej. To ona nami rządzi, nie ty. Dała mi to jasno do zrozumienia, Ciemności. Była bardzo przekonująca.

Ich ciała niemal się stykały, byli blisko, za blisko.

- Odmawiasz wykonania mojego rozkazu?

- Odmawiam niepodporządkowania się konkretnemu rozkazowi królowej.

- Pytam po raz ostatni, Adairze, czy zejdziesz nam z drogi?

- Nie, Ciemności, nie zejdem.

Przez korytarz przepłynęła magia. Ten pierwszy gorący podmuch, który zwykle poprzedza kolejny, gwałtowniejszy. Nie, żebym nie wierzyła, że Doyle mógłby przegrać w tym starciu. Był Ciemnością Królowej. Niemniej jednak marnotrawstwem wydawało się toczyć walki pomiędzy sobą, podczas gdy mieliśmy wrogów, z którymi należało się zmierzyć.

Nie wiedziałam, kim byli ci wrogowie, jeszcze nie, ale próbowali mnie dzisiaj zgładzić.

Musieliśmy oszczędzać energię na nich, a nie tracić ją na miałkie spory.

- Odstąp, Doyle - powiedziałam, niezbyt głośno, lecz wyraźnie.

Magia w korytarzu narastała, jakby samo powietrze nabrało tchu.

- Powiedziałam, odstąp, Ciemności - i tym razem mój głos już nie brzmiał łagodnie.

Moc, która narastała wokół nas, zawahała się, zafalowała. Warknął pod nosem:

- On stoi nam na drodze, a my musimy zobaczyć się z królową.

- Zobaczymy się z nią. - Podeszłam bliżej. Spojrzałam na Abloeca i Usnę. - Czy obaj powiecie królowej to, co konieczne?

- Zapomniałem już, jakie to okropne uczucie być trzeźwym, więc miejmy już ten koszmar za sobą. Powiem królowej o tym, co zobaczyłem, masz na to moje słowo, nieważne ile jest ono warte. - Spróbował się pokłonić, ale najwyraźniej bolała go głowa, bo znieruchomiał w pół ruchu.

- Usna.

Uśmiechnął się do mnie jak kot, który zjadł kanarka, po czym odparł:

- Oczywiście, księżniczko. Zawsze dotrzymuję danego słowa.

- Nie pozwolę, by ktokolwiek przeszedł obok mnie, dopóki nie wypełnimy co do joty zaleceń królowej - rzekł Adair.

- Czy naprawdę sądzisz, że dałbyś radę tak wielu swoim druhom z oddziału Kruków?

- spytał Barinthus, choć nie zbliżył się do drzwi. Chyba obawiał się tego, co mogłoby się wydarzyć, gdyby wykorzystał swoją moc w walce. Wiedziała, że tak właśnie było.

Minęłam Mroza i dostrzegłam pełne determinacji oblicze Adaira.

- Jesteś za blisko, Meredith - zauważył Mróz.

Pokręciłam głową.

- Nie dość blisko.

- Nie ocaliłem cię przed ludzkim zamachowcem, aby skrzywdzili cię twoi strażnicy.

- Nie skrzywdzą mnie.

W jego szarych oczach pojawiło się zakłopotanie i jeszcze bardziej sposepniał.

- Nie rozumiem.

Nie było czasu na wyjaśnienia. W powietrzu znów gromadziła się moc. Jedno spojrzenie wystarczyło, by stwierdzić, że skóra Adaira zaczęła lśnić.

- To nie człowiek próbował mnie dziś zgładzić, Mrozie - powiedziałam donośnie. - To magia sidhe o władnęła owym człowiekiem. To magia sidhe nałożyła na Doyle'a czar, który spowolnił go, kiedy miał mnie ochronić. Tylko sidhe mógł nałożyć na Ciemność taki czar.

Brii odezwał się, tak jak na to liczyłam.

- Kto mógł nałożyć czar na Ciemność, jeśli nie sama królowa?

- Są tacy, którzy to potrafią, choć nie ma ich tu dziś z nami - warknął Doyle, nie odrywając wzroku od jarzącego się łagodnie Adaira. - Ale to ktoś na tyle potężny, by rzucić zaklęcie na odległość, abyśmy nie mogli zwrócić na to uwagi.

- Nie wierzę ci - rzekł Adair.

- Niechaj sluagh pożre me kości, jeżeli kłamie - powiedział Doyle, a jego głos brzmiał jak groźne warknięcie. Zupełnie jakby słuchało się głosu psa, dźwięki były zbyt niskie, aby mogły dochodzić z ludzkiego gardła.

Poświata Adaira zafalowała na brzegach, tak że środek jego twarzy załśnił niczym świeca.

- Nawet gdybym ci uwierzył, gdybym przyznał, że księżniczka powinna natychmiast spotkać się z królową, gdybym przepuścił was bez walki, musiałbym zdać się na łaskę królowej. - Uniósł rękę, jakby chciał przeczesać włosy, po czym znieruchomiał, jak gdyby nie był w stanie dotknąć ostrzyżonej prawie na łyso głowy. - Byłbym zdany na jej łaskę, ale chcę tego uniknąć.

- Przepuść mnie, Mrozie.

Poruszył się. Z wahaniem, ale się poruszył.

Dotknęłam ramienia Doyle'a.

- Mówię po raz trzeci i ostatni, Doyle, odstęp.

Jego ciemne oczy spojrzały na mnie, a potem wziął oddech tak głęboki, że całe ciało Doyle'a zadygotało jak pies, który otrząsa się po długiej drzemce. Cofnął się o krok od Adaira.

- Jak rozkaże moja księżniczka, tak się stanie. - Głos miał wciąż głębszy niż zazwyczaj i może tylko ja usłyszałam w tym warknięciu zapytanie. Ale ufał mi na tyle, że był gotów zrobić, czego zażądałam. Ufał mi na tyle, by przepuścić mnie i pozwolić, abym zajęła jego miejsce naprzeciw Adaira.

Spojrzałam na Adaira i nie mogłam ukryć smutku w moich oczach na widok jego brutalnie obciętych włosów.

- Pozwolę ci zakosztować pierścienia, Adairze, jak sobie tego życzy królowa.

Znowu na mnie popatrzył, choć głowa była lekko odwrócona w bok.

- Czy pierścień nie rozpoznał Hawthorne'a i Mego?

Zignorowałam pytanie. Skoncentrowałam się na pięknie jego oczu. Wewnętrzne kręgi były złote jak roztopiony kruszec, drugie żółte, w kolorze promieni słońca, a te najszersze pomarańczowe jak płatki nagietka. Dałam się urzec temu widokowi.

- Czy myślisz, że uwodząc, możesz zdobyć to, czego Doyle nie mógł zdobyć magią?

- Sądziłam, że mieliśmy uwieść się nawzajem. Czy nie tego pragnie królowa?

Adair zmarszczył brwi w wyrazie konsternacji. Nie był głupi, po prostu nie przywykł, gdy

ludzie zgadzali się z jego argumentami.

- Ja... tak... Królowa życzy sobie, aby dwóch z nas dzieliło z tobą łożę, zanim staniesz przed jej obliczem.

- Czy wobec tego nie powinniśmy sprawdzić pierścieniem co najmniej dwóch z was? -

Staralam się mówić rzeczowo, powoli przybliżając się do niego. Czułam jego ciało, a konkretnie wibrującą energię. Nawet przez ubranie czułam magię. Poczulałam zaskoczenie i prawie zaparło mi dech. Większość sidhe musiałaby rozmyślnie wygenerować moc, abym tak silnie mogła ją poczuć.

Wtedy zrozumiałam, że bóstwa roślinne były najczęściej także bóstwami płodności.

Mogłam się chwalić lub skarżyć na pięć różnych bóstw płodności w moim rodowodzie, ale nigdy nie bzykałam się z żadnym, któremu kiedykolwiek oddawano cześć.

Jego ciało zareagowało na moc drżącą pomiędzy nami i zamknął oczy, starając się stłumić w sobie odczucia. Ale to było jak siła natury. Wśród Unseelie było zaledwie kilka bóstw płodności. Stanowiły one fundament potęgi Dworu Seelie. Mój ojciec Essus był

wyjątkiem, ale nawet on nie odpowiadał za płodność, lecz raczej za ofiary i plony.

Odnalazłam w sobie dość powietrza, by przemówić i wyszeptałam:

- Kiedy nadejdzie czas, dopilnuj, abyśmy nie zawalili tych ścian.

Za mną rozległ się głos Doyle'a, ciężki i ciemny jak melasa:

- Co zamierzasz zrobić?

- To, czego żąda ode mnie Adair.

Adair spojrział na mnie, a w jego oczach zrodził się ból, wywołany pożądaniem.

Chciał uwolnić tę moc, która wibrowała pomiędzy nami, uwolnić ją i pozwolić, by rozlała się pomiędzy nami. Podobnie jak ja, on również nie poczuł od bardzo dawna zewu magii tak bardzo zbliżonej do jego własnej.

Nie byłam tak nieroztropna, by wierzyć, że to mój widok przepęłnił jego oczy takim pragnieniem. To była moc, która pulsowała pomiędzy nami jak trzecie tętno. Bywałam już blisko Adaira i nigdy nie poczułam więcej niż lekkie zawirowanie mocy. Zmieniły się tylko dwie, może trzy rzeczy. Po pierwsze był nagi, a nie należał do strażników, którzy na dworze z reguły chodzili nago, i nie miał w zwyczaju się przekomarzać. Wierzył, tak jak niegdyś Doyle i Mróz, że jeśli wówczas nie doszło do czegoś więcej, to znaczyło, że druga strona nie ma ochoty na zbliżenie. Stałam tam, pragnąc pokonać ten ostatni cal dystansu pomiędzy nami, i nieomal bałam się to zrobić. Już teraz czułam wielką moc, więc co mogłoby się stać, gdybym dotknęła jego skóry i pozwoliła, by moje ciało zatopiło się w mocy krążącej w jego mięśniach i ciele?

Dotknęłam jego talii. Między nami narastała moc. Jego twarda męskość przywierała do brzucha, nieco przekrzywiona, lecz pełna gracji, urzekająca w swej grubej krzywiźnie.

Była zgoła inna od prostych członków, do których przywykłam.

Uniosłam wzrok, by ponownie odnaleźć jego spojrzenie. Trójkolorowe tęczaówki zdawały się płonąć jeszcze silniejszym blaskiem, ale gdy moc Adaira zaczęła wylewać się przez oczy, odniosłam wrażenie, jakby trzy kolory zlały się w jeden, złocisty niczym promienie słońca.

- Księżniczko - zdołał wyszeptać.

Moc wiła się i dyszała między nami, jakby nasze magie były prądami powietrza, gorącym i zimnym, które zmieszane wywołały burzę. Oparłam się o kamienie i wolno, bardzo wolno zaczęłam zbliżać się do źródła ciepła.

To było jak pławienie się w mocy i żalowałam, że byłam ubrana, przez co nie mogłam poczuć tego na gołej skórze. Trudno mi było powstrzymać od rozebrania się. Nie stracę nawet cała bliskości

tego drżącego żaru, pomyślałam. Na chwilę przed tym, jak moje ciało dotknęło jego, Adair wykrztusił:

- Pierścień...

A potem nasze ciała zetknęły się i przepęłniła nas magia, wyrывая z naszych gardel krzyk, przełamując nasze osłony i pozbawiając kontroli. Wypełniliśmy korytarz cieniami.

Lśniłam jak księżyc w najjaśniejszą noc. Adair również świecił, jakby jego skóra była rozciągnięta tuż nad światłem.

Żar nie był palący. Emanował tym rodzajem ciepła, które daje ci bezpieczeństwo w zimową noc. Ciepłem, które przywraca polom życie po długiej zimie. Ciepłem, które przepęłnia twe ciało pożądaniem i przegania z twego umysłu wszystkie inne myśli. To było jedyne wyjaśnienie, dlaczego zapomniałam, aby dotknąć go pierścieniem. Wszystko, co zaszło wcześniej, nastąpiło bez udziału tej magii.

Musnęłam go pierścieniem. Było to tylko lekkie dotknięcie, a świat wokół nas zadrżał, jakby samo powietrze nabrało tchu. Adair zachwiał się. Objął mnie w pasie, a potem uderzył plecami w coś twardego.

Na wpół staliśmy, na wpół opieraliśmy się o ścianę kamiennej niszy. Adair popchnął mnie i teraz jego wysokie ciało zasłaniało prawie całe wejście i zakrywało mnie przed spojrzeniami innych. Potknęłam się o niewielki otwór i oparłam o konary małego zeschniętego drzewa, które wypełniało większość niszy. Blask pod naszą skórą nie wygasł i tworzył teraz cienie odbijające się od tych murszejących kamieni i usłanego nimi otworu u moich stóp.

Znałam tę niszę, ale znajdowała się wiele poziomów niżej i nigdy nie była tak blisko komnat mojej ciotki.

Rozległ się głos Doyle'a:

- Jesteś bezpieczna. To nie atak.

- Więc co? - spytał Adair z napięciem, które nie do końca zdołały rozładować słowa Doyle'a.

- Drzwi komnaty królowej przepłynęły przez kamienie jak przez wodę - rzekł

Barinthus - i nisza pojawiła się za twoimi plecami.

- Wiesz, że sid lubi zmieniać swój rozkład - powiedział Doyle.

- Ale nie tak gwałtownie - zauważył Adair.

Teraz, kiedy wiedziałam, że nie grozi mi bezpośrednio niebezpieczeństwo, ostrożnie wyjęłam stopy z pustej sadzawki. Niegdyś było tu źródło. Opowieści głosiły, że rosło przy nim drzewo owocowe, które z pozoru wyglądało jak mała jabłoń, ale gdy uklęknałeś, by napić się ze źródła albo złożyć ofiarę, drzewo zaczynało rosnać i mogłeś dostrzec rozciągającą się za nim łąkę. Niegdyś pod ziemią istniały całe światy, w których mógł żyć magiczny lud.

Nasze wydrążone wzgórza miały inne słońca i księżycy, łąki, sadzawki, strumienie i jeziora ukryte przed oczyma ludzi. Ale to wszystko przestało istnieć na długo przed moim narodzeniem. Widziałam kilka komnat pełnych zeschniętych drzew, uschniętej trawy, dawno martwej i pokrytej kurzem stuleci.

Dotknęłam drzewa za moimi plecami, bo ściana kończyła się niemal na odległość wyciągniętej ręki. Drzewo było małe i przywierało do ściany, drewno zaś suche - wydawało się pozbawione życia, ale tu i ówdzie widać było kilka pojedynczych liści.

Miałam niewiele miejsca, by stanąć obiema stopami wewnątrz sadzawki wypełnionej drobnymi kamykami. Plecy Adaira przesłaniały prawie całe wejście, jeśli nie liczyć niewielkiej przestrzeni nad jego głową. Barinthus był za wysoki i nie mógłby stanąć tu wyprostowany.

Światło gasło w ciele Adaira, pozostawiając czerwonawą poświatę, jakby słońce zachodziło na

tle jego pośladków i pleców. Biel w mojej skórze również przygasła, ale był to po prostu dogasający blask. Adair wyszedł z niszy. Wciąż był tak blisko mnie, że mogłam dotknąć dolnej części jego pleców. W chwili gdy to uczyniłam, pod jego skórą pojawiły się głębsze kolory, ciemny karmazyn. Adair wydał zduszony okrzyk. To jedno dotknięcie sprawiło, że zachwiał się na nogach, następnie zaczął gorączkowo przytrzymywać się ściany.

Spojrzał na mnie, jego oczy uspokoiły się, rozpląły w trzy kręgi złocistych barw, wciąż jaśniejsze niż początkowo, ale nie przypominały już małych gorejących słońc. Zdołał wykrztusić:

- Co mi zrobiłaś?

Musnęłam jego skórę i na opuszkach palców poczułam moc. Była gęsta i ciężka niczym krew drzew. Pochłaniałam ją, a gdy chciałam mu ją oddać, coś mnie powstrzymało.

Nagle rozumiałam, co muszę zrobić. Podeszłam do przedniej części niszy i uklękłam w niej przed wyschniętą sadzawką. Z boku, ukryty wśród suchych liści, leżał mały drewniany kubek. Był popękany ze starości i z dawna nieużywany.

- Chodź, Meredith, pora spotkać się z królową - rozległ się głos Barinthusy.

- Nie - odezwał się Doyle. - Zaczekaj chwilę.

- Otworzyłaś drzwi, kiedy miałem rozproszoną uwagę - rzekł Adair, a w jego głosie znów pojawił się gniew. - To była sztuczka!

Kubek nie miał ucha, więc chwyciłam go obiema rękoma, po czym uniosłam w stronę miejsca w skale, skąd niegdyś tryskała woda. Wiedziałam dokładnie, skąd powinna płynąć.

Wiedziałam, choć nigdy tego nie widziałam. Dotknęłam kubkiem skały tuż poniżej otworu.

- Stąd już nie płynie woda, księżniczko powiedział Adair.

Zignorowałam go i przytrzymałam kubek przy skale. Przesłałam moc z moich palców w głąb tego małego, ciemnego otworu, rozmazując ją wewnątrz szczeliny jak niewidzialny dżem, tak gęsty, tak cudowny. Z chwilą gdy moja moc dotknęła szczeliny, pociekła z niej woda, wypełniając pęknięty kubek.

Ktoś powiedział:

- Królowa nadchodzi.

Adair dotknął mego ramienia, pochwycił mnie.

- Oszukałaś mnie! - Szarpnięciem podźwignął mnie w górę, obrócił ku sobie i gdy to uczynił, woda wylała się z kubka, zachlapując jego zdumione oblicze i nagi tors. Spłynęła po jego ciele prostymi, lśniąco strużkami. Puścił mnie, wybałuszając oczy.

Kubek w moich dłoniach był wykonany z białego drewna, wypolerowany do połysku.

Drewno pokrywały wizerunki owoców i kwiatów, a z tej niezwyklej, urzekającej płataniny liści i winorośli wyzierały twarze mężczyzn. Nie tylko jednego zielonego mężczyzny, lecz wielu, jak ukryte postacie w dziecięcej łamigłówce. Z drugiej strony kubek był ozdobiony podobizną kobiety o długich włosach spływających w dół jej ciała niczym płaszcz. Obok niej z jednej strony stał pies, z drugiej rosnęło drzewo, wręcz ciężkie od owoców. Uśmiechnęła się do mnie z drewnianego kubka. To był znaczący uśmiech, jakby wiedziała to, czego ja nigdy nie będę mogła wiedzieć.

Doyle rzucił niepewnym tonem:

- Królowa oczekuje nas w środku, Meredith. Jesteś gotowa?

Uklękłam we wnęce i stwierdziłam, że woda spływała wąską, błyszczącą strużką do kamiennego zbiornika. Wypełniające go suche liście i pozostałości minionych lat znikły.

Zbiornik był teraz półokrągłym wgłębieniem pełnym gładkich kamyczków.

Podstawiłam kubek pod wodę i rozległ się głośny bulgot. Dopiero kiedy woda przebiła się

ponad krawędzią kubka i chłodnymi strużkami ściekła mi po rękach, cofnęłam się i wstałam.

W tej wodzie była energia, cicha, pulsująca moc. Oczyma duszy dostrzegłam w niej lśnienie mocy, a drewniany kubek jarzył się w mojej głowie jak biała gwiazda.

- Dla kogo jest ten kubek? - zapytał Doyle.

- Dla tej, która wymaga uzdrowienia, choć o tym nie wie. - Mój głos skrywał w sobie echo poświęty z kubka.

- Pytam raz jeszcze, dla kogo jest ten kubek?

Nie odpowiedziałam, bo przecież wiedział. Wszyscy wiedzieli. Kubek był przeznaczony dla Królowej Powietrza i Ciemności. Miał ją oczyścić, uzdrowić, odmienić.

Wiedziałam, że naczynie było przeznaczone dla niej, ale nie wiedziałam, czy zechce się z niego napić.

Rozdział 28

Andais stała pośrodku komnaty wykuta z mroku i księżycowego blasku. Jej biała skóra połyskiwała, jakby uwięziono pod nią księżyc, którego blask wydostawał się na zewnątrz. Włosy miała koloru najczarniejszej nocy, choć gdy spojrzałam na nią kątem oka, dostrzegłam rozsiane wśród nich jasne punkciki światła, niczym rozproszone gwiazdy. Kiedy jednak odwróciłam się do niej twarzą, widać było tylko roziskrzoną czerń, przypominającą najdalszą pustkę kosmosu. Ten rodzaj ciemności, w której nie ma żadnego ciepła, żadnego życia.

Potrójna szarość jej wyglądających jak burzowe chmury oczu błyszczała, ale słabo, jakby odbitym światłem.

Samo jej spojrzenie zatrzymało mnie w drzwiach. Moc przepelniała ją niczym zrzędzenie losu czekające na kolejną ofiarę i sprawiła, że miałam ochotę obrócić się na pięcie i rzucić do ucieczki. Wciąż czułam działanie magii, która ożywiła źródło. Magii, którą obudziłam z Adairem. Ale to jaskrawe uzdrawiające zakłęcie obróciło się w moim sercu w popiół, gdy ujrzałam oczy Andais przepelnione szaleństwem i żądzą mocy.

Stałam w drzwiach, bojąc się poruszyć, lękając się zwrócić na siebie jej uwagę. Cała ta nowa moc, nowe odkrycie siebie i towarzysząca temu radość oraz miłość prysły, a ja znów stałam się dzieckiem. Przerażonym królikiem chowającym się w trawie w nadziei, że lis go ominie. Kiedy przełknęłam ślinę, zabołało, jakbym dławiała się strachem. Ale królikiem, na którego ten lis polował, nie byłam ja.

Eamon stał na niewielkim podwyższeniu przy drugim końcu komnaty, która zwykle była przesłonięta kotarą. Był wysoki i blady, z długimi do kostek czarnymi włosami opadającymi na nagie ciało. Eamon był jednym z tych, którzy na dworze zwykle pojawiali się bez ubrania. Widywałam go już wcześniej nagiego. To nie piękno Eamona sprawiło, że mój puls przyspieszył. Nie uczyniły tego także narzędzia tortur i śmierci wiszące na ścianie za nim i okalające jego ciało niczym kolaż. Sprawily to słowa królowej i jego na nie odpowiedź.

- Czy sprzeciwiasz mi się, Eamonie, mój wybranku?

Głos miała spokojny, zbyt spokojny. Nie pasował do wyrazu jej twarzy.

- Nie sprzeciwiam ci się, moja królowo, ale błagam cię. Zabijesz go, jeżeli tego nie przerwiesz.

Zza Eamona dobiegł głos:

- Nie przestawaj, proszę, nie przestawaj.

- On nie chce tego przerwać - rzekła Andais i jakby od niechcienia wykonała ruch ręką, zwracając moją uwagę na trzymany w niej bicz. Nie było go widać, zlewał się z czernią długiej spódnicy i zobaczyłam go dopiero w ruchu. Wyglądał jak dobrze ukryty wąż, którego dostrzegasz dopiero, kiedy atakuje. Bicz z szelestem przeszedł po podłodze, gdy przesunęła nim w przód i w

tył. Leniwy gest, który sprawił, że zjeżyły mi się włoski na karku.

- Powiedziałaś mi kiedyś, że cenisz go, bo potrafi znieść tyle bólu. Jeżeli go zabijesz, nie będziesz już mogła się nim cieszyć, moja królowo.

Zdałam sobie sprawę, że Eamon stał na wprost wnęki pośrodku ściany. Zasłaniał swoim ciałem niszę, która, jak wiedziałam, miała wpuszczone w ściany łańcuchy z okowami.

Ktokolwiek tam był, musiał być niższy od mierzącego sześć stóp Eamona i mógł zostać zabity samym tylko biczem. Większość magicznego ludu, nawet po zdekapitowaniu, mogła wziąć głowę pod pachę i uderzyć na nieprzyjaciela. Niełatwo ich było zabić czy choćby zranić. Dla kogo tak się narażał Eamon? Żadne imię nie przychodziło mi do głowy.

W komnacie byli inni strażnicy. Wszyscy nadzy. Ubrania, zbroje i broń leżały w nogach łóżka. Zapewne kazała im się rozebrać. Widok tuzina sidhe klęczących z pochylonymi głowami i rozpuszczonymi włosami przesłaniającymi ich nagość niczym różnokolorowe, wielobarwne szaty był równocześnie cudowny i niepokojący.

Co się stało? Co się zmieniło, odkąd Barinthus i inni opuścili pagórek i pojechali po mnie? Barinthus mówił, że się jej polepszyło, ale ja nie widziałam jej jeszcze w równie złym stanie.

Bałam się odezwać, bałam się wydać jakikolwiek dźwięk z obawy, by nie wyładowała na mnie wściekłości. Nie ja jedna nie wiedziałam, co mam robić, Doyle bowiem stał przede mną, nieco z boku, równie nieruchomo jak ja, jak my wszyscy. Gdy weszliśmy do komnaty, skierowała na nas wzrok, następnie ponownie skupiła uwagę na Eamonie.

Zamachnęła się, a wśród klęczących pojawiła się luka, jakby bicz nie pierwszy raz prześlizgiwał się po podłodze. Nie po raz pierwszy ani dziesiąty, ani nawet dwudziesty tej nocy. Mężczyźni wyglądali jak osobliwe, urodzive parkowe rzeźby, gdy trwali w bezruchu, podczas gdy bicz przesuwiał się po podłodze. Królowa wyrzuciła rękę do przodu, robiąc to tak, jak należy, z użyciem biodra i lekką rotacją ciała. W ostatniej chwili strzeliła nadgarstkiem, co wywołało dodatkowy skręt bicza i charakterystyczny trzask.

Ten dźwięk przywodził na myśl nadciągające tornado, a ja, ponieważ miałam kiedyś okazję zaznać tej kary, wiedziałam, że z punktu widzenia ofiary dźwięk ten był jeszcze bardziej rozdzierający, jakby się to stało na torach naprzeciw nadciągającego rozpędzonego pociągu i nie można było się ruszyć. Nie dlatego, że nie chciałeś tego zrobić, tylko dlatego, że byłeś zakuty w łańcuchy.

Eamon mógł się poruszyć, lecz nie zrobił tego. Stał tam, zasłaniając tego, kto znajdował się we wnęce. Bicz trafił go z całej siły w pierś, przy wtórze ogłuszającego trzasku, który złał się w jedno z wilgotnym mlaśnięciem stanowiącym odgłos trafienia w ciało. Gdyby bicz był mniejszy, dałoby się usłyszeć tylko to mięsiste pacnięcie. Ale to był jej największy pejcz, niczym czarna anakonda, coś tak długiego i grubego, że mogło wydusić z ciebie życie.

Ciało Eamona poczerwieniało, ale nie krwawiło. Ja zaczęłabym krwawić.

Lubię ostrą jazdę, ale nie taką, jaką preferowała królowa. Uwielbiała przekraczać granice i staczać się w otchłań. Bywała w miejscach, do których nie chciałabym się udać i gdzie nie byłabym w stanie przeżyć.

W tym momencie zorientowałam się, kto, a raczej co znajdowało się w niszy za Eamonem. Na naszym dworze było kilka istot ludzkich. Większość na innych zasadach niż publicystka Madeline Phelps. Dla nich to nie była praca. Zostali wybrani setki lat temu i zabrani do Krainy Faerie. Teraz przebywali tu z własnej woli, gdyby bowiem opuścili kopiec, natychmiast zestarzeliby się i umarli. To był uświęcony układ, śmiertelnicy, których uprowadziłeś. Niektórzy stawali się służącymi, zwykle jednak chodziło o coś konkretnego, co zwracało uwagę sidhe. Niektórych porwano przez wzgląd na

ich piękno czy talent muzyczny: w przypadku Ezekiała królowa doceniała jego talent do zadawania tortur. Niektórzy okazywali się na tyle cenni, że uprowadzano ich ze świata ludzi. Teraz to było zabronione, ale dawno temu, gdy sami stanowiliśmy prawo, taki proceder kwitł na obu dworach. Z jakiegoś powodu po tym, jak ludziom dawano tu schronienie, uznano, że w złym tonie byłoby odbieranie im życia. Uważano to za złamanie kontraktu, grzech. Ofiarowano im nieśmiertelność, a potem dręczono, maltretowano. Nie wolno im było tylko odbierać tego, co sprawiło, że chcieli przybyć i pozostać w Krainie Faerie: życia.

Zorientowałam się, kto znajdował się w niszy. Tyler był jej obecnym ludzkim kochankiem. Kiedy widziałam go po raz ostatni, był blondynem ze skejtowską fryzurą i piękną opalenizną. Był bardzo młody i, jak głosiły ostatnie plotki, uzależniony od bólu. Jeżeli podobało mu się to, co wyprawiała z nim królowa, najwyraźniej miał też tendencje samobójcze.

Wielki czarny bicz ponownie zaszurał po kamiennej podłodze. Prześlizgnął się pomiędzy jej nieruchomymi, milczącymi strażnikami i ze świstem przeciął powietrze, niczym błyskawica dosięgając ciała Eamona. Siła uderzenia pchnęła go w tył, ale poza czerwoną pręgą na skórze nie było żadnych śladów mogących wskazywać, że wyrządziła mu krzywdę.

Andais wydała cichy, gardłowy dźwięk, prawie jak warknięcie, jakby nie czuła się usatysfakcjonowana. Upuściła bicz na ziemię, a następnie uniosła bladą dłoń ze starannie pomalowanymi paznokciami i skinęła na Eamona. Ten zatoczył się i aby nie upaść, musiał złapać się krawędzi niszy. Jej moc wypełniła komnatę jak ciśnienie przed burzą. Powietrze zgęstniało do tego stopnia, że trudno było oddychać. Z łatwością mogła nas wszystkich podusić.

Zacisnęła dłoń w pięść. Ramiona Eamona zdrząły z wysiłku, gdy starał się stawić opór jej magii.

- Nie rób tego, moja królowo - wycedził przez zaciśnięte zęby. Koniuszki jego palców poruszyły się, uchwyt zaczął słabnąć. Wbił palce w kamień z siłą, jaka pozwoliła sidhe podbić niemal całą Europę. Kamień popękał pod jego palcami, ale udało mu się w niego wczepić.

Powstałe otwory wypełniły się krwią. Rozorał sobie palce, ale się nie cofnął.

Moja pierś zdawała się być przygniatana jakimś ciężarem. Nie mogłam nabrać powietrza. Woda z kubka polala się na moje ręce i tylko podtrzymujący mnie Galen sprawił, że pozostałam w pionie. Nigdy nie czułam tak silnej magii.

Ruszyła w stronę Eamona, bardzo wolno, rozpościerając przed sobą welon mocy jak wielką niewidzialną dłoń. Im bliżej podchodziła, tym silniejszy był wpływ tej szczególnej magii.

Eamon zaczął się trząść, krew popłynęła szybciej, wylewając się ze skały i ściekając szkarłatnymi strużkami. Za sprawą wysiłku jego serce zabiło żywiej, tętno przyspieszyło, a to z kolei sprawiło, że krew zaczęła krążyć szybciej i obficie wypływała z jego ciała.

Widziałam szare, białe i gwiaździste kształty. Ktoś złapał mnie za rękę, nie wiedziałam kto. Kolana ugięły się przede mną i osunęłam się w czyjeś ramiona. Powietrze było zbyt gęste, bym mogła nim oddychać. Światło zszarzało i westchnęłam przeciągle. Złapałam oddech i zakasłałam, zginając się niemal w pół, ale silne ręce nie pozwalały mi upaść. Kiedy minął atak kaszlu, światło powróciło i poczułam chłodne powietrze na twarzy.

Znów mogłam oddychać. Galen oburącz trzymał mnie za prawą rękę, a Adair za lewą, drugą zaś obejmował mnie w pasie. Po chwili mogłam stanąć na nogach o własnych siłach.

Sądziłam, że królowa opuściła komnatę, ale tak nie było. Stała przed Eamonem, zawężając zakres swojej magii i skupiając ją wyłącznie na nim.

Eamon nie rozluźnił uścisku na krawędzi ściany, usta miał szeroko otwarte, ale nie dyszał. Powietrze było dla niej bronią. Wiedziałam, że wszyscy się jej bali, ale nigdy dotąd nie widziałam,

by używała takiej mocy, i po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, że nie tylko absolutna bezwzględność utrzymywała ją przy władzy przez ponad tysiąc lat. Spojrzałam na twarze strażników, największych wojowników sidhe. Ujrzałam w nich strach.

Najprawdziwszy strach.

Andais zaśmiała się. Był to dziwny, niepokojący dźwięk zwiastujący ból albo śmierć.

Gdy prawie straciłam przytomność, sięgnęła po nóż. Teraz wykorzystywała go przeciwko Eamonowi. Cięła go, jakby był krzewem do wykarczowania. Spodziewałam się ujrzeć bryzgającą krew, ale powietrze było zbyt gęste, by mogła wypływać z ran. Sączyła się tylko i w efekcie Andais zdążyła zadać kolejny tuzin głębokich ran, zanim polala się bardziej.

- Pomóż nam, Pani - rzekł Doyle pustym, smętnym tonem.

Stał naprzeciw mnie. Zdałam sobie sprawę, że w którymś momencie, gdy podchodziła do Eamona, zasłonił mnie przed jej wzrokiem. Westchnął i obejrzał się na innych. Nigdy dotąd nie widziałam takiego wyrazu na jego twarzy.

Rhys westchnął do niego.

- Nie zniosę tego.

- Jak my wszyscy - odparł stojący obok mnie Mróz.

Stwierdziłam, że mam dość powietrza, by móc się odezwać.

- Co zamierzacie zrobić?

Doyle pokręcił głową.

- Nie ma czasu na wyjaśnienia. - Jego ciemne oczy patrzyły na Eamona i królową.

Pierś i brzuch Eamona były pokryte krwią, z płytkich cięć po jego ciele spływała krew. Na torsie miał też głębsze rany, które wyglądały jak szerokie szkarłatne usta. Z jednej strony jego ciało było rozprute, tak że przez krew przebierały białe kości żeber.

- Nie ma czasu - powtórzył Doyle, po czym ruszył w stronę królowej.

Mróz podążył za nim, podobnie jak Rhys, który zerknął na mnie przez ramię.

- To nie będzie takie straszne, jak może się wydawać. Pamiętaj, że mamy moc gojenia ran.

Moje tętno przyspieszyło. Co oni chcieli zrobić? Postąpiłam naprzód, ale Galen i Adair przytrzymali mnie za rękę. To, co wygodne i pomocne, okazało się nagle pułapką.

Trzymali mnie, abym nie mogła pójść za nimi.

- Puść mnie, Galenie - rozkazałam.

- Nie, Merry. - Mówiąc to, nie patrzył na mnie, wpatrywał się w Eamona. Wysokiego, przystojnego Eamona, który zmienił się w poleć surowego mięsa. - Nic im nie będzie. - W jego głosie brakowało pewności.

Spojrzałam na Adaira.

- Puść mnie.

- Nie zrobię tego, księżniczko.

- Będiesz ją przytrzymywał, bo nie potrzebujemy twojej pomocy - powiedział Brie, następnie ominął nas.

- Pomocy w czym? - spytałam i odwróciłam wzrok od pełnej powagi twarzy Galena, który uważnie śledził wszystko, co działo się pod ścianą.

Doyle był na tyle blisko, że mógł dotknąć królowej.

Jego głęboki głos poniósł się w dal.

- Wróciliśmy, moja droga królowo.

Zupełnie jakby go nie słyszała, jakby świat zawęził się do okrwawionego noża w jej dłoni i ciała, które rąbała.

- Moja królowo. - Tym razem Doyle wyciągnął i położył ciemną rękę na jej białym ramieniu, tuż nad miejscem, gdzie pociekła krew, plamiąc jej skórę.

Natychmiast się do niego odwróciła. Ostrze błysnęło srebrnawo, a z ramienia Doyle'a trysnęła świeża krew.

Wypowiedziałam jego imię prawie bez zastanowienia. Królowa z zakłopotaniem rozejrzała się po całej komnacie, jakby wypatrywała źródła mojego głosu, ale Doyle znów mnie zasłonił. Ona zaś dalej cięła. Zraniła go raz jeszcze, zanim Rhys wysunął się nieznacznie przed niego. Nie usłyszałam, co powiedział, ale cokolwiek to było, wystarczyło. Chlasnęła go. Tylko drgnięcie ramion świadczyło, że poczuł ból. Cofnął się, jakby chciał uniknąć cięcia.

To jej się nie spodobało. Rzuciła się na niego w dzikim, bezlitosnym ataku i nagle na jej drodze pojawił się Amatheon. Rozplątała mu ramię od barku po dłoń. Cięcie sprawiło, że zachwiał się i odwrócił, usiłując ochronić rękę. Wbiła mu ostrze w plecy i upadł, osuwając się na kolana. Oczy miał rozszerzone bólem i rezygnacją.

- Witamy w świecie strażników, księżniczko - rzekł Adair. - Oto, jak zachowujemy się wzajemnie przy życiu. Nikt prócz królowej i jej Kruków nigdy tego nie widział. Spotkał cię szczególnie przywilej. - Te ostatnie słowa kryły w sobie ironię, gorycz, która nieomal szatkowała powietrze.

Przeniosłam wzrok na strażników. Wciąż klęczeli na podłodze, nadzy, w przybraniu jedwabistych włosów. Miały barwę świeżej słomy, dębowych liści, skrzydeł ważki w promieniach słońca, wiosennej trawy. Ich czerwona jak ogień skóra lśniła w świetle jak biały metal, skrzyła się, jakby przyprószono ją złotym pyłem. Pokrywała ją jedwabista sierść.

Nawet pozbawieni zbroi, ubrań i broni byli niesamowicie unikatowi.

Byli sidhe Unseelie i nagość nie mogła ich umniejszyć.

Usłyszałam jakiś dźwięk. Nie byłam pewna, skąd dobiegł, ale jedna para oczu łypnęła na mnie przez kaskadę szarych jak chmury przed deszczem włosów. Oczy patrzące spod ich kurtyny były wirującymi kręgami zieleni zmieszanej z żółcią w odcieniu zbliżonym do złocistego. To były barwy świata tuż przed atakiem burzy. Ponieważ tym właśnie był Mistral, władca wiatru, przywoływaczem burz. Jego oczy były zmienne jak pogoda, a ta wirująca zieleń stanowiła oznakę silnego lęku. Mówiono mi, że takim spojrzeniem potrafił sprawić, że ciemniało niebo.

Spojrzeniem i wyrazem twarzy dawał mi do zrozumienia, że byłam kolejną bezużyteczną członkinią królewskiego rodu. Mierziło go, że tak tam stałam, dobrze strzeżona i bezpieczna, podczas gdy oni przelewali krew. A może po prostu wyczytałam w jego oczach moje własne poczucie winy. Ojciec wychowywał mnie w przekonaniu, że przynależność do królewskiego rodu oznacza coś więcej niż posiadanie władzy nad poddanymi. To oznaczało, że również poddani mieli władzę nad tobą i powinnaś o nich dbać. Byłam potencjalną kandydatką na królową, mogłam decydować o życiu i śmierci tych mężczyzn, ale tylko gdy się ukrywałam.

Ukrywałam się i byłam tak przerażona, że prawie nie mogłam myśleć. Dotyk dłoni Galena i Adaira na moich przedramionach przestał być dla mnie powodem do oburzenia i zaczął stawać się pocieszający. Chciałam, by mnie przytulili. Pragnęłam wymówki, abym nie musiała niczego robić. Ukrywałam się za ludźmi, o których bezpieczeństwo miałam dbać.

Spojrzenie Mistrala było dla mnie jak policzek. Klęczał na podłodze, tam gdzie mu kazała królowa, zapewne ostrzegając, że jeśli się poruszy, jego również przykuje do ściany. To była jej typowa groźba. Kiedyś klęczałam na tej podłodze tak długo, aż zemdlałam. Bądź co bądź, byłam tylko śmiertelniczką i nie mogłam tkwić w jednej pozycji dzień i noc. Oni mogli.

Wciąż słyszałam odgłosy dochodzące z drugiego końca komnaty, ale patrzyłam na Mistrala,

jakby jego twarz była jedyną rzeczą na całym świecie. Gdybym odwróciła wzrok, ujrzałabym tę rzeź... Nie chciałam tego oglądać. Byłam zmęczona oglądaniem grozy. Ale niezależnie jak bardzo się starałam, wciąż słyszałam, co się działo.

Ciche sapnięcia, odgłos rozdieranego materiału i ten gęsty, mięsisty dźwięk, kiedy ciało rozstępuje się pod naporem ostrza. Sądząc po odgłosie, to była naprawdę głęboka rana, dochodząca do najbardziej witalnych organów. A potem szum rozbryzgującej się wody, jakby ktoś odkręcił szlauch.

Odwróciłam się powoli, tak jak to się dzieje w sennych koszmarach. Galen próbował stanąć przede mną. Ale i on poruszał się zbyt wolno. Dostrzegłam rozszerzone ze zdziwienia oczy Onilwyna. Krew buchała z jego szyi, rozbryzgując się szeroką strugą i spadając na ziemię jak szkarłatny deszcz. Zanim szerokie bary Galena przesłoniły mi widok, zdążyłam jeszcze dostrzec fragment bladego kręgosłupa.

Spojrzałam na niego. W jasnozielonych oczach dostrzegłam ból. Mój głos zabrzmiał jak szorstki szept:

- Przesuń się, Galen, chcę to zobaczyć.

Jego włosy poskręcały się w zmierzwione kędziory, w miarę jak stopił się pokrywający je lód.

- Nie chcesz tego widzieć.

- Jestem księżniczką, prawda? A jeśli nie, to co tu w ogóle robię?

To wystarczyło. Przesunął się i mogłam zobaczyć, co królowa robiła swoim Krukom.

Swoim mężczyznom.

I moim również.

Rozdział 29

Szatkowała Mroza. Jego szara koszula była czarna od krwi. Odwrócił się, upadając, a dolna połowa jego długich srebrzystych włosów kleiła się do ciała. Opadł na kolana, głową do dołu. Gdy uniosła oburącz nóż, Doyle wysunął ramię, odparowując cios. Skórę i ubranie miał tak ciemne, że trudno było dostrzec na nich krew, ale tam, gdzie nieomal dosięgła serca, przezierały biało-czerwone kości.

- Doyle - szepnęłam.

Andais zaczęła go ciąć. Krew bryzgała na wszystkie strony. Nie mogła go zabić, ale powaliła go na kolana furją swych uderzeń. Nóż był czerwony, rękojeść śliska od posoki.

Andais musiała zmienić uchwyt, gdy wykonywała pchnięcie w dół. Widać było, ile siły wkładała w kolejne ciosy. Jeden z nich miał go trafić w serce. Próbował go zablokować. Wtedy poruszyła się jak mroczna błyskawica, czerwono-czarna chmura i wbiła ostrze w jego twarz.

Siła uderzenia obróciła go. Patrzyłam, jak jego twarz rozszczepia się od podbródka po kość policzkową.

Wciąż się bałam, tak bardzo, że czułam na języku nieprzyjemny metaliczny smak.

Mawia się, że nienawiść bierze się ze strachu. Cóż, czasami tak bywa też i z gniewem. Strach, który tkwił we mnie jak małe przerażone zwierzątko, urósł. Posiadł skrzydła, kły oraz pazury.

To, co się działo, było złe samo w sobie. Nawet gdybym nie kochała tych mężczyzn, musiałabym zareagować.

Rhys rzucił się naprzód, przyjmując cięcie, które wytoczyło krew z jego ramienia.

Królową najwyraźniej znudziła cała ta zabawa. To byli najlepsi wojownicy, jakimi mogli poszczycić się sidhe, ale ona była od nich lepsza. Była Królową Powietrza i Ciemności, mroczną boginią bitwy.

Jeżeli Kruki nie mogły jej sprostać, to co mogłam uczynić ja? Mężczyźni byli szybsi, silniejsi i

lepsi ode mnie. Nie miałam broni, która mogłaby mi pomóc. Nie mogłam jednak beczynnym stać i patrzeć. Gniew przerodził się w moc i nie mogłam już pohamować lśnienia skóry. Nadchodziła moc.

Galen i Adair spojrzeli na mnie.

- Nic nie możesz zrobić, Merry.

- Oni nie umrą - syknęłam.

- Nie - rzekł z rozgoryczeniem w głosie Adair. - Wrócimy do zdrowia, tak jak to już bywało wcześniej.

- Nie było tak źle jak teraz. - Głos Mistrala, choć łagodny, miał w sobie siłę grzmotu.

Wywołał na moim ciele gęsią skórę i spowodował, że poświata w moim wnętrzu przybrała na sile.

Jego dziwne, głębokie jak studnie oczy odnalazły moje spojrzenie.

- Nigdy dotąd tak nas nie szlachtowała powiedział. - Coś jest nie tak.

Przeniosłam wzrok na Adaira i Galena.

- Czy to prawda?

- Wyliżą się - rzekł Galen, ale nawet on nie miał pewności.

- Mistral ma rację. - Adair odwrócił wzrok od jatki, a na jego twarzy pojawił się bezmiar bólu i wstydu. Kruki wywodziły się z tradycji, w której zawahanie przed przyjęciem zabójczego ciosu skierowanego przeciwko ich przywódcy było najgorszą hańbą. Jednak lojalność odmierzana była godnością, na jaką zasługiwali przywódcy. Nie byliśmy władcami dziedzicznymi, właściwie była to idea ludzi, którą przyjęliśmy, ale kiedy najlepsi z nas przejmowali rządy, niezależnie od rodowodu, nic się nie liczyło, dopóki byli sidhe.

Mistral odwrócił się ode mnie i wyszeptał:

- Dopomóż nam, Matko, bo nikt inny nie zdoła.

Ręce Andais były całe we krwi. Nie należała do jej ofiar. To była jej krew. Ciekła z drobnych ran na ramieniu, piersi i szyi. Królowa Powietrza i Ciemności, owładnięta morderczym szałem, poraniła także siebie. Wykonała pchnięcie, atakując Rhysa tak jak wcześniej Doyle'a. Jej ramię zatoczyło szeroki łuk i oboje wiedzieliśmy, co się zaraz stanie, lecz nie mogliśmy temu zapobiec. To było jak patrzeć na zabójcze pchnięcie, nie sposób go było zatrzymać.

Wykrzyknęłam jego imię, gdy ostrze wbiło się w jego jedyne oko. Przekręciła nóż w ranie, wylupując gałkę.

Amatheon próbował ją odciągnąć, ale zdawała się go nie dostrzegać. Nie widziała nic prócz masakrowanej twarzy Rhysa, nie słyszała nic poza krzykami, które w końcu wyrwały się z jego gardła.

Moc napłynęła do mnie jak niewidzialny sztylet, wpływając do mojej lewej ręki. Ręka krwi, moja druga ręka mocy. Wcześniej jej wykorzystanie sprawiało mi ból tak intensywny, że widziałam podwójnie, ale nie tym razem. Teraz pojawiła się cicho, nieoczekiwanie i pełniej niż kiedykolwiek dotąd. Robiłam użytek z moich rąk mocy, ale aż do tej chwili ich nie przyjąłem. Byłam dostatecznie ludzka, by móc chcieć wspaniałych mocy, ale tych najpiękniejszych, a nie najbardziej przerażających pośród nas. To jednak było tylko dziecinne życzenie i odrzuciłam je od siebie. Miałam jedną z tych chwil absolutnej przejrzystości, kiedy wydaje się, że jesteś w stanie wejrzeć w głąb wszystkiego, co cię otacza.

Nie musiałam przywoływać zapachu i smaku krwi, w komnacie aż cuchnęło posoką.

Zupełnie jakby ktoś upuścił na posadzkę surowe mięso, a my wszyscy po nim deptaliśmy.

Czułam w gardle nie tylko woń krwi, ale także mięsa. Barinthus rzucił się w stronę Rhysa, osłaniając go swoim ciałem jak tarczą, podczas gdy Andais krzyczała i siekła go bez końca.

Rhys odrzucił głowę do tyłu, jego oko było już krwawą miazgą. Wciąż krzyczał bezgłośnie, bez nadziei.

Spojrzałam na rany na jego ramionach, a jako że Galen i Adair wciąż trzymali mnie za ręce, pomyślałam jedynie: Krwaw.

Krew pociekła strużkami z ran na jej ramionach, szybciej niż dotychczas, ale chyba nikt nie zauważył, że królowa krwawiła, a już na pewno nie ona sama. Była zbyt pochłonięta żądzą walki, by to dostrzec. Nie mogłam się łudzić, że zdołam ją zgładzić. Była naprawdę nieśmiertelna. Liczyłam co najwyżej, że zdołam ją osłabić i zdekoncentrować. Nie mogłam dłużej beczynnie patrzeć. Przywołałam krew z jej ciała, a ona zignorowała mnie. Cięła Barinthusą, jakby chciała wykroić w nim dziurę; jakby mogła przepelznąć i wyciągnąć przez niego Rhysa.

Zamierzałam ją zdekoncentrować, ale to było tylko pobożne życzenie. Tej, która była boginią bitwy, nie można było spowolnić drobną utratą krwi. Znowu usłyszałam słowa mego ojca. „Jeżeli kiedykolwiek staniesz przeciwko mojej siostrze, zabij ją, Meredith, zabij albo nigdy nie podnoś na nią dłoni”.

Wyciągnęłam lewą rękę i pozwoliłam, by moja magia uleciała jak z dawna uwięziony ptak, którego wypuszcza się na wolność. To było cudowne. Krew trysnęła z jej ramienia, a ona wciąż tego nie dostrzegała, choć niektórzy z mężczyzn i owszem.

Adair puścił mnie i się cofnął. Myślę, że nie chciał, by Andais pomyślała, że miał z tym coś wspólnego.

- Merry, Merry, nie. - Galen pociągnął mnie za prawą rękę i sięgnął po drugą.

Krwaw, pomyślałam. Szarpnął się i odsunął, gdy mała ranka od lodu na jego dłoni rozszerzyła się, jakby rozplątano ją nożem. Dostrzegłam, że się boi. Był to strach o mnie i przede mną.

Krew lała się po jej ramionach jak karmazynowa woda, ale ona wciąż szatkowała plecy Barinthusą.

Krwaw, pomyślałam znowu, i mała rana z przodu na jej ciele rozszerzyła się, jakby skórę rozcięło ostrze niewidzialnego noża. Zwolniła, zawahała się.

Spojrzałam na czystą, białą linię jej szyi z maleńkim czerwonym punkcikiem, drobnym draśnięciem. Jakimś sposobem wydała mi się ona duża i wyraźna. Widziałam ją doskonale, czułam jej krew płynącą pod tą czystą skórą. Zacisnęłam dłoń w pięść i wyobraziłam sobie, co chciałabym, aby stało się z tą ranką. Na jej szyi pojawił się nagle krwawy otwór, przypominający usta. Chyba krzyknęłaby, gdyby mogła.

Ale nie mogła. Z jej ciała buchnęła krew. Zapomniała o Barinthusie. Zapomniała o Rhysie. Zapomniała o wszystkim. Spojrzenie trójbarwnych szarych oczu skierowała na mnie.

Powietrze dokoła zgęstniało jak przed burzą.

- Krwaw dla mnie! - wrzasnęłam.

Krew trysnęła z jej gardła jak z wielkiej pompy. Gdyby była człowiekiem, osunęłaby się na ziemię i umarła, ale ona nie była istotą ludzką. Uniosła rękę w moją stronę.

Galen rzucił się, by stanąć przede mną, ale nagle upadł. Jego usta otwierały się i zamykały, lecz nie dobywał się z nich żaden dźwięk. Nie miałam czasu, by się przestraszyć ani zdziwić tym, co zrobiła. Poświęcił się, abym mogła ją zabić, bo w tym momencie zapomniałam, że była królową, sidhe, czymkolwiek, chciałam ją tylko powstrzymać. A zabić oznaczało powstrzymać.

Mój głos zabrzmiał jak syk, jak odgłos miecza wysuwanego z pochwy.

- Krew! - krzyknęłam.

Wypląnęła ze mnie moc, trafiając po drodze kolejnych mężczyzn lekkimi rykoszetami, jakby niewidoczne ostrze prześlizgiwało się po ich ranach i mijało ich przy wtórce buchających strug krwi.

Królowa zorientowała się, co ją czeka. Zaciśnęła pięść i nagle odniosłam wrażenie, jakby powietrze stało się całkiem gęste, a moja pierś nie mogła się poruszyć.

Zaczęłam osuwać się na ziemię, ale zaklęcie już działało, dosięgło ją.

Zobaczyłam, jak krew wypływa z jej ust, nosa, uszu i oczu. Upadłam na kolana obok wijącego się ciała Galena, ale nawet gdy zrobiło mi się ciemno przed oczami i z braku powietrza zawirowały przede mną gwiazdy, dostrzegłam, jak Andais również osuwa się na kolana. Krwawiła.

W pewnej chwili chyba coś powiedziała, ale nie usłyszałam jej. W uszach dzwoniło mi od bezgłośnego krzyku mego ciała. Walczyłam o oddech.

Upadłam na brzuch. Walczyłam o siły, by móc patrzeć, jak umiera. Andais przewróciła się jak popsuta lalka i zległa twarzą do podłogi. Nie próbowała złagodzić upadku.

Po prostu runęła, a krew wypływała z niej szeroką strugą, rozlewając się coraz szerzej i szerzej wokół niej niczym szkarłatne jezioro.

Robiło mi się coraz ciemniej przed oczami. Moje ciało, nawet leżąc na podłodze, biło się z jej magią, walczyło o oddech. Bezskutecznie. Jej ostatnie zaklęcie przygniatało mnie na śmierć i choć ogarniała mnie panika, gdyż rozpaczliwie walczyłam o oddech, nie bałam się.

Pomyślałam tylko: Najważniejsze, że już nikogo nie skrzywdzi.

A potem przestałam cokolwiek odczuwać. Nastąpiła ciemność.

Rozdział 30

Stałam na górze, skąd rozciągał się urzekający widok. Moim oczom ukazała się kraina żyznej zieleni, tak rozległa, że zlewała się z rozmytym błękitnym horyzontem, zupełnie jakbym patrzyła na szmaragdowy ocean lądu. Przeżywałam ten chlubny moment, stojąc samotnie na szczycie wielkiego wzgórza i nagle uświadomiłam sobie, że nie jestem już sama.

Żadnego dźwięku czy poruszenia, po prostu wiedziałam, że kiedy obejrzę się za siebie, ktoś tam będzie. Spodziewałam się ujrzeć Boginię, ale to nie była ona. W jasnych promieniach słońca stał mężczyzna. Miał na sobie płaszcz, którego kaptur rzucał cień na jego twarz i falował na wietrze. W jednej chwili wydawało mi się, że ujrzałam szerokie bary, w następnej zaś znacznie węższą talię. Tak jakby ciało okryte płaszczem zmieniało się na moich oczach.

Wiatr zwiewał włosy z mojej twarzy. Kolejny podmuch przyniósł ze sobą zapach lasu i pola. Pachniał nieokiełznaną dziczą i świeżo zrytą ziemią; ale ponad tym wszystkim unosiła się jeszcze inna woń, której nie potrafiłam opisać. Z braku lepszego określenia powiem, że był to męski zapach. Ale to było coś więcej. Tak pachnie męska szyja, kiedy ogarnia cię niepohamowana miłość i pożądanie. Ten słodki zapach sprawia, że twoje ciało sztywnieje, a serce rośnie w piersi. Gdyby producenci perfum potrafili zamknąć go w butelce, zarobiliby fortunę, ponieważ ten ktoś pachniał jak zakochanie. Wyciągnął do mnie rękę i tak jak reszta ciała, zmieniła się, gdy do niego podeszłam. Poznałam dłoń Doyle'a, kiedy jednak uniosłam wzrok, twarz pod kapturem nie należała do niego. Dostrzegłam tam cienie i twarze wszystkich moich mężczyzn. Wszyscy, którzy zaznali mojego ciała, przepływali przez oblicze Boga, jednak ramiona, które tuliły mnie do siebie, były bardzo mocne i realne.

Przytulił mnie mocniej, płaszcz otoczył nas oboje niczym wielkie skrzydła. Oparłam głowę o jego pierś, oplótłam go ramionami w pasie i poczułam się absolutnie bezpieczna, jakby nikt i nic nie mogło mnie już skrzywdzić. Czułam się jak w domu. Spokój, zadowolenie, wszystko to, czego ci trzeba i czego kiedykolwiek pragnęłaś. To była chwila absolutnego spokoju.

Absolutnego szczęścia, jakby to odczucie mogło trwać wiecznie.

Mogłam tu zostać, wtulona w ramionach Boga, lub przenieść się do miejsca, równie spokojnego, gdzie byłabym absolutnie szczęśliwa. Mogłam wybrać czekający spokój, ale

pomyślałam o Doyle'u, Froście, Galenie, Nicce, Kitcie, o Bogini i Rhysie. Czy królowa wyłupiła mi oko i pozostawiła go niewidomym? Ten idealny spokój został zmacony przez morze łez, którego nie mogłam powstrzymać.

Ramiona, które mnie trzymały, były silne, pierś pulsująca jednostajnym mocnym rytmem serca masywna i wciąż czułam przepełniającą go nieprzepartą, emanującą z niego radość. On się nie zmienił, ale ja tak. Gdybym umarła, co stałoby się z moimi ludźmi? Andais nie zginęła, nie mogła zginąć. Gdy się obudzi, jej gniew będzie straszny.

Chłonełam to uczucie spokoju i radości, przywierałam do niego jak dziecko do rodzica, ale nie byłam już dzieckiem. Byłam księżniczką Meredith; powierniczką rąk ciała i krwi i nie mogłam jeszcze spocząć. Nie mogłam zostawić moich ludzi, by beze mnie stawili czoło wściekłości królowej.

Odchyliłam się, by spojrzeć na oblicze Boga. Nie zdołałam go ujrzeć. Niektórzy mówią, że Bóg nie ma twarzy, inni, że ma oblicze kogoś, kogo kochało się najmocniej, jeszcze inni, że wygląda tak, jak sobie go zawsze wyobrażałam. Nie wiem, jaka jest prawda, ale w tym momencie dla mnie był cieniem i uśmiechem. A potem mnie pocałował. Jego usta miały smak miodu i jabłek. W mojej głowie rozbrzmiał głos zawierający w sobie nutę głosu Doyle'a i śmiechu Galena: „Podziel się tym z nimi”. Obudziłam się zasapana, moja pierś płonęła. Spróbowałam usiąść i ból sprawił, że na nowo osunęłam się na posadzkę. Czułam potworny ból, tak silny, że miałam ochotę krzyczeć, jednak zabrakło mi powietrza.

Nade mną pojawiła się twarz Kitta.

- Matko Boska - wyszeptał.

Od pasa w dół był cały we krwi, posoka pokrywała też sporą część górnej połowy jego ciała. Nie pamiętałam, aby królowa go skrzywdziła. Próbowałam zapytać, ale oddychanie sprawiało mi tak silny ból, że nie byłam w stanie tego zrobić. Miałam wrażenie, że przy każdym oddechu z obu stron w moje ciało wbijały się ostrza noży. Ból był nie do zniesienia.

Miałam ochotę wicie się na podłozie, ale wiedziałam, że to tylko spotęgowałoby moją udramę, pohamowałam się więc, orząc palcami po posadzce i usiłując pohamować dreszcze wstrząsające moim ciałem.

Posadzka była mokra od krwi. Zastanawiałam się, skąd się wzięła... Kitto chyba czytał w moim myślach, bo nachylił się i rzekł:

- Zaciągnąłem cię w kałużę krwi sidhe. Ręka krwi może się karmić krwią.

W pobliżu słychać było donośne krzyki. Podniesione męskie głosy. Wychwyciłam tylko fragmenty zdań... *Jest tu śmiertelny strach... ona pozabija nas wszystkich... to szaleństwo...*

- Słyszysz mnie, Merry? - odezwał się ponownie Kitto.

Udało mi się wyszeptać:

- Tak. - Nie rozumiałam, o co było to całe zamieszanie, ale chyba zrozumiałam, o co chodziło Kittowi, gdy mówił o krwi. Zaciągnął i ułożył mnie w kałużę, usiłując uleczyć.

Może to pomogło, ale coś było nie tak z moim wnętrzem. Oddychanie sprawiało mi ból, nie mogłam się poruszyć. Bóg przywrócił mi życie, ale nie zostałam uzdrowiona. Nawet gdy o tym pomyślałam, poczułam na swych ustach pocałunek. Zadrżałam, jak gdyby On odsunął

swoje wargi od moich zaledwie przed chwilą. Poczułam zapach świeżych jabłek, a gdy zwilżyłam językiem usta, wciąż czułam na nich smak miodu.

Galen pojawił się w moim polu widzenia, podczołgując się i pomagając sobie przy tym rękami i łokciami, po czym nachylił się nade mną. Uśmiechnął się, choć w jego oczach nadal widać było cień bólu, jaki odczuwał. Przypomniałam sobie, jak wił się obok mnie, ponieważ przyjął na siebie

pierwszą falę magicznego ataku Andais. Chyba połamała mi większość żeber i jemu zapewne zrobiła to samo. Próbowałam unieść rękę, aby go dotknąć i okazało się, że mam w sobie dość powietrza, by krzyknąć. Mój krzyk uciał spory lepiej niż jakikolwiek miecz. Kiedy ucichło jego echo, komnatę wypełniła gęsta i ciężka cisza. Kitto próbował odsunąć Galena, ale przewyciężyłam ból i wyciągnęłam rękę na tyle daleko, by Galen mógł ująć moją dłoń w swoją, i to jedno dotknięcie przepełniło mnie doznaniem kojącym lepiej niż najwspanialszy balsam.

Pomogło mi ponownie ułożyć się na posadzce. Pomogło mi ponownie nauczyć się, jak się oddycha i jak należy postępować, by uniknąć bólu.

Poczułam lekkie świerzbienie ust, jakbym właśnie ugryzła kawałek jabłka. Na moim języku rozlewała się ta soczysta, nieopisana słodycz. Jabłka w miodzie - ten smak wypełnił moje usta. W mojej głowie rozbrzmiało echo tego głosu: „Podziel się tym z nimi”.

- Pocałuj mnie - powiedziałam.

Byłam świadoma, że połamane kości wbijały się w jego ciało przy każdym poruszeniu, ale ani przez chwilę się nie zawahał. Pokonał ostatnich kilka cali i jego twarz zawisła w powietrzu nad moją. Przytknął usta do moich, delikatnie, bardzo delikatnie, kiedy jednak mój oddech wpłynął pomiędzy jego wargi, nie pachniał już miodem i jabłkami. Galen smakował jak zapach aromatycznych ziół. Poczułam smak rosy i delikatną nutkę bazylii.

Smakował bazylią, soczystą, gęstą i ciepłą. Bazylią wciąż rosnącą w ziemi, z liśćmi rozpostartymi szeroko ku słońcu, i skrzącą się na nich rosą.

Odsunął się na moment, po czym wyszeptał:

- Smakujesz jak jabłka.

Uśmiechnęłam się do niego.

- A ty jak świeże zioła.

Zaśmiał się, a potem nagle skrzywił. Pomyślałam, że coś go zabolalo.

- Nic mnie nie boli - mruknął. Jego pierś unosiła się i opadała regularnie. - To naprawdę nie boli.

Jego uśmiech był wszystkim, czego potrzebowałam.

- Jestem uleczony - dodał i zabrzmiało to jak stwierdzenie i pytanie zarazem.

Mróz ukląkł obok nas, z całej siły przyciskając rękę do brzucha. Ujrzałam coś czerwonego, pękatego, co wystawało spod jego rozczapierzonej dłoni.

Andais wypruła mu wnętrzności.

- Mrozie - wyszeptałam.

Galen odsunął się, aby tamten mógł się do mnie zbliżyć. Mróz dotknął moich ust koniuszkami palców.

- Oszczędzaj siły.

Znow poczułam smak jabłek, jakbym odgryzła kawałek i zanurzyła w czymś gęstym, słodkim i złocistym. Tym razem nie potrzebowałam głosu, by wiedzieć, co mam zrobić.

Mróz z pewnym wahaniem odsunął palce od moich ust.

- Pocałuj mnie - poprosiłam.

Po jego policzku pociekła łza. Pochylił się nade mną. Ruch ten był powolny i bolesny, a z ust Mroza dobył się zduszony jęk. W końcu ułożył się przy mnie, jedną ręką przytrzymując to, co wypruło ostrze noża królowej, drugą dotykając moich włosów. Wyraz jego twarzy był tak szczery, że nie mogłam mieć wątpliwości, jak bardzo mnie kochał.

Wystarczyło jedno jego spojrzenie.

Pocałował mnie delikatnie, jak płatek śniegu roztopiający się na moim języku.

Chciałoby się powiedzieć: zima ma smak. Odniosłam wrażenie, jakbym polizała językiem gładki, zimny sopel, a moje usta wypełniły się śniegiem, który topniejąc, spływał do mego gardła, a kiedy jego usta odsunęły się od moich, powietrze pomiędzy nami wypełniło się białą mgiełką oddechu. Uświadomiłam sobie, że mogę oddychać i że najsilniejszy ból zniknął.

Mróz usiadł i odsunął rękę od brzucha. Ta przerażająca czerwona wypukłość zniknęła.

Przesunął dłonią w dół brzucha i spojrzał na mnie, wytrzeszczając oczy ze zdumienia.

Kłęczący przy nim Doyle rozchylił szeroko jego ubranie, dotykając gładkiego białego ciała. Gdy się odwrócił w moją stronę, dostrzegłam, jak strasznie Andais potraktowała jedną część jego twarzy. Policzek był rozplątany aż po krawędź pięknych ust. To była rana, na którą nawet sidhe musieli mieć zakładane szwy.

Wyciągnęłam do niego rękę, by podzielić się z nim mocą Boga, ale odsunął się i wskazał na kogoś za sobą. Próbowałam się podnieść i wtedy przeszył mnie ból, uniemożliwiając mi wykonanie ruchu i wyciskając ze mnie oddech. W przeciwieństwie do Mroza i Galena nie zostałam uleczona.

Dwaj strażnicy podprowadzili do mnie Rhysa. Lał im się przez ręce, a na widok jego twarzy aż krzyknęłam. Nie ze zgrozy, lecz z bólu. Andais przebiła mu oko. Z jego twarzy spływała krew. Skóra wokół oczodołu była po obu stronach okolona głębokimi strzępiastymi ranami, przez które przeświecały kości czaszki i kość policzkowa. Wyglądało to tak, jakby próbowała wyciąć całą skórę z okolic jego oka. Blizna Rhysa była jego częścią... Uwielbiałam każdy cal jego ciała, ale to...

To był koszmar.

Był naprawdę ślepy. Królowa dopilnowała, aby nie mógł uleczyć tej rany. Jego zdolności gojenia nie mogły mu pomóc. Żadna magia, jaką jeszcze dysponowaliśmy, tego nie potrafiła.

Poczułam nieopisany gniew. To była wściekłość na bezpodstawne, bezmyślne okrucieństwo.

Zrozumiałam już, dlaczego Doyle się wycofał i skinął, by podprowadzono do mnie Rhysa. Do tej pory nie potrafiłam leczyć pocałunkiem. Jeżeli to była tymczasowa zdolność, Rhys potrzebował jej bardziej. Rana Doyle'a się zabił, ale rana Rhysa miała na celu odebranie mu wszystkiego.

Nietknięci strażnicy Andais stali po obu jego stronach. Kipiała we mnie wściekłość, że nie uczynili nic, by temu zapobiec.

Pomogli Rhysowi uklęknąć. Gdy poczuł mój dotyk, cofnął się.

- Nie dotykaj mnie, Merry, nie patrz.

- Właśnie powróciła z Krainy Lata, niosąc w sobie pocałunek ptaków - odezwał się Kitto.

Rhys odwrócił niewidzące oblicze, jakby chciał na niego spojrzeć.

- Nie wierzę.

Nie znałam zwrotu „pocałunek ptaków”, ale pytania odkładałam na później.

- Chodź do mnie, Rhys i pozwól, bym to udowodniła.

Doyle odsunął pozostałych, po czym wraz z Mrozem podprowadzili do mnie Rhysa.

Jego twarz była cała we krwi, ale nie cofnęłam się ani nie próbowałam jej wytrzeć. To była przecież częśćka niego. Jego usta były słone. Dotknął nimi moich warg, ale nie pocałował.

Mróz i Doyle podtrzymywali go w pionie.

- Ona też jest ranna - rzekł Mróz. - Uniesienie ręki do twojej głowy sprawiło jej ból.

To nie było westchnienie wywołane twoim widokiem.

Te słowa sprawiły, że Rhys znieruchomiał.

- Czy jest ciężko ranna?

- Pocałuj mnie, Rhys, a poczuję się lepiej.

Zbliżył się do mnie. Nie musiałam wykonywać dodatkowych gestów. Tym razem, kiedy nasze usta się spotkały, odpowiedział pocałunkiem i wyglądało na to, że oboje tego pragnęliśmy. Bo ten

jeden wspólny pocałunek zawierał w sobie smak domu, zapach świeżego chleba, czystej pościeli, drewna palonego w kominku, śmiech i aromat czegoś ciepłego, bulgocącego i gotującego się na ogniu. Rhys nie smakował jak jakaś konkretna potrawa, ale jego usta zawierały esencję wszystkiego co dobre i sprawiały, że czułeś się zadowolony, syty, szczęśliwy.

Uniosłam ręce, aby go przytrzymać. Zrobiłam to bez namysłu, ale ból, jaki temu towarzyszył, sprawił, że jego wrażenie przysło. W końcu cofnął się, a ja przywarłam do niego, jakbym pragnęła raz jeszcze poczuć ten smak.

Otworzyłam oczy.

Rhys zamrugał, spoglądając na mnie. Patrzył na mnie okiem koloru jaja drozda, nieba zimą i bławatków. Zatraciłam się pomiędzy śmiechem i łzami, wpatrując się w niego w niemym osłupieniu.

- Chwała Bogini - wyszeptał tak cicho, że chyba nie usłyszał go nikt inny.

- Chwała Wybrankowi - odpowiedziałam cichutko.

Uśmiechnął się i na ten widok coś się we mnie rozluźniło. Ucisk, z którego nie zdawałam sobie sprawy, zniknął. Skoro Rhys uśmiecha się w ten sposób, wszystko będzie dobrze, pomyślałam.

Gdy się odsunął, ujęłam Doyle'a za przegub. Chciałam, żeby był następny, nie wiedziałam bowiem, jak długo potrwa to błogosławieństwo. Pokręcił głową. Wtedy pojawił

się Mistral, niosąc na rękach Onilwyna. Wiedziałam, że Mistral i Onilwyn nie byli przyjaciółmi, jednak w tym momencie strażnicy wydawali się zjednoczeni w sposób wykraczający poza więzy przyjaźni i coś tak małostkowego jak wzajemne animozje przestało mieć znaczenie.

Głowa Onilwyna była odchylona do tyłu pod dziwnym kątem, mięśnie, które ją przytrzymywały, zostały rozplątane. Jego kręgosłup wyzierał bielą z okropnej rany na szyi.

Przód jego odzienia był fioletowogranatowy od krwi. Błada skóra koloru pszenicy, zielonej i świeżo wschodzącej z ziemi, miała teraz upiorny zielonkawobiały odcień. Tylko spojrzenie jego zielono-złocistych oczu uświadamiało mi, że nadal żył. Poderżnęła mu gardło tak szeroko, że słyhać było jego rozpaczliwy bulgocząco-świszczący oddech, kiedy nabierał

powietrza przez rozplątaną tchawicę. Gdyby był człowiekiem, wskutek uszkodzenia doszłoby do zapadnięcia tchawicy, ale on nie był człowiekiem. Wciąż oddychał, wciąż żył, o tym jednak, czy mógł uleczyć się z tak potwornej rany, decydować mogło to, ile pozostało w nim wewnętrznej magii. Był taki czas, kiedy sami bogowie błogosławili nas wszystkich, czyniąc świętymi, zdolnymi przeżyć nawet dekapitację, ale to było wiele stuleci temu. Teraz nie wszyscy z nas potrafili uleczyć tak ciężkie obrażenia. Istniało spore prawdopodobieństwo, że Onilwyn pożyje jeszcze kilka dni, ale koniec końców umrze. Nie był kimś, na kogo miałam ochotę marnować błogosławieństwo otrzymane od Boga, ale nie mogłam też się od niego odwrócić. Bądź co bądź, był jednym z moich ludzi. Zaryzykował wszystko, by wspomóc innych.

Napotkałam spojrzenie Doyle'a i puściłam jego nadgarstek, powoli, z wahaniem.

Jednak miał rację. Mógł przeżyć i uleczyć swoje rany. W przeciwieństwie do Onilwyna.

Mistral ukląkł na śliskiej od krwi posadzce i zaczął układać Onilwyna obok mnie.

Zbyt wiele krwi zaczęło spływać mu do tchawicy i zaczął kasłać. Wydał z siebie przerażający wilgotny gulgot, a potem z jego szyi buchnęła krew. Zaczął oddychać bardzo płytko, jakby w obawie, że może być jeszcze gorzej.

- Pomóż nam, Bogini.

- Chyba nie powinien leżeć na wznak - rzekł Mistral, bezskutecznie siląc się na bezosobowy ton.

Był wściekły i wcale mu się nie dziwiłam.

- Nie.

Spróbowałam usiąść, ale ból pozbawił mnie tchu i znów zległam na kamiennej posadzce.

Zaczekałam, aż ból osłabnie, po czym poprosiłam Kitta, aby pomógł mi się podnieść.

- Pozwól mnie to robić, Kitto. Ona mnie uleczyła, pozwól, że teraz ja jej pomogę.

Kitto pokiwał głową i się wycofał.

Galen podniósł mnie delikatnie i ułożył sobie na podołku, tak że moja głowa i ramiona opierały się o jego ciało.

To nie bolało, nie tak bardzo.

- Trochę bardziej - wychrypiałam.

Zrobił, o co prosiłam. Znalazłam się nieomal w pozycji siedzącej, w pełni oparta o jego ciało, zanim znów poczułam ból, ostry jak pchnięcie nożem, ale mniej dojmujący niż poprzednio. Do zniesienia.

- Dobrze, właśnie tak. - Galen znieruchomiał z tyłu za mną.

- Zaczekaj... - To był kobiecy głos, musiał należeć do królowej, ale brzmiał jakoś inaczej. - Zaczekaj. - W tym jednym słowie zawierał się nieopisany ból.

Po tym, co im zrobiła, co zrobiła nam wszystkim, można by pomyśleć, że nikt z nas nie zechce jej słuchać, a jednak stało się inaczej. Zastygliśmy w bezruchu, czekając, aż wolno przejdzie przez całą komnatę.

Mistral cofnął się na tyle, bym mogła rozejrzeć się po całym pomieszczeniu. Posadzka pokryta była szerokimi smugami czerwieni, jakby wleczono po niej obficie krwawiące ciało.

Ten krwawy ślad kończył się przy królowej. Siedziała oparta o ścianę. Na jej podołku spoczywał Eamon. Nigdy nie zdawałam sobie sprawy, jak potężnym był mężczyzną. A może ona wydawała się mniejsza? Jego szerokie barki prawie całkiem ją przesłaniały. Była kobietą wysoką i zawsze wypełniała więcej przestrzeni, niż zajmowało tylko jej ciało, teraz jednak, gdy siedziała, trzymając w ramionach Eamona, a jedną ręką opasując naga, okrwawioną nogę Tylera, wydawała się dziwnie drobna. Ale wracała do zdrowia. Rana na jej szyi była niemal równie poważna jak u Onilwyna, ale podczas gdy on wyglądał jak popsuta zabawka, ona miała tylko niedługą wąską ranę, która w dodatku zaczęła zmniejszać się na naszych oczach.

To było jak rozkwitanie kwiatu. Wiesz, że się rozwija, ale nie potrafisz uchwycić wzrokiem całego tego procesu.

Była naszą królową, a to oznaczało, że moc sidhe płynęła w niej silniej niż w kimkolwiek spośród nas.

Przeniosłam wzrok na Onilwyna, leżącego bezwładnie w ramionach Mistrala, po czym zerknęłam na naszą królową. Jeżeli to, co powiedział Adair na początku tego wszystkiego, było prawdą, maltretowała swoich strażników od stuleci. Jak mogła traktować dar tak lekceważąco?

- Zaczekaj - powtórzyła i dostrzegłam coś, czego nie spodziewałam się nigdy ujrzeć.

Łzy. Królowa płakała.

- Ulecz najpierw Eamona i Tylera.

Naprawdę spodziewałam się, że zażąda, abym najpierw uleczyła ją samą. Królowa nie dzieliła się magią. Zawłaszczała ją. Taranis, król Dworu Seelie, był taki sam. Zupełnie jakby oboje obawiali się, że któregoś dnia magia się wyczerpie, a zdawali sobie sprawę, że aby rządzić, potrzebowali właśnie magii. Chciałam odmówić, ale Amatheon odezwał się, uprzedzając wszystkich innych:

- Tak, moja królowo. - W jego głosie wyczuwało się zmęczenie i smutek. Podszedł sztywnym krokiem i stanął pomiędzy dwoma grupkami, królową z jej rannymi kochankami i mną z moimi mężczyznami. Teoretycznie Onilwyn i Mistral nie należeli do mnie, ale coś mi mówiło, że należeli również do sprzymierzeńców królowej.

Amatheon wciąż trzymał się za rozplątane ramię. Tył jego płaszcz był tak przesiąknięty krwią,

że przylepiał się do jego pleców jak druga skóra.

- Przeprowadźcie księżniczkę - powiedział.

- Jest zbyt słaba, by można ją było przenieść - odparł Galen.

- Takie jest życzenie królowej - rzekł Amatheon. - Więc je spełnimy. Sprowadźcie księżniczkę.

- Może był za bardzo zmęczony i za bardzo cierpiał, bo w jego oczach dostrzegłam gniew. Był tam też strach. Po tym, co pokazała Andais, zamierzał okazać posłuszeństwo.

Tymczasem Galen powtórzył:

- Merry jest zbyt ciężko ranna. Nie można jej ruszać.

- Możemy przenieść Eamona do księżniczki. - Głos Mroza brzmiał beznamiętnie, jego twarz wyglądała jak maska arogancji.

- Nie - odrzekła królowa.

Galen skłonił się przede mną i wyszeptał:

- Już dosyć.

Rhys spojrzał na mnie swym wyleczonym okiem.

- Merry potrzebuje uzdrowicielki, zanim będzie mogła się stamtąd ruszyć.

- Wiem - wycedziła królowa, a w jej głosie znów pojawiła się nuta gniewu. Powracał dawny koszmar.

Galen pochylił się nade mną, zasłaniając mnie swoim ciałem.

- Nie pozwolę znowu cię skrzywdzić.

Był zbyt blisko, abym mogła mu spojrzeć w oczy. Musiałam zadowolić się gładkością policzka i jedwabistych włosów.

- Nie rób niczego głupiego, Galenie, proszę cię.

- Czy potrzebujesz pomocy, moja królowo? - spytał Mistral.

Galen odsunął się nieznacznie, abym mogła to zobaczyć. Królowa, która w porównaniu z Eamonem wyglądała jak niziołek, stała, trzymając ciało olbrzyma na rękach.

Nawet ranna dźwigała go bez trudu, choć musiał ważyć dwa razy tyle, co ona. Była dość wysoka i miała dostatecznie długie ręce, by go unieść. Była sidhe, co oznaczało, że mogłaby podnieść nawet niewielkie auto. Jednak nas zadziwił fakt, że zechciała sama go przenieść.

Odezwała się do wszystkich i do nikogo konkretnie:

- Połóżcie delikatnie Tylera i też przenieście go tutaj.

Ruszyła w moją stronę, dźwigając Eamona. Płakała. Gdyby to był ktokolwiek inny, powiedziałabym, że trawi ją nieprzemyślany żal.

Uklękła przy mnie i równocześnie potknęła się.

- Zraniłaś mnie, bratanico, i nieźle ci to wyszło.

Potraktowałam to jako komplement, bo tak to miało zapewne zabrzmieć.

- Dziękuję.

Uklękła obok mnie z Eamonem w ramionach.

- Ulecz go dla mnie, Meredith.

Ciało Eamona pokrywały niezliczone krwawiące rany cięte. Było ich tyle, że jego pierś wyglądała jak surowy stek. Serce musiało zostać przebite wielokrotnie, ale był sidhe i wciąż biło, nawet poszatkowane. Nie było skrawka jego torsu, który nie zostałby uszkodzony, zupełnie jakby miał na sobie koszulę z krwi i surowego mięsa.

Wydała z siebie cichy dźwięk, który zabrzmiał prawie jak szloch.

- Zjawiała się Nuline, wypiliśmy trochę wina, potem ona wyszła, a ja wpadłam w szal.

Staralam się zachować pokerową twarz, ponieważ Nuline należała do królewskiej gwardii

Cela. Oskarżać gwardzistkę księcia to to samo, co oskarżać samego księcia. Nic się nie działo bez jego rozkazów. Jeżeli Andais była sadystką, to dla Cela potrzebne było całkiem nowe określenie. Nikt z nich nie odważyłby się zawieść Cela. Nikt nie podjąłby próby otrucia królowej bez jego pozwolenia, a przynajmniej ten ktoś musiał wierzyć, że je ma. Czy to Cel wydał rozkaz ze swej ciemnicy?

Doyle odezwał się powoli z uwagi na poranione usta:

- Nie wyczuwam zapachu trucizny.

- Są inne sposoby, aby używać nosa, Ciemności - odparła.

Nachylił się w stronę jej twarzy powoli, z bólem.

- Magia - wyszeptał. Bardzo delikatnie polizał ją po policzku, ale ten ruch wyraźnie sprawił mu ból. Cofnął się. - Żądza krwi.

Pokiwała głową.

- Skoro było w winie, czemu nie ma tu Nuline, krwawiącej albo wytaczającej krew? -

spytał Amatheon.

- To istota wiosny i światła. Nie ma w sobie zewu krwi - odrzekła Andais. Królowa spojrzała na mnie, a w jej trójkolorowych szarych oczach pojawił się smutek, o który nigdy bym jej nie podejrzewała. Nie sądziłam, że była zdolna do okazywania takich emocji. - Byli bardzo sprytni. - Powiedziała: „oni”. Czy zgodnie z logiką wskazywała na Cela? A może postąpi tak jak zwykle i znajdzie sposób, aby go w to wszystko nie wmieszać? - Od stuleci nie czułam takiego bitewnego szału. To było takie przyjemne. Każda rana, każdy ból, jaki sprawiałam, wzmagały żądzę krwi. Zapomniałam już, jak cudownie było przelewać krew nie dla efektu, zdobycia informacji czy aby wzbudzić strach, lecz z samego zamiłowania do jatki.

Ktokolwiek przygotował to zaklęcie, znał dogłębnie moje moce. - Andais wyciągnęła okrwawioną dłoń w moją stronę. - Ulecz moje Kruki, a ja zabiję Nuline.

- Tylko Nuline - zaznaczyłam.

- Zabiję tego, kto mi to zrobił. - Głos miała stanowczy, ale w jej oczach widać było wahanie. Wiedziała, o co mi chodziło. - Ulecz moje Kruki, Meredith. - Dotknęła mego ramienia i to jedno dotknięcie przeszło mnie na wylot jak echo. Sprawilo, że magia, którą posiadałam, rozbrzmiała jak wielki dzwon. Andais musiała to poczuć, bo spojrzała na mnie rozszerzonymi oczami.

- Co to było? - spytał Galen.

- Zew Boga - odparł Doyle.

Usłyszałam głos w mojej głowie: Cała moc bierze się z głowy.

I wtedy zrozumiałam albo miałam nadzieję, że rozumiem... Powodem, że Unseelie nie mogli mieć dzieci, było to, że nie mogła ich mieć Andais. Powodem, że nasza magia gasła, było to, że gasła magia Andais. Była naszą królową, naszą głową.

Spojrzałam na jej zdumione oblicze i wymówiłam słowa, które musiałam wypowiedzieć:

- Podejź, ciotko, uściskajmy się.

Nachyliła się nade mną, a na jej twarzy pojawił się prawie niechętny grymas, jakby również została pochwycona magią. Była moją ciotką, siostrą mego ojca, znała mnie od urodzenia, ale nigdy przez te wszystkie lata mnie nie pocałowała.

Dotknięcie jej warg było jak dotknięcie skórki przepysznego owocu. Zapach dojrzałych śliwek przepełnił moje zmysły, jakbym mogła spijać go z powietrza albo bezpośrednio z jej warg. Jej słodki smak zaburzył magię, ożywił ją jak wzbierający żar, narastający w moim wnętrzu i rozlewający się gorejącą, roziskrzoną falą po mojej skórze. Ten żar zlał się z miodową słodyczą owocu i mogłam poczuć letnie słońce pieszczące skórę śliwek wiszących na drzewie. Ciężki letni żar przywierał do

naszej skóry, wypełnił świat upojnym zapachem owocu tak dojrzałego, tak ciężkiego, że jego gruba jedwabista skórka była bliska pęknięcia, gotowa oddać swój miąższ pieszczocie słońca i sennemu brzęczeniu pszczół.

Owoc był w pełnej gotowości, jak tchnienie absolutnej perfekcji. Jeszcze sekunda, a spadnie z drzewa i przepadnie, sekunda i nie będzie najśłodszą rzeczą, jaka kiedykolwiek dotknęła ust śmiertelnika.

W mgnieniu oka powróciłam do siebie. Otworzyłam oczy i ujrzałam Andais jak srebrzysty sen, świecąca tak jasno, że wszędzie w całej komnacie tworzyła splachetki cieni.

Zdałam sobie sprawę, że nie tylko ona wywoływała wokoło drżące cienie. Widziałam, że moja skóra lśni księżycowym blaskiem. Zupełnie jakby zapłonął pod nią biały, prawie srebrzysty ogień eksplodującej magnezji. Ogień tak czysty i jasny, że oślepiłby cię, gdybyś wpatrywał się w niego za długo.

Andais i ja byliśmy jak dwie splecione gwiazdy, biała i srebrna, obie świecące tak jasno, że aż oślepiały. Wszystkich z wyjątkiem mnie. Musiałam się cofnąć, by ujrzeć jej usta jak cięte granaty, zatopione w chłodnym srebrnym ogniu.

Zamrugnęła i powoli otworzyła oczy, jakby budziła się ze snu. W chwili gdy to się stało, wirująca szarość w ich wnętrzu rozrzedziła się jak tchnienie smoka, łagodne i lepkie niczym mgła. W tej mgłę coś było, coś, czego nie chciałam ujrzeć. Włoski na moim ciele zjeżyły się za sprawą tych nieomal dostrzeżonych obrazów. Skóra mi ścierpła i wzdrygnęłam się, porażona bliskością owych ulotnych cieni. Strach ścisnął mnie w gardle i w tym momencie uświadomiłam sobie, że obie klęczałyśmy obok siebie. Nie widziałam nikogo innego przez mgłę w jej oczach.

Opary cuchnęły wilgocią i pleśnią, ale pośród tego wszystkiego wciąż czułam aromat owoców, czekających, by oddać swą słodycz.

Byłam przepelniona Bogiem, wiedziałam o tym. Andais miała oczy z cieni i mgieł, skórę utkaną z blasku księżycy i światła gwiazd, usta barwy krwi płynącej z serca. To było przerażające piękno, które sprawiało, że twoje serce przepelniał dojmujący smutek.

Wiedziałam przy tym, że skoro moja magia była inna, na tym drzewie musiały być również inne owoce, i cieszyłam się, że miałam we krwi także odrobinę Dworu Seelie.

Bóg mnie przepelniał mocą i powróciłam do idealnego momentu, kiedy można było uczynić tylko jedno. Uhonorować dar.

Pocałowałam te szkarłatne jak granat usta i stwierdziłam, że moje własne były jak najczystsze czerwone rubiny, jakbym łączyła ze sobą dwa oddzielne klejnoty. Poczułam, że moje dłonie obejmują jej twarz z dwóch stron i stwierdziłam, że kości jej twarzy były delikatne i kruche. Na tę chwilę stałam się słońcem, wszystkim co męskie, co najlepsze, pierwiastkiem męskim w chwili jego największej świetności, Królem Lata, Władcą Zielonej Puszczy. Pocałowałam ją tak, jak powinna być całowana: łagodnie, zdecydowanie, przytrzymywana dłońmi większymi od moich, z siłą większą niż jej własna, ale delikatnie i ostrożnie.

Moc Andais wlała się przez moje usta, a pocałunek stał się o wiele mniej ostrożny i delikatny, bardziej zdecydowany. Jej dłonie odnalazły moje ciało, moc zielonej puszczy wniknęła i przeszła ją na wskroś.

W pewnej chwili krzyknęła.

Nasze moce zlały się w jedno i przez kilka lśniących chwil srebrna i biała poświata złączyły się w jeden blask, jeden ogień. To nie jej oblicze ujrzałam. Ta twarz była młoda, o gęstych brązowych włosach i śmiejących się oczach. Następne oblicze miało rude włosy i zielone oczy, kolejne miało włosy białe jak bawełna i niemal równie bladą skórę. Przed moimi oczami pojawiły się kolejne

kobiety.

Ja również doznawałam metamorfozy. Byłam wyższa, niższa, bardziej barczysta, brodata, ciemnowłosa, jasnoskóra, ciemnoskóra.

Byłam wieloma mężczyznami, wszystkimi mężczyznami i żadnym z mężczyzn.

Byłam Władcą Lata, a kobieta przede mną moją oblubienicą. To był odwieczny, wieczny taniec. Pierwsze, na co zwróciłam uwagę, a co wiązało się z tym a nie innym światem, to że bolały mnie kolana. Klęczałam na kamieniach. Kobieta tuliła mnie tak, że czułam dotyk jej drobnych piersi przywierających do moich.

Andais uśmiechnęła się do mnie. Wyglądała młodziej. Jej oczy lśniły, a ciemnoczerwone usta śmiały się do mnie z góry.

- Czy jesteś uleczona? - zapytała.

W chwili gdy o to zapytała, uświadomiłam sobie, że zapomniałam o moim bólu.

Kiedy jednak wzięłam głęboki oddech, poczułam się... świetnie. A nawet lepiej.

- Tak - odparłam.

Nigdy dotąd nie widziałam Andais tak uśmiechniętej.

- Spójrz, co sprawiła nasza magia. - Wykonała zamaszysty ruch ręką. Onilwyn klęczał, wciąż lekko oszołomiony, ale jego szyja znów była biała, idealna. Rany zniknęły również z torsu Eamona.

Doyle odwrócił do mnie swe doskonałe oblicze i pochylił głowę, co wyglądało prawie jak pokłon.

- Wszyscy zostali uleczeni.

Tyler, człowiek, którego prawie zabiła, śmiał się i płakał obok Mistrala. Chyba wyraził się w imieniu nas wszystkich, kiedy, chichocząc, rzekł:

- To było absolutnie najznamienitsze i najbardziej zdumiewające doznanie. Zupełnie jakby się było światłem.

Przeniosłam wzrok na Andais. W jej oczach pojawiło się niespokojne, kalkulujące spojrzenie i coś jeszcze, coś nowego. Zdałam sobie sprawę, że wciąż tuliła mnie do siebie.

Próbowałam się odsunąć, ale wzmogła uścisk i jeszcze mocniej objęła mnie ramionami. Nie byłam już przepelniona Bogiem. Nie mogłam już jej dorównać pod względem siły ani żadnym innym.

Uśmiech, jaki mi posłała, widywałam dotąd tylko u moich kochanków i ten widok sprawił, że od stóp do głów przeszedł mnie dreszcz.

- Gdybyś była mężczyzną, za to, co dziś uczyniłaś, wzięłabym cię do mego łóżka.

Nie byłam pewna, co mam odpowiedzieć, ale wiedziałam, że muszę coś powiedzieć.

- Dziękuję za ten komplement, ciociu Andais.

Przekrzywiła głowę niczym jastrzęb, który wypatrzył mysz.

- Przypominanie mi, że jesteś moją bratanicą, nie powstrzyma cię przed dzieleniem ze mną łóżka, Meredith. Jesteśmy jak większość bóstw, zenimy się między sobą i między sobą spółkujemy. - Zaśmiała się. Był to miły, czysty dźwięk, pełen szczerego rozbawienia, jakiego nigdy wcześniej w jej ustach nie słyszałam. - Ten twój wyraz twarzy... - Znów się zaśmiała, a potem mnie puściła.

- Czuję się o wiele lepiej.

Podła mi rękę. Przyjęłam ją i pomogła mi wstać. Przyglądała mi się z powagą.

- Chodź, Meredith. Zabijmy zdrażczynię, która próbowała rzucić czar na swoją królową. Doyle mówił mi, że musimy też odnaleźć zamachowca.

Dopiero teraz zaczęłam zastanawiać się, jak długo byłam pozbawiona zmysłów.

- Wedle życzenia, moja królowo - odparłam.

Pociągnęła mnie gwałtownie ku sobie i przytuliła.

- Jestem ci wdzięczna, Meredith, naprawdę bardzo wdzięczna za ten dar magii, ale żeby nie było między nami nieporozumień... Jeżeli uznam, że dzieląc z tobą łożę, będę mogła przywołać tę magię, zrobię to. Jeżeli stwierdzę, że posyłając cię w czyjeś ramiona, da się osiągnąć na powrót ten poziom magii, nie zawaham się tego uczynić. Czy to jest jasne?

Przełknęłam ślinę i wzięłam głęboki oddech, zanim odparłam:

- Tak, ciotko Andais, to absolutnie jasne.

- Wobec tego pocałuj ciotunię.

Co innego mogłam uczynić? Pocałowałam ją w usta, a ona ujęła mnie pod rękę i poklepała po wierzchu dłoni, jakbyśmy były najlepszymi przyjaciółkami.

- Chodź, Meredith, zabijmy naszych wrogów.

Byłabym znacznie szczęśliwsza, towarzysząc jej w drodze do komnaty tronowej, gdyby mnie nie dotykała. To jednak nie był dotyk kochanka. W ten sposób pani mogła głaskać swe ulubione zwierzątko. Robisz coś takiego, bo daje ci to pewien komfort i zadowolenie.

No a to zwierzątko nie może przecież odmówić.

Rozdział 31

Dotarliśmy zaledwie do źródła. Szemrało i bulgotało wśród kamieni. Królowa uknęła.

- Przez trzysta lat nie widziałam płynącej tu wody. - Uniosła wzrok. - Jak to się stało, że znów tu jest?

Mężczyźni odwrócili się i spojrzeli na mnie. Te spojrzenia były bardziej wymowne niż słowa.

- To twoje dzieło, czyż nie? - spytała, a w jej głosie pojawiła się nieprzyjemna nuta, jakbyśmy nagle przestały być najlepszymi przyjaciółkami.

Eamon, który stał blisko u jej boku od czasu swego cudownego uzdrowienia, położył dłoń na jej ramieniu. Ramiona królowej obwisły pod jego dotykiem, ale nie odtrąciła go.

Spuściła nisko głowę, a kiedy ponownie ją uniosła, na jej ustach widniał uśmiech tak czuły, jakiego wcześniej nie widziałam.

Powtórzyła pytanie łagodnym tonem, ale całą swą uwagę skupiła na Eamonie.

- Czy to ty ożywiłaś to źródło, bratanico?

Pytanie było bardziej podchwytliwe, niż chciała, aby było. Gdybym odparła, że tak, przyjęłabym na siebie większą odpowiedzialność, niż powinnam.

- Ja i Adair.

- Musisz być naprawdę świetną dupą. Jeden szybki numer i ryzykuje dla ciebie życiem.

Zdumiała mnie większość tego, co powiedziała, ale skupiłam się na drugiej części jej wypowiedzi.

- Jeżeli mnie przeleciał, to tylko z twojego rozkazu. Kara śmierci za złamanie celibatu już nie obowiązuje. Strażnikom zawsze wolno się pieprzyć, jeżeli zezwoli na to królowa.

Jej gniew przerodził się w coś, czego nie potrafiłam rozpoznać. Przypomniałam sobie słowa Barinthusy, że trudniej było ją rozproszyć, gdy myślała głową, a nie krocem.

- Zatem nie widziałaś heroicznego czynu Adaira?

Zachowałam beznamiętny wyraz twarzy.

- Nie wiem, o czym mówisz, ciotko.

- Kiedy mnie wykrwawiałaś, po tym jak Galen przyjął na siebie część mego ataku, Adair także stanął mi na drodze. - Nie wyglądała na uradowaną. - Jak powiedziałam, musisz się pieprzyć niczym kurtyzana. Cholerne boginie płodności, zawsze im się wydaje, że są takie cudowne.

Nie byłam pewna, czy gdybym wyjaśniła, że Adair i ja się nie pieprzyliśmy, to by ją uspokoiło czy rozwścieczyło. Milczałam więc. Najwyraźniej Adair i wszyscy inni, którzy byli tego świadkami,

pomyśleli podobnie, gdyż żaden się nie odezwał.

Eamon delikatnie ścisnął ją za ramię. Poklepała go po ręku.

- Podejdz do mnie, Adairze - rzuciła.

Straże rozstąpiły się i Adair stanął naprzeciw mnie. Posłał mi przelotne spojrzenie, po czym ukląkł przed królową na jedno kolano. Pochylił głowę. To było właściwe zachowanie, ale zanim przykląkł, w jego oczach dostrzegłam gniew. Musi lepiej kontrolować swoje emocje albo nie przetrwa na żadnym dworze.

Obserwowałam go, jak klęczał, złocisty i doskonały, jeśli nie liczyć braku włosów.

Niegdyś był bogiem, ale zaryzykował to wszystko, aby mi pomóc. Królowa obiecała, że wszystkie Kruki, z którymi będę dzielić łożę, staną się moimi. Będą wyłącznie moimi strażnikami. Teoretycznie nie mogła go skrzywdzić, o ile wierzyła, że uprawialiśmy seks.

Oczywiście to samo tyczyło się Doyle'a, Galena, Rhysa, Mroza, Nicci i choć o tym nie wiedziała, również Barinthus. Ale jej obietnica nie gwarantowała moim prawdziwym przybocznym bezpieczeństwu. Prawdę mówiąc, szalona czy nie, spętana czarem czy nie, to, że ich skrzywdziła, było dowodem, iż zaprzeczyła własnym słowom. Złamała daną przysięgę.

Obiecałam, że będę ich chronić i choćbym miała umrzeć, będę ich bronić do ostatniego tchu.

Nie złamię danego słowa. Ona swoje złamała. Popelniła krzywoprzysięstwo. Za takie rzeczy sidhe byli wypędzani z Krainy Faerie. Problem w tym, że jedyną osobą, która mogła pociągnąć ją za to do odpowiedzialności, była ona sama.

- Galen i Adair przyjęli ciosy przeznaczone dla księżniczki. Jej przybocznicy przyjęli ciosy przeznaczone dla Eamona i Tylera. - Przez jej oblicze przemknął grymas bólu. - Jestem wdzięczna, że mężczyźni Merry uchronili mnie przed unicestwieniem tego, co jest mi drogie.

Jednak żaden z Kruków nie rzucił się w stronę Merry. Żaden z mych strażników nie próbował mi pomóc, gdy rozgorzała walka, mimo iż nie był to należycie ogłoszony pojedynek. A tylko uprzednio ogłoszony pojedynek mógłby zwolnić moich strażników z obowiązku chronienia mnie.

Mistral opadł na jedno kolano po jej drugiej stronie, choć zauważyłam, że znajdował się tuż poza zasięgiem jej ramion. Oczywiście to by go nie ocaliło, gdyby zrobiło się naprawdę nieprzyjemnie.

- Rozkazałaś nam, abyśmy uklękli i nie ruszali się, moja królowo. Pod karą dołączenia do twego śmiertelnika zakutego w łańcuchy. - Spojrzał na nią z mieszaniną błagania i złości. -

Żaden z nas nie zaryzykowałby wzbudzenia twego gniewu.

- Ale to nie wszystko, Mistralu. To mogłabym wybaczyć. Słyszałam innych mówiących o unicestwieniu mnie. O wzięciu mego własnego miecza, Śmiertelnego Strachu, i zabiciu mnie. Słyszałam te zdradzieckie rozmowy.

Przypominałam sobie fragmenty tej dyskusji. Jednak tego typu rozumowanie donikąd nie prowadziło.

Jak mogłam ją zdezorientować?

W pełnej napięcia ciszy rozległ się głos Doyle'a:

- Czy nie powinniśmy zająć się Nuline, która jest prawdziwą zdrajczynią dworów?

Nie chcemy być obwiniani za treści zwykłej, luźnej rozmowy.

- Ja decyduję, kim i w jakiej kolejności będziemy się zajmować - rzekła ostro.

Eamon ukląkł i nawet w tej pozycji był od niej wyższy. Nigdy dotąd nie zdawała sobie sprawy, jak szerokie miał bary i jak imponująco się prezentował. Wyszeptał jej coś do ucha, na co pokręciła głową.

- Nie, Eamonie, jeżeli nie chcą mnie chronić i raczej woleliby mnie widzieć martwą, równie

dobrze mogą odwrócić się ode mnie i przyłączyć do moich wrogów. Będziemy osaczeni z dwóch stron. Zaatakują nas na dwa fronty. Nie wolno dopuścić, aby wróg zaszedł cię od tyłu.

- Czy nie lepiej jest toczyć wojnę na jednym froncie zamiast na dwóch? - spytałam.

Spojrzała na mnie zdezorientowana. Nie wiedziałam, czy to skutki uboczne zaklęcia, czy coś innego, ale nie była sobą.

- Zawsze lepiej toczyć wojnę na jednym froncie zamiast na dwóch - odparła w końcu.

- To dlatego zdrajcy, których mam przed sobą, muszą umrzeć pierwsi.

- Zaklęcie miało na celu zmuszenie cię do wyrznięcia twojej gwardii przybocznej - powiedziałam, jakbym zwracała się do umysłowo upośledzonego dziecka. - Jeżeli ich teraz zgładzisz, zrobisz dokładnie to, czego pragnęli twoi wrogowie.

Zmarszczyła brwi

- W twoich słowach jest logika. Ale rozmowa o zamordowaniu ich własnej królowej nie może im ujść bezkarnie.

- A jaka jest u nas kara za złamanie danego słowa? - spytałam.

- Mówisz o karze za krzywoprzysięstwo.

- Tak.

- Śmierć lub wygnanie z Krainy Faerie - odparła pełnym przekonania głosem, ale w jej oczach pojawił się dziwny wyraz. Albo dostrzegła pułapkę, albo zmartwiło ją coś innego.

- Przysięgłaś mi, że wszyscy mężczyźni, którzy zaznają mego ciała, zostaną moimi przybocznymi, strażnikami księżniczki, i nie będą już Krukami Królowej.

- Pamiętam - odparła.

- Obiecałaś też, że nie spotka ich żadna krzywda bez mojego pozwolenia, tak jak bez twego zezwolenia nie może się nic stać twoim strażnikom.

Chrząknęła ostentacyjnie.

- Tak obiecałam?

- Dokładnie tak, ciotko Andais. Dobrze pamiętam twe słowa.

Zerknęła na szemrzące źródło.

- Eamonie, czy byłeś świadkiem składania przeze mnie tej obietnicy?

Eamon popatrzył na mnie i coś w jego oczach uświadomiło mi, że zamierzał skłamać.

- Tak, moja królowo, byłem tego świadkiem.

Nie było go w pokoju, kiedy Andais złożyła tę obietnicę. Skłamał dla nas wszystkich.

Andais westchnęła.

- Obietnica królowej nie może zostać złamana. - Wstała i zwróciła się do mnie. -

Złamałam dane słowo, księżniczko Meredith, ale jestem także królową. Mamy zatem dylemat.

- Skoro to mnie złożono obietnicę, to mnie stała się krzywda.

- I ty możesz ją wybaczyć - powiedziała - choć, jak przypuszczam, twoje wybaczenie ma określoną cenę. - Przyglądała mi się bacznie, a w jej oczach dostrzegłam ostrzeżenie, którego nie potrafiłam rozszyfrować. Bała się, że poproszę o coś, czego nie będzie chciała mi dać.

- Jestem krwią z twojej krwi, ciotko. Jak mogłoby być inaczej?

- Jaka jest twoja cena, bratanico?

- Żądam zadośćuczynienia za każdego z mężczyzn, których krew przelałaś.

- Zatem ceną będzie krew - rzekła.

- Takie jest moje prawo.

Jej oblicze pozostało czujne i bardziej ostrożne niż kiedykolwiek.

- Jakiej żądasz zapłaty we krwi?

- Zapłatę we krwi można wymienić na inną monetę - odparłam.

Prawie odetchnęła z ulgą, po czym skinęła głową.

- Mów, czego żądasz.

- Wszystkim strażnikom, którzy wspominali o Śmiertelnym Strachu, zostanie to wybaczone.

Wszyscy będą mogli uzbroić się, zanim udamy się do komnaty tronowej.

Następnie stworzymy zjednoczony wspólny front i okażemy to przed resztą dworu do czasu, aż niedoszli zabójcy zostaną pojmani i straceni.

Skinęła głową.

- Zgoda.

Strażnicy przywdziali swe zbroje. Niektóre z nich wyglądały jak zwierzęce skóry albo pancerze owadów, inne przypominały zwyczajne, rycerskie zbroje i mieniły się kolorami, których wykuta przez ludzi stal nie mogłaby nigdy uzyskać. Królowa dotknęła kamieni na ścianie i nagle fragment niej zniknął, a w jej miejscu pojawiła się czarna pustka. Królowa sięgnęła w ciemność i wydobyla stamtąd krótki miecz, którego rękojeść miała kształt trzech kruków trzymających w dziobach rubin wielkości ludzkiej pięści. Wykonane ze srebra rozłożone skrzydła ptaków tworzyły szeroką gardę. Miecz zwał się Śmiertelny Strach i był

jednym z ostatnich wielkich skarbów pozostałych na Dworze Unseelie. Ta broń mogła przynieść sidhe prawdziwą śmierć. Rana zadana tym ostrzem była zabójcza dla wszystkich.

Mogła także przebić każdego fey, niezależnie, jaką magią dysponował czy jak twardą miał skórę.

Odwróciła się do mnie z mieczem w dłoni. Nie bałam się. Gdyby chciała mnie zabić, już dawno by to zrobiła. Spojrzała na klingę i odbijające się w niej światło.

- Nadal nie jestem sobą, Meredith. Mój umysł jest wciąż zmacony wskutek tamtego zaklęcia. Od stuleci nie pozwoliłam sobie na taką jatkę. Taką rzeź powinno się urządzać jedynie wrogom. - Uniosła wzrok i w jej oczach dostrzegłam smutek. Przytłaczającą świadomość. Wiedziała, że żaden ze strażników Cela nie ośmieliłby się dokonać czegoś takiego bez jego wiedzy i aprobaty. Nie rzucił ze swej ciemnicy hasła: zabij moją matkę. Nie, raczej powiedział między wierszami: czy nikt nie uwolni mnie od tej dokuczliwej kobiety?

Dzięki temu podczas przesłuchania mógłby zgodnie z prawdą wyprzeć się, że wydał taki rozkaz. Mógłby wyprzeć się tego, że wiedział, iż ktoś potraktuje jego rzucone w gniewie słowa i zechce obrócić je w czyn. Ale to była gra słów, półprawd i niedopowiedzeń.

Wzrok Andais mówił, że nie ma miejsca na półprawdy.

- Obawiałam się o stan umysłu mego syna, Meredith - rzekła przepraszącym tonem.

Pozwoliłam, by jego strażniczka poszła do niego i zmniejszyła zakres działania żądz Łez Branwyn, zanim doprowadziłyby go do obłądu.

Spojrzałam na nią beznamiętnie.

- Pozwoliłaś jednej z jego strażniczek na złagodzenie jego żądz, by ocalić jego umysł przed obłądem, i tej samej nocy inna jego strażniczka potraktowała cię zaklęciem, które miało spowodować, że własnoręcznie zgładzisz swych najpotężniejszych popleczników.

W jej oczach pojawiło się przerażenie.

- To mój syn.

- Wiem - odparłam.

- Moje jedyne dziecko.

- Rozumiem.

- Nie, nie rozumiesz. Nie zrozumiesz, dopóki sama nie będziesz mieć dzieci.

Wszystko wcześniej jest jedynie udawanym współczuciem, iluzją zrozumienia, koszmarem pojęć i rzeczy, w które, jak ci się wydaje, wierzysz.

- Masz rację, nie mam dzieci i nie rozumiem tego.

Uniosła Śmiertelny Strach do światła, jakby na jego smukłej powierzchni mogła dostrzec coś, czego ja nie widziałam.

- Wciąż nie jestem przy zdrowych zmysłach. Nawet teraz czuję w sobie szaleństwo, czuję, czym się stałam. Odczuwałam to już wcześniej, teraz jednak zastanawiam się, czy moje zamiłowanie do widoku krwi innych nie było w jakiś sposób podsycane, kto wie, może nawet od wielu lat.

Nie wiedziałam, co mam odpowiedzieć, więc milczałam. W momencie kiedy każde słowo może zostać zrozumiane opacznie, najlepsza jest cisza.

- Ujrzę Nulinę martwą, podobnie jak tych, którzy stoją za zamachem na ciebie, bratanico.

- A jeżeli to ci sami ludzie? - spytałam.

Zerknęła na mnie.

- A jeżeli nawet, to co?

- Oświadczyłaś, że gdyby którykolwiek z ludzi Cela, w trakcie gdy on sam będzie uwięziony, próbował mnie zabić, zapłaci za to życiem.

Zamknęła oczy i oparła głowę o klingę.

- Nie prosz o życie mego jedyne dziecko, Meredith.

- Nie proszę.

Miała gniew w oczach.

- Czyżby?

- Pragnę jedynie, by królowa dotrzymała raz danego słowa.

- Nigdy cię nie lubiłam, bratanico, ale i nie żywię do ciebie nienawiści. Jeżeli zmusisz mnie, abym zabiła Cela, znienawidzę cię.

- To nie ja zmuszam cię do tego, królowo Andais. On. To on cię zmusza.

- Mogli działać bez jego wiedzy. - Widać było, że sama w to nie wierzy.

W jej trójbarwnych oczach najszersze kręgi niemal szerniały, jakby pociągnęła je tuszem do rzęs.

- Skłamałbym, mówiąc, że źle się dzieje, iż rozprawiamy o zabiciu Cela - rzekł Galen

- ale wszyscy wiedzą, że jakakolwiek próba zamachu na Merry, podczas gdy on pozostaje uwięziony, oznacza dla niego wyrok śmierci.

- O ile udałoby się nam udowodnić, że są za to odpowiedzialni jego ludzie - wtrącił Mistral.

- Czegoś tu chyba nie rozumiesz. Nuline należy do jego strażników. Skoro to ona sprowadziła zakłęcie, musiał ją przysłać Cel.

- A jeżeli to nie był on?

- Słucham - rzekła Andais.

- Nuline podobnie jak ja nie jest dobra w polityce dworskiej. Nie umie oszukiwać. Co powiedziała, gdy przyniosła ci wino?

- Mówiła, że wie, iż to jedno z moich ulubionych, i ma nadzieję, że jego słodki smak przypomni mi, jak słodki może być mój syn.

Andais zmarszczyła brwi.

- Te słowa brzmią jak wyuczone i przygotowane przez kogoś innego. Jestem Królową Powietrza i Ciemności, nie obawiam się prób zamachu. Może ta arogancja uczyniła mnie nieostrożną. -

Powiedziała to powoli, jakby sama w to nie wierzyła.

- Ludzie często dają jej podarunki - rzekł Mistral. - W ten sposób chcą zaskarbić sobie jej przychyłność.

- Musimy wiedzieć, skąd Nuline wzięła wino - wtrącił Galen.

Andais skinęła głową.

- Tak, właśnie tak. - W jej głosie było coś, co mi się nie spodobało. To była nuta nienawiści. Taka nienawiść zaślepia i nie pozwala ujrzeć prawdy. Zwłaszcza jeżeli chce się być zaślepionym. -
Przyprowadźcie do mnie moją Ciemność - powiedziała.

Doyle stawiał się na wezwanie, ale pozostał u mego boku.

- Zgodnie z twoimi własnymi słowami jestem teraz Ciemnością Księżniczki.

Zbyła jego słowa machnięciem ręki.

- Swoją panią nazywaj kogo zechcesz. Pytam tylko, czy zdołasz dotrzeć śladem tego zaklęcia do jego właściciela.

- Nie mógłbym uczynić tego na podstawie zapachu na twojej skórze, ale butelka wciąż tu jest. To zbyt potężne zaklęcie, aby nie pozostawiło śladu, sygnatury tego, kto je sporządził.

Jeżeli zdołam wyczuć woń ich skóry, zapach potu, to owszem, zdołam dotrzeć w ten sposób do twórcy zaklęcia.

- Wobec tego zrób to - rzekła i spoglądając na mnie, dodała: - Gdziekolwiek zaprowadzi nas ten ślad, pójdziemy tym tropem, a kara zostanie wymierzona natychmiast.

- Usłyszałem te słowa i mogę to zaświadczyć - rzucił Barinthus.

Królowa zwróciła się do mnie:

- Oto, Meredith, jeszcze jedna obietnica, która zawisła nad moją głową.

- Co miałabym powiedzieć, ciotko?

Wzięła głęboki oddech i wolno wypuściła powietrze. Przeniosła wzrok z mojej twarzy na fragment ściany, jakby nie chciała, by ktokolwiek zobaczył w tej chwili jej oczy.

- Co byś uczyniła na moim miejscu, bratanico?

Otworzyłam usta, zaskoczona pytaniem. Co bym zrobiła?

- Posłałabym po sluaghów.

Uniosła wzrok, spojrzenie miała surowe, jakby próbowała przeniknąć mnie na wskroś.

- Po co?

- Sluaghowie budzą największy lęk na całym dworze Unseelie. Nawet sami sidhe się ich boją, a przecież nie lękają się prawie niczego. Mając za sobą sluaghów i Kruki, możesz mieć pewność, że nikt nie zaryzykuje bezpośredniego ataku.

- Wierzysz, że ktoś ośmieliłby się zaatakować mnie, nas... - skinęła na czekających wojowników - tak po prostu?

- Ciotko Andais, gdyby zaklęcie spełniło swoje zadanie, wyrznęłabyś całą swą przyboczną gwardię, a gdy w komnacie nie pozostałby już nikt, dokąd byś się udała? Co byś zrobiła?

- Poszukałabym innych do zabicia.

- I trafiłabyś do sali bankietowej, gdzie sidhe z pewnością nie staliby beczynnym, podczas gdy ty zaczęłabyś ich wyrzynać.

- Na pewno próbowaliby odkryć przyczynę mego zachowania - powiedziała.

- Nie sądzę. Od bardzo dawna rządzisz na tym dworze przemocą i terrorem. To, co uczyniłaś tej nocy, nie różni się zbyt od rzeczy, jakich byłam świadkiem w przeszłości.

- W przeszłości większość rzezi miała ściśle określony cel - zauważyła. - Wrogowie się mnie boją.

- Rzeź dokonana z chłodną kalkulacją a rzeź dokonana w morderczym szale wyglądają identycznie dla tych, którzy są narażeni na śmierć z twojej ręki - powiedziałam.

- Czy byłam aż takim tyranem, że cały dwór sądził, iż robię to celowo?

Cisza w pomieszczeniu była tak gęsta, że zdawała owijać się wokół nas. Owijać się i dusić, bo nikt spośród nas nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie, nie posuwając się do kłamstwa ani nie wzbudzając przy tym jej gniewu.

Zaśmiała się gorzko.

- Ta cisza jest dla mnie dostatecznie wymowną odpowiedzią. - Potarła czoło, jakby rozboleła ją głowa. - Dobrze jest, gdy wrogowie się ciebie lękają.

- Ale nie, gdy lękają się ciebie przyjaciele - dodałam półgłosem.

Sporunowała mnie wzrokiem.

- Bratanico, czy jeszcze się nie nauczyłaś, że władczyni nie ma przyjaciół? Ma wrogów i sojuszników, ale nie ma przyjaciół.

- Mój ojciec ich miał.

- Tak, mój drogi brat miał przyjaciół i najprawdopodobniej to go właśnie zabiło.

Stłumiłam w sobie zarzewie wściekłości. Gniew był luksusem, na jaki nie mogłam sobie pozwolić.

- Gdyby nie było mnie tu dziś z ręką krwi, by wytoczyć wraz z krwią magiczną truciznę z twojego ciała, ty też byłabyś martwa.

- Uważaj, Meredith.

- Uważałam przez całe moje życie, jeśli jednak tej nocy nie będziemy zuchwałe, nasi wrogowie unicestwią nas obie. Może nawet Cel miał tej nocy umrzeć. Skazany na śmierć za zabicie mnie oraz ciebie. To otworzyłoby innym liniom rodowym drogę do tronu.

- Nikt nie byłby tak nieroztropny - powiedziała.

- Nikt na dworze nie wie, że posiadam rękę krwi. Gdyby nie moja magia, ich spisek powiódłby się, tak jak sobie zaplanowali.

- Dobrze, zatem wezwiemy slughów, co dalej?

- Gdybym była tobą czy sobą? - spytałam.

- Sobą i mną jednocześnie.

- Skontaktowałabym się z Kuragiem, Królem Goblinów, ostrzegłabym go i nakazała, by sprowadził do naszego sidu więcej goblinów, niż zazwyczaj zezwalamy.

- Myślisz, że sprzymierzyłby się z tobą przeciwko wszystkim sidhe Unseelie?

- Gdyby miał wybór, nie zrobiłby tego, ale go nie ma. Jest moim zaprzysięgłym sojusznikiem i gdyby odmówił mi wsparcia, złamałby dane słowo. Za coś takiego gobliny zabiłyby swego króla.

Pokiwała głową.

- Za trzy miesiące nie będzie twoim sojusznikiem.

- Właściwie to za cztery - poprawiłam.

- To było tylko sześć miesięcy i połowa z nich już minęła - rzekła.

- Zgadza się, ale Kitto jest teraz sidhe, a za każdego goblina zamienionego w sidhe i po przywróceniu mocy zyskam miesiąc wsparcia ze strony Kuraga.

- Zamierzasz pieprzyć się z nimi wszystkimi? - Mówiąc to, nie chciała mnie urazić, po prostu taki już miała styl wypowiedzenia się.

- Są inne sposoby na przywrócenie komuś mocy.

- Nie przeżyłabyś walki wręcz z goblinem, Meredith.

- Kurag zgodził się pomóc księżniczce przemieniać jego lud - wtrącił Doyle.

Dotknął mego ramienia. Gdyby to był ktokolwiek inny, powiedziałabym, że jest zdenerwowany. Ale on był Ciemnością Królowej; Doyle nigdy się nie denerwował.

- Większość nie zgodziłaby się walczyć z tobą, Ciemności, ani z Zabójczym Mrozem.

Wybiorą spośród gwardii przybocznej Meredith tych, których mogliby pokonać. A potem spróbują zabić twoich ludzi. - Odwróciła się do mnie. - Jak temu zapobiegiesz, gdyby doszło do walki?

- Wybiorę czempionów - odparłam. - Będą walczyć z wojownikami, których wybiorę ja, nie oni.

- Zakładam, że wybierzesz Ciemność i Mroza.

- Zapewne tak - przyznałam.

- Wielu odmówi starcia z nimi, pytam więc raz jeszcze, czy zamierzasz dzielić łożę ze wszystkimi goblinami, którzy ustawią się w kolejce, by zakosztować twego lśniącego ciała?

- Już powiedziałam, co zrobię.

Zaśmiała się.

- Nawet ja nie upadłam tak nisko, by dzielić łożę z goblinem. Sądziłam, że to poniżej twojej godności.

- Myślę, że seks z goblinami przypadłby ci do gustu. One lubią na ostro.

Spojrzała poza mnie i zorientowałam się, że patrzyła na Kitta, który próbował trzymać się blisko mnie i równocześnie nie rzucać się w oczy.

- Wydaje się dość kruchy jak na ostrą jazdę w moim rozumieniu tego słowa.

Kitto chyba się wystraszył.

Poruszyłam się gwałtowniej, by zwrócić jej uwagę.

- Czy ostra jazda to dla ciebie odgryzanie kawałków ciała partnera?

Znow przeniosła wzrok na ledwie widocznego, stojącego za nami Kitta. Nagle podskoczyła i zawołała:

- Buuu!

Kitto skulił się za moimi plecami, po czym czmychnął za plecy innych strażników, chcąc zwiększyć dystans dzielący go od królowej.

Andais zaśmiała się.

- Rzeczywiście, dziki i groźny.

- Dostatecznie dziki i groźny - powiedziałam.

- Wezwę sluaghów. Ty sprowadź goblina. - Przekrzywiła głowę jak ptak, który wypatrzył robaka. - Ja mogę wezwać sluaghów na odległość, bo jestem ich królową, a jak ty ściągniesz tu goblina?

- Najpierw spróbuj z lustrem.

- A jeśli się nie uda? - spytała.

- Użyję ostrza, krwi i magii.

- Stara metoda - zauważyła.

- Ale skuteczna.

Pokiwała głową, po czym na chwilę przymknęła oczy.

- Sluaghowie przybędą na me wezwanie. Zezwalam ci, abyś skorzystała z mojego lustra w celu porozumienia się z Kuragiem.

- Wydajesz się wątpić, że uda mi się go tu sprowadzić.

- Jest szczywany jak na goblina. Nie zechce brać udziału w dworskich potyczkach Dworu Unseelie.

- Goblinsy to piechota w szeregach wojsk Dworu Unseelie. Kurag może udawać, że nasze wewnętrzne utarczki nic go nie obchodzą, ale tak długo, jak uważa się za przynależnego do Dworu Unseelie, musi śledzić nasze wewnętrzne rozgrywki.

- On tego tak nie postrzega - stwierdziła.

- Pozwól, że ja zajmę się Kuragiem.

- Wydajesz się bardzo pewna siebie. Nie możesz dzielić z nim łoża... Nie możesz przyczynić się do popełnienia przez niego cudzołóstwa.

- Niekiedy więcej można zyskać samą obietnicą niż konkretnym czynem.

- Nie możesz zaoferować czegoś, co jest zabronione przez nasze prawo - zauważyła.

- Kurag zna nasze prawa równie dobrze jak my, naprawdę. Zapomina o nich, tylko gdy jest mu to na rękę. Zrozumie, że to nie seks mu oferuję.

- A co?

- Szansę. Pomoc w oczyszczeniu.

Zmarszczyła brwi.

- Nie rozumiem.

Nie rozumiała, bo choć Kurag znał prawa sidhe, nasza królowa nie miała większego pojęcia na temat praw, jakimi kierowały się goblinsy. Wiedziałam, że płyny ustrojowe były dla goblinów cenniejsze niż cokolwiek innego. Ciało, krew, seks; gdzieś pośród tej kombinacji kryła się doskonałość. Zamierzałam zaoferować goblinom dwa elementy. Powiedziałabym, że oferuję im wszystkie trzy, ale wolałam tego nie robić. W rozumieniu goblinów ciało to coś, co właśnie trawisz w żołądku lub kawałek czegoś, co trzymasz w słoiku na półce.

Rozdział 32

Krążące na dworze plotki głosiły, że zginęłam. Niektórzy z sidhe mieli dostęp do telewizji i sporą część popołudnia oglądali nagrania z konferencji prasowej. Strzelanina, trafiony policjant i w końcu Galen wynoszący mnie zakrwawioną z sali. Ludzkie media donosiły jedynie, że zniknęłam w limuzynie i nie zgłoszono mego przyjęcia w żadnym ze szpitali. Nie mieliśmy czasu, by kogokolwiek o czymkolwiek informować, a nasza agentka prasowa, Madeline Phelps, nie dysponowała żadnymi informacjami, które mogłaby przekazać. U wejścia do sidu powitali nas strażnicy, następnie z miejsca zostaliśmy zaprowadzeni do królowej. Nikt inny nas nie widział. Nikt nawet nie wiedział o naszym przybyciu.

Królowa i jej mężczyźni zmywali krew i szykowali się do bankietu. Ona i jej świta wkroczy do wielkiej sali jak gdyby nigdy nic. Zasiądzie na swoim tronie. Eamon zajmie miejsce na tronie Wybranka. Tron księcia i ta część podium pozostaną puste, tak jak to było, odkąd odeszłam, a Cel trafił do lochu.

Doyle wejdzie do sali z królową. Będzie jednym ze strażników przy drzwiach, będzie więc mieć oko na wszystkich wchodzących. Miał poszukiwać magii, która była zawarta w winie. Gdyby wszedł, jak dawniej, za plecami królowej, pojawiłyby się pytania, ale i tak nikt by się nie dziwił, że powrócił na służbę do królowej. W końcu nie chciał być dłużej wygnanym.

Królowa i jej mężczyźni nie będą odpowiadać na żadne pytania. Andais miała nie odezwać się słowem. Będzie ignorować wszystkie pytania, dopóki nie znajdzie się w końcu ktoś tak zuchwały, że podejdzie do tronu i poprosi o pozwolenie na zabranie głosu. To będzie dla mnie znak, by wraz ze świtą wkroczyć do sali. Wciąż będę od stóp do głów we krwi, i to bynajmniej nie mojej, co lepiej niż cokolwiek innego da wszystkim do zrozumienia, że byłam odpowiednią kandydatką na dziedziczkę tronu. Niektórzy z mężczyzn nie ścierali krwi ze swych ciał, inni natomiast szorowali się do czysta. W zależności, kto pragnął uczestniczyć w zaplanowanym przez nas widowisku.

Czekaliśmy w antyszambrze przed wielkimi drzwiami prowadzącymi do głównej sali.

Ciszę przerwało szuranie przywodzące na myśl wijące się po kamieniach cielsko wielkiego węża, ale to, co prześlizgiwało się po suficie i ścianach, nie miało nic wspólnego z gadami.

Pomieszczenie wypełniły róże. Od wieków usychały, aż zostały z nich tylko suche pnącza i nagie ciernie, ale moja krew sprawiła, że się przebudziły.

Sprawiła to moja magia. Teraz, wiele miesięcy po tamtym wydarzeniu, ściany zniknęły pod warstwą zielonych liści i świeżych pędów. Wszędzie kwitły olbrzymie szkarłatne róże, a ich słodki aromat był wręcz upajający, zupełnie jakby wdychało się perfumy. Róże poruszały się w półmroku antyszambru. To był odgłos ocierających się o siebie łodyg i pnączy. Jakiś kwiat został wciągnięty w tę nieustannie poruszającą się, niespokojną masę i na nasze głowy posypał się deszcz szkarłatnych płatków. Wiedziałam, że niektóre z kolców pod sufitem były wielkości sztyletów. To nie były zwykłe róże, nic z tych rzeczy. Miały stanowić ostatnią linię obrony na wypadek, gdyby wróg dostał się aż tutaj.

Fakt, że większość naszych wrogów podejmowano właśnie tu, sprawił, że róże miały znaczenie bardziej symboliczne i nie były traktowane jako faktyczne źródło zagrożenia.

Nasz plan, aby znaleźć Nuline i spytać ją, skąd wzięła wino, spalił na panewce.

Sluaghowie Sholto znaleźli Nuline, ale nie byli w stanie o nic jej zapytać. Nadal nie odnaleźli jej głowy. Jej śmierć oznaczała, że albo niedoszły zamachowiec wolał nie ryzykować, albo też on lub ona wiedzieli, że nie udało się zabić królowej. To ani trochę nie zmieniało naszych planów, aczkolwiek dało mi nieco do myślenia.

Sage stał za moimi plecami, tuż za Rhysem i Mrozem. Musieliśmy przedstawić go w jego nowej postaci, z trójkolorowymi oczami, królowej Niceven. Była wściekła, że nie mogł

powrócić do dawnych rozmiarów, ale to, że stał się nowym sidhe, ją zafascynowało. I zaintrygowało do tego stopnia, że zdecydowała się nam pomóc. Pół-fey byli najlepszymi szpiegami, małymi, więc nierzucającymi się w oczy. Sidhe ignorowali ich jak owady, które przypominali. Nie uważano ich za silną frakcję na dworze, a tym samym mogli być gdziekolwiek, praktycznie wszędzie. Królowa Niceven nakazała swoim, by rozproszyli się po całym dworze. Mieli słuchać i składać raporty. Będą szpiegować dla mnie i królowej Andais.

Król Kurag ze swą wieloręką królową u boku znajdował się w antyszambrze za nami.

On i jego orszak goblinów wkroczą do sali jako część mojej świty. Zajmie miejsce na tronie w końcu sali, najbliżej drzwi, najdalej od głównego tronu, ale wejdziemy tam razem i kilku jego wojowników pozostanie przy mnie, pokonując całą długość pomieszczenia.

Z wyglądu Ash i Holly równocześnie bardziej i mniej przypominali sidhe. Przystojni i arogancy, jak każdy dwór mogący poszczycić się nieskazitelnie złocistą rozjaśnioną słońcem skórą, ale oczy u jednego wibrująco zielone i u drugiego ogniście czerwone były typowo goblinińskie, wielkie i podłużne. Zajmowały na twarzy więcej miejsca niż u sidhe czy choćby u ludzi. To dawało goblinom doskonałą zdolność widzenia w ciemnościach, ale także pozwalało odróżnić od innych. Fizycznie byli masywniejsi, zdawało się, że pod tą cudowną skórą mają więcej mięśni, niż powinni. Mogłam się założyć, że byli silniejsi od sidhe czystej krwi. Ash był bardziej niż rad, mogąc wziąć udział w naszym pokazie jedności. Holly nie chciał pomóc. Poniżej jego godności było siedzenie u stóp kobiety, zwłaszcza sidhe.

Musiałam dać Holly'emu przedsmak tego, co go czeka, a gdy zlizął już krew z mojej skóry, więcej nie protestował. Byli na tyle goblinami, że doceniali wartość krwi sidhe, która mnie pokrywała. Na tę noc wystarczy, później, gdy zjawią się w moim łóżu, będzie to trochę niepokojące. Ale wszystko w swoim czasie; tej nocy miałam dość problemów, by dodatkowo wybiegać z

kolejnymi w przyszłość.

- Królowa Niceven mówi, że jeden z członków królewskiego rodu ukląkł na podłodze przed królową - oznajmił Sage, wziął głęboki wdech, po czym pełnym ekscytacji głosem zakomenderował: - Teraz!

Barinthus i Galen otworzyli drzwi i zalało nas silne światło z wnętrza sali.

Ruszyliśmy. Szłam nieco przed Rhysem i Mrozem, potem Nicca i Sage, a za nami dwójkami pozostali, Galen i Barinthus zamykali tyły naszego orszaku tuż przed goblinami.

Doyle został przy drzwiach, jak było umówione, a my udawaliśmy, że nie zwracamy na niego uwagi.

Tak puściliśmy w ruch nasz plan.

Westchnienia, gniewne szepty, a nawet jeden zduszony krzyk napotkały mnie od razu przy drzwiach. Herold przez chwilę chyba mnie nie rozpoznał. Jedynym fragmentem mojej twarzy, nie pokrytym krwią, pozostawały oczy. Nawet rzęsy miałam posklejane posoką. Całe życie traktowano mnie jak kogoś gorszego, mniej ważnego i na pewno niegroźnego.

Przyznaję, że bardzo mi się spodobało to, w jaki sposób na mnie patrzyli. Chłonełam ich strach, zdziwienie, zakłopotanie. Co się stało? Co się zmieniło? Należeli do elity polityków dworskich, ale gdy cała we krwi wkroczyłam do sali tronowej, wszystkie ich plany spełzły na niczym.

Królowa Andais siedziała na tronie. Jej biała skóra była czysta i nieskalana. Suknię miała czarną, z odsłoniętymi ramionami. W jej włosach lśniły diamenty, skrywając metal tiary. Jej szyję ozdobił naszyjnik z brylantów, opadając na piersi, jakby był sznurem albo węzem zastygłym w pół ruchu. Brylanty były jedynym źródłem barw podkreślających jej prostą czarną suknię i długie rękawiczki zakrywające dłonie i przedramiona. Choć słówko

„barwy” nie do końca tu pasowało. Chodziło raczej o sposób, w jaki brylanty chwytały i odbijały światło na jej szyi i wokół głowy. Efekt przypominał coś w rodzaju osobliwej aureoli.

Mistral stał z boku obok jej tronu, przyodziany w zbroję, z włócznią opartą o podwyższenie. Nie zdziwiło mnie, że był jej nowym kapitanem, ale ogarnęło zaskoczenie, gdy ujrzałam jej drugiego dowodzącego. Pod jego zbroją krył się spokój, spod hełmu wystawał jedynie długi warkocz jasnobrązowych włosów. Zwano go Ciszą, ponieważ nigdy się nie odzywał, a kiedy już to robił, to szeptem, wprost do ucha królowej lub Doyle'a. „Jak możesz dowodzić, skoro nie możesz mówić?”, pomyślałam.

Tyler zwinął się u jej stóp, na końcu ozdobionego drogimi kamieniami łańcucha. Miał na sobie tylko wysadzaną diamentami obrozę. Eamon siedział na mniejszym tronie, nieco poniżej niej, ubrany całkiem na czarno, jeśli nie liczyć srebrnej opaski przecinającej jego blade czoło.

Minęliśmy pusty stół i tron, gdzie siedział slugh. Slughowie bowiem znajdowali się z tyłu za królową. Żeglarze nocy, jak skrzyżowanie wielkich nietoperzy, mackowatych koszmarów i latających płaszczyk przywierali do kamieni z tyłu za nią, pnąc się w górę jak żywa kurtyna ciemnego cielska. Stwory mające więcej macek niż ciała stały z tyłu, za tronem.

Wiedźmy, Czarna Agnes i Złota Segna, w powłóczystych szatach czekały za plecami królowej, wyższe nawet niż jej najbliżsi przybocznicy. Wiedźmy zwykle stały za plecami króla, ale Sholto miał dla siebie nowe miejsce. Pusty tron, niegdyś zarezerwowany dla jej dziedzica, ale znany jako tron książęcy, czekał właśnie na mnie. Tron Sholto postawiono na podwyższeniu tuż poniżej mojego. Tej nocy miał to być także tron wybranka. Mojego wybranka. Dla mnie będzie nim ten, z którym przyjdzie mi dzielić łóżko dzisiejszej nocy.

Sholto, Król Slughów, Pan Tego Co Pomiędzy, Lord Cieni, siedział po raz pierwszy na

podium, wysoki i blady z księżycową skórą, z której byłby dumny każdy sidhe. Miał białe jak śnieg, długie i jedwabiste włosy, związane z tyłu w luźny koński ogon. Oczy natomiast miał trójkolorowe, barwy metalicznego złota, bursztynu i jesiennych liści. Prezentował się wspaniale w czarno-złotej tunice i czarnych spodniach, których nogawki znikwały za wywiniętymi złotoczarnymi cholewkami wysokich do kostek butów z najdelikatniejszej czarnej skóry. Płaszcz miał spięty złotą broszą z wyrytym na niej herbem jego rodu.

W każdym calu wyglądał jak księżę sidhe, ale lepiej od innych wiedziałam, że wygląd bywa mylący. Sholto marnował magię, by ukryć to, co miał pod ubraniem. Niemal cały jego brzuch aż do podbrzusza pokrywały macki. Bez maskującego uroku ich wypukłość byłaby widoczna nawet pod obszernym materiałem. Współczesny strój był prawie nie do noszenia, gdyby nie jego magia, która starannie wszystko wygładzała. Jego matką była Seelie sidhe.

Ojciec był żeglarzem nocy.

Jako Król Sluaghów mógł mieć w swym łóżu każdą kobietę ze swego dworu. Zaś jako członek gwardii królowej był całkowicie podporządkowany królowej. Nie sądzę jednak, by kiedykolwiek przeszło jej przez myśl, aby zaprosić go do swego łóża. Nazywała go perwersyjną kreaturą. Sholto nienawidził tego przydomka, ale nie skarżysz się Andais na coś tak błahego, nawet jeśli jesteś królem innego dworu. Gdyby Sholto był zadowolony z kobiet ze swego dworu, nie mogłabym mu nic zaoferować. Niemniej pragnął poczuć na swoim ciele dotyk sidhe. I tak dobiliśmy targu i jeśli nie tej nocy, to nazajutrz miałam dowiedzieć się, czy dam radę wytrzymać kontakt ze wszystkimi przydatkami wyrastającymi z jego ciała. Miałam nadzieję, że tak, bo czy mi się to podobało, czy nie, za to, że dziś mi pomógł, musiałam się z nim przespać.

Afagdu stał z boku przy podwyższeniu. To on klęczał przed tronem, kiedy otworzyły się drzwi. Był ubrany na czarno, jak większość dworzan. Zazwyczaj nosili stroje w ulubionym kolorze swego suwerena, a czerń od stuleci była znakiem rozpoznawczym Andais.

Włosy Afagdu zdawały się zlewać z jego płaszczem, a dzięki brodzie trójkolorowe oczy sprawiały wrażenie, jakby były zatopione w jego obliczu, zagubione pośród czerni. Jego głos niósł się przez salę, uciszając szepty i westchnienia.

- Księżniczko Meredith, czy to twoja krew?

Zignorowałam go i stanęłam przed podwyższeniem, tuż poniżej królowej. Skłoniłam się, ale tylko samą głową.

- Królowo Andais, Królowo Powietrza i Ciemności, staję przed tobą cała we krwi mych wrogów i moich przyjaciół.

- Meredith, Księżniczko Ciała i Krwi, dołącz do nas.

Mój nowy tytuł wywołał kolejną falę szeptów. Doyle chciał zachować moją nową moc w sekrecie, abyśmy mogli zaskoczyć naszych wrogów, ale Andais zrobiła po swojemu.

Pragnęła, by dwór lękał się mnie, tak jak i jej. Tak musiało być, to ona tu rządziła.

Sholto wstał i zszedł dwa stopnie ze swego podium. Uśmiechnął się i podał mi dłoń.

Przyjęłam ją i stwierdziłam, że jest spocona. Czemu Król Sluaghów był zdenerwowany?

Odwzajemniłam uśmiech, zastanawiając się, czy moja pokryta krwią twarz wyglądała przyjaźnie czy też zatrważająco.

Gdy usiadłam, wrócił na swoje miejsce. Pozostali zgromadzili się dokoła. Kitto zajął miejsce u moich stóp, jedyne, czego potrzebowaliśmy, to wysadzana klejnotami obroża, aby wyglądał jak Tyler przy tronie królowej. Rhys i Mróz zajęli miejsca obok mnie. Mężczyźni, z którymi dzieliłam łóżo, stanęli za mną. Barinthus także do nich dołączył, a ja nie zaoponowałam. Królowa wydawała się równocześnie zaskoczona i zaintrygowana. Pozostali, zarówno jej strażnicy, jak i moi,

rozproszyli się po sali. Andais chciała dać jasno do zrozumienia, że byli tu nie po to, aby nas chronić, lecz by stanowić zagrożenie dla pozostałych Unseelie.

Notabłom nie spodobało się, że strażnicy się rozbiegli. Ani trochę. Afagdu wrócił na swój tron po lewej, uśmiechał się, wyraźnie rozluźniony. Nie był sojusznikiem Cela, nie należał też do zwolenników królowej. Miał własne zdanie i pilnował, by notable należący do jego domu postępowali tak samo.

Z tłumu wyszło dwóch zwanych Czerwonymi Czapkami. Jeżeli gobliny wchodziły w skład piechoty wojsk Unseelie, to Czerwone Czapki były ich szturmowcami, gdyż charakteryzowali się siłą, brutalnością i okrucieństwem znacznie większym niż gobliny. Jeden z nich mierzył osiem stóp, drugi dziesięć. Takie małe olbrzymy, nawet jak na magiczny lud.

Można by oczekiwać, że istoty tak wysokie, barczyste i muskularne będą się poruszać z gracją słonia w składzie porcelany, ale nie. Poruszali się z osobliwą miękkością, jak wielkie polujące koty. Jeden był żółty jak stary papier, drugi szary niczym kurz. Ich podłużne oczy były czerwone, jakby oglądali świat przez warstwę świeżej krwi. Na głowach nosili okrągłe szkarłatne czapki, którym zawdzięczali swój przydomek, ale czapka tego wyższego nie była li tylko ze szkarłatnego materiału. Na jego twarz ściekały z niej wąskie strużki krwi, skapując na barki, których rozpiętość równała się mojemu wzrostowi. Krew spływała z jego czapeczki niekończącymi się strużkami, ale nie ściekała na posadzkę, zupełnie jakby ciało ją wchłaniało, choć na ubraniu goblina widać było ciemne szerokie smugi. A może wsiąkała w ubranie?

Mogłam się założyć, że czapeczka tego pierwszego była początkowo wełniana i śnieżnobiała. Od niepamiętnych czasów Czerwone Czapki musiały zanurzać swe nakrycia głowy we krwi, by uzyskać ich karmazynowa barwę. Krew zasychała i potrzebowałaś kolejnej bitwy, by unurzać czapkę we krwi wrogów. Ten zwyczaj sprawił, że Czerwone Czapki uważano za najgroźniejszych wojowników, jakimi dysponowaliśmy. Z uwagi na ich zamiłowanie do rozlewu krwi trudno ich było pokonać.

Albo ten szary wielkolud zamoczył swoją czapeczkę specjalnie tuż przed przybyciem na bankiet, albo miał jedną z najrzadszych naturalnych zdolności: potrafił sprawić, że krew była stale świeża i płynąca. Niegdyś, kiedy Czerwone Czapki były jeszcze odrębnym ludem, a nie częścią imperium goblinów, postrzegano to jako atrybut przywódcy.

Ten niższy nie zaoponował, kiedy wyższy wysforował się naprzód i ukląkł jako pierwszy. Klęcząc, był tak wysoki jak ja siedząca na tronie, na podwyższeniu.

Jego głos był tak głęboki, że na sam dźwięk miałam ochotę odchrząknąć.

- Jam jest Jonty, a Kurag, Król Goblinów, rozkazał mi bronić twego białego ciała.

Gobliny honorują sojusz pomiędzy księżniczką Meredith a Kuragiem, Królem Goblinów. -

Mówiąc to, odwrócił w moją stronę swe wielkie oblicze. Twarz była szerokości mojego torsu.

Zbyt wiele czasu spędziłam w towarzystwie takich olbrzymów, aby się ich bać, ale kiedy uśmiechnął się i błysnął zębiskami, przypominającymi strzępiaste kły, musiałam wykrzesać z siebie cały bezmiar zaufania, zanim pozwoliłam, aby opuścił usta nad dłońią, którą ku niemu wyciągnęłam.

- Ja, księżniczka Meredith, Powierniczka Ciała i Krwi, witam ciebie, Jonty, i oddaję honor goblinom, dzieląc się krwią, którą wspólnie z nimi przelałam.

Nie dotknął mnie swymi dłońmi, jakby to nie było konieczne dla okazania naszej solidarności. Przytknął tylko te prawie bezwargie usta do mojej skóry i musnął dłoń językiem.

Język miał szorstki jak u kota. Szorstki jak papier ścierny. Gdy zlizął nim zaschniętą krew z mojej dłoni, poczułam pulsowanie w całej ręce. Ręka Krwi nieraz mnie bolała i to do tego stopnia, że krzyczałam i wyłam, błagając o uwolnienie, nigdy jednak nie poczułam w niej równie delikatnego

pulsowania.

Goblin wciąż przykładał usta do wnętrza mojej dłoni, ale wywrócił oczami, by na mnie spojrzeć. To było dziwnie zażyłe spojrzenie. Tak może patrzeć mężczyzna, kiedy jego język pieści bardziej intymne miejsca aniżeli wnętrze dłoni kobiety.

Moja dłoń zrobiła się ciepła i wilgotna. To ciepło płynęło w górę po moim ramieniu, rozlewało się po ciele falą gorąca, które sprawiło, że zrobiłam się mokra, a z mych ust wyrwało się głębokie westchnienie. Krew spłynęła z moich włosów do oczu. Uniosłam rękę, by je przetrzeć, ale nagle tuż przy mnie pojawił się drugi Czerwona Czapka. Przesunął

szorstkim językiem po moim czole, wydając ciche, gardłowe dźwięki. Spodziewałam się, że Jonty go przegoni, ale on wciąż klęczał, wpatrując się we mnie tym zażyłym spojrzeniem.

Z tyłu za nimi rozległ się głos:

- Kongar, natychmiast się od niej odsuń, ale już!

Czerwona Czapka chwycił moją na wpół uniesioną rękę i oblizał. To dotknięcie było zniewagą. Sugerowało wśród goblinów uprzejmości natury seksualnej. Dłonie pochwyciły go i odciągnęły do tyłu. Ash i Holly pchnęli potężniejszego mężczyznę tak, że poszorował na tyłku aż pod same drzwi.

- Brak mu opanowania, Kuragu - rzekł Holly. - Nie ufam mu, gdy otacza go tak wiele ciał sidhe.

W sali rozległ się grzmiący głos Kuraga:

- Racja. - Dał znak, a dwaj inni z Czerwonych Czapek podeszli, by podnieść powalonego kompana. Kongar jednak podźwignął się z podłogi, zanim znaleźli się przy nim.

Z twarzy spływała mu krew. Przez chwilę myślałam, że to krwawiła jego czapka. Dotknął swego policzka, następnie przyłożył palce do języka i spojrzał na mnie tępo. A potem pozwolił innym Czerwonym Czapkom odprowadzić go do grupy goblinów strażników.

- Już dosyć, Jonty - odezwał się Ash.

Jonty znów spojrzał na mnie z tą dziwną zażyłością, po czym wstał, uśmiechając się okrwawionymi ustami. Oblizał się i stanął wśród moich przybocznych. Usłyszałam, jak wymamrotał do Asha:

- Krew królowej.

Ash był ubrany na zielono pod kolor oczu i świetnie się prezentował ze złocistymi włosami i skórą. Ukląkł po mojej prawicy. Pomyślałam, że gdyby jego włosy były dłuższe, mógłby uchodzić za sidhe. Holly ukląkł po mojej drugiej stronie. Czerwień, jaką nosił, podkreślała barwę jego oczu, kiedy jednak opuścił głowę nad moją dłońią i wywrócił nimi gniewnie, mimowolnie przypomniały mi się szkarłatne oczy Czerwonej Czapki.

Zastanawiałam się, czy tym właśnie był jego ojciec. Przyjrzałam mu się. Zlizał krew z mojej dłoni długim pewnym ruchem języka. Holly robił to samo z moją drugą ręką. Ich języki były miękkie i dziwnie delikatne. Próbowалам poruszyć palcami i obaj ścisnęli mnie w tej samej chwili, przyszpilając moje ręce do podłokietników tronu. To wrażenie sprawiło, że zamknęłam oczy i wstrzymałam oddech. Kiedy znów uniosłam powieki, pociekła świeża krew i gdy próbowалам ją wytrzeć, nie pozwolili mi tego zrobić. Naparli jeszcze mocniej, działając jak dwa cienie, tak że ich usta dotęgnęły mojej twarzy jednocześnie. Wylizali moje ciało nad oczami, spijając krew jak coś cennego, co nie mogło się zmarnować. Wylizali mi skórę nad brwiami, robiąc to trochę zbyt mocno, przez co nie było to wcale podniecające.

Cieszyłam się, że wynegocjowałam zakaz zadawania mi jakichkolwiek ran. Mogli zlizywać krew z mojego ciała, ale nie mogli się wgryzać.

Nic nie wskazywało na to, że dojdzie do negocjacji. Było w nich coś ekscytującego, ale niepokojącego zarazem.

Gdy się nieco odsunęli, otworzyłam oczy. Górowali nade mną, a w ich spojrzeniu...

krył się seks, a także głód. Mogli wyglądać bardziej jak sidhe niż Kitto, ale wyraz ich oczu wyraźnie mówił, że pozory mylą.

Czekałam, aż przemówi królowa albo któryś z notabli w jej imieniu, podczas gdy gobliny i ja dzieliliśmy się krwią. Odwróciłam lekko głowę, by móc widzieć Andais.

Obserwowała nas łakomym, wygłodniałym wzrokiem, a ja wiedziałam, że chodziło nie tylko o mnie, ale i o gobliny.

Poruszały się jak ciało i cień, z taką synchronizacją, że trudno się było nie zadziwić.

Andais nie przywykła do okazywania zdumienia nad mężczyznami, których smakiem się później delektowała. Gdyby jednak królowa skosztowała goblina, to na pewno w sekrecie, tak jak postępowała większość sidhe z nimi, ze slughami i innymi. Dobrze na ciemną noc, ale w dzień już nie bardzo. To podejście było jednym z powodów, dlaczego Holly'ego i Asha zaintrygowała moja pierwsza publiczna oferta.

Zrozumiałam, z jakiego powodu nikt nie przerwał widowiska. Skoro królowa dobrze się bawiła, przeszkadzanie jej stanowiło ogromne ryzyko. Jeżeli zepsujesz jej zabawę, mogła zażądać, abyś to ty zrobił coś równie intrygującego dla jej uciechy.

Ruch sprawił, że spojrzałam w górę i odkryłam tańczącą na moją głowę chmurę pół-fey, wyglądających jak olbrzymie motyle. Wiedziałam, czego chciały. Większość istot na Dworze Unseelie pragnęło odrobiny krwi. Ale pół-fey, w przeciwieństwie do goblinów, wyznawały mniej zasad. Spojrzałam na te drobne wygłodniałe twarzyczki i uświadomiłam sobie, że zamiast później, mogłam dać to, co obiecałam królowej Niceven, już teraz. Świeża krew, krew sidhe, królewska krew, byłam nią umazana od stóp do głów.

- Szlachetne gobliny - rzekłam - czas na zapłatę dla innych sprzymierzeńców.

Popatrzyli na mnie, jakby nie chcieli oddać swego trofeum. Poczulałam, że Rhys i Mróz poruszyli się za moimi plecami.

- Nie - powiedziałam - żadnej interwencji ze strony moich strażników, gdy nie jest to konieczne.

- Spojrzałam na twarze goblinów, zaś Rhys i Mróz skłonili się lekko i zajęli miejsca u moich stóp, jak to zostało wcześniej ustalone.

Właśnie przeciw temu Holly protestował najbardziej, ale przestał, gdy tylko poczuł krew.

Fey usadowili się u moich stóp i zaczęli zlizywać krew z twarzy i dłoni jak koty zlizujące śmietankę z wąsików.

Uniosłam obie ręce w górę, jakbym spodziewała się, że obsiada je ptaki.

- Pójdźcie, małe fey, możecie spijać krew, którą mam na skórze, lecz nie wolno wam mnie ukąsić.

Jeden z nich zasyczał, a mała twarzyczka jak u lalki zmieniła się na moment w coś przerażającego. Zaraz potem czarne, też jak u lalki, oczy stały się puste i niewinne.

Wiedziałam, że gdybym tego nie zastrzegła, z lubością obrałyby moje ciało aż do kości. Były jednak pod kontrolą, a ja miałam za dużo do stracenia, aby okazać lęk.

Wydawały się niewielkie, ale były cięższe, bardziej mięsiste niż owady, które naśladowały. Poczulałam się, jakby obsiadły mnie małe małpki z przepięknymi skrzydłami, chwytными łapkami i stopami, które ślizgały się we krwi na mojej skórze. Małe języczki chłeptały krew. Jeden skubnął mnie ostrymi jak igiełki ząbkami i pohamowałam się, by nie wykonać gwałtowniejszego ruchu. Powiedziałam łagodnie i wyraźnie:

- Wolno wam spijać tylko tę krew, która jest na skórze, małe istotki.

Jedna z nich, kobieta, wplotła się w moje okrwawione włosy, jakby były winoroślą, dzięki czemu mogła widzieć moją twarz, a ja jej białą kusą sukienkę i idealnie wyrzeźbioną twarzyczkę, całą umazaną w posoce.

- Pamiętamy, co powiedziała nasza królowa, księżniczko. Pamiętamy zasady. - A potem zaczęła tarzać się w moich włosach jak pies po dywanie, aż cała jej śliczna blada postać pokryła się szkarłatem.

Poczułam inną istotkę rozmiarów Barbie wplatającą się w moje włosy z tyłu. Nie widziałam, czy był to mężczyzna, czy kobieta, choć nie miało to w sumie większego znaczenia. Żadne z nich nie chciało seksu - wszystkie myślały wyłącznie o pożywieniu. O

pożywieniu i mocy, bo krew sidhe stanowi moc. Mogliśmy udawać, że tak nie jest, że krew nie ma w sobie magii, ale to oczywiste kłamstwo. Jawne kłamstwo. Tej nocy pragnęłam prawdy.

Skryłam się pod kołderką wolno falujących skrzydeł, gdy od strony czekających notabli dobiegł głos:

- Królowo Andais, skoro mamy oglądać to widowisko, może księżniczka zeszlaby z podwyższenia, abyśmy mogli mieć lepszy widok? - To był męski głos, nieco przeciągający zgłoski w arystokratyczny sposób.

Maelgwn zawsze sprawiał wrażenie, jakby z kogoś podrwiwał. Zazwyczaj z siebie.

- Czekaj nas widowisko, władco wilków - rzekła Andais - lecz jeszcze nie teraz.

- Skoro to, co do tej pory widzieliśmy, nie jest spodziewanym widowiskiem, to nie posiadam się ze zniecierpliwienia.

Odwróciłam głowę, by na niego spojrzeć. Skrzydła zatrzepotały tuż przed moją twarzą, gdy półfey pożywiały się coraz zacieklej. Tak wiele skrzydeł, tak wiele ruchu, zupełnie jakby dosięgały mnie dziesiątki drobnych podmuchów wiatru, pieszczących i łaskoczących ciało. Gdybym nie bała się, że zaczną gryźć, mogłoby to nawet być interesujące.

Maelgwn siedział na swoim tronie i choć był wyprostowany jak wszyscy inni, sprawiał wrażenie leniwie rozciągniętego na swoim siedzisku. Patrzył z pobłażaniem, jakby z ledwością tolerował to, co się działo. Wydawało się, że lada chwila wstanie i wyprowadzi swoich ludzi, bo miał znacznie ważniejsze sprawy niż uczestnictwo w kretyńskim bankiecie.

Notable przy jego stole byli odziani w stroje prezentujące różne style, począwszy od preromańskiego po siedemnastowieczny, choć wielu wyraźnie zatrzymało się gdzieś około czternastego stulecia, a nad modne, ekskluzywne stroje od projektantów preferowało nagie ciała. Różnica w przypadku domu Maelgwna polegała na tym, że prawie wszyscy spośród nich mieli na sobie w ten czy inny sposób zwierzęcą skórę. Maelgwn nosił kaptur z wilczej skóry ze sterczącymi uszami i szerokim szaro-białym futrem opadającym na jego ramiona.

Jego górna połowa ciała była muskularna i naga. Cokolwiek zakrywało dolną jego połowę, było przesłonięte przez stół. Siedzieli przy nim mężczyźni i kobiety noszący na głowach czerepy odyńców i niedźwiedzi. Jakaś kobieta miała futro z sobola, inna z lisa, było też kilka osób w płaszczach z piór lub jedynie z ozdobami z piór. Nikt jednak przy stole Maelgwna nie nosił skór ani piór wyłącznie jako modnego elementu stroju. Nosili je, ponieważ kiedyś rzeczy te zawierały w sobie magię albo stanowiły symbol tego, czym mogli się stać. Maelgwn był nazywany Panem Wilków, ponieważ wciąż potrafił przeistoczyć się w wielkiego kudłatego basiora. Większość zmiennokształtnych jednak, jak Doyle, zatraciła swe zdolności i pozostawała wyłącznie w ludzkiej postaci. Nie wszyscy zmiennokształtni należeli do domu Maelgwna, każdy jednak, kto zwał go swym panem, był kiedyś zdolny do przeistaczania się w postać zwierzęcą. Niewielu potrafiło to po dziś dzień. Kolejna forma magii została utracona jak wiele innych.

Ta myśl sprawiła, że zaczęłam wypatrywać Doyle'a. Wciąż stał przy drzwiach na końcu sali. Czy wyczuł już niedoszedłego zabójcę? Czy wiedział, czyja magiaomal nie unicestwiła Andais i jej gwardię przyboczną? Chciałam, by do mnie podszedł, by mi powiedział, ale musieliśmy wszyscy odegrać swoje role. Daliśmy na dworze do zrozumienia, że ubłagał Andais, by pozwoliła mu wrócić i w formie kary musiał pełnić służbę przy drzwiach wejściowych, z dala od tronu. To oznaczało mniejszą przychylność królowej i nie zwiastowało nic dobrego. Był to jedyny sposób na to, by mieć oko na wszystkich wchodzących. Ale jak długo jeszcze mieliśmy udawać, zanim królowa przywoła go do siebie?

Staralam się nie spinać za bardzo pod naporem tych falujących skrzydeł, małych dłoni oraz stóp. Chciałam odgonić je wszystkie i przywołać do siebie Doyle'a. Chciałam to zakończyć.

Jednak Andais zawsze lubiła przeciągać swoją zemstę. Ja byłam z tych, co wolą zabić i mieć już to z głowy.

Andais lubiła się bawić.

Mała biała pół-fey, teraz szkarłatna od stóp do głów, nachyliła się do mnie i cichutkim, dźwięcznym głosem zapytała:

- Czemu jesteś taka spięta, księżniczko? Wciąż się boisz, że cię ugryziemy?

Zaśmiała się i większość innych zrobiła to samo, ich głos brzmiał jak dzwoneczki, jak syk węża, ale były też takie, których głosy dziwnie przypominały ludzkie. Wzbiły się w górę roześmianą chmurą witrażowo różnokolorowych skrzydeł i okrwawionych ciał, jakby ścierwojady zespoliły się z motylami.

W sali rozległ się głos Andais, niezbyt głośny, ale mimo to dotarł do każdego zakątka pomieszczenia.

- A co byś dał, Maelgwnie, aby twój dom odzyskał swe zdolności?

- Co chcesz przez to powiedzieć, o królowo? - zapytał, wciąż kpiarskim tonem, ale w jego oczach kryła się ostrożność.

Skierowała wzrok w stronę drugiego końca sali, aż odnalazła Doyle'a.

- Ciemności, pokaż mu, o co mi chodzi - zawołała.

Królowa miała silniejsze nerwy ode mnie. Ja nakazałabym Doyle'owi, aby podszedł i przekazał mi wiadomość, oskarżenie, ona natomiast zrobiła z tego widowisko, z Doyle'em krążącym po całej sali. A może to dlatego, że była bardziej fey aniżeli ja. Większość fey nie ma praktycznej natury. Żartują albo grają w grę w drodze na szafot. Tacy już są, a mnie tego brakuje. Chciałam zawołać, aby wreszcie przeszła do rzeczy. Pozostałam jednak na miejscu i nie odezwałam się słowem, pozwalając, by rozegrała to na swój sposób. W tym momencie żałowałam, że powiedziałam jej, iż niektórzy z moich przybocznych odzyskali swoje moce.

Gdyby nie wiedziała, że Doyle odzyskał swe zdolności, ten szczególny pokaz mógłby zostać odłożony na później.

Doyle odstąpił od drzwi, przechodząc na środek sali, ale się nie przemienił. Po prostu podszedł do nas, podczas gdy dworzanie obserwowali, najpierw w milczeniu, a potem z narastającym szmerem na wpół słyszalnych komentarzy i śmiechu. Zanim Doyle dotarł do podium, królowa już patrzyła na niego z ponurą miną. Ukląkł bardziej przed jej tronem niż przed moim. No i dobrze - to był jej dwór.

Maelgwn rzekł:

- Myślę, że mój dom ma już zdolność przejścia przez całą długość sali tronowej, moja królowo.

- Nie zaśmiał się otwarcie, ale kpina w jego głosie była aż nadto oczywista.

Doyle powiedział:

- Proszę o pozwolenie na złożenie mojej broni na przechowanie.

- Dlaczego miałabym wydawać ci zezwolenie na cokolwiek, Ciemności? Już raz mnie dziś zawiodłeś.

- Wiele magicznych obiektów, które zaginęły przed laty, zmieniły swój kształt. -

Rozpiął pas, na którym wisiały jego dwa sztylety i miecz z czarną rękojeścią. Sztylety nazywane były Ciach i Chlast. Niegdyś nazywały się inaczej, ale ja nie wiedziałam jak.

Rzucone, trafiały w każdy cel. Miecz zwał się Czarne Szaleństwo, Bainidhe Dub. Gdyby próbował posłużyć się nim ktokolwiek inny prócz Doyle'a, natychmiast postradałby zmysły.

A przynajmniej tak głosiła legenda. Nie zdołałam ujrzeć wszystkich ich właściwości w jednej bitwie. Wysunął pasek ze szlufek upręży kabury podramiennej, w której tkwił całkiem niemagiczny pistolet. Zostawił go w kaburze, która lekko się kołysała. Ukląkł z pasem z bronią na podołku. - Na ziemiach zachodnich nie nosiłem broni, kiedy ogarniała mnie przemiana. Wszystko, co miałem na sobie, zniknęło i nie powracało wraz z ludzką postacią.

Nie zaryzykowałbym utraty tego oręża. - Mówił cicho i tylko ci, którzy byli najbliżej podium, mogli go usłyszeć.

Gniew królowej wygasł w zetknięciu z rozwagą Doyle'a.

- Jak zawsze jesteś roztropny, moja Ciemności. Rób, jak uważasz za stosowne.

Podniósł się i wszedł po stopniach, trzymając w dłoniach pas z cennym brzemieniem.

Następnie uczynił coś, czego nigdy dotąd nie zrobił, o ile dobrze pamiętałam. Złożył na jej policzku pocałunek i szepnął jej coś do ucha. Jediną widoczną reakcją Andais był znaczący uśmiech. To pozwalało się domyślać, że Doyle powiedział coś naprawdę złowieszczonego.

Następnie podszedł do mnie i złożył równie delikatny pocałunek na moim policzku.

Miałam tylko chwilę, by zdecydować, co ukaże moje oblicze, nie byłam bowiem aktorką taką jak moja ciotka.

- Nerys cuchnie zakłębieniem - wyszeptał mi do ucha.

Odwróciłam ku niemu głowę, opierając twarz w zagłębieniu jego szyi. Wciągnęłam do nozdrzy cudowny zapach liścieni. Podejrzewałam Nerys...

Pełniła rolę głowy swego własnego domu. Utraciła tak wiele magii, że porzuciła swe prawdziwe imię i w jego miejsce przyjęła odpowiednik tytułu. Nie była jednak zwierzęciem politycznym. Ona i jej dom byli tak blisko neutralności jak żaden inny z szesnastu domów Dworu Unseelie. Nerys i jej ludzie nie przepadali za Celem ani za nikim innym. Oddawali królowej należne honory i to wszystko. Byli ostrożni, trzymali się na dystans i byli na tyle potężni, że uchodziło im to płazem. Atak na królową był nagły, gwałtowny, to do niej nie pasowało. Gdyby powiedział mi to ktoś inny, a nie Doyle, mogłabym powątpiewać, ale Doyle'owi ufałam. Cieszyłam się, że wtuliłam twarz w jego szyję, bo nie mogłam pozbyć się wyrazu zdumienia przepełniającego moje oblicze.

Najwyraźniej to zrozumiał. Nachylił się do mnie, aż dotknęłam delikatnie jego ramienia, dając mu do zrozumienia, że mogę już pokazać wszystkim swe politycznie poprawne oblicze. Nie zamierzałam spoglądać na Nerys i jej ludzi. Nie zdradzę się, dopóki nie nadejdzie odpowiednia chwila, pomyślałam.

Odsunął się ode mnie, a spojrzenie jego ciemnych oczu spytało mnie bez słowa, czy dam sobie z tym radę. Pokiwałam lekko głową i uśmiechnęłam się. Byłam jego kochanką, ale nie potrafiłam uśmiechać się tak lubieżnie jak królowa.

Złożył swoją broń na moim podołku, odrzucając sugestie, jakoby powrócił do Andais.

Oczywiście nie uwierzyłam, może z wyjątkiem Eamona, że złożyłby swą najcenniejszą broń w ręce królowej.

W przypadku niektórych z nich minęło wiele lat, odkąd pozwoliła im poczuć szczerą moc dawnej magii. Nie odważyli się nawet oddać jej swojej broni w obawie, że ją skonfiskuje. W tym momencie Doyle okazał nie tylko swoje zaufanie, lecz podkreślił, że ja również jestem godna zaufania i potrafię nie tylko brać, ale i się dzielić.

Wyjął pistolet z kabury i podał Mrozowi.

- To dobra broń - powiedział.

Mróz tylko się uśmiechnął.

- I trudna do zdobycia w Krainie Faerie - dorzucił Rhys.

Doyle przytaknął.

Przez chwilę zastanawiałam się, czy będzie w stanie przeprowadzić demonstrację. W tym samym momencie podbiegł do skraju podium, skoczył i wzbił się w powietrze. Przez mgnienie oka przesłoniła go czarna mgła, która jednak zaraz się rozwiązała, a nad głowami dworzan zakołował Doyle z wielkimi pierzastymi skrzydłami, czarnymi jak jego skóra.

Rozległy się westchnienia i odgłosy zadowolenia. Ten popis najwyraźniej spodobał się niektórym dworzanom. Czarny orzeł zatoczył szeroki krąg, po czym zaczął opadać w dół, zanim jednak dotknął szponami posadzki, jego skrzydła rozwiały się jak dym i wtedy wielkie czarne kopyta uderzyły o kamienie, wykonując kilka kroków między stołami. Ogromny czarny ogier podszedł do stołu Maelgwna i spojrzał na Władcę Wilków ciemnymi oczami Doyle'a. Przeistoczył się w czarnego mastiffa, którego widziałam już wcześniej. Olbrzymi pies zaczął ziajać w stronę Maelgwna. Nawet siedząc, zwierzę było tak wielkie, że wystawało ponad stołem i mogło patrzeć Maelgwnowi prosto w oczy.

Pan Wilków wykonał gest będący czymś pomiędzy ukłonem a skinieniem głowy. To najwyraźniej zadowoliło psa, bo ruszył w kierunku podwyższenia. Wielkie łapy wspięły się po stopniach, a w chwilę później zwierzę usiadł obok mnie. Zajął miejsce przy moim tronie, a ja bez namysłu wyciągnęłam rękę i pogłaskałam jego miękką sierść.

Wróciła mgła. Pachniała jak rześki deszcz w samym sercu puszczy. Poczułam na dłoni świerzbienie wywołane magią, gdy ciało Doyle'a rozrastało się i przemieniało. Nie było przesuwania się kości i tkanek jak w Kalifornii. Moja dłoń zagłębiła się w czarnych oparach, lekkich i musujących jak bąbelki albo wyładowania elektryczne tuż przy skórze.

Doyle klęczał obok mojego tronu w ludzkiej postaci, nagi, a długie czarne włosy rozlewały się w ciemną kałużę u jego stóp.

Pogłaskałam go po policzku.

Chciałam go pochwalić, ale nie odważyłam się tego uczynić. Dwór nie mógł się dowiedzieć, że jestem pod wrażeniem tak gładkiego i pozbawionego wysiłku pokazu.

- Wielce imponujące - rzekł Maelgwn pełnym powagi głosem. - Nie pamiętałem, że byłeś ptakiem.

- Bo nie byłem - odparł Doyle.

- Zatem odzyskałeś to, co utraciłeś, a do tego zdobyłeś jeszcze dodatkowe moce.

Doyle skinął głową.

- Jak doszło do tego cudu? - zapytał Maelgwn.

- Przez pocałunek.

- Przez pocałunek - powtórzył Maelgwn. - Co to znaczy?

- No wiesz, pocałunek... - odezwał się z tyłu za mną Rhys. - Wysuwasz lekko wargi...

i...

- Wiem, czym jest pocałunek - przerwał Maelgwn, poirytowany. - Nie wiem tylko, jak

pocałunek mógł wywołać tę zmianę w Ciemności.

- Powiedz mi, czyj pocałunek przywrócił ci twoje moce - powiedziała Andais.

- Pocałunek księżniczki Meredith - odparł Doyle, nadal klęcząc przy moim tronie, a ja wciąż bawiłam się gęstwiną jego włosów i lekko pieściłam jego kark.

- Kłamstwo - rozległ się głos Miniver.

Była wysoka, jasnowłosa, mogła uchodzić za członkinię Dworu Seelie, bo kiedyś faktycznie nią była. Przybyła na Dwór Unseelie i wywalczyła sobie pozycję u władzy. Woląca rządzić na Dworze Unseelie zamiast przyjąć wygnanie do świata ludzi. Dwór Seelie nigdy nie zaakceptowałby jej powrotu. Jej wygnanie ze świetlistego dworu było nieodwracalne.

Czasami przyjmowali na powrót tych, którzy krążyli wśród ludzi, kiedy jednak ktoś zawitał na ciemny dwór, był uznawany za osobę nieczystą.

Stała przed swoim tronem, lśniąca istota z żółtymi warkoczami opadającymi na skrzącą się suknię ze złotego materiału. Złota opaska zdobiła jej czoło ponad idealnymi łukami ciemnych brwi i niebieskimi oczami w trzech odcieniach. Nigdy nie przyjęła ciemniejszych kolorów, w których gustowała Andais. Miniver ubrała się, jakby zamierzała odwiedzić całkiem inny dwór.

- Mówiłaś coś, Miniver? - spytała królowa i przez samo pominięcie jej tytułu obraziła złocistą postać. To było ostrzeżenie. Miała usiąść i zamilknąć.

- Powiedziałam i powtórzę raz jeszcze, że to kłamstwo. Żaden śmiertelnik nie może przywrócić nikomu mocy.

- Ona jest księżniczką sidhe, a to czyni ją kimś więcej niż zwykłą śmiertelniczką.

Miniver pokręciła głową, a jej żółte warkocze prześlizgnęły się po sukni.

- Jest śmiertelniczką i powinnaś ją była utopić, gdy miała sześć lat, jak zresztą próbowałaś. To słabość wobec twego brata sprawiła, że się pohamowałaś.

- Mój brat, Essus, powiedział mi kiedyś, że Meredith byłaby lepszą królową niż mój własny syn, Cel, królem. Wtedy w to nie uwierzyłam.

- Przynajmniej Cel nie jest śmiertelnikiem.

- Ale Cel nie przywrócił ani krzty mocy, którą utraciliśmy. Ja zresztą też nie - rzekła Andais i tym razem jej głos był pełen powagi. To już nie była gra.

- A ty chcesz, abyśmy uwierzyli, że ten półkrwi mieszaniec, ta śmiertelniczka dokonała tego, czego nie zdołali czystej krwi sidhe? - Miniver wskazała na mnie, jak uznałam, w przesadnie dramatycznym geście, ale dzięki temu dostrzec można było doskonałość rękawów jej sukni, a przez rozcięcia błysnęła niebieska bielizna. Czasami, gdy żyjesz nieomal wiecznie, zapominasz o pewnych rzeczach i o tym, jak się one jawią. - To plugastwo nie może zasiąść na tronie, królowo Andais, nie możemy do tego dopuścić.

Słowo plugastwo było dość krzywdzące, ale nie odezwałam się, gdyż w pewnym sensie nie mnie rzucała wyzwanie, lecz królowej.

- Ta ja decyduję, kto zasiada w tym dworze na tronie, Miniver.

- Twoja obsesja na punkcie monarchii dziedzicznej twej własnej linii rodowej doprowadzi do zagłady nas wszystkich. Widzieliśmy wszyscy na placu pojedynkowym, co się stało, kiedy jeden z naszych podzielił się krwią z tym czymś. Staje się śmiertelny przez chorobę, która zawiera się w jej krwi.

- Śmiertelność nie jest chorobą - wyszeptała Andais.

- Ale jak choroba zabija. - Miniver powiodła wzrokiem po twarzach dworzan. Wielu z nich swym milczeniem albo skinieniem głowy potwierdzało, że przynajmniej pod tym względem się z nią zgadza. Oni też martwili się o moją krew. - Jeśli ta śmiertelniczka zostanie królową, zgodnie z

kodeksem naszego postępowania będziemy zobowiązani przyjmując od niej przysięgę krwi która nas z nią zwiąże. To będzie przyjęcie przysięgi krwi, prawie tak jak na placu pojedynkowym. - Miniver spojrzała na Andais z niemal błagalnym wyrazem twarzy. -

Czy nie widzisz, moja królowo, że jeśli przyjmujemy do siebie jej krew i zwiążemy się z jej słabościami, możemy utracić nieśmiertelność? Możemy przestać być sidhe.

- Przestalibyśmy być czymkolwiek - skomentowała Nerys.

Trzy, a w końcu cztery inne szlachetne rody Unseelie powstały z miejsc i poparły stanowisko Miniver. Sześć domów z szesnastu było przeciwko mnie. To coś, czego nie przewidzieliśmy. Albo raczej czego ja nie przewidziałam.

Doyle dziwnie znieruchomiał pod moim dotykiem. Wszyscy moi mężczyźni znieruchomieli, z wyjątkiem goblinów i Czerwonych Czapek. Albo nieśmiertelność nie oznaczała dla nich tego samego co dla sidhe, albo z goblinami działo się coś innego. Coś, czego do końca nie rozumiałam.

- Ja decyduję, kto będzie moim dziedzicem - wycedziła Andais - chyba że chcesz wyzwać mnie na pojedynek, Miniver, Nerys, wy wszyscy. Z przyjemnością zmierzę się z wami kolejno i niech ten spór wreszcie się zakończy.

Miniver pokręciła głową.

- Twoją odpowiedzią na wszystko, Andais, jest śmierć i przemoc. One sprawiły, że nie mamy dzieci i niemal zupełnie zostaliśmy pozbawieni mocy, ale nieśmiertelności nie oddamy, mowy nie ma.

- Wobec tego rzuć mi wyzwanie, Miniver. Zostań królową, jeżeli zdołasz.

Gdyby gniew Miniver mógł przelecieć przez całą salę i dosięgnąć Andais, królowa zginęłaby na miejscu, ale wściekłość Miniver nie miała takiej mocy. Dni, kiedy fey potrafili zabijać samą tylko gniewną myślą, już od dawna należały do przeszłości.

Andais spojrzała na Nerys.

- A ty, Nerys, czy pragniesz być królową? Czy pragniesz tego dość mocno, by wyzwać mnie na pojedynek? Pokonaj mnie, a zostaniesz królową.

Nerys stała w bezruchu. Jej długie, czarne włosy zaplecione były w liczne misterne warkocze, które zwieszały się na jej plecach niczym gruby płaszcz. Suknię miała białą, z czarną lamówką, paskiem i koronką przy mankietach. Wydawała się opanowana i elegancka.

Nie emanowała wściekłością jak Miniver.

- Nigdy bym się nie ośmieliła wyzwać Królowej Powietrza i Ciemności na pojedynek.

To byłoby samobójstwo. - Jej głos był cichy i jakby mroczny. Ale nie było w nim gniewu, niczego, co mogłoby zostać poczytane za obrazę.

- Jednak zaatakowanie mnie skrycie, usiłowanie zabójstwa nie byłoby już samobójstwem, prawda? - Uśmiech Andais nie był przyjemny. - Nie, gdyby cię na tym nie przyłapano.

Nerys wpatrywała się w tron bez cienia strachu czy paniki. Jeśli Andais spodziewała się, że zdoła ją zastraszyć i zmusić, aby się przyznała, to grubo się pomyliła. Nerys najwyraźniej chciała skłonić Andais, aby ta przedstawiła obciążające dowody. Czy nie rozumiała, że je mieliśmy? Czy sądziła, że po śmierci Nuline była bezpieczna?

- Skrytobójstwo to niezły biznes do czasu, gdy nie wpadniesz. - Andais otaksowała wzrokiem rząd stojących notabli. Co prawda nie wskazała Nerys osobiście, ale wiele rzeczy nie wychodziło nam tak, jak zaplanowaliśmy.

Miniver zaczęła przechodzić między swoimi ludźmi w stronę luki pomiędzy i sąsiednim stołem. Kilku ludzi dotknęło jej ramienia, pokręciła głową i odpuścili. Wyszła spomiędzy stołów, sztywna, wyprostowana, jak wykuta ze złota i bursztynu.

- Masz coś do powiedzenia, Miniver? - spytała Andais.

- Wyzywam księżniczkę Meredith na pojedynek. - Jak na kogoś, kto wydawał się wściekły, była dziwnie spokojna.

Ludzie przy jej stoliku zawołali:

- Nie, nie rób tego. - Zignorowała ich i zachowała twarz Seelie, skierowaną ku podwyższeniu. Ani razu na mnie nie spojrzała, patrzyła wyłącznie na Andais. Żądała mego życia, lecz nie do mnie się w związku z tym zwracała.

- Nie, Miniver, to nie będzie takie proste. Księżniczka przeżyła już dziś jedną próbę zamachu na jej życie. Drugiej nam nie potrzeba.

- Wolałabym, żeby moje dzisiejsze zaklęcia poskutkowały, ale skoro nie udało mi się jej zabić na odległość, zrobię to bezpośrednio, tu i teraz.

Moja twarz pozostawała niewzruszona, ponieważ potrzebowałam kilku chwil, aby zorientować się, co właśnie powiedziała. Andais wyglądała na rozbawioną, jej oczy błyszczały.

Doyle wstał i zajął miejsce przede mną. Pozostali przybocznicy zajęli pozycje tak, by ukryć mnie przed jej wzrokiem i uniemożliwić wszystko, co mogłaby spróbować zrobić.

Musiałam spojrzeć pomiędzy nimi, by zobaczyć kolejnych strażników w zbrojach, ustawiających się w półokrąg wokół niej. Dorównywała im wzrostem, a w jej lśniącej postaci nie było nic kruchego czy trwożliwego. Wydawała się bardzo pewna siebie.

- Czy przyznajesz przed całym dworem, że próbowałaś dziś dokonać zamachu na księżniczkę Meredith? - spytała Andais.

- Tak - odparła Miniver, a jej rzeczowy głos poniósł się przez całą salę ze spokojem, jakby najgorsze już się stało i nie potrzebowała już swego gniewu.

- Zabrać ją do Sali Śmiertelności i wystawcie dodatkowe strażę.

- Rzuciłam wyzwanie - warknęła. - Musi ono zostać podjęte, zanim rozpocznie się moja kara. Takie jest nasze prawo.

Myślę, że strażnicy zdołaliby ją wyprowadzić, ale pojawiły się też inne głosy.

- Choć to godne pożałowania, ale muszę się zgodzić z tą niezaprzeczalną zbrodniarką

- rzekł Afagdu. - Lady Miniver ma rację. Rzuciła księżniczce wyzwanie i musi ono zostać przyjęte, zanim będzie można w jakikolwiek sposób ukarać ją za jej zbrodnie.

- Nie udaje jej się raz zabić Merry, więc próbuje raz jeszcze - odezwał się Galen. - Nie podoba mi się to.

- Takie jest nasze prawo. - Doyle wyciągnął rękę, a ja ją przyjąłem, opierając twarz o jego nagie biodro. Nerwowy dotyk.

- Nie - rzekła Andais. - Młody rycerz ma rację. Pozwolić jej teraz na rzucenie wyzwania to jak nagrodzić ją za usiłowanie zgładzenia dziedziczki tronu. Takiej zbrodni nie wolno nagradzać.

- Kiedy chodziło o Cela i jego sprzymierzeńców, którzy raz po raz rzucali księżniczce wyzwania, nie interweniowałaś - powiedziała Nerys. - Byłaś bardziej niż chętna, aby Meredith podjęła walkę, gdy to twój syn stał za tymi pojedynekami. Wszyscy wiemy, że Cel pragnął jej śmierci. Meredith starała się, jak mogła, nikogo nie urazić, jednak jeden po drugim kolejni sidhe wynajdywali powody, by rzucić jej wyzwanie. Jak nazwiesz ciągle wyzywanie śmiertelniczki na pojedynek z nieśmiertelnymi sidhe, jeśli nie usiłowaniem zamachu?

Andais pokręciła głową, jakby nie chciała jej słuchać.

- Wyprowadźcie stąd Miniver, już!

- Nikt nie stoi ponad prawem, z wyjątkiem samej królowej, a księżniczka jeszcze nie jest królową. - Te słowa padły z ust innego lorda, który wstał, kiedy Miniver utyskiwała na to, że jestem

śmiertelniczką.

- Czy i ty zwracasz się przeciwko mnie, Ruarcu? - spytała Andais.

- Mówię tylko, jakie jest prawo - odparł.

- Wcześniej nie powstrzymywałaś pojedynków - wtrąciła Nerys.

- Teraz wstrzymuję - ucięła Andais.

- Chcesz powiedzieć, że Meredith jest za słaba, by bronić swych pretensji do tronu? - zapytał Afagdu.

- Jeśli to prawda - powiedziała Nerys - to niech zasiądzie na tronie. A kiedy już zostanie królową, będziemy ją mogli wyzwać. Kiedy odmówi, zostanie zmuszona do zrzeczenia się korony.

- Prędzej czy później księżniczka Meredith przystąpi do walki, moja królowo -

przemówił Maelgwn. - Zbyt wiele domów utraciło wiarę w nią. Musi przywrócić tę wiarę albo nigdy nie będzie królową.

- My nie utraciliśmy wiary - odezwała się Miniver spoza muru gwardzistów - bo nie można stracić tego, czego się nigdy nie miało.

Dłoń Doyle'a zacisnęła się na mojej, a ja objęłam go w pasie. Już wcześniej zdarzało się, że wpadałam w pułapkę naszych praw. Przypuszczalnie lepiej od innych znałam prawa dotyczące pojedynków, ponieważ trzy lata temu szukałam w nich luki, zanim zostałam zmuszona do pospiesznego opuszczenia dworu, gdzie w przypadku gdybym pozostała, czekałyby mnie kolejne pojedynki, aż któryś zakończyłby się moją śmiercią. Wszyscy wiedzieli doskonale, że stał za tym Cel. Gdyby nie to, że tym razem ktoś inny usiłował mnie zabić, miło byłoby usłyszeć prawdę o Celu wypowiedzaną w obecności całego dworu.

Przywarłam do Doyle'a, uświadamiając sobie, że powróciłam do tego samego punktu, w którym znajdowałam się przed trzema laty. Odeszłam z obawy, że następny pojedynek będzie moim ostatnim, i oto znów tu byłam i znowu rzucono mi wyzwanie. Co więcej, wyzwanie rzucił mi nie byle kto, bo głowa jednego z domów. Są trzy sposoby, aby zostać głową domu. Możesz go odziedziczyć, możesz zostać wybrany albo rzucać wyzwania kolejnym głowom domów, aż unicestwisz ich wszystkich albo uznają, że walczysz lepiej od nich i lepiej nie wchodzić ci w drogę. Zgadnijcie, który sposób wykorzystwała Miniver, by osiągnąć swą obecną pozycję?

Miniver była jedną z ostatnich arystokratek Seelie, które zostały dopuszczone na nasz dwór. Oczekała kilka dni, aż dowiedziała się, który ze szlacheckich domów był najbardziej szanowany za swoją magię, po czym zaczęła rzucać wyzwania, jednemu po drugim, aż w końcu po pięciu pojedynkach złożyli jej hołd i przysięgę na wierność.

Jako wyzwana mogłam wybrać broń. Wcześniej, zanim uzyskałam ręce mocy, wybrałabym noże albo pistolety, gdyby wciąż były dozwolone, teraz jednak miałam rękę mocy wręcz idealną do tego wyzwania. Zanim się zmierzymy, natniemy swoje ciała i posmakujemy nawzajem naszej krwi. Problem polegał na tym, że gdybym wybrała magię, a Miniver nie wykrwawiłaby się na śmierć dostatecznie szybko, zabiłaby mnie.

Odezwała się, niemal przytulając usta do skóry Doyle'a:

- Sidhe nigdy nie określają pojedynku mianem „na śmierć”. Do której krwi mamy walczyć?

Głęboki głos Doyle'a uciszył szmery na sali.

- Księżniczka pyta, do której krwi życzy sobie walczyć jej rywalka?

Głos Miniver zabrzmiał donośnie i dziwnie triumfalnie:

- Do trzeciej krwi, ma się rozumieć, a gdybym mogła zażądać pojedynku na śmierć, zrobiłabym to. Jednak nieśmiertelni sidhe nie mogą umrzeć, chyba że będą skażeni krwią śmiertelnika.

Wstałam, jedną ręką mocno obejmując Doyle'a w talii. Mężczyźni cofnęli się, by stworzyć coś

w rodzaju parawanu, przez który mogłam ją widzieć. Strażnicy wokół niej uczynili to samo. Stała sztywno, wyprostowana i wyniosła, pławiąc się w swojej okropnej arogancji i pysze, stanowiących największą słabość sidhe.

- Napijesz się mojej krwi, Miniver, i jeśli ona faktycznie uczyni cię śmiertelną, przestaniesz być nieśmiertelna.

- Niechaj tak będzie, Meredith. Jeżeli cię zabiję, a taki mam zamiar, nie będziesz mogła zasiąść na tronie i skalać tego dworu swoją śmiertelnością. Jeżeli ty jakimś zrzędzeniem losu zabijesz mnie, zadając mi prawdziwą śmierć, niechaj ta śmierć ukaże całemu dworowi, jaki go czeka los, jeśli uzna cię za swoją królową i złoży przed tobą przysięgę krwi. Jeżeli przez swoją śmierć zdołam nie dopuścić, by twoja śmiertelność rozpleniła się pośród Unseelie niczym klątwa, będę bardziej niż usatysfakcjonowana.

Jeden z notabli z jej domu zawołał:

- Lady Miniver, ona teraz włada ręką krwi.

- Jeśli jest tak zuchwała, by wybrać magię w starciu ze mną, to tym lepiej, bo szybciej umrze.

Stała tam, pełna niezłomnej wiary w siebie, i gdybym dysponowała tylko częścią ręki krwi, pewnie miałyby rację. Ja wszelako mogłam wytaczającą zranić i wytoczyć z niej życiodajną krew naprawdę szybko. Miałam nadzieję, że mi się to uda.

Rozdział 33

Przy pojedynku Seelie nie ma sekundantów. Kiedy jeden z walczących nie może dłużej kontynuować starcia, dobiega ono końca. Nie ma nikogo, kto mógłby podnieść broń i pomścić cię. Możesz za to wybrać osobę, która wydobędzie z ciebie potrzebną do przysięgi krew.

Doyle odgarnął włosy z twarzy. Przytknął czubek swego noża do mojej dolnej wargi.

Był szybki, ale i tak zabolalo. Kiedy krwawisz z ust, zawsze boli. Krwawą przysięgę pieczętowało się pocałunkiem: niewiele krwi, a jakie miała znaczenie! Gdyby to był pojedynek do pierwszej krwi, mogłybyśmy założyć zbroje, właśnie dlatego pierwsze cięcie było na twarzy.

Ujął moją dłoń w swoją, obnażając nadgarstek przed czubkiem ostrza. Ponownie był szybki, lecz tym razem zabolalo bardziej, bo i rana była większa. Nie za głęboka, ale dłuższa.

Krew zaczęła wolno ściekać po mojej skórze.

Gdyby to było starcie do drugiej krwi, ktoś mógłby zachować fragmenty zbroi, ale do trzeciej krwi oznaczało ich brak. Żadnej ochrony.

Doyle dotknął ostrzem zagłębienia przy mojej szyi i wykonał maleńkie cięcie.

Zapieкло. Kolejna strużka spłynęła, tym razem, po mojej szyi.

Wszystkie trzy skaleczenia piekielnie bolały. Z doświadczenia wiedziałam, że gdyby któreś z tych skaleczeń zamknęło się przed ostatnią częścią rytuału, władający ostrzem pomocnik Miniver musiałby na nowo otworzyć moje rany. Nie chciałam tego. Nie musiałam nawet wiedzieć, kto to był. Kiedyś poprosiłam o pomoc Galena, a on tak się wzdragał i bał, że robi mi krzywdę, że dwie z tych ran trzeba było zrobić ponownie. Przyjaciele Cela omal nie odcięli mi ręki w przegubie.

Spojrzałam na mroczne, przystojne oblicze Doyle'a. Tak wiele chciałam powiedzieć.

Pragnęłam pocałować go na do widzenia, ale się nie odważyłam. Staliśmy w magicznym kręgu, który królowa wykreśliła na kamieniach głównego dziedzińca. Wnętrze tego kręgu było uświęconym miejscem i jedno dotknięcie krwi osoby śmiertelnej mogło je skazić, co udowodniłam w innych pojedynkach. Ale w ostatnim pojedynku, w którym zdołałam kogoś zabić, byłam uzbrojona w pistolet. Potem zostały one zakazane. Uznałam, że to nieuczciwe, bo przecież broń palna z założenia miała wyrównywać szanse. Sidhe, który wtedy zginął, ważył sto funtów więcej ode mnie i miał

ponad dwukrotnie większy zasięg ramion i dwa razy dłuższe nogi. Był wyśmienitym szermierzem, ja nie. Ale z pewnością nie był strzelcem wyborowym. Podobnie jak większość sidhe, z wyjątkiem Kruków Królowej. Wielu sidhe wciąż traktowało broń palną jak swego rodzaju sztukę istot ludzkich.

Dziś jednak nie będzie pistoletów, mieczy ani innej broni. Wybrałam magię, a Miniver była bardziej niż kiedykolwiek pewna swego zwycięstwa.

Miałam nadzieję, że będzie przesadnie pewna.

Stała na kamieniach naprzeciwko mnie w złotej sukni. Na materiale pokazała się plama krwi. Mankiet rękawa jej sukni był szkarłatny, a usta zrobiły się karmazynowe.

Musiałam zwalczyć w sobie chęć oblizania się. Krew, jaką miałam na ustach, nie była przeznaczona dla mnie, ale dla niej.

- Czy rany są zadowalające? - zapytała królowa ze swego tronu, na którym usiadła, by obserwować przebieg pojedynku.

Obie potaknęłyśmy.

- Wobec tego złożcie wobec siebie przysięgę. - Głos Andais był beznamiętny, ale nie do końca. Dało się w nim wyczuć nutę gniewu i zaniepokojenia.

Doyle odstąpił w bok, a notabl, który użył noża dla Miniver, zrobił to samo po przeciwnej stronie kręgu. Tym samym na kamiennym placu pozostałyśmy tylko ja i Miniver.

Na jedno, może dwa uderzenia serca zastygłyśmy w bezruchu, a potem ona ruszyła naprzód, zamiatając spódnicą jak otoczona wielką złotą chmurą. Wyszłam jej na spotkanie.

Musiałam być ostrożniejsza, bo szpilki, które nosiłam, nie były przeznaczone do chodzenia po starych kamieniach. Byłoby fatalnie, gdybym skręciła kostkę. Moja spódniczka była za krótka, zaś całe ubranie przesiąknięte krwią. Nie mogłam stąpać tak dumnie albo sprawiać wrażenie otoczonej chmurą.

Jej szeroka spódnica zdawała owijać się wokół moich nóg. Miniver spojrzała na mnie z góry, z dystansem. Na podbródku miała krew. Ręce opuściła do boków. Początkowo nie byłam pewna, czemu się przygląda. Po chwili skonstatowałam, że na moją szyję, na krew, która się tam zbierała. Udawała przerażoną barbarzyńskością tego wszystkiego i nieomal się nabrałam na tę jej pozę. Oczywiście jednak... Krył się w nich głód. Przypomniałam sobie, co powiedziała Andais: że ten, kto sporządził zaklęcie, rozumiał jej bitewne szaleństwo, jej żądzę krwi. Ktokolwiek przyrządził zaklęcie, rozumiał magię Andais. Najlepiej zrozumiesz tylko to, czego samemu doświadczysz.

Miniver patrzyła na moją ranę jak na coś cudownego i zarazem przerażającego.

Pragnęła krwi, przemocy, albo jednego i drugiego. Coś w tym wszystkim najwyraźniej ją fascynowało.

Ale obawiała się tej fascynacji.

Przez długi czas miałam okazję doświadczać na sobie zamiłowań Andais.

Wiedziałam, że dla niej krew, seks i przemoc były ze sobą połączone, tak że w punkcie, gdy kończyło się jedno, a zaczynało kolejne, granica między nimi się zacierała. Miniver nigdy słowem ani czynem nie zdradziła, że jej moc jest zbliżona do mocy królowej. Jeżeli przepełniały ją te same pragnienia, którymi karmiła się Andais, to Miniver musiała mieć cierpliwość osoby świętej. Rzecz jasna, łatwo być świętą, kiedy jesteś tak przeraźliwie ostrożna i uważasz, by nigdy nie poddać się pokusie.

Miniver, odkąd pamiętam, opuszczała dwór, kiedy rozrywki stawały się zbyt krwawe.

Miała w sobie wiele z Seelie i nie pociągały jej krwawe sporty, jak sama powtarzała. Teraz w jej oczach dostrzegłam prawdę. Opuszczała dwór nie dlatego, że była przerażona, tylko dlatego, że

nie ufała samej sobie.

Nie ufała kiedyś i nie ufała teraz.

Wiedziała, czym było zaprzeczanie prawdziwej naturze. Robiłam to przez wiele lat wśród ludzi, odcięta od faerie i od wszystkich, którzy mogli dać mi to, czego pragnęłam.

Wiedziała, co oznaczało otrzymać odpowiedź na swoje pragnienia. To było nieprzeparowane uczucie. Czy było takim dla Miniver?

Skróciłam dystans pomiędzy nami, wchodząc między fałdy tego sztywnego złotego materiału, aż poczułam, że moje ciało dotyka jej nóg i bioder. Wciąż wpatrywała się w krew na mojej szyi, jakby nic poza tym nie istniało. W końcu podeszłam do niej. Omal nie upadłam w tych swoich szpilkach. Odruchowo ścisnęłam ją w pasie, by utrzymać równowagę.

Gwałtownie się cofnęła, dając do zrozumienia, że nie chciała, abym ją dotykała. Ale chyba nie tylko o to chodziło.

- Jesteś o stopę wyższa ode mnie, Miniver. Nie mogę dzielić z tobą przysięgi, chyba że mi pomożesz.

Spojrzała na mnie z wywyższością.

- Jesteś za niska, by być sidhe na którymkolwiek z dworów.

Skinęłam głową, po czym udałam, że dotykam szyi. Owszem, bolała, ale nie aż tak.

Patrzyła, jak dotykam rany i pociągam za kołnierzyk bluzki. Gdyby była mężczyzną lub gdyby gustowała w kobietach, powiedziałabym, że spodobało jej się, kiedy pokazałam fragment mojej białej piersi, ale to nie było takie proste ani oczywiste. Chyba poruszył ją widok mojego białego ciała z kroplami świeżej krwi na skórze.

Podaliśmy jej rękę, tę ze skaleczeniem na przegubie.

- Chodź, Miniver, pomóż mi złożyć tę przysięgę.

Nie mogła mi odmówić, ale w chwili gdy jej dłoń dotknęła mojej i poczuła śliską grę krwi, szarpnęła się do tyłu. Musiało być dla niej torturą patrzeć, jak najpierw pożywiały się mną gobliny, a potem pół-fey.

- Jeżeli chcesz odwołać ten pojedynek, nie będę się sprzeciwiać - powiedziałam, a mój głos zabrzmiał całkiem rozsądnie.

- Oczywiście że nie będziesz protestować, ponieważ zamierzam odebrać ci życie.

- Wykrwawisz mnie? - spytałam, unosząc nadgarstek, aby mogła zobaczyć, ile wypływało z niego krwi. - Rozprujesz moje ciało na tych kamieniach?

Jej idealne ciało pokryło się pierwszymi kropelkami potu. O tak, bardzo chciała to zrobić. Pragnęła jatki, jak ta, do której zmusiła Andais. Zaprawiła to wino swymi najbardziej szalonymi i sekretnymi pragnieniami. Gdybym dopiero w późniejszej fazie walki skłoniła ją do nieczystych zagrań, zabiłaby mnie. Gdybym jednak sprowokowała ją już teraz, na samym początku, zdołała zmusić ją, by zaatakowała mnie podczas pocałunku, wówczas ja również mogłabym uderzyć bez należącego ceremoniału. Mogłabym otworzyć to czyste białe gardło od ucha do ucha i może, kto wie, ujść z życiem.

Miała dwie ręce mocy. Pierwsza działała na odległość i tej akurat nie chciałam.

Potrafiła wyrzucać kule energii z dużej odległości i jedno bezpośrednio trafienie mogło zatrzymać akcję mojego serca, ale ona potrzebowała drugiej ręki. Ręki szponów. Musiała przyłożyć te smukłe palce do mojego ciała, a wówczas było tak, jakby spod jej wypielęgnowanych paznokci wysunęły się niewidzialne pazury. Niewidzialne szpony, które cięły ciało jak noże i mogły przenikać je bez oporu. Doyle i Rhys widzieli, jak tego używała.

To była jej lewa ręka, której efekty działania mogłam przeżyć. Dlatego musiałam sprawić, aby

właśnie tej ręki użyła.

Bałam się, ale nie miałam czasu na strach. Panika mogła kosztować mnie życie, a co by się stało z moimi mężczyznami, gdybym zginęła? Mróz powiedział, że prędzej by umarł, niż wrócił do Andais. Tylko ja stałam pomiędzy nimi a powrotem i zdaniem się na łaskę królowej. Nie mogłam ich opuścić, nie w ten sposób. Nie mogłam ich zostawić bezbronnych i osamotnionych.

Musiałam przeżyć. Musiałam przeżyć, a to oznaczało, że Miniver musiała umrzeć.

Powróciłam między szorstkie fałdy jej sukni i tak jak wcześniej, gdy byłam na tyle blisko, by poczuć jej ciało przez materiał, dla zachowania równowagi ujęłam ją w tali.

Tym razem przyciągnęła mnie mocno do siebie, jakby chciała mieć to jak najszybciej za sobą.

Uniosłam lewą rękę, tę świeżo zranioną, a wtedy ona chwyciła mnie za przegub i przytrzymała. Nie zabolęło, ale i tak jęknęłam.

Jej oczy nieznacznie się rozszerzyły i mocniej wpiła dłoń w mój nadgarstek.

Odpowiedziałam kolejnym cichym jękiem.

Widziałam, jak pod skórą pulsuje żyła na jej szyi. Lubiała jęki. Lubiała je tak bardzo, że wpiła dłoń w mój przegub i kolejny mój jęk nie był udawany.

Był jak najbardziej prawdziwy.

- Sprawiasz mi ból.

Przyciągnęła mnie mocniej ku sobie, wykręcając rękę do tyłu. Szarpnęła ostro i brutalnie, jakby chciała wyrwać mi ramię ze stawu. Krzyknęłam, a jej wzrok stał się dziki.

Przyłożyła drugą rękę do mojej potylicy, wpijając palce w moje okrwawione włosy. Z jej gardła dobył się zduszony dźwięk i patrzyłam, jak walczy ze sobą, z odległości kilku cali widziałam bitewny gniew w jej oczach. Gdybym się pomyliła, gdybym źle to oszacowała, zginęłabym i moja śmierć byłaby przeraźliwie powolna i przerażająco bolesna. Ta myśl sprawiła, że ciarki przeszły mi po plecach, a krew tętniąca w skroniach przyspieszyła jeszcze bardziej. Nie walczyłam z tym i chyba Miniver musiała to wyczuć, zwietrzyła mój strach.

Jej usta zawisły nad moimi o tchnienie od zniwelowania dystansu i przypięcztowania przysięgi. Znów szarpnęła mnie za rękę, a ja ponownie krzyknęłam. Dźwięk, jaki z siebie wydała, zabrzmiał prawie jak śmiech, ale nie miał nic wspólnego ze śmiechem. Gdybym usłyszała coś takiego w ciemnościach, byłabym przerażona.

Wyszeptała prosto w moje usta:

- Krzycz dla mnie, krzycz dla mnie, gdy będę pić twoją krew. Krzycz, a nie zrobię ci krzywdy.

Zawahałam się, bo w tym ułamku sekundy nie potrafiłam zdecydować, co byłoby lepsze: poddać się i zacząć krzyczeć czy zmusić ją, żeby na mój krzyk solidnie zapracowała.

Miniver zdecydowała za mnie. Przycisnęła usta do moich, a jako że nie krzyknęłam, zmusiła mnie do tego.

Znów szarpnęła mnie za rękę, a ja pisnęłam cichutko, zbyt cicho. Nie było żadnego ostrzeżenia, żadnego magicznego świerzbienia. Moją lewą dłoń przebiły nagle noże, pięć ostrzy rozkrwawiających ciało i kość.

Wtedy dla niej krzyknęłam i krzyczałam bez końca, a mój głos był zduszony przez jej usta, stłumiony przez jej ciało. Spijała moje krzyki i wtedy zaczęłam się bronić.

Ból i strach przełożyły się bezpośrednio na moc. Nie pomyślałam „krwaw”, pomyślałam „umieraj”. Jej szyja eksplodowała. Nasze usta wciąż pozostawały złączone. Obie zaczęłyśmy dławić się jej krwią.

Myślałam, że mnie puści, lecz tego nie zrobiła. Dłoń wciąż miała wplecioną w moje włosy. Wystarczyło, żeby przywołała swą moc. Umarłabym. Skupiłam się na ranie na jej nadgarstku. Jej

ręka zsunęła się z mojej głowy, dłoń była niemal całkiem oderwana od przedramienia. Teraz w jej oczach nie było już głodu, tylko szok i zgroza oraz panika, jaką w obliczu śmierci potrafią okazać tylko prawdziwi nieśmiertelni. Ów pełen zakłopotania strach, gdy czują, że to już koniec.

Odepchnęła mnie od siebie. Ramię, które wykręciła mi do tyłu, było bezużyteczne, zdrętwiałe i bolało. Nie czułam barku, ale coś mi mówiło, że to dobry znak.

Leżałam przez chwilę na kamieniach, usiłując stwierdzić, czy jestem w stanie się poruszyć. I wtedy ujrzałam, jak kołyszac się, zmierza w moją stronę, próbując drugą ręką, przytrzymując dłoń, złączyć ją z przegubem. Chyba miała problem z użyciem ręki mocy, gdyż ta zwisała na kawałku skóry. Musiałam działać szybko.

Spojrzałam na ziejącą czerwoną jamę w jej gardle i błyszczący wilgotnawo fragment kręgosłupa. Mogłam dostrzec kości jej obojczyka tuż nad piersiami. Była tak bardzo poraniona, a mimo to wciąż usiłowała mnie zabić. Powinna już konać. Dlaczego nie umierała?

Wbiłam w nią swoją moc. Poczułam to jak wielką zaciśniętą pięść trafiającą w ciało poniżej nagich kości w górnej części jej klatki piersiowej. Wycisnęłam tę moc, wycisnęłam mocno i skoncentrowałam się.

Wyładowanie energii sprawiło, że zjeżyły mi się włosy, a na posadzce tuż za mną pojawił się osmalony ślad. Miniver oderwała zranioną dłoń i usiłowała strzelać energią z okrwawionego kikuta, ale miała kłopoty z ustaleniem właściwego zasięgu.

Wraziłam tę wielką pięść mocy w głąb jej klatki piersiowej do rany, którą utworzyłam, i rozszerzyłam ją. Rozłożyłam szeroko palce mojej magii, a górna część jej torsu eksplodowała na wszystkie strony odłamkami kości, strzępami tkanek i szkarłatnym deszczem krwi.

Musiałam użyć zdrowej dłoni, by otrzeć krew z oczu. Ujrzałam Miniver leżącą na wznak, szorującą ramionami po kamieniach, jakby próbowała oddychać, nie mając gardła, nie mając klatki piersiowej ani płuc. Gdyby była człowiekiem, umarłaby. Ale nie była.

Usłyszałam głos królowej, odległy, odleglejszy, niż być powinien.

- Uznaję pojedynek za zakończony. Czy są sprzeciwy?

Nikt się nie odezwał.

- Ogłaszam Meredith zwyciężczynią. Czy ktoś chciałby to zakwestionować?

Rozległ się głos, choć nie potrafiłam go zlokalizować. To była kobieta.

- Obie leżą na ziemi. Myślę, że księżniczka jest równie ciężko ranna jak Miniver.

Zrozumiałam wówczas, że muszę wstać. Zdołałam się podnieść, pomagając sobie zdrową ręką. Świat zawirował barwnymi plamami, ale jakoś udało mi się usiąść. Powoli uniosłam wzrok i stwierdziłam, że to Nerys opowiedziała się przeciwko mnie.

- Czy teraz jesteś zadowolona, Nerys? - zapytała Andais.

- Prawo mówi, że zwycięzca musi opuścić krąg o własnych siłach.

Zaczynałam czuć do Nerys coraz większą antypatię. Podźwignęłam się na klęczki i świat znowu zawirował przed moimi oczami. Nie byłam pewna, czy zdołam wstać ani tym bardziej zrobić choć kilka kroków. Jeśli jednak nie przepelnia cię pycha, której musisz bronić, są inne sposoby poruszania się.

Zaczełam pełznąć na kolanach, pomagając sobie ręką. Zmierzałam w stronę Nerys.

Wydostałam się z magicznego kręgu dokładnie naprzeciw jej stołu, po czym zdrową ręką uchwyciłam się krawędzi i podźwignęłam do pionu.

Spojrzałam na nią i wykrztusiłam:

- Doyle.

Natychmiast znalazł się przy mnie.

- Jestem, księżniczko.

- Powiedz królowej, aby ogłosiła przed całym dworem, co zrobiła Nerys.

Wykonał moje polecenie.

Królowa również. Patrzyłam jak Nerys i wszyscy jej ludzie odsuwają się i wstają od stołu. Nie mogli uciec, gdyż straż pilnowała jedyne wyjście. Kiedy jednak jak na komendę poderwali się z miejsc, zrozumiałam, że zamierzają walczyć i bynajmniej, w przeciwieństwie do Miniver, nie będą przestrzegać żadnych zasad. Zamierzali walczyć ze wszystkimi.

- Pół-fey - powiedziałam.

Doyle nachylił się do mnie.

- Pozwól, że wezmę cię na rękę, Meredith.

- Pół-fey - powtórzyłam stanowczo.

Zrozumiał, o co mi chodzi, gdy nagle wokół zaroilo się od skrzydlatych istot.

- Wołałaś nas, księżniczko? - zapytała jedna z nich, głosem jak dzwoneczki.

- Oferuję wam ciało i krew sidhe.

- Twoje? - spytała istota.

- Nie - odparłam. - Ich.

Przez moment chmara krwawych motyli wahała się, a potem niczym jedna zwarta masa runęła na Nerys i jej ludzi. To było tak nieoczekiwane, że pół-fey dostały należne im ciało i krew, zanim sidhe zaczęli się od nich odganiać i przy użyciu magii spalili jedną ze skrzydlatych istotek.

Twarz Nerys była jedną wielką masą krwawych zadrapań. Pół-fey dobrze wypełniły swoje zadanie. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że nie powinnam próbować. Nie przyszło mi do głowy, że mogłoby się nie udać. Szok to cudowna rzecz. Nawet nie bolało. Po prostu nie czułam ręki. Ale czułam moją moc. Wyszeptałam:

- Krwawcie. - Z ich ran zaczęła lać się krew. To były drobne ranki, jak na taką ilość krwi.

Piorun energii znów omal w nas nie trafił, ale jeden z ciężkozbrojnych rycerzy przyjął na siebie jego uderzenie, fala żaru rozprysnęła się na wszystkie strony pośród fontanny iskier.

- Gobliny - powiedziałam i zaraz zjawił się przy mnie Jonty oraz Ash i Holly. -

Sprowadźcie swoich braci, Czerwone Czapki.

Jonty nie zaoponował, ale sprowadził całą gromadę potężnych Czerwonych Czapek, którzy utworzyli krąg wokół mnie. Musieli pomóc zapewnić mi bezpieczeństwo, podczas gdy przyzywałam krew z Nerys i wszystkich jej notabli.

Niektórzy z nich wyrwali się z szeregów i dobyli noży przeciwko mieczom gwardzistów. Chyba woleli zostać posiekani, niż podzielić los Miniver. Wreszcie jedna ze szlachcianek upadła na kolana i zawołała:

- Wybacz nam!

Andais odparła:

- Zabilibyście mnie i zmusili wpierw, abym wyrznęła swoich przybocznych. Czy zasługujecie na litość?

Kobieta wyczołgała się spod stołu, a Doyle odciągnął mnie poza zasięg jej wyciągniętych okrwawionych rąk.

- Proszę, księżniczko, błagam, nie unieście całego naszego domu, wszystkiego, czym jesteśmy.

- Nerys musi umrzeć, bo przywiodła was do zdrady waszej królowej.

- Zapłacę za moje czyny, jeśli tylko oszczędzisz mój lud - rozległ się głos Nerys, odarty z wszelkiej arogancji.

Andais zgodziła się na to, natomiast Nerys wyszła zza stołu. Stała obok mnie i Miniver. Rozpoczęliśmy nasz pojedynek. Tak naprawdę to już nie był pojedynek, lecz egzekucja. Ale jak zabić nieśmiertelnego?

Miniver wciąż wyla się na podłozę, otoczona przez strażników.

Jak zabić nieśmiertelnego? Rozerwać go na strzępy!

Ash musiał to zrobić, bo potrzebowałam Doyle'a, żeby mnie podtrzymał, a nie poprosiłabym o to żadnego innego przybocznego. Ash podciął jej gardło, ciął ją w pierś i w brzuch. Sądziłam, że to wystarczy. Czerwone Czapki otoczyli ją, a wysoko w górze uniosła się nad nią chmara pół-fey. Poszerzyłam te rany ręką krwi i rozszczepiłam ją jak ciśnięty na ziemię dojrzwały melon. Czerwone Czapki i pół-fey byli od stóp do głów unurzani w jej krwi.

Ale ona nadal nie umierała.

Doyle podprowadził mnie do królowej. Podobno płakałam, choć tego nie pamiętam.

- Nie mogę ich bardziej uśmiercić - wykrztusiłam.

Podawała mi swój miecz, Śmiertelny Strach, trzymając go rękojeścią do przodu.

- Nie jest w stanie ustać, by się nim posłużyć - rzekł Doyle.

- Wobec tego dam je waszym sojusznikom, goblinom i pół-fey. Pozwolę, by zostały pożarte żywcem jako ostrzeżenie dla naszych wrogów.

Spojrzałam jej w oczy, mając nadzieję, że żartuje, ale mówiła serio. Wyciągnęłam rękę po miecz, a ona wręczyła mi go.

Królowa wstała i oznajmiła dźwięcznym tonem:

- Miniver piła krew Meredith, a jednak nie zmarła od śmiertelnych ran. To ewidentnie przeczy teorii, jakoby śmiertelność Meredith była zaraźliwa.

Odpowiedzią na jej słowa była cisza i poblądłe, zszokowane twarze. Myślę, że dwór Unseelie był świadkiem bardziej wstrząsającego widowiska, aniżeli oczekiwał.

- Meredith błaga mnie, aby zabić te dwie zdrajczynie, nie pozostawiać ich takimi, jakie są teraz. To do niej należy oddanie ich obu goblinom oraz istotom półmagicznym, aby się nimi nasyciły. Niech zostaną pożarte żywcem, a echo ich krzyków rozbrzmiewa w uszach moich wrogów.

Spojrzały na nią jak dzieci, które właśnie się dowiedziały, że zaraz zaatakuje je jakiś potwór.

- Lecz ich życie nie należy do mnie i jeśli księżniczka zdoła przynieść im prawdziwą śmierć, zanim nasycą sobą gobliny i małe istoty, niechaj tak się stanie.

Doyle zaniósł mnie do Miniver. Jej szyja zaczęła się goić, rana zarastała. Zdałam sobie sprawę, że przeżyje. Co więcej, dłoń, którą chciała mnie zabić, na powrót zaczęła przyrastać do przegubu.

- Doyle - szepnęłam, a on zrozumiał, o co mi chodziło, bo przywołał do mnie przybocznych. Skoro Miniver powracała do zdrowia, to wciąż była niebezpieczna. Głupotą byłoby dać się zabić, usiłując okazać jej miłosierdzie.

- Po co ci dodatkowi strażnicy, moja bratanico? - zawołała Andais.

Doyle odpowiedział za mnie:

- Jej rany zaczynają się goić, moja królowo.

- Tak, uważaj, abyś za swe miłosierdzie nie zapłaciła życiem, Meredith. To byłby wielki wstyd. - Powiedziała to z obojętnością w głosie. - Przekonasz się, bratanico, że nikt tu nie będzie cię szanował za okazywanie litości i miłosierdzia.

Powiedziałam zbyt cicho, by mogła usłyszeć:

- Nie robię tego z szacunku dla nich.

- Co powiedziałaś, bratanico?

Wzięłam głęboki oddech i rzekłam głośniej:

- Nie robię tego z szacunku dla nich.

- Więc po co?

- Bo gdybym była na ich miejscu, chciałabym, żeby ktoś zrobił coś takiego dla mnie.

- To słabość, Meredith, a Unseelie tego nie wybaczą. Wśród nich uważa się to za grzech.

- Nie robię tego dla ich przyjemności albo bólu. Ważne jest, co ja czuję. Tylko to się liczy.

- Zupełnie jakbym słyszała echo głosu mego brata. Pamiętaj, co się z nim stało, Meredith, i potraktuj to jak ostrzeżenie. To najprawdopodobniej jego poczucie miłosierdzia i uczciwość stały się powodem śmierci. To one go zabiły. - Zeszła po stopniach, unosząc lekko czarną spódnicę i patrzyła, jakby miała przed sobą uporczywego fotografa, który chce jej zrobić zdjęcie.

- Wobec tego to dziwne, ciotko Andais, że ty omal nie zginęłaś z powodu swojego zamiłowania do przemocy i umiłowania bólu.

Zatrzymała się na ostatnim stopniu.

- Uważaj, bratanico.

Byłam zbyt zmęczona, a szok właśnie minął i zaczęła mnie boleć ręka.

Spojrzałam na Miniver.

- Czy pragniesz prawdziwej śmierci? A może wolisz pożarcie żywcem przez gobliny?

Patrzyłam, jak te niebieskie oczy przepełniają się myślami, zarówno dobrymi, jak i złymi. Niektórych nawet nie potrafiłabym zrozumieć.

- Co ze mną zrobią? - spytała w końcu.

Oparłam się o pierś Doyle'a. Trudno mi było odpowiedzieć na to pytanie. Nie chciałam tu siedzieć, dyskutując z kimś, kto powinien być martwy. Z kimś, kto był już w pewnym sensie martwy. Miniver wciąż miała w oczach nadzieję, skądinąd bezpodstawnie.

- Zważywszy na tempo gojenia się twoich ran, gobliny przypuszczalnie wykorzystają cię do seksu, zanim zaczną wycinać z ciebie kawałki ciała, aby przygotować sobie posiłek.

Nie uwierzyła mi. Odtwarzała się, nie tylko swoje ciało, ale i swego niezłomnego ducha. Patrzyłam, jak odradza się w niej buta i arogancja. Nie wierzyła, że mogłoby ją spotkać coś tak koszmarnego. Liczyła, że w jakiś sposób przeżyje, tak jak przetrwała mój atak.

- Będiesz błagać o śmierć na długo, zanim nadejdzie, Miniver.

- Póki życia, póty nadziei - odparła.

Skóra na jej piersi wydawała się biała i nietknięta, jak nowa, świeżo powstała i niepokryta krwią.

Doyle zostawił przy niej dwóch strażników i zaniósł mnie z powrotem do Nerys. Nie uzdrawiała się tak szybko, ponieważ byłam bardzo skrupulatna i konkretna, ale jednak jej rany się goiły.

Dałam jej ten sam wybór co Miniver, ale Nerys powiedziała:

- Zabij mnie. - Przeniosła wzrok w stronę kręgu Czerwonych Czapek, Holly'ego i Asha. Widząc, jak na nią patrzą, wzdrygnęła się.

- Ash. - Musiałam powtórzyć to imię dwukrotnie, zanim spojrzał na mnie swymi zielonymi oczami. - Weź Czerwone Czapki i ustawcie się wokół Miniver. Niech zobaczy, jaki los ją czeka, jeżeli zabierzecie ją żywą do kopca.

- Zostaniemy tu z tobą, nawet jej nie tkniemy.

Westchnęłam.

- Proszę, nie kłóć się ze mną, tylko rób, co trzeba.

- Jak bardzo mamy być przekonujący? - zapytał z odrobiną gniewu w głosie.

Potraktowałam go zbywająco, a takiego tonu goblini wołanie nie lubi słuchać.

Gdybym przeprosiła, zostałoby to potraktowane jako słabość i tylko pogorszyłoby sprawę. Zrobiłam jedyne, co mogłam: schwyciłam go za rękę, nie tak mocno, jak bym tego chciała, ale najmocniej, jak potrafiłam w moim obecnym stanie.

- Ty i Holly w ogóle nie musicie być przekonujący. Jesteście moi i nie zamierzam się wami dzielić. Niech Czerwone Czapki będą przekonujący.

Ash uśmiechnął się do mnie, a uśmiech ten miał być zarazem dziki i lubieżny, tak mógłby patrzeć na ciebie ktoś, kto mówiąc o seksie, ma na myśli jatkę.

- Dobrze to rozegrałaś z pierwszą sidhe, księżniczko. - Nachylił się do mnie i prawie wyszeptał:
- Te bezbronne ciche jęki. Czy wydasz ich też trochę dla nas?

Poczułam, że Doyle nieruchomieje, jakby nie spodobało mu się to pytanie albo jego ukryty sens.

- I te ciche jęki, i te głośne krzyki zapewne też.

Zachichotał i był to typowo męski dźwięk, który wydają mężczyźni, kiedy myślą o tych rzeczach. To było prawie tak uspokajające, że aż się zaśmiałam. Faceci to faceci, nigdy się nie zmieniają.

- Twe krzyki będą najładniejszą muzyką. Zdjął moją dłoń ze swego ramienia i wycisnął na niej pocałunek. Następnie dał znak i wszystkie Czerwone Czapki, z wyjątkiem Jonty'ego, pomaszerowały za nim.

Jonty spojrzał na mnie.

- Mój król rozkazał, abym strzegł twego ciała, nie ich. Zdezorientowała mnie krew tej tutaj i pozwoliłem, abyś podeszła za blisko do tej drugiej. Gdyby cię zabiła, naganom nie byłoby końca.

Był całkiem wygadany jak na Czerwoną Czapkę, ale nie powiedziałam tego głośno, gdyż sugerowałoby to, że dziwię się, iż którykolwiek z Czerwonych Czapek potrafił sklecić więcej niż dwa proste zdania.

- Musisz zadać zabójczy cios, stojąc na własnych nogach, Meredith - rzekła Andais - w przeciwnym razie Nerys trafi do goblinów w obecnym stanie.

W oczach Nerys rozbłysnął prawdziwy strach i wyszeptała:

- Błagam.

Doyle przytknął usta do mego ucha.

- Możesz stać?

- Nie wiem - odparłam.

Postawił mnie na ziemi i asekurował. Spojrzałam na jej pierś. Byłam na tyle niska, że mogłam oprzeć czubek ostrza tuż nad jej sercem. Moje nogi zaczęły drżeć, ale nic poza tym.

Zacisnęłam zdrową rękę na rękojeści, wzięłam głęboki oddech i pozwoliłam, by moje ciało naparło na rękojeść miecza, wbijając klingę w pierś i wciąż jeszcze bijące serce. Ostrze na chwilę zatrzymało się na kości, po czym dosięgnęło celu. Osunęłam się na kolana obok ciała, zdrową rękę wciąż trzymając zaciśniętą wokół rękojeści.

Oczy Nerys były otwarte i niewidzące. Zrobiłam dla niej, co mogłam.

Z tyłu za nami rozległy się krzyki.

Nie czułam się dobrze. Gdyby królowa uparła się, że mam podejść do Miniver, mogłoby mi się to nie udać.

Ukląkł przy mnie Galen.

- Zdejmij szpilki, Merry.

Odwróciłam głowę tylko na tyle, by móc zobaczyć jego twarz i wysiliłam się na uśmiech.

- Spryciarz z ciebie.

Zsunął pantofle z moich stóp. Zdałam sobie sprawę, że kołyszę się na klęczkach. W szpilkach czy bez, to nie wróżyło najlepiej temu marszowi.

- Co oni jej robią?

- Bawią się - odrzekł Doyle.

- Bawią się? - spytałam.

Doyle i Galen wymienili spojrzenia. To wystarczyło.

- Zabierzcie mnie do niej.

Doyle, najdelikatniej jak potrafił, wziął mnie na ręce. Miecz trzymałam luźno w opuszczonej do ziemi dłoni. Był taki ciężki. Byłam bliska omdlenia. Znasz to uczucie, kiedy balansujesz na granicy snu po wyjątkowo ciężkim i wyczerpującym dniu.

Gobliny ustawiły się tak, aby cały dwór mógł patrzeć na to, co robiły. To było widowisko, a czymże ono jest bez widzów? Jeden z mniejszych Czerwonych Czapek klęczał

obok Miniver. Jego palce zatapiały się w gojącym się ciele jej piersi. Muskał i łaskotał jej ciało. Tu muśnięcie, tam lekka pieszczota, co więcej, robił to z wyraźną wprawą, ale nie trzymał ręki między jej nogami. Palce miał włożone w surowe tkanki jej piersi. Pieścił

krawędź serca, jakby to mogło doprowadzić ją do orgazmu.

Doyle podszedł ze mną i stanął przy jej głowie.

- Nie pozwól im, by cię tak wzięli, Miniver.

- Zabierz ich ode mnie. Zabierz ich ode mnie!

Spojrzałam na Asha, a ten gestem dłoni kazał im się cofnąć. Ten, który zabawiał się w jej ciele, odszedł niechętnie, ale na odchodne jeszcze raz ścisnął ją za pierś.

Miniver leżała, dysząc ciężko na podłodze, wzrok miała dziki. Spojrzała na Jonty'ego, który wciąż nad nią górował, i wysapała:

- Zabierz go stąd.

- Nie - odparł. - Jestem jej strażnikiem i będę jej strzegł. Twoje białe ciało mnie w ogóle nie interesuje.

Doyle postawił mnie na nogi, ale tym razem już mnie nie utrzymały. Osunęłam się przy niej na kolana.

Miniver błagalnym ruchem wyciągnęła do mnie całkiem już uleczoną rękę. Miałam tylko tyle czasu, ile potrzeba na jedno uderzenie serca, aby zorientować się, że kłamała, oczami i ciałem.

Doyle odtrącił jej dłoń i struga energii, skwiercząc, poleciała w bok, osmalając blat stołu na drugim końcu sali.

Jonty przyszpilił jej rękę swoim wielkim kolanem. Pokręcił głową.

- Chcesz, żebym urwał jej ramię?

Zamyśliłam się nad tym, po czym pokręciłam głową.

- Zwiąż ją i niech ją zabierają.

- Nie - rzekła Andais. - Zobaczmy w końcu, jak kogoś spotyka zasłużona kara. -

Królowa podeszła przy wtórze szelestu czarnego jedwabiu. Spojrzała na Miniver. - Głupia.

Czy nie rozumiesz, że samo to, iż nadal żyjesz i zdrowiejesz, oznacza, że Meredith nie jest już śmiertelniczką? Widziałam, jak dzisiaj umarła i znowu oddycha. Straciłaś wszystko, czym jesteś, na darmo.

- Kłamstwo - wycodziła.

Andais nachyliła się, dotykając twarzy tamtej kobiety. Był to dziwnie czuły gest.

- Pragnęłaś krwi i przemocy. Widziałam to. Wszyscy to widzieliśmy. Teraz zobaczymy, jak to cię unicestwia. - Odwróciła się do mnie. - Czy już wreszcie rozumiesz, Meredith? Oferowałaś jej łaskę, a ona próbowała cię zabić. Nie możesz być słaba pośród sidhe, nie, jeżeli pragniesz nimi rządzić. - Dotknęła mojej twarzy tak jak wcześniej Miniver. -

Przyswój sobie dobrze tę lekcję, Meredith, i pozbadź się z serca litości, w przeciwnym razie sidhe na pewno wytną ci je z piersi. - Jej uśmiech był na poły tęskny, na poły nieodgadniony, ale nie chciałam wiedzieć, co oznaczał. - Wydajesz się zmęczona, Meredith.

Wyłuskała miecz z mojej dłoni.

- Zabierz swoją księżniczkę do mojej komnaty, skorzystajcie z mego łóżka, jakby było waszym. Przyślę do was Fflur. - Skinęła ręką i sidhe, równie złotowłosa jak Miniver, postąpiła naprzód; ta jednak miała jasnożółtą skórę i całkiem czarne oczy. Była osobistą uzdrowicielką Andais dłużej, niż sięgałam pamięcią.

Skłoniła się lekko, przy tym dygnawszy, i powiedziała:

- Zaszczycem będzie dla mnie zajmować się księżniczką.

- Tak, tak - odparła królowa i zbyła ją ruchem ręki, jakby sprawę uznała za załatwioną, a Fflur i tak nie miała żadnego wyboru.

Przyniesiono kajdany, a Miniver zaczęła krzyczeć, gdy ją w nie zakuwano. To było zimne żelazo i gdy opasywało jej przeguby, nie mogła korzystać ze swoich rąk mocy.

Gobliny posługują się podstawowymi metalami lepiej niż sidhe, pewnie dlatego, że powodują one silniejsze zakłócenia w funkcjonowaniu magii aniżeli działanie zwykłej siły fizycznej.

- Zabierz ją, Ciemności. Idźcie. - Odwróciła się i wróciła na tron.

Dopiero kiedy Sholto uświadomił sobie, że wychodzimy i już dziś nie wrócimy, zdecydował się podejść do drzwi.

- Obowiązkiem slughów jest ochraniać królową. Kiedy jednak przypieczętujemy nasz układ, będziemy chronić również ciebie. - Zabrzmiało to prawie jak przeprosiny, że nie udzielił nam ze swej strony większego wsparcia. Sholto jest młody jak na króla, ma niespełna czterysta lat i to czyni go pokorniejszym od innych.

- Tej nocy nie będę przypieczętowywać z nikim żadnych układów - powiedziałam.

- To dobrze, gdyż tej nocy pozostanę u boku królowej. - Spojrzał na nią. - Slughowie stoją murem za Andais, choć są tu też tacy, którym trzeba o tym przypomnieć.

Miał rację, a ja nagle poczułam się niewiarygodnie zmęczona. Nie miałam tej nocy ochoty na politykę. Dość dworskich gier. Moje ramię pulsowało urywanym ostrym bólem, który przeszywał mnie jak niewidzialne noże. Mięśnie także zaczęły żyć własnym życiem, mimowolnie drgając i falując. Starłam się nie krzyczeć z bólu, gdyż to także zostałoby wśród sidhe uznane za słabość.

Fflur lekko dotknęła mego ramienia.

- Masz pozrywane mięśnie i więzadła. A także wybity bark. Uszkodzenia tkanek miękkich będą goić się dłużej niż kości.

Pokręciła głową.

- Czy może zostać uleczona jeszcze tej nocy? - zapytał Ash.

Fflur spojrzała na goblina, jakby nie zamierzała odpowiadać, ale w końcu zrobiła to.

- Nie, nie tej nocy. Jest po części istotą ludzką, a to spowalnia proces leczenia.

Ash uśmiechnął się do mnie.

- Wobec tego na tę noc już cię opuścimy, księżniczko. Myślę, że powinniśmy zostać tu i posłuchać, co się jeszcze wydarzy.

- Jak sobie życzycie - powiedziałam i wcale mnie nie obchodziło, co mieli zamiar robić. Szybko zbliżałam się do punktu, w którym ból był wszystkim, na czym mogłam się skoncentrować. Niebawem nic innego nie będzie się liczyło, a mój świat zawęzi się do sfery bólu. Lubiłam odrobinę bólu we właściwym kontekście, ale nie mogłam obrócić tego w rozkosz. To będzie po prostu ból.

Opuściliśmy wielką salę przy wtórze gwaru głosów, kiedy Unseelie zaczęli dyskutować między

sobą. Ciekawe, kiedy wieści o wydarzeniach tej nocy dotrą do uszu Króla Światła i Iluzji na Dworze Seelie, pomyślałam. Za dwa dni miałam stawić się na jego dworze na bankiecie wydawanym na moją cześć. Dwa dni na powrót do zdrowia. Dwa dni na przypieczętowanie układu ze slughami i goblinami. Dwa dni to zdecydowanie za mało czasu, aby ogarnąć to wszystko.

Rozdział 34

Fflur była urzeczona uzdrawiającym źródłem. Zmusiła mnie, abym wypila kubek chłodnej, czystej wody i ból zelżał. Rozebrała mnie i obmyła moją rękę w wodzie. Nie została uleczona natychmiast, ale mięśnie przestały drgać i walczyć, a ból przeszedł z ostrego i rozdzierającego w tępe ómienie. Mogłam zasnąć.

Pod naszą nieobecność komnatę królowej wysprzątano. Nie wiem, jak białe damy pozbyły się całej tej krwi, i chyba nie chciałam tego wiedzieć.

Galen pomógł mi pozbyć się reszty ubrania. Jego oczy lśniły od nieprzelanych łez.

Nachylił się i dotknął wargami mego czoła.

- Myślałem, że dziś cię straciłem.

Wyciągnęłam do niego rękę, ale się odsunął.

- Nie, Merry, ja obejmę pierwszą wartę. Jeżeli mnie dotkniesz, rozplacę się, a to takie niemęskie. - Próbował obrócić to wszystko w żart, ale nie do końca mu się udało.

Domyślałam się, że chodziło o coś więcej niż o zwykłe przejmowanie się tym, co się stało, ale nie byłam w formie, by go złamać i zmusić do wyznania prawdy.

Doyle spoczął przy mnie na ogromnym łożu królowej. Bardziej pasowało mi do niego określenie rozmiar orgietkowy, ale nigdy nie użyłam go w obecności Andais. Byłam śpiąca po wypiciu napoju, który podała mi Fflur. Powiedziała, że to pomoże mi zasnąć i przyspieszy proces gojenia. Ogarnęła mnie senność wywołana działaniem napoju i aksamitnym ciepłem ciała Doyle'a.

Mróz pocałował mnie w czoło, a ja zamrugałam i otworzyłam oczy. Nie pamiętałam, żebym je zamykała.

- Pomogę Galenowi trzymać wartę. Jest ktoś inny, kto powinien zasnąć dziś obok ciebie. - Nie wydawał się nadąsany ani dziecięco małostkowy. Choć to może brzmi dziwnie, gdy mowa o kimś, kto ma setki lat, ale wydawał się bardzo dorosły i dojrzały.

Obudziłam się w chwili, gdy ktoś położył się obok mnie, delikatnie omijając moje zranione ramię. To nie było ciało, które znałam. Nie wiedziałam, skąd wzięło się we mnie to przekonanie, ale znałam mężczyzn, z którymi dzieliłam łóżko, ich bliskość, dotyk, zapach skóry, a tego nie rozpoznawałam. Otworzyłam oczy i ujrzałam nad sobą złociste oblicze Adaira.

- Królowa mówi, że jestem twój, o ile mnie zechcesz. - W jego oczach kryła się niepewność i strach. Bogini raczy wiedzieć, w jakim nastroju będzie królowa po naszym małym pokazie. Nie chciałam, żeby wyładowała na nas swoje frustracje.

- Zostań z nami - szepnęłam - oczywiście zostań.

Przytulił się do mnie całym ciałem.

Przeszył go dreszcz i dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że płakał. Łóżko zadrżało, gdy Rhys wpełzł na nie od strony Adaira, Kitto ułożył się w nogach, a obok niego Nicca i Sage ze złożonymi z tyłu skrzydłami. Wszyscy dotykaliśmy Adaira, aby nasze dłonie i ciała uświadomiły mu, że był bezpieczny. Zasnęliśmy zbici w jedną zwartą masę ciepłych ciał i niosących pocieszenie dłoni.

Obudził mnie Adair pochlipujący przez sen. Ścisnął moje ramię i zrozumiałam, że mam się nie ruszać. Leżałam zeszywniała, wtulona w zagłębienie jego ciała, podczas gdy Adair wciąż pochlipywał.

Królowa stała w nogach łóżka, spoglądając na nas. Nie mogłam odczytać jej myśli, wiedziałam

tylko, że nie były pogodne.

Pogładziłam nagie plecy Adaira, aż przestał wydawać smętne dźwięki i usnął.

Bardziej poczułam, niż zobaczyłam, że leżący przy nim Rhys się obudził. Myślę, że Nicca, Kitto i Sage wciąż spali, słyszałam ich głębokie, równe oddechy.

Mróz i Galen stanęli przy łóżku, za nią, jakby chcieli ją pochwycić, ale bali się to zrobić. Jak możesz strzec kogoś przed królową? Odpowiedź - nie możesz, to nie wchodzi w rachubę.

Spojrzała na nas i odezwała się półgłosem, nie chcąc obudzić tych, którzy wciąż spali.

- Nie wiem, komu mam zazdrościć bardziej. Tobie z tymi wszystkimi mężczyznami czy twoim mężczyznom leżącym przy tobie. Skosztowałam twojej mocy i uznałam, że jest słodka, Meredith, bardzo słodka. - Odwróciła głowę, choć niczego nie usłyszałam. - Eamon czeka i strażnicy, których wybrałam na tę noc. - Przeniosła wzrok na mnie. - Zainspirowałaś mnie, abym na tę noc zaprosiła ich więcej do mego łóżka.

Ciało Adaira mocniej przywarło do mojego i wiedziałam, że choć miał zamknięte oczy, już nie spał. Udawał jak dziecko, że śpi: jeżeli będziesz udawał dostatecznie mocno, zła istota odejdzie.

Zachichotała gardłowo, a on aż podskoczył, jakby ten dźwięk go zranił, choć wiedziałam, że tak nie było. Wyszła z pokoju, śmiejąc się, choć żadne z nas nie było szczególnie rozbawione tym, co się wydarzyło.

Zastanawiałam się, gdzie byli Barinthus, Usna, Abloec, a także Onilwyn i Amatheon.

Mieli odtąd należeć do mnie, a to oznaczało, że ja powinnam ich ochraniać.

Posłałam Rhysa, aby o nich zapytał. Wrócił po dłuższej chwili, ciągnąc ich wszystkich ze sobą. W tym także Hawthorne'a, Mego i Brii.

- Poprosiłem królową o pozwolenie przyprowadzenia wszystkich twoich mężczyzn, a ona dała wybór tym, z którymi jeszcze nie spółkowałaś. Wszyscy postanowili przybyć tu i spędzić noc tutaj. - Wydawał się zarazem rozbawiony i zmęczony.

Barinthus spojrzał na łóżko i pokręcił głową.

- Nawet to łóżko nie pomieści nas wszystkich. - Miał rację, ale pomieściło się na nim więcej moich mężczyzn, niż mogłam przypuszczać. Kiedy ułożyliśmy się na spoczynek w tak wielkiej grupie, z jaką nigdy dotąd nie dzieliłam łóżka, od strony nog łóżka dobiegł głos Amatheona, który zdawał się przemawiać w imieniu wszystkich nowych strażników.

- Dziękuję, że posłałaś Rhysa, aby nas odszukał.

- Jesteś teraz mój, Amatheonie, na dobre i na złe.

- Na dobre i złe - rzekł z głębi pokoju Rhys.

- To nie jest ceremonia małżeństwa jak u ludzi. - Od strony drzwi obiegł głos Mroza.

Pobrzmiwała w nim lekka nuta niezadowolenia.

Doyle przytulił się do mnie mocniej, a ja wtuliłam się w niego i rozluźniłam.

- Małżeństwo może się zakończyć rozwodem lub zwyczajnie odejściem kogoś z małżonków - rzekł Doyle. - Merry o wiele poważniej traktuje swoje zobowiązania.

- To jak - rzuciłam z ciemności - w dostatku i w biedzie?

- No, nie wiem - mruknął Rhys. - Nie wiem, czy chciałbym być biedny.

- Dobranoc, Rhys - powiedziałam.

Zaśmiał się.

Od strony drzwi dobiegł głos Galena:

- W zdrowiu i w chorobie, dopóki śmierć nas nie rozłączy.

W tych słowach było coś pocieszającego i złowieszczonego zarazem. Z ciemności popłynął głos Onilwyna, dochodził z tak daleka, że wiedziałam, iż nie zdołał znaleźć dla siebie miejsca na łóżku.

- A więc tak po prostu wiążesz się z nami, z naszym losem i będziesz nas ochraniać?

- Ochraniać tak, ale nie zamierzam decydować o waszym losie, Onilwynie. Wasz los, tak jak los wszystkich, należy tylko i wyłącznie do was i nikt nie może go wam odebrać.

- Królowa mówi, że nasz los jest w jej rękach - powiedział tym cichym głosem, jakim wszyscy posługiwali się w ciemnościach, kiedy kolejne osoby zaczynały odpływać w sen.

- Nie - powiedziałam. - Nie chcę decydować o niczym losie. To zbyt wielka odpowiedzialność.

- Czy nie to właśnie oznacza bycie królową? - zapytał.

- To oznacza, że decyduję o losie mego ludu, owszem, ale poszczególne wybory należą bezpośrednio do was. Masz wolną wolę, Onilwynie.

- Naprawdę w to wierzysz?

- Tak - odparłam i wtuliłam twarz w zagłębienie szyi Adaira.

Pachniał jak świeżo ścięte drzewo. Nikt go nie tknął i to dało mi do myślenia, co jeszcze zrobiła mu Andais poza obcięciem włosów.

- Absolutna monarchini, która wierzy w wolną wolę, czy to nie jest sprzeczne z zasadami? - spytał Onilwyn.

- Nie - mruknęłam z twarzą wtuloną w ciało Adaira. - Bynajmniej. Nie jest to sprzeczne z moimi zasadami. - Mój głos stawał się niewyraźny, bo zaczynałam przysypiać.

- Myślę, że spodobają mi się twoje zasady - rzekł Onilwyn i jego głos także stał się bełkotliwy.

- Zasady tak - wymamrotał Rhys - ale sprzątanie domu to coś okropnego.

- Sprzątanie domu! - rzucił Onilwyn. - Sidhe nie sprzątaję w domu!

- Mój dom, moje zasady - odparłam.

On i kilku innych, którzy jeszcze nie spali, zaczęło protestować.

- Dość - rzucił Doyle. - Będziecie robić to, co wam każe księżniczka.

- Albo? - zapytał głos, którego nie rozpoznałam.

- Albo zostaniecie odesłani z powrotem pod czułą opiekę królowej.

Zapadła cisza i nie była to cisza spokojna.

- Oby seks był naprawdę dobry, jeżeli oczekuje się po mnie mycia okien. - To chyba był Usna.

- Ależ jest - zapewnił Rhys.

- Zamknij się, Rhys - rzekł Galen.

- Przecież to prawda.

- Dosyć - ucięłam. - Jestem zmęczona. Jeśli mam być jutro dla was dyspozycyjna, muszę się przespać.

- Bardzo... - bąknął Rhys.

- Dobranoc, Rhys - powiedziałam - i dobranoc Ivi. Spijcie już.

Zatracając się pomiędzy ciepłymi ciałami Doyle'a i Adaira, usłyszałam szepty. Po tonie głosu rozpoznałam, że jeden z nich należał do Rhysa, a drugi zapewne do Mego.

Mogłabym na nich nakrzyczeć, ale sen spowił mnie jak ciepły gruby koc. Gdybym zaczęła oписywać ich wszystkich po kolei, nigdy byśmy nie zasnęli. Jeżeli Rhys chciał uraczyć Iwiego opowieściami o seksie, mógł to zrobić. Grunt, żebym nie musiała wysłuchiwać szczegółów.

Ostatni dźwięk, jaki usłyszałam, to zduszony, bardzo męski śmiech.

Następnego ranka dowiem się, że Rhys miał całkiem spore grono słuchaczy chętnych do zapoznania się z jego erotycznymi opowieściami. Solennie zaklinał się, że ani trochę nie zełgał i wcale nie koloryzował. Musiałam mu uwierzyć, ale poprzysięgam sobie, że nigdy więcej nie pozwolę mu siedzieć do późna i raczyć historyjkami tych, którzy nie dzielili ze mną łoża. Jeżeli nie

będę dość ostrożna, zyskam dzięki niemu reputację gorszą nawet od najbardziej rozwiązłej bogini płodności. Rhys twierdzi, że jestem zbyt skromna. Odpowiadam na to, że jestem tylko śmiertelniczką, a jak jedna śmiertelna kobieta mogłaby zaspokoić żądze szesnastu nieśmiertelnych sidhe?

Spojrzał na mnie i rzekł:

- Śmiertelna, powiadasz? Jesteś pewna?

Szczerze mówiąc, nie byłam, ale skąd niby wiadomo, że jest się nieśmiertelnym? Bo jeżeli o to chodzi, wcale nie czuję się inaczej. Czy nieśmiertelna nie powinna czuć się inaczej? Wydaje mi się, że tak. A poza tym jak miałabym sprawdzić tę teorię?